

Dean R. Koontz

Zwierciadło zbrodni

(Mr Murder)

Przekład Jan Kabat

Część pierwsza

Święty Mikołaj i jego zły brat bliźniak

Dziwna i szara zima tego roku.

Mokry wiatr powiew Zagłady niesie,

poranne niebiosą już toną w mroku,

sunąc kocim krokiem do północy.

KSIĘGA WSZELKICH SMUTKÓW

Życie jest bezlitosną komedią. Na tym właśnie polega jego tragizm.

JEDEN MARTWY BISKUP, MARTIN STILLWATER

Księga pierwsza

Pragnę...

Przechylając się do tyłu w wygodnym skórzanym fotelu biurowym, huśtając się łagodnie, trzymając w prawej dłoni mały magnetofon kasetowy i dyktując list do swego wydawcy w Nowym Jorku, Martin Stillwater uświadomił sobie nagle, że powtarza sennym szeptem to jedno słowo.

...pragnę... pragnę... pragnę...

Zmarszczył brwi i wyłączył kasetę.

Jego myśli przypominały rozpedzony pociąg, który zjechał ze stukotem kół na bocznice i wreszcie przystanął. Nie mógł sobie przypomnieć, co miał zamiar powiedzieć.

Czego pragnął?

Wielki dom nie był po prostu cichy, zdawał się martwy. Paige zabrała dzieciaki na lunch i sobotni poranek w kinie.

Ale owa cisza, nie skażona dziecięcymi głosami, nie była jedynie pewnym określonym stanem. Miała swoją własną substancję. Wyczuwało się ją w powietrzu.

Przyłożył rękę do karku. Jego dłoń była chłodna i wilgotna. Wstrząsnął nim dreszcz.

Za oknami jesienny dzień był tak cichy jak wnętrze domu, jakby ewakuowano wszystkich mieszkańców południowej Kalifornii. Szerokie okiennice przy jednym z okien gabinetu na pierwszym piętrze były uchylone. Słoneczny blask prześlizgiwał się ukośnie między nachylonymi pod kątem listwami, znacząc sofę i dywan wąskimi, czerwono-złotymi paskami, połyskującymi jak futro lisa; najbliższa jasna wstążka opasywała narożnik biurka w kształcie podkowy.

Pragnę...

Instynkt mu podpowiedział, że zaledwie przed chwilą wydarzyło się coś ważnego, coś niewidocznego gołym okiem, co dostrzegł tylko podświadomie.

Obrócił się na krześle i rozejrzał po pokoju. Oprócz pasemek miedzianego blasku słonecznego, przeplatanego cieniami rzucanymi przez listwy żaluzji, jedyne światło płynęło z małej lampki na biurku, której klosz zrobiono z różnokolorowego szkła. Był sam.

Być może cisza wydawała się nienaturalnie głęboka tylko dlatego, że zwykle w domu było gwarno i hałaśliwie, zwłaszcza teraz, kiedy zaczęły się przedświąteczne ferie. Tęsknił za dziećmi. Żałował, że nie poszedł z nimi do kina.

Pragnę...

W tym jednym słowie brzmiało niezwykle napięcie i tęsknota.

Teraz ogarnęło go złowrózne przecucie, przejmująca świadomość nadchodzącego niebezpieczeństwa. Ostrzegawczy lęk, który przeżywali bohaterowie jego powieści, i który zawsze starał się opisać bez uciekania się do wyświechtanych frazesów.

Tak naprawdę nie doświadczył niczego podobnego już od lat, od czasu, gdy Charlotte była poważnie chora i doktor podejrzewał raka. Przez cały ten dzień w szpitalu, gdy jego małą dziewczynkę wożono na wózku z jednego laboratorium do drugiego, przez bezsenną noc, a potem przez te wszystkie dni poprzedzające chwilę, gdy lekarze odważyli się postawić diagnozę, Marty czuł się tak, jakby prześladował go złośliwy duch, którego obecność odbierała tlen, utrudniając oddychanie, poruszanie się, nadzieję. Jak się okazało, jego córce nie zagrażało nadnaturalne zło czy śmiertelna choroba. Problem sprowadzał się do całkowicie uleczalnego schorzenia krwi. W ciągu trzech miesięcy Charlotte wyzdrowiała.

Ale on wciąż pamiętał tamten lęk.

Znów tkwił w jego lodowatym uścisku, choć nie wiedział dlaczego. Charlotte i Emily były zdrowymi, towarzyskimi dziećmi. On i Paige byli ze sobą szczęśliwi, absurdalnie szczęśliwi, jeśli wziąć pod uwagę to, ile małżeństw znajomych trzydziestokilkulatków było rozwiedzionych, żyło w separacji, czy też oszukiwało się nawzajem. Pod względem finansowym byli zabezpieczeni ponad najśmielsze oczekiwania.

A jednak Marty wiedział, że dzieje się coś złego.

Odłożył magnetofon, podszedł do okna i pchnął okiennice. Bezlistny platan rzucał ostre, wydłużone cienie na nieduże, boczne podwórko. Za powyginanymi konarami drzewa widniały bladeżółte, tynkowane ściany sąsiedniego domu, które zdawały się pochłaniać słoneczny blask; złote i brunatne refleksy malowały szyby w oknach; miejsce było ciche, pozornie spokojne.

Po prawej stronie widział fragment ulicy. Domy naprzeciwko, w stylu śródziemnomorskim, były otynkowanymi budynkami o dachach z glinianych płytek, złożonymi teraz przez popołudniowe słońce i ozdobionymi cieniem rzucanym przez liście królewskich palm. Ta spokojna, urozmaicona i starannie zagospodarowana okolica, a właściwie całe miasteczko Mission Viejo, wydawała się spokojną przystanią, wolną od chaosu, który rządził resztą świata.

Zamknął okiennice, zagrządzając dostęp słońcu.

Niebezpieczeństwo istniało tylko w jego umyśle i było owocem tej samej żywej wyobraźni, która uczyniła go poczytnym autorem kryminałów.

Jednak jego serce biło szybciej.

Marty wyszedł z gabinetu na korytarz pierwszego piętra. Doszedł do szczytu schodów. Stał nieruchomo jak słupek balustrady, na którym teraz opierał dłoń.

Nie bardzo wiedział, na co czeka. Ciche skrzypienie drzwi? Skradające się kroki? Ukradkowe szelesty, trzaski i przytłumione stuki?

Stopniowo, gdy nie usłyszał niczego podejrzanego, a oszalałe serce uspokoiło się nieco, poczucie nadchodzącej katastrofy zaczęło słabnąć. Niepokój przerodził się w zwyczajną niepewność.

– Kto tam? – spytał tylko po to, by zakłócić ciszę.

Dźwięk jego głosu rozproszył złowieszczy nastrój. Pusty dom. Żadnej tajemniczej złośliwej siły.

Wrócił do gabinetu, który znajdował się przy końcu korytarza, i usadowił się w skórzanym fotelu za biurkiem. W półmroku pokoju cztery kąty zdawały się cofać bardziej, niż pozwalały na to ściany – jak we śnie.

Ponieważ głównym motywem na kloszu lampy były owoce, ochronna szyba na biurku odbijała świetliste owale i krążki czerwieni, brązu, zieleni, żółci i błękitu. Części metalowe i plastikowe magnetofonu odbijały także jasną mozaikę klosza, połyskując jak ozdobione klejnotami. Sięgając po magnetofon Marty zauważył, że jego dłoń pokrywa grudkowata, opalizująca i wielobarwna skóra egzotycznej jaszczurki.

Zawahał się, obserwując fałszywe łuski na swojej dłoni i widmowe klejnoty na obudowie magnetofonu. Prawdziwe życie przeplatało się z ułudą, jak w każdej wymyślonej opowieści.

Cofnął taśmę, trwało to sekundę lub dwie, szukając kilku ostatnich słów nie dokończonego listu do wydawcy. Cienki, świszczący-skrzeczący odgłos przewijanej taśmy brzmiał jak język maleńkiej istoty z kosmosu.

Kiedy nacisnął odtwarzanie, stwierdził, że nie przewinął taśmy dostatecznie daleko: ...*pragnę...*
pragnę... pragnę...

Marszcząc brwi, znów zaczął cofać taśmę, tym razem dwukrotnie dłużej.

Lecz znów: ...*pragnę... pragnę...*

Przewijanie. Dwie sekundy. Pięć. Dziesięć. Stop. Odtwarzanie.

...*pragnę... pragnę... pragnę...*

Po dwóch kolejnych próbach znalazł koniec listu: ...*tak więc będę mógł przestać panu ostateczną wersję książki mniej więcej za miesiąc. Sądzę, że powieść ta... że powieść ta... eee... że ta...*

W tym miejscu głos zamarł. Magnetofon zarejestrował tylko ciszę i świst jego oddechu.

Marty pochylił się do przodu pełen napięcia.

...*pragnę... pragnę...*

Spojrzał na zegarek. Niecałe sześć minut po czwartej.

Początkowo to senne mamrotanie brzmiało tak samo jak wówczas, gdy uświadomił je sobie po raz pierwszy, i przez chwilę słyszał cichy refren, który przypominał fragment nieskończonej, monotonnej litanii. Jednak po jakichś trzydziestu sekundach jego głos na taśmie zmienił się, pojawił się w nim ostry ton zniecierpliwienia, potem nuta tęsknoty, wreszcie gniewu.

...*PRAGNĘ... PRAGNĘ... PRAGNĘ...*

W słowie tym kipiało głębokie niezadowolenie.

Ten Marty Stillwater na taśmie, który równie dobrze mógł być kimś absolutnie nie znanym dla słuchającego Marty'ego Stillwatera, zdawał się odczuwać emocjonalny ból, wywołany pragnieniem czegoś, czego nie mógł ani opisać, ani nawet sobie wyobrazić.

Zahipnotyzowany, wpatrywał się ponuro w białe szpule magnetofonu kasetowego, obracające się nieubłagane za plastikowym okienkiem.

W końcu głos zamilkł, nagranie się skończyło i Marty znów sprawdził godzinę. Ponad dwanaście po czwartej.

Początkowo sądził, że wszystko to trwało tylko kilka sekund, że pograżył się w krótkotrwałej fantazji. Tak naprawdę, siedział z magnetofonem w zaciśniętej dłoni, zapominając o liście do wydawcy i powtarzając to jedno słowo przez siedem minut, a nawet dłużej.

Siedem minut, na litość boską.

I niczego nie pamiętał. Jak w transie.

Teraz zatrzymał taśmę. Ręce mu drżały. Z trudem położył magnetofon na szklanej szybie biurka.

Rozejrzał się po gabinecie, w którym spędził tyle samotnych godzin, wymyślając i rozwiązując kryminalne intrygi swych powieści, i w którym poddawał niezliczone postaci ciężkim próbom i zmuszał je, by sprostały wyzwaniu i stawiły czoło śmiertelnemu niebezpieczeństwu. Ten pokój był tak znajomy: półki zawalone książkami, z tuzin oryginalnych obrazów, które zdobiły obwoluty jego powieści, kanapa, którą kupił z myślą o leniwych sesjach pisarskich, ale na której nigdy nie miał czasu ani ochoty leżeć, komputer.

Ale nagle pokój stał się obcy, bo został skażony osobliwością tego, co stało się parę minut wcześniej.

Wytań wilgotne dłonie o dzinsy.

Strach, który opuścił go na chwilę, znów powrócił, jak tajemniczy kruk z wiersza Poe'go, który na dobre usadowił się przy drzwiach komnaty.

Wcześniej, gdy ocknął się z transu, uświadamiając sobie niejasne zagrożenie, spodziewał się, że niebezpieczeństwo czai się na zewnątrz, na ulicy, lub pod postacią włamywacza buszującego w pokojach na parterze. Ale to było coś gorszego. To tkwiło w nim samym.

Głęboka, cicha, bezwietrzna noc.

W dole zbite kłęby chmur srebrzą się odbitym blaskiem księżyca i przez chwilę cień samolotu faluje po mglistym morzu.

Maszyna, którą leci z Bostonu zabójca, ląduje bez opóźnienia w Kansas City, Missouri. Mężczyzna natychmiast udaje się po swój bagaż. Ruch towarzyszący Świętu Dziękczynienia zacznie się dopiero jutro, więc na lotnisku panuje spokój. Jego dwie walizki, z których jedna kryje pistolet P7, produkcji heckler & koch, odkręcany tłumik i magazynki załadowane amunicją 9-mm jako pierwsze zjeżdżają z taśmy.

Przy kontuarze agencji wypożyczającej samochody dowiaduje się, że z jego rezerwacją nie ma żadnych problemów. Dostanie do dyspozycji dużego sedana marki Ford, o którego prosił. Nie będzie musiał zadowolnić się wozem klasy compact.

Karta kredytowa na nazwisko Johna Larringtona nie budzi żadnych zastrzeżeń, choć zabójca wcale nie nazywa się John Larrington.

Po uruchomieniu silnika przekonuje się, że wóz lśni czystością i prowadzi się go bardzo dobrze. Ogrzewanie działa naprawdę.

Wszystko wydaje się iść po jego myśli.

Po przejechaniu kilku mil melduje się w miłym, dość skromnym czterokondygnacyjnym motelu, gdzie rudowłosy recepcjonista mówi mu, że może zamówić sobie darmowe śniadanie – herbatniki, sok i kawę, które obsługa dostarczy rano, jeśli tylko wyrazi takie życzenie. Jego karta Visy na nazwisko Thomasa E. Jukovica nie budzi zastrzeżeń, choć wcale nie nazywa się Thomas E. Jukovic.

Podłogę pokoju przykrywa wypłowiały pomarańczowy dywan, a ściany niebieska tapeta w paski. Materac jest jednak twardy, a ręczniki puszyste.

Walizkę z automatycznym pistoletem i amunicją zostawił w bagażniku, gdzie nie będzie stanowiła pokusy dla ciekawskich pracowników motelu.

Przez chwilę zostaje w pokoju. Przygląda się miastu. Potem schodzi do restauracji na kolację. Ma sześć stóp wzrostu, waży sto osiemdziesiąt funtów, ale je z apetytem charakterystycznym dla o wiele większego mężczyzny. Czarka zupy jarzynowej z grzanką czosnkową. Dwa cheeseburgery, frytki. Kawałek jabłecznika z lodami waniliowymi. Sześć filiżanek kawy.

Zawsze ma duży apetyt. Czasami jest wręcz żarłoczny; niekiedy jego głód wydaje się nienasycony.

Kiedy on je, dwa razy zatrzymuje się przy nim kelnerka, żeby spytać, czy kolacja jest dobra i czy czegoś nie potrzebuje. Jest nie tylko uprzejma, jest również uwodzicielska.

Wygląda całkiem atrakcyjnie, nie może się jednak równać z gwiazdami filmowymi. Jednak kobiety flirtują z nim częściej niż z innymi mężczyznami – przystojniejszymi i lepiej ubranymi niż on. Jego ubranie – buty Rockporta, spodnie w kolorze khaki, ciemnozielony półgolf, tani zegarek – nie odznacza się niczym szczególnym i jest nie do zapamiętania. O to właśnie chodzi. Nie ma żadnego powodu, by kelnerka wzięła go za człowieka majątnego. A jednak znów jest przy nim i uśmiecha się kokieteryjnie.

Pewnego razu, w koktailbarze w Miami, pewna blondynka o oczach w kolorze whiskey, którą tam poderwał, powiedziała mu, że otacza go intrygująca aura.

Źródłem jego nieodpartego magnetyzmu – stwierdziła – jest jego milczenie i kamienny wyraz twarzy. Jesteś – upierała się figlarnie – wcieleniem silnego, milczącego faceta. Cholera, gdybyś występował w jednym filmie z Clintem Eastwoodem i Stallone'em, w ogóle nie byłoby w nim dialogu!

Później zatłukł ją na śmierć.

Nie powiedziała i nie zrobiła nic, co mogłoby go rozzłościć. A seks, jaki z nią uprawiał, był zadowalający.

Ale przyjechał na Florydę, by rozwalić mózg pewnemu człowiekowi o nazwisku Parker Abbotson, i martwił się, że ta kobieta może coś później skojarzyć. Nie chciał, by przekazała policji jego rysopis.

Gdy się z nią uporał, poszedł do kina na najnowszy film Spielberga, a potem na komedię ze Steve'em Martinem.

Lubi kino. Filmy, obok pracy, są jedyną treścią jego życia. Jakby jego prawdziwym domem były sale kinowe w różnych miastach, jednak tak do siebie podobne, że właściwie zawsze mogłyby uchodzić za tę samą ciemną widownię.

Teraz udaje, że jest nieświadomy zainteresowania kelnerki. Jest dość ładna, ale nie odważyłby się jej zabić. Byłoby to zbyt ryzykowne. Musi znaleźć tu jakąś kobietę, z którą nic go nie łączy.

Daje dokładnie piętnastoprocentowy napiwek, ponieważ tak samo skąpstwo, jak i rozrzutność łatwo zapamiętać.

Wraca do pokoju, skąd zabiera skórzaną kurtkę z wełnianą podpinką, odpowiednią na późny listopadowy wieczór, wsiada do wypożyczonego forda i objeżdża okoliczne centrum handlowe, zataczając coraz szersze kręgi. Szuka lokalu, w którym będzie miał szansę znaleźć odpowiednią kobietę.

Tata był niepodobny do taty.

Miał niebieskie oczy taty, ciemnokasztanowe włosy taty, zbyt duże uszy taty, piegowaty nos taty; był lustrzanym odbiciem Martina Stillwatera, którego zdjęcie widniało na obwolutach jego książek. Mówił jak tata, gdy Charlotte i Emily wróciły z matką do domu i zastały go w kuchni, pijącego kawę, bo powiedział: „Nie udawajcie, że po kinie poszłyście po zakupy. Kazałem was śledzić prywatnemu detektywowi. Wiem, że byłyście w jaskini gry w Gardena, hazardując się i paląc cygara”. Stał, siedział i mówił jak tata.

Później, gdy udali się do Islands na obiad, nawet prowadził samochód jak tata. To znaczy za szybko, według mamy. Albo po prostu „z pewnością i wprawą mistrza kierowcy” – jak mówił.

Ale Charlotte wiedziała, że dzieje się coś złego, i to ją martwiło.

Och, wiedziała, że nie został opętany przez obcego, który wypełził z wielkiego strąka skrywającego nasienie przywleczone z kosmosu, czy coś równie niesamowitego. Nie różnił się aż tak bardzo od taty, którego znała i kochała.

Jednak się różnił. Choć zazwyczaj zrelaksowany i swobodny, teraz był lekko spięty. Siedział sztywno, jakby miał jajko na głowie... albo jakby spodziewał się, że w każdej chwili może zostać uderzony przez kogoś lub przez coś. Nie uśmiechał się tak szybko i często zwykle, a kiedy się jednak uśmiechał, to wyglądało, jakby udawał.

Zanim wyjechał tyłem z podjazdu, odwrócił się, by sprawdzić, czy Charlotte i Emily mają zapięte pasy, ale nie powiedział: „Rakieta Stillwaterów, lecąca na Marsa, za chwilę wystartuje” albo „jeśli zbyt gwałtownie wezmę zakręt i będziecie musiały wymiotować, proszę zwrócić elegancko jedzenie do kieszeni kurtek, a nie na moją tapicerkę”, albo „jeśli osiągniemy odpowiednią prędkość, by wrócić na czas do domu, to nie wykrzykujcie obelg pod adresem dinozaurów”, czy innych rzeczy, które zazwyczaj mówił.

Charlotte zauważyła to wszystko i była zmartwiona.

Restauracja Islands serwowała dobre burgery, wspaniałe frytki, które można było zamówić dobrze przysmażone, sałatki i miękkie naleśniki. Kanapki i frytki podawano w koszykach, a całe to miejsce przypominało aurą Karaiby.

Słowo „aura” fascynowało Charlotte. Uwielbiała jego brzmienie i wypowiadała je przy każdej nadarzającej się okazji – choć Emily, beznadziejny dzieciak, wciąż nie rozumiała i mówiła: „Jaka Laura, nie widzę żadnej Laury”. Siedmiolatki są okropne. Charlotte miała dziesięć lat, ściślej mówiąc, miała osiągnąć ten wiek za sześć tygodni, a Emily dopiero co skończyła siedem w październiku. Em była dobrą siostrą, ale naturalnie siedmiolatki są takie... siedmioletnie.

W każdym razie aura była tropikalna: jasne kolory, bambusowy sufit, drewniane żaluzje, mnóstwo palm w doniczkach. Kelnerzy i kelnerki byli ubrani w szorty i jasne koszulki typu hawajskiego.

Miejsce to przywodziło jej na myśl muzykę Jimma Buffeta, uwielbianą przez ich rodziców, ale której Charlotte w ogóle nie rozumiała. Przynajmniej aura była chłodna, a frytki najlepsze.

Siedzieli w części dla niepalących, gdzie aura była jeszcze przyjemniejsza. Rodzice zamówili Coronę, którą podano w oszronionych kufkach. Charlotte wzięła dla siebie colę, a Emily zamówiła piwo korzenne.

– Piwo korzenne jest drinkiem dla dorosłych – powiedziała Em. – Wskazała na colę, którą piła Charlotte. – Kiedy wreszcie dasz sobie spokój z napojami dla dzieci?

Em była przekonana, że piwo korzenne może być równie odurzające jak to prawdziwe. Czasem udawała, że jest na rauszu po dwóch szklankach, co było takie głupie i irytujące. Kiedy Em zaczynała ten swój pijacki spektakl z zataczaniem się i czkaniem, a obcy odwracali się na ulicy, żeby się pogapić, Charlotte wyjaśniała, że Em ma dopiero siedem lat. Każdy rozumiał. Czegóż można się spodziewać po siedmiolatce? Ale i tak było to irytujące.

Zanim kelnerka przyniosła obiad, mama i tata rozmawiali o jakichś znajomych, którzy mieli się rozwieść. Nudna rozmowa dorosłych. Em układała frytki w stosy o dziwacznych kształtach, przypominających miniaturowe wersje nowoczesnych rzeźb, jakie oglądali w muzeum zeszłego lata. Była pochłonięta swoim dziełem.

Kiedy nikt przy stole na nią nie patrzył, Charlotte rozsunęła zamek błyskawiczny najgłębszej kieszeni dżinsowej kurtki, wyciągnęła Freda i postawiła go na stole.

Siedział nieruchomo pod swoją skorupą, podwijając krótkie, grube nogi. Bezgłowy, wielkości męskiego zegarka na rękę. W końcu ukazał się jego podobny do ptasiego dzioba mały nos. Ostrożnie węszył i po chwili wysunął głowę z fortecy, którą nosił na swym grzbiecie. Ciemne, błyszczące oczy żółwia spoglądały na nowe otoczenie z wielkim zainteresowaniem i Charlotte przyszło do głowy, że zwierzak musi być zdumiony panującą w tym miejscu aurą.

– Trzymaj się blisko mnie, Fred, a pokażę ci miejsca, jakich nigdy nie widział żaden żółw – wyszeptwała.

Zerknęła na rodziców. Byli tak zajęci sobą, że nie zauważyli, kiedy wysunęła z kieszeni Freda. Teraz zasłaniał go koszyk z frytkami.

Oprócz frytek Charlotte jadła naleśniki z nadzieniem drobiowym, z których wyciągnęła listek sałaty. Żółw powąchał go, po czym odwrócił z obrzydzeniem głowę. Spróbowała z pokrojonym w plastry pomidorem. Jesteś niepoważna? – zdawał się mówić, odtrącając smakołyk.

Czasami Fred miewał humory i sprawiał kłopoty. To była jej wina, jak przypuszczała, ponieważ go psuła.

Nie sądziła, by kurczak czy ser był dla niego dobry, nie zamierzała również dawać mu okruchów tortilli, dopóki nie zje swojej porcji jarzyn, skubała więc chrupiące frytki i rozglądała się po restauracji, jakby była zafascynowana innymi gośćmi, ignorując małego, niegrzecznego gada. Odmówił zjedzenia sałaty i pomidora tylko dlatego, że chciał ją rozzłościć. Gdyby wiedział, że nic ją to nie obchodzi, prawdopodobnie by zjadł. W przeliczeniu na żółwie lata Fred był siedmiolatkiem.

Jej uwagę zwróciła para metalowców w skórzanych kurtkach, dziwacznie uczesanych. Zagapiła się na nich, więc wystraszył ją cichy pisk matki.

– Och – stwierdziła, gdy się mama uspokoiła – to tylko Fred.

Niewdzięczny żółw. Charlotte mogła go przecież zostawić w domu. Teraz spacerował po stole, okrążył koszyk z frytkami i zmierzał do talerza mamy.

– Wyjęłam go tylko po to, żeby dać mu jeść – powiedziała usprawiedliwiająco Charlotte.

Podnosząc koszyk, tak by Charlotte mogła zobaczyć żółwia, mama powiedziała:

– Kochanie, trzymanie go przez cały dzień w kieszeni wcale nie jest dla niego dobre.

– Nie cały dzień. – Charlotte złapała żółwia i wsadziła go z powrotem do kieszeni. – Wzięłam go, kiedy, wyjechaliśmy na obiad.

Mama zmarszczyła brwi.

– Jaki jeszcze żywy inwentarz masz ze sobą?

– Tylko Freda.

– A co z Bobem? – spytała mama.

– Ach tak – stwierdziła Emily, wykrzywiając się. – Masz Boba w kieszeni? Nienawidzę Boba.

Bob był żukiem, wolno poruszającym się czarnym chrabąszczem, tak dużym jak czubek kciuka taty, z bładoniebieskimi znakami na skorupie. Trzymała go w dużym szklanym słoju, ale czasami lubiła go wyjmować i patrzeć, jak pełźnie z mozołem po blacie szafki kuchennej czy nawet po jej dłoni.

– Nigdy nie zabrałabym Boba do restauracji – zapewniła Charlotte.

– Nie powinnaś również zabierać Freda – powiedziała mama.

– Tak, szanowna pani – zgodziła się Charlotte.

– To było głupie – poinformowała ją Emily.

– Nie głupsze niż zabawa frytkami, jakby były klockami lego – zwróciła się do niej mama.

– Robię sztukę.

Emily zawsze robiła sztukę. Czasem była naprawdę niesamowita, nawet jak na siedmiolatkę. Picasso wcielony – nazywał ją tata.

– Sztukę, tak? Robisz sztukę z jedzenia, więc co zamierzasz jeść? Obraz?

– Może – odpowiedziała Em. – Obraz z czekoladowego tortu.

Charlotte zasunęła suwak przy kieszeni, zamykając Freda w więzieniu.

– Umyj ręce, zanim zaczniesz jeść – nakazał tata.

– Dlaczego? – spytała Charlotte.

– Czego przed chwilą dotykałaś?

– Chodzi ci o Freda? Ale on jest czysty.

– Powiedziałem, umyj ręce.

Złość w głosie ojca przypominała jej, że nie jest on sobą. Rzadko przemawiał ostrym tonem do niej czy do Em. Była zawsze posłuszna. Ale nie ze strachu, że sprawi jej lanie albo że ją skrzyczy, tylko dlatego, że nie chciała sprawiać mu zawodu, jemu czy mamie. Czuła się najwspanialej, gdy dostawała w szkole dobry stopień albo gdy szło jej nieźle w czasie recitalu fortepianowego, a oni byli z niej dumni. I nie było dla niej nic gorszego w świecie niż ich smutne, zawiedzione spojrzenie.

Głos ojca sprawił, że bezzwłocznie udała się do damskiej toalety, mrugając przy każdym kroku z powodu łez.

Później, gdy jechali do domu, a tata zaczął zachowywać się jak rajdowiec, mama powiedziała:

– Marty, to nie jest wyścig w Indianapolis.

– Myślisz, że to szybka jazda? – spytał tata, jakby się dziwiąc. – Wcale nie jadę szybko.

– Nawet sam Batman nie potrafiłby rozpędzić swego wehikułu do takiej prędkości.

– Mam trzydzieści trzy lata i nigdy nie miałem wypadku. Czyste konto. Żadnych mandatów. Nigdy nie zostałem zatrzymany przez policję.

– Ponieważ nie mogą cię dogonić.

– Zgadza się.

Charlotte i Emily uśmiechnęły się do siebie.

Jak daleko Charlotte sięgała pamięcią, ich rodzice zawsze się żartobliwie kłócili na ten temat. Choć matka naprawdę chciała, by ojciec jeździł wolniej.

– Nigdy nie dostałem nawet mandatu za złe parkowanie – powiedział tata.

– No cóż, oczywiście, nie jest łatwo dostać mandat za złe parkowanie, kiedy strzałka szybkościomierza pada zawsze z wyczerpania.

Ich sprzeczki zawsze były pełne humoru. Ale teraz, nagle, w głosie ojca zabrzmiała złość.

– Na litość boską, Paige, jestem dobrym kierowcą, to jest bezpieczny samochód, wydałem na niego więcej pieniędzy niż powinienem, właśnie dlatego, że jest to jeden z najbezpieczniejszych wozów, jakie poruszają się po drogach, więc może byś dała spokój?

– Pewnie. Przepraszam – powiedziała mama.

Charlotte spojrzała na siostrę. Em miała oczy szeroko otwarte ze zdumienia.

Tata nie był tatą. Działo się coś złego. Coś bardzo złego.

Przejechali zaledwie jedno skrzyżowanie, kiedy zwolnił i zerknął na mamę.

– Przepraszam...

– Nie, miałaś rację, za bardzo się przejmuję niektórymi rzeczami – powiedziała mama.

Uśmiechnęli się do siebie. Wszystko było w porządku. Nie zamierzali się rozwieść jak ci ludzie, o których mówili podczas obiadu. Charlotte nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek gniewali się na siebie dłużej niż kilka minut.

Jednak wciąż była zaniepokojona. Może powinna sprawdzić dom i podwórze, na tyłach garażu. Zobaczyć, czy nie ma gdzieś gigantycznej skorupy po nasieniu z przestrzeni pozaziemskiej?

Niczym rekin, krążący wokół zimnych prądów nocnego morza, zabójca wciąż podąża przed siebie.

Jest po raz pierwszy w Kansas City, ale zna jego ulice. Bezbłędne opanowanie planu miasta jest częścią przygotowań do każdego zadania, na wypadek, gdyby ściagała go policja.

Co ciekawe, nie pamięta, by widział kiedykolwiek mapę, i nie pojmuje, gdzie zdobył te niezwykle szczegółowe informacje. Ale nie lubi zastanawiać się nad lukami w pamięci, bo myślenie o tym otwiera wrota czarnej otchłani, która go przeraża.

Więc po prostu jedzie przed siebie.

Lubi prowadzić. Władza nad maszyną, gotową wykonywać jego rozkazy, daje mu poczucie przewagi i siły.

Ale chwilami, tak jak teraz, ruch samochodu i widok obcego miasta bez względu na to, jak dobrze zna rozkład ulic, sprawiają, że czuje się bezbronny, samotny, porzucony na pastwę fal. Serce zaczyna bić mu szybciej. Jego dłonie stają się nagle tak wilgotne, że koło kierownicy ślizga się w palcach.

Później, kiedy zatrzymuje się na światłach, patrzy na samochód na sąsiednim pasie i dokładnie widzi pasażerów. Rodzina. Prowadzi ojciec. Matka siedzi po stronie pasażera, atrakcyjna kobieta. Z tyłu – mniej więcej dziesięcioletni chłopiec i sześć- czy siedmioletnia dziewczynka. Wracają do domu. Może byli w kinie. Rozmawiają, śmieją się – rodzice i dzieci – dzieląc się chwilą szczęścia.

Ten widok jest jak bezlitosny cios młotem i z ust dobywa mu się niezrozumiały jęk udreki.

Zjeżdża, z ulicy, zatrzymuje się na parkingu przy włoskiej restauracji. Opada na fotel. Oddycha szybkimi, płytkimi haustami.

Pustka. Boi się pustki.

A właśnie teraz jest w jej mocy.

Czuje się jak ktoś wydrążony, zrobiony z najcieńszego szkła, kruchy, odrobinę bardziej cielesny od ducha.

W takich chwilach rozpaczliwie potrzebuje lustra. Bo tylko odbicie w lustrze może potwierdzić jego istnienie.

Zielono-czerwony neon o wymyślnym kształcie, wiszący nad restauracją, oświetla wnętrze forda. Ustawia lusterko wsteczne, żeby przyjrzeć się sobie – jego skóra ma trupią barwę, a w oczach błyskają zmieniające się purpurowe kształty, jakby w jego ciele płonął ogień.

Dziś wieczór spojrzenie w lustro nie wystarcza. Czuje się coraz bardziej bezcielesny. Być może za chwilę odetchnie po raz ostatni, wyrzucając z siebie jedyny pozostały fragment swej cielesności.

Łzy zamazują mu ostrość widzenia. Jest przybity samotnością i dręczony bezcelowością życia.

Krzyżuje ramiona na piersi, obejmuje samego siebie, pochyla się do przodu i opiera czoło o kierownicę. Łka jak małe dziecko.

Nie zna własnego imienia. Tak bardzo pragnie mieć własne imię, które nie będzie równie fałszywe jak karty kredytowe. Nie ma rodziny, przyjaciół, domu. Nie może sobie przypomnieć, kto zlecił mu tę robotę i wszystkie poprzednie, i nie wie, dlaczego jego ofiara musi umrzeć. Niewiarygodne, ale nie ma pojęcia, kto mu płaci, nie pamięta, skąd wziął pieniądze, które ma w portfelu, nie wie, gdzie kupił ubranie, które nosi.

I nie wie nawet, kim jest. Nie pamięta, by kiedykolwiek zajmował się czymś innym niż zabijaniem. Nie ma przekonań politycznych i religijnych, nie wyznaje żadnej filozofii. Gdy próbuje zainteresować się aktualnymi wydarzeniami, stwierdza natychmiast, że nie potrafi zapamiętać tego, o czym czyta

w gazetach; nie może się nawet skupić na wiadomościach telewizyjnych. Jest inteligentny, jednak pozwala sobie lub ktoś mu pozwala na przyjemności jedynie fizycznej natury: jedzenie, seks, dziką rozkosz zabijania. Rozległe obszary jego mózgu są wciąż nie zapisane.

Mija kilka minut.

Łzy wysychają. Dreszcze stopniowo ustępują.

Wszystko będzie dobrze. Powróci spokój i opanowanie.

Unosi się z otchłani rozpaczony z niewiarygodną szybkością. Zdumiewające, z jaką determinacją pragnie wykonać ostatnie zlecenie, żyjąc jedynie cieniem życia. Czasem zdaje mu się, że działa niczym zaprogramowana maszyna – bezmyślna i posłuszna.

Z drugiej strony, gdyby odebrano mu jego zadanie, cóż innego mógłby robić? Cień życia jest jego jedynym istnieniem.

Gdy dziewczynki były na górze i szykowały się do spania, Marty chodził metodycznie od pokoju do pokoju na parterze, upewniając się, że wszystkie drzwi i okna są zamknięte.

Zdążył już obejść połowę kondygnacji i właśnie sprawdzał zamknięcie przy oknie nad zlewem, gdy uświadomił sobie, co właściwie robi. Każdej nocy, przed pójściem spać, sprawdzał naturalnie drzwi frontowe i kuchenne, plus drzwi rozsuwane pomiędzy salonem i patio, ale zwykle nie zawracał sobie głowy oglądaniem konkretnego okna, chyba że było otwierane w ciągu dnia. Mimo to sprawdzał dalej, z sumiennością wartownika dbającego o bezpieczeństwo zewnętrznych fortyfikacji oblężonej twierdzy.

Kiedy był w kuchni, usłyszał, jak wchodzi Paige. Chwilę później poczuł, jak obejmuje go w pasie.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Tak, owszem...

– Zły dzień?

– Niezupełnie. Tylko jedna chwila.

Odwrócił się, by też ją objąć. Była taka cudowna w dotyku, ciepła i mocna, taka żywa.

Nie było nic dziwnego w tym, że kochał ją teraz bardziej niż wówczas, gdy się poznali, w college'u. Triumfy i porażki, które dzielili, lata codziennej walki o miejsce w świecie i o nadanie mu znaczenia, wszystko to było urodzajną glebą, na której wzrastała ich miłość.

Jednak w tej w epoce, gdy idealne piękno było ucieleśnione w dziewiętnastolatkach zajmujących się zawodowo dopingowaniem drużyn w zawodowej lidze futbolu amerykańskiego, Marty znał mnóstwo facetów, którzy byliby zdumieni słysząc, że jego żona wydaje mu się coraz bardziej atrakcyjna, w miarę jak przestawała być dziewiętnastolatką, a zbliżała się do wieku trzydziestu trzech lat. Jej oczy nie były bardziej niebieskie niż wówczas, gdy ją spotkał po raz pierwszy; złoty odcień jej włosów nie był silniejszy, a skóra gładsza. Jednakże dzięki doświadczeniu jego żona zyskała na charakterze, głębi. Choć brzmiało to staromodnie w tej epoce łatwego cynizmu, czasem wydawała się promieniować wewnętrznym światłem, jasna niby postać z obrazu Rafaela.

Zgoda, może miał miękkie serce, może miał skłonności do romantyzmu, ale jej uśmiech i wyzywające spojrzenie jej oczu wydawały mu się o wiele bardziej podniecające niż sześcioosobowy team gołych dziewcząt zagrzewających piłkarzy.

Pocałował ją w czoło.

– Zła chwila? Co się stało? – spytała.

Nie był pewien, jak szczegółowo powinien jej opowiedzieć o tych siedmiu minutach. Na razie najlepszym wyjściem byłoby zbagatelizowanie tamtego doświadczenia, wizyta u lekarza i kilka testów. Jeśli nic mu nie dolegało, to całe zdarzenie należało uznać za niewytłumaczalny, jednostkowy wypadek. Nie chciał niepotrzebnie niepokoić Paige.

– No? – Nie ustępowała.

Intonacja, z jaką wypowiedziała to jedno słowo, przypomniała mu, że dwanaście lat małżeństwa nie pozwala na poważne sekrety, bez względu na to, jak dobre intencje leżały u podstaw jego niechęci do zwierzeń.

– Pamiętasz Audrey Aimes? – spytał.

– Kogo? Aha, masz na myśli tę bohaterkę z „Jednego martwego biskupa”?

Chodziło o powieść, którą napisał. Audrey Aimes była główną postacią w tej książce.

– Pamiętasz, co było jej problemem? – spytał.

– Znalazła martwego księdza, wiszącego na haku w jej garderobie, w przedpokoju.

– A poza tym?

– Miała jeszcze jakiś problem? Martwy ksiądz chyba w zupełności wystarczy? Jesteś pewien, że nie przesadzasz z komplikowaniem intryg swoich powieści?

– Mówię poważnie – powiedział, świadomy tego, jak dziwne się może wydać mówienie o własnym kryzysie osobowości poprzez analogię z doświadczeniami bohaterki kryminału, którą sam stworzył.

Gdzie jest granica oddzielająca życie od fikcji?

Marszcząc brwi, Paige powiedziała:

– Audrey Aimes... ach, rozumiem, mówisz o jej zaćmieniach umysłowych.

– O fugach – wyjaśnił.

Fuga była terminem oznaczającym poważne zaburzenia osobowościowe. Ich ofiara cierpiała na głębokie zaburzenia pamięci. Podczas trwania fugi czas stawał w miejscu. Stan ten mógł trwać minuty, godziny czy nawet dni.

Audrey Aimes zaczęła nagle cierpieć na fugę, kiedy skończyła trzydzieści lat. Wyparte przed laty wspomnienie molestowania seksualnego, jakiego doświadczyła w dzieciństwie, zaczęło się ujawniać po dwóch dekadach z górą, a ona podświadomie starała się je stłumić. Była przekonana, że sama zabiła księdza, będąc w stanie fugi, choć naturalnie zamordował go ktoś inny, a potem umieścił zwłoki w jej garderobie. Cała ta dziwaczna zbrodnia miała związek z tym, co się przytrafiło się Audrey, gdy była małą dziewczynką.

Pomimo to, iż potrafił zarabiać na życie tworząc z niczego skomplikowane, fantastyczne historie, Marty miał opinię człowieka emocjonalnie niezmiennego niczym Skała Gibraltarska i równie wyrozumiałego jak złoty retriever po zażyciu valium, co prawdopodobnie tłumaczyło, dlaczego Paige wciąż uśmiechała się do niego i wyraźnie nie miała ochoty brać go poważnie.

Wspięła się na palce, pocałowała go w nos i powiedziała:

– Więc zapomniałeś wyrzucić śmieci, a teraz chcesz mi wmówić, że to z powodu kryzysu osobowości, którego przyczyną jest zapomniane, obrzydliwe molestowanie na tle seksualnym, gdy miałeś sześć lat. Doprawdy, Marty. Wstydzilibyś się. Twój rodzice są najmiłszymi ludźmi, jakich kiedykolwiek spotkałam.

Puścił ją, zamknął oczy i przyłożył dłoń do czoła. Poczł okropny ból głowy.

– Mówię poważnie, Paige. Dziś po południu, w gabinecie... przez siedem minut... i tylko dlatego wiem, co, u diabła, robiłem, bo nagrałem to na taśmie. Nic nie pamiętam. To niesamowite. Siedem niesamowitych minut.

Czuł, jak Paige sztywnieje, gdy uświadamia sobie, że jego zachowanie nie jest żartem. I gdy otworzył oczy, zauważył, że jej figlarny uśmiech zniknął.

– Może istnieje jakieś proste wytłumaczenie – powiedział. – Może nie ma powodu do zmartwienia. Ale boję się, Paige. Czuję się głupio, bo powinienem po prostu wrzucić ramionami i zapomnieć o wszystkim, ale ja się boję.

Chłodny nocny wiatr tak długo owiewa Kansas City, aż niebo zamienia się w nieskończoną tafłę czystego kryształu, w którym zawieszono gwiazdy i poza którą uwieczono rozległe obszary ciemności.

Pod tą nieskończoną czernią wznosi się budynek o nazwie Blue Life Lounge, niczym stacja badawcza na dnie oceanicznego rowu, o specjalnej konstrukcji ciśnieniowej, która zapobiega implozji. Fasadę pokrywa lśniąca aluminiowa powłoka, przypominająca przyczepy samochodowe firmy Airstream i przydrożne zajazdy z lat pięćdziesiątych. Niebieskie i zielone neony układają się w nazwę budynku, wypisaną niestarannym pismem, i okalają budowlę, migocząc na tle aluminium i wabiąc jak lampy Neptuna.

Wewnątrz, gdzie niewielki zespół gra rockowe kawałki z dwóch ostatnich dziesięcioleci, zabójca kieruje się w stronę ogromnego baru w kształcie podkowy, zajmującego środek pomieszczenia. Powietrze jest gęste od dymu papierosowego, oparów piwa i ciepła ludzkich ciał.

Tłum w niczym nie przypomina tego, co pokazuje się w telewizji w Święto Dziękczynienia. Goście przy stolikach to w większości hałaśliwi, młodzi ludzie zbici w grupki, rozpierani nadmierną energią i podniesionym poziomem testosteronu. Krzyczą, by można ich było usłyszeć na tle ogłuszającej muzyki, zaczepiają kelnerki, by przyciągnąć ich uwagę, wydają okrzyki aprobaty, gdy gitarzyście uda się dobrze zagrać jakiś jazzowy kawałek.

Determinacja, z jaką pragną się bawić, ma w sobie coś z nerwowej ruchliwości owadów.

Jedna trzecia mężczyzn przy stolikach zjawiała się tu w towarzystwie młodych żon czy dziewczyn, długowłosych i wyzywająco umalowanych. Są równie hałaśliwe jak mężczyźni i pasują do rodzinnych zgromadzeń wokół ogniska domowego, jak skrzeczące, jasno upierzone papugi do łoża umierającej zakonnicy.

Bar w kształcie podkowy otacza owalną scenę, skapaną w czerwonym i białym świetle reflektorów, na której podrygują w takt muzyki dwie młode dziewczyny o wyjątkowo mocnych ciałach. Mają na sobie kowbojskie skąpe kostiumy – tylko frędzle i świecidełka. Jedna z nich, gwizdząc i krzycząc, zdejmuje stanik.

Mężczyźni siedzący na stołkach barowych są w różnym wieku i, w przeciwieństwie do gości przy stolikach, nie mają towarzystwa. W milczeniu spoglądają w górę na dwie gładkoskóre tancerki. Wielu z nich chwieje się lekko albo kiwa sennie głowami z boku na bok w takt jakiejś innej muzyki, o wiele mniej dynamicznej niż melodie, które gra orkiestra; są jak kolonia morskich anemonów, poruszanych powolnymi, głębinowymi prądami, czekającymi tępo na smakowity kąsek, który być może kiedyś podpłynie.

Siada na jednym z dwóch wolnych stołków i zamawia butelkę ciemnego Becka u barmana, który mógłby miażdżyć orzechy w zgięciach ramion.

Dziewczyna tańcząca na scenie, ta, której piersi podskakują nieskrępowanie, jest atrakcyjną brunetką o uśmiechu jasnym jak tysiącwatowa żarówka. Jest zatopiona w muzyce i zdaje się naprawdę lubić występy.

Druga, długonoga blondynka, jest jeszcze ładniejsza, ale jej ruchy są mechaniczne, a ona sama wydaje się otepiona albo narkotykiem, albo obrzydzeniem. Nie uśmiecha się, nie patrzy na nikogo, wodząc gdzieś nieobecny wzrokiem.

Wydaje się arogancka i pełna pogardy w stosunku do mężczyzn, którzy wlepiają w nią wzrok, nie wyłączając zabójcy. Odczułby ogromną przyjemność, gdyby mógł wyciągnąć pistolet i wpakować kilka

pocisków w jej nadzwyczajne ciało i jeszcze jeden w sam środek jej nadąsanej twarzy.

Wstrząsa nim silny dreszcz na samą myśl o odebraniu tej kobiecie jej piękna. Kradzież piękna podnieca go bardziej niż odebranie jej życia. Życie nie jest dla niego wartością, ale bardzo ceni piękno, ponieważ jego własne życie jest często nieznośnie ponure.

Na szczęście pistolet jest bezpiecznie ukryty w bagażniku wypożyczonego forda. Zostawił broń w samochodzie właśnie dlatego, by uniknąć pokus, które odczuwa, gdy coś skłania go ku przemocy.

Dwa czy trzy razy w ciągu dnia opanowuje go trudna do przewyciężenia agresja, pragnie zabijać – mężczyzn, kobiety, dzieci, wszystko jedno, osoba nie ma żadnego znaczenia. Gdy jest w niewoli owych mrocznych stanów, nienawidzi każdej ludzkiej istoty chodzącej po ziemi bez względu na to, czy jest ładna, czy brzydka, biedna czy bogata, mądra czy głupia, młoda czy stara.

Być może, w jakimś stopniu, jego nienawiść wynika stąd, że różni się od nich. Zawsze jest outsiderem.

Ale nie tylko to „bycie poza” jest przyczyną, dla której często zastanawia się nad popełnieniem zupełnie przypadkowej zbrodni. Potrzebuje od innych ludzi czegoś, czego oni nie chcą mu dać, i właśnie dlatego, że pragną zatrzymać to dla siebie, nienawidzi ich z taką pasją, że jest zdolny do każdego okrucieństwa, choć nie ma pojęcia, co chciałby dostać.

Owo tajemnicze pragnienie jest czasem tak intensywne, że aż bolesne. Przypomina głód, ale nie jest to głód jedzenia. Czasem stwierdza, że znajduje się na kruchej granicy objawienia; uświadamia sobie, że odpowiedź jest zaskakująco prosta, jeśli zechce ją przyjąć, ale nigdy nie doświadcza olśnienia.

Zabójca pociąga spory łyk z butelki Becka. Chce się napić piwa, ale nie pragnie go. Chęć nie jest pragnieniem.

Blondynka tańcząca na podwyższonej scenie zsuwa z siebie stanik, odkrywając blade, sterczące piersi.

Jeśli wyciągnie z bagażnika pistolet i zapasowe magazynki amunicji, to będzie miał dziewięćdziesiąt pocisków. Kiedy arogancka blondynka już umrze, będzie mógł zabić tę drugą. Potem trzech muskularnych barmanów trzema strzałami w tył głowy. Dobrze posługuje się bronią, choć nie pamięta, kto go tego nauczył. Kiedy już zabije tę piątkę, może wycelować w uciekający tłum. Wielu z tych, którzy nie zginą od kul, zostanie stratowanych na śmierć w czasie panicznej ucieczki.

Wizja rzezi podnieca go i wie, że ta krew pozwoli mu zapomnieć, przynajmniej na krótką chwilę, o bolesnym pragnieniu, które go dręczy. Już to sprawdził. Pragnienie podsyca frustrację; frustracja przeradza się w gniew; gniew prowadzi do nienawiści; nienawiść wywołuje przemoc, a przemoc czasem uspokaja.

Pije piwo i zastanawia się, czy jest nienormalny.

Przypomina sobie film, w którym psychiatra zapewnia bohatera, że tylko normalni ludzie kwestionują swoją normalność. Niewątpliwi szaleńcy są zawsze niewzruszenie przekonani o racjonalności swego postępowania. A zatem on musi być normalny, choćby tylko dlatego, że wątpi w samego siebie.

Marty oparł się o framugę drzwi i patrzył, jak dziewczynki siadają po kolei na krzesła przed komódką z lustrem, stojącą w ich sypialni, by Paige mogła wyszczotkować im włosy.

Być może to rytmiczny ruch dłoni Paige albo uspokajająca swojskość sceny złagodziły jego migrenę. Bez względu na powód ból zmniejszył się.

Włosy Charlotte były złote, podobne do włosów matki, a Emily tak ciemnokasztanowe, że aż czarne, jak włosy Marty'ego. Charlotte gawędziła z matką podczas czesania; za to Emily milczała odchylna do tyłu, z przymkniętymi powiekami, jakby doznawała niemal kociej rozkoszy.

Kontrastujące ze sobą połówki wspólnego pokoju świadczyły o jeszcze innych różnicach dzielących siostry. Charlotte lubiła kolorowe plakaty pełne ruchu: jaskrawe balony napełniane gorącym powietrzem na tle pustynnego zmroku; tancerz baletu w wysoku; pędzące gazy. Emily wołała plakaty przedstawiające jesienne liście, drzewa iglaste pokryte śniegiem i oświetlone srebrzystą księżycową poświatą, falę rozbijającą się o błądy piasek plaży. Narzuta na łóżku Charlotte była zielona, czerwona i żółta; łóżko Emily było przykryte kapą z beżowego kordonku. Królestwem Charlotte rządził bałagan, podczas gdy Emily ponad wszystko ceniła porządek.

W części pokoju należącej do Charlotte na wbudowanych w ściany półkach stało terrarium, stanowiące dom dla żółwia Freda, szklany słój o szerokim otworze, gdzie w zeschniętych liściach i trawie mieszkał sobie żuk Bob, klatka, służąca za schronienie dla myszosciszka Snake'a, kolejne terrarium, które zajmował wąż Sheldon, druga klatka, w której mieszkała mysz Whiskers, uważnie obserwując Sheldona zza szkła i drutów, które ich rozdzielały, i ostatnie terrarium, przeznaczone dla kameleona Loretty. Charlotte nie zgadzała się z sugestią, że kociak albo psiak byłby odpowiedniejszym zwierzęciem w domu. Psy i koty są bardzo samodzielne, nie można ich trzymać w jakimś małym, przytulnym domku i ochraniać – wyjaśniła.

Emily miała tylko jednego ulubieńca. Nazywał się Peepers. Był to kamień wielkości małej cytryny, wygładzony przez dziesięciolecia w nurtach wody płynącej przełęczą w górach Sierra Nevada, skąd go wydobyla podczas letnich wakacji poprzedniego roku. Wymalowała na nim pełne wyrazu oczy i z uporem twierdziła: Peepers jest najlepszym zwierzęciem ze wszystkich. Nie muszę go karmić ani po nim sprzątać. Zawsze jest w pobliżu, więc jest naprawdę mądry i sprytny, a kiedy jestem smutna albo może wściekła, to po prostu mówię mu o tym, a on bierze to wszystko na siebie i martwi się za mnie, więc nie muszę już o tym myśleć i znów mogę być szczęśliwa.

Emily potrafiła wyrażać myśli, które z pozoru były całkiem dziecinne, ale, po chwili zastanowienia, okazywało się, że są głębsze i dojrzałe niż wszystko, czego można się było spodziewać po siedmiolatce. Czasami, patrząc w jej ciemne oczy, Marty czuł, że jest rozwinięta ponad swój wiek, i nie mógł się już doczekać, kiedy się wreszcie przekona, jak interesująca i złożona będzie osobowość jego córki, gdy dziewczynka dorośnie.

Potem dzieci weszły do dwóch identycznych łóżek, matka otuliła je, pocałowała i życzyła słodkich snów.

– Nie pozwól, by pogryzły cię pluskwy – ostrzegła Emily, ponieważ ta uwaga zawsze wywoływała chichot.

Gdy Paige zmierzała w stronę drzwi, Marty wziął krzesło, które zwykle stało pod ścianą i ustawił je w nogach łóżek, a dokładniej między łóżkami. Zgasił wszystkie światła, z wyjątkiem miniaturowej lampki na baterię, przyczepionej do otwartego notatnika, i słabej latarenki w kształcie Myszki Mickey,

podłączonej do kontaktu w ścianie, tuż nad podłogą. Usiadł na krześle, trzymając przed oczami notatnik, i czekał, aż cisza zabarwi się owym przyjemnym nastrojem oczekiwania, który wypełnia teatr w chwili, gdy kurtyna zaczyna unosić się w górę.

Wszystko było przygotowane.

Była to najprzyjemniejsza chwila w ciągu całego dnia. Bez względu na to, co miało się wydarzyć po wstaniu z łóżka i przywitaniu poranka, zawsze z niecierpliwością czekał na czas opowieści.

Spisywał je sam w notesie, który podpisał „Opowiadania dla Charlotte i Emily”, i mógł je naprawdę opublikować któregoś dnia. Albo i nie. Każde jego słowo było podarunkiem dla córek, więc decyzja, czy podzielić się opowiadaniem z kimś obcym, należała całkowicie do dziewczynek.

Ten wieczór inaugurował coś specjalnego, opowieść wierszem, którą chciał kontynuować aż do Bożego Narodzenia. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, może uda mu się zapamiętać o niepokojących wydarzeniach w gabinecie.

*Cóż, minęło Dziękczynienia Święto
tak dużo indyka pochłonięto...*

– To się rymuje! – wykrzyknęła z radością Charlotte.

– Szszszsz! – upomniała siostrę Emily.

Podczas spektaklu obowiązywały nienaruszalne zasady, a jedna z nich stanowiła, że dwuosobowa publiczność nie ma prawa przerywać w środku zdania albo, w przypadku wiersza, między zwrotkami. Odezwy dziewczynek były mile widziane, ich reakcje przyjmowane z radością, ale opowiadający zasługiwał na należyty mu szacunek.

Zaczął jeszcze raz:

*Cóż, minęło Dziękczynienia Święto,
tak dużo indyka pochłonięto,
nadzieniem nadziani i patatami,
w usta wpychane obiema rękami,
surówki tony, biskwitów kopy,
zbyt grubi jesteśmy, by obuć stopy.*

Dziewczynki chichotały w odpowiednich momentach i Marty z trudem się powstrzymywał, by nie spojrzeć na Paige i sprawdzić, czy jej też się podoba. Ale nikt nie zainteresowałby się gawędziarzem, który nie może doczekać się końca swej opowieści, tylko po to, by usłyszeć pochwały; niezbędnym warunkiem powodzenia było nieodparte wrażenie pewności siebie – udawanej czy autentycznej, nieważne.

*Więc wypatrujemy święta wielkiego,
które się zbliża do domu naszego.
O jakim dniu mówię, wiecie, dziewczuszki.
To nie Wielkanoc ani Zaduszki.
Nie ma w nań smutku i zobojętnienia.
Pytam was, damy, cóż to za dzień jest...?*

– Dzień Bożego Narodzenia! – wykrzyknęły jednocześnie Charlotte i Emily, a ich natychmiastowa odpowiedź przekonała go, że są pod urokiem opowieści.

*Drzewko ustawmy tutaj czym prędzej.
Dlaczego jedno? Niech będzie ich więcej!
Niech zalsnią lametą i błyskotkami.
To będzie widok nad widokami.
Zawieśmy lampki na dachu koronie,
oby nie pękły, kopytem trafione.
Posólmy lód na dachówkach snadnie.
Jak święty w dół zleci, nie będzie ładnie.
Mógłby kość złamać lub ranę odnieść,
czy nawet swą wielką pupę rozgnieść.*

Zerknął na dziewczynki. Zdawało się, że ich twarze świecą w mroku. Prosiły w milczeniu: nie przerywaj, nie przerywaj!

Boże, kochał to. Kochał je.
Jeśli istniało niebo, to wyglądało dokładnie jak ta chwila, jak to miejsce.
*Lecz chwilę! Cóż to za straszne wieści.
Czy Gwiazdkę popsują ich smutne treści?
Świętego ktoś uśpił, związał, zakneblował,
Oczy przewiązał, uszy zatkał i w torbę schował.
Sanie czekają, gdzieś porzucone,
Karty bankowe już ukradzione.
Wkrótce do konta ktoś się dobierze
i przez bankomat pieniądze wybierze.*

– Oho – stwierdziła Charlotte, zakrywając się kołdrą – to będzie straszne.
– Oczywiście – powiedziała Emily – tata to napisał.
– Czy będzie zbyt straszne? – spytała Charlotte, podciągając kołdrę pod samą brodę.
– Masz na nogach skarpetki? – spytał Marty.
Charlotte zazwyczaj wkładała skarpetki idąc do łóżka, ponieważ marzły jej stopy.
– Skarpetki? – spytała. – A dlaczego pytasz?

Marty wychylił się na krześle do przodu i zniżył głos do upiornego szeptu: – Bo ta historia nie skończy się przed dniem Bożego Narodzenia, a do tego czasu skarpetki opadną ci ze strachu może i z tuzin razy.

Zrobił łajdacką minę.
Charlotte podciągnęła kołdrę pod sam nos.
Emily zachichotała i zażądała:
– Opowiadaj, tato, co będzie dalej?

*Czy słyszycie, dzwonki u sań brzęczą
i echem po wzgórzach i dolinach dźwięczą.
Patrzcie, renifery w górze, lotem uniesione!
Przez gęś jakąś fruwać nauczone.
Powożący rzy chichotem jak ten świr
jak szaleniec, wariat, łobuz czy też zbir.
Coś nie tak, każdy głupiec o tym wie.
Jeśli to Mikołaj, to z nim bardzo źle.
Rży, chichoce i czka, cały ośliniony,
zda się atak wstrząsa nim szalony.
Podłe oczka świecą jak cekiny.
Niech ktoś lepiej szybko wezwie gliny.
Że to wariat, każdy stwierdzi.
I, o Boże, z ust mu śmierdzi!*

– O rany – powiedziała Charlotte, podciągając kołdrę pod same oczy. Twierdziła, że nie lubi opowieści z dreszczykiem, ale pierwsza narzekwała, gdy długo nie działało się nic przerażającego.

– Więc kto to jest? – spytała Emily. – Kto związał świętego Mikołaja, obrabował go i odjechał jego saniami?

*Niechaj każdy w Gwiazdkę czujność zachowuje,
coś nowego i straszego się szykuje.
Brat bliźniaczy Mikołaja, bestia podła, zła
ukradł sanie i już tutaj gna,
i udaje jego brata wspaniałego.
Matko, pilnuj dziecka kochanego!
W dół kominem, by nawiedzić dom,
już się zsuwa ten szalony gnom!*

– Uhuu! – krzyknęła Charlotte i zakryła głowę kołdrą.

– Dlaczego bliźniak świętego Mikołaja jest taki zły? – spytała Emily.

– Może miał nieszczęśliwe dzieciństwo – powiedział Marty.

– Może taki się urodził? – odezwała się spod kołdry Charlotte.

– Czy ludzie mogą rodzić się źli? – zastanawiała się Emily. Następnie sama sobie odpowiedziała, zanim Marty zdążył się odezwać. – No cóż, pewnie, że mogą. Skoro niektórzy rodzą się dobrzy, jak ty i mama, to niektórzy muszą rodzić się źli.

Marty chłonał reakcje dziewczynek całą duszą, po prostu to uwielbiał. Jako pisarz gromadził w pamięci wykrzykiwane przez nie słowa, rytm ich mowy, wyrażenia, na wypadek, gdyby chciał wykorzystać to pewnego dnia w którejś ze scen swojej książki. Czuł się trochę nieswojo, traktując własne dzieci jako źródło literackiego materiału; mogło się to wydawać moralnie wątpliwe, ale nie potrafił się zmienić. Miał taki, a nie inny zawód. Ale był również ojcem i reagował przede wszystkim właśnie jako kochający ojciec, zachowując w sobie urok tych chwil, ponieważ któregoś dnia wspomnienia będą wszystkim, co pozostanie z dzieciństwa jego córek. Chciał pamiętać wszystko – dobre i złe, chwile

zwyczajne i wielkie wydarzenia, w technikolorze i systemie dolby, z perfekcyjną wyrazistością, ponieważ wszystko to było dla niego zbyt cenne, by mogło gdzieś umknąć.

– Czy brat bliźniak Mikołaja ma jakieś imię? – spytała Emily.

– Tak – powiedział Marty – ma, ale będziecie musiały poczekać do następnego wieczoru. Właśnie nadszedł czas na pierwszą przerwę w naszej opowieści.

Charlotte wysunęła głowę spod kołdry. Dziewczynki jak zwykle nalegały, by jeszcze raz przeczytał pierwszą część poematu. Nawet przy drugim czytaniu byłyby zbyt zainteresowane, by mogły zasnąć. Następnie zażądają trzeciego czytania, a on przychylił się do ich prośby. Wiedział, że to jedyny sposób, by spokojnie zasnąć.

Kiedy znów rozpoczynał pierwszą linijkę wiersza, usłyszał, jak Paige odwraca się i zmierza w kierunku schodów. Będzie czekała na niego w salonie, może przy ogniu trzaskającym w kominku, czerwonym winie i jakiejś przekąsce, i przytulą się do siebie i będą sobie opowiadać nawzajem o minionym dniu.

Te pięć minut każdego wieczoru, teraźniejszego czy późniejszego, było dla niego bardziej interesujące niż podróż dookoła świata. Był beznadziejnym domatorem. Uroki domowego ogniska i rodzinnego życia działały na niego silniej niż enigmatyczne piaski Egiptu, blask Paryża i tajemnice Dalekiego Wschodu razem wzięte.

Mrugnął do córek i znów zaczął: „Cóż, minęło Dziękczynienia Święto”. I wtedy zapomniał na chwilę, że wcześniej, w gabinecie, wydarzyło się coś niepokojącego, coś co naruszyło świętość jego domu.

W Blue Life Lounge jakaś kobieta ociera się o zabójcę i siada obok niego na stołku barowym. Nie jest tak piękna jak tancerki, ale jak dla niego dostatecznie atrakcyjna. W tych swoich jasnobrązowych dżinsach i obcisłym czerwonym podkoszulku mogłaby uchodzić za jeszcze jednego gościa, ale nim nie jest. On zna ten typ – Wenus dla ubogich, która potrafi liczyć jak urodzony księgowy.

Rozmawiają. Pochylają się ku sobie, by móc się lepiej słyszeć na tle głośnej muzyki, i po chwili ich głowy niemal stykają się ze sobą. Ma na imię Heather albo tylko tak mówi. Jej oddech pachnie miętą.

Zanim tancerki wycofają się ze sceny, a orkiestra robi sobie przerwę, Heather już wie, że poznany mężczyzna nie jest gliną z obyczajówki w cywilu, więc nabiera śmiałości. Wie także, czego on chce, ma to, czego on chce, i daje mu do zrozumienia, że to on jest klientem na tym bardzo wąskim i drogim rynku.

Heather mówi mu, że po drugiej stronie autostrady, naprzeciwko Blue Life Lounge, jest motel, gdzie można wynajmować pokoje na godziny, jeśli szef zna dziewczynę. Jej słowa nie dziwią go. Rozumie, że istnieją prawa żądzy i ekonomii równie niezmiennie jak prawa natury.

Ona wkłada swoją kurtkę na jagnięcym kozuszkę i razem wychodzą w chłodną noc. Po chwili jej miętowy oddech zamienia się na rześkim powietrzu w parę. Przecinają parking, a potem szosę, trzymając się za ręce jak zakochana para ze szkoły średniej.

Ona wie, czego on chce, nie wie jednak, czego on naprawdę pragnie. Kiedy on już dostanie to, czego chce, i kiedy nie ugasi to gorącego pragnienia, które go pali, Heather pozna prawdę o nim – powtarzający się schemat: pragnienie podsycą frustrację; frustracja przeradza się w gniew; gniew prowadzi do nienawiści; nienawiść wywołuje przemoc, a przemoc czasem uspokaja.

Niebo jest zwartą taflą lodu o krystalicznej czystości. Drzewa trwają, bezlistne i suche, przeżywając koniec jałowego listopada. Wiatr śpiewa zimną, pogrzebową pieśń. A przemoc czasem uspokaja.

Później, po wyżyciu się na Heather więcej niż jeden raz, nie czując już dręczącego uścisku żądzy, stwierdza, że brzydota pokoju hotelowego przypomina mu nieznośnie płytką, brudną i nędzną istotę jego własnej egzystencji. Zaspokoił nagle pożądanie, ale nie uspokoił pragnienia bogatszego życia. Jego pragnienie celowości i sensu jest wciąż takie samo.

Naga, młoda kobieta, na której wciąż leży, wydaje się teraz brzydka, nawet odrażająca. Wspomnienie cielesnego zbliżenia napawa go wstrętem. Ona nie może, czy też nie chce dać mu tego, czego on pragnie. Żyjąc na peryferiach społeczeństwa, sprzedając swe ciało, sama jest wyrzutkiem, a tym samym bolesnym symbolem jego własnej samotności.

Jest zdumiona, gdy uderza ją w twarz. Cios jest dostatecznie mocny, by ją ogłuszyć. Gdy Heather wiotczeje, prawie nieprzytomna, zaciska dłonie na jej gardle i dusi z całej siły, jaką może z siebie wykrzesać.

Walczą w ciszy. Cios, którego efektem był gwałtowny ucisk na tchawicę i ograniczenie dopływu krwi do mózgu, doprowadzanej arteriami szyjnymi, sprawia, że kobieta jest niezdolna do jakiegokolwiek oporu.

Martwi się, że ktoś może usłyszeć. Cisza jest dla niego ważna. Bezgłośna zbrodnia staje się bardziej osobista, bardziej intymna i daje głębszą satysfakcję.

Tak cicho ulega, że przychodzi mu to na myśl filmy przyrodnicze o pająkach i modliszkach zabijających swoich partnerów natychmiast po pierwszym i zarazem ostatnim akcie miłosnym. Żadne nie wydaje najmniejszego dźwięku – ani zabójca, ani ofiara. Śmierć Heather jest chłodnym i uroczystym

rytuałem, podobnym tamtemu wystylizowanemu barbarzyństwu owadów.

Parę minut później, po wzięciu prysznic i ubraniu się, przechodzi przez szosę oddzielającą motel od Blue Life Lounge i wsiada do swego wypożyczonego wozu. Ma interesy do załatwienia. Nie zjawił się w Kansas City, by zamordować dziwkę o imieniu Heather. Była po prostu małym odstępstwem od ustalonego planu. Czeka ją na niego inni, a on jest teraz dostatecznie rozluźniony i skupiony, by się nimi zająć.

Paige stała obok biurka, w gabinecie Marty'ego, w wielobarwnym świetle lampy o szklanym kloszu, wpatrując się w mały magnetofon i słuchając, jak jej mąż powtarza niczym refren jedno niepokojące słowo, głosem przechodzącym od melancholijnego szeptu do głuchego pomruku wściekłości.

Po niecałych dwóch minutach nie mogła dłużej tego słuchać. Jego głos był na przemian znajomy i obcy, co wydawało się znacznie gorsze, niż gdyby w ogóle nie mogła go rozpoznać.

Wyłączyła magnetofon.

Uświadamiając sobie, że wciąż trzyma w prawej dłoni szklankę czerwonego wina, wypila dwa duże łyki. Był to dobry kalifornijski cabernet, który zasługiwał na to, by sączyć go leniwie, ale Paige była bardziej zainteresowana efektem, jaki odniesie trunk, niż jego smakiem.

Marty, który stał po drugiej stronie biurka, powiedział:

– To trwa jeszcze pięć minut. Razem siedem. Kiedy to już się stało, zanim wróciłaś z dziewczynkami, przejrzałem pewne materiały. – Wskazał na półki z książkami, ustawionymi wzdłuż jednej ze ścian. W moich podręcznikach medycznych.

Paige nie chciała usłyszeć, co zamierzał jej powiedzieć. Prawdopodobieństwo poważnej choroby nie mieściło jej się w głowie. Gdyby Marty'emu coś się stało, świat byłby o wiele ciemniejszy i znacznie mniej interesujący niż dotąd.

Nie była pewna, czy potrafiłaby się pogodzić z jego utratą. A doświadczenie zawodowe nie będzie mogło jej pomóc. Paige była psychologiem dziecięcym i podczas wielogodzinnych terapii grupowych doradzała dzieciom, jak zwalczyć żal po śmierci ukochanej osoby i nauczyć się żyć na nowo.

Marty zbliżył się do niej z pustą już szklanką w ręku.

– Fuga może być symptomem kilku schorzeń. Na przykład choroby Alzheimera we wczesnej fazie, ale myślę, że możemy to wykluczyć. Gdybym zachorował na Alzheimera w wieku trzydziestu trzech lat, to prawdopodobnie byłbym najmłodszym przypadkiem w ciągu ostatniej dekady.

Postawił szklankę na biurku i podszedł do okna, by wlepić wzrok w ciemność między listwami żaluzji.

Paige była poruszona, widząc go tak bardzo bezbronnym. Mierzył sześć stóp wzrostu, ważył sto osiemdziesiąt funtów, był pełen entuzjazmu, energii i woli życia. Marty zawsze robił na niej wrażenie mocniejszego i trwalszego niż cokolwiek w świecie, nie wyłączając gór i oceanów. Teraz wydawał się równie kruchy jak szklana szyba.

Stojąc do niej plecami, wciąż wpatrzony w noc, powiedział:

– Może lekki wylew.

– Nie.

– Choć z tego, co przeczytałem, wynika, że najbardziej prawdopodobną przyczyną jest guz mózgu.

Podniosła swoją szklankę. Była pusta. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ją opróżniła. Jej osobista, mała fuga.

Postawiła szklankę na biurku. Obok znienawidzonego magnetofonu. Potem podeszła do Marty'ego i położyła mu dłoń na ramieniu.

Kiedy się odwrócił, pocałowała go lekko, pospiesznie. Oparła głowę na jego piersi i objęła go, a on otoczył ją ramieniem. Nauczyła się, dzięki Marty'emu, że obejmowanie się jest w życiu równie ważne jak jedzenie, woda i sen.

Wcześniej, gdy przyłapała go na systematycznym sprawdzaniu zamkniętych okien, nalegała,

krzywiąc się i wymawiając tylko jedno słowo – no? żeby niczego przed nią nie ukrywał. Teraz żałowała.

Podniosła głowę, wciąż go obejmując, i gdy wreszcie napotkała jego wzrok, powiedziała:

– Może nic ci nie jest.

– Jednak to musi coś być.

– To znaczy, nic fizycznego.

Uśmiechnął się ponuro. Dobrze mieć psychologa w domu.

– No cóż, to może być problem psychiczny.

– Nie wiem dlaczego, ale to mnie nie pociesza. Wolałbym nie być obłąkany.

– Nie obłąkany. Zestresowany.

– Ach tak, stres. Ta wymówka dwudziestego wieku, faworyt leni wypełniających fałszywe podania o rentę, polityków próbujących wyjaśnić, co robili pijani w motelu z nagimi, niepełnoletnimi dziewczynami...

Odwróciła się zagniewana. Nie była zła na Marty'ego, ale na Boga, los czy jakkolwiek moc, która niespodziewanie wniosła w łagodny strumień ich życia jakieś złowieszcze wiry.

Ruszyła w stronę biurka po swoją szklankę wina, zanim sobie przypomniała, że już je wypła. Znowu odwróciła się do Marty'ego.

– W porządku... z wyjątkiem okresu, kiedy Charlotte była chora, zawsze dusiłeś w sobie wszystko, jak w skorupie. Ale może po prostu jesteś tajemniczy. Poza tym ostatnio żyjesz w napięciu.

– Naprawdę? – spytał, unosząc brwi.

– Termin oddania książki jest krótszy niż zazwyczaj.

– Ale wciąż mam trzy miesiące, a myślę, że wystarczy jeden.

– No i te ich oczekiwania. Twój wydawca, twój agent, w ogóle wszyscy w tym biznesie patrzą teraz na ciebie zupełnie inaczej.

Dwie ostatnie powieści w miękkich okładkach znalazły się na liście bestsellerów *New York Times'a*, każda przez osiem tygodni. Nie mógł się jeszcze poszczycić bestsellerem w twardej oprawie, ale wszystko wskazywało na to, że odniesie ten sukces już wkrótce, wraz z ukazaniem się nowej powieści.

Nagły wzrost sprzedaży książek był podniecający, ale również deprymujący. Choć Marty pragnął mieć szerokie grono czytelników, był również zdecydowany nie zmieniać stylu tylko po to, by zaspokoić ich oczekiwania. Wiedział jednak, że istnieje niebezpieczeństwo, iż sam nieświadomie zacznie modyfikować swoją twórczość, więc ostatnio był dla siebie wyjątkowo twardy, choć zawsze był swoim najsurowszym krytykiem i zawsze poprawiał każdą stronę powieści nawet dwadzieścia czy trzydzieści razy.

– No i jeszcze magazyn *People* – dodała.

– Nie ma mowy o żadnym stresie. To sprawa zamknięta.

Dziennikarz z *People* zjawił się w ich domu kilka tygodni wcześniej, a dwa dni po nim fotograf na dziesięciogodzinną sesję zdjęciową. Marty jak to Marty, polubił ich, a oni polubili jego, choć z początku desperacko opierał się usilnym prośbom wydawcy, który namawiał go na wywiad dla magazynu.

Biorąc pod uwagę przyjacielskie stosunki z ludźmi z *People*, nie miał powodu sądzić, że artykuł będzie niepoehlebny, ale nawet życzliwa *publicity* nie była tym, czego Marty potrzebował. Ważne dla niego były książki, a nie ich autor, i nie chciał być, jak to określił, „Madonną powieści kryminalnych, pozującą nago w bibliotece, z węzem w zębach, tylko po to, żeby zwiększyć sprzedaż”.

– Ta sprawa nie jest wcale zamknięta – zaprotestowała Paige. Numer z artykułem o Martym miał się ukazać najwcześniej w poniedziałek. – Wiem, że się tego boisz.

Westchnął.

– Nie chcę być...

– Madonną z wężem w zębach. Wiem, kochanie. Chodzi mi o to, że jesteś w związku z tym bardziej zestresowany, niż sobie to uświadamiasz.

– Wystarczająco zestresowany, żeby ulec umysłowemu zaćmieniu na siedem minut?

– Oczywiście. Co w tym dziwnego? Mogę się założyć, że tak właśnie powiedzą lekarze.

Marty wyglądał na nie przekonanego.

Paige znów przytuliła się do niego.

– Ostatnio wszystko tak nam dobrze szło, prawie za dobrze, i dlatego się obawiasz. Ale pracowaliśmy ciężko, zasłużyliśmy na to wszystko. Nie stanie się nic złego. Słyszysz?

– Słyszę – powiedział, przyciągając ją bliżej.

– Nie stanie się nic złego – powtórzyła. – Nic złego.

Po północy.

Okolica jest pełna rozległych posesji, a duże domy stoją daleko od ulicy. Ogromne drzewa, tak stare, iż zdają się niemal obdarzone inteligencją, stoją jak wartownicy wzdłuż ulic, sprawując pieczę nad majątymi rezydencjami. Ich nagie czarne gałęzie są nastroszone niczym wyrafinowane technicznie anteny, wyłapujące informacje o zagrożeniu mogącym zakłócić dobrobyt tych, którzy śpią za ścianami z cegły i kamienia.

Zabójca parkuje za rogiem domu, w którym czeka na niego praca. Resztę drogi pokonuje pieszo. Nuci cichutko melodię własnej kompozycji, zachowując się tak, jakby przemierzał ten chodnik już z dziesięć tysięcy razy.

Pośpiech zawsze rzuca się w oczy i dlatego nieuchronnie wywołuje alarm. Natomiast ktoś opanowany i śmiały uchodzi za uczciwego i nieszkodliwego, nie przyciąga uwagi, a po jakimś czasie w ogóle się o nim zapomina.

Chłodna, północno-zachodnia bryza.

Bezchmurne niebo.

Podejrzliwy puchacz powtarza monotonicznie swoje pojedyncze pytanie.

Dom wzniesiono w stylu angielskim, z cegły, z białymi kolumnami. Posesję otacza ogrodzenie z żelaznych prętów, zakończonych jak włócznia.

Brama, za którą znajduje się podjazd, i która, jak się okazuje, nie była zamykana od lat, stoi otworem. Spokojne życie w Kansas City każe szybko zapomnieć o urojonych obawach.

Niczym właściciel tej posiadłości podąża wzdłuż kolistego podjazdu w stronę portyku przy głównym wejściu, wspina się na schody i zatrzymuje przy drzwiach frontowych. Odpina zamek błyskawiczny małej kieszonki na piersi swojej skórzanej kurtki. Z kieszeni wyciąga klucz.

Nie zdawał sobie sprawy, że ma go przy sobie, aż do tej chwili. Nie wie, kto mu go dał, ale z miejsca domyśla się jego przeznaczenia. Doświadczał już tego wcześniej.

Klucz pasuje do zamka.

Otwiera drzwi prowadzące do ciemnego foyer, przestępuje próg, wchodzi do ciepłego domu i wyciąga klucz z zamka. Cicho zamyka za sobą drzwi.

Chowa klucz. Odwraca się w stronę oświetlonej konsoly obsługującej system alarmowy, która znajduje się obok drzwi. Ma teraz sześćdziesiąt sekund na wystukanie właściwego kodu wyłączającego alarm; w przeciwnym razie zostanie powiadomiona policja. Przypomina sobie w odpowiedniej chwili sześciocyfrową kombinację i wystukuje ją na konsolecie.

Wyciąga z kurtki kolejny przedmiot, tym razem z głębokiej wewnętrznej kieszeni: parę małych gogli noktowizyjnych, takich, które produkuje się dla wojska i których nie mogą nabyć osoby prywatne. Zwiększają natężenie przyćmionego światła około dziesięciu tysięcy razy, dzięki czemu może poruszać się po ciemnych pokojach z taką pewnością, jakby paliły się wszystkie lampy.

Wspinając się po schodach wydobywa z dużej kabury pod pachą P7 heckler & koch. Powiększony magazynek zawiera osiemnaście pocisków.

Tłumik tkwi w małym rękawie przy kaburze. Wyciąga go i cicho przykręca do lufy pistoletu. Będzie mógł oddać od ośmiu do dwunastu względnie cichych strzałów, ale potem jakoś broni się pogorszy.

Osiem strzałów powinno wystarczyć aż nadto.

Dom jest duży i z holu w kształcie litery T, znajdującego się na piętrze, można wejść do dziesięciu

pokoju, ale on nie musi szukać swych ofiar. Zna rozkład domu równie dobrze jak plan miasta.

Wszystko widziane przez gogle ma zielonkawy odcień, a białe przedmioty zdają się promieniować widmowym, wewnętrznym światłem. Czuje się jak nieustraszony bohater filmu sf wkraczający w inny wymiar lub w świat alternatywny, identyczny z naszym, z wyjątkiem kilku istotnych spraw.

Bez trudu otwiera drzwi od głównej sypialni, wchodzi. Zbliża się do królewskiego łóża o bogato rzeźbionym angielskim wezgielciu.

Dwoje ludzi śpi pod świecącymi zielonymi kocami – mężczyzna i kobieta po czterdziestce. Mąż leży na plecach, chrapiąc. Jego twarz łatwo zidentyfikować. To główna ofiara. Żona leży na boku, z głową częściowo wtuloną w poduszkę, ale zabójca widzi dostatecznie dużo, by się upewnić, że kobieta jest celem numer dwa.

Przystawia lufę P7 do gardła męża.

Dotyk zimnej stali budzi mężczyznę, a jego oczy otwierają się raptownie jak oczy lalki o ruchomych powiekach.

Zabójca pociąga za spust, masakrując gardło mężczyzny, po czym unosi lufę i wystrzela dwa pociski w jego twarz, z bliska. Trzask broni jest podobny do cichego dźwięku, jaki wydaje kobra, strzykając jadem.

Obchodzi łóżko, poruszając się bezgłośnie na pluszowym dywanie.

Dwie kule wystrzelone w odsłoniętą skroń kobiety dopełniają reszty, a ofiara w ogóle się nie budzi.

Stoi jakiś czas przy łóżku, czerpiąc radość z delikatności owej chwili, nieporównywalnej z niczym innym. Obecność przy śmierci oznacza, wspólne przeżywanie jednego z najbardziej intymnych doświadczeń, dostępnych tylko wybranym. W końcu nikt oprócz drogich członków rodziny i ukochanych przyjaciół nie jest mile widziany przy łożu śmierci, jako świadek ostatniego tchnienia umierającego. A zatem zabójca jest w stanie wznieść się ponad swą szarą i żalną egzystencję tylko w akcie egzekucji, właśnie wtedy bowiem przypada mu zaszczyt udziału w tym najgłębszym, najbardziej uroczystym doświadczeniu. Ważniejszym i znaczącym niż narodziny. W tych cennych, magicznych chwilach, gdy jego ofiary umierają, on nawiązuje stosunki, utrwała znaczące więzi z innymi istotami ludzkimi, związki, które na krótko oddalają poczucie osamotnienia i sprawiają, że czuje się włączony do wspólnoty, potrzebny, kochany.

Chociaż jego ofiary są zawsze dla niego kimś obcym, a w tym przypadku nie zna nawet ich imion, przeżycie jest zawsze tak silne, że jego oczy napęcznieją się łzami. Lecz dzisiejszego wieczoru panuje nad sobą całkowicie.

Niechętny przerwaniu owej krótkotrwałej więzi, kładzie delikatnie dłoń na lewym policzku kobiety, czystym i wciąż przyjemnie ciepłym. Ponownie obchodzi łóżko i ścisną lekko ramię mężczyzny, jakby mówił: *Do widzenia, stary przyjacielu, do widzenia.*

Zastanawia się, kim byli. I dlaczego musieli umrzeć.

Do widzenia.

Schodzi na dół. Przemierza widmowo zielony dom, pełen zielonych cieni i promieniujących, zielonych kształtów. Zatrzymuje się w foyer, żeby zdjąć z broni tłumik i schować wszystko w kaburze.

Z niechęcią zdejmuje gogle. Pozbawiony tych szkieł przenosi się z tego magicznego, alternatywnego świata, gdzie przez krótką chwilę nie był sam, do świata, do którego tak bardzo pragnie należeć, ale w którym na zawsze pozostanie obcy.

Wychodząc z domu zatrząskuje drzwiami, ale nie trzyma się, by zamknąć je na klucz. Nie wyciera mosiężnej gałki, ponieważ nie troszczy się o odciski palców.

Chłodna bryza szumi i świszczę wewnątrz portyku.

Szurając i szeleszcząc jak węże, kruche, martwe liście suną falami po podjeździe.

Stojące na warcie drzewa pograżyły się we śnie. Zabójca wyczuwa, że nikt nie obserwuje go z pustych, czarnych okien po drugiej stronie ulicy. Umilkł nawet pytający głos puszczyka.

Wciąż poruszony tym, czego doświadczył, nie nuci już bezsensownej melodyjki, wracając do samochodu.

Zanim dociera do motelu, w którym mieszka, jeszcze raz odczuwa ciężar przygnębiającej dręczącej alienacji. Wyobcowany. Odrącony. Samotny człowiek.

Już w pokoju zdejmuje szelki z kaburą i kładzie na nocnym stoliku. Pistolet wciąż tkwi w uścisku tego wyłożonego nylonem futerału. Wpatruje się przez chwilę w broń.

W łazience wyjmuje z saszetki z przyborami do golenia nożyczki, opuszcza klapę sedesu, siada w ostrym, fluorescencyjnym blasku lampy i starannie niszczy dwie fałszywe karty kredytowe, z których dotychczas korzystał, wykonując swoje zadanie. Rano wyleci samolotem z Kansas City. Będzie już kimś innym. A w drodze na lotnisko rozrzuci maleńkie fragmenty kart na przestrzeni kilku mil szosy.

Wraca do pokoju, podchodzi do nocnego stolika.

Wpatruje się w pistolet.

Wie, że powinien był rozbić broń na kawałki. Powinien był pozbyć się każdej części w oddalonych od siebie miejscach: lufę wrzucić do jakiejś rynny, połowę obudowy do jakiegoś strumyka, drugą połowę do śmietnika... pozbędzie się wszystkiego. To standardowa procedura i nie może zrozumieć, dlaczego tym razem tego zaniedbał.

Czuje się trochę winny. Ale nie pozbędzie się broni. Oprócz winy czuje... ducha buntu.

Rozbiera się i kładzie. Gasi nocną lampkę i wpatruje się w sufit pokryty nakładającymi się na siebie cieniami.

Nie chce mu się spać. Jego umysł jest niespokojny, a myśli przeskakują z tematu na temat z przerażającą szybkością. Podniecenie umysłowe wkrótce przeradza się w fizyczny niepokój. Wierci się, poprawia prześcieradło, koc, poduszki.

Z zewnątrz, od strony trasy międzystanowej, dobiega szum ogromnych ciężarówek toczących się bez końca ku odległym celom podróży. Śpiew opon, pomruk silników i świst powietrza poruszanego ich pędem tworzą blade muzyczne tło, które zazwyczaj przynosi ukojenie. Często kołysała go do snu ta cygańska muzyka otwartej drogi.

Dzisiejszego wieczoru dzieje się coś dziwnego. Z powodów, których nie rozumie, ta znajoma mozaika dźwięków nie jest kołysanką, ale syrenim śpiewem. Przyzywa go, a on już nie może mu się oprzeć.

Wstaje z łóżka i idzie przez ciemny pokój w stronę jedyne okna. Roztacza się przed nim ponury, nocny widok na zachwaszczone zbocze, nad nim płat nieba jak połówki abstrakcyjnego obrazu. Na szczycie wzniesienia, oddzielając niebo od ziemi, biegną masywne słupki drogowej balustrady, migocząc w świetle reflektorów przejeżdżających samochodów.

Patrzy w górę. Wytęża wzrok, by dostrzec zmierzające na zachód pojazdy.

Kantata szosy, zazwyczaj melancholijna, teraz go nęci, wzywa, obiecuje... Pragnie poznać jej tajemnicę.

Ubiera się i pakuje rzeczy.

Parking i chodniki przy motelu są opustoszałe. Samochody, zwrócone maskami do pokoi, czekają na poranną podróż. Z pobliskiej niszy, w której stoją automaty, dobiega stukot maszyny z napojami, jakby

automat próbował sam siebie naprawić. Zabójca ma wrażenie, że jest jedyną żywą istotą w świecie maszyn.

W chwilę później jest już na trasie międzystanowej 70, zmierzając w stronę Topeki, z pistoletem na siedzeniu obok, zasłoniętym ręcznikiem zabranym z motelu.

Coś, co znajduje się gdzieś na zachód od Kansas, wzywa go. Nie wie, co to jest, ale czuje, że to coś przyciąga go w tamtą stronę, jak żelazo przyciąga magnes.

Choć wydaje się to dziwne, jest wciąż spokojny, nic nie budzi jego podejrzeń. W końcu, jak tylko sięga pamięcią, jeździł w różne miejsca nie znając celu podróży, dopóki nie dotarł, gdzie trzeba, i zabijał ludzi nie mając pojęcia, dlaczego mają umrzeć ani kto zlecił zabójstwo.

Jest jednak pewien, że jego nagły wyjazd z Kansas City jest czymś, czego po nim nie oczekiwano. Miał zostać w motelu do rana i złapać wczesny samolot do... Seattle.

Może w Seattle otrzymałby instrukcje od szefów, których twarzy nie może sobie przypomnieć. Lecz nigdy się nie dowie, co miałyby się tam stać, ponieważ nie pojedzie do Seattle.

Zastanawia się, ile czasu upłynie, zanim jego zwierzchnicy – jakkolwiek się nazywają i kimkolwiek są – zorientują się, że stał się renegatem. Kiedy zaczną go szukać i jak go w ogóle znajdą, jeśli nie działa według planu?

Ruch na międzystanowej 70 jest niewielki o drugiej, widać głównie ciężarówki, i zabójca pędzi przez Kansas wyprzedzając wielkie pojazdy i zanurzając się w gwałtownych podmuchach samochodów, które jadą w przeciwną stronę. Przypomina sobie film o Dorotce, jej psie Toto i tornado, które porwało ich z tej płaskiej, żyznej ziemi i porzuciło w odległym i dziwnym miejscu.

Kiedy ma już za sobą Kansas City leżące w granicach stanu Missouri, i to drugie Kansas City, to w granicach stanu Kansas, uświadamia sobie, że mruczy do siebie: *pragnę, pragnę*.

Tym razem czuje się bliski objawienia, które odkryje tajemnicę jego tęsknoty.

Pragnę... być... pragnę być... pragnę być...

Gdy po obu stronach szosy przepływają przedmieścia, a potem ciemna preria, stopniowo narasta w nim podniecenie. Balansuje na krawędzi poznania, które, jak wyczuwa, zmieni jego życie.

Pragnę być... być... pragnę być kimś.

Od razu pojmuje znaczenie tego, co powiedział. „Być kimś” nie znaczy dla niego sławny, bogaty czy ważny. Po prostu „być kimś”. Kimś o prawdziwym nazwisku. Po prostu jakimś zwyczajnym Joe, jak mówili bohaterowie w filmach z lat czterdziestych. Kimś, kto jest bardziej cielesny niż duch.

Siła przyciągania gwiazdy świecącej na zachodzie rośnie z mili na milę. Zabójca pochyla się lekko do przodu. Przygarbiony nad kierownicą wpatruje się uważnie w noc.

Za horyzontem, w mieście, którego nie potrafi sobie jeszcze odmalować w wyobraźni, czeka na niego życie. Dom. Rodzina. Przyjaciele. Gdzieś tam istnieje czyjaś skóra, którą może na siebie włożyć, jakaś przeszłość, którą może być jego przeszłością, istnieje cel. I przyszłość, w której może być kimś. Być akceptowanym.

Samochód pędzi na zachód, przecinając noc.

O wpół do pierwszej, w drodze do łóżka, Marty Stillwater przystanął przy pokoju dziewczynek, otworzył delikatnie drzwi i cicho przekroczył próg. W miodowożółtym blasku lampki w kształcie Myszki Mickey zobaczył spokojnie śpiące dziewczynki.

Lubił od czasu do czasu przyglądać im się przez parę minut, gdy spały, tylko po to, by się przekonać, że są realne. Szczęścia, powodzenia i miłości miał ponad zwyczajną miarę, więc nie mógł wykluczać, że niektóre z tych błogosławieństw mogą okazać się krótkotrwałe czy nawet iluzoryczne: w sprawę mógł wdać się los, by wyrównać szale wagi.

W pojęciu starożytnych Greków Los uosabiały trzy siostry: Kioto, która przedła nic życia; Lachesis, która odmierzała jej długość; i Atropos, najpotężniejsza, która przecinała nić wedle własnego kaprysu.

Marty'emu wydawało się czasem, że jest to całkiem logiczne widzenie rzeczy. Potrafił wyobrazić sobie twarze tych kobiet w białych szatach bardziej szczegółowo, niż mógł sobie przypomnieć twarze sąsiadów z Mission Viejo. Kioto miała miłą twarz o wesołych oczach, przypominającą aktorkę Angelę Lansbury, a Lachesis była równie sprytna jak Goldie Hawn, tyle że otaczała ją aura świętości. Śmieszne, ale tak je właśnie widział. Atropos była dziwką, piękną, lecz zimną – zaciśnięte usta, czarne oczy.

Cała sztuczka polegała na tym, by pozostać w łaskach dwóch pierwszych sióstr, nie zwracając uwagi tej trzeciej.

Pięć lat wcześniej Atropos zstąpiła z niebiańskiego domu pod przebraniem schorzenia krwi, by przeciąć nić życia Charlotte, ale, na szczęście, nie zdołała tego uczynić. Lecz ta bogini nosiła wiele innych imion: rak, krwawienie mózgowe, skrzep tętniczy, ogień, trzęsienie ziemi, trucizna, zabójstwo i mnóstwo innych. Być może teraz znów Atropos składała im wizytę pod jednym ze swoich wielu pseudonimów, obierając sobie tym razem za cel Marty'ego.

Niejednokrotnie żywa wyobraźnia pisarza bywa przekleństwem.

Nagle, z cienia zalegającego część pokoju należąca do Charlotte, dobiegł łomoczący odgłos. Cichy i groźny jak ostrzeżenie grzechotnika. Przerażony Marty zorientował się, co to jest: połowę dużej klatki myszoscodka zajmowało koło podobne do diabelskiego młyna i gryzoń dreptał szaleńczo w miejscu.

– Idź spać, Wayne – powiedział cicho.

Spojrzał po raz ostatni na dziewczynki, wyszedł z pokoju i zamknął za sobą cicho drzwi.

Dociera do Topeki o trzeciej nad ranem.

Niczym wędrowny ptak, który z nadejściem zimy ciągnie nieubłagane na południe, zabójca wciąż dąży w stronę zachodniego horyzontu, odpowiadając na niesłyszalny zew, kierowany drogowskazem, którego nie można zobaczyć, jakby w jego krwi był ślad żelaza reagującego na nieznaną magnez.

Zjeżdża z trasy na obrzeżach miasta. Musi znaleźć inny samochód.

Gdzieś daleko są ludzie, którzy znają nazwisko Johna Larringtona, nazwisko, na które wynajął forda. Gdy nie pojawi się w Seattle, by wykonać oczekujące go zadanie, jego dziwni i pozbawieni twarzy zwierzchnicy bez wątplenia wyruszą na jego poszukiwania. Podejrzewa, że są silni i wpływowi; musi zerwać wszelkie więzy łączące go z przeszłością i pozostawić ich daleko za sobą, żeby nie mogli go nigdy znaleźć.

Parkuje wypożyczonego forda w dzielnicy domków jednorodzinnych i dociera na piechotę do trzeciego skrzyżowania. Po drodze próbuje otwierać drzwi samochodów stojących przy krawężniku. Tylko połowa z nich jest zamknięta. Jest zdecydowany uruchomić silnik przez krótkie zwarcie, jeśli wymagałaby tego sytuacja, ale w niebieskiej hondzie znajduje kluczyki wetknięte za osłonę przeciwsłoneczną.

Podjeżdża do forda i przenosi do hondy swoje walizki i pistolet, po czym zatacza samochodem coraz większe kręgi, szukając całodobowego sklepu.

Nie zna Topeki, bo nikt się nie spodziewał, że właśnie tam się uda. Przestraszony widokiem tabliczek z nazwami ulic, które nic mu nie mówią, nie wie, dokąd mogą go zaprowadzić.

Czuje się wyrzutkiem bardziej niż kiedykolwiek.

W ciągu pięćdziesięciu minut znajduje sklep i niemal opróżnia półki z kiełbasek, krakersów serowych, orzeszków, miniaturowych pączków i innych wiktuałów, które można bez trudu zjeść, prowadząc samochód. Jest głodny. Jeśli zamierza być w drodze przez dwa kolejne dni, przyjmując, że będzie bezustannie podążał na zachód, to potrzebuje znacznych zapasów żywności. Nie chce marnować czasu w restauracjach, a jego przyspieszony metabolizm zmusza go do jedzenia posiłków większych i częstszych niż inni ludzie.

Bierze jeszcze sześciopuszkowe opakowanie coli, podchodzi do kontuaru, gdzie sprzedawca mówi:

– Musi pan urządzać całonocne przyjęcie, czy coś w tym rodzaju.

– Tak.

Kiedy płaci rachunek, uświadamia sobie, że z trzystoma dolarami w portfelu, gotówką, jaką zawsze ma przy sobie, nie zajędzie daleko. Nie może już korzystać z lipnych kart kredytowych, z których dwie wciąż ma, bo ktoś z pewnością będzie w stanie wytropić go podążając śladem jego zakupów. Od tej pory musi płacić gotówką.

Zanosi trzy duże torby sprawunków do hondy i wraca z P7 firmy Heckler & Koch. Strzela sprzedawcy w głowę i otwiera kasę, ale znajduje tylko własne pieniądze plus pięćdziesiąt dolarów. Lepsze to niż nic.

Na stacji benzynowej koncernu Arco napełnia bak hondy i kupuje mapę Stanów Zjednoczonych.

Parkuje na skraju stacji, pod neonem, który zabarwia wszystko swym chorobliwym żółtym blaskiem, i szybko, łapczywie zjada baton.

Zanim od kiełbasek przechodzi do pączków, zaczyna studiować mapę. Mógłby dalej jechać na zachód międzystanową 70 albo skierować się na południowy zachód, w stronę Wichity, zmierzać cały

czas do Oklahoma City, a potem znów skręcić wprost na zachód podążając międzystanową 40.

Nie umie dokonywać wyborów. Zazwyczaj robi to, do czego został... zaprogramowany. Teraz, gdy ma przed sobą alternatywę, podejmowanie decyzji wydaje mu się niespodziewanie trudne. Nie wie, co robić. Denerwuje się.

W końcu wysiada z hondy i nieruchomieje. W chłodnym nocnym powietrzu szuka natchnienia.

Wiatr porusza przewodami telefonicznymi w górze, które wydają przerażający dźwięk – tak przenikliwy i ponury jak pełen strachu płacz zmarłych dzieci, wędrujących przez ciemności Zaświatów.

Uparcie zmierza na zachód. To przyciąganie zdaje się mieć psychiczną naturę, czuje, jakby ktoś go wzywał. Jednak to tylko biologia, pragnienie pulsujące w jego krwi i szpiku kostnym.

Wsiada do samochodu. Rusza. Znajduje szosę i kieruje się w stronę Wichity. Nie chce mu się jeszcze spać. Jeśli trzeba, potrafi obejść się bez snu przez dwie czy trzy noce, nie tracąc nic ze swej umysłowej i fizycznej sprawności, co jest tylko jedną z jego wielu umiejętności. Jest tak podniecony perspektywą bycia kimś, że będzie wciąż jechał, aż znajdzie swe przeznaczenie.

Paige wiedziała, że Marty w jakimś stopniu spodziewa się napadu kolejnego zaćmienia, tym razem w miejscu publicznym, więc podziwiała jego umiejętność zachowania pozorów niefrasobliwości. Wydawał się równie beztroski jak dzieci.

Dziewczynki uznały, że ostatnia niedziela była cudownym dniem.

Późnym rankiem Paige i Marty zabrali je do hotelu Ritz Carltona w Dana Point na wczesny świąteczny lunch. Było to miejsce na specjalne okazje.

Jak zawsze, Emily i Charlotte były oczarowane pięknie zaprojektowanym terenem kompleksu, wspaniałymi salami restauracyjnymi i nieskazitelną obsługą w świeżo odprasowanych uniformach. Dziewczynki, w swych najlepszych sukienkach, ze wstążkami we włosach, miały ogromną frajdę, czując się jak młode damy z wyższych sfer, prawie tak dużą jak wówczas, gdy podchodziły do stołu z deserami, każda dwa razy.

Po południu, ponieważ było zaskakująco ciepło jak na tę porę roku, przebrali się i odwiedzili Irvine Park. Chodzili po malowniczych drózkach, karmili kaczki w stawie i zrobili rundkę po małym zoo.

Charlotte kochała zoo, ponieważ zwierzęta były w klatkach, zamknięte i bezpieczne. Nie było wśród nich egzotycznych gatunków – typowe zwierzęta dla tego regionu, ale Charlotte, z charakterystyczną dla siebie fascynacją, dostrzegała w nich najbardziej interesujące i najmądrzejsze stworzenia, jakie kiedykolwiek widziała.

Emily wdała się w pojedynek wzrokowy z wilkiem. Ogromny drapieżnik o bursztynowych ślepiach i błyszczącym srebrnoszarym futrze napotkał jej spojrzenie i nie ustępował, stojąc po drugiej stronie klatki zamkniętej na łańcuch.

– Jeśli pierwsi odwrócicie oczy – powiedziała Emily spokojnie i trzeźwo – to wilk was po prostu zje.

Konfrontacja trwała tak długo, że Paige zaczęła się niepokoić. Po chwili wilk spuścił głowę, powąchał ziemię, ziewnął ostentacyjnie, by pokazać, że się po prostu znudził.

– Jeśli nie umiał dopaść trzech małych świnek, choć pędził jak szalony – stwierdziła Emily – to wiedziałam doskonale, że i mnie nie może złapać, bo jestem mądrzejsza od świnek.

Mówiła o filmie rysunkowym Disneya, jedynej wersji tej bajki, jaką знаła.

Paige postanowiła, że nigdy nie pozwoli jej czytać wersji braci Grimm, w której zamiast trzech świnek występowało siedem koziołków. Wilk połknął sześć z nich w całości. Zostały uratowane przed strawieniem w ostatniej minucie, gdy ich matka rozpruła brzuch wilka, żeby je wyciągnąć z dymiących trzewi.

Paige zerknęła na wilka, gdy odchodzili od klatki. Znowu obserwował Emily.

Niedziela jest pracowitym dniem dla zabójcy.

W Wichita, tuż przed świtem, zjeżdża z płatnej trasy. W kolejnej dzielnicy domków jednorodzinnych zamienia tablice rejestracyjne hondy na inne, które zdjął z jakiegoś chevroleta, by utrudnić zlokalizowanie ukradzionego samochodu.

Krótko po dziewiątej, w niedzielny poranek, przybywa do Oklahoma City w stanie Oklahoma. Zatrzymuje się na stacji benzynowej.

Centrum handlowe znajduje się po drugiej stronie ulicy. W rogu ogromnego, pustego parkingu stoi wielki kontener, duży jak altanka ogrodowa. Po zatankowaniu wrzuca do niego walizki i ich zawartość. Zostawia tylko ubranie, które ma na sobie, i pistolet.

W czasie minionej nocy, na szosie, miał dużo czasu, by myśleć o swojej szczególnej egzystencji i zastanawiać się, czy czasem nie został wyposażony w mikroskopijny nadajnik, który umożliwi jego zwierzchnikom odnalezienie go. Być może przewidzieli, że pewnego dnia ich zdradzi.

Wie, że dość mocny nadajnik, działający dzięki małej baterii, może być ukryty w niewielkiej przestrzeni. Takiej jak ściany walizki.

Gdy skręca wprost na zachód, wjeżdżając na międzystanową 40, niebo zasnuwa się czarną jak węgiel zasłoną chmur. Czterdzieści minut później padający deszcz przybiera postać roztopionego srebra i w sekundę zmywa cały kolor z rozległych połaci ziemi otaczających z obu stron szosę. Świat jawi się w dwudziestu, czterdziestu, stu odcieniach szarości i nawet pojedyncza błyskawica nie rozjaśni ani na chwilę przygnębiającej posępności.

Monochromatyczny krajobraz nie przykuwa jego uwagi, więc ma mnóstwo czasu, by dalej martwić się o pozbawionych twarzy myśliwych, którzy mogą go tropić. Czy jest paranoikiem, gdy sądzi, że nadajnik został wszyty w jego ubranie? Wątpi, czy można było ukryć go w materiale spodni, koszuli, swetra, bielizny czy skarpet, tak by nie wyczuł go z powodu samej tylko jego wagi, czy też podczas przypadkowej inspekcji. Pozostają buty i skórzana kurtka.

Wyklucza pistolet. Nie wbudowałiby w P7 niczego, co mogłoby zakłócać jego funkcjonowanie. Poza tym miał się go pozbyć zaraz po dokonaniu zleconych zabójstw.

W połowie drogi między Oklahoma City i Amarillo, na wschód od granicy z Teksasem, zjeżdża z trasy na parking, gdzie schroniło się przed burzą dziesięć samochodów, dwie duże ciężarówki i dwa motodomy.

Gałęzie iglastych drzew, których rzędy otaczają teren parkingu, zwieszają się ciężkie od deszczu i wydają się czarnoszare, a nie zielone. Wielkie szyszki nabrzmiały jak dziwaczne guzy.

W przycupniętym budynku znajdują się toalety. Zabójca biegnie przez zimną ulewę w stronę przybytku dla mężczyzn.

Gdy stoi przy pierwszym z trzech pisuarów, podczas gdy deszcz dzwoni głośno o metalowy dach, a wilgotne powietrze jest ciężkie od wapiennej woni mokrego betonu, do pomieszczenia wchodzi starszy mężczyzna. Jeden rzut oka: gęste, siwe włosy, głęboko pobrużdżona twarz, bulwiasty nos znaczony popękkanymi naczyniami krwionośnymi. Podchodzi do trzeciego pisuaru.

– Niezła burza, co? – stwierdza nieznajomy.

– Jakby z nieba leciały szczury – odpowiada zabójca, używając zdania z jakiegoś filmu.

– Mam nadzieję, że się wkrótce skończy.

Zabójca dostrzega, że mężczyzna jest mniej więcej jego wzrostu i budowy ciała. Zapinając spodnie

pyta:

– Dokąd pan jedzie?

– W tej chwili do Los Angeles, ale później gdzie indziej i znów gdzie indziej. Ja i żona jesteśmy już na emeryturze i większość życia spędzamy w tym motodomie. Zawsze chcieliśmy zobaczyć kraj i właśnie widzimy go jak cholera. Nie ma to jak życie w drodze, co dzień nowe widoki, prawdziwa wolność.

– Brzmi wspaniale.

Stoi przy umywalce i myje ręce. Zwleka. Zastanawia się, czy już teraz załatwić paplającego staruszka, a potem wepchnąć jego ciało do kabiny z ubikacją. Ale jest za dużo ludzi na zewnątrz. Ktoś mógłby niespodziewanie wejść do toalety.

Zapinając rozporek, nieznajomy mówi:

– Problem tylko w tym, że Frannie, to moja żona, nie znosi, jak prowadzę w deszczu. Gdy tylko pada coś więcej niż drobna mżawka, ona chce zjeżdżać na pobocze i przeczekać. Wzdycha. – Dziś nie zrobimy już wielu mil.

Zabójca suszy ręce pod strumieniem gorącego powietrza z suszarki.

– Cóż, Vegas nie ucieknie.

– Pewnie. Lokale ze stołami do black jacka będą otwarte nawet wtedy, gdy dobry Pan zstąpi w dniu Sądu Ostatecznego.

– Mam nadzieję, że rozbije pan bank – mówi zabójca i wychodzi, podczas gdy starszy mężczyzna podchodzi do umywalki.

Wsiada do hondy. Jest mokry i drżący, zapala silnik i włącza ogrzewanie. Ale nie wrzuca biegu.

Przy krawężniku, na obszernych stanowiskach, stoją trzy motodomu.

W minutę później z męskiej toalety wychodzi mąż Frannie. Zabójca obserwuje przez obmywaną deszczem szybę swego samochodu, jak siwowłosego mężczyzna biegnie w stronę srebrno-niebieskiego Road Kinga, do którego wsiada przez drzwi po stronie kierowcy. Na drzwiach widnieje namalowany zarys serca, a w jego środku słowa wypisane zabawnym pismem: Jack i Frannie.

Szczyście nie sprzyja Jackowi, emerytowi zmierzającemu do Vegas. Jego motodomu dzieli od hondy tylko cztery stanowiska, i ta bliskość ułatwia zabójcy dokonanie tego, co ma być dokonane.

Z nieba spada ocean deszczu. Woda leci prosto w dół, przecinając bezwietrzny dzień, bezustannie niszcząc lustrzane powierzchnie kałuż na czarnym asfalcie, płynąc rynsztokami w nie kończących się strumieniach.

Samochody i ciężarówki zjeżdżają z autostrady, parkują na chwilę, odjeżdżają. Ich miejsce zajmują nowe pojazdy, które zatrzymują się między hondą a Road Kingiem.

Jest cierpliwy. Cierpliwość to część jego wyszkolenia.

Silnik motodomu pracuje na wolnych obrotach. Skroplone kłęby spalin wypływają z dwu bliźniaczych rur wydechowych. Okna za zasłonkami płoną ciepłym bursztynowym światłem.

Zazdrości im tego wygodnego lokum na kołach, które wygląda przytulniej niż dom, w jakim wciąż ma nadzieję zamieszkać. Zazdrości im również ich długiego małżeństwa. Jak by to było, gdyby miał żonę? Gdyby był kochanym mężem?

Po czterdziestu minutach deszcz nie słabnie, ale flotylla samochodów odjeżdża. Honda jest jedynym pojazdem zaparkowanym przy Road Kingu.

Bierze do ręki pistolet, wysiada z samochodu i podchodzi szybko do domu na kołach. Sprawdza boczne okna, na wypadek, gdyby Frannie albo Jack rozchyłili zasłony i wyjrzelili na zewnątrz w najmniej odpowiednim momencie.

Zerka w stronę toalet. Nie widać nikogo.

Doskonale.

Chwyta zimną, chromowaną klamkę. Drzwi nie są zamknięte na zamek. Wdrapuje się do środka, po schodkach. Rozgląda się po pomieszczeniu.

Kuchnia znajduje się bezpośrednio za otwartą kabiną, za kuchnią wnęka, gdzie Frannie i Jack jedzą posiłki, a dalej salon. Oboje siedzą teraz we wnące, kobieta plecami do zabójcy.

Jack dostrzega go pierwszy, podnosi się i wysuwa z wąskiej kabiny, a Frannie patrzy przez ramię, bardziej zaintrygowana niż zaalarmowana. Dwa pierwsze pociski trafiają Jacka w klatkę piersiową i szyję. Pada na stół. Frannie, zbryzgana jego krwią, otwiera usta do krzyku, ale trzeci pocisk o wydrążonym czubku zatrzymuje się w jej czaszce.

Do lufy przykręcony jest tłumik, ale nie jest już skuteczny. Przegrody zostały zgniecione. Odgłos każdego wystrzału jest tylko odrobinę cichszy niż zwykły huk broni palnej.

Zabójca zamyka drzwi przy siedzeniu kierowcy. Patrzy na chodnik, zalany deszczem placyk przeznaczony na pikniki, toalety. Nikogo nie widać.

Przełazi nad konsolę z dźwignią zmiany biegów na siedzenie pasażera i wygląda przez przednią szybę po tej stronie kabiny. Na parkingu stoją jeszcze tylko cztery inne pojazdy. Najbliższy to ciężarówka Macka. Kierowca jest pewnie w toalecie, bo w kabinie nie ma nikogo.

Wydaje się nieprawdopodobne, by ktokolwiek mógł słyszeć strzały. Wciąż padający deszcz jest doskonałą zasłoną.

Odwraca się, wstaje i idzie w stronę tylnej części motodomu. Zatrzymuje się przy zabitych, dotyka pleców Jacka... potem lewej ręki Frannie, która leży na stole w kałuży krwi, tuż obok swojego talerza.

– Do widzenia – mówi cicho i żałuje, że musi już odejść.

Teraz jednak, gdy posunął się już tak daleko, ogarnia go niemal szaleńcze pragnienie, by przebrać się w ubranie Jacka i znów ruszyć w drogę. Przekonał sam siebie, że nadajnik jest naprawdę ukryty w gumowych podeszwach jego butów, i że nawet w tej chwili jego sygnał go zdradza.

Za salonem znajduje się łazienka, duża garderoba pękająca w szwach od ubrań Frannie, i sypialnia z mniejszą garderobą wypełnioną rzeczami Jacka. W ciągu niecałych trzech minut rozbiera się do naga i wkłada nową bieliznę, białe skarpetki, dżinsy, czerwono-brązową koszulę w kratę, tenisówki i brązową skórzaną kurtkę. Krok spodni jest na odpowiedniej wysokości; w pasie są o dwa cale za duże, ale z łatwością ściska je paskiem. Buty są odrobinę za luźne, choć dadzą się nosić, a koszula i kurtka pasują jak ulał.

Idzie do kuchni. By potwierdzić swe podejrzenia, wyjmuje z szuflady nóż do chleba o ząbkowanym ostrzu i odkraja kilka cienkich warstw z gumowej podeszwy jednego buta, aż odsłania płytki otwór ściśle wypełniony elementami elektronicznymi. Miniaturowy nadajnik jest połączony z zestawem baterii do zegarka, które zdają się wypełniać cały obcas i być może podeszwę.

Nie ma mowy o paranoi.

Nadchodzą.

Pozostawia buty wśród gumowych ścinków na kuchennym blacie; niecierpliwie przeszukuje zwłoki Jacka. Znajduje portfel. Wyjmuje pieniądze – sześćdziesiąt dwa dolary. Szuka portmonetki Frannie. Jest w sypialni. Czterdzieści dziewięć dolarów.

Kiedy wychodzi z motodomu, cętkowane, szaroczarne niebo jest wypukłe i nabrzmięte od burzowych chmur. O ziemię uderzają megatony deszczu.

Tumany mgły pełzną między pniami sosen i zdają się wyciągać po niego swoje macki, kiedy biegnie

w stronę hondy, rozchlapując wodę.

Gdy znów jest na trasie, pędząc przez nieprzemijający mrok, który rozciąga się pod burzowym niebem, przesuwa dźwignię ogrzewania na najwyższy poziom i wkrótce przecina granicę stanu Teksas, gdzie płaski teren staje się, choć to niemożliwe, jeszcze bardziej płaski. Teraz zabójca czuje się wolny. Trzęsie się bezwiednie, przesiąknięty zimnym deszczem, ale drży również z podniecenia – radosnego oczekiwania i niepokoju.

Cel jego podróży jest gdzieś, dokładnie nie wie gdzie, na zachodzie.

Odwija z celofanu kiełbaskę i zjada w trakcie jazdy. Subtelny zapach, wyczuwalny w charakterystycznym smaku wędzonego mięsa, przywodzi mu na myśl metaliczną woń krwi w domu w Kansas City, gdzie pozostawił bezimienne, martwe małżeństwo spoczywające w ogromnym angielskim łóżku.

Jedzie szybko. Dojeżdża do Amarillo w Teksasie. Jest tuż po zmierzchu, niedzielny wieczór. Stwierdza, że bak samochodu jest prawie pusty. Zatrzymuje się na stacji. Bierze benzynę, korzysta z łazienki i kupuje więcej jedzenia na drogę.

Wciąż pędzi na zachód, w ciemną noc... Mija Wildorado, przed nim granica stanu Nowy Meksyk. Nagle uświadamia sobie, że przemierza pustynną prerię – serce Dzikiego Zachodu, gdzie toczyła się akcja tak wielu wspaniałych westernów. John Wayne i Montgomery Clift w „Rzece czerwonej”, z Walterem Brennanem, który kradł im sceny na lewo i prawo. „Rio Bravo”. I „Shane” rozgrywający się w Kansas, czyż nie? W którym Jack Palance rozwałał Elish Cooka, Jr., całe dziesięciolecie przed tym, jak tornado porwało Dorożkę do krainy Oz. „Dyżans”, „Rewolwerowiec”, „True Grit”, „Destry znów w siodle”, „Bez przebaczenia”, „Mściciel”, „Yellow Sky” – tyle wielkich filmów, z których nie wszystkie działy się w Teksasie, ale był w nich duch Teksasu. John Wayne i Gregory Peck, i Jimmy Stewart, i Clint Eastwood. Legendy i mityczne miejsca, teraz prawdziwe, istniejące gdzieś za szosą, zakryte deszczem, mgłą i ciemnością. Mógł prawie uwierzyć, że te historie rozgrywają się właśnie teraz, w pionierskich miastach, które mijał, i że on jest Butchem Cassidy czy Sundance Kidem czy jeszcze jakimś innym rewolwerowcem z poprzedniego stulecia, zabójcą, ale tak naprawdę niezłym facetem. Tyle że outsiderem zmuszonym do zabijania z powodu tego, co z nim zrobiono, ściganym...

Obrazy z kinowych ekranów i filmów wyświetlanych nocą w TV, które stanowią większą część jego wspomnień – zalewają jego zmęczony umysł, uspokajają go. Przez chwilę jest tak zagubiony w tych fantazjach, że poświęca za mało uwagi prowadzeniu samochodu. Stopniowo uświadamia sobie, że prędkość spadła do czterdziestu mil na godzinę. Ciężarówki i samochody osobowe mijają go z hukiem, podmuch powietrza wywołany ich pędem uderza w hondę, pryska brudną wodą na przednią szybę, a ich czerwone tylne światła nikną szybko w mroku.

Przekonując samego siebie, że jego tajemnicze miejsce przeznaczenia okaże się równie wspaniałe jak te, do których dążył w swych filmach John Wayne, zabójca mocniej wciska pedał gazu.

Na siedzeniu pasażera piętczą się puste i napoczęte opakowania zjedzeniem, pogniecione, poplamione, pełne okruchów. Spadają na podłogę, pod deskę rozdzielczą.

Wyciąga z tego stosu śmieci kolejne opakowanie z paczkami. Otwiera ciepłą pepsi, by mieć czym popić.

Na zachód. Niezmiennie na zachód.

Czeka na niego jakaś tożsamość. Będzie kimś.

Niedzielny wieczór. Po ogromnych porcjach popcornu i dwóch filmach na wideo Paige otula dziewczynki w łóżkach, całuje na dobranoc i cofa się do drzwi, żeby popatrzeć, jak Marty przygotowuje się na swój czas opowieści.

Ciąg dalszy poematu o złym bracie bliźniaku świętego Mikołaja. Dziewczynki są oczarowane.

*Renifery już się wylaniają z nocy.
Widzisz, że są w strachu wielkiej mocy?
Łbem wstrząsają, okiem toczą dookoła,
wielki rozum mają te zwierzaki zgoła,
Wiedzą, że Mikołaj to żaden brat Łata,
ale uzurpator i kawał wariata.
Chcą popędzić naprzód, co tylko sił w nogach
i zrzucić szaleńca na rozstajnych drogach.
Lecz ten bliźniak podły dzierży w ręku bat,
ma też pałkę, harpun, a za pasem gnat,
ma gazrurkę, uzi, ty stąd lepiej goń!
I okropną, straszną laserową broń.*

– Laserową broń? – spytała Charlotte. – Więc jest kosmitą!

– Nie bądź głupia – upomniała ją Emily. – Jest bratem bliźniakiem świętego Mikołaja, więc gdyby był kosmitą, to i święty Mikołaj byłby kosmitą, a przecież nie jest.

Z pełną zarozumiałości wyższością dziesięciolatki, która dawno temu odkryła, że święty Mikołaj nie istnieje, Charlotte odpowiada:

– Musisz się jeszcze dużo nauczyć, Em. Jaką krzywdę może wyrządzić broń laserowa, tato? Może zmienić człowieka w papkę?

– W kamień – powiedziała Emily. Wysunęła spod kołdry rękę i pokazała wypolerowany kamień, na którym namalowała parę oczu. – To właśnie stało się z Peeperssem.

*Na dachu lądują, cicho, sekretnie.
Ależ ten święty wygląda szpetnie.
Szepcze im groźbę prosto do ucha,
pewny, że zwierzak każdy go usłucha:
macie na biegunie wielu krewnych, tuszę,
łagodne to, mile i niewinne dusze.
Więc jeśli zwiejecie, gdy ja będę w środku,
to na biegun wrócę w latającym spodku.
Piknik sobie zrobię, gdy zaświeci słońce:
z renifera placek, pasztet i bulki chrupiące,
z renifera sałatka i zupa treściwa,
i wszelkie odmiany smacznego mięsiwa.*

Nienawidzę tego faceta – stwierdziła zdecydowanie Charlotte.

Podciągnęła kołdrę aż po sam nos, tak jak poprzedniego wieczora, ale nie była tak naprawdę wystraszona, po prostu dobrze się bawiła, udając przerażenie.

– Ten facet, on urodził się zły – zdecydowała Emily. – Na pewno nie mógł się taki stać tylko dlatego, że jego mama i tata nie byli dla niego dobrzy.

Paige podziwiała umiejętność Marty’ego dotykania właściwej struny. Wiedział bezbłędnie, w jaki sposób poruszyć wyobraźnię i emocje dzieciaków. Gdyby dał jej ten poemat do przejrzenia przed jego odczytaniem, stwierdziłaby, że jest zbyt ponury i zbyt przerażający dla jej małych dziewczynek.

I tyle, jeśli chodzi o pytanie, co było ważniejsze – ocena psychologa czy instynkt literacki.

*Jest już przy kominie, w dół szybko spoziera,
lecz to niewątpliwie droga dla frajera.
On dla siebie lepsze wejście znajdzie
ten tłusty włamywacz, wkrótce nas tu najdzie.
Z dachu na podwórze i na tylny ganek,
i chichocze na myśl, co w worku schowane
dla milej rodziny, w domu smacznie śpiącej.
On już zęby szczerzy w swym uśmiechu drwiącym.
Och, cóż to za robak, chuligan i żmija.
W drzwiach Stillwaterów już zamek rozbija.*

– U nas! – pisnęła Charlotte.

– Wiedziałam! – powiedziała Emily.

– Nie wiedziałas – obruszyła się Charlotte.

– Owszem, wiedziałam.

– Nie wiedziałas.

– A właśnie, że tak. Dlatego śpię z Peeperssem, żeby mógł mnie chronić, aż się skończy Boże Narodzenie.

Należały, by ojciec przeczytał całą historię od początku, wszystkie wersy jeszcze raz. Kiedy Marty po raz kolejny zabrał się do czytania, Paige wycofała się cicho z pokoju i zeszła na dół, żeby schować resztki popcornu i posprzątać kuchnię.

Dzień był wspaniały. Marty czuł się dobrze. Przekonywała samą siebie, że tamten atak fugi był czymś wyjątkowym, czymś niepokojącym i niewytłumaczalnym, ale nie objawem choroby.

Z pewnością nikt, kto byłby chory, nie mógłby bawić się cały dzień z tak żywotnymi dziećmi jak jej córki. Paige – druga połowa wspaniałej rodzicielskiej maszyny Stillwaterów – była wykończona.

Dziwne, ale gdy schowała popcorn, złapała samą siebie na sprawdzaniu okien i zamków u drzwi.

Poprzedniego wieczoru Marty nie był w stanie wyjaśnić żonie swej nagłej troski o bezpieczeństwo. Był to w końcu jego wewnętrzny problem.

Paige doszła do wniosku, że w wypadku Marty’ego wystąpiło zjawisko psychologicznej transferencji. Nie chciał dopuścić myśli o guzie mózgu czy wylewie, ponieważ te przypadłości były całkowicie poza jego kontrolą, więc skierował swą uwagę na zewnątrz, musiał znaleźć wrogów, przeciwko którym mógłby podjąć konkretne działania.

Z drugiej jednak strony, być może reagował instynktownie, podświadomie na rzeczywistą groźbę,

istniejącą gdzieś poza świadomą percepcją. Jako osoba, która włączyła fragmenty jungowskiej teorii do swego prywatnego i zawodowego światopoglądu, Paige akceptowała takie kategorie jak zbiorowa podświadomość, synchroniczność i intuicja.

Zatrzymała się przy dwuskrzydłowych drzwiach salonu. Patrzyła na patio, ku ciemnemu podwórzu i zastanawiała się, jaką to groźbę mógł wyczuć Marty w tym świecie, który, przez całe jej życie, stawał się coraz bardziej niebezpieczny.

Tylko przez chwilę nie patrzy przed siebie. Rozgląda się na boki – dziwne kształty, majaczące w ciemności i deszczu po obu stronach autostrady. Połamane zęby skał sterczą z piachu i piargu, jak gdyby Behemot żyjący tuż pod powierzchnią ziemi otwierał swą paszczę, by połknąć wszystkie stworzenia, które mają nieszczęście znajdować się w pobliżu. Pojedyncze zbitki karłowatych drzew walczą o przetrwanie na bezlitosnej ziemi, gdzie burze zdarzają się rzadko, a rześiste ulewy jeszcze rzadziej; powykręcane gałęzie sterczą we mgle, postrzępione i chitynowate jak włochate kończyny owadów, oświetlone na krótko blaskiem samochodowych reflektorów, walczące przez chwilę z wiatrem, a potem znów ginące w mroku.

Choć w hondzie jest radio, zabójca nie włącza go. Nie chce, by cokolwiek odrywało jego uwagę od tajemniczej siły, która pcha go na zachód i z którą chce zawrzeć duchowe przymierze. Z każdą posępną milą rośnie owo magnetyczne przyciąganie i jest to jedyna rzecz, jaka go teraz zajmuje. Nie może się od niej oderwać, podobnie jak Ziemia nie może zmienić kierunku obrotu i rozpocząć następnego świtu na zachodzie.

Pozostawia deszcz za sobą. Wydostaje się spod pułapu postrzępionych chmur i wkracza w czystą noc, pełną niezliczonych gwiazd. Gdzieś na horyzoncie widać niewyraźnie połyskujące szczyty i grzbiety skalne, tak odległe, że mogłyby być krańcem świata, jak alabastrowe mury strzegące królestwa z bajki, ściany egzotycznego wyśnionego raju, w którym wciąż migoce blask księżycy.

Zmierza, ku bezkresowi południowego zachodu. Mija kręgi światła, które okazują się miastami wzniesionymi na pustyni. Tucumcari, Montoya, Cuervo i wreszcie przekracza rzekę Pecos.

Między Amarillo i Albuquerque, gdy zatrzymuje się, by zmienić olej i nabrać benzyny, korzysta z cuchnącej środkiem owadobójczym toalety – w kącie leżą dwa martwe karaluchy. Żółte światło żarówki i brudne lustro ukazują jego zmienioną twarz. Niebieskie oczy wydają się ciemniejsze i bardziej dzikie niż kiedykolwiek, a rysy – twardsze.

– Będę kimś – mówi do lustra, a człowiek po drugiej stronie otwiera usta dokładnie w tej samej chwili.

W niedzielę wieczorem, o jedenastej trzydzieści, gdy dociera do Albuquerque, nabiera paliwa na następnej stacji i zamawia dwa cheeseburgery na wynos. Potem zaczyna kolejny etap podróży – trzysta dwadzieścia pięć mil do Flagstaff w Arizonie. Je kanapki z papierowych opakowań – tłuszcz, kawałki cebuli i musztarda wpadają do torebek.

Będzie to jego druga noc bez snu, ale nie jest zmęczony. Jest niezwykle wytrzymały. Zdarzało się, że nie spał siedemdziesiąt dwie godziny, a mimo to zachowywał jasny umysł.

Z filmów, które oglądał w czasie samotnych nocy w dziwnych miastach, wie, że sen jest niepokonanym wrogiem żołnierzy desperacko pragnących wygrać ciężką bitwę, policjantów zaczajonych na zbrodniarza, ofiar wampirów, które muszą czekać do świtu, gdy pojawi się blask słońca i ratunek.

Jego umiejętność zawierania ze snem paktu, gdy tylko tego zapragnie, jest tak niezwykła, że boi się o tym myśleć. Wyczuwa, że pewnych rzeczy, które go dotyczą, lepiej nie wiedzieć, a ta jest jedną z nich.

Jeszcze jedną prawdą, którą wyniósł z filmów, jest ta, że każdy człowiek ma tajemnice, nawet jeśli ich sobie nie uświadamia. A zatem jego sekrety niemal go upodabniają do innych ludzi. A to jest to, czego pragnie. Być jak inni ludzie.

Marty miał sen. Stał przerażony w jakimś zimnym i omiatanym wiatrem miejscu. Uświadamiał sobie,

że znajduje się na równinie tak monotonnej i płaskiej jak dno doliny na pustyni Mohave, na trasie do Los Angeles, ale nie rozpoznał krajobrazu, bo ciemność była głęboka jak śmierć. Wiedział, że coś pędziło ku niemu przez mrok, coś niewyobrażalnie dziwnego i wrogiego, potężnego i śmiertelnego, wiedział instynktownie, że to nadchodzi, dobry Boże, nie miał jednak pojęcia, z której strony. Z lewej, prawej, z przodu, od tyłu, z ziemi pod jego stopami, albo z czarnego jak smoła nieba nad jego głową. To mogło nadejść zewsząd. Czuł to, obiekt o tak kolosalnych rozmiarach i ciężarze, że atmosfera na jego drodze była poddana kompresji, a powietrze gęstniało, w miarę jak to nieznane niebezpieczeństwo coraz bardziej się przybliżało. Prosto na niego, bliżej, bliżej, a on jest bezbronny. Wtedy usłyszał Emily, błagającą o pomoc, wołającą swojego tatę, i także Charlotte, ale nie wiedział, gdzie one są. Biegł to w jedną, to w drugą stronę, ale ich przerażone głosy zdawały się zawsze dobiegać zza jego pleców. Nieznana groźba zbliżała się, zbliżała, dziewczynki były przerażone i płakały, Paige wołała go głosem nabrzmiałym ze strachu. Marty łkał z bezsilności. O dobry Jezu – to wszystko było niemal nad nim, ta rzecz, czymkolwiek była, tak niepowstrzymana jak spadający księżyc, zderzające się światy, ciężar ponad wyobrażalną miarę, tak pierwotna jak siła, która stworzyła wszechświat i tak niszcząca jak przeznaczenie, które pewnego dnia przyniesie mu kres, a Emily i Charlotte krzyczą, krzyczą...

Na zachód od Painted Desert, za Flagstaff w Arizonie, krótko przed piątą rano w poniedziałek, wirujące płatki śniegu spadają z ciemnego jeszcze nieba, a zimne powietrze przypomina skalpel, który tnie jego kości. Brązowa skórzana kurtka, którą wyjął z garderoby Jacka, nie jest dostatecznie ciepła. Drży, wlewając do baku hondy paliwo na samoobsługowej stacji.

Gdy jest znów na między stanowej 40, zaczyna trzystupięćdziesięciomilową podróż do Barstow w Kalifornii. Impuls, pod wpływem którego wciąż podąża na zachód, jest tak nieodparty, że czuje się równie bezradnie jak asteroid, na którego działa potężna ziemską grawitacja, niepowstrzymanie pchany ku straszliwej katastrofie.

Przerażenie wyrwało go ze snu o ciemności i nieznanej groźbie: Marty Stillwater usiadł wyprostowany na łóżku. Jego pierwszy świadomy oddech był tak głośny, że Marty obawiał się, że obudził Paige, ale ona spała nieporuszona. Czuł chłód, ale oblepiała go także skorupa potu.

Powoli jego serce uspokajało się, nie waląc już z taką przerażającą siłą. Sypialnia, rozjaśniona jarzącą się zielenią cyfr na zegarze elektronicznym, czerwoną lampką przy telewizorze i światłem zza okna, nie była tak czarna jak równina ze snu.

Ale nie mógł znów się położyć. Ten koszmar był bardziej wyrazisty i przerażający niż wszystko, co dotąd mu się przyśniło. Nie był zdolny do normalnego snu.

Wysunął się spod kołdry i podreptał na bosaka do najbliższego okna. Przyglądał się niebu nad dachami domów po drugiej stronie ulicy, jakby szukał czegoś na ciemnym sklepieniu.

Gdy jednak zauważył, że czerń nieba rozjaśnia się i przechodzi w głęboki szary błękit nad wschodnim horyzontem, zbliżający się świt napełnił go irracjonalnym strachem, takim samym, jaki przeżył sobotniego popołudnia w swoim gabinecie. Gdy do nieba podpełzła kolorowa jasność, Marty zaczął się trząść. Starał się panować nad sobą, ale dreszcze nasilały się. Nie bał się światła, ale tego, co miał przynieść ze sobą nowy dzień, jakąś nie nazwaną groźbę. Czuł, jak wyciąga po niego ręce, jak go szuka. Była to szalona myśl, do diabła, drżał tak gwałtownie, że musiał oprzeć się jedną ręką o parapet, by utrzymać równowagę.

– Co mi jest? – wyszeptał poruszony. – Co się dzieje, co mnie dręczy?

Godzina za godziną strzałka szybkościomierza waha się między cyframi dziewięćdziesiąt i sto. Kierownica wibruje w jego dłoniach. Bola go ręce. Honda tańczy, grzechoce. Z silnika dobywa się cienki, niezmienny pisk.

Czerwień rdzy, biel kości, żółć siarki, purpura żył skalnych, suchych jak popiół, bezpłodnych jak grunt na Marsie, bladeść piachu poznaczona węzowatymi graniami pstrokatych skał, urozmaicona tu i ówdzie obumarłymi mimozami: okrutna monotonia pustyni Mohave odznaczała się majestatyczną nieurodzajnością.

Zabójca myśli o starych filmach. Osadnicy podążający na zachód. Po raz pierwszy uświadamia sobie, jak bardzo musieli być odważni.

Filmy. Kalifornia. Jest w Kalifornii, ojczyźnie i królestwie filmów.

Przed siebie, przed siebie, przed siebie.

Od czasu do czasu, nieświadomie, wydaje z siebie jęk. Jak zwierzę umierające z pragnienia, gdy tuż obok jest ratunek, sadzawka pełna wody – ocalenie, do którego nie może dotrzeć.

Paige i Charlotte wsiadały do samochodu.

– Emily, pośpiesz się! – krzyknęły jednocześnie.

Gdy Emily wstała od stołu i ruszyła w stronę otwartych drzwi łączących kuchnię z garażem, Marty chwycił ją za ramię i odwrócił w swoją stronę.

– Czekaj, czekaj, czekaj.

– Och, zapomniałam – złożyła usta do buziaka.

– To potem.

– A najpierw?

– To. – Przyklęknął i papierowym ręcznikiem wytarł jej wąsy z mleka.

– Ale paskudztwo – powiedziała.

– Fajnie wyglądałaś.

– Jak Charlotte.

Uniósł brwi. Co?

– Jest takim flejtuchem.

– Nie bądź niemila.

– Ona o tym wie, tato.

– Mimo wszystko.

Z garażu ponownie dobiegł głos Paige.

Emily pocałowała go.

– Nie sprawiaj swojej nauczycielce zbyt wiele kłopotu – powiedział Marty.

– Nie więcej niż ona mnie – rzekła Emily.

Pod wpływem nagłego impulsu przyciągnął ją do siebie i objął mocno. Nie chciał, by odeszła. Pachniała mydłem Ivory, szamponem dla dzieci i płatkami owsianymi. Nigdy nie czuł niczego słodsze. Jej plecy wydawały się niepokojąco małe pod dotykiem jego dłoni. Była tak delikatna, że wyczuwał bicie serca nie tylko w jej klatce piersiowej, która stykała się z jego ciałem, ale też pod łopatką i kręgosłupem, gdzie spoczywała jego dłoń. Miał wrażenie, że stanie się coś strasznego i że nigdy już jej nie zobaczy.

Musiał ją puścić albo wyjaśnić powody, dla których nie chciał się z nią rozstać. A tego nie mógł przecież zrobić.

Widzisz, kochanie, problem w tym, że coś jest nie tak z głową taty, i wciąż męczą mnie te straszne

myśli, że stracę ciebie, Charlotte i mamę. Słuchaj, wiem, że nic się nie stanie, naprawdę, bo cały problem tkwi w mojej głowie. Wielki guz czy coś takiego. Czy potrafisz wymówić słowo „guz”? Wiesz, co to jest? No cóż, zamierzam pójść do lekarza i wyciąć to, po prostu wyciąć ten zły, stary guz, a wtedy będę zdrowy...

Nie odważyłby się powiedzieć jej tego. Tylko by ją wystraszył.

Pocałował ją w miękki, ciepły policzek i pozwolił odejść.

Zatrzymała się w drzwiach garażu i spojrzała na niego.

– Dalszy ciąg wiersza dziś wieczorem?

– Pewnie.

– Z renifera sałatka...

– ...zupa treściwa...

– ...wszelkie odmiany smacznego...

– ...mięsiwa – dokończył Marty.

– Wiesz co, tato?

– Co?

– Jesteś taaaaki niemądry.

Chichocząc, Emily weszła do garażu. Trzask drzwi zamykających się za nią był najbardziej ostatecznym dźwiękiem, jaki Marty kiedykolwiek słyszał.

Wpatrywał się w drzwi. Z trudem powstrzymywał się, by nie popędzić za nią, otworzyć jednym szarpnięciem i krzyknąć, żeby wracały do domu.

Usłyszał, jak ogromne drzwi garażu podjeżdżają do góry.

Paige nacisnęła pedał gazu przed wrzuceniem biegu. Silnik samochodu zapalił, zakrztusił się, zaskoczył, zwiększył obroty.

Marty wybiegł z kuchni, minął jadalnię i wpadł do salonu. Podeszedł do jednego z frontowych okien, skąd miał widok na podjazd. Żaluzje były podniesione, więc zatrzymał się kilka kroków przed szybą.

Białe BMW jechało tyłem wzdłuż podjazdu, wyłaniając się z cienia rzucanego przez dom i zanurzając w późnolistopadowy blask słońca. Emily siedziała z przodu, obok matki, a Charlotte z tyłu.

Gdy samochód zaczął się oddalać trzypasmową ulicą, Marty stanął tak blisko okna w salonie, że poczuł chłód zimnej szyby. Wiedział, że dopóki będzie na nie patrzył, będą bezpieczne...

Obraz znikającego samochodu zamgliała nagle zasłona gorących łez, które dotąd powstrzymał.

Potem odwrócił się od okna i spytał wściekle: co się, u diabła, ze mną dzieje?

Dziewczynki jechały tylko do szkoły, a Paige do biura. Tak było niemal co dzień. Rutyna. Nie miał żadnego logicznego powodu, by przypuszczać, że może stać się coś złego – dzisiaj czy kiedykolwiek.

Spojrzał na zegarek. Siódma czterdzieści osiem.

Do wizyty u doktora Gutheridge'a pozostało niewiele więcej niż pięć godzin, ale jemu wydawało się to nieskończenie długo. Wszystko mogło się wydarzyć w ciągu tych pięciu godzin.

Z Needles do Ludlow, a potem do Daggett.

Przed siebie, przed siebie, przed siebie.

Dziewiąta zero cztery czasu Wschodniego Wybrzeża.

Barstow. Suche, spalone słońcem miasto na twardej, pozbawionej wody ziemi. Kiedyś zatrzymywały się tutaj dyliżanse. Stare dworce kolejowe. Wyschnięte rzeki. Popękany tynk, obłaząca farba. Zieleń drzew spłowieła od wiecznej warstwy kurzu na liściach. Motele, fast foody, znów motele.

Stacja benzynowa. Benzyna. Toaleta. Batony czekoladowe. Dwie puszki zimnej coli.

Pracownik stacji zbyt przyjacielski. Rozmowny. Powoli wydaje resztę. Małe świnięskie oczka. Tłuste policzki. Nienawidzi go. Zamknij się, zamknij się, zamknij się.

Powinien go zastrzelić. Powinien rozwalić mu łeb. To by go usatysfakcjonowało. Ale nie zaryzykuje. Zbyt wiele ludzi w pobliżu.

Znów w drodze. Międzystanowa 15. Zachód. Batony i cola. Prędkość osiemdziesiąt mil na godzinę. Opustoszałe równiny. Wzgórki piachu, łupki. Skały wulkaniczne. Wysokie choinki.

Jak pielgrzym w drodze do świętego miejsca, jak leming pędzący do morza, jak kometa na swym odwiecznym kursie – zabójca zmierza ku zachodowi, ku zachodowi, ścigając tonące w oceanie słońce.

Marty ma pięć sztuk broni palnej.

Nie był myśliwym ani kolekcjonerem. Nie strzelał do rzutków, nigdy nie ćwiczył na strzelnicy. Nie bał się bandytów napadających na domy. Nie mógł nawet powiedzieć, że lubił broń, choć rozumiał potrzebę jej posiadania w niespokojnym świecie.

Kupował kolejne sztuki swego arsenału dla celów poznawczych. Jako autor kryminałów, piszący o policjantach i zabójcach, musiał wiedzieć, o czym pisze. Ponieważ nie był hobbystą, jeśli chodzi o broń, i nie miał zbyt wiele czasu, by poznawać szczegółowo tło i tematy występujące w każdej powieści, drobne błędy były od czasu do czasu nieuniknione, ale czuł się pewniej pisząc o broni, jeśli przedtem sam z niej strzelał.

W szufladzie nocnego stolika trzymał nie naładowany rewolwer korth 0.38 i pudełko amunicji. Korth był ręcznie wykonaną bronią najwyższej klasy, produkowaną w Niemczech. Nauczył się z niej korzystać, gdy pisał powieść zatytułowaną „Śmiertelny zmierzch” i zatrzymał ją w domu dla obrony osobistej.

Kilka razy, on i Paige, zabrali dziewczynki na strzelnicę, by wpoić im głęboki szacunek dla rewolweru przechowywanego w domu. Kiedy Charlotte i Emily będą dostatecznie duże, Marty nauczy je obchodzić się z bronią, choć nie tak potężną i z mniejszym odrzutem niż korth. Wypadki z bronią palną niemal zawsze były wynikiem ignorancji. W Szwajcarii, gdzie każdy obywatel miał obowiązek posiadania broni, szkolenie strzeleckie było powszechne i tragiczne wypadki zdarzały się niezwykle rzadko.

Wyjął 0.38 z nocnego stolika, załadował i zaniósł do garażu, gdzie włożył go do schowka zielonego forda taurusa. Pragnął mieć go przy sobie w drodze do i od doktora Gutheridge’a, z którym był umówiony.

Strzelbę mossberg kal.12, karabinek automatyczny colt M16 i dwa pistolety beretta model 92 i smith & wesson 5904 przechowywał w metalowej szafce, stojącej w jednym z rogów garażu. Były tam również pudełka z amunicją odpowiedniego kalibru. Rozpakował każdą sztukę broni i naładował.

Berettę schował w kuchni, w górnej szafce obok piecyka, za dwoma kamiennymi rondlami. Dziewczynki z pewnością nie znajdą tej broni, zanim zwoła rodzinną konferencję, mającą na celu wyjaśnienie powodów, dla których przedsięwziął te wyjątkowe środki ostrożności, jeśli w ogóle będzie umiał je wyjaśnić.

M16 ukrył na wyższej półce garderoby w przedpokoju, tuż obok drzwi wejściowych. Smitha & wessona włożył do biurka w gabinecie, do drugiej szuflady po prawej stronie, a mossberga wsunął pod łóżko w głównej sypialni.

Podczas tych przygotowań uświadomił sobie, że zdradza symptomy obłądzenia. Bał się nierealnego zagrożenia. Biorąc pod uwagę siedmiominutową fugę, jakiej doświadczył w sobotę, całe to zamieszanie

z bronią stanowiło ostatnią rzecz, którą powinien był robić.

Nie miał żadnego dowodu, świadczącego o nadchodzącym niebezpieczeństwie. Kierował nim wyłącznie instynkt, jak szeregową mrówką bezmyślnie wznoszącą fortyfikacje. Nigdy przedtem nie zdarzyło mu się nic podobnego. Z natury był człowiekiem myślącym, rozważnym, starannie planującym każde działanie. Ale była to fala instynktownego przymusu i był przez nią porwany.

Po chwili, gdy właśnie chował strzelbę w głównej sypialni, jego troskę o stan umysłu wyparło inne uczucie. Znów mu towarzyszyła przygniatająca atmosfera tamtego snu, miał wrażenie, że jakiś straszny ciężar zmierza ku niemu pędząc z morderczą szybkością. Powietrze zdawało się gęstnieć. Było niemal takie jak we śnie.

„Boże, dopomóż mi” – myślał i nie wiedział, czy prosi o ochronę przed jakimś nieznanym wrogiem, czy też przed mrocznym impulsem swego wnętrza.

Pragnę...

Diabelski kurz unosi się w rytualnym tańcu.

Blask słońca migocze w szkle rozbitych butelek na poboczu autostrady.

Jest najszybszy na drodze. Mija samochody, ciężarówki. Krajobraz to tylko plama. Gdzieniegdzie miasta, wszystkie jak plamy.

Szybciej, szybciej. Jak wsysany w czarną dziurę.

Mija Victorville.

Mija Apple Valley.

Przez Cajon Pass z prędkością czterdziestu dwóch mil, na wysokości stu stóp nad poziomem morza.

Potem w dół. Mija San Bernardino. Wjeżdża na trasę do Riverside.

Riverside. Carona.

Przez góry Santa Ana.

Pragnę być...

Południe. Trasa do Costa Mesa.

Miasto Orange. Tustin. Labirynt przedmieść południowej Kalifornii.

Ten potężny magnetyzm przyciąga, przyciąga. Jest bezlitosny.

Więcej niż magnetyzm. Grawitacja. W głąb wiru czarnej dziury.

Wjazd na trasę do Santa Ana.

Wysuszone usta. Gorzki, metaliczny smak. Serce wali młotem, puls uderza w skroniach.

Pragnę być kimś.

Szybciej. Jak przywiązany do ciężkiej kotwicy na nieskończenie długim łańcuchu, pędzi w mroczną głębię bezdennego oceanicznego rowu.

Mija Irvine, Laguna Hills, El Toro.

W ciemne serce tajemnicy.

...pragnę... pragnę... pragnę... pragnę... pragnę...

Mission Viejo. Ten skręt. Tak.

Zjazd z trasy.

W poszukiwaniu magnezu. Enigmatycznego wabika.

Pragnie odkryć nieznaną, dziwną i cudowną przyszłość. Dom. Tożsamość. Sens.

Tu skrócić w lewo, dwie przecznice, skrócić w prawo. Nieznane ulice. Ale musi tylko poddać się sile, która go prowadzi. Wtedy znajdzie właściwą drogę.

Domy w stylu śródziemnomorskim. Starannie przystrzyżone trawniki. Cienie palm na bladożółtym tynku ścian.

Tutaj.

Ten dom.

Podjechać do krawężnika. Zatrzymać się. W pewnej odległości.

Dom jak wszystkie inne. Z jedną różnicą. Coś w środku. To, co po raz pierwszy poczuł w dalekim Kansas. To, co go przyciąga. Coś.

Przynęta.

W środku.

Czeka.

Okrzyk triumfu i gwałtowny dreszcz ulgi. Nie musi już szukać swego przeznaczenia. Choć nie wie jeszcze, czym może ono być, jest pewien, że właśnie tu je znalazł. Ulga i radość spełnienia.

Jest bardziej podniecony niż kiedykolwiek, jednak teraz, wreszcie uwolniony ze szponów przymusu, odzyskuje spokój. Jego walące młotem serce zwalnia i zaczyna uderzać bardziej normalnym rytmem. Przestaje mu dzwonić w uszach i jest w stanie oddychać głębiej i regularniej niż przez ostatnie pięćdziesiąt mil. Po przerażająco krótkiej chwili jest już zewnętrznie spokojny i opanowany, jak wtedy w wielkim domu w Kansas City, gdzie pełen wdzięczności dzielił się delikatną intymnością śmierci z mężczyzną i kobietą, leżącymi w zabytkowym angielskim łożu.

Marty wyszedł z kuchni, wszedł do garażu, zatrasnął drzwi domu i nacisnął guzik podnoszący automatyczną klapę zamykającą garaż. Był ogarnięty paniką. Wierzył, że prześladuje go tajemniczy wróg, który posługuje się nie tylko swoimi pięcioma zmysłami, ale i środkami paranormalnymi, co było naprawdę zwariowanym pomysłem, na litość boską, wprost z *National Enquirer*, zwariowanym, a jednak nieodpartym, ponieważ naprawdę wyczuwał obecność jakiejś istoty... okrutnej, czającej się istoty, świadomej jego istnienia, gotowej do ataku. Czuł się tak, jakby do jego czaszki wstrzykiwano pod ogromnym ciśnieniem jakiś kleisty płyn, który poddawał jego mózg kompresji, wyciskając z niego zdolność jasnego myślenia. Częścią owego uczucia było także doznanie fizyczne, ponieważ doświadczał takiego przeciążenia jak nurek głębinowy pod miażdżącą masą wody, jego stawy przenikał ból, mięśnie paliły, a płuca nie chciały się rozszerzać i przyjmować nowej porcji powietrza. Skrajna wrażliwość na każdy bodziec niemal powaliła go na ziemię: głośny stukot podnoszonych drzwi garażu przypominał grzmot; przenikające z zewnątrz światło błyskawicę, a zastarzały odór zwykle zbyt słaby, by można go było wyczuć, wybuchnął niczym trująca chmura zarodników w kącie garażu, tak ostry, że poczuł mdłości.

Po chwili odzyskał władzę nad sobą. Choć początkowo miał wrażenie, że za chwilę pęknie mu czaszka, to jednak wszystkie objawy ustąpiły tak nagle, jak nagle zaczęły narastać. Odzyskał zdolność myślenia. Ból w stawach i mięśniach przeminął, a blask słońca nie ranił mu oczu. Przypominało to gwałtowne przebudzenie z koszmaru z tą tylko różnicą, że nie zapadł w sen.

Marty oparł się o taurusa. Wciąż się bał. Czekał w napięciu, aż kolejna niewytłumaczalna fala paranoicznego przerażenia zacznie go dręczyć.

Patrzył z ciemności garażu na ulicę, która była jednocześnie znajoma i obca, niemal spodziewając się, że nagle wyrośnie spod ziemi jakaś monstrualna zjawia albo spłynie z rozjaśnionego słońcem nieba istota nieludzka i bezlitosna, okrutna i pragnąca jego zguby, niewidoczne widmo z jego koszmaru sennego, teraz przyobleczone w ciało.

Nie odzyskał pewności siebie i nie mógł opanować drżenia, ale jego niepokój zmniejszał się stopniowo, aż wreszcie Marty był w stanie zastanowić się, czy ma odwagę prowadzić wóz. A jeśli dozna równie groźnego napadu strachu w chwili, gdy będzie siedział za kierownicą? A wtedy będzie bezbronny na pełnej zasadzek szosie.

Za wszelką cenę pragnął zobaczyć się z doktorem Gutheridge'em.

Zastanawiał się, czy nie powinien wrócić do domu i wezwać taksówki. Ale to nie był Nowy Jork, gdzie ulice roiły się od taksówek; w południowej Kalifornii zwrot „taxi service” brzmiał jak oksymoron. Zanim Marty dotarłby do gabinetu doktora Gutheridge'a taksówką, umówiona pora spotkania dawno by już minęła.

Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik. Z najwyższą ostrożnością wycofał się z garażu i wyjechał na ulicę, trzymając kierownicę tak sztywno jak dziewięćdziesięciopięciolatek, boleśnie świadomy kruchości swego szkieletu i naprężonej nici żywota.

Przez całą drogę do gabinetu doktora w Irvine Marty Stillwater myślał o Paige, Charlotte i Emily. Zdradziecka słabość jego ciała mogła pozbawić go radości patrzenia, jak dziewczynki stają się kobietami, przyjemności spokojnego starzenia się u boku Paige. Choć wierzył w życie pozagrobowe, świat, w którym ponownie połączy się z tymi, których kochał, życie doczesne było dla niego tak cenne, że nawet obietnica szczęśliwej wieczności nie mogłaby wyrównać straty tych paru lat po tej stronie zasłony.

Zabójca obserwuje z niewielkiej odległości samochód wyjeżdżający powoli z garażu.

Gdy ford skręca w przeciwną stronę i oddala się stopniowo znikając w jesiennym blasku słońca, mężczyzna uświadamia sobie, że magnes, który go przyciąga od samego Kansas, jest właśnie w tamtym samochodzie. Być może jest nim cień człowieka za kierownicą, choć wcale nie musi to być osoba, ale na przykład talizman schowany gdzieś w wozie, magiczny przedmiot, o którym nic nie wie i z którym jego los jest związany tajemniczą nicią.

Uruchamia silnik hondy, by ruszyć za tym, co go przyciąga, ale rezygnuje z jazdy, dochodzi do wniosku, że nieznajomy w fordzie tutaj wróci – prędzej czy później.

Zakłada szelki z kaburą, wsuwa do niej pistolet, zarzuca na ramiona skórzaną kurtkę.

Ze schowka w desce rozdzielczej wyjmuje zapinaną na zamek błyskawiczny saszetkę z kompletem narzędzi włamywacza: siedem drutów z giętkiej stali, wytrych w kształcie litery L i miniaturowy pojemnik z grafitowym smarem w aerozolu.

Wysiada z samochodu i rusza chodnikiem w stronę domu.

Przy końcu podjazdu stoi biała skrzynka na listy, na której widnieje wymalowane czarną farbą pojedyncze słowo STILLWATER. Te dziesięć czarnych liter zdaje się mieć symboliczną moc. Spokojne wody. Cisza. Błogostan. Znalazł spokojne wody. Walczył z burzliwym nurtem, gwałtownymi prądami i wirami, a teraz odszukał miejsce, gdzie może odpocząć, gdzie jego dusza znajdzie ukojenie.

Otwiera furtkę z żelaznych prętów, znajdującą się między garażem a ogrodzeniem, które znaczy granicę posesji. Idzie wzdłuż chodnika – po lewej ręce ma garaż, po prawej sięgający głowy żywopłot, w końcu dociera na tyły domu.

Na niewielkim podwórku jest gęsto od roślin.

Patio jest zakryte altaną z sekwoi gęsto oplecionej kolczastymi zwojami pnącza tropikalnego. Choć jest ostatni dzień listopada, skupiska krwawoczerwonych liści okalają daszek patio. Betonowa podłoga jest upstrzona czerwonymi plamkami, jakby rozegrała się tu ciężka bitwa.

Do domu można się dostać albo przez kuchnię, albo przez ogromne, rozsuwane szklane drzwi.

Obydwa wejścia są zamknięte.

Drzwi rozsuwane, za którymi widzi pusty salon z wygodnymi meblami i wielkim telewizorem, są dodatkowo zabezpieczone drewnianym kołkiem wetkniętym od wewnątrz. Jeśli nawet otworzy zamek, to i tak będzie musiał stłuc szybę, żeby wyciągnąć kołek.

Puka do drugich drzwi, choć przez okno, znajdujące się obok, widać, że w kuchni nie ma nikogo. Gdy nikt się nie odzywa, puka ponownie, i znowu cisza.

Wyjmuje ze swojego podręcznego zestawu narzędzi pojemnik z grafitem. Kuca obok drzwi i wtryskuje substancję do zamka. Brud, rdza czy inne zanieczyszczenia mogą blokować jego ruchome części mechanizmu.

Odstawia pojemnik. Wyciąga wytrych i szpilkę nazywaną „grabki”. Najpierw wsuwa w zamek klucz w kształcie litery L, by zachować odpowiednie naprężenie w centralnej części zamka. Następnie wprowadza grabki w dziurkę od klucza tak głęboko jak tylko się da, po czym podnosi do góry do momentu, gdy wyczuwa wałki. Zaglądając do dziurki, raptownie wyciąga grabki, ale nie udaje mu się podnieść wszystkich wałków bębna do maksymalnej pozycji, więc znów próbuje i znów. Wreszcie, za szóstym razem, udaje się.

Przekręca gałkę.

Drzwi się otwierają.

Jest niemal pewien, że usłyszy alarm, ale wciąż cisza. Sprawdza framugę. Nie zauważa magnetycznych przełączników, więc nie może być również cichego alarmu.

Chowa narzędzia i zapina skórzaną saszetkę. Przepływa próg domu i cicho zamyka za sobą drzwi.

Stoi przez chwilę w chłodnej, zacienionej kuchni, wchłaniając przyjazne wibracje wnętrza. Dom wita go. Tu zaczyna się jego przyszłość i będzie ona nieporównanie jaśniejsza niż pogmatwana i znaczonej amnezją przeszłość.

Wychodzi z kuchni, by zbadać pozostałą część domu. Nie wyciąga jednak z kabury P7. Jest pewien, że w domu nie ma nikogo. Nie wyczuwa żadnego niebezpieczeństwa, a jedynie wielką szansę.

– Pragnę być kimś – mówi, jakby ten dom był żywą istotą, obdarzoną magiczną mocą spełniania życzeń.

Parter nie oferuje niczego interesującego. Zwyczajne pokoje pełne są wygodnych, standardowych mebli.

Gdy już jest na górze, zatrzymuje się przy każdym pokoju tylko na krótko, odnotowując ogólny rozkład pierwszego piętra. Potem przystąpi do dokładnej rewizji. Jest tu główna sypialnia z osobną łazienką, garderoba, do której można wejść... sypialnia gościnnie... pokój dziecienny... jeszcze jedna łazienka...

Ostatnia sypialnia na końcu korytarza znajdująca się od strony ulicy pełni rolę gabinetu. Stoi tu duże biurko i zestaw komputerowy. Jest tu przytulnie i bezpiecznie. Pod oknami przymkniętymi okiennicami stoi miękka sofa, na biurku lampa witrażowa.

Dłuższą ścianę zakrywają obrazy zawieszane w podwójnym rzędzie, niemal rama przy ramie. Choć kolekcja składa się niewątpliwie z dzieł różnych artystów, temat całości jest taki sam – mroczny i okrutny: poskręcane cienie, wyłupione oczy rozszerzone z przerażenia, plansza magiczna używana podczas seansów spirytystycznych, na której stoi skrwawiony trójnóg, czarne jak smoła palmy na tle złowieszczego zachodu słońca, zniekształcona twarz w krzywym zwierciadle, połyskujące stalowe ostrza noży i nożyczek, mroczna ulica, gdzie poza kręgiem ponuro żółtego blasku lamp ulicznych czają się groźne figury, bezlistne drzewa o czarnych jak węgiel konarach, kruk o rozpalonych ślepiach,

przycupnięty na zbielełej czaszce, pistolety, rewolwery, strzelby, szpikulec do lodu, topór rzeźniczy, tasak, dziwacznie poplamiony młot, leżący obscenicznie na jedwabnym szlafroku i koronkowym prześcieradle...

Podobają mu się te dzieła.

Przemawiają do niego.

To życie, jakie on zna.

Odwraca się od tej galerii i zapala witrażową lampę. Podziwia wielobarwne tańczące cienie.

Kółka, owalne kształty, kolorowe łyzy, odbijające się jak w zwierciadle w czystej tafli szklanej, która chroni blat biurka, są wciąż urocze, ale ciemniejsze niż wówczas, gdy obserwuje się je bezpośrednio na kloszu lampy. W jakiś nieokreślony sposób są także złowieszcze.

Nachyla się do przodu i widzi bliźniacze owale swoich oczu, wpatrujące się w niego z gładkiego szkła. Migocząc swym własnym odbiciem mozaikowego blasku lampy, wydają się nie tyle oczami, ile świetlistymi czujnikami maszyny albo, jeśli są to oczy, to oczy rozgorączkowane, oczy czegoś, co nie ma duszy – więc szybko odwraca wzrok, zanim zbyt drobiazgowa autoanaliza doprowadzi go do strasznych myśli i wniosków, których nie będzie w stanie znieść.

– Pragnę być kimś – mówi nerwowo.

Jego spojrzenie pada na fotografię w srebrnej ramce, która również stoi na biurku. Kobieta i dwie dziewczynki. Uśmiechnięte. Podobają mu się.

Podnosi fotografię, by przyrzeć się jej bliżej. Przyciska opuszek palca do twarzy tej kobiety i żałuje, że nie może dotknąć jej naprawdę, poczuć ciepłej i poddającej się dotykowi skóry. Przesuwa palec po szkle.

Po minucie czy dwóch, kiedy odchodzi od biurka, zabiera ze sobą zdjęcie. Twarze na fotografii są tak wzruszające, że chce mieć możliwość patrzenia na nie, ilekroć poczuje takie pragnienie.

Przegląda tytuły na grzbietach książek, ustawionych na półkach i dokonuje odkrycia, które pozwala mu zrozumieć, choć nie do końca, dlaczego pragnął opuścić szare, jesienne niziny Środkowego Zachodu i wyruszyć ku słońcu Kalifornii.

Autor tych wszystkich książek jest ten sam: Martin Stillwater. To właśnie nazwisko widział na skrzynce pocztowej na zewnątrz.

Wyciąga z półek kilka tomów i stwierdza ze zdumieniem, że niektóre ilustracje na obwolutach już gdzieś widział. Ich oryginały wiszą na ścianie i tworzą galerię, która tak go zafascynowała. Każdy z tytułów występuje w kilku przekładach: francuskim, niemieckim, włoskim, holenderskim, szwedzkim, duńskim, japońskim i paru innych językach.

Ale nic nie jest równie interesujące jak zdjęcie autora na obwolucie. Studiuje te fotografie przez długą chwilę, wodząc palcem po rysach Stillwatera.

Zaintrygowany, przegląda skrzydełko. Potem czyta pierwszą stronę książki, potem pierwszą stronę następnej książki, i jeszcze następnej.

Natrafia na dedykację: *Dzieło to poświęcam mojej matce i ojcu, Minowi i Alice Stillwaterom, którzy nauczyli mnie, jak być uczciwym człowiekiem i których nie można winić za to, że jestem w stanie myśleć jak przestępca.*

Jego matka i ojciec. Patrzy ze zdumieniem na ich imiona. Nie pamięta tych ludzi, nie przypomina sobie ich twarzy, nie wie, gdzie mieszkają.

Wraca do biurka, by przejrzeć skoroszyt z adresami. Odkrywa, że Jim i Alice Stillwater przebywają w Mammoth Lakes, w Kalifornii. Dokładny adres nic mu nie mówi i zastanawia się, czy w tym właśnie

domu dorastał.

Musi kochać swoich rodziców. Zadeedykował im książkę. A jednak są dla niego zagadką. Tak wiele utracił.

Wraca do półek z książkami. Otwiera po kolei amerykańskie czy brytyjskie wydanie każdej powieści i szuka dedykacji, w końcu znajduje: *Paige, mojej doskonałej żonie, na której wzorowane są moje wszystkie najwspanialsze postaci kobiece wykluczając, oczywiście, zbrodnicze psychopatki.*

A dwa tomy dalej: *Moim córkom, Charlotte i Emily, z nadzieją, że pewnego dnia, gdy będą już duże, przeczytają tę książkę i będą wiedziały, że ojciec występujący w tej opowieści mówi z głębi mojego serca, gdy opowiada z takim przekonaniem i wzruszeniem o uczuciach, jakie żywi do swoich małych dziewczynek.*

Odkłada książkę. Podnosi fotografię. Wpatruje się w nią niemalże z nabożeństwem.

Ta atrakcyjna blondynka to z pewnością Paige. Doskonała żona.

Dziewczynki to Charlotte i Emily, choć nie ma możliwości stwierdzić, która jest która. Urocze dzieci.

Paige, Charlotte, Emily.

W końcu znalazł swoje życie. Tu jest jego miejsce. Tu jest dom. Od tej chwili zaczyna się przyszłość.

Paige, Charlotte, Emily.

Oto rodzina, do której zawiodło go przeznaczenie.

– Pragnę być Martym Stillwaterem – mówi i czuje dreszcz podniecenia na myśl, że wreszcie znalazł swoje własne, bezpieczne miejsce w tym zimnym i samotnym świecie.

Księga druga

Gabinet doktora Paula Gutheridge'a składał się z trzech pokoi. Przez te wszystkie lata Marty zdążył odwiedzić każdy z nich. Były identyczne i nie różniły się niczym od innych lekarskich gabinetów, począwszy od Maine, a skończywszy na Teksasie: bladoniebieskie ściany, sprzęty z nierdzewnej stali lub całkiem białe; odrapana umywalka, taboret, plansza z literami do badania wzroku. Miejsce to miało tyle uroku co kostnica, choć pachniało przyjemniej.

Marty siedział teraz na brzegu miękkiego, wyściełanego łóżka, przykrytego papierowym pokrowcem. Zdjął koszulę, a w pokoju było zimno. Choć wciąż miał na sobie spodnie, czuł się nagi, odsłonięty. Zobaczył samego siebie pogrążonego w katatonicznym letargu, niezdolnego do mówienia, ruchu czy nawet mrugnięcia okiem. Lekarz uznałby go za martwego, rozebrał do naga, przywiązał kartonik identyfikacyjny do dużego palca u nogi, zakleił taśmą powieki i odesłał do koronera, by ten odpowiednio zajął się jego ciałem.

Choć jego wyobraźnia autora powieści sensacyjnych zapewniała mu niezły dochód, sprawiała również, że czuł bardziej niż inni bezustanną bliskość śmierci. Każdy pies był potencjalnym nosicielem wścieklizny. W każdej nieznanej furgonetce przejeżdżającej w okolicy siedział psychopata, zboczeniec gotów porwać i zamordować jakiegokolwiek dziecko, pozostawione bez opieki dłużej niż trzy sekundy. Każda puszka zupy w spiżarni była pełna trupiego jadu kiełbasianego.

Właściwie nie bał się lekarzy, choć nie działali na niego także uspokajająco.

Tym, co go irytowało, była idea sztuki medycznej. Już tylko jej istnienie nie pozwalało zapomnieć, że nic życia jest słaba, a śmierć nieunikniona. Nie trzeba było mu o tym przypominać. Był dostatecznie świadomy swojej śmiertelności i wciąż borykał się z tym jakże dręczącym uczuciem.

Zdecydowany nie sprawiać wrażenia historyka, Marty zrelacjonował doktorowi dziwne doświadczenia trzech minionych dni spokojnym, rzeczowym głosem. Starał się używać raczej klinicznych terminów, zaczynając od siedmiominutowej fugi w gabinecie, a kończąc na gwałtownym ataku paniki, jakiego doznał wyjeżdżając z domu.

Gutheridge był znakomitym internistą po części dlatego, że potrafił słuchać, choć z pozoru nie sprawiał takiego wrażenia. Miał czterdzieści pięć lat, ale wyglądał o dziesięć młodziej i zachowywał się jak chłopak. Tego dnia miał na sobie tenisówki, wojskowe spodnie i koszulę z wizerunkiem Myszki Miki. W lecie nosił kolorowe koszule hawajskie. W tych rzadkich chwilach, gdy miał na sobie tradycyjny biały fartuch, zakrywający luźne spodnie, koszulę i krawat, twierdził, że właśnie „odgrywa doktora” albo „że znajduje się pod ścisłą kontrolą komitetu czuwającego nad normami odzieżowymi Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego”, albo „że nagle opanowało go poczucie boskiego posłannictwa służby, jaką pełni”.

Paige uważała, że Gutheridge jest nadzwyczajnym lekarzem, a dziewczynki traktowały go z wyjątkowym uczuciem, zarezerwowanym zwykle dla ulubionego wujka.

Marty też go lubił.

Podejrzał, że ekscentryczne zachowanie doktora nie jest tylko wykalkulowanym środkiem, mającym na celu rozbawienie pacjentów i uspokojenie ich. Podobnie jak Marty, Gutheridge wydawał się osobiście dotknięty samym faktem istnienia śmierci. Być może, jako młody mężczyzna, poczuł pociąg do medycyny, ponieważ uznał lekarza za rycerza walczącego ze smokiem kryjącym się pod postacią chorób i schorzeń. Młodzi rycerze wierzyli, że szlachetne intencje, wiedza i wiara zwyciężą zło. Starsi rycerze nie byli już tak naiwni i czasem posługiwali się humorem i ironią jak bronią, by oddalić od siebie gorycz

i rozpacz. Żarciki Gutheridge'a i koszulki z wizerunkiem Myszki Miki mogły zrelaksować jego pacjentów, ale były również jego prywatną obroną przed twardymi prawami życia i śmierci.

– Atak paniki? Właśnie ty? – spytał z powątpiewaniem Paul Gutheridge.

Marty powiedział:

– Hiperwentylacja, łomotanie serca, uczucie, jakbym miał wybuchnąć. To chyba atak paniki.

– A może seks?

– Wierz mi, to nie był seks. – Marty uśmiechnął się.

– Może masz rację – stwierdził z westchnieniem Gutheridge. – To było tak dawno, że nie jestem już pewien, jak on dokładnie wygląda. Wierz mi, Marty, mamy fatalną dekadę dla kawalerów, tyle paskudnych chorób... Spotykasz nową dziewczynę, umawiasz się z nią, niewinny pocałunek... a potem czekasz, kiedy twoje wargi zaczną gnicić i odpadać.

– Wspaniała wizja.

– Wyrazista, co? Może powinienem być pisarzem. – Zaczął badać lewe oko Marty'ego za pomocą oftalmoskopu. – Czy miewałeś ostatnio nietypowo silne bóle głowy?

– Raz. Podczas ostatniego weekendu. Ale nic nadzwyczajnego.

– Powtarzające się zawroty głowy?

– Nie.

– Chwilowe zaburzenia wzroku, widoczne zawężenie pola widzenia?

– Nic takiego.

Sprawdzając prawe oko Marty'ego Gutheridge powiedział:

– Wracając do zawodu pisarza, to paru lekarzy się tym para... Michael Crichton, Robin Cook, Somerset Maugham...

– Seuss.

– Nie bądź sarkastyczny. Jak będę ci następnym razem robił zastrzyk, to użyję końskiej igły.

– Zawsze mam wrażenie, że z niej korzystasz. Coś ci powiem. Ten zawód nie jest nawet w połowie tak romantyczny, jak się ludziom wydaje.

– Przynajmniej nie musisz się grzebać w próbkach moczu – stwierdził Gutheridge, odkładając oftalmoskop.

– Kiedy pisarz dopiero zaczyna, to wydawcy, agenci i producenci filmowi traktują go, jakby był próbką moczu.

– Owszem, ale teraz jesteś sławą – powiedział Gutheridge, wkładając do uszu słuchawki stetoskopu.

– Daleko mi jeszcze – sprzeciwił się Marty.

Gutheridge przycisnął lodowatą stal membrany stetoskopu do piersi Marty'ego.

– Dobra, oddychaj głęboko... wstrzymaj oddech... wypuść powietrze... i jeszcze raz. Po zbadaniu płuc i serca pacjenta doktor odłożył stetoskop. – Halucynacje?

– Nie.

– Dziwne zapachy?

– Nie.

– Czy to, co jesz, smakuje normalnie? Chodzi mi o to, że jesz lody i nagle czujesz gorycz albo smak cebuli, nic takiego?

– Nic takiego.

Gutheridge owinał ramię Marty'ego rękawem ciśnieniomierza.

– No cóż, z tego, co wiem, to żeby znaleźć się w magazynie *People*, trzeba być sławą – piosenkarzem

rockowym, aktorem, lizusowatym politykiem, mordercą albo może facetem z największą na świecie kolekcją wosku do uszu. Więc, jeśli uważasz, że nie jesteś sławnym pisarzem, to chcę wiedzieć, kogo zamordowałeś albo ile masz tego cholernego wosku w uszach.

– Skąd wiesz o *People*!

– Zamawiamy go do poczekalni. – Napompował opaskę powietrzem, aż się zacisnęła na ramieniu Marty'ego, i spojrzał na opadający słupek rtęci na podziałce. – Najnowszy numer przyszedł z dzisiejszą pocztą. Pokazała mi go moja sekretarka, była naprawdę rozbawiona. Powiedziała, że jest z ciebie najmniej prawdopodobny Mr Mord, jakiego mogła sobie wyobrazić.

– Mr Mord? – Marty był zaskoczony.

– Nie widziałeś tego? – spytał Gutheridge, ściągając mu z ramienia opaskę i kończąc pytanie nieprzyjemnym dźwiękiem odpinanych rzepów.

– Nie, jeszcze nie. Nie pokazują tego przed wydrukowaniem. Mówisz, że nazywają mnie Mr Mord?

– Cóż, to niezły pomysł.

– Niezły? – Marty zamrugał. – Zastanawiam się, czy Philip Roth byłby zadowolony z przydomka Mr Literat, a Terry McMillan z przydomka Mrs Czarna Saga.

– Wiesz, jak to jest. Popularność za wszelką cenę.

– Taka była pierwsza reakcja Nixona na wiadomość o Watergate, co?

– Dostajemy dwa egzemplarze *People*. Dam ci jeden. Gutheridge uśmiechnął się diabelsko. – Wiesz, zanim nie zobaczyłem tego artykułu, nie wiedziałem, jaki z ciebie przerażający facet.

– Tego się obawiałem – jęknął Marty.

– To nic złego. Przypuszczałem, że tak zareagujesz. To cię na pewno nie zabije.

– A co może mnie zabić, doktorze?

Gutheridge zmarszczył brwi.

– Opierając się na tym badaniu, powiedziałbym, że starzenie się. Sądząc po wszelkich zewnętrznych oznakach, jesteś w dobrej formie.

– Właśnie chodzi o to, że tylko zewnętrznych – powiedział Marty.

– Zgadza się. Chcę ci zrobić kilka testów. W Hoag Hospital.

– Jestem gotowy – zgodził się ponuro Marty, choć wcale nie był gotowy.

– Och, nie dzisiaj. Będą mogli się tobą zająć nie wcześniej niż jutro, a najpewniej w środę.

– Co można stwierdzić dzięki tym testom?

– Guzy mózgu, poważne zaburzenia składu chemicznego krwi, zmianę położenia szyszynki, powodującą ucisk okolicznych komórek mózgowych, co może dawać objawy podobne do twoich. Także inne rzeczy. Ale nie martw się. Jestem pewien, że niczego nie znajdziemy. Twoim problemem jest najprawdopodobniej stres.

– Tak mówi Paige.

– Widzisz? Mogłeś zaoszczędzić na moim honorarium.

– Bądź ze mną szczery, doktorze.

– Jestem szczery.

– Tylko że ja się boję.

Gutheridge skinął współczująco głową.

– Oczywiście, że się boisz. Ale słuchaj, widziałem znacznie dziwniejsze i ostrzejsze objawy niż twoje i okazywało się, że to stres.

– Mechanizm psychiczny.

– Tak, ale to przejściowe. Nie doznajesz również obłądu, jeśli o to ci chodzi. Spróbuj się odprężyć, Marty. Jeszcze przed końcem tygodnia będziemy wiedzieli, na czym stoimy. – Gdy było trzeba, Gutheridge potrafił wzbudzać zaufanie i uspokajać niczym wiekowa medyczna sława ubrana w garnitur i kamizelkę. Zdjął z wieszaka koszulę Marty’ego i podał mu ją. Nieznaczny błysk w oku zdradził, że w jego zachowaniu znów nastąpiła zmiana.

– Słuchaj, kiedy będę rezerwował dla ciebie termin w szpitalu, jakie nazwisko mam podać? Martin Stillwater czy Martin Mord?

Odkrywa swój dom. Pragnie dowiedzieć się jak najwięcej o swojej rodzinie.

Ponieważ bardzo pragnie być ojcem, zaczyna od sypialni dziewczynek. Przez chwilę stoi po prostu w drzwiach, patrząc uważnie na dwie różne części pokoju.

Zastanawia się, która z jego córek jest tą pełną energii osobką, zdobiącą ściany plakatami przedstawiającymi oślepiąco kolorowe balony i skaczących tancerzy, hodującą myszosczką i inne zwierzaki w drucianych klatkach i szklanych terrariach. Wciąż trzyma w ręku zdjęcie żony i dzieci, ale ich uśmiechnięte twarze nie zdradzają nic z ich osobowości.

Druga z córek jest bez wątpienia osobą o naturze refleksyjnej. Na ścianach spokojne krajobrazy, jej łóżko zaścielone starannie, poduszki przyklepane jak należy, książki stoją w równym rzędzie, a na biurku panuje porządek.

Kiedy odsuwa szklane drzwi garderoby, stwierdza, że tutaj także obowiązuje podobny podział. Ubrania po lewej są starannie ułożone według rodzaju i koloru. Te po prawej rzucone byle jak, przekrzywione na wieszakach i ściśnięte tak bardzo, że muszą się pognieść.

Ponieważ dzinsy i sukienki mniejszego rozmiaru znajdują się po lewej stronie garderoby, już wie, że schludna i refleksyjna dziewczynka to ta młodsza. Podnosi fotografię i wpatruje się w jej twarz. Chochlik. Taka urocza. Wciąż nie wie, czy ma na imię Charlotte czy Emily.

Podchodzi do biurka w części pokoju należącej do starszej córki i przygląda się bałaganowi: rozrzucone pisma, szkolne podręczniki, żółta wstążka do włosów, spinka w kształcie motyla, kilka porzucanych gum do żucia, kolorowe ołówki, zmięta para różowych podkolanówek, pusta puszka po coli, monety i gra elektroniczna.

Otwiera jeden z podręczników, potem następny. Patrzy na podpis: Charlotte Stillwater.

Starszą i mniej zdyscyplinowaną dziewczynką jest Charlotte. Młodsza, ta, która utrzymuje w swoich rzeczach porządek, to Emily.

Ponownie wpatruje się w ich twarze na fotografii.

Charlotte jest ładna, a jej uśmiech słodki. Jeśli jednak będzie miał kłopoty z którąś z nich, to właśnie z nią.

Nie będzie tolerował nieporządku w swoim domu. Wszystko musi być doskonałe. Schludne, czyste i szczęśliwe.

Gdy leżał w ciemności, samotny, w obskurnych pokojach hotelowych, w dziwnych obcych miastach, czuł ból pragnienia i nie rozumiał, co mogłoby zaspokoić jego tęsknotę. Teraz wie – bycie Martinem Stillwaterem, ojcem tych dzieci, mężem tej kobiety. To jego przeznaczenie, które wypełni straszną pustkę i w końcu przyniesie mu ukojenie. Jest wdzięczny sile, która go tu przywiodła, i jest zdecydowany spełnić obowiązki wobec swojej żony, swoich dzieci i społeczeństwa. Pragnie idealnej rodziny, podobnej do tych, jakie widział w kilku ulubionych filmach, pragnie być miły jak Jimmy Stewart we „Wspaniałym życiu” i mądry jak Gregory Peck w „Zabić drozda” i szanowany jak tamci dwaj, i zrobi wszystko, co jest konieczne do stworzenia domu pełnego miłości, harmonii i ładu.

Widział także „Złe nasienie” i dlatego wie, że niektóre dzieci mogą zniszczyć dom i harmonię i spokój, ponieważ mają moc czynienia zła. Niechlujne nawyki Charlotte i jej dziwaczna menażeria bardzo mocno przemawiają za tym, że jest ona zdolna do nieposłuszeństwa, a nawet okrucieństwa.

Gdy w filmach ukazują się węże, to zawsze są symbolem zła i zagrożeniem; a zatem wąż w terrarium stanowi przerażający dowód zepsucia dziewczynki, którą koniecznie trzeba będzie pokierować. Hoduje

także inne gady, parę gryzoni i wstrętnego czarnego żuka w szklanym słoju, a kino nauczyło go przecież kojarzyć te wszystkie stworzenia z siłami ciemności.

Znów wpatruje się w fotografię, dziwiąc się, jak niewinnie Charlotte wygląda.

Ale przypomnij sobie dziewczynkę ze „Złego nasienia”. Wydawała się aniołem, a jednak była demonem zła.

Wcielenie się w Martina Stillwatera wcale nie musi być proste, jak początkowo sądził. Charlotte może okazać się prawdziwym utrapieniem.

Na szczęście widział „Polegaj na mnie”, w którym Morgan Freeman jest dyrektorem szkoły średniej, zaprowadzającym porządek w przybytku wiedzy opanowanym przez anarchię, i widział „Dyrektora” z Jimmem Belushi, a zatem wie, że każde dziecko można wychować. Trzeba tylko mieć dość ikry, by narzucić własne reguły i zaprowadzić właściwy porządek.

Jeśli Charlotte okaże się nieposłuszna i uparta, będzie karał ją tak długo, aż nauczy się być małą, dobrą dziewczynką. Nie zawiedzie jej. Z początku będzie go nienawidzić za zakaz opuszczania pokoju, za sprawianie jej bólu, jeśli zajdzie taka konieczność, ale z czasem przekona się, że robił to dla jej dobra, i nauczy się go kochać i zrozumie, jaki jest mądry.

Może sobie nawet wyobrazić tę triumfalną chwilę, w której, po długiej walce, jej rehabilitacja stanie się faktem. Uświadomi sobie, że była złą córką, a on dobrym ojcem, co unaocznia się w poruszającej scenie. Obydwoje będą płakać. Rzuci mu się w ramiona, skruszona i zawstydzona. On obejmie ją mocno i powie, że wszystko już w porządku, i żeby nie płakała. A ona powie drżącym głosem: Och, tatusiu, i przylgnie do niego z całej siły, i od tej chwili wszystko będzie się między nimi układało doskonale.

Tęskni do owego słodkiego triumfu. Słyszy nawet strzelistą i pełną uczucia muzykę, która będzie tłem owej wzniosłej chwili.

Odwraca się od części pokoju, należącej do Charlotte, i podchodzi do starannie zaścielonego łóżka młodszej córki.

Emily. Chochlik. Nigdy nie sprawi mu kłopotu. Jest dobrą córką.

Będzie ją trzymał na kolanach i czytał jej opowiadania. Będzie ją zabierał do zoo, a jej mała rączka będzie ginęła w jego dłoni. Będzie jej kupował popcorn w kinie i będą siedzieć obok siebie w ciemności, śmiejąc się z najnowszego pełnometrażowego filmu rysunkowego Disneya.

W jej dużych, ciemnych oczach dostrzeże uwielbienie dla niego.

Słodka Emily. Kochana Emily.

Niemal z czcią zsuwa z łóżka kordonkową narzutę. Koc. Kołdrę. Wpatruje się w prześcieradło, na którym spała ostatniej nocy, i w poduszki, na których spoczywała jej delikatna główka.

Jego serce wzbiera miłością i czułością.

Kładzie na prześcieradle rękę, przesuwa nią tam i z powrotem...

Każdej nocy będzie kładł ją do łóżka. Ona będzie przyciskać małe usteczka do jego policzka, takie małe, ciepłe pocałunki i jej oddech będzie pachniał słodkim, miętowym aromatem pasty do zębów.

Nachyla się, by powąchać prześcieradło.

– Emily – mówi cicho.

Och, jak pragnie być jej ojcem i patrzeć w te ciemne kryształowo czyste oczy, te wielkie i pełne uwielbienia oczy.

Wraca z westchnieniem na stronę Charlotte. Odkłada oprawioną w srebrną ramkę fotografię swej rodziny na jej łóżko i przygląda się stworzeniom zamieszkującym klatki ustawione na półce po książkach.

Zwierzęta obserwują go.

Zaczyna od myszokoczka. Gdy wyciąga zatyczkę z drzwiczek i otwiera klatkę, płochliwe zwierzątko chowa się w najdalszym kącie, sparaliżowane strachem. Wyczuwa jego zamiary. Łapie je i wyciąga z klatki. Choć stworzenie próbuje się wyrwać, on mocno ściska jego ciało w prawej dłoni, główkę w lewej, i robi gwałtowny ruch, łamiąc mu kręgosłup. Suchy trzask. Krzyk zwierzęcia jest przenikliwy, lecz krótki.

Rzuca martwe zwierzę na kolorową narzutę.

To będzie początek wdrażania dyscypliny, jakiej zostanie poddana Charlotte.

Znienawidzi go. Ale tylko na chwilę.

W końcu uświadomi sobie, że te stworzenia nie są odpowiednie dla małej dziewczynki. To symbole zła. Gady, gryzonie, żuki. Takich istot używają w swych praktykach czarownice, by za ich pośrednictwem komunikować się z szatanem.

Wiedział o nich wszystko, o tych sługach czarownic. Gdyby w domu był kot, zabiłby go bez wahania, bo koty bywają czasami istnym pomiotem piekieł.

Przyjmując pod swój dach takie istoty, ryzykuje się zaproszenie samego diabła.

Pewnego dnia Charlotte zrozumie. I będzie wdzięczna.

W końcu go pokocha.

Wszyscy go pokochają.

Będzie dobrym mężem i ojcem.

Znacznie mniejsza od myszokoczka wystraszona myszka trzęsie się w jego zaciśniętej pięści, jej ogon zwisa między jego złączonymi palcami, wystaje tylko głowa. Opróżnia pęcherz. On krzywi się, czując ciepłą wilgoć na ręce. Pełen obrzydzenia zaciska dłoń z całej siły, miażdżąc w tej odrażającej, małej bestii życie.

Rzuca ją na łóżko obok martwego myszokoczka.

Nieszkodliwy wąż ogrodowy w szklanym terrarium nie ma zamiaru odpełznąć dalej. Zabójca chwytając go za ogon i zamachuje się nim jak batem, a następnie chłoszcze mocno ścianę, i znów, i jeszcze raz. Przysuwa gada do twarzy i widzi, że jest on zupełnie bezwładny i ma zgruchotaną czaszkę.

Kładzie węża obok martwych gryzoni.

Żuk i żółw wydają satysfakcjonujący, chrupoczący dźwięk, gdy miażdży je obcasem swego buta. Umieszcza ich maziste szczątki na narzucie łóżka.

Tylko jaszczurka ucieka. Gdy odsuwa wieko terrarium i sięga po nią, kameleon błyskawicznie wbiega na jego rękę, i zeskakuje z ramienia. Zabójca odwraca się na pięcie i dostrzega zwierzątko na komodzie, gdzie przemyka między szczotką do włosów a grzebieniem, w stronę pudełka z biżuterią. Tam zastyga w bezruchu i zaczyna zmieniać kolor, by wtopić się w otoczenie, ale gdy zabójca próbuje je złapać, ucieka z komody na podłogę, biegnie przez cały pokój, znika pod łóżkiem i ginie z pola widzenia.

Postanawia dać mu spokój.

Może nawet lepiej, że kameleon uciekł. Gdy Paige wróci z dziewczynkami do domu, poszukają go razem we czwórkę. A gdy go znajdą, on zabije go na oczach Charlotte, albo może nawet każe jej zrobić to samej. To będzie dobra lekcja. Już nie będzie przynosiła do domu Stillwaterów nieodpowiednich stworzeń.

Marty siedział w samochodzie stojącym na parkingu, przed dwukondygnacyjnym biurowcem w hiszpańskim stylu, gdzie mieścił się gabinet doktora Gutheridge'a, i gdy porywisty wiatr pędził po chodniku martwe liście, on czytał magazyn *People*. Artykuł o sobie samym. Dwie fotografie i tekst, który zmieściłby się na jednej stronie, zajmował trzy. Przynajmniej przez te kilka minut, potrzebnych na przeczytanie artykułu, zapomniał o innych troskach.

Drgnął na widok czarnego nagłówka, choć wiedział, czego się spodziewać. Mr Mord. Niżej podtytuł, wydrukowany mniejszymi literami: MIESZKAJĄCY W POŁUDNIOWEJ KALIFORNII AUTOR KRYMINAŁÓW, MARTIN STILLWATER, WIDZI CIEMNOŚĆ I ZŁO TAM, GDZIE INNI WIDZĄ TYLKO BLASK SŁOŃCA.

Przedstawiono go jako wiecznie zamyślonego pesymistę, który ubiera się tylko na czarno, i czai na plażach i wśród palm, spoglądając złym wzrokiem na każdego, kto ma odwagę czuć się szczęśliwszy. W najlepszym razie sugerowano, że jest teatralnym przebierańcem, strojącym się w kostium – który, jak mu się wydaje – najlepiej pasuje do autora kryminałów.

Być może jego reakcja była przesadna. Paige powiedziała, że jest zbyt czuły na takie rzeczy. Zawsze mu to mówiła, co sprawiało, że czuł się lepiej, bez względu na to, czy wierzył w jej słowa, czy też nie.

Zanim zaczął czytać tekst, przyjrzał się fotografiom.

Pierwsza, największa przedstawiała go stojącego na podwórku za domem, na tle drzew i ciemniejącego o zmierzchu nieba. Wyglądał jak obłąkany.

Fotograf, Ben Walenko, otrzymał instrukcje, by stosownie upozować Marty'ego, zjawił się więc z rekwizytami, które model miał dzierżyć w dłoniach, z odpowiednio groźnym wyrazem twarzy: siekierą, wielkim nożem, szpikulcem do lodu i rewolwerem. Kiedy Marty grzecznie odmówił skorzystania z rekwizytów i nie zgodził się na założenie prochowca z podniesionym kołnierzem, a także fedory nasuniętej głęboko na czoło, fotograf przyznał, że pomysł przebieranki był śmieszny i zasugerował, by zamiast banalnych ujęć zrobić zdjęcia przedstawiające Marty'ego jako pisarza i zwykłego człowieka.

Teraz było jasne, że Walenko okazał się na tyle sprytny, by dostać to co chciał, bez uciekania się do rekwizytów, zwodząc swego modela złudnym poczuciem bezpieczeństwa. Zdawało się, że podwórko stanowi nieszkodliwą scenografię. Jednakże, dzięki kombinacji głębokich cieni zmierzchu, majaczących w tle drzew, złowieszczych chmur rozświetlonych przez ostatnie ponure światło dnia, odpowiedniego ustawienia reflektorów i skrajnego kąta, pod jakim ustawiono aparat, fotografowi udało się przedstawić Marty'ego jako kogoś niesamowitego. Co więcej, spośród dwudziestu zdjęć, zrobionych na podwórzu, wydawca wybrał najgorsze: Marty miał na nim zęza; twarz wykrzywioną grymasem; światło reflektorów odbijało się w zmrużonych oczach, które zdawały się świecić jak oczy zombi.

Drugie zdjęcie zostało zrobione w gabinecie. Siedział przy biurku, przodem do obiektywu. Przypominał samego siebie, choć teraz wolałby nie przypominać, wydawało się bowiem, że pragnąc zachować resztki godności usiłuje ukryć prawdziwy wygląd pod osłoną tajemnicy; połączenie cieni i szczególnego światła rzucanego przez witrażową lampę, nawet na czarno-białej fotografii, sprawiało, że przypominał cygańskiego wróżbitę, który właśnie dostrzegł w kryształowej kuli oznakę własnej klęski.

Był przekonany, że mnóstwo problemów współczesnego świata można przypisać wpływowi mediów na społeczeństwo. Absurdalne upraszczanie wszelkich zagadnień i mieszanie fikcji z rzeczywistością prowadzi do chaosu w świecie wartości. Wiadomości telewizyjne przedkładały dramatyczność nad fakty,

sensacyjność nad treść. A popularność tych programów badano tymi samymi metodami, jakich używali producenci nadawanych w najlepszym czasie filmów policyjno-sądowych. Filmy dokumentalne o wybitnych postaciach stały się „dramatyzowanymi dokumentami”, w których prawdę historyczną bezlitośnie podporządkowywano wartościom rozrywkowym czy nawet osobistym fantazjom twórców. Opatentowane leki polecali w telewizyjnych reklamach wykonawcy, którzy również grali rolę lekarzy w programach o wysokiej oglądalności, jakby naprawdę byli absolwentami wydziału medycznego Uniwersytetu Harwardzkiego, a nie jednego czy dwóch kursów aktorskich. Politycy występowali w krótkich epizodach w komediach sytuacyjnych. Aktorzy pojawiali się na wiecach politycznych. Nie tak dawno temu wiceprezydent Stanów Zjednoczonych zaangażował się w dość długą dyskusję z fikcyjnym reporterem telewizyjnym, bohaterem komedii. Widzowie mylili aktorów i polityków z rolami, jakie odgrywali. Autor kryminałów miał nie tylko przypominać jakąś postać ze swej powieści, ale również komiksowy archetyp najpopularniejszego bohatera całego gatunku literackiego. I z roku na rok coraz mniej ludzi było w stanie myśleć jasno o ważnych zagadnieniach, a granice między fantazją i realnym życiem zacierały się coraz bardziej.

Marty już dawno postanowił, że nie będzie uczestniczył w tej chorej grze, ale został w nią wciągnięty podstępem. Teraz istniał w masowej świadomości jako Martin Stillwater – przerażający i tajemniczy autor opowieści o zabójstwach, zainteresowany bez reszty ciemną stroną życia, równie pesymistyczny i dziwny jak tworzeni przez niego bohaterowie.

I pewnego dnia jakiś skołowany obywatel przyjedzie pod jego dom starą furgonetką ozdobioną napisami oskarżającymi go o zabicie Johna Lennona, Johna Kennedy’ego, Ricka Nelsona i Bóg jeszcze wie kogo, nie zważając zgoła na to, że Marty był niemowlakiem, gdy Lee Harvey Oswald pociągnął za spust mierząc do Kennedy’ego (albo gdy siedemnaście tysięcy trzydziestu dwóch konspiratorów o skłonnościach homoseksualnych pociągnęło za spust, jeśli wierzyć w to, co pokazywał film Oliviera Stone’a). Coś podobnego przytrafiło się Stephenowi Kingowi, czyż nie? A Salman Rushdie? Z pewnością przeżył parę lat równie ekscytujących jak te, które stały się udziałem jakiegoś bohatera fantazji sensacyjnej Roberta Ludluma.

Zmartwiony i zakłopotany, Marty obserwował parking, by się upewnić, że nikt go nie obserwuje. Kilku ludzi zmierzało w stronę samochodów lub opuszczało je, ale nie zwracali na niego najmniejszej uwagi.

Słoneczny dotychczas dzień zakryły nadpełzające chmury. Wiatr zakręcił martwymi liśćmi maleńkie tornado, które tańczyło po opustoszałej asfaltowej przestrzeni parkingu.

Przeczytał artykuł, pomrukując i wzdychając od czasu do czasu. Tekst, choć zawierał kilka drobnych błędów, był właściwie do przyjęcia. Ale ogólny ton odpowiadał fotografiom. Niesamowity, stary Marty Stillwater. Co za posępny, ponury facet. W każdym uśmiechu dostrzega podły i obłudny grymas przestępcy. Pracuje w mrocznym gabinecie i mówi, że właśnie próbuje zredukować jasność ekranu monitora przy komputerze (he, he).

To, że nie wyraził zgody na zamieszczenie fotografii Charlotte i Emily, by uchronić ich prywatność i ustrzec przed dokuczaniem ze strony rówieśników, dziennikarze *People* zinterpretowali jako obsesyjny strach przed porywaczami. W końcu parę lat temu napisał powieść o porwaniu.

Paige, „równie ładna i mądra jak bohaterki Martina Stillwatera”, określono jako „psychologa, którego zawód wymaga zagłębiania się w najciemniejsze sekrety pacjentów”, jak gdyby nie zajmowała się dziećmi, cierpiącymi z powodu rozvodu rodziców, czy też śmierci najbliższych, ale dogłębną analizą osobowości najbrutalniejszych, seryjnych morderców.

– Stara, niesamowita Paige Stillwater – powiedział głośno. – No cóż, musi być taka, skoro za mnie wyszła.

Pomyślał, że jednak przesadza.

Jednak zamykając magazyn stwierdził:

– Dzięki Bogu, że nie pozwoliłem dziewczynkom uczestniczyć w tym wszystkim. Zrobiono by z nich dzieci z „Rodziny Adamsów”.

Znów pomyślał, że przesadza, ale jego nastrój nie poprawił się od tego. Czuł się brutalnie skrzywdzony zaszufadkowany, spłycony... A to, rozmyślał, wydawało się potwierdzać irytująco jego ogólnonarodową reputację zabawnego ekscentryka.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i uruchomił silnik.

Gdy jechał przez parking w stronę gwarnej ulicy, dręczyło go przecucie, że sobotnia fuga jest czymś więcej niż tylko przejściową zmianą nastroju. Artykuł w magazynie był kolejnym znakiem na tej nowej, mrocznej drodze, i że czeka go długa podróż po wyboistej nawierzchni, nim znów wjedzie na gładką autostradę, którą niepostrzeżenie zgubił.

Wirujące liście uderzyły w samochód, strasząc go. Suche płaty otarły się z chrzęstem o maskę i dach niczym szpony bestii, pragnącej dostać się do wnętrza samochodu.

Czuje głód. Nie spał od piątku, przejechał pół kraju, w fatalnej pogodzie i przeżył podniecające półtorej godziny w domu Stillwaterów, gdzie znalazł swoje przeznaczenie. Jego zasoby energii są uszczuplone. Drży i czuje, jak uginają się pod nim nogi.

Idzie do kuchni, wyjmuje jedzenie z lodówki i kładzie na dębowym stole. Zjada kilka plasterów szwajcarskiego sera, pół bochenka chleba, kilka ogórków marynowanych, większą część kawałka bekonu o wadze funta. Nie zawraca sobie głowy przyrządzaniem sandwiczów, kęs tego i kęs tamtego, pożera bekon na surowo, bo nie chce marnować czasu na smażenie, je szybko i łapczywie, obsesyjnie skupiony na swojej uczcie, żarłoczny, niepomny dobrych manier. Popija ogromnymi haustami zimnego piwa, które pieni się na jego brodzie. Jest jeszcze tyle rzeczy, które pragnie zrobić przed powrotem żony i dzieci do domu, a przecież nie wie, kiedy może się ich spodziewać. Tłuste mięso jest zapychające, więc co pewien czas zanurza rękę w szerokim słoju z majonezem, wyciąga garścią lepkaż i zlizuje z palców, żeby jedzenie w ustach, którego nie może połknąć nawet popijając kolejną butelką piwa, łatwiej przechodziło przez przełyk. Kończy posiłek dwoma kawałkami czekoladowego tortu, które także popija piwem, po czym pospiesznie wyciera plamy papierowymi ręcznikami i myje ręce nad zlewem.

Odżywa.

Wraca na piętro z fotografią w srebrnej ramce w ręku, przeskakując po dwa stopnie naraz. Zmierza w stronę głównej sypialni, gdzie zapala obydwie nocne lampki.

Przez chwilę wpatruje się w królewskie łożo, podniecony myślą o uprawianiu z Paige seksu. O uprawianiu miłości. Gdy robi się to z kimś, kogo się naprawdę kocha, wtedy to się nazywa „uprawianie miłości”.

A on naprawdę ją kocha.

Musi ją kochać.

To przecież jego żona.

Jej twarz jest dobra, doskonała. Pełne usta, kształtne kości policzkowe i roześmiane oczy, ale wciąż nie wie, jak wygląda jej ciało. Wyobraża sobie, że jej piersi są pełne, brzuch płaski, nogi długie i zgrabne, i pragnie z nią leżeć, głęboko w jej wnętrzu.

Otwiera szuflady w komodzie po kolei, aż znajduje jej bieliznę. Pieści jej halkę, gładkie miseczki stanika, koronkową koszulkę. Wyciąga z szuflady jedwabne majteczki i pociera nimi twarz, oddychając głęboko i powtarzając szeptem jej imię.

Uprawianie miłości z Paige będzie niewyobrażalnie różne od przesiąkniętego potem seksu z dziewczynami z barów, bo tamte doświadczenia zawsze zostawiały uczucie pustki, wyobcowania, niezadowolenia. Pragnął bliskości i nigdy jej nie dostawał. Niezadowolenie rodzi gniew; gniew prowadzi do nienawiści, nienawiść wywołuje przemoc, a przemoc czasem uspokaja. Ale to się nie powtórzy, gdy będzie się kochał z Paige, ponieważ są dla siebie stworzeni. Przy niej jego pragnienie będzie zaspokojone w takim samym stopniu jak pożądanie. Razem osiągną związek doskonalszy od wszystkiego, co jest w stanie sobie wyobrazić, idealną jedność, szczęście, duchowe i cielesne spełnienie, a wszystko to widział na filmach – ciała zanurzone w złotym świetle, ekstaza, rozkosz. Nie będzie jej musiał potem zabijać, bo będą jedną istotą, dwa serca bijące zgodnym rytmem, i nie będzie już musiał nikogo zabijać, bo wzniosą się ponad wszystko, a jego pragnienia zostaną cudownie zaspokojone.

Wizja miłosnego związku niemal pozbawia go tchu.

– Uczynię cię tak szczęśliwą, Paige – obiecuje jej twarzą na fotografii.

Uświadamia sobie, że nie kąpał się od soboty. Pragnie być czysty – dla niej... Odkłada jedwabne majteczki na stos bielizny, wsuwa szufladę z powrotem i udaje się do łazienki, żeby wziąć prysznic.

Zrzuca z siebie ubranie, które zabrał z motodomu siwowłosego emeryta, Jacka, w niedzielę w Oklahomie, zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu. Zwijając każdą rzecz w kulę, wciska ją do mosiężnego kosza na bieliznę.

Kabina prysznicowa jest obszerna, a woda wspaniale gorąca. Namydla się starannie, pokrywając ciało gęstą pianą i wkrótce obłoki pary przenika duszący, kwiatowy aromat.

Wyciera się żółtym ręcznikiem i przeszukuje szafkę w łazience. – Znajduje przybory toaletowe. Używa dezodorantu w sztyfcie, a potem zaczesuje mokre włosy od czoła do tyłu, tak by wyschły w naturalny sposób. Goli się maszynką elektryczną, spryskuje twarz odrobiną wody kolońskiej o zapachu kwiatu lipy i czyści zęby.

Czuje się jak inny człowiek.

Z garderoby wyjmuje parę bawełnianych spodenek, niebieskie dżinsy, flanelową koszulkę w niebiesko-czarną kratę, skarpetki gimnastyczne i tenisówki Nike. Wszystko pasuje jak ulał.

Tak dobrze być w domu.

Paige stała przy jednym z okien i obserwowała szare chmury napływające od zachodu, niesione wiatrem znad Pacyfiku. Gdy zbliżyły się, ziemia pod nimi ściemniała, a spowite słońcem budynki przykrył całun cieni.

Prywatny pokój w jej trzypokojowym biurze na szóstym piętrze miał dwa wielkie okna, za którymi rozciągał się mało interesujący widok na szosę, centrum handlowe i ściśnięte dachy domów, tworzących ulice i ciągnących się przez Orange County do samej nieskończoności. Wolałaby mieć okno z panoramicznym widokiem na ocean albo na dziedziniec z bujną roślinnością, ale to oznaczało wyższy czynsz i było wykluczone w pierwszych latach kariery pisarskiej Marty'ego, gdy Paige musiała zarabiać na całą rodzinę.

A nawet teraz, pomimo coraz większych sukcesów i znaczących dochodów Marty'ego, zobowiązanie się do płacenia wyższego czynszu w jakimś nowym miejscu byłoby wciąż ryzykowne. Nawet udana kariera literacka nie dawała pewności. Właściciel sklepu warzywnego mógł na wypadek choroby liczyć na swoich pracowników, którzy go zastąpią, ale gdyby Marty zachorował, jego praca stanęłaby ze zgrzytem w miejscu.

A Marty był chory. Może nawet poważnie.

Nie, nie miała zamiaru o tym myśleć. Jeszcze nie teraz. Odwrotne zachowanie było charakterystyczne dla dawnej Paige, dla Paige, która nie знаła jeszcze Marty'ego – martwić się tym, co jest prawdopodobne, a nie tym, co już jest faktem. A choroba Marty'ego jeszcze nie była faktem.

Ciesz się chwilą – powiedziałyby Marty. Był urodzonym terapeutą. Czasami myślała, że nauczyła się więcej od niego niż na zajęciach, w których uczestniczyła, by zrobić doktorat z psychologii.

Ciesz się chwilą.

Tętniący ruch za oknem dodawał jej pewności siebie. I choć Paige miała niegdyś takie skłonności do przygnębienia, że nawet zła pogoda mogła popsuć jej nastrój, wszystkie te lata z Martym i jego niezmiennie wesołe usposobienie sprawiły, że mogła dostrzec posępne piękno w nadciągającej burzy.

Urodziła się i wychowała w domu pozbawionym miłości, tak ponurym i zimnym jak arktyczna grota. Ale to było dawno i niewiele już pamiętała.

Ciesz się chwilą.

Spojrzała na zegarek i zaciągnęła zasłony, ponieważ nastrój, w jakim znajdowali się jej dwaj następni klienci, mógł ulec zmianie pod wpływem tej szarej pogody.

Teraz pokój był tak przytulny jak salon w prywatnym domu. Biurko, książki i kartoteka znajdowały się w trzecim gabinecie, rzadko odwiedzanym przez pacjentów. Zawsze spotykała się z nimi w tym miłszym pokoju. Sofa z kwiatowym wzorkiem i mnóstwem poduszek promieniowała ciepłem, a każdy z trzech foteli o pluszowym obiciu był dostatecznie obszerny, by młodzi goście mogli skulić się z podwiniętymi nogami, jeśli tak było im wygodniej. Seledynowe lampy z frędzelkowatymi abażurami rzucały przyjemne światło, które połyskiwało w bibelotach ustawionych na podręcznym stoliku i porcelanowych figurkach stojących na mahoniowej szafce.

Paige zazwyczaj częstowała gorącą czekoladą i piernikami albo precelkami i szklanką coli. Rozmowa od razu toczyła się gładko, ponieważ mały klient czuł się tu jak w domu babci. W każdym razie ten pokój przypominał dom babci z czasów, gdy żadna babcia nie poddawała się operacji plastycznej, nie zmieniała figury przez odsysanie tłuszczu, nie rozwodziła się z dziadkiem, nie jechała do Cabo San Lucas, żeby kogoś poderwać, albo na weekend do Vegas ze swoim chłopakiem.

Wielu klientów, w czasie pierwszej wizyty, było zdumionych, nie widząc w gabinecie dzieł zebranych Freuda i leżanki. Nawet gdy przypominała, że nie jest psychiatrą, że nie jest w ogóle lekarzem, ale terapeutą ze stopniem naukowym z psychologii i że przychodzą do niej klienci, nie pacjenci, ludzie mający przede wszystkim problemy z porozumiewaniem się, a nie nerwice czy psychozy, zdumienie nie opuszczało ich przez pierwsze pół godziny. Wreszcie nastrój tego pokoju, a także, co sprawiało jej przyjemność, jej sposób zachowania i rozmowy podbijały ich serca.

Była umówiona o drugiej z Samantha Acheson i jej ośmioletnim synem, Seanem, i była to ostatnia wizyta tego dnia. Pierwszy mąż Samantha, ojciec Seana, zmarł wkrótce po piątych urodzinach chłopca. Dwa i pół roku później Samantha ponownie wyszła za mąż i problemy emocjonalne Seana zaczęły się dokładnie w dniu ślubu. Paige wiedziała, że wynikały z błędnego przekonania chłopca, że matka zdradziła jego zmarłego ojca i może pewnego dnia zdradzić także i jego. Przez pięć ostatnich miesięcy Paige spotykała się z Seanem dwa razy w tygodniu. Udało jej się zdobyć jego zaufanie i nawiązać nić porozumienia, mogli więc dyskutować o bólu, strachu i gniewie, o czym nie potrafił rozmawiać ze swoją matką. Tego dnia Samantha miała po raz pierwszy uczestniczyć w spotkaniu. Było to bardzo ważne, bo zwykle terapia postępowała znacznie szybciej z chwilą, gdy dziecko było gotowe powiedzieć matce albo ojcu to, co mówiło już terapeutę.

Siedziała w swoim fotelu i sięgnęła do podręcznego stolika, żeby podnieść słuchawkę staromodnego telefonu, który pełnił także rolę interkomu połączonego z poczekalnią. Zamierzała poprosić Millie, swoją sekretarkę, żeby wprowadziła Samantha i Seana, ale interkom zabrzączał, zanim zdążyła podnieść słuchawkę.

– Marty na pierwszej linii, Paige.

– Dziękuję, Millie. – Wcisnęła przycisk pierwszej linii. – Marty?

Nie odpowiedział.

– Marty, jesteś tam? – powtórzyła, sprawdzając wzrokiem, czy wcisnęła właściwy przycisk.

Światelko oznaczające pierwszą linię paliło się, ale po drugiej stronie panowała wciąż cisza.

– Marty?

– Podoba mi się brzmienie twojego głosu, Paige. Takie melodyjne.

Mówił... dziwnie.

Jej serce zaczęło tłuc się o żebra i starała się z wysiłkiem zdusić strach, który w niej narastał.

– Co powiedział lekarz?

– Podoba mi się twoje zdjęcie.

– Moje zdjęcie? – spytała, zbita z tropu.

– Podobają mi się twoje włosy, twoje oczy.

– Marty, ja nie...

– Jesteś tym, czego pragnę.

Poczuła suchość w ustach. Czy coś jest nie tak?

Nagle zaczął mówić szybko, zdania zlały się w jeden ciąg.

– Chcę cię całować, Paige, całować twoje piersi, przyciskać cię do siebie, kochać się z tobą, uczynię cię bardzo szczęśliwą, chcę być w tobie, to będzie tak jak na filmach, szczęście.

– Marty, kochanie, co...

Odłożył słuchawkę, przerywając połączenie.

Zdumiona, zmieszana i przestraszona, Paige wsłuchiwała się przez chwilę w sygnał, zanim nie przerwała połączenia.

Co się, do diabła, dzieje?

Była druga. Paige nie przypuszczała, by wizyta Marty'ego u Gutheridge'a trwała aż godzinę, zatem nie dzwonił do niej z gabinetu doktora. Z drugiej jednak strony nie zdążyłby dojechać do domu, a to znaczyło, że dzwonił gdzieś z trasy.

Podniosła słuchawkę i wystukała numer telefonu w jego samochodzie. Odebrał po drugim sygnale i Paige spytała:

– Co się, do diabła, dzieje, Marty?

– Paige?

– Co to miało znaczyć?

– Co miało znaczyć co?

– Całowanie moich piersi, na litość boską, jak w filmie, szczęście.

Zawahał się i Paige usłyszała cichy szum silnika ford, co znaczyło, że Marty jest w drodze do domu.

Po chwili powiedział:

– Dzieciaku, o co ci chodzi?

– Zadzwoiłeś tu minutę temu, zachowując się, jakbyś...

– Nie. To nie ja.

– Nie dzwoniłeś tutaj?

– Skąd.

– Czy to żart?

– Mówisz, że ktoś zadzwonił i powiedział, że to ja?

– Tak, on...

– Czy mówił tak jak ja?

– Tak.

– Dokładnie tak jak ja?

Paige zastanawiała się przez chwilę.

– No, niezupełnie. Bardzo cię przypominał, a jednocześnie... nie bardzo. Trudno to wyjaśnić.

– Mam nadzieję, że odwiesiłaś słuchawkę, kiedy zaczął mówić jakieś świństwa.

– Ty... – poprawiła się. – On odłożył słuchawkę pierwszy. Poza tym to nie był nieprzyzwoity telefon.

– Ach tak? A to całowanie piersi?

– No cóż, to nie wydawało się nieprzyzwoite. Przecież myślałam, że to ty.

– Paige, odśwież moją pamięć. Kiedyż to ostatni raz dzwoniłem do ciebie do pracy, żeby ci mówić o całowaniu piersi?

Roześmiała się.

– No... nigdy, jak mi się zdaje... Usłyszała jego śmiech. – Ale może nie byłby to zły pomysł ożywić od czasu do czasu nudne dni.

– Twoje piersi są stworzone do całowania.

– Dziękuję.

– Tak jak i tyłeczek.

– Czerwienię się przez ciebie – powiedziała i była to prawda.

– Tak jak i...

– Teraz to już naprawdę jest nieprzyzwoite.

– Tak, ale to ja jestem ofiarą.

– Jakim cudem?

– To ty dzwoniś do mnie i zmuszasz mnie, żebym mówił różne świństwa.

– Chyba tak. Równouprawnienie kobiet, rozumiesz.

– Czym to wszystko się skończy?

Paige przyszła do głowy niepokojąca myśl, ale bała się powiedzieć ją głośno, może to *naprawdę* dzwonił do niej Marty, z telefonu w swoim samochodzie, w stanie fugi, takim jak wtedy, w sobotnie popołudnie...

Podejrzała, że ta sama myśl przyszła i jemu do głowy, bo nagle zamilkł.

W końcu Paige przełamała milczenie.

– Co powiedział Paul Gutheridge?

– Sądzi, że to prawdopodobnie stres.

– Sądzi?

– Załatwia mi badania na jutro albo na środę.

– Ale nie był zaniepokojony?

– Nie. Albo udawał.

Paul był szczerzy i uczciwy. Gdy przekazywał pacjentowi istotne informacje o stanie zdrowia, mówił rzeczowo, nie ukrywając nawet najgorszej prawdy. Paige pamiętała, że podczas choroby Charlotte, gdy niektórzy lekarze mogliby prawdopodobnie celowo bagatelizować bardziej alarmujące objawy, by powoli oswajać rodziców z najgorszą możliwością, Paul mówił wszystko wprost. Wiedział, że żadna półprawda czy fałszywy optymizm nigdy nie powinny być mylone ze współczuciem. Jeśli Paul nie sprawiał wrażenia bardziej niż zwykle zatroskanego o stan Marty'ego i jego objawy – to była to dobra wiadomość.

– Dał mi nowy egzemplarz *People* – powiedział Marty.

– Ojoj. Mówisz to tak, jakbyś dostał od niego torebkę z psim łajnem.

– No cóż, ten artykuł jest daleki od moich oczekiwań.

– Nie jest taki zły, jak uważasz.

– Skąd wiesz? Jeszcze go nawet nie widziałaś.

– Ale znam ciebie i wiem, jak reagujesz.

– Na jednym ze zdjęć wyglądam jak potwór Frankensteina na dużym kacu.

– Zawsze uwielbiałam Borisa Karloffa.

– Chyba będę musiał zmienić nazwisko, zrobić sobie operację plastyczną i przenieść się do Brazylii.

– Westchnął. – Ale czy chcesz, żebym odebrał dzieciaki ze szkoły, zanim zarezerwuję sobie miejsce w samolocie do Rio?

– Ja je odbiorę. Kończą dziś o godzinę później.

– No tak, zgadza się, poniedziałek. Lekcje pianina.

– Wrócimy do domu przed wpół do piątej – powiedziała. Będziesz mógł mi pokazać ten artykuł i wypłakać się na moim ramieniu.

– Do diabła z tym. Pokażę ci artykuł i spędzę wieczór całując twoje piersi.

– Jesteś wyjątkowy, Marty.

– I również cię kocham, dzieciaku.

Kiedy odłożyła słuchawkę, uśmiechnęła się. Zawsze potrafił skłonić ją do uśmiechu, nawet w najbardziej ponurych chwilach. Nie chciała myśleć o dziwnym telefonie, o chorobach, fugach czy zdjęciach, na których wyglądał jak potwór.

Ciesz się chwilą.

Robiła to przez mniej więcej minutę, następnie połączyła się z Millie i poprosiła ją, żeby przysłała do

niej Samanthę i Seana Achesonów.

Jest w gabinecie i siedzi w fotelu za biurkiem. Fotel jest bardzo wygodny. Niemal wierzy, że już w nim kiedyś siedział.

Jest jednak zdenerwowany.

Włącza komputer. Jest to PC IBM z twardym dyskiem o dużej pojemności. Dobra maszyna. Nie przypomina sobie, by ją kupował.

Po wyświetleniu danych programowych na ogromnym ekranie pojawia się „Główne Menu”, które zawiera osiem pozycji do wyboru, w większości edytorów tekstu. Wybiera *WordPerfecta 5.1*.

Nie przypomina sobie, by kiedykolwiek uczył się obsługi komputera czy korzystania z *WordPerfecta*. Ta jego nieoczekiwana umiejętność owiana jest mgłą niepamięci, podobnie jak posługiwanie się bronią czy znajomość rozkładu ulic w różnych miastach. Wszystko wskazuje na to, że jego zwierzchnicy przewidzieli, że kiedyś będzie mu potrzebna znajomość podstawowych operacji na komputerze i wiedza na temat oprogramowania.

Pojawia się czysty ekran.

Gotowe.

W prawym, niższym rogu niebieskiego ekranu widnieją litery i cyfry, informujące, że kursor znajduje się w dokumencie nr 1, na stronie pierwszej, w odległości jednego cala od górnej krawędzi dokumentu i w odległości dziesięciu cali od lewej krawędzi dokumentu.

Jest gotów. Gotów do pisania powieści. Do swojej pracy.

Wpatruje się w pusty monitor. Początek jest trudniejszy, niż przypuszczał.

Przynosi sobie z kuchni butelkę piwa, podejrzewając, że będzie musiał ożywić tok myśli. Piwo jest zimne, odświeżające, a on wie, że teraz ruszy z miejsca.

Po opróżnieniu połowy butelki, czując jak wraca mu pewność siebie, zaczyna pisać. Wystukuje dwa słowa:

Pewien człowiek...

Przerywa.

Pewien człowiek, co?

Wpatruje się przez minutę w ekran, następnie pisze: *wszedł do pokoju*. Ale do jakiego pokoju? W domu? W biurowcu? Jak ten pokój wygląda? Kto w nim jeszcze jest? Co ten człowiek w nim robi, dlaczego tam wszedł? Czy musi to być pokój? Czy nie mógłby wsiąść do pociągu, samolotu, pójść na cmentarz?

Usuwa *wszedł do pokoju* i zastępuje zwrotem *był wysoki*. A więc człowiek jest wysoki. Czy to ma znaczenie, że jest wysoki? Czy jego wzrost odgrywa ważną rolę w tej historii? Ile ma lat? Jakiego koloru są jego oczy, włosy? Czy pochodzi z Kaukazu, czy jest Murzynem, czy Azjata? Jak jest ubrany? A czy w ogóle musi to być mężczyzna? Czy nie mogłaby to być kobieta? Albo dziecko?

Zaczyna od początku.

Pewien...

Wpatruje się w przerażająco pusty ekran. Nieskończenie bardziej pusty niż przedtem, nie są to jedynie litery osamotnione przez usunięcie wyrazu *człowiek*. Liczba słów, jakie można umieścić za tym prostym zaimkiem, *pevien*, jest nieograniczona, a to czyni wybór drugiego wyrazu o wiele bardziej kłopotliwym, niż przypuszczał, gdy zabierał się do pracy.

Usuwa *Pewien*.

Ekran jest czysty.

Gotowe.

Kończy butelkę piwa. Jest zimne i odświeżające, ale nie przyspiesza toku myśli.

Podchodzi do półki z książkami i wyciąga osiem książek z jego nazwiskiem, Martin Stillwater. Znosi je na biurko i przez chwilę siedzi i czyta pierwszą stronę z każdej, potem drugą, wciąż próbując zebrać myśli.

Jego przeznaczenie to być Martinem Stillwaterem. To jedno jest pewne.

Będzie dobrym ojcem dla Charlotte i Emily.

Będzie dobrym mężem i kochankiem dla pięknej Paige.

I będzie pisał powieści. Powieści kryminalne.

Niewątpliwie pisał je już wcześniej, napisał ich przynajmniej tuzin, więc znów może je pisać. Musi po prostu znów rozwinąć w sobie ten nawyk.

Ekran jest pusty.

Kładzie palce na klawiaturze.

Ekran jest taki pusty. Pusty, pusty, pusty. Drwi sobie z niego.

Podejrzewa, że po prostu deprymuje go cichy, uparty szum wentylatora i czekające na słowa elektronicznie niebieskie pole dokumentu nr 1, strona pierwsza. Wyłącza komputer. Cisza jest błogosławieństwem, ale płaskie, szare szkło monitora drwi sobie z niego jeszcze bardziej niż niebieski ekran; wyłączenie komputera to przyznanie się do porażki.

Pragnie być Martinem Stillwaterem. A to oznacza, że jest pisarzem.

Pewien człowiek. Pewien człowiek był. Pewien człowiek był wysoki, miał niebieskie oczy i jasne włosy, ubrany był w niebieski garnitur, białą koszulę i czerwony krawat, miał około trzydziestki, i nie wiedział, co robi w pokoju, do którego wszedł. Do diabła. Niedobrze. Pewien człowiek. Pewien człowiek. Pewien człowiek...

Pragnie pisać, ale każda kolejna próba prowadzi szybko do niezadowolenia. Niezadowolenie zrodzi gniew. Znajomy schemat. Gniew wywoła szczególną nienawiść do komputera, wstręt, a także dręczącą go zawsze nienawiść do siebie samego, całego świata i jego mieszkańców. Pragnie tak mało, tak żałośnie mało, pragnie mieć swoje miejsce, być takim jak inni ludzie, mieć dom i rodzinę, mieć jasny cel. Czy to tak dużo? Tak dużo? Nie chce być bogaty, nie chce obracać się w kręgu wysoko postawionych i potężnych, nie chce jadać ze znanymi bywalcami przyjąć. Nie prosi o sławę. Po tylu zmaganiach, pomyłkach i chwilach samotności znalazł wreszcie dom – żonę i dwoje dzieci, celowość własnych działań i planów, ale ma wrażenie, że to wszystko gdzieś ucieka, prześlizguje się między palcami. Pragnie być Martinem Stillwaterem, ale żeby być Martinem Stillwaterem, musi *umieć pisać*, a on nie potrafi pisać, nie potrafi pisać, niech to wszyscy diabli, nie potrafi pisać. Zna plan ulic Kansas City, a także wielu innych miast, wie wszystko o broni, o otwieraniu zamków, ponieważ *oni* dali mu tę wiedzę, kimkolwiek są, ale *oni* nie dali mu talentu pisarza, a to właśnie jest mu najbardziej potrzebne, tak rozpaczliwie *potrzebne*, jeśli kiedykolwiek ma być Martinem Stillwaterem, jeśli ma zatrzymać przy sobie cudowną żonę, Paige, i córki, i nowe przeznaczenie, a wszystko prześlizguje się, prześlizguje, prześlizguje między palcami, jego jedyna szansa na szczęście szybko umyka, ponieważ wszyscy są przeciwko niemu, wszyscy, cały świat... Została tylko samotność i cierpienie... Dlaczego? *Dlaczego?* Nienawidzi tych ludzi, ich spisków i pozbawionej oblicza władzy, pogardza nimi i ich maszynami, tak bardzo, że...

...z krzykiem wściekłości i rozpaczliwej wbiła pięść w ciemny ekran komputera, uderzając niemal tak samo mocno w swój własny wizerunek, jak w tę maszynę i wszystko to, co ona oznacza. Dźwięk

rozbijanego szkła rozbrzmiewa głośno w cichym domu, jednocześnie eksploduje próżnia wewnątrz monitora z krótkim sykiem uciekającego powietrza.

Odsuwa dłoń od rozbitego monitora w chwili, gdy kawałki szkła wciąż spadają na klawiaturę. Wpatruje się w swoją jasną krew, ostre odłamki sterczą spomiędzy palców i kostek. Fragment rozbitego szkła o eliptycznym kształcie tkwi w jego dłoni.

Choć wciąż odczuwa gniew, stopniowo odzyskuje panowanie nad sobą. Przemoc czasem uspokaja.

Odwraca się od komputera, kręcąc się na obrotowym fotelu, w przeciwną stronę biurka w kształcie podkowy. Pochyla się, żeby zbadać w świetle lampy witrażowej swoje rany. Szklane kolce tkwiące w jego ciele połyskują jak drogocenne kamienie.

Łagodny ból, który szybko minie. Zabójca jest twardy, prężny i silny.

Niektóre kawałki ekranu nie wbiły się w jego rękę zbyt głęboko, więc może wyciągnąć je paznokciami. Lecz inne tkwią bardzo mocno.

Odsuwa krzesło od biurka, wstaje i rusza w stronę głównej sypialni. Będzie potrzebował szczypczyków, żeby powyciągać bardziej odporne odłamki szkła.

Choć z początku silnie krwawił, teraz krwotok maleje. Trzyma jednak rękę w górze, z wyprostowaną dłonią, tak by krew spływała po nadgarstku, pod mankiet koszuli. Nie chce pobrudzić dywanu.

Jak już wyjmie z ręki szkło, to może znów zadzwoni do Paige.

Był tak podniecony, gdy znalazł numer do jej gabinetu, w notatniku leżącym na biurku, i czuł dreszcz, gdy z nią rozmawiał. Była inteligentna, pewna siebie, łagodna. Jej głos miał lekki gardłowy tembr, który wydał mu się seksy.

To będzie naprawdę wspaniała niespodzianka, jeśli ona jest seksy. Dziś w nocy będą razem. Weźmie ją więcej niż jeden raz. Przypominając sobie jej twarz na fotografii i trochę zachrypnięty głos, który słyszał przez telefon, jest pewien, że zaspokoi jego pragnienia jak nikt nigdy dotąd.

Ma nadzieję, że ona dorówna jego oczekiwaniom albo je przewyższy. Ma nadzieję, że nie będzie musiał jej zranić.

Idzie do łazienki i chowa szczypczyki do szuflady, w której Paige przechowuje kosmetyki, cząski do skórek, pilniki różnego rodzaju i inne przybory toaletowe.

Potem trzyma rękę nad umywalką. Krew znów zaczyna płynąć z miejsc, z których dopiero co usunął kawałki szkła. Odkręca kran z ciepłą wodą, żeby splukać kapiącą krew do ścieku.

Być może dziś wieczór, już po akcie miłosnym, porozmawia z Paige o swoich kłopotach twórczych. Jeśli zdarzało mu się to już wcześniej, to może ona pamięta, co wtedy robił, by przełamać twórczy impas. Naprawdę jest pewien, że ona zna rozwiązanie.

Uświadamia sobie z ulgą, że nie musi już dłużej borykać się ze swymi problemami sam. Jako człowiek żonaty ma kogoś, z kim może dzielić troski dnia codziennego.

Podnosi głowę i patrzy na swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Uśmiecha się szeroko i mówi: mam teraz żonę.

Zauważa plamkę krwi na prawym policzku, drugą na nosie.

Śmiejąc się cicho, stwierdza:

– Jesteś takim niechlujem, Marty. Musisz się zmienić. Żony lubią, gdy ich mężowie dbają o siebie.

Patrzy na swoją dłoń i szczypczykami wyciąga ostatni kawałek kłującego szkła.

Jest w coraz lepszym nastroju. Śmieje się i mówi: pierwsza rzecz, jaką muszę zrobić rano, to wyjść i kupić nowy monitor.

Potrząsa głową, zdumiony swym dziecinnym zachowaniem. – Jesteś niesamowity, Marty – mówi

głośno. Ale chyba pisarze *powinni* być trochę kapryśni, no nie?

Po wyciągnięciu ostatniego odłamka szkła spomiędzy palców odkłada szczypczyki i wkłada zranioną dłoń pod strumień ciepłej wody.

– Nie możesz się dłużej tak zachowywać. Ani przez chwilę. Wystraszysz na śmierć małą Emilię i Charlotte.

Znów patrzy w lustro, potrząsa głową, po czym uśmiecha się szeroko.

– Ty wariacie – mówi do siebie, jakby zwracał się z sympatią do przyjaciela, którego słabostki wydają mu się czarujące. – Co za wariat.

Życie jest dobre.

Ołowiane niebo opadło pod swoim własnym ciężarem. Według prognozy pogody przed zmierzchem miał spaść deszcz, co doprowadziłoby do korków w godzinie szczytu, które uczynią trasę do San Diego czymś gorszym od samego piekła.

Marty powinien pojechać z gabinetu Gutheridge'a prosto do domu. Właśnie kończył swoją najnowszą powieść. A ostatnie fragmenty były najważniejsze i nie mógł się rozpraszać.

Poza tym, co wydawało mu się niezwykle, bał się jazdy samochodem. Analizował każdą minutę od chwili, w której opuścił gabinet doktora. Był pewien, że nie dzwonił do Paige w stanie fugi, siedząc za kierownicą forda. Naturalnie, ofiara fugi nie może pamiętać ataku, więc nawet staranna rekonstrukcja minionej godziny nie dawała gwarancji, że czegoś nie pominął. Poszukując materiałów do „Jednego martwego biskupa”, Marty dowiedział się o ludziach, którzy w stanie rozkojarzenia przebyli setki mil i zetknęli się z dziesiątkami ludzi, a jednak później o niczym nie pamiętali. Niebezpieczeństwo nie było tak poważne jak podczas jazdy po pijanemu... choć prowadzenie półtony stali z dużą prędkością w zaburzonym stanie świadomości nie było rozsądne.

Zamiast jechać do domu, udał się jednak do centrum handlowego w Mission Viejo. Wykonał już większą część pracy, jaką wyznaczył sobie na ten dzień. A był zbyt niespokojny, żeby czytać albo oglądać TV przed powrotem Paige i dziewczynek.

Kiedy nic nie wychodzi, trzeba iść po zakupy. Przeglądał więc książki i płyty, kupił w końcu powieść Eda McBaina i kompakt Alana Jacksona, z nadzieją, że te zwykłe czynności pozwolą mu zapomnieć o kłopotach. Dwa razy przeszedł się po sklepie z wypiekami na twarzy, patrząc pożądliwym wzrokiem na duże pierniki posypane czekoladą i orzechami laskowymi, ale znalazł w sobie dość siły, by oprzeć się pokusie.

„Świat jest o wiele lepszy – myślał – jeśli jest się ignorantem w sprawach zdrowego odżywiania się”.

Kiedy wyszedł z centrum handlowego, drobne krople zimnego deszczu malowały na betonowym chodniku maskujące wzory. Gdy biegł w stronę forda, błysnął piorun i przez pole bitwy toczącej się wysoko na niebie przetaczała się grzmiąca artyleria. Kiedy zamykał za sobą drzwi i sadowił się za kierownicą, kropelki deszczu zmieniły się w ciężką kanonadę.

Obserwował z przyjemnością posrebrzone deszczem ulice i tryskającą wodę spod kół, kołyszące się palmowe liście, które zdawały się cesać szare sploty burzowego nieba i przywodziły na myśl niektóre opowiadania Somerseta Maughama i jakiś stary film z Bogartem.

Zaparkował w garażu i wszedł do domu przez drzwi kuchenne, wdychając z przyjemnością ciężką wilgoć powietrza i woń ozonu, która zawsze towarzyszyła początkowi burzy.

Świecące zielone cyfry zegara elektronicznego przy piecyku pokazywały czwartą dziesiątą. Paige i dziewczynki mogą wrócić już za dwadzieścia minut.

Chodził od pokoju do pokoju i zapalał lampy. Dom nigdy nie wydawał się przytulniejszy niż wówczas, gdy był ciepły i jasny, podczas gdy o dach bębnił deszcz, a szara zasłona burzy zakrywała niebo za każdym oknem. Postanowił rozpaść kominek w salonie i przygotować wszystko do przyrządzenia gorącej czekolady na powitanie Paige i dziewczynek.

Najpierw poszedł na górę, żeby sprawdzić faks i automatyczną sekretarkę w gabinecie. Do tej pory mogła już zadzwonić sekretarka Paula Gutheridge'a z informacją o terminie testów, które miały być przeprowadzone w szpitalu.

Miał również niczym nie uzasadnione przeczucie, że agent literacki zostawił wiadomość o sprzedaży

jego praw autorskich gdzieś za granicą albo może o ofercie scenariusza filmowego, co byłoby okazją do świętowania. Zaskakujące, ale burza poprawiła jego nastrój, pewnie dlatego, że w złą pogodę dom i rodzina stawały się ważniejsze niż zwykle. A poza tym zawsze leżało w jego naturze wynajdywanie powodów do dobrego samopoczucia, nawet gdy zdrowy rozsądek podpowiadał, że pesymizm byłby bardziej na miejscu. Nigdy nie potrafił trwać zbyt długo w przygnębieniu, a od soboty nawiedziło go już tyle ponurych myśli, że wystarczyłoby ich na parę lat.

Wchodząc do gabinetu sięgnął do kontaktu, żeby zapalić górne światło, ale nie dotknął go, zdumiony, że lampa witrażowa i ta nad biurkiem są włączone. Zawsze gasił światło przed wyjściem z domu. Jednak, zanim pojechał do doktora, przeżywał nieracjonalny, przerażający lęk. Czuł, że zagraża mu nieznana, ślepa siła. Najwyraźniej nie miał na tyle przytomności umysłu, żeby zgasić lampy.

Przypomniał sobie atak paniki w jego szczytowym punkcie, wtedy w garażu, kiedy to był niemal ogłuszony strachem. I teraz Marty poczuł, jak z powoli uchodzi powietrze z tego balona optymizmu.

Faks i automatyczna sekretarka znajdowały się w tylnym narożniku kąta do pracy. Przy drugim urządzeniu migotała czerwona lampka, a na podajniku faksu leżało kilka cienkich kartek papieru.

Dostrzegł stłuczony ekran komputera, szklane kły wystające z ramy. Ze środka wyzierała czeluść. Pod jego butem zachrząścił kawałek szkła, gdy odsunął na bok fotel i wpatrywał się z niedowierzaniem w komputer.

Ostre kawałki ekranu zaśmiecały klawiaturę.

Poczuł w żołądku skurcz mdłości. Czy i to zrobił w stanie fugi? Wziął do ręki jakiś tępy przedmiot i rozwalił nim ekran na kawałki? Jego życie rozpadało się jak ten rozbity monitor.

Wówczas zobaczył na klawiaturze coś jeszcze. Jakby plamki po roztopionej czekoladzie.

Marszcząc brwi, Marty dotknął jednej z kropek czubkiem wskazującego palca. Wciąż była nieco lepka. Trochę nawet przylgnęło do skóry jego dłoni.

Lepka substancja na czubku palca była ciemnoczerwona, prawie kasztanowa. A więc to nie czekolada.

Uniósł poplamiony palec do nosa, próbując wywąchać, co to jest. Woń była słaba, prawie niewyczuwalna, ale od razu wiedział, z czym ma do czynienia, prawdopodobnie wiedział to już w chwili, gdy wyciągał palec. Na jakimś prymitywnym poziomie został zaprogramowany tak, by wiedzieć od razu. Krew.

Ten, kto zniszczył monitor, skaleczył się.

Na dłoniach Marty'ego nie widniały żadne rany.

Był absolutnie nieruchomy, czuł jedynie dreszcz pełznący wzdłuż kręgosłupa, który sprawiał, że jego kark pokrył się gęsią skórą.

Odwrócił się powoli, przekonany, że ktoś wszedł za nim do pokoju. Ale był sam.

Deszcz walił w dach i chlupotał w rynnie za oknem. Błysnął piorun, widoczny w szparach między szerokimi listwami okiennic. Szybą wstrząsnął huk grzmotu.

Nasłuchiwał odgłosów domu.

Słyszał tylko burzę. I łomot własnego serca.

Podszedł do prawej strony biurka i wysunął drugą szufladę. Rano schował tam pistolet 9-mm smith & wesson. Nawet w słabym i zwodniczym świetle lampy witrażowej widział połyskującą broń.

– Pragnę mojego życia.

Głos przestraszył Marty'ego, ale brzmienie tych słów było niczym w porównaniu z paraliżującym szokiem, jakiego doznał, gdy podniósł wzrok znad broni i dojrzał mówiącego. Mężczyzna stał

w drzwiach prowadzących na korytarz. Ubrany był w dżinsy i flanelową koszulę, które mogły być własnością Marty'ego, i był do niego uderzająco podobny. Prawdę mówiąc, gdyby nie inne ubranie, mógłby być jego lustrzanym odbiciem.

– Pragnę mojego życia – powtórzył cicho mężczyzna.

Marty nie miał brata, bliźniaka czy niebliźniaka. A jednak tylko identyczny bliźniak byłby jego doskonałym odpowiednikiem, jeśli chodzi o każdy szczegół twarzy, wzrost, wagę czy budowę ciała.

– Dlaczego ukradłeś moje życie? – spytał obcy z jakąś niekłamaną ciekawością. Jego głos był opanowany, jakby to pytanie nie było absolutnie bezsensowne, jak gdyby kradzież życia była naprawdę możliwa, przynajmniej w jego przekonaniu.

Uświadamiając sobie, że intruz *mówi* jego głosem, Marty zamknął oczy i próbował zaprzeczyć istnieniu tego, co przed nim stało. Zakładał, że ma halucynacje i że to on sam wypowiada te słowa. Fugi, niezwykle wyrazisty koszmar senny, atak paniki, teraz halucynacje. Ale gdy otworzył oczy, sobowtór wciąż stał jak uparte złudzenie.

– Kim jesteś? – spytał.

Marty nie był w stanie mówić, miał ściśnięte gardło, a każde gwałtowne uderzenie serca niemal go dusiło. I nie miał odwagi mówić, ponieważ wdanie się w rozmowę z wytworem halucynacji znaczyło z całą pewnością przerwanie tej ostatniej wątlej nici, łączącej go z normalnością. Znaczyło pogrążenie się w otchłani szaleństwa.

Zjawa skonkretyzowała pytanie: *czym* jesteś?

W jego głosie brzmiało zdziwienie i fascynacja. Marty wyczuł jednak nutę groźby.

Sobowtór, nie przypominający w niczym widma czy zjawy sennej, zrobił następny krok. Był już w pokoju. Kiedy się poruszał, cienie i światło tańczyły na nim jak na każdym trójwymiarowym obiekcie. Wydawał się równie jednolity jak prawdziwy człowiek.

Marty dostrzegł w prawej ręce intruza pistolet. Przy udzie. Lufa skierowana w stronę podłogi.

Sobowtór zrobił jeszcze jeden krok do przodu, zatrzymał się nie dalej niż osiem stóp od drugiej strony biurka. Spytał:

– Jak to się dzieje? Co teraz? Czy jakimś cudem stajemy się jedną osobą, przenikamy się nawzajem, jak w jakimś zwariowanym filmie sf... – spytał z uśmiechem.

Przerażenie wyostrzyło zmysły Marty'ego. Jakby obserwował swego sobowtóra przez szkło powiększające: mógł dostrzec każdy kontur, rys i bruzdę na jego twarzy. Pomimo mroku meble i książki znajdujące się w zacienionych miejscach były tak dobrze widoczne jak sprzęty, na które padał blask lampy. Nie potrafił jednak rozpoznać marki pistoletu.

– ...czy też zabiję cię i zajmę twoje miejsce? – ciągnął nieznajomy. – A jeśli cię zabiję...

Marty wiedział teraz tylko tyle, że jakakolwiek zjawa, będąca owocem jego halucynacji, musi mieć także jego broń...

– ...to czy wspomnienia, które mi ukradłeś, znów staną – się moimi, kiedy już będziesz martwy? Jeśli cię zabiję...

Bo przecież, jeśli ta postać była jedynie symbolicznym ostrzeżeniem, wysłanym przez chorą psychikę, to w takim razie wszystko – zjawa, jej ubranie, broń musiało być zrodzone przez doświadczenie i wyobraźnię Marty'ego.

– ...to czy stanę się w pełni człowiekiem? Kiedy będziesz już martwy, czy powrócę do rodziny? I czy znów będę pisał?

I odwrotnie, jeśli pistolet był prawdziwy, to i sobowtór musiał być prawdziwy.

Przekrzywiając na bok głowę, nachylając się lekko do przodu, jakby czekał na odpowiedź, intruz powiedział:

– Muszę pisać, jeśli zamierzam być tym, czym chcę być, ale słowa stawiają opór.

Ten monolog był tak zaskakujący, że Marty tracił pewność, że nieznajomy jest tylko zjawą, tworem jego umęczonej psychiki.

Po raz pierwszy w głosie sobowtóra pojawił się gniew, bardziej gorzki niż furia. Mówił szybko, gwałtownie.

– Ukradłeś słowa, talent, ja tego potrzebuję, potrzebuję tego aż do bólu... celu, znaczenia. Wiesz o tym? Rozumiesz? Pustka, otchłań, Boże, głęboka, ciemna otchłań. – Wypluwał teraz słowa, a jego oczy płonęły. – Chcę tego co moje. Moje, do diabła. Mojego życia, mojego, chcę mojego życia, mojego przeznaczenia, mojej Paige, ona jest moja, moja Charlotte, moja Emily...

Szerokość biurka i osiem stóp odległości, razem jednaście stóp: dystans uniemożliwiający chybiony strzał.

Marty wyciągnął z szuflady pistolet 9-mm. Ścisnął go w dłoniach, odciągnął kciukiem bezpiecznik i nacisnął spust w chwili, gdy podnosił lufę. Nie dbał o to, czy cel jest rzeczywisty. Wszystko, o co dbał, to zniszczyć go, zanim on zniszczy jego.

Pierwszy strzał odłupał kawałek przeciwległej krawędzi biurka i drzazgi drewna eksplodowały jak rój wściekłych os wyruszających do boju. Drugi i trzeci pocisk trafiły tamtego w klatkę piersiową. Nie przeleciały przez niego, jakby był ektoplazmą, ani też nie roztrzaskały go, jakby był odbiciem w lustrze. Odrzuciły go do tyłu, zbijając z nóg, zaskakując, zanim zdołał podnieść swoją broń, która wyleciała z jego dłoni i uderzyła o podłogę z ogłuszającym stukiem. Uderzył o regał z książkami, chwytając się jednej z półek – ściągając z tuzin tomów na podłogę, Krew. Słodki Jezu, tyle krwi. Patrzył szeroko otwartymi zdumionymi oczyma, nie krzyczał, wydobywał z siebie tylko głuchy jęk przypominający wyraz zdziwienia niż bólu.

Sukinsyn. Powinien upaść jak kawałek skały lecący w dół studni, ale wciąż trzyma się na nogach. W chwili, gdy wpadł na regał, odepchnął się od półki i chwiejąc się wyskoczył przez otwarte drzwi na korytarz. I zniknął z pola widzenia.

Bardziej zdumiony tym, że naprawdę pociągnął za spust, strzelając do kogoś, niż tym, że ten ktoś był lustrzanym odbiciem jego samego, Marty osunął się na biurko, łapiąc oddech tak rozpaczliwie, jakby nie odetchnął ani razu od chwili, w której sobowtór po raz pierwszy wkroczył do pokoju. Może i nie odetchnął. Strzelanie do prawdziwego człowieka było czymś nieporównywalnym do strzelania do jakiejś postaci w powieści. Miał wrażenie, iż w jakiś magiczny sposób część impetu pocisków dosięgnęła i jego. Bolała go klatka piersiowa, kręciło mu się w głowie, a w kąciakach oczu szybko pojawiła się napływająca ciemność, którą odpychał całą siłą swej woli.

Nie miał odwagi zemdleć. Sądził, że ten drugi Marty musi być ciężko ranny, umierający, może już martwy. Boże, ta rozlewająca się krew na jego piersi, szkarłatne kwiaty, nagle rozkwitające róże. Ale nie wiedział na pewno. Może jego rany tylko wyglądały śmiertelnie, może to, co przez krótką chwilę widział, było mylące, i może sobowtór był nie tylko wciąż żywy, ale i wystarczająco silny, by wydostać się z domu i uciec. Gdyby zdołał uciec i przeżyć, to prędzej czy później wróci, tak samo stuknięty czy szalony, ale jeszcze bardziej groźny. Marty czuł, że musi dokończyć to, co zaczął. Musi być pierwszy.

Zerknął na telefon. Wykręć 911. Wezwij policję, a potem goń go.

Ale zegar stał obok telefonu. Była czwarta dwadzieścia sześć. Paige i dziewczynki. Już są w drodze do domu, później niż zwykle, z powodu lekcji pianina. O mój Boże. Gdyby tu weszły i zobaczyły jego

sobowtóra albo znalazły go w garażu, pomyślałyby, że to *ich* Marty, i podbiegłyby do niego, przerażone widokiem jego ran, pragnące mu pomóc, a on może wciąż miałby dość siły, żeby je skrzywdzić. Czy pistolet, który wypadł mu z ręki, był jego jedyną bronią? Nie może tego zakładać. Poza tym ten sukinsyn mógł wyciągnąć nóż ze stojaka na sztuce w kuchni, nóż rzeźnicki, schować go za plecami, a potem zwabić Emily i wpakować go w jej gardło albo wbić głęboko w brzuch Charlotte.

Liczyła się każda sekunda. Zapomnij o 911. Strata czasu. Policja nie zjawi się wcześniej niż Paige.

Gdy wstał, trzęsły mu się nogi, ale pokój przemierzał już pewniejszym krokiem, kierując się ku korytarzowi. Zobaczył plamy krwi rozmazane na ścianie, krew spływającą z grzbietów jego książek, płamiącą jego nazwisko. Pełznąca fala ciemności znów zaczęła napływać w kącki jego oczu, ale zacisnął zęby i szedł dalej.

Kiedy dotarł do porzuconego pistoletu, kopnął go w głęb pokoju, z dala od drzwi. Ten prosty gest dodał mu trochę pewności siebie. Wiedział, że tak postąpiłby policjant, by utrudnić przestępcy odzyskanie broni.

Może sobie poradzi, przebrnie przez to, bez względu na to, jak dziwaczne i przerażające to było, z tą krwią i wszystkim. Może da radę.

Więc załatw drania. Upewnij się, że jest wykończony, na dobre i raz na zawsze.

Żeby pisać swoje kryminały, interesował się pracą policji, i to nie tylko teoretycznie. Jeździł z umundurowanymi funkcjonariuszami na nocne patrole, towarzyszył detektywom w cywilu, na służbie i po służbie. Doskonale więc wiedział, jak powinien przejść przez drzwi.

Nie bądź zbyt pewny siebie. Zakładaj, że ten drań jest wciąż uzbrojony, ma jeszcze jedną spluwę albo nóż. Pochyl się nisko i szybko przejdź przez drzwi. Łatwiej umrzeć w drzwiach niż gdziekolwiek indziej, ponieważ każde drzwi otwierają się na nieznanie. Posuwając się do przodu, trzymaj broń w obu dłoniach, ramiona wysuń do przodu, obróć się szybko w lewo i prawo, przekraczając próg, skieruj broń tak, by zabezpieczyć obie flanki. Potem przesuń się w jedną lub drugą stronę i przy ciśnij się plecami do ściany, kiedy się posuwasz, dzięki temu możesz mieć pewność, że nic cię nie zaatakuję od tyłu i że musisz sprawdzać tylko trzy pozostałe strony.

Cała ta mądrość przelatowała przez jego głowę, jak przelatowała przez głowę któregoś z tych twardych policjantów z jego powieści, a jednak zachowywał się jak zwyczajny spanikowany cywil, brnąc nieostroźnie w stronę korytarza, ściskając pistolet tylko w prawej ręce, z rozluźnionymi ramionami, oddychając jak po biegu. Stanowił raczej cel niż groźbę, ponieważ, tak naprawdę, nie był policjantem, a tylko dupkiem, który czasami pisywał o policjantach. Bez względu na to, jak długo ulegało się fantazji, nie można było żyć fantazją, nie dało się w krytycznej sytuacji działać jak policjant, jeśli nie było się naprawdę policjantem. Tak jak wielu innych nie umiał już oddzielić rzeczywistości od fikcją i myśląc, że jest równie niepokonany jak bohater na którejś tam stronie jego powieści, miał cholerne szczęście, że ten drugi Marty nie czekał na niego. Korytarz na piętrze był pusty.

Wyglądał dokładnie jak ja.

Nie był w stanie myśleć o tym teraz – jeszcze nie. Skoncentruj się na tym, jak przeżyć, jak załatwić drania, zanim skrzywdzi Paige albo dziewczynki. Jeśli przeżyjesz, będziesz miał czas na wyjaśnienie zadziwiającego podobieństwa, rozwiązanie tajemnicy, ale nie teraz.

Nasłuchuj. Jakiś ruch?

Może.

Nie. Nic.

Trzymaj broń w górze, lufa wymierzona na wprost.

Tuż za drzwiami gabinetu ścianę znaczył krwawy odcisk dłoni. Krew tworzyła w tym miejscu kałużę na jasnobieżowym dywanie. Przez jakiś czas, może wtedy, gdy Marty stał za biurkiem, oszołomiony i sparaliżowany tym, co się wydarzyło, ranny mężczyzna opierał się o ścianę na korytarzu, być może próbując bezskutecznie zatamować krew.

Marty pocił się, miał nudności i bał się. Pot spływał w kącik lewego oka, szczypiąc i zamazując pole widzenia. Wylał śliskie czoło rękawem koszuli, mrugając gwałtownie, by usunąć z oka sól.

Kiedy sobowtór odsunął się od ściany i ruszył przed siebie, może wtedy gdy Marty wciąż tkwił nieruchomo za biurkiem, przeszedł przez kałużę własnej krwi. Trasę jego wędrówki znaczyły ślady prążkowanego wzoru na podszewkach sportowych butów i nieprzerwany deszcz szkarłatnych kropel.

Cisza w domu. Przy odrobinie szczęścia mogła to być cisza śmierci.

Drżąc, Marty podążył ostrożnie krwawym śladem – przeszedł obok łazienki, minął narożnik korytarza, podwójne drzwi prowadzące do ciemnej sypialni, wreszcie dotarł do szczytu schodów. Zatrzymał się w miejscu, w którym korytarz pierwszego piętra przechodził w galerię nad salonem.

Po prawej ręce miał jasną, dębową balustradę, a za nią mosiężny żyrandol, który włączył, gdy wcześniej przechodził przez korytarz na dole. Pod żyrandolem biegły schody w dół do wyłożonego terakotą przedsionka, który łączył się bezpośrednio z górnym salonem.

Po lewej, kilka stóp dalej, znajdował się pokój, którego Paige używała jako domowego biura. Kiedyś to będzie sypialnia dla Charlotte albo Emily, kiedy dojdą do wniosku, że chcą już spać osobno. Drzwi były uchylone. W środku czaiły się czarne jak smoła cienie, zakłócone jedynie szarym, burzowym światłem zamierającego dnia, które z trudem przenikało przez okna.

Krwawy ślad prowadził obok tego pokoju, aż do końca galerii, wprost do drzwi sypialni dziewczynek, która była zamknięta. On tam jest. I ta myśl, że ten szaleniaczek grzebie w rzeczach jego córek, że dotyka ich sprzętów, że znaczy ich pokój swoją krwią i obłędem, doprowadzała Marty'ego do wściekłości.

Przypomniał sobie rozgniewany głos: *moja Paige, ona jest moja, moja Charlotte, moja Emily...*

– Są twoje, jak diabli – powiedział Marty, celując ze smith & wessona prosto w zamknięte drzwi.

Zerknął na zegarek.

Czwarta dwadzieścia osiem.

Co teraz?

Mógł zostać na korytarzu, gotów posłać drania do piekła, gdyby otworzył drzwi. Poczekać na Paige i dzieciaki, ostrzec je, gdy wejdą do domu, powiedzieć Paige, żeby zadzwoniła pod 911. Wtedy mogłyby pobiec na drugą stronę ulicy, do domu Vica i Kathy Delorio, gdzie byłyby bezpieczne, podczas gdy on pilnowałby drzwi do przyjazdu policji.

To był dobry plan. Wydawał się dobry i świadczył o odpowiedzialności, zimnej krwi i opanowaniu jego autora. Po krótkiej chwili łomot serca uderzającego o żebra nie był już taki uporczywy i wyczerpujący. Uspokajał się.

Wówczas znów dopadło go przekleństwo pisarskiej wyobraźni, czarny wir wciągający go w labirynt mrocznych fantazji, przekleństwo zamknięte w słowach: *a jeśli, a jeśli, a jeśli*. A jeśli ten drugi Marty wciąż jest dostatecznie silny, by otworzyć okno w pokoju dziewczynek, wyjść na daszek zakrywający patio z tyłu domu i zeskoczyć na trawnik? A jeśli pobiegł wzdłuż bocznej ściany i wy dostał się na ulicę w chwili, gdy Paige wjeżdżała z dziewczynkami na podjazd?

Prawdopodobnie tak się stało. Możliwe, że tak się stało. Na pewno tak się stało. Albo coś równie złego na pewno, albo nawet coś jeszcze gorszego. Rzeczywistość wciąż podsuwała nowe możliwości,

straszniejsze od najciemniejszych myśli zrodzonych w umyśle autora kryminałów. W epoce kryzysu wartości niespodziewane akty wymyślnego barbarzyństwa mogły zdarzyć się nawet na najspokojniejszych ulicach najbezpieczniejszych dzielnic. I nikt już się nie dziwił.

Możliwe, że pilnował drzwi pustego pokoju.

Czwarta dwadzieścia dziewięć.

Możliwe, że Paige wyjeżdża z za rogu, dwie przecznice dalej, i już jest na ich ulicy.

Może sąsiedzi usłyszeli strzały i zdążyli wezwać policję. Boże, błagam, nich tak będzie.

Nie miał wyboru. Musiał pchnąć drzwi tego pokoju. Musiał wejść do środka. Przekonać się, czy on, Ten Drugi, jest tam, czy nie.

Ten Drugi. Wtedy w gabinecie, podczas ich ponurego spotkania, szybko porzucił myśl, że ma do czynienia z czymś nadnaturalnym. Duch nie byłby tak cielesny i trójwymiarowy jak ten mężczyzna. Jeśli istoty spoza linii oddzielającej życie od śmierci w ogóle istniały, musiały być nieśmiertelne... Jednak nie opuszczało go uczucie niesamowitości. Narastało z każdą chwilą. Choć podejrzewał, że natura jego przeciwnika jest o wiele dziwniejsza niż natura duchów czy zmieniających kształt demonów, że jest bardziej przerażający i bardziej ziemski, że zrodził go ten świat, a nie żaden inny, to jednak nie mógł powstrzymać się od konwencjonalnych określeń z horrorów: Duch, Fantom, Upiór, Zjawia, Widmo, Nieproszony, Nieśmiertelny, Istota.

Ten Drugi.

Drzwi czekały.

Cisza panująca w domu była głębsza niż śmierć.

Marty tak bardzo skupiał uwagę na pościgu za Tym Drugim, że nie czuł łomotu serca, nie widział niczego innego z wyjątkiem drzwi, nie słyszał innych odgłosów z wyjątkiem tych, jakie mogły docierać z pokoju dziewczynek, nie doznawał innych bodźców oprócz nacisku palca na spust pistoletu.

Krwawy ślad.

Czerwone odciski stóp.

Drzwi.

Zamknięte.

Nie mógł podjąć decyzji.

Drzwi.

Coś nagle załomotało w górze. Podniósł szybko głowę i spojrzał na sufit. Stał pod szybem o powierzchni trzech stóp kwadratowych, głębokości siedmiu, który kończył się oknem z pleksiglasu w kształcie kopuły. To deszcz. Tylko deszcz, krople deszczu.

Jakby męcząca niemożność podjęcia decyzji przywróciła go rzeczywistości, usłyszał nagle wszystkie odgłosy burzy, których był całkowicie nieświadomy tropiąc Tego Drugiego. Wówczas nasłuchiwał uważnie tajemniczych dźwięków, które mogłyby zdradzić kryjówkę ściganego, zza hałaśliwej zasłony burzy. Teraz jęk wiatru, werble deszczu, gniewny grzmot, suchy chrobot gałęzi drzewa, ocierającej się o ścianę domu, metaliczny grzechot obłuzowanej rynny i inne niejasne odgłosy docierały do niego ze wszystkich stron.

Sąsiedzi nie mogli w tej szalejącej burzy usłyszeć strzałów. Musiał się pożegnać z tą nadzieją.

Marty zdawał się niesiony siłą tego żywiołu wzdłuż krwawego śladu, stawiając pełne wahania kroki, raz za razem, nieubłagane, w stronę czekających drzwi.

Burza przyspieszyła nadejście zmroku – ponurego i długiego. Paige musiała jechać przez całą drogę z włączonymi światłami. Strumienie wody zalewały szyby samochodu. Albo skutki ostatniej suszy miały teraz zniknąć, albo natura płatała okrutnego figła, rodząc oczekiwania, których nie mogła spełnić. Skrzyżowania były zalane. Woda występowała z rynsztoków. BMW rozwijało wielkie białe skrzydła, przejeżdżając raz po raz przez głębokie kałuże. Wyłaniające się z mglistego mroku światła nadjeżdżających samochodów zalewały swym blaskiem jak szperacze batyskafów badających głębokie oceaniczne rowy.

– Jesteśmy łodzią podwodną – odezwała się podniecona Charlotte, która siedziała obok Paige i obserwowała przez boczną szybę fontanny tryskające spod kół wozu – i płyniemy razem z wielorybami, kapitanem Nemo i Nautilusem, dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi, i zbliżają się do nas gigantyczne kałamarnice. Pamiętasz, mamó, tę gigantyczną kałamarnicę z filmu?

– Pamiętam – powiedziała Paige, nie odrywając wzroku od drogi.

– Peryskop w górę – ciągnęła Charlotte, zaciskając dłonie na uchwytych tego wyimaginowanego instrumentu. – Przemierzamy morskie szlaki, przebijamy statki naszą supersilną stalową ostrogą bum!, a szalony kapitan gra na wielkich organach! Pamiętasz organy, mamó?

– Pamiętam.

– Zanurzamy się głębiej, głębiej, kadłub zaczyna pękać, ale szalony kapitan Nemo mówi: głębiej, gra na organach i mówi głębiej, i zbliża się kałamarnica. – Zaczęła nucić temat muzyczny z filmu „Szczęki”:
dum dum, dum dum, dum dum, dum-dum, da da dum!

– To głupie – odezwała się z tylnego siedzenia Emily.

Charlotte obróciła się, żeby spojrzeć do tyłu.

– Co jest głupie?

– Gigantyczna kałamarnica.

– Ach tak? Może nie uważałabyś ich za takie głupie, gdybyś się kąpała w morzu i jedna z nich podpłynęła od dołu i przegryzła cię na pół, zjadła dwoma kłapnięciami paszczy, a potem wypluła twoje kości jak pestki winogron.

– Kałamarnicę nie jedzą ludzi – powiedziała Emily.

– Oczywiście, że jedzą.

– Jest na odwrót.

– Hę?

– To ludzie jedzą kałamarnicę – wyjaśniła Emily.

– Akurat.

– A właśnie że tak.

– Skąd przyszedł ci do głowy taki głupi pomysł?

– Widziałam je w karcie w restauracji.

– Jakiej restauracji? – zdziwiła się Charlotte.

– W kilku różnych restauracjach. Ty też w nich byłaś. Prawda, mamó, że ludzie jedzą kałamarnicę?

– Tak, jedzą – zgodziła się Paige.

– Zgadzasz się z nią, bo ma tylko siedem lat – stwierdziła sceptycznie Charlotte.

– Nie, to prawda – zapewniła ją Paige. – Ludzie jedzą kałamarnicę.

– Jak? – spytała Charlotte, jak gdyby sama taka możliwość wykraczała poza jej wyobraźnię.

– No cóż – powiedziała Paige, zatrzymując się na czerwonych światłach. – Nie jednym kęsem, rozumiesz.

– Tak przypuszczam! – stwierdziła Charlotte. – W każdym razie nie gigantyczną kałamarnicę.

– Przede wszystkim możesz pokroić macki w plasterki i podsmażyć na maśle czosnkowym – dodała Paige i zerknęła na córkę, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywołała ta kulinarna informacja.

– Chcesz mnie przyprawić o mdłości. – Charlotte skrzywiła się.

– Naprawdę smakuje – nie ustępowała Paige.

– Wołałabym zjeść śmieci.

– Smakuje lepiej niż śmieci, zapewniam cię.

– Możesz również pokroić ich macki w plasterki i usmażyć jak frytki – odezwała się Emily.

– Słusznie – powiedziała Paige.

Komentarz Charlotte był prosty i bezpośredni:

– Faj.

– Wyglądają jak małe krążki cebuli, tyle że to kałamarnica – wyjaśniła Emily.

– To paskudztwo.

– Małe, gumowe, przysmażone krążki kałamarnicy, z których kapie lepki atrament – zachichotała Emily.

– Jesteś obrzydliwym krasnalem – powiedziała Charlotte.

– W każdym razie – stwierdziła Emily – nie jesteśmy w łodzi podwodnej.

– Oczywiście, że nie jesteśmy – przyznała Charlotte. – Jesteśmy w samochodzie.

– Nie, jesteśmy w wodolazie.

– W czym?

– W takim, jaki widzieliśmy kiedyś w telewizji, taka łódź, która jeździ z Anglii dokądś tam, i sunie po powierzchni wody, naprawdę pędzi, że aż furrrrrrczy.

– Masz nam myśli wodolot, kochanie – poprawiła ją Paige, zdejmując stopę z hamulca, gdy światło zmieniło się na zielone, i ruszając ostrożnie przez zalane wodą skrzyżowanie.

– No tak – zgodziła się Emily. – Wodolot. Jesteśmy w wodolocie i jedziemy do Anglii spotkać się z królową. Napiję się z nią herbaty, zjem kałamarnicę i porozmawiam o rodzinnych klejnotach.

Paige omal nie wybuchnęła głośnym śmiechem.

– U królowej nie podają kałamarnic – powiedziała Charlotte poirytowana.

– A właśnie że tak – upierała się Emily.

– Nie, podają placuszki, naleśniki, fląderki i w ogóle wszystko – powiedziała Charlotte.

Tym razem Paige naprawdę wybuchnęła głośnym śmiechem. Przed jej oczyma pojawił się żywy obraz: bardzo zasadnicza i łaskawa królowa Anglii pytająca jakiegoś gościa, czy nie miałby ochoty na fląderkę do herbaty, i wskazująca palcem na wyzywającą prostytutkę, ubraną w perwersyjną bieliznę.

– Co w tym śmiesznego? – spytała Charlotte.

Tłumiąc śmiech, Paige skłamała:

– Nic, po prostu myślałam o czymś innym, co stało się dawno temu, nic ciekawego.

Przerwanie tej konwersacji było ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła. Kiedy jechała z dziewczynkami, rzadko włączała radio. To, co mogła w nim usłyszeć, nie było nawet w połowie tak zabawne jak show Charlotte i Emily.

Kiedy deszcz zaczął padać z jeszcze większą siłą, okazało się, że Emily jest w gadatliwym nastroju.

– O wiele zabawniej jechać wodolotem na spotkanie z królową niż siedzieć w łodzi podwodnej, którą

pożera wielka kałamarnica.

– Królowa jest nudna – stwierdziła Charlotte.

– Nie jest.

– Jest.

– Ma izbę tortur pod pałacem.

Charlotte znów odwróciła się na swoim siedzeniu, zainteresowana wbrew sobie.

– Naprawdę?

– Tak. I trzyma tam jakiegoś faceta w żelaznej masce.

– W żelaznej masce?

– W żelaznej masce – powtórzyła ponuro Emily.

– Dlaczego?

– Bo jest naprawdę brzydki – wyjaśniła Emily.

Paige doszła do wniosku, że z obu wyrosną pisarki. Odziedziczyły po Martym żywą i niespokojną wyobraźnię. I zrobią z niej użytek. Choć to, co miały w przyszłości napisać, różniłoby się od powieści ich ojca, nie mówiąc już o tym, że twórczość jednej różniłaby się tak bardzo od twórczości drugiej.

Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie opowie Marty'emu o łodziach podwodnych, wodolotach, gigantycznych kałamarnicach, przysmażanych mackach i fląderkach u królowej.

Postanowiła zaakceptować wstępną diagnozę Paula Gutheridge'a. Stres. Tylko tyle. Nic złego nie mogło stać się z Martym. Był silną naturą, głęboką studnią energii i śmiechu, nieposkromioną i prężną. Wyjdzie z tego tak jak Charlotte pięć lat temu. Nic złego nie mogło się stać żadnemu z nich, ponieważ mieli jeszcze tyle do zrobienia, tyle dobrych chwil ich jeszcze czekało.

Oślepiająca błyskawica przecięła niebo, wlokąc za sobą uderzenie grzmotu, równie świetlista jak niebiański rydwan, na który zstępował Bóg w dniu Sądu Ostatecznego.

Marty'ego dzieliło od drzwi sypialni tylko sześć czy siedem stóp. Podchodził do nich od strony zawiasów, mógł więc sięgnąć do gałki i pchnąć drzwi do środka, nie stając jednocześnie bez żadnej osłony na progu pokoju.

Starając się nie wdepnąć w krew, zerknął w dół, na dywan, gdzie krwawe ślady były mniejsze i rzadsze niż w innych miejscach korytarza. Zauważył coś nienormalnego, coś, co początkowo umknęło jego uwagi, i zrobił jeszcze jeden krok ze wzrokiem wlepionym w drzwi, zanim nie dotarło do niego, co naprawdę widział: odcisk przedniej połówki podeszwy, nieznacznie zabarwionej na czerwono, podobnie jak dwadzieścia czy trzydzieści innych, które minął po drodze, z tą różnicą, że część odcisku, w miejscu gdzie jest duży palec, była zwrócona w odwrotną stronę, w kierunku, z którego obydwaj przyszli.

Marty znieruchomiał.

Ten Drugi dotarł aż do sypialni dziewczynek, ale nie wszedł do środka. Zawrócił, jakimś cudem tamując krew, tak że nie zostawiał już wyraźnych śladów z wyjątkiem tego jednego, zdradzieckiego, i być może paru innych, których Marty nie dostrzegł.

Odwracając się błyskawicznie, ściskając broń w obu dłoniach, Marty krzyknął na widok Tego Drugiego, który zbliżał się ku niemu od strony gabinetu Paige, poruszając się za szybko, jak na człowieka z raną klatki piersiowej, który stracił przynajmniej litr krwi. Wymierzył Marty'emu potężne uderzenie i zawlókł go w stronę balustrady, otaczającej galerię.

Marty pociągnął instynktownie za spust, gdy przeciwnik odciągał go do tyłu, ale pocisk utknął w suficie korytarza. Uderzył krzyżem o twardą poręcz i z ust wyrwał mu się na wpół zduszony krzyk, gdy rozpalony do białości ból przeszył jego nerki i zaczął grać w klasy na jego kręgosłupie.

Stracił broń w chwili, gdy krzyknął. Wypadła z jego dłoni, przeleciała łukiem nad głową i poszybowała w pustą przestrzeń za plecami.

Przeciążona dębowa balustrada zadrżała, głośny suchy trzask oznaczał, że drewno pęknie lada chwila i Marty był pewien, że runą w dół. Ale słupki trzymały się mocno, a poręcz z obu końców przytrzymały dwa główne filary.

Napierając bezlitośnie, Ten Drugi przycisnął Marty'ego do balustrady, Chwycił za szyję. Dłonie z żelaza. Palce jak hydrauliczne szczypce kierowane potężnym motorem. Gotowe zmiażdżyć arterie szyjne.

Marty wpakował kolano w krocze napastnika, ale tamten zdołał zablokować cios. Stracił równowagę. Stał teraz na jednej nodze, co ułatwiło atak napastnikowi. Wbijał się w poręcz i jednocześnie o nią opierał.

Krztusząc się, nie mogąc oddychać, ale świadomy, że największym niebezpieczeństwem jest zmniejszenie dopływu krwi do mózgu, Marty złączył dłonie w klin i i wbił je od dołu między ramiona Tego Drugiego, próbując rozdzielić je i przełamać śmiertelny chwyt. Napastnik podwoił wysiłki, zdecydowany trzymać przeciwnika mocno. Marty także napiął się bardziej, czując jak przemęczone serce uderza boleśnie w mostek.

Siły powinny być równe, na Boga, byli tego samego wzrostu, tej samej wagi i budowy ciała, byli w tej samej formie fizycznej, byli również, sądząc po wszelkich danych, *tym samym człowiekiem*.

A jednak Ten Drugi, pomimo dwóch potencjalnie śmiertelnych ran, był silniejszy, i to nie dlatego, że miał przewagę dzięki lepszej pozycji czy oparciu. Wydawał się obdarzony nieludzką siłą.

Twarzą w twarz ze swym odpowiednikiem, owiewany jego gorącym oddechem, Marty mógłby

równie dobrze spoglądać w lustro, choć to dzikie odbicie, jakie miał przed oczyma, było wykrzywione obcym grymasem. Wściekłość bestii. Nienawiść trująca tak skutecznie jak cyjanek. Znajome rysy zniekształcone wyrazem maniakalnej przyjemności, którą dusiciel czerpał z aktu zbrodni.

Z obnażonymi zębami, plując śliną, niewytłumaczalnie, lecz wielokrotnie zaciskając swój chwyt, by podkreślić wagę słów, Ten Drugi powiedział: *pragnę mojego życia, mojego życia, mojego, mojego, teraz. Pragnę mojej rodziny, teraz, mojej, teraz, teraz, teraz, pragnę jej, PRAGNĘ JEJ!*

W polu widzenia Marty'ego pojawiły się nagle negatywowe świetliki, negatywowe, bo były fotograficznym przeciwieństwem owadów, które latają z maleńkimi latarenkami w ciepłą letnią noc, nie błyski światła w ciemności, lecz błyski ciemności w świetle. Pięć, dziesięć, dwadzieścia, sto, gwarny rój. Mająca nad Martym twarz Tego Drugiego znikła stopniowo pod migoczącą czarną masą.

Rozpaczliwie pragnąc przełamać chwyt napastnika, Marty wysunął ku pełnej nienawiści twarzy rozcapierzone palce. Ale nie mógł jej dotrzeć. Każdy wysiłek wydawał się niewystarczający, bezsensowny.

Tak dużo czarno-białych świetlików.

Obraz, który dostrzegał w tym roju: okrutna i gniewna twarz nowego męża jego żony, wymagająca twarz surowego ojca jego córek.

Świetliki. Wszędzie, wszędzie. Rozwijają skrzydła zniszczenia.

Bang. Głośny jak wystrzał karabinowy. Druga, trzecia, czwarta seria eksplozji. Pękające słupki.

Poręcz złamała się. Wygięła do tyłu. Nie miała już oparcia w słupkach, z których zostały drzazgi.

Marty przestał opierać się napastnikowi i w panice starał się zaczepić nogami i rękami o poręcz, w nadziei, że zdoła przytrzymać się drewnianych resztek balustrady i nie runie w dół. Ale środkowa część oparcia rozpadła się tak kompletnie i tak szybko, że nie mogła już stanowić żadnej ochrony, a ciężar wczepionego w jego ciało przeciwnika potęgował grawitację. Gdy jednak balansowali na krawędzi galerii, Marty zdołał przechylić szale walki na swoją korzyść, tak że Ten Drugi przetoczył się po nim i runął pierwszy. Nie trzymał już Marty'ego za gardło, ale pociągnął go za sobą. Spadali w dół, w czeluść schodów, rozbili zewnętrzną poręcz i uderzyli o wyłożoną płytkami podłogę przedpokoju.

Upadek nastąpił z wysokości szesnastu stóp, niezbyt wielki dystans, prawdopodobnie nawet nie śmiertelny, poza tym impet uderzenia złagodziła niższa poręcz. Jednak wstrząs pozbawił Marty'ego tchu, choć był amortyzowany przez Tego Drugiego, który rąbnął plecami o podłogę z głośnym łup, przypominającym uderzenie potężnego młota.

Krztusząc się i kaszląc, Marty odepchnął się od swego sobowtóra i próbował wydostać się z zasięgu jego rąk. Oddychał z trudem, kręciło mu się w głowie i nie wiedział, czy nie połamał sobie jakiejś kości. Kiedy odetchnął, czuł przejmujące ukłucie w krtani, a gdy zakaszłał, poczuł ból nie mniejszy od tego, jakiego by doznał, gdyby próbował połknąć kłęb drutu kolczastego i powyginanych gwoździ. Ucieczka na czworakach, z kocią zwinnością, co początkowo planował, okazała się absolutnie niemożliwa, mógł wlec się po podłodze przedpokoju, kołysząc się i trzęsąc jak karaluch, którego spryskano środkiem owadobójczym.

Mrugając przez łzy, które napłynęły mu do oczu z powodu kaszlu, spostrzegł pistolet. Leżał piętnaście stóp dalej, poza miejscem, w którym płytki podłogi przechodziły w parkiet, na granicy przedpokoju i salonu. Sądząc po intensywności, z jaką skupił uwagę na pistolecie, i zawziętości, z jaką włókł w jego stronę swe na wpół zdrewniałe i obolałe ciało, mógł to być równie dobrze święty Graal.

Usłyszał jakieś dudnienie, potem głuche uderzenie, które, jak mu się niewyraźnie zdawało, miało związek z Tym Drugim, ale nie zatrzymał się, by spojrzeć za siebie. Może to śmiertelne drgnienie, werbel

wybijany przez obcasy na podłodze, ostatnie konwulsje. Ten drań musiał być co najmniej poważnie ranny. Unieruchomiony i umierający. Ale Marty chciał najpierw położyć swe roztrzęsione dłonie na broni, dopiero potem świętować ocalenie.

Wyciągnął dłoń po pistolet, chwycił go i wydał z siebie pomruk zmęczonego triumfu. Przekreślił się na bok, rozejrzył wkoło i wymierzył broń w stronę przedpokoju, spodziewając się ujrzeć nad sobą swego zawziętego prześladowcę.

Ale Ten Drugi wciąż leżał płasko na plecach. Nieruchomo. Może był nawet martwy. Za dużo szczęścia. Jego głowa obróciła się leniwie w stronę Marty'ego. Błada twarz błyszczała od potu, biała i świecąca jak porcelanowa maska.

– Załatwiony – zacharczał.

Zdawało się, że może poruszać jedynie głową i palcami prawej ręki, choć nie samą ręką. Jego rysy wykrzywiały raczej grymas wysiłku niż bólu. Uniósł głowę z podłogi, a wciąż żywe palce zwijały się i prostowały jak nogi umierającej tarantuli, ale nie był w stanie usiąść czy zgiąć nogi w kolanie.

– Załatwiony – powtórzył.

Sposób, w jaki wypowiedział to słowo, przywiódł Marty'emu na myśl żołnierzyka zabawkę o powyginanych sprężynach i zepsutych przekładniach.

Opierając się o ścianę jedną ręką, Marty wstał.

– Zabijesz mnie? – spytał Ten Drugi.

Perspektywa wpakowania kuli w głowę rannego i bezbronno człowieka była w najwyższym stopniu odrażająca, ale Marty'ego kusilo, żeby to zrobić, a później martwić się o konsekwencje, tak psychiczne, jak prawne. Powstrzymywała go ciekawość i wątpliwości natury moralnej.

– Zabić cię? Z przyjemnością. – Jego głos był chrapliwy. Musiał mieć uszkodzone gardło. – Kim, u diabła, jesteś?

Każde wypowiedziane z trudem słowo przypominało mu, ile miał szczęścia, że w ogóle zadawał jeszcze pytania.

Znowu to samo głuche dudnienie. Tym razem rozpoznał je: to nie były śmiertelne konwulsje, ale po prostu wibracje wywołane otwieraniem automatycznych drzwi garażu, które za pierwszym razem ktoś podnosił do góry, a teraz opuszczał.

Z kuchni dobiegły głosy, gdy Paige weszła z dziewczynkami do domu.

Marty odetchnął głęboko i ruszył biegiem przez salon, w stronę jadalni, chcąc za wszelką cenę zatrzymać dziewczynki, zanim cokolwiek zobaczą. Przez długi czas nie czułyby się bezpieczne w tym domu, gdyby wiedziały, że wtargnął tu intruz i próbował zabić ich ojca. Ale przeżyłyby jeszcze większy szok, gdyby ujrzęły całe to zniszczenie i skrwawionego człowieka, który leży sparaliżowany na podłodze w przedpokoju. A w dodatku jest uderzająco podobny do ich ojca!

Kiedy Marty wpadł do kuchni, a skrzydła wahadłowych drzwi huśtały się tam i z powrotem, Paige odwróciła się zdziwiona od wieszaka, na którym powiesiła płaszcz przeciwdeszczowy. Dziewczynki wciąż w swoich żółtych pelerynkach i kapelusikach winylowych z opuszczonym rondem uśmiechnęły się szeroko i wyczekująco przekrzywiły głowy, przypuszczając zapewne, że jego burzliwe wtargnięcie jest zapowiedzią jakiegoś żartu czy jednego z tych niemądrych, zaimprovizowanych naprędce przedstawień.

– Zabierz je stąd – powiedział chrapliwie do Paige, starając się mówić spokojnie, pokonany jednak przez obolałe gardło i zbyt widoczne napięcie.

– Co ci się stało?

– Już – nalegał. – Natychmiast. Zabierz je na drugą stronę ulicy, do Vica i Kathy.

Dziewczynki zobaczyły broń w jego ręku. Ich uśmiech zniknął, a oczy rozszerzyły się.

– Krwawisz. Co... – zauważyła Paige.

– To nie ja – przerwał jej, orientując się poniewczasie, że pobrudził sobie koszulę krwią Tego Drugiego, gdy spadali razem z galerii. – Nic mi nie jest.

– Co się stało? – nie ustępowała Paige.

Otwierając pchnięciem drzwi do garażu, powiedział:

– Mieliśmy tu pewien kłopot. – Bolało go gardło, kiedy mówił. Zmuszał się jednak do bełkotu, bo wiedział, że powinien je skłonić do wyjścia z domu. Nie panował nad językiem, być może po raz pierwszy w swym życiu, pełnym obsesyjnego uwielbienia dla słów. – Problem, kłopot, Jezus, wiesz, jak to, co się stało, pewien problem...

– Marty...

– Pospiesz się, idźcie do Deloriów, wszystkie. – Przystąpił próg, wchodząc do ciemnego garażu, uderzył w przycisk i duże drzwi zaczęły się z hałasem unosić. Napotkał wzrok Paige. Będą tam bezpieczne.

Nie tracąc czasu na zdejmowanie płaszcza z wieszaka, Paige popchnęła dziewczynki do garażu, w stronę podniesionych drzwi.

– Wezwij policję! – zawołał za nią, mrużąc oczy z bólu, wywołanego przez ten krzyk.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, a na jej twarzy malowała się troska.

Powiedział:

– Ze mną wszystko w porządku, ale jest tu facet ciężko postrzelony.

– Chodź z nami – poprosiła.

– Nie mogę. Wezwij policję.

– Marty...

– Idź. Paige, po prostu idź!

Wzięła dziewczynki za ręce i wyprowadziła z garażu, na ulewę, odwracając się tylko raz, by na niego spojrzeć.

Czekał, aż doszły do końca podjazdu, spojrzały w lewo i prawo, by sprawdzić, czy nic nie nadjeżdża, a następnie ruszyły biegiem przez ulicę. Krok za krokiem, oddalając się w srebrnych zasłonach deszczu, traciły realne kształty, przypominając coraz bardziej umykające duchy. Ogarnęło go niepokojąco prorocze przeczucie, że już nigdy nie zobaczy ani Paige, ani córek. Wiedział, że to jedynie irracjonalna reakcja wywołana nadmiarem adrenaliny. Ale strach był silniejszy.

Zimny wiatr owiewał najciemniejsze zakątki garażu i Marty miał wrażenie, że pot na jego twarzy zmienia się w kryształki lodu.

Wrócił do kuchni i zamknął za sobą drzwi.

Chociaż trząśł się, na wpół przemarznięty, był spragniony zimnego drinka, ponieważ gardło paliło go tak, jakby płonęła w nim benzyna.

Może ten człowiek w przedpokoju w tej właśnie chwili umiera skręcany konwulsjami czy z powodu ataku serca. Był w cholernie złym stanie. Więc dobrze byłoby tam pójść i zająć się nim, na wypadek, gdyby była konieczna reanimacja. Marty nie przejmował się tym, że facet może umrzeć. Chciał, by umarł, ale najpierw powinien odpowiedzieć na wiele pytań i wyjaśnić, przynajmniej – w jakimś stopniu, sens tego, co się wydarzyło.

Ale Marty musiał się napić, żeby ulżyć gardłu. Każde przełknięcie śliny było torturą. Kiedy zjawiają się policjanci, musi być przygotowany na długą rozmowę.

Woda z kranu nie wydawała się na tyle zimna, by pomóc, więc otworzył lodówkę, w której, mógłby przysiąc, było znacznie mniej jedzenia niż wcześniej, i chwycił karton z mlekiem. Nie, to nie był dobry pomysł. Poczuł, że za chwilę zwymiotuje. Mleko przypominało mu krew, ponieważ było płynem pochodzącym z ciała, co wydawało się oczywiście śmieszne; lecz wydarzenia ostatniej godziny były irracjonalne, więc siłą rzeczy jego niektóre reakcje też były irracjonalne. Odstawił karton z powrotem na półkę, sięgnął po sok pomarańczowy i wtedy spostrzegł butelki i puszki z piwem. Nic nigdy nie wydawało mu się równie upragnione jak ten chłodny napój. Chwycił puszkę, ponieważ była o jedną trzecią uncji większa niż butelka.

Pierwszy długi łyk podsycił ogień w jego gardle. Drugi bolał nieco mniej niż pierwszy, trzeci mniej niż drugi, a każdy następny był równie kojący jak miód leczniczy.

Z pistoletem w jednej dłoni i na wpeł opróżnioną puszką w drugiej, drżąc bardziej z powodu tego, co się wydarzyło i co go jeszcze czekało niż z powodu lodowatego piwa, ruszył z powrotem do przedpokoju.

Ten Drugi zniknął.

Puszka wypadła mu z ręki. Potoczyła się do tyłu, tryskając spienionym piwem na drewnianą podłogę salonu. Choć puszka wysunęła się z jego dłoni z taką łatwością, nic nie zmusiłoby go do wypuszczenia broni z ręki.

Połamane słupki, kawałek poręczy i drzazgi zaśmiecały podłogę w przedpokoju. Kilka płytek pękło. Ani śladu ciała.

Od chwili, w której do gabinetu Marty'ego wkroczył jego sobowtór, jasny dzień zmieniał się z wolna w koszmar, którego nie poprzedził, jak to się zwykle dzieje, sen. Wydarzenia straciły rzeczywisty wymiar i jego własny dom stał się częścią ponurego, sennego krajobrazu. Choć konfrontacja z nieznanym wydawała się Marty'emu surrealistyczna, to jednak w chwili, gdy się rozgrywała, był przekonany o jej prawdziwości. Teraz też w nią nie wątpił. Nie strzelał do tworu wyobraźni, nie był duszony przez zjawę ani też sam nie wypadł przez balustradę. Leżący bezwładnie w foyer Ten Drugi był równie rzeczywisty jak strzaskana poręcz, której kawałki wciąż zaśmiecały podłogę.

Przerażony, że Paige z dziewczynkami została zaatakowana na ulicy, zanim zdążyła dotrzeć do domu sąsiadów, Marty sprawdził drzwi wejściowe. Były zamknięte. Od środka. Łańcuch był na swoim miejscu. Szaleniec nie wyszedł z domu tą drogą.

W ogóle go nie opuścił. Jak mógłby to zrobić w tym stanie? Nie panikuj. Opanuj się. Przemyśl wszystko.

Marty założyłby się o cały rok swego życia, że rany Tego Drugiego były prawdziwe, nie pozorne. Z pewnością kręgosłup tego drania był złamany – nie mógł poruszyć żadną kończyną, z wyjątkiem głowy i palców jednej dłoni.

Gdzie był?

Nie na górze. Nawet gdyby nie miał uszkodzonego kręgosłupa, nawet gdyby poruszał nogami, nie byłby w stanie zawlec roztrzaskanego ciała na pierwsze piętro podczas tych kilku chwil, które Marty spędził w kuchni.

Naprzeciwko wejścia do salonu znajdowała się niewielka izba. Przez uchylone listwy żaluzji sączyło się do środka brudne światło burzowego zmierzchu, nie rozpraszając mroku. Marty przekroczył próg i nacisnął kontakt. Pomieszczenie było puste. Rozsunął oszklone drzwi garderoby. Nikogo.

Garderoba w przedpokoju. Nic. Ubikacja. Nic. Głęboki schowek pod schodami. Nic. Bieliźniarka. Salon. Nic. Nic. Nic.

Nie zwracał uwagi na własne bezpieczeństwo. Spodziewał się znaleźć niedoszłego zabójcę gdzieś

w pobliżu, całkowicie bezradnego, może nawet martwego, pozbawionego przez niezdarną próbę ucieczki resztek sił.

Lecz odkrył jedynie, że tylne drzwi prowadzące na patio są otwarte. Z zewnątrz napłynął podmuch zimnego wiatru, wprawiając w drżenie drzwiczki od szafek. Poruszał płaszczem Paige wiszącym na wieszaku przy wejściu do garażu, wypełniając go fałszywym życiem.

Podczas gdy Marty wracał do przedpokoju przez jadalnię i salon, Ten Drugi musiał przedostać się do kuchni inną drogą. Musiał przejść wzdłuż krótkiego halu, biegnącego z przedpokoju obok ubikacji i bieliźniarki, a potem przez salon. Czołgając się, nie zdołałby pokonać takiej odległości w tak krótkim czasie. Poruszał się na nogach, może niezbyt pewnie, ale jednak na nogach.

Nie. To niemożliwe. W porządku, może facet nie miał złamanego kręgosłupa. Ani nawet uszkodzonego. Ale był poważnie ranny. Nie mógł po prostu stanąć jednym skokiem na nogach i pobiec radośnie w dal.

Znów powrócił koszmar. Znów nadszedł czas, by tropić i być tropionym przez coś, co posiadało zdolności regeneracyjne potwora ze snu, coś, co chciało odebrać mu jego życie. I było do tego zdolne.

Marty wyszedł przez otwarte drzwi na patio.

Strach wzniosł go na wyższy poziom świadomości. Wyostrzone zmysły sprawiły, że kolory stały się bardziej intensywne, zapachy bardziej ostre, a dźwięki czystsze i bardziej subtelne. To uczucie było jak z zapomnianego dawno snu, w którym przemierzał niebiosa niczym ptak albo doświadczał seksualnej jedności z kobietą o tak doskonałej formie, że potem nie mógł sobie przypomnieć ani jej twarzy, ani jej ciała, a tylko blask doskonałego piękna, jakim promieniowała. Tamte sny w ogóle nie wydawały się fantazjami, ale widzianym przez chwilę obrazem wspaniałej rzeczywistości, istniejącej gdzieś poza realnym światem. Przekraczając próg kuchennych drzwi i wkraczając w chłodne królestwo natury, Marty przypomniał sobie niezwykle żywość tamtych dawno zapomnianych wizji, bo w tej właśnie chwili doznawał podobnego uczucia, podobnej wrażliwości na każdy zmysłowy impuls. Z góry, z grubego baldachimu utkanego przez pnącza tropikalne, spadały dziesiątki kropel i kropelek, które rozpryskiwały się w kałużach, czarnych w tym gasnącym świetle niczym olej. Na tej płynnej czerni unosiły się szkarłatne kwiaty, tworząc wzory, które, choć przypadkowe, wydawały się równie złowieszcze i pełne ukrytych znaczeń jak starożytne pisma chińskich mistyków.

Na małym, otoczonym ze wszystkich stron murem podwórzu drżały żałośnie, poruszane rześkim wiatrem, indiański laur i eugenia. Przy północno-zachodnim narożniku długie i delikatne pnącza dwu eukaliptusów chłostały powietrze, zrzucając kwadratowe liście, srebrzyste niczym skrzydła ważek. W cieniach rzucanych przez drzewa, a także za kilkoma większymi krzewami, mógł schować się dorosły człowiek.

Marty nie zamierzał przeszukiwać tych miejsc. Jeśli tamten zdołał wyczołgać się z domu, żeby *przyczaić* się w zimnej, wilgotnej kryjówce z jaśminu i agapantu, osłabiony wpływem krwi, a tak najprawdopodobniej było, to znalezienie go nie wymagało pośpiechu. Przede wszystkim należało się upewnić, że w tej chwili nie umyka nie zauważony.

Chóry ropuch, od dawna przyzwyczajone do suszy i minimalnej ilości wody, śpiewały w ukrytych zagłębieniach w ziemi. Dziesiątki przenikliwych głosów, które tak bardzo lubił, teraz wydawały mu się niesamowite i groźne. Ponad tą arią wznosił się płacz dalekich, lecz coraz głośniejszych syren.

Jeśli Ten Drugi próbował uciec przed policją, to miał niewiele dróg do wyboru. Mógł wspiąć się na jedną ze ścian, otaczających posesję, ale wydawało się to mało prawdopodobne, bo, nawet pomijając jego cudowne ozdrowienie, nie miał po prostu dość czasu, by przebiec trawnik, precyzyjnie się przez krzewy

i przedostać na jedno z sąsiednich podwórek.

Marty zawrócił w prawo i wyszedł pospiesznie spod ociekającego daszku patio. Przemoczony do suchej nitki po zaledwie paru krokach, szedł wzdłuż tylnej ścieżki przylegającej do domu, następnie przebiegł pędem obok tylnej ściany garażu.

Ulewa wywabiała ślimaki z wilgotnych i zacienionych kryjówek, w których zwykle pozostawały jeszcze długo po zmierzchu. Ich blade, galaretowate ciała niemal w całości wypełzły ze skorup, a grube czułki wysuwały się do przodu. Nadepnął na kilka z nich, gniotąc je na miazgę, a przez jego głowę przebiegła zabobonna myśl, że w każdej chwili jakaś kosmiczna istota może z taką samą objętością zmiażdżyć również jego.

Kiedy wybiegł z za rogu i wkroczył na ścieżkę pomiędzy ścianą garażu a żywopłotem, spodziewał się, że ujrzy swego sobowtóra kuśtykającego w stronę frontu posesji. Ścieżka była pusta. Furtka przy jej końcu – uchylona.

Syreny wyły coraz głośniejsze. Marty wybiegł na podjazd przed domem, wdepnął w rynsztok, wypełniony szybko płynącą wodą o głębokości czterech czy pięciu cali, zimną jak Styks, wy dostał się na ulicę i rozejrzał wokół, ale policyjne wozy jeszcze się nie pojawiły.

Tego Drugiego też nigdzie nie było widać. Marty był sam.

Za następnym skrzyżowaniem z dużą prędkością odjeżdżał jakiś samochód. Pędził na południe. Był zbyt daleko, by można było rozpoznać jego model i typ. Choć jechał za szybko jak na te warunki pogodowe, Marty wątpił, czy za jego kierownicą siedzi sobowtór. Wciąż nie mógł uwierzyć, że byłby w stanie iść, a co dopiero dotrzeć do swojego samochodu i odjechać. Na pewno znajdą tego sukinsyna gdzieś w okolicy, leżącego w krzakach, nieprzytomnego albo martwego. Samochód skręcił na rogu o wiele za szybko; ponad chłupotem, pluskiem i szmerem deszczu słychać było cienki pisk opon. Potem samochód zniknął.

Od północy dobiegło złowieszcze wycie syren, których natężenie wzrosło raptownie, i Marty, odwróciwszy się, ujrzał biało-czarny wóz policyjny, wyjeżdżający z za rogu niemal z taką samą prędkością, z jaką ten drugi samochód skręcił na południe. Obracające się na dachu wozu czerwone i niebieskie lampy rzucały snopy światła, które przebijało zasłony deszczu i padało na czarny asfalt ulicy. Syrena raptownie umilkła, gdy wóz zatrzymał się gwałtownie na środku ulicy, dwadzieścia stóp od Marty'ego.

Syrena drugiego radiowozu odezwała się w oddali, gdy otwierały się przednie drzwi pierwszego. Wyszli z niego dwaj umundurowani policjanci. Pochylili się. Usłyszał krzyk:

– Rzuć to! Rzuć to natychmiast albo zginiesz, dupku! Natychmiast!

Marty uświadomił sobie, że wciąż trzyma w ręku pistolet. Policjanci wiedzieli tylko tyle, że został postrzelony mężczyzna, więc oczywiście to jego wzięli za przestępcę. Gdyby nie zrobił dokładnie tego, czego żądali, i to szybko, zastrzeliliby go i byłiby usprawiedliwieni.

Wypuścił pistolet z ręki.

Broń upadła z brzękiem na chodnik.

Kazali mu ją kopnąć, by potoczyła się dalej. Zrobił to.

Gdy wychylili się z za otwartych drzwi radiowozu, jeden z gliniarzy krzyknął:

– Na ziemię, twarzą do dołu, ręce na plecy!

Wolał im nie tłumaczyć, że to on jest ofiarą, a nie przestępcą. Najpierw żądali posłuszeństwa, a dopiero potem wyjaśnień, i gdyby to on był na ich miejscu, postąpiłby tak samo.

Osunął się na dłonie i kolana i rozciągnął się płasko na ziemi. Nawet przez koszulę czuł chłód

mokrego asfaltu ulicy, który pozbawił go niemal oddechu.

Leżał dokładnie naprzeciwko domu Vica i Kathy Delorio i miał nadzieję, że Charlotte i Emily nie patrzą przez okna. Nie powinny widzieć ojca leżącego na ziemi, pod lufami policyjnych rewolwerów. I tak już były wystraszone. Pamiętał ich szeroko otwarte oczy, kiedy wpadł do kuchni z bronią w rękę, i nie chciał, by bały się jeszcze bardziej.

Zimno przenikało go do szpiku kości.

Nagle syrena drugiego radiowozu zaczęła rozbrzmiewać z każdą chwilą coraz głośniejsze. Przypuszczał, że samochód wyjechał z za rogu po stronie południowej i zbliżał się z tamtej strony. Przerazliwe zawrozczenie było zimne jak ostry sopel w uchu.

Przyciskając jedną stronę twarzy do chodnika, mrugając z powodu deszczu, patrzył na zbliżających się policjantów. Trzymali broń w wyciągniętych dłoniach. Kiedy weszli w płytką kałużę, Marty'emu, patrzącemu z dołu, zdawało się, że rozchlapują hektolitry wody.

Kiedy zbliżyli się do niego, powiedział:

– W porządku. Mieszkam tutaj. To mój dom. – Jego zachrypnięty głos był jeszcze bardziej zniekształcony przez dreszcze, które nim wstrząsały. Bał się, że sprawia wrażenie pijanego czy nienormalnego. – To mój dom.

– Nie wstawaj – powiedział ostro jeden z nich. – Ręce za plecami i nie wstawaj.

– Masz jakiś dowód tożsamości? – spytał drugi.

Drżąc tak bardzo, że dzwoniły mu zęby, powiedział:

– Tak, pewnie, w portfelu.

Na wszelki wypadek skuli mu ręce kajdankami, zanim sięgnęli do kieszeni jego kurtki. Stalowe bransolety wciąż były nagrzane ciepłem wnętrza radiowozu.

Czuł się jak bohater jednej ze swoich powieści. Z pewnością nie było to miłe uczucie.

Druga syrena ucichła. Trzasnęły drzwi samochodu. Posłyszał piski i metaliczne głosy dobiegające z policyjnego radia.

– Czy masz tu jakiś dowód z fotografią? – spytał policjant, który przeglądał portfel.

Marty poruszył lewym okiem, próbując dojrzeć coś więcej niż tylko kolana mężczyzny.

– Tak, oczywiście, prawo jazdy.

Jego bohaterowie, gdy byli podejrzani o zbrodnie, których nie popełnili, często martwili się i bali. Lecz nigdy nie czuli się *poniżeni*. Leżąc na zimnym asfalcie, rozciągnięty przed funkcjonariuszami policji, był upokorzony jak nigdy w życiu, choć nie zrobił nic złego. Sama ta sytuacja, konieczność zachowania absolutnego posłuszeństwa i bycie podejrzany, zdawała się wyzwać w nim wrodzone poczucie winy, odwieczne przekonanie o udziale w jakimś monstrualnym czynie, którego nie można do końca zidentyfikować, uczucie wstydu, spowodowane ujawnieniem grzechu, choć wiedział, że jest niewinny.

– Kiedy było robione to zdjęcie w pańskim prawie jazdy? – spytał policjant, który trzymał jego portfel.

– Ee, nie wiem, dwa, trzy lata temu.

– Nie jest pan na nim do siebie podobny.

– To zdjęcie z automatu – powiedział Marty, zdumiony tym, że słyszy w swym głosie więcej usprawiedliwienia niż gniewu.

– Puście go, wszystko w porządku, to mój mąż, to Marty Stillwater! – krzyczała Paige, nadbiegając od strony domu Deloriów.

Marty jej nie widział, ale jej głos uradował go i przywrócił rzeczywisty wymiar tej koszmarnej chwili.

Powiedział sobie, że wszystko będzie dobrze. Policjanci uznają swój błąd, puszczą go, przeszukają pobliskie zarośla, a także te na sąsiednich podwórkach, szybko znajdą sobowtóra i wyjaśnią niesamowite wydarzenia ostatniej godziny.

– To mój mąż – powtórzyła Paige, będąc już bardzo blisko, i Marty wyczuwał, że policjanci na nią patrzą.

Miał szczęście być mężem pięknej kobiety, która przyciągała spojrzenia nawet wówczas, gdy była przemoknięta do suchej nitki i roztrzęsiona ze zdenerwowania; była nie tylko piękna, ale także inteligentna, czarująca, dowcipna, kochająca, jedyna. Jego córki były wspaniałymi dziećmi. Miał przed sobą obiecującą karierę powieściopisarza i czerpał radość i satysfakcję ze swej pracy. Nic nie mogło tego zmienić. Nic.

Jednak nawet wtedy, gdy policjanci zdjęli mu kajdanki i pomogli wstać, nawet wtedy, gdy Paige objęła go, a on przytulił ją z wdzięcznością, miał bolesną i niepokojącą świadomość, że zmierzch ustępuje nocy. Spojrzał przez ramię, szukając wzrokiem niezliczonych, zaciemnionych miejsc wzdłuż ulicy, zastanawiając się, z którego to gniazda ciemności nadejdzie następny atak. Deszcz zdawał się tak zimny, że przypominał mokry śnieg, światła alarmowe na dachach samochodów kłuły go w oczy, gardło paliło, jakby przepłukał je kwasem, ciało bolało, a jednak instynkt mu podpowiadał, że najgorsze dopiero nadejdzie.

Nie.

Nie, to nie był instynkt. Fantazja. Przekleństwo pisarskiej wyobraźni ciągle szukającej nowej fabuły.

Ale życie nie przypominało fikcji. Prawdziwe historie nie miały drugiego i trzeciego aktu, starannej konstrukcji, toku narracyjnego, rozwiązania intrygi. Szalone rzeczy po prostu się działy, pozbawione logiki, a potem życie toczyło się jak zwykle.

Policjanci patrzyli, jak obejmuje Paige.

Przeszło mu przez myśl, że dojrzał wrogość na ich twarzach.

W oddali wyła kolejna syrena.

Było mu bardzo zimno.

Księga trzecia

Noc, rozciągająca się nad Oklahoma, napawała Drew Osletta niepokojem. Miła za miłą ciemność po obu stronach trasy międzystanowej była tak głęboka i nieustępliwa, że mężczyzna zdawał się przekraczać most zawieszony nad nie kończącą się i bezdenną otchłanią. Tysiące gwiazd na niebie przywodziło na myśl ogrom, którego wolał sobie nie wyobrazić.

Był dzieckiem miasta. W mieście czuł się dobrze. Szerokie aleje, zabudowane z obu stron wysokimi budynkami, były jedyną przestrzenią, jaką mógł znieść. Od wielu lat mieszkał w Nowym Jorku, ale nigdy nie poszedł do Central Parku. Tylko gąszcz wieżowców, zatłoczone chodniki i ulice dawały mu poczucie bezpieczeństwa. Tutaj był u siebie. Nigdy nie zasłaniał okien w swoim mieszkaniu na środkowym Manhattanie, tak więc pokój w dzień i w nocy zalewało wszechobecne światło metropolii. Kiedy się budził, słyszał uspokajający dźwięk syren, klaksonów, pijackie krzyki, brzęk włazów kanałowych, na które najeżdżały samochody, i wiele innych hałasów, unoszących się nad ulicami miasta nawet w środku nocy, choć cichszych niż wspaniała muzyka poranków, popołudni i wieczorów. Bezustanna kakofonia i wieczna zmienność miasta były chroniącym go kokonem, gwarancją wewnętrznego spokoju nie zakłócanego przez wspomnienia.

Ciemność i cisza nie rozpraszały uwagi, a zatem były jego wrogiem. Wiejskie okolice Oklahoma były bardzo ciemne i bardzo ciche.

Usadowiony w fotelu pasażera, w wynajętym chevrolecie, Drew Oslett przeniósł uwagę z niepokojącego krajobrazu na wyrafinowaną elektroniczną mapę, którą trzymał na kolanach.

Urządzenie miało wielkość podręcznego nesesera, kwadratowe, zasilane z samochodowego akumulatora przez gniazdko od zapalniczki. Płaskie wieko przypominało obudowę telewizora: tylko ekran w stalowej ramie i rząd przycisków. Na lekko świecącym cytrynowozielonym tle trasy międzystanowe były zaznaczone kolorem szmaragdowozielonym, trasy stanowe żółtym, a drogi okręgów niebieskim, drogi polne i boczne żwirówki – czarnym. Miasta, wsie i osady miały kolor różowy.

Chevrolet był czerwoną kropką w pobliżu środka ekranu. Kropka przesuwiała się uparcie wzdłuż szmaragdowozielonej linii, która oznaczała międzystanową 40.

– Jest teraz jakieś cztery mile przed nami – powiedział Oslett.

Karl Clocker, kierowca, milczał. Nawet wtedy, gdy sprawy szły jak najlepiej, nie był zbyt rozmowny. Przeciętą skałą była bardziej gadatliwa niż on.

Ekran z mapą elektroniczną ustawiono w średniej skali, pokazującej sto mil kwadratowych terytorium jako siatkę, po dziesięć mil z każdego boku. Oslett dotknął jednego z przycisków i mapa zniknęła, niemal natychmiast zastąpiona blokiem o powierzchni dwudziestu pięciu mil kwadratowych, po pięć mil z każdego boku, dzięki czemu powiększona ćwiartka poprzedniej mapy wypełniła cały ekran.

Czerwona kropka przedstawiająca ich samochód była teraz cztery razy większa niż poprzednio. Nie znajdowała się już w środku ekranu, ale bliżej prawej strony.

Obok lewej krawędzi ekranu, w odległości niespełna czterech mil, mrugało białe X, które tkwiło nieruchomo ułamek cala od prawej strony międzystanowej 40. X oznaczało „zdobycz”.

Oslett uwielbiał pracować z mapą, ponieważ ekran był wtedy taki kolorowy jak gra wideo. Bardzo lubił gry wideo. Prawdę mówiąc, choć miał trzydzieści dwa lata, jego ulubionym miejscem były pasażerki, gdzie rzędy chłodnych maszyn kusiły oko migoczącym światłem w każdym kolorze i uwodziły słuch bezustannym piskiem, świergotem, brzęczeniem, pohukiwaniem, stukiem, dzwonieniem, buczeniem, frazą muzyczną i amplitudą elektronicznych tonów.

Niestety, mapa była nieruchoma. Nie dawała również efektów dźwiękowych.

Mimo wszystko podniecała go, bo tylko ktoś wybrany mógł dotknąć tego urządzenia zwanego WSUW, Wspomagane Satelitarnie Urządzenie Wykrywające. Nie było go w sprzedaży, częściowo z powodu astronomicznej ceny, przez co liczba nabywców byłaby tak niewielka, że nie usprawiedliwiałaby szerokiego marketingu. Poza tym niektóre technologie objęto ścisłymi ograniczeniami dystrybucyjnymi, co było podyktowane interesami bezpieczeństwa narodowego. I ponieważ mapa była głównie narzędziem tajnego wykrywania i obserwacji, wykorzystywały ją kontrolowane na szczeblu federalnym agencje śledcze i wywiadowcze.

– Trzy mile – zwrócił się do Clockera.

Kłocowaty kierowca nie mruknął nawet w odpowiedzi.

Z urządzenia wychodziły przewody i kończyły się przyssawką o średnicy trzech cali, którą Oslett przytwierdził do górnej części wygiętej szyby samochodu. Sercem zminiaturyzowanej elektroniki w podstawie przyssawki był przekaźnik i odbiornik informacji przekazywanych drogą satelitarną. Poprzez zakodowane mikrofałe WSUW mógł szybko łączyć się z dziesiątkami geosynchronicznych komunikacyjnych i szpiegowskich satelitów, należących do prywatnego przemysłu i służb wojskowych, omijać ich systemy zabezpieczeń, wprowadzać swój program w ich jednostki logiczne i wykorzystywać je dla swoich operacji bez zakłócania trybu ich funkcjonowania i pozostawiania zapisów na naziemnych monitorach, co oznaczałoby naruszenie systemu.

Dzięki wykorzystaniu dwóch satelitów WSUW mógł ustalić za pomocą sieci triangulacyjnej dokładną pozycję nosiciela konkretnego transpondera. Zazwyczaj główny przekaźnik stanowił nie rzucający się w oczy pakunek, który instalowano w podwoziu samochodu należącego do poddanego inwigilacji osobnika, czasem w jego samolocie czy łodzi, tak że można go było śledzić bez przeszkód i w całkowitej dyskrecji.

W tym wypadku przekaźnik był ukryty w gumowym obcasie i podeszwie buta.

Oslett użył przycisków, by podzielić obszar na ekranie na dwie części, tym samym znacznie powiększając szczegóły na mapie. Studiując nowy, równie kolorowy jak poprzedni obraz na monitorze, powiedział:

– Wciąż stoi w miejscu. Może zjechał na pobocze, żeby odpocząć.

Mikrochip WSUW zawierał dokładne mapy każdej mili kwadratowej Stanów Zjednoczonych, Kanady i Meksyku. Gdyby Oslett działał w Europie, na Bliskim Wschodzie, czy gdziekolwiek indziej, miałyby również zainstalowaną odpowiednią bibliotekę kartograficzną danego terytorium.

– Dwie i pół mili – dodał Oslett.

Prowadząc jedną ręką, Clocker sięgnął pod płaszcz i wyciągnął rewolwer, który nosił w kaburze na szelkach. Był to colt 0.375 magnum, broń raczej ekscentryczna i nieco staroświecka dla kogoś, kto pracuje w branży Karla Clockera. Lubił także marynarki tweedowe ze skórzanymi guzikami, skórzanymi łątami na łokciach, a czasem, jak teraz, ze skórzanymi kłapami. Miał ekscentryczną kolekcję kamizelek o śmiałych, krzykliwych wzorach, z których jedną miał właśnie na sobie. Zazwyczaj tak dobierał kolorowe skarpetki, by kłóciły się z resztą ubrania, i zawsze nosił brązowe zamszowe buty. Biorąc pod uwagę jego posturę i sposób bycia, było mało prawdopodobne, by ktokolwiek odważył się wyrażać negatywnie o jego guście odzieżowym, nie mówiąc już o uwagach na temat wyboru broni.

– Nie będzie potrzebna broń ciężka – powiedział Oslett.

Bez słowa Clocker położył 0.375 magnum na siedzeniu obok, przy kapeluszu, w zasięgu ręki.

– Mam broń małokalibrową. Powinna wystarczyć.

Clocker nawet nie spojrział Osletta.

Zanim Marty zgodził się zejść z zalanej deszczem ulicy i opowiedzieć policjantom, co się wydarzyło, nalegał, by umundurowany funkcjonariusz pilnował Charlotte i Emily w domu Deloriów. Wierzył, że Vic i Kathy zrobią wszystko, by ochronić dziewczynki. Ale nie mieli niczego, co mogliby przeciwstawić przerażającej sile Tego Drugiego.

Nie był nawet pewien, czy dobrze uzbrojony strażnik stanowi wystarczającą ochronę.

Z daszku nad frontowym gankiem domu Deloriów ściekały strumienie deszczu. W blasku mosiężnej latarni wyglądał jak lameta na choinkę. Chowając się tam przed burzą, Marty próbował przekonać Vica, że dziewczynkom wciąż grozi niebezpieczeństwo.

– Nie wpuszczaj nikogo, z wyjątkiem policjantów i Paige.

– Pewnie, Marty.

Vic był nauczycielem WF, trenerem drużyny pływackiej w miejscowej szkole średniej, drużynowym zastępcą skautów, głównym animatorem Straży Sąsiedzkiej na ich ulicy i organizatorem wielu corocznych zbiórek funduszy na cele charytatywne, szczerym i energicznym facetem, który lubił pomagać ludziom i który nosił sportowe buty nawet wtedy, gdy był ubrany w płaszcz i krawat, jakby eleganckie obuwie nie pozwalało mu poruszać się tak szybko i osiągnąć tyle, ile pragnął.

– Nikt z wyjątkiem policjantów i Paige.

– Zostaw to mnie, dzieciaki będą bezpieczne ze mną i Kathy. Jezu, Marty, co tam się stało?

– I na litość boską, nikomu nie powierzaj dziewczynek, policjantom ani nikomu, dopóki z tym kimś nie będzie Paige. Nie powierzaj ich nawet *mnie*, dopóki nie będzie przy mnie Paige.

Vic Delorio zamrugnął zdumiony.

Marty wciąż słyszał rozniewany głos sobowtóra, widział kropelki śliny, tryskającej z jego ust, gdy krzyczał wściekły: *chcę mojego życia, mojej Paige... mojej Charlotte, mojej Emily...*

– Rozumiesz, Vic?

– Nawet tobie?

– Tylko wtedy, gdy będzie ze mną Paige. *Tylko wtedy.*

– Co...

– Wyjaśnię później – przerwał mu Marty. – Czekają na mnie. Odwrócił się i pobiegł frontową ścieżką w stronę ulicy. Jeszcze raz się odwrócił.

– Tylko Paige!

...mojej Paige... mojej Charlotte, mojej Emily...

Siedzieli w kuchni i Marty relacjonował szczegóły napadu funkcjonariuszowi, który odebrał wezwanie i jako pierwszy zjawił się na miejscu przestępstwa. Marty pozwolił zdjąć sobie odciski palców. Potrzebowali ich, żeby odróżnić je od odcisków napastnika. Zastanawiał się, czy będą identyczne.

Paige także poddała się tej procedurze. Po raz pierwszy w życiu pobierano im odciski palców. Choć Marty rozumiał, że policjanci muszą to zrobić, to jednak cały proces wydawał się naruszeniem nietykalności.

Potem technik zwilżył papierowy ręcznik w glicerynie i powiedział, że można nim usunąć cały atrament z palców. Okazało się, że nie. Bez względu na to jak mocno Marty tarł, w zagłębieniach skóry pozostały ciemne plamy.

Zanim usiadł, żeby złożyć dokładne zeznanie, poszedł na górę, żeby się przebrać w suche rzeczy. Wziął także cztery tabletki anaciny.

Zwiększył ogrzewanie i wkrótce w domu zrobiło się ciepło. Ale wciąż drżał głównie z powodu niepokojącej obecności policjantów w jego domu.

Byli wszędzie. Niektórzy w mundurach, inni nie, ale wszyscy obcy, i ich obecność sprawiała, że Marty czuł się jeszcze bardziej obnażony.

Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo bywa naruszana prywatność ofiary, począwszy od chwili zgłoszenia przestępstwa. W jego gabinecie krzatali się policjanci i technicy – sfotografowali pokój, w którym wszystko się zaczęło, wyciągali kule ze ścian, zdejmowali odciski palców i pobierali próbki krwi z dywanu. Fotografowali również korytarz na górze, schody i przedpokój. Prowadząc swoje śledztwo czuli się upoważnieni do myszgowania w każdym pokoju i w każdej szafie.

Oczywiście przybyli z pomocą, a Marty powinien być im wdzięczny za ich wysiłki. Jednak krępowała go myśl, że obcy mogą zauważyć jego obsesję układania ubrań w garderobie według kolorów, podobnie jak Emily, a także to, że kolekcjonował jedno- i pięciocentówki w szklanym słoju o objętości pół galona, jak mały chłopiec zbierający na swój pierwszy rower, i inne nieistotne, choć bardzo osobiste szczegóły jego życia.

Przede wszystkim niepokoił go prowadzący śledztwo detektyw w cywilu. Bardziej niż pozostali policjanci razem wzięci. Facet nazywał się Cyrus Lowbock i wywoływał swoją osobą reakcję, której nie można było nazwać tylko zakłopotaniem.

Detektyw mógłby nieźle zarabiać jako męski model pozujący do reklam rollsroyce'ów, fraków, kawioru i usług maklerskich. Był mniej więcej pięćdziesięcioletnim, dobrze ubranym mężczyzną. Miał włosy koloru soli z pieprzem, opaleniznę pomimo listopada, orli nos, wystające kości policzkowe i intensywnie szare oczy. W czarnych mokasynach, szarych sztruksowych spodniach, ciemnoniebieskim, robionym na drutach swetrze i białej koszuli – wcześniej zdjął kurtkę przeciwdeszczową – Lowbock łączył dyskretną elegancję ze stylem sportowym, choć nikt nie kojarzyłby go sobie z takimi dyscyplinami jak futbol czy baseball, ale raczej tenis, żeglarstwo, wyścigi motorówek. Wyglądał na człowieka stworzonego do bogactwa, który wiedział, jak je zdobyć i utrzymać.

Lowbock siedział przy stole w jadalni naprzeciwko Marty'ego. Słuchał z uwagą jego relacji, zadawał pytania głównie wtedy, gdy chciał wyjaśnić pewne szczegóły, i zapisywał wszystko w kołonotatniku czarno-złotym piórem Montblanc. Paige siedziała obok Marty'ego, wspierając go duchowo. Byli jedynymi ludźmi w pokoju, choć od czasu do czasu zaglądali umundurowani funkcjonariusze, żeby naradzić się z Lowbockiem, który dwukrotnie musiał wyjść w celu obejrzenia dowodów, które miały znaczenie dla śledztwa.

Popijając pepsa z ceramicznego kubka, by zmniejszyć ból gardła, Marty znów miał uczucie niewytłumaczalnej winy, którego doznał po raz pierwszy, gdy leżał ze skutymi rękami na mokrej ulicy. Było tak samo irracjonalne jak wówczas, biorąc pod uwagę, że największe przestępstwo, o jakie mógł być słusznie oskarżony, to rutynowa pogarda wobec nakazu ograniczenia szybkości na niektórych drogach. Lecz tym razem rozumiał, że jego niepokój wynika z niejasnego przekonania, iż porucznik Cyrus Lowbock traktuje go z ukrytą podejrzliwością.

Lowbock był grzeczny, ale nie mówił wiele. Jego milczenie miało w sobie coś z oskarżenia. Kiedy nie robił notatek, wpatrywał się w Marty'ego.

Dlaczego detektyw miałby go podejrzewać o cokolwiek? Marty tłumaczył sobie, że po wielu latach pracy w policji, po codziennych kontaktach ze światem przestępczym, jego skłonność do cynizmu była całkowicie zrozumiała. Bez względu na to, co gwarantowała Konstytucja Stanów Zjednoczonych, długoletni policjant uważał za całkowicie usprawiedliwione przekonanie, że wszyscy obywatele tego

kraju są winni, dopóki nie udowodnią swej niewinności.

Marty skończył opowiadać swoją historię i napił się pepsi. Zimny napój pomógł mu na obolałe gardło; gorzej było z szyją – zaciskające się dłonie napastnika zostawiły na skórze czerwone ślady, które z wolna zamieniały się w sińce. Choć anacina zaczęła już działać, Marty krzywił się, wciąż odczuwając ból przypominający smagnięcie biczem, ilekroć skręcał głowę o kilka stopni w jedną lub drugą stronę, więc siedział i poruszał się sztywno.

Przez chwilę, która zdawała się bardzo długa, Lowbock wertował swoje notatki, czytając je w milczeniu i stukając cicho piórem o kartki.

Plusk i kapanie deszczu wciąż ożywiały noc, choć burza nieco przycichła.

Deski podłogi na górze skrzypiały od czasu do czasu pod ciężarem policjantów wykonujących swoje zadania.

Paige ujęła pod stołem dłoń Marty'ego, a on ścisnął ją, jakby chciał zapewnić, że wszystko jest w porządku.

Ale nie było. Wiedział, że ich kłopoty mają się dopiero zacząć.

...mojej Paige... mojej Charlotte, mojej Emily...

W końcu Lowbock spojrzał na Marty'ego. Beznamiętnym głosem, niepokojącym właśnie przez całkowity brak jakiegokolwiek, dającej się zinterpretować modulacji, detektyw stwierdził:

– Niezła historia.

– Wiem, że to wydaje się szalone. – Marty powstrzymał się przed przekonywaniem Lowbocka, że nie przesadził, jeśli chodzi o podobieństwo między nim a sobowtórem, i w ogóle o całą tę historię. Nie widział powodu, by przeproszać za to, że prawda była w tym wypadku równie zdumiewająca jak każda fantazja.

– I mówi pan, że nie ma pan brata bliźniaka? – spytał Lowbock.

– Nie.

– W ogóle żadnego brata?

– Byłem jedynym dzieckiem.

– Brata przyrodniego?

– Moi rodzice pobrali się, kiedy mieli po osiemnaście lat. Żadne z nich nigdy nie miało innego współmałżonka. Zapewniam pana, poruczniku, że nie jest łatwo wyjaśnić istnienie tego faceta.

– No, oczywiście, nie trzeba było żadnych innych małżeństw, żeby miał pan brata przyrodniego... albo rodzonego, jeśli o to chodzi – powiedział Lowbock, patrząc w oczy Marty'ego tak bezpośrednio, że odwrócenie wzroku byłoby jednoznaczne z przyznaniem się do czegoś.

Kiedy Marty przełykał uwagę detektywa, Paige ścisnęła pod stołem jego rękę. Próbował sobie wmówić, że detektyw stwierdził tylko fakt, i tak naprawdę było, ale wypadałoby spojrzeć przynajmniej w notatnik albo w okno, czyniąc tego typu uwagi.

Odpowiadając niemal tak sztywno, jak sztywno trzymał głowę, Marty powiedział:

– Niech pomyślę... chyba istnieją trzy możliwości. Albo mój ojciec zrobił mojej matce dzieciaka, zanim się pobrali, a potem tego rodzonego brata, tego brata *bękarta* oddali do adopcji. Albo tata, już po ślubie z matką, załatwił jakąś inną kobietę, i ona urodziła mojego przyrodniego brata. Albo moja matka zafundowała sobie brzuch z jakimś facetem, przed, czy też po wyjściu za mąż za mojego ojca, a cała ta historia jest głęboko skrywanym sekretem rodzinnym.

Wciąż patrząc na Marty'ego, Lowbock powiedział:

– Przykro mi, jeśli pana obraziłem, panie Stillwater.

– Mnie też przykro, że pan to zrobił.
– Czy nie jest pan zbyt przewrażliwiony?
– A jestem? – spytał ostro Marty, choć miał wątpliwości, czy nie reaguje przesadnie.
– Niektóre pary naprawdę mają dziecko przed ślubem – powiedział detektyw – i często przeznaczają je do adopcji.

– Nie moi starzy.
– Wie pan to na pewno?
– Znam ich.
– Może powinien pan ich spytać.
– Może spytam.
– Kiedy?
– Zastanowię się.

Twarz Lowbocka rozjaśnił na chwilę uśmiech, równie blady i krótkotrwały jak cień ptaka w locie.

Marty był pewien, że dostrzegł w tym uśmiechu sarkazm. Choć za żadne skarby świata nie mógł zrozumieć, dlaczego ten detektyw miałby podejrzewać...

Lowbock spojrział na swoje notatki, celowo przedłużając chwilę ciszy. Następnie stwierdził:

– Jeśli ten sobowtór nie jest z panem spokrewniony i nie ma pan brata – rodzzonego czy przyrodniego, to czy ma pan jakąś teorię, wyjaśniającą tak uderzające podobieństwo?

Marty chciał potrząsnąć głową, ale skrzywił się, gdy szyję przeszył mu ból.

– Nie. Nie mam żadnej teorii.
– Chcesz aspiryny? – spytała Paige.
– Zażyłem kilka tabletek anaciny – powiedział Marty. Nic mi nie będzie.
– Myślałem, że może ma pan jakąś teorię – odezwał się Lowbock wpatrując się w Marty'ego.
– Nie. Przykro mi.
– Jest pan przecież pisarzem.
– Słucham? – Marty nie zrozumiał, o co chodzi detektywowi.
– Pracuje pan wyobraźnią.
– Więc?
– Więc pomyślałem, że może panu samemu uda się rozwiązać tę małą tajemnicę.
– Nie jestem detektywem. Potrafię konstruować zagadki kryminalne, ale nie zajmuję się ich rozwiązywaniem.

– W filmach telewizyjnych – stwierdził Lowbock – autor kryminałów czy też przypadkowy amator-detektyw, jeśli o tym mówimy – zawsze jest mądrzejszy od policjantów.

– W życiu jest inaczej – stwierdził Marty.

Milczeli. Lowbock bazgrał coś u dołu strony notatnika.

– Nie, nie jest – odpowiedział detektyw po chwili.
– Nie myślę fantazji z rzeczywistością – odezwał się Marty trochę zbyt opryskliwie.
– Nigdy bym tak nie pomyślał – zapewnił go Cyrus Lowbock, koncentrując się na swoich bohomazach.

Marty odwrócił ostrożnie głowę, by zobaczyć, czy Paige zauważyła wrogość w tonie i zachowaniu detektywa. Patrzyła w zamyśleniu na Lowbocka, marszcząc brwi. Marty poczuł się lepiej – może, mimo wszystko, nie reagował przesadnie i nie musiał umieszczać paranoi na liście objawów, które przedstawił Paulowi Gutheridge'owi.

– Czy coś jest nie tak, poruczniku?

Unosząc brwi, jakby zdziwiony tym pytaniem, Lowbock powiedział z uśmiechem:

– To raczej ja odnoszę wrażenie, że coś jest nie tak, bo w przeciwnym razie nie wezwałby pan policji.

Powstrzymując się od złośliwej odpowiedzi, na którą zasługiwał detektyw, Marty stwierdził:

– Chodzi mi o to, że wyczuwam w panu jakąś wrogość, i nie rozumiem jej powodów. Więc jaki jest ten powód?

– Wrogość? Naprawdę? – Nie podnosząc wzroku znad swoich rysunków, Lowbock zmarszczył brwi.

– No cóż, nie chciałbym, żeby ofiara przestępstwa była tak samo zastraszona przez nas jak przez drania, który zaatakował. To szkodzi *naszym public relations*, nieprawdaż? – zgrabnie wywinął się od udzielenia Marty'emu odpowiedzi wprost.

Bazgranina została zakończona. Był to rysunek pistoletu.

– Panie Stillwater, ta broń, z której postrzelił pan napastnika, czy to była ta sama broń, którą zabrano panu na ulicy?

– Nikt mi niczego nie zabierał. Sam rzuciłem pistolet, kiedy mi kazano. Tak, to była ta sama broń.

– Smith wesson, pistolet dziewięć milimetrów?

– Tak.

– Czy kupił go pan u licencjonowanego dealera?

– Tak, oczywiście. – Marty podał nazwę sklepu.

– Ma pan rachunek i certyfikat wydany przez uprawnioną instytucję?

– A jaki to ma związek z tym, co tu się stało?

– Chodzi mi o rutynowe ustalenia – wyjaśnił Lowbock. – Będę musiał wypełnić te wszystkie małe rubryczki w raporcie o dokonanym przestępstwie. To tylko rutyna.

Marty miał coraz silniejsze wrażenie, że jest przesłuchiwany jak zbrodniarz, ale nie wiedział, jak temu zaradzić. Skonfundowany, spojrzął prosząco na Paige, ponieważ to ona zajmowała się rachunkami.

– Wszystkie dokumenty pochodzące ze sklepu z bronią spięłam spinaczem i dołączyłam do rachunków z tamtego roku – powiedziała Paige.

– Kupiliśmy tę broń jakieś trzy lata temu – dodał Marty.

– Wszystkie papiery trzymamy na stryszku nad garażem – odezwała się Paige.

– Ale możecie je dla mnie wyciągnąć? – spytał Lowbock.

– No... tak, trzeba będzie tylko trochę pogrzebać w tych dokumentach – Paige zaczęła podnosić się z krzesła.

– Och, proszę nie zawracać sobie tym głowy właśnie teraz – zatrzymał ją Lowbock. – To nie jest takie pilne. Zwrócił się do Marty'ego:

– A ten korth trzydzieści osiem w schowku pańskiego taurusa? Kupił go pan w tym samym sklepie?

– Co pan robił w taurusie? – Marty był zaskoczony.

Lowbock zareagował fałszywym zdziwieniem na zdziwienie Marty'ego, ale zdawało się ono tak ostentacyjnie fałszywe, że wyglądało, jakby detektyw chciał dokuczyć Marty'emu przedrzeźniając go.

– W taurusie? Prowadziłem zwykłe czynności śledcze. Przecież sam nas pan o to prosił. Przypuszczam, że nie ma tu miejsc, do których wolałby pan, żebyśmy nie zaglądali? A jeśli są, to naturalnie, uszanowalibyśmy pańskie życzenia w tym względzie.

Kpiący ton detektywa był tak subtelny, a insynuacje tak nieznaczne, że jakakolwiek ostra odpowiedź Marty'ego byłaby uznana za reakcję człowieka, który naprawdę ma coś do ukrycia. Lowbock najwyraźniej sądził, że Marty naprawdę ma coś do ukrycia i prowokował, by w ten sposób zmusić go do

mimowolnego przyznania się.

Marty niemal żałował, że nie istnieje nic, do czego mógłby się przyznać. I było to niezwykle frustrujące.

– Czy kupił pan tę trzydziestkę ósemkę w tym samym sklepie, w którym nabył pan smitha wessona?
– nalegał Lowbock.

– Tak. – Marty łyknął pepsi.

– Ma pan odpowiednie dokumenty?

– Tak, na pewno.

– Czy zawsze wozi pan tę broń w samochodzie?

– Nie.

– Ale dzisiaj tam była.

Marty zdawał sobie sprawę, że Paige patrzy na niego ze zdziwieniem. Nie mógł teraz opowiadać o ataku paniki, o ślepej sile, która skłoniła go do przedsięwzięcia tych wszystkich środków ostrożności. Biorąc pod uwagę niespodziewany i niezbyt korzystny zwrot, jaki przybrało przesłuchanie? nie były to informacje, którymi chciałby podzielić się z detektywem. Bał się, że Lowbock uzna go za nieźrównoważonego szaleńca.

Marty napił się trochę pepsi, by zyskać na czasie.

– Nie wiedziałem, że tam jest – powiedział w końcu.

Lowbock zdziwił się:

– Nie wiedział pan, że ma pan broń w schowku?

– Nie.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że przechowywanie naładowanej broni w samochodzie jest nielegalne?

A jak wyście się zachowywali do cholery, grzebiąc w moim samochodzie?

– Jak już mówiłem, nie wiedziałem, że tam jest, więc nie wiedziałem również, że jest naładowana. To chyba jasne.

– Nie naładował jej pan własnoręcznie?

– Cóż, prawdopodobnie tak.

– Chce pan powiedzieć, że nie pamięta pan, czy ją ładował ani w jaki sposób znalazła się w taurusie?

– Najprawdopodobniej... kiedy byłem na... na strzelnicy ostatnim razem, to może tam ją załadowałem. A potem po prostu zapomniałem.

– I przywiózł ją pan z powrotem do domu, w schowku?

– Zgadza się.

– Kiedy ostatni raz był pan na strzelnicy?

– Nie wiem... trzy, cztery tygodnie temu.

– A więc woził pan naładowaną broń w samochodzie przez miesiąc?

– Ale przecież o niej zapomniałem.

Jedno kłamstwo wywołało całą lawinę kłamstw. Wszystkie były drobnymi przeinaczeniami, ale Marty dobrze wiedział, że Lowbock, doświadczony detektyw, od razu uzna je za nieprawdę. I jeszcze gorzej, wiedział, że każde kłamstwo jest kolejnym dowodem na to, że skrywa jakieś ciemne sekrety.

Nieznacznie odchylając głowę w tył, wpatrując się chłodno i zarazem oskarżycielsko w Marty'ego, nie podnosząc jednak głosu i nie modulując go, Lowbock spytał:

– Czy zawsze obchodzi się pan tak nieostrożnie z bronią, panie Stillwater?

– Nie sądzę, żebym był nieostrożny.

– Nie sądzi pan...?

– Nie.

Detektyw podniósł pióro i sporządził jakąś tajemniczą notatkę w notesie. Potem znów zaczął rysować.

– Niech pan mi powie, panie Stillwater, czy ma pan pozwolenie na noszenie ukrytej broni?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Rozumiem.

Marty napił się pepsi.

Paige znów dotknęła jego dłoni. Był jej wdzięczny.

Nowy rysunek zaczął przybierać właściwy kształt. Kajdanki.

– Jest pan entuzjastą broni, kolekcjonerem? – spytał Lowbock.

– Nie, absolutnie.

– Ale ma pan całą kolekcję broni.

– No, nie...

Lowbock zajął się wyliczaniem: smith wesson, korth, colt M16 w szafie, w przedpokoju.

O słodki Jezu.

Lowbock uniósł wzrok, spojrzał w oczy Marty'ego, chłodno i nieustępliwie.

– Czy zdawał pan sobie sprawę, że M16 też był naładowany? – spytał.

– Cała ta broń... Kupiłem w celach poznawczych. Nie lubię pisać o broni, której nigdy nie używałem.

Była to prawda, ale nawet Marty usłyszał w swoim głosie fałsz.

– I trzyma je pan załadowane i pochowane po całym domu w szufladach i garderobach?

Marty nie wiedział, co odpowiedzieć. Gdyby przyznał się, że wiedział o tym, iż karabin jest naładowany, Lowbock chciałby wiedzieć, dlaczego ktoś, kto mieszka w spokojnej, cichej dzielnicy domków jednorodzinnych, zachowuje aż takie środki ostrożności? Było jasne, że nikt przy zdrowych zmysłach nie zaopatruje się w M16 dla celów samoobrony, chyba że mieszka się w Bejrucie, Kuwejcie czy w południowej części Los Angeles. Z drugiej zaś strony, gdyby powiedział, że nie miał pojęcia, iż broń była załadowana, byłoby jasne, że kłamie, bo przecież nie może być aż tak głupi...

A poza tym jeśli policjanci znajdą także strzelbę mossberga pod łóżkiem w sypialni czy berette, którą schował w szafce kuchennej?

Starając się nie tracić panowania, powiedział:

– Co moja broń ma wspólnego z tym, co się dziś wydarzyło? Wydaje mi się, że odchodzimy od właściwego tematu, poruczniku.

– Naprawdę tak się panu wydaje? – spytał Lowbock, jak gdyby był szczerze zdumiony reakcją Marty'ego.

– Owszem, tak się właśnie wydaje – powiedziała ostro Paige, zdając sobie bez wątplenia sprawę, że jest w znacznie lepszej sytuacji niż Marty i może sobie pozwolić na ostry ton w rozmowie z detektywem.

– Słuchając pana, mam wrażenie, że to Marty włamał się do czyjś domu i próbował udusić jego właściciela.

– Czy polecił pan ludziom przeszukać okolicę, czy nadał pan komunikat? – próbował zmienić temat Marty.

– Komunikat?

Marty był zirytowany. Powtórzył:

– Komunikat w sprawie Tego Drugiego.

– W sprawie kogo? – Lowbock zmarszczył brwi.

– Sobowtóra, drugiego *mnie*.

– A, rozumiem, tamtego.

Właściwie nie odpowiedział zajęty swoją wyliczanką, zanim Marty czy Paige zdążyli *zaządać* bardziej precyzyjnych wyjaśnień.

– Czy heckler koch to kolejna sztuka broni, którą nabył pan w celach poznawczych?

– Heckler koch?

– Ten P7. Strzela amunicją dziewięć milimetrów.

– Nie mam żadnego P7.

– Nie? No cóż, leżał na podłodze pańskiego gabinetu, na piętrze.

– To *była jego* broń – powiedział Marty. – Mówiłem panu. Był uzbrojony.

– Czy wiedział pan, że lufa tego P7 jest wyposażona w gwint do tłumika?

– Miał broń, to wszystko, co wiedziałem. Nie zdążyłem zauważyć, czy był na niej tłumik. Nie dysponowałem wolnym czasem, który pozwoliłby mi skatalogować wszystkie szczegóły tej broni.

– Tak naprawdę nie było na niej tłumika, ale gwint miała. Czy pan wie, panie Stillwater, że zakładanie tłumika na broń palną jest nielegalne?

– To nie moja broń, poruczniku.

Marty zaczął się zastanawiać, czy nie powinien odmówić zeznań bez adwokata. Ale była to szalona myśl. Nie zrobił niczego złego. Był niewinny. Był ofiarą, na litość boską. Policja nawet by się nie zjawiała, gdyby Paige nie zadzwoniła.

– Heckler & koch z gwintem do tłumika to broń profesjonalisty, panie Stillwater. Płatnego zabójcy, mordercy, może go pan nazywać, jak pan chce. Jak by pan go nazwał?

– Co pan ma na myśli? – spytał Marty.

– No cóż, zastanawiałem się, czy nie pisze pan czasem o kimś takim, zawodowcu, i po prostu jestem ciekawy, jakich pan używa określeń?

Marty wyczuł jakąś sugestię w tym pytaniu, coś, co było już bardzo blisko sedna spraw, które interesowały Lowbocka, ale nie był jeszcze pewien, co to jest.

Najwidoczniej Paige także to wyczuła, bo spytała:

– A tak dokładnie, to co pan insynuuje, poruczniku?

Było to denerwujące, ale Cyrus Lowbock zrobił kolejny unik. Spuścił wzrok na swoje notatki i udawał, że w jego pytaniu nie kryje się nic poza zwykłą ciekawością dotyczącą warsztatu pisarza.

– W każdym razie ma pan duże szczęście, że taki zawodowiec, człowiek, który posługuje się P7 z tłumikiem, nie był w stanie pana pokonać.

– Zaskoczyłem go.

– Najwidoczniej.

– Bo miałem broń w szufladzie biurka.

– Zawsze się opłaca być przygotowanym – zauważył Lowbock. – Ale miał pan również szczęście pokonując go w walce wręcz. Taki zawodowiec także w tym jest zazwyczaj dobry, zna może nawet Tae Kwon Do czy coś w tym rodzaju, jak pokazują na filmach i opisują w książkach.

– Był mniej sprawny. Dwa postrzały w pierś.

– Tak, słusznie, pamiętam. Coś takiego zwali z nóg każdego normalnego człowieka.

– Był dosyć żywotny. – Marty dotknął delikatnie gardła.

Zmieniając nagle temat, by wprawić rozmówcę w zakłopotanie, Lowbock spytał:

– Panie Stillwater, czy pił pan dziś popołudniu?

– Tego nie da się wyjaśnić tak łatwo, poruczniku – stwierdził Marty ze złością.

– Nie pił pan dziś popołudniu?

– Nie.

– W ogóle?

– Nie.

– Nie chcę się spierać, panie Stillwater, naprawdę nie chcę, ale kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy, wyczułem alkohol w pańskim oddechu. Piwo, jak przypuszczam. Poza tym w salonie leży puszka, a podłoga jest zalana.

– Napilem się trochę piwa po tym wszystkim.

– Po czym?

– Po tej walce. On leżał na podłodze w przedpokoju z uszkodzonym kręgosłupem, jak sądziłem.

– Więc pomyślał pan sobie, że po całej tej strzelaninie i bójce piwo byłoby najodpowiedniejsze...

Paige patrzyła ze złością na detektywa.

– Bardzo panu zależy na tym, żeby cała ta historia wydała się idiotyczna...

– ...i dałbym wiele, żeby wreszcie zdobył się pan na szczerść i powiedział nam, dlaczego mi pan nie wierzy – dokończył Marty.

– Nie mam powodu panu nie wierzyć, panie Stillwater. Wiem, że to wszystko jest bardzo frustrujące, czuje się pan źle traktowany, jest pan jeszcze roztrzęsiony, zmęczony. Ale ja tylko przyjmuję wszystko do wiadomości, słucham i przyjmuję do wiadomości. Tylko tyle. To moja praca. I naprawdę nie mam jeszcze żadnych teorii czy opinii.

Marty był przekonany, że to nieprawda. Lowbock miał ustalone zdanie o tym, co się wydarzyło już wtedy, kiedy siadał przy stole w jadalni.

Dopijając pepsi, Marty powiedział:

– Chciałem napić się mleka, soku pomarańczowego, ale gardło miałem tak obolałe, paliło mnie jak diabli, jakby było całe w ogniu. Nie mogłem przetykać bez strasznego bólu. Kiedy otworzyłem lodówkę, piwo wydało mi się najlepsze.

Lowbock znowu coś bazgrał.

– Więc wypił pan tylko jedną puszkę piwa.

– Niecałą. Połowę, może dwie trzecie. Kiedy gardło trochę przestało, poszedłem zobaczyć, jak Ten Drugi... no... co z tym sobowtórem. Wziąłem ze sobą piwo. Byłem taki zdumiony, widząc, że ten drań zniknął, choć wyglądał na wpół martwego, że puszka wypadła mi z ręki.

Choć Marty widział rysunek do góry nogami, odgadł, co rysuje detektyw. Butelkę. Butelkę piwa o długiej szyjce.

– Więc pół puszki piwa.

– Zgadza się.

– Może dwie trzecie.

– Tak.

– Ale nic więcej.

– Nie.

Kończąc rysunek, Lowbock podniósł wzrok znad notatnika i spytał:

– A te trzy puste butelki w koszu na śmieci pod zlewem?

– Parking, wjazd z tej strony – odczytał Drew Oslett. – Widziałeś znak?

Clocker nie odpowiedział.

Znów wpatrując się w elektroniczną mapę, którą trzymał na kolanach, Oslett powiedział:

– Dobra, właśnie tam jest, może sika w męskiej toalecie, może nawet leży na tylnym siedzeniu jakiegoś samochodu i przycina komara.

Za chwilę mieli wyruszyć na spotkanie nieobliczalnego i potężnego przeciwnika, ale Clocker wciąż był nieporuszony. Nawet prowadząc samochód wydawał się pogrążony w zadumie. Jego potężne ciało zdawało się tak rozluźnione, jakby był mnichem tybetańskim w transcendentalnym transie. Potężne dłonie spoczywały na kierownicy, a grube palce wygiął tylko odrobinę. Oslett nie zdziwiłby się, gdyby odkrył, że ten ogromny mężczyzna kieruje samochodem tylko dzięki tajemniczej sile umysłu. W szerokiej twarzy o tępych rysach nie było niczego, co mogłoby wskazywać, że Clocker rozumie znaczenie słowa „napięcie”: blade czoło, gładkie jak wypolerowany marmur; szafirowoniebieskie oczy, lekko fosforyzujące w odbitym świetle wskaźników, wpatrzone w dal. Jego szerokie usta były uchylone akurat na tyle, by mógł przyjąć gości. Wargi krzywiły się w najbardziej bladym z uśmiechów, ale nie sposób było poznać, czy raduje go coś, co było przedmiotem jego duchowej zadumy, czy też to, co zdarzy się za chwilę.

Karl Clocker miał talent do przemocy.

Pod tym względem, pomimo złego smaku w doborze ubrań, był człowiekiem nowoczesnym.

– Tu jest parking – powiedział Oslett, gdy zbliżyli się do bocznej drogi.

– A gdzie miałby być? – odpowiedział pytaniem Clocker.

– He?

– Jest tam, gdzie jest.

Clocker nie był zbyt rozmowny i gdy miał już coś do powiedzenia, to na ogół nikt go nie rozumiał. Oslett podejrzewał, że Clocker jest albo skrytym egzystencjalistą, albo – na zupełnie przeciwnym krańcu – mistykiem ruchu *New Age*. Choć może prawda wyglądała tak, że był na tyle samowystarczalny, że nie potrzebował ludzi. Jego własne myśli i obserwacje zajmowały go i zadowalały w stopniu wystarczającym. Jedna rzecz nie ulegała wątpliwości: Clocker nie był taki głupi, na jakiego wyglądał, i prawdę mówiąc jego współczynnik inteligencji był wyższy od przeciętnego.

Parking był dobrze oświetlony ośmioma lampami sodowymi. Po przejechaniu tyłu ponurych mil nieustępliwej ciemności, która przypominała wypalony krajobraz po wybuchu nuklearnym, blask wysokich latarni poprawił Oslettowi humor, choć to niezdrowe żółte światło koloru moczu przywodziło na myśl koszmar senny. Nikt nie pomyliłby tego miejsca z jakąkolwiek częścią Manhattanu, lecz było ono potwierdzeniem istnienia cywilizacji.

Ogromny motodom był jedynym widocznym pojazdem. Stał zaparkowany obok betonowego budynku mieszczącego toalety.

– Już go mamy. – Oslett wyłączył ekran WSUW i położył urządzenie na podłodze między stopami. Zdjął przysawkę z szyby i położył ją na elektronicznej mapie.

– Nie ma wątpliwości. Nasz Alfie zaszył się w tym zawalidrodze – powiedział. – Pewnie podprowadził go jakiemuś biednemu palantowi i teraz wygodnie sobie podróżuje.

Minęli trawnik i zaparkowali dwadzieścia stóp od Road Kinga.

W motodomie nie paliły się żadne światła.

– Bez względu na to, jak bardzo Alfie się usamodzielniał – ciągnął Oslett – wciąż myślę, że będzie posłuszny. Ma tylko nas, no nie? Bez nas jest sam na świecie. Cholera, jesteśmy jego rodziną.

Clocker wyłączył światła i silnik.

– Pomijając stan, w jakim się znajduje – nie przestawał monologować Oslett – nie wydaje mi się, żeby chciał nas skrzywdzić. Nie stary Alfie. Pewnie załatwiłby każdego, kto stanąłby mu na drodze, ale nie nas. Jak myślisz?

Wysiadając z chevroleta, Clocker wziął ze sobą kapelusz i magnum.

Oslett zabrał latarkę i broń na pociski usypiające. Nieporęczny pistolet miał dwie lufy, jedna nad drugą, każda załadowana grubym pociskiem z igłą. Używano go w ogrodach zoologicznych do usypiania zwierząt. Pistolet miał odpowiedni zasięg, do pięćdziesięciu stóp, co Oslettowi w zupełności wystarczało. W końcu nie zamierzał uganiać się za lwami na afrykańskiej sawannie.

Był zadowolony, że na parkingu jest pusto. Miał nadzieję, że zdołają szybko załatwić sprawę i odjechać, zanim ktoś zdąży się pojawić.

Gdy wysiadał z chevroleta i zamykał za sobą drzwi, zaniepokoiła go jednak pustka nocy. Z wyjątkiem śpiewu opon i szumu przejeżdżających autostradą samochodów panowała przygniatająca cisza, podobna do tej, jaka musi chyba wypełniać próżnię gdzieś w głębi kosmosu. Niewielki lasek wysokich sosen osłaniał parking. Ciężkie gałęzie drzew zwieszały się w bezwietrznej ciemności jak proporce pogrzebowe.

Tęsknił do szumu i gwaru miejskich ulic. Zgiełk rozpraszał uwagę, zabijał wspomnienia. Pulsowanie codziennego życia pozwalało mu kierować myśli na zewnątrz, do świata, który go otaczał, oszczędzając niebezpieczeństw tkwiących w zgłębianiu własnej osobowości.

Przyłączając się do Clockera stojącego przy drzwiach motodomu od strony kierowcy, Oslett zastanawiał się, czy nie powinien wejść do środka możliwie cicho i ostrożnie. Lecz jeśli Alfie tam był, jak wskazywała precyzyjnie mapa, to i tak wiedział już o ich przybyciu.

Poza tym Alfie był zaprogramowany, a Oslett miał nad nim władzę. Było prawie nie do pomyślenia, by próbował go zaatakować.

Prawie.

Początkowo byli przekonani, że szansę, by Alfie się zbuntował, są tak małe, że niemal nie istnieją. Mylili się. Czas mógł pokazać, że w innych sprawach też się mylili.

Dlatego Oslett miał przy sobie broń ze środkiem usypiającym.

I dlatego nie próbował wyperswadować Clockerowi, by nie zabierał swego magnum.

Przygotowując się na niespodzianki, Oslett zapukał do metalowych drzwi. Pukanie wydawało się w tych okolicznościach śmiesznym sposobem zapowiadania swego przybycia, ale zrobił to. Odczekał kilka sekund. Zapukał ponownie, tym razem głośniejsze.

Nikt nie odpowiedział.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzył je.

Przez przednią szybę przedostawało się trochę żółtego światła lamp parkingowych. Oslett zobaczył, że nie czai się tu żadne niebezpieczeństwo.

Podszedł do framugi drzwi, nachylił się i spojrzał w głąb Road Kinga, w tunel wypełniony gęstą ciemnością, tak ciemny jak komnaty starożytnych katakumb.

– Bądź spokojny, Alfie – powiedział cicho.

Ten głośny rozkaz powinien wywołać natychmiastowy, rytualny odzew, niczym w litanii: *jestem spokojny, Ojczy*.

– Bądź spokojny, Alfie – powtórzył Oslett, już z mniejszą nadzieją w głosie.

Cisza.

Choć Oslett nie był ani ojcem Alfiego, ani osobą duchowną, a zatem nie mógł sobie rościć prawa do używania, imienia, jego serce ucieszyłoby się jednak, gdyby usłyszał: *jestem spokojny, Ojczy*. Te trzy proste słowa, przypominające pomruk, znaczyłyby, że wszystko jest w porządku, że zejście Alfiego z zaprogramowanej drogi było nie tyle buntem, co chwilowym zagubieniem wytyczonego celu, i że zbrodnicze szaleństwo, któremu się poddał, było czymś, co można wybaczyć i zapomnieć.

Choć wiedział, że to bezcelowe, Oslett spróbował po raz trzeci.

– Bądź spokojny, Alfie – powiedział głośnie.

Cisza. Zapalił latarkę i wkroczył do części mieszkalnej.

Nie mógł powstrzymać się od myśli, że byłoby ogromną stratą i poniżeniem, gdyby został zastrzelony w tym dziwnym motodomie, przy trasie międzystanowej biegnącej przez bezkres Oklahomy. Taki zdolny, młody człowiek o tak obiecującej przyszłości (mówiono by na pogrzebie), z dwoma stopniami naukowymi – jednym z Princeton, drugim z Harvardu i o godnym pozazdrosczenia pochodzeniu.

Oslett wszedł do kabiny. Przedtem omiół światłym strumieniem latarki lewą i prawą stronę pomieszczenia. Cienie falowały i drgały jak czarne peleryny, hebanowe skrzydła, zagubione dusze.

Tylko kilka najbliższych osób i kilku przyjaciół z kręgu manhattańskich artystów, pisarzy i krytyków, wiedziałoby, na jakim posterunku poległ. Inni uznaliby okoliczności jego śmierci za szokujące, dziwne, odrażające. Plotkowałiby z zawziętością sępów rozrywających padlinę.

Światło latarki wydobyło z mroku laminowane szafki kuchenne. Blat piecyka. Zlew z nierdzewnej stali.

Tajemnica otaczająca jego śmierć sprawiłaby, iż zaczęłyby się rozprzestrzeniać, niczym rafa koralowa, opowieści pełne przypuszczeń i skandalicznych szczegółów, lecz pamięć o nim byłaby pozbawiona nawet cienia szacunku. A szacunek był jedną z tych nielicznych wartości, które miały dla Drew Osletta znaczenie. Pragnął szacunku od dzieciństwa. Należał mu się z racji pochodzenia i nie był to jedynie ozdobnik towarzyszący nazwisku, lecz danina należna za długą historię i dokonania jego rodziny – teraz ucieleśnione właśnie w nim.

– Bądź spokojny, Alfie – powiedział nerwowo.

Dłoń, biała i twarda jak marmur, czekała, aż światło latarki wydobędzie ją z mroku. Alabastrowe palce dotykały dywanu. Ciało siwowłosego mężczyzny przewieszzone przez splamiony krwią stół.

Paige wstała od stołu w jadalni, podeszła do najbliższego okna, podniosła nieco żaluzje, i wpatrzyła się w odchodzącą burzę. Spoglądała w stronę podwórza, gdzie nie było żadnych świateł. Widziała wyraźnie tylko strużki deszczu po drugiej stronie szyby, które przypominały plwocinę, może dlatego, że chciała napluć Lowbockowi prosto w twarz.

Było w niej więcej wrogości niż w Martym, nie tylko wobec przypadkowego detektywa, ale wobec całego świata. Tak bardzo pragnęła, od tyłu już lat, rozwiązać konflikty dzieciństwa, które były źródłem jej gniewu. Zrobiła nawet znaczne postępy. Ale tego wieczoru czuła, że urazy i gorycz sprzed lat znów powracają, i skierowała swój gniew na Lowbocka, co tylko utrudniało jej panowanie nad sobą.

Świadome wycofanie się – patrzeć w okno, obojętność były sprawdzoną techniką, pozwalającą na zachowanie zimnej krwi i stłumienie gniewu. *Terapeuto, poddaj terapii samego siebie.*

Miała nadzieję, że ta metoda daje lepsze rezultaty w przypadku jej pacjentów niż niej samej, ponieważ ona wciąż wrzała.

Wydawało się, że Marty, który cały czas siedział przy stole z detektywem, jest zdecydowany zachowywać się rozsądnie i współpracować. Wciąż miał nadzieję, co było dla niego typowe, że tajemniczą niechęć Lowbocka uda się jakoś złagodzić. Choć był na granicy opanowania – wciąż pokładał niezachwianą wiarę w potęgę dobrej woli i słów, zwłaszcza słów, które pozwolą odbudować i zachować harmonię w każdych okolicznościach.

– To on musiał wypić te piwa – powiedział.

– On? – spytał Lowbock.

– Sobowtór. Musiał być w domu przede mną.

– Więc to on wypił trzy piwa?

– Wyrzucałem śmieci w niedzielę wieczorem, więc wiem, że nie są to butelki, które zostały z weekendu.

– Ten facet włamał się do pańskiego domu, ponieważ... jak pan to powiedział?

– Powiedział, że pragnie swojego życia.

– Pragnie swojego życia?

– Tak. Spytał mnie, dlaczego ukradłem mu jego życie i kim jestem.

– A więc włamuje się tutaj – ciągnął podniecony Lowbock – dobrze uzbrojony, opowiada brednie... ale czekając na pański powrót do domu, postanawia się odprężyć i popija piwo.

– Mój mąż nie wypił tych piw, poruczniku. Nie jest pijakiem – powiedziała Paige, nie odwracając się od okna.

– Z największą chęcią dmuchnę w balonik, jeśli pan sobie tego życzy. Gdybym wypił tyle piw, jedno za drugim, to tak wysoki poziom alkoholu we krwi na pewno będzie widoczny.

– Cóż – stwierdził Lowbock – gdyby to miało w czymś pomóc... poddałbyśmy pana temu testowi godzinę temu. Ale to nie jest konieczne, panie Stillwater. Z pewnością nie twierdzą, że był pan zamroczony alkoholem i że w tym stanie wymyślił pan sobie całą tę historię.

– Więc co pan twierdzi? – nalegała Paige.

– Czasami – zauważył Lowbock – ludzie piją, żeby dodać sobie odwagi przed wykonaniem trudnego zadania.

– Może jestem tępy, poruczniku. Wiem, że w tym, co pan powiedział, tkwi jakaś nieprzyjemna sugestia, ale na Boga, nie wiem, jak mam ją rozumieć.

– Czy powiedziałem, że zamierzam coś w ogóle sugerować?

– Czy mógłby pan wreszcie skończyć tę grę i powiedzieć wprost, dlaczego traktuje mnie pan, jakbym to ja był zbrodniarzem?

Lowbock milczał.

Marty nie ustępował.

– Wiem, że to fantastyczna historia, ale gdyby przedstawił mi pan powody swego sceptycyzmu, to jestem pewien, że udałoby mi się rozwiać pańskie wątpliwości. Mógłbym przynajmniej spróbować.

Lowbock nie odpowiadał tak długo, że Paige niemal odwróciła się od okna, żeby spojrzeć na niego i sprawdzić, czy wyraz jego twarzy nie zdradzi powodów milczenia.

W końcu powiedział:

– Żyjemy w świecie pełnym konfliktów, panie Stillwater. Jeśli policjant popełni najmniejszy nawet błąd, prowadząc delikatną sprawę, to jego wydział natychmiast zostaje pozwany do sądu i bywa, że całą karierę nieszczęsnika diabli biorą. To się przytrafia nawet dobrym policjantom.

– Co to ma wspólnego z tą sprawą? Nie zamierzam nikogo podawać do sądu, poruczniku.

– Dam panu przykład. Policjant odbiera informację o napadzie z bronią w rękę, udaje się na miejsce zdarzenia, przestępca do niego strzela, więc rozwała go w samoobronie. I co się wtedy dzieje?

– Myślę, że mi pan powie.

– Wtedy rodzina przestępcy i Amerykański Związek Praw Obywatelskich oskarżają wydział policji o brutalność i żądają odszkodowania. No i zwolnienia policjanta, nawet postawienia go przed sądem.

– To paskudne. Zgadzam się z panem. Czasem ma się wrażenie, że świat się przewraca do góry nogami, ale...

– Jeśli ten sam policjant nie odpowie siłą i jakaś przypadkowa osoba oberwie, ponieważ przestępca nie został rozwalony przy pierwszej nadarzającej się okazji, rodzina ofiary podaje wydział do sądu za zaniechanie obowiązków, i znowu jest tak samo, tyle że z innych powodów. Wszyscy mówią, że policjant był opieszawy, bo nic go nie obchodzi mniejszość narodowa, której członkiem była ofiara, że jest po prostu faszystą, albo mówią, że jest niekompetentny czy tchórzliwy.

– Nie chciałbym wykonywać pańskiego zawodu. Wiem, jaki jest trudny. Ale żaden policjant nie zastrzelił tutaj nikogo ani też nie pozwolił, by kogoś zabito. Nie wiem więc, jaki to ma związek z naszą sytuacją.

– Policjant może narobić sobie równie dużo kłopotów stawiając zarzuty, co strzelając do przestępcy.

– Rozumiem. Podchodzi pan sceptycznie do mojej opowieści, ale nie powie pan dlaczego, dopóki nie uzyska pan przekonującego dowodu, że ja po prostu kłamię.

– On się nawet nie przyzna do tego, że jest sceptyczny – powiedziała szorstko Paige. – Nie zajmie żadnego stanowiska, takiego czy innego, bo już tylko zajęcie stanowiska jest ryzykowne.

– Ale jak mamy się z tym uporać, poruczniku, jak mam pana przekonać, że to wszystko się wydarzyło naprawdę, jeśli nie chce mi pan powiedzieć, dlaczego ma pan wątpliwości?

– Nie powiedziałem, że mam wątpliwości, panie Stillwater.

– Jezu – jęknęła Paige.

– Pragnę tylko – powiedział Lowbock – by zechciał pan odpowiedzieć na moje pytania.

– A my pragniemy – wycodziła Paige, wciąż stojąc plecami do policjanta – by znalazł pan szaleńca, który próbował zabić Marty'ego.

– Tego sobowtóra. – Lowbock wypowiedział to słowo bez żadnych emocji, co czyniło je bardziej sarkastycznym, niż gdyby wymówił je z szyderczym uśmiechem.

– Tak – zasyczała Paige – tego sobowtóra.

Nie wątpiła w opowieść Marty'ego, choć z pozoru wydawała się nieprawdopodobna, wiedziała, że w jakiś sposób istnienie sobowtóra było związane z napadem fugi, dziwnym snem i innymi problemami Marty'ego, które pojawiły się niedawno.

Jej wściekłość na detektywa osłabła, gdy zrozumiała, że policja nie zamierza im pomóc – wszystko jedno z jakiego powodu. Złość zaczęła ustępować lękowi, ponieważ uświadomiła sobie, że ich przeciwnikiem jest coś, co nie mieści się w racjonalnych schematach, i że muszą się sami z tym uporać.

Clocker opuścił kabinę i wszedł do części mieszkalnej, gdzie zauważył, że kluczyki w stacyjce pozostają w pozycji ON, ale że bak jest pusty, a akumulator wyczerpany. Nie można było włączyć lampki w kabinie.

Pełen obaw, że snop światła z latarki, widoczny z zewnątrz, może wyglądać podejrzanie, Drew Oslett szybko zbadał obydwa ciała leżące w ciasnej wnęce. Ponieważ rozlana krew była mocno zaschnięta, mógł przypuszczać, że mężczyzna i kobieta nie żyją od ponad kilku godzin. Choć stężenie pośmiertne wciąż było widoczne w obu ciałach, nie były już one całkowicie sztywne: szczytowy moment stężenia już minął, co zwykle następowało między osiemnastą a trzydziestą szóstą godziną po śmierci.

Ciała nie zaczęły się jeszcze rozkładać w widoczny sposób. Jedyne z ich otwartych ust dobywał się nieprzyjemny zapach.

– Najbardziej prawdopodobne, że są martwi mniej więcej od wczorajszego popołudnia – powiedział do Clockera.

Motodom stał na parkingu od ponad dwudziestu czterech godzin, więc musiał go zauważyć co najmniej jeden funkcjonariusz drogówki, podczas dwóch różnych zmian. Prawo stanowe zabraniało korzystania z parkingów jako miejsc kempingowych. Nie było tam energii elektrycznej, wody ani ścieków, co stwarzało zagrożenie epidemiologiczne. Czasem policjanci byli wyrozumiali dla emerytów, bojących się podróżować w pogodzie równie paskudnej jak burza, która nawiedziła Oklahomę poprzedniego dnia; znaczek z symbolem Amerykańskiego Stowarzyszenia Emerytów, przyklejony z tyłu wozu, mógł zapewnić tym ludziom trochę wyrozumiałości ze strony drogówki. Ale nikt nie pozwoliłby im parkować w tym miejscu przez dwie noce. W każdej chwili mógł się tu zjawić policyjny patrol.

Nie chcąc narażać się na konfrontację z drogówką, Oslett odwrócił się od martwej pary i pospiesznie przeszukiwał wnętrze motodomu. Nie bał się już, że Alfie wpakuje mu kulę w łeb. Nie było go tu już od dawna.

Znalazł jego buty na blacie szafki kuchennej. Alfie tak długo przecinał jeden z obcasów długim, ząbkowanym nożem, aż udało mu się odsłonić elektroniczne urządzenie i zestaw małych baterii.

Gdy Oslett wpatrywał się w sportowe buty i stos gumowych skrawków, zmroziło go przecucie klęski. Nie miał pojęcia o butach. Skąd mu przyszło do głowy je rozcinać?

– No cóż, wie to, co wie – powiedział Clocker.

Według Osletta Clockerowi chodziło o to, że w zakres szkolenia Alfiego wchodziła nauka podstaw budowy podsłuchowego sprzętu elektronicznego wysokiej klasy i technik obserwacji. W rezultacie, choć nie powiedziano mu, że nosi przy sobie „pluskwę”, wiedział, że miniaturowy nadajnik może się zmieścić w obcasie buta i że po otrzymaniu mikrofalowego sygnału pobudzającego urządzenie czerpie dostatecznie dużo mocy z baterii, by przesyłać sygnały przez co najmniej siedemdziesiąt dwie godziny. Choć Alfie nie pamiętał, czym był i kto go kontrolował, był na tyle inteligentny, by dojść do logicznego wniosku, że jego zwierzchnicy z pewnością nie opuszczają go ani na chwilę, nawet jeśli są przekonani o jego bezwzględnym posłuszeństwie.

Oslett myślał z najwyższą niechęcią o przekazaniu złych wiadomości do centrali w Nowym Jorku. Organizacja nie zabijała posłańca przynoszącego niepomyślne wieści, zwłaszcza jeśli jego nazwisko przypadkowo brzmiało Oslett. Jednakże jako główny operator Alfiego wiedział, że jest winny, nawet jeśli formalnie nie ponosił żadnej odpowiedzialności za bunt podwładnego. Błąd musi tkwić w podstawowym zaprogramowaniu Alfiego, do diabła, a nie w kierowaniu nim.

Pozostawiając Clockera w kuchni na wypadek, gdyby nadeszli nieproszeni goście, Oslett szybko sprawdził resztę motodomu.

Nie znalazł nic interesującego oprócz rozrzuconego ubrania na podłodze łazienki, w tylnej części pojazdu. Wystarczyło poruszyć je nieznacznie czubkiem buta w świetle latarki, by stwierdzić, że są to rzeczy, które Alfie miał na sobie wsiadając w sobotni poranek na pokład samolotu lecącego do Kansas City.

Oslett wrócił do kuchni, gdzie w ciemności czekał na niego Clocker. Po raz ostatni skierował snop światła na martwych emerytów.

– Ale bajzel. Cholera, to się nie musiało stać.

Clocker stwierdził:

– A kogo to obchodzi, na litość boską? Byli tylko dwójką pieprzonych Klingonów.

Oslettowi nie chodziło o ofiary, ale o to, że Alfie był teraz kimś więcej niż tylko renegatem, był nieuchwytnym renegatem, a jako taki narażał na niebezpieczeństwo całą organizację. Nie miał w sobie więcej współczucia dla martwej pary niż Clocker, nie czuł się odpowiedzialny za to, co się stało i uważał, że świat tylko zyska na stracie dwojga nieproduktywnych pasożytów, żerujących na pracy innych i tamujących ruch pojazdów tym swoim powolnym domem na kołach. Nie kochał ludzi. Przeciętnej masy. A ta kobieta i ten mężczyzna byli po prostu przeciętni, i było ich tylu, i brali od świata znacznie więcej niż sami dawali, niezdolni do kierowania swym życiem w inteligentny sposób, a co dopiero społeczeństwem, rządem, gospodarką i środowiskiem naturalnym.

Mimo wszystko słowa Clockera trochę go poruszyły. Określenie „Klingonowie” zaniepokoiło go. Kosmiczna rasa walcząca z rodzajem ludzkim pokazywana w licznych odcinkach TV i filmach kinowych serii „Star Trek”; zanim akcja tej fantastycznej futurologii zaczęła odzwierciedlać poprawę stosunków między realnymi Stanami Zjednoczonymi a realnym Związkiem Radzieckim. Oslett uważał „Star Trek” za rzecz rozwlekłą i nieznośnie nudną. Nigdy nie mógł pojąć, dlaczego tak wielu ludzi pasjonuje się tym filmem. Ale Clocker był zapalonym entuzjastą serialu. Mówił o sobie „Trekker”, potrafił opowiedzieć treść każdego filmu i odcinka, i znał historię każdej postaci, jakby chodziło o jego najdroższych przyjaciół. Wydawało się, że „Star Trek” jest jedynym tematem, na jaki chce lub może rozmawiać.

Oslett robił wszystko, by ulubione fantazy Clockera nigdy się nie urealniło.

Słowo „Klingonowie” dźwięczało w jego głowie jak uderzenia dzwonu bijącego na trwogę.

A teraz cała organizacja została narażona na niebezpieczeństwo, na wolności pojawiło się coś nowego i niezwykle groźnego. Powrotna podróż do Oklahomy City, przez tyle mil ciemnego obszaru, wydawała się Oslettowi ponura i przygnębiająca. Ostatniej rzeczy, jakiej pragnął w tej chwili doświadczyć, był entuzjastyczny monolog Clockera o kapitanie Kirku, Mr Spocku, Scottym i innych członkach załogi kosmicznego statku.

– Wynośmy się stąd – powiedział Oslett, przepychając się obok Clockera i kierując się w stronę przedniej części pojazdu. Nie wierzył w Boga, a mimo to modlił się żarliwie, by Karl Clocker wreszcie się zamknął.

Cyrus Lowbock przeprosił ich na chwilę i poszedł się naradzić z kilkoma funkcjonariuszami.

Marty poczuł ulgę wraz z jego odejściem.

Kiedy detektyw wyszedł z jadalni, Paige odeszła od okna i ponownie usiadła obok Marty'ego.

Choć skończył swoją pepsi, na dnie kubka było jeszcze trochę roztopionego lodu, więc wypił zimną wodę.

– Chcę tylko zakończyć całą tę sprawę. Nie możemy tu siedzieć beczynnie, podczas gdy gdzieś na wolności krąży ten facet.

– Sądziś, że powinniśmy się martwić o dzieci?

...*pragnę... mojej Charlotte, mojej Emily...*

– Tak. Cholernie się martwię – przyznał Marty.

– Ale dwa razy strzeliłeś. Jest ranny.

– Myślałem też, że zostawiłem go w przedpokoju ze złamanym kręgosłupem, a on się podniósł i zwał. Albo pokuśtykał. Albo może nawet rozpląnął się w powietrzu. Nie wiem, co się tu, do cholery, dzieje, Paige, ale to jest o wiele bardziej niesamowite niż wszystko, o czym pisałem w swoich książkach. I to nie koniec. Na pewno nie.

– Moglibyśmy się martwić, gdybyśmy je zostawili tylko z Vikiem i Kathy, ale tam jest policjant.

– Gdyby ten drań wiedział, gdzie są dziewczynki, załatwiłby ich wszystkich w ciągu jednej minuty.

– Ty sobie z nim poradziłeś.

– Miałem szczęście, Paige. Cholerne szczęście. Nie przyszło mu do głowy, że trzymam w biurku broń, albo że jej użyję, nawet jeśli ją mam. Pokonałem go przez zaskoczenie. Drugi raz do tego nie dopuści. To *on* będzie zaskakiwał.

Przechylił kubek, trzymając go przy ustach, i pozwolił, by topniejąca kostka lodu zsunęła mu się na język.

– Słuchaj, Marty, kiedy wyjąłeś tę broń z szafki w garażu i załadowałeś?

– Widziałem, jak cię to poruszyło. Dziś rano. Przed spotkaniem z Paulem Gutheridge'em.

– Dlaczego?

Marty opisał jej, najlepiej jak potrafił, to dziwne uczucie, które go wówczas ogarnęło, uczucie, że coś pędzi w jego stronę, by go zniszczyć, zanim zdoła zrobić cokolwiek. Starał się ująć w słowa ten stan, kiedy ogarnęła go panika, kiedy przestał myśleć racjonalnie – i kiedy zaczął gromadzić broń.

Wstydziłby się o tym mówić, bałby się, że uzna go za niezrównoważonego. Ale teraz, gdy wydarzenia potwierdziły słuszność jego odczuć i obaw, wiedział, że miał rację, że nie oszalał.

– No i to coś jednak się pojawiło – powiedziała. – Sobowtór. Wyczułeś jego nadejście.

– Owszem. Chyba tak. Jakoś.

– Psychicznie.

Potrząsnął głową.

– Nie. Nie, jeśli masz na myśli halucynacje. Nie miałem żadnej wizji. To nie było wyraźne ostrzeżenie. Tylko to... to okropne uczucie ciśnienia, ciężenia... jak w czasie jazdy diabelskim młynem w wesołym miasteczku, kiedy rzuca cię na wszystkie strony, nie możesz się ruszyć, czujesz ciężar na piersiach. Wiesz, jak to jest, jeździłaś na czymś takim, Charlotte zawsze to uwielbiała.

– Tak. Rozumiem... chyba.

– Tak się właśnie zaczęło... a potem pogorszyło się... sto razy bardziej i nie mogłem prawie

oddychać. I nagle ulga. Gdy wychodziłem na spotkanie z doktorem. A później, kiedy wróciłem do domu, ten skurwiel już tutaj był, ale niczego nie czułem, wchodząc do środka.

Milczeli przez chwilę.

Wiatr ciskał kroplami deszczu o okno.

– Jakim cudem mógł wyglądać tak jak ty?

– Nie wiem.

– Dlaczego powiedział, że ukradłeś mu jego życie?

– Nie wiem, po prostu nie wiem.

– Boję się, Marty. Chodzi mi o to, że to takie nierzeczywiste, nie z tego świata... Co zrobimy?

– Jeśli pytasz o przyszłość, to nie wiem. Ale dziś nie możemy tu zostać. Pojedziemy do hotelu.

– Ale jeśli policja nie znajdzie go martwego gdzieś w okolicy, to pamiętaj, że jest jeszcze jutro... i pojutrze.

– Jestem obolały, zmęczony i mam mętlik w głowie. W tej chwili mogę skoncentrować się tylko na dzisiejszym wieczorze, Paige. Jutrem będę się martwił jutro.

Na jej cudownej twarzy można było dostrzec niepokój. Nie widział jej takiej od czasu choroby Charlotte.

– Kocham cię – powiedział, delikatnie kładąc dłoń na jej skroni.

Przykrywając jego dłoń swoją, powiedziała:

– O Boże, ja też cię kocham, Marty, ciebie i dziewczynki, bardziej niż cokolwiek, bardziej niż samo życie. Nie możemy pozwolić, by coś się stało komukolwiek z nas. Po prostu nie możemy.

– Nie pozwolimy.

Ale jego słowa zabrzmiały równie pusto i fałszywie jak przechwałki dorastającego chłopca.

Uświadomił sobie, że żadne z nich nie wspomniało słowem o policji. Nie mieli żadnej nadziei, że ich ochroni. Wiedzieli, że nie mogą liczyć na opiekę, grzeczność i uwagę, którą władze zawsze otaczają bohaterów powieści.

Tematem powieści kryminalnych była walka dobra ze złem, a triumf dobra i wiarygodność systemu prawnego w demokratycznym społeczeństwie były oczywiste. Powieści cieszyły się popularnością, bo czytelnicy znajdowali w nich to, czego pragnęli w rzeczywistości: potwierdzenia, że system jest sprawny, nawet jeśli codzienne życie tak często skłaniało do mniej optymistycznych wniosków. Marty pisał z przekonaniem i ogromną przyjemnością, bo wierzył, że służby policyjne i sądy stoją na straży sprawiedliwości, a niesłuszne wyroki są jedynie wynikiem niedopatrzenia. Lecz teraz, gdy po raz pierwszy w życiu zwrócił się o pomoc, nie dostał jej. To niepowodzenie nie tylko narażało na niebezpieczeństwo jego życie, życie jego żony i dzieci, ale zdawało się podważać wartość wszystkiego, co dotychczas napisał, i sensowność celu, któremu poświęcił tyle lat ciężkiej pracy i starań.

Wrócił porucznik Lowbock. Wyglądał i poruszał się tak, jakby uczestniczył w sesji zdjęciowej dla magazynu *Esquire*. Trzymał w ręku przezroczystą plastikową torebkę, w której znajdowała się czarna, zapinana na zamek błyskawiczny saszetka, dwa razy mniejsza od kosmetyczki z przyborami do golenia. Siadając, postawił torbę na stole.

– Panie Stillwater, czy dokładnie zamknął pan drzwi, wychodząc dziś rano z domu?

– Czy zamknąłem? – powtórzył Marty, zastanawiając się, o co tym razem chodzi i starając się opanować. – Tak, dokładnie zamknąłem. Zawsze sprawdzam zamki.

– Czy w ogóle zastanawiał się pan nad tym, w jaki sposób ten intruz dostał się do środka?

– Wybił szybę, jak mi się wydaje. Albo wyłamał zamek.

- Czy wie pan, co to jest? – spytał, potrząsając skórzaną saszetką.
- Obawiam się, że nie jestem jasnowidzem – powiedział Marty.
- Wydawało mi się, że potrafi pan to rozpoznać.
- Nie.
- Znaleźliśmy to w pańskiej sypialni.
- Nigdy przedtem tego nie widziałem.
- Na serwantce.
- Niech pan wreszcie powie, o co chodzi, poruczniku.

Przez twarz Lowbocka znów przemknął cień uśmiechu, jak duch, którego zarys migocze przez chwilę nad stolikiem podczas seansu spirytystycznego.

- To kompletny zestaw wytrychów.
- A więc w ten sposób dostał się do domu? – spytał Marty.
- Przypuszczam, że powinienem wyciągnąć taki wniosek. – Lowbock wzruszył ramionami.
- To zaczyna być męczące, poruczniku. Czekają na nas dzieci. Zgadzam się z żoną. Niech pan wreszcie wyjaśni, o co chodzi.

Nachylił się przez stół i znów obrzucił Marty'ego swoim wytrenowanym, przenikliwym spojrzeniem.

– Jestem policjantem od dwudziestu siedmiu lat, panie Stillwater – stwierdził – i po raz pierwszy mam do czynienia z włamaniem do prywatnego domu, kiedy włamywacz posługuje się zestawem profesjonalnych wytrychów.

– Wiec?

– Tłuką szybę albo wyłamują zamki, tak jak pan powiedział. Czasem podważają drzwi albo okno. Przeciętny włamywacz ma setki sposobów, by dostać się do środka, a wszystkie są szybsze niż forsowanie zamka wytrychem.

– To nie był przeciętny włamywacz.

– Och, na pewno – zgodził się Lowbock. Rozsiadł się wygodnie na krześle. – Ten facet zachowuje się bardziej teatralnie niż przeciętny przestępca. Udaje mu się upodobnić do pana, gada bzdury o tym, jak pragnie odzyskać swe życie, zjawia się z pistoletem typowym dla zawodowego zabójcy, z gwintem do tłumika, używa wytrychów, niczym jakiś hollywoodzki artysta od włamań w kryminalnym filmie, dostaje dwie kule w pierś, ale nie robi to na nim wrażenia, traci tyle krwi, że normalny człowiek dawno by umarł, i po prostu znika. To absolutny cwaniak, ten facet, ale jest również *muy misterioso*, taki typ bohatera, jakiego mógłby zagrać w jakimś filmie Andy Garcia, albo jeszcze lepiej, taki, którego zagrał Ray Liotta w „Chłopcach z ferajny”.

Marty nagle zrozumiał, do czego zmierza detektyw i dlaczego to robi. Ostateczny cel przesłuchania powinien odkryć już wcześniej, ale nie dostrzegł go właśnie dlatego, że był zbyt oczywisty. Jako pisarz próbował znaleźć bardziej złożony powód ledwie skrywanego sceptycyzmu i wrogości Lowbocka, podczas gdy ten przez cały czas zmierzał do najbardziej wyświechtanego rozwiązania.

Mimo to detektyw miał w zanadru jeszcze jedną przykrą niespodziankę. Znów się nachylił nad stołem i wbił w swego rozmówcę wzrok, co już dawno przestało robić wrażenie na kimkolwiek, a stało się wciąż powtarzanym irytującym tikiem podobnym do rozbrajającej pokory i bezgranicznej deprecjacji własnej osoby w przypadku Petera Falka, gdy grał Columbo, zaciskania warg u Nero Wolfe'a, gdy był zamyślony, znaczącego uśmiechu Jamesa Bonda, czy też którejs z wielu barwnych cech, charakteryzujących Sherlocka Holmesa.

– Czy pańskie córki hodują zwierzęta, panie Stillwater?

– Charlotte. Kilka.

– Raczej dziwna kolekcja.

– Charlotte tak nie uważa – powiedziała zimno Paige.

– A pani?

– Nie. Co to ma do rzeczy, czy są dziwne, czy nie?

– Czy hoduje je od dawna? – spytał Lowbock.

– Jedne dłużej, inne krócej – powiedział Marty, oszołomiony tym nowym zwrotem w przesłuchaniu, choć wciąż był pewien, że rozumie teorię, którą tak mozolnie starał się udowodnić Lowbock.

– Ona je kocha, te swoje zwierzaki?

Tak. Bardzo. Jak każde dziecko. Choć mogą się panu wydać dziwne, ona je kocha.

Lowbock kiwnął głową, odchylił się do tyłu i powiedział:

– To jeszcze jedno sprytne posunięcie, ale również przekonujące. Chodzi mi o to, że gdyby był pan detektywem i miał wątpliwości, jeśli chodzi o cały ten scenariusz, to musiałby się pan zastanowić nad słusnością swoich podejrzeń, gdyby się okazało, że zbrodniarz zabił wszystkie zwierzęta pańskiej córki.

Marty poczuł, jak zapada się w nim serce niczym kamień ciśnięty do stawu i zmierzający w stronę dna.

– O, nie – powiedziała żałośnie Paige. – Nie mały, biedny Whiskers, Loretta, Fred... chyba nie wszystkie?

– Myszokoczek zmiażdżony na śmierć – powiedział Lowbock wbijając wzrok w Marty'ego. – Mysz ma skręcony kark, żółwia zgnieciono butem, podobnie żuka. Innych nie zbadałem równie dokładnie.

Gniew Marty'ego przeszedł w furję, nad którą ledwie mógł zapanować, gdy się zorientował, że Lowbock oskarża go o zabicie zwierzaków, co miało nadać pozory wiarygodności jego skomplikowanej, kłamliwej opowieści. Nikt by nie uwierzył, że kochający ojciec zmiażdżył pod butem ulubionego żółwia córki i złamał kark jej uroczej, małej myszce tylko po to, by przekonać detektywa, że mówi prawdę! Dlatego przyjął, w przewrotny sposób, że Marty *naprawdę* to zrobił, mimo wszystko, ponieważ ten okropny czyn oczyszczał go z zarzutów. Świetne posunięcie.

– Charlotte będzie miała złamane serce – powiedziała Paige.

Marty czuł narastającą wściekłość. Twarz go paliła, jakby ostatnią godzinę spędził pod kwarcówką, uszy płonęły. Wiedział również, że policjant mógłby zinterpretować jego furję jako rumieniec wstydu, który znaczyłby przyznanie się do winy.

Kiedy Lowbock znów się uśmiechnął, Marty chciał uderzyć go pięścią w twarz.

– Panie Stillwater, proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale czy ostatnio pański *paperback* nie znalazł się na liście bestsellerów, chodzi o reprint tej powieści w twardej oprawie, która wyszła w zeszłym roku?

Marty nie odpowiedział.

Lowbock nie oczekiwał odpowiedzi. Ciągnął dalej:

– I ta nowa książka, która wychodzi za miesiąc, czy coś koło tego, która, jak niektórzy sądzą, może się okazać pańskim pierwszym bestsellerem w twardej oprawie? I prawdopodobnie nawet teraz pracuje pan nad jeszcze jedną powieścią. W każdym razie na pańskim biurku leży spory jej fragment. I sądzę, że jak już się panu udało parę razy, to teraz musi pan wciskać pedał gazu, że się tak wyrażę, żeby w pełni wykorzystać dobrą passę.

Marszcząc brwi, coraz bardziej napięta, Paige zdawała się rozumieć powód tych idiotycznych podejrzeń detektywa. To Paige wyróżniała się w rodzinie temperamentem; a ponieważ Marty z trudem powstrzymywał się, by nie uderzyć policjanta, zastanawiał się, jaka będzie jej reakcja, gdy Lowbock już

bez ogródek sformułuje swoją hipotezę.

– Artykuł w magazynie *People* musi bardzo pomagać w karierze – ciągnął detektyw. – I myślę, że jeśli sam Mr Mord staje się celem ataku zabójcy *my misterioso*, to jego popularność rośnie, i nie potrzeba kosztownej kampanii reklamowej.

Paige podskoczyła na swoim krześle jak spoliczkowana.

Jej reakcja zwróciła uwagę Lowbocka.

– Tak, pani Stillwater?

– Pan chyba naprawdę nie wierzy...

– Nie wierzy w co, pani Stillwater?

– Marty nie jest kłamcą.

– A czy powiedziałem, że jest?

– Nienawidzi rozgłosu.

– W takim razie ludzie z *People* musieli być bardzo uparci.

– Niech pan spojrzy na jego szyję, na litość boską! Na te czerwone plamy, na opuchliznę, za kilka godzin pojawią się siniaki. Chyba pan nie wierzy, że sam to sobie zrobił.

– A pani wierzy, pani Stillwater? – spytał spokojnie Lowbock.

Spomiędzy zaciśniętych zębów wyrwało jej się to, na co Marty nie chciał sobie pozwolić:

– Ty głupi ośle.

Unosząc brwi i robiąc zaskoczoną minę, jakby nie mógł pojąć, czym zasłużył sobie na taką wrogość, Lowbock stwierdził:

– Zdaje sobie pani na pewno sprawę, pani Stillwater, że w naszym cynicznym świecie znajdują się ludzie, według których próba uduszenia jest najlepszą do sfalszowania formą napaści. Chodzi mi o to, że skaleczenie się nożem w ramię albo nogę byłoby przekonujące, ale zawsze istnieje ryzyko drobnego błędu, naruszona arteria i nagle człowiek krwawi o wiele poważniej, niż planował. A jeśli chodzi o rany postrzałowe, no cóż, tutaj ryzyko jest jeszcze większe, biorąc pod uwagę, że kula może odbić się rykoszetem od kości i wejść głębiej w ciało, no i zawsze istnieje niebezpieczeństwo wystąpienia szoku.

Paige zerwała się na równe nogi tak gwałtownie, że przewróciła krzesło.

– Niech pan wyjdzie.

– Słucham? – zamrugał Lowbock.

– Proszę wyjść z mojego domu – zażądała. – Natychmiast.

Choć Marty zdawał sobie sprawę, że pozbawiają się właśnie ostatniej i tak już słabej nadziei na przekonanie detektywa i zapewnienie sobie policyjnej ochrony, on również wstał z krzesła, trzęsąc się z wściekłości.

– Moja żona ma rację. Sądzę, że będzie lepiej, jak pan i pańscy ludzie wyjdziecie stąd, poruczniku.

Nie ruszając się z krzesła, wciąż próbując zachować pozory Cyrus Lowbock spytał:

– To znaczy mamy wyjść, zanim skończymy czynności śledcze?

– Tak – powiedział Marty. – Bez względu na to, czy skończyliście, czy nie.

– Panie Stillwater... pani Stillwater... czy zdajecie sobie sprawę, że składanie fałszywych zeznań jest karalne?

– Nie składaliśmy fałszywych zeznań – stwierdził Marty.

– Jedynym oszustem w tym pokoju jest pan, poruczniku. Zdaje pan sobie sprawę, że udawanie funkcjonariusza policji jest niezgodne z prawem? – dodała Paige.

Chcieli zobaczyć, jak twarz Lowbocka robi się czerwona z gniewu, zobaczyć, jak zwężają mu się

oczy, a wargi zaciskają na dźwięk tych obraźliwych słów, ale on wciąż pozostał nieporuszony.

Podnosząc się z wolna, powiedział:

– Jeśli się okaże, że krew, której próbki zostały pobrane z dywanu na górze, pochodzi od, powiedzmy, świni czy krowy, czy jakiegoś innego zwierzęcia, to oczywiście laboratorium będzie w stanie dokładnie określić gatunek.

– Zdaję sobie sprawę z możliwości analitycznych kryminalistyki – zapewnił go Marty.

– Och tak, naturalnie, jest pan przecież autorem kryminałów. Według magazynu *People* prowadzi pan długie studia przed napisaniem każdej książki.

Lowbock zamknął notes i wetknął pióro za okładkę.

Marty czekał.

– Czy podczas swoich rozlicznych badań dowiedział się pan, panie Stillwater, ile krwi zawiera ludzkie ciało, powiedzmy takie jak pańskie?

– Pięć litrów.

– No tak. Zgadza się. – Lowbock położył notes na plastikowej torbie zawierającej skórzaną saszetkę z wytrychami. – Tak na oko, tyle że doświadczone oko, w dywan na górze wsiąkło od jednego do dwóch litrów krwi, czyli od dwudziestu do czterdziestu procent krwi tego mężczyzny, bliżej czterdziestu, jeśli się nie mylę. Czy wie pan, co wobec tego spodziewałbym się znaleźć? Otóż spodziewałbym się znaleźć ciało, z którego ta krew pochodzi, ponieważ naprawdę trzeba bardzo wysilić wyobraźnię, by uwierzyć, że tak poważnie ranny człowiek zdołał uciec.

– Już panu mówiłem, ja też tego nie rozumiem.

– *Muy misterioso* – powiedziała Paige z pogardą.

Marty doszedł do wniosku, że w całej tej sprawie była przynajmniej jedna dobra rzecz: to, że Paige ani przez chwilę nie wątpiła w jego prawdomówność, choć rozsądek i logika nakazywały powątpiewać, że stała przy jego boku, twarda i zdecydowana. W ciągu tych wszystkich wspólnych lat nie kochał jej bardziej niż teraz.

– Jeśli ta krew na dywanie okaże się ludzka, to będziemy musieli kontynuować śledztwo, bez względu na to, czy chce się pan nas pozbyć, czy nie. Prawdę mówiąc, niezależnie od wyniku badań laboratoryjnych skontaktuję się jeszcze z panem.

– Będziemy zachwyceni – powiedziała spokojnie Paige, jakby nagle przestała się bać Lowbocka, widząc w nim w gruncie rzeczy tylko komiczną figurę.

Marty stwierdził, że jej nastrój zaczyna mu się udzielać i uświadomił sobie, że oboje reagują w ten sposób na nieznośne napięcie minionej godziny.

– Musi pan do nas koniecznie wpaść – powtórzył za Paige.

– Przyrządzimy wspaniałą herbatę.

– I placuszki.

– I naleśniki.

– Herbatniki.

– I proszę koniecznie przyprowadzić żonę – dodała Paige. – Jesteśmy ludźmi tolerancyjnymi. Z przyjemnością ją poznamy, nawet jeśli należy do innego gatunku.

Marty zdawał sobie sprawę, że Paige jest niebezpiecznie bliska tego, by wybuchnąć głośnym śmiechem, ponieważ sam był tego bliski. Wiedział, że zachowują się jak dzieci, ale z trudem się powstrzymywał, by nie dowcipkować z Lowbocka, gdy odprowadzał go do drzwi wejściowych. Przepędzał go głupimi żartami, podobnie jak profesor von Helsing przepędzał hrabiego Draculę,

wymachując w jego stronę krucyfiksem.

Dziwne, ale tak jak detektyw był nie poruszony ich złością i uporem, tak teraz wydawał się wyprowadzony z równowagi ich wesołością. Opanowały go widoczne wątpliwości. Zachowywał się tak, jakby chciał zaproponować im zaczęcie wszystkiego od nowa. Ale okazywanie wątpliwości było mu obce i dlatego nie mógł zbyt długo wytrwać w tym stanie. Wyraz niepewności ustąpił szybko pewnej siebie minie i detektyw powiedział:

– Zatrzymamy tego hecklera kocha, który należał do sobowótora, a także naturalnie pozostałą broń, do czasu, gdy przedstawi pan dokumenty, o które prosiłem.

Przez jedną okropną chwilę Marty był pewien, że policjanci znaleźli berettę schowaną w kuchennej szafce i strzelbę mossberga pod łóżkiem na górze, i że będzie teraz bezbronny.

Ale Lowbock wymienił tylko: – Smith wesson, korth trzydzieści osiem i M16.

Marty starał się nie okazywać ulgi.

Paige odwróciła uwagę Lowbocka nieoczekiwanym pytaniem:

– Poruczniku, czy w ogóle zamierza pan stąd wyjść, kurwa?

W końcu detektyw nie wytrzymał i jego twarz stężała z gniewu.

– Z pewnością pani propozycja odniesie skutek, pani Stillwater, jeśli zechce pani powtórzyć swoją prośbę w obecności dwóch innych funkcjonariuszy.

– Ciągłe boi się oskarżenia i sprawy w sądzie – powiedział Marty.

– Zrobię to z przyjemnością, poruczniku. Czy chce pan, bym wyraziła prośbę w tym samym języku, jakiego właśnie użyłam? – powiedziała Paige.

Nigdy przedtem Marty nie słyszał, by używała publicznie wulgarnych słów, a to znaczyło, że jej złość była silniejsza niż kiedykolwiek, choć Paige wciąż udawała rozbawienie. Cieszył się z tego. Po odjeździe policji będzie potrzebowała tej złości, by przetrwać noc. Złość uwalniała od strachu.

Kiedy zamyka oczy i próbuje wyobrazić sobie ból, widzi go jako maleńką wiązkę ognia. Cudownie świetlista koronka, rozpalona do białości grą czerwieni i żółci, ciągnie się od nasady pulsującej szyi, przecina plecy, okrąża boki, tworzy skomplikowane pętle i węzły na piersi i brzuchu.

Odmalowując sobie obraz bólu, orientuje się znacznie lepiej, czy jego stan się polepsza czy pogarsza. W gruncie rzeczy jego jedyną troską jest to, by szybko wyzdrowieć. Bywał już ranny, choć nigdy tak poważnie, i wie, czego się spodziewać: ciągle pogarszanie się jego stanu byłoby nowym i niepokojącym doświadczeniem.

Przeszywający ból trwał przez minutę czy dwie bezpośrednio po postrzale. Czuł się tak, jakby obudził się w nim jakiś monstualny płód i próbował wyrwać się na zewnątrz.

Na szczęście wykazuje wysoką tolerancję na ból. Odwagi dodaje mu również świadomość, że ból wkrótce ustąpi do mniej paraliżującego poziomu.

Gdy wychodzi niepewnym krokiem przez tylne drzwi i kieruje się w stronę hondy, krwawienie zanika, a męki głodu są teraz gorsze niż ból ran. Jego żołądek kurczy się, rozluźnia spazmatycznie, ale natychmiast znów się kurczy, zaciskając się i rozwierając boleśnie, raz za razem, jakby był pięścią chwytającą pożywienie, którego tak rozpaczliwie potrzebuje.

Gdy oddala się od swojego domu przez szare strumienie ulewy, ogarnia go takie łaknienie, że zaczyna trząść się z głodu. Nie są to tylko dreszcze pragnienia, ale wycieńczające spazmy, które sprawiają, że dzwonią mu zęby. Jego drgające dłonie wybijają rytm na kierownicy i z najwyższym trudem udaje mu się trzymać ją na tyle mocno, by móc kierować samochodem. Wstrząsają nim napady suchego i świszczącego kaszlu, uderzenia gorąca na przemian z dreszczami, a jego pot jest zimniejszy od deszczu, który zmoczył mu włosy i ubranie.

Jego niezwykle metabolizm daje mu ogromną siłę i energię, uwalnia każdej nocy od potrzeby snu, pozwala wyzdrowieć z cudowną szybkością i jest niewyczerpanym źródłem fizycznych dobrodziejstw, ale stawia wymagania. Nawet w zwykły dzień zabójca odznacza się apetytem godnym dwóch drwali. Kiedy odmawia sobie snu, kiedy jest ranny, albo gdy jego organizm poddawany jest jakimś innym próbom, zwykły głód szybko przeradza się w dziką żądzę, a żądza prawie natychmiast osiąga poziom strasznego pragnienia pokarmu, które zabija wszelkie myśli i zmusza go do zachłannego pożerania wszystkiego, co udaje mu się tylko znaleźć.

Wnętrze hondy pełne jest pustych pojemników po jedzeniu – opakowań, paczek i torebek wszelkiego rodzaju. W tej kupie śmieci nie ma jednak nawet najmniejszego kęsa. W czasie ostatniej jazdy z gór San Bernardino do nizin Orange County pochłoniął gorączkowo każdy okruch, jaki pozostał. Były tylko zaschnięte smugi czekolady i musztardy, cienkie warstewki połyskującego oleju, tłuszczu, szczypty soli, ale żadna z tych resztek nie była na tyle pożywna, by mogła zrekompensować wysiłek konieczny do tego, by przeszukać w ciemności wnętrze samochodu.

Zanim udaje mu się znaleźć bar szybkiej obsługi z okienkiem do wydawania potraw, w jego wnętrznościach tworzy się lodowata otchłań, w której zdaje się roztopiać całe jego ciało, wypełniając się coraz bardziej pustką i zimnem. Ma uczucie, że komórki jego organizmu, pozbawione życiodajnego paliwa, pożerają się nawzajem. Niemal gryzie własną rękę w szalonym i rozpaczliwym pragnieniu zaspokojenia męki głodu. Wyobraża sobie, że wrywa zębami kęsy własnego ciała i połyka łapczywie, że spija swoją gorącą krew, że robi cokolwiek, by złagodzić cierpienie – cokolwiek, bez względu na to, jak bardzo może to być odrażające. Lecz powstrzymuje się, ponieważ w szaleństwie swego nieludzkiego

głodu jest prawie przekonany, że jego kości są nagie. Czuje się do cna pusty, bardziej kruchy niż najcieńsza bombka na choinkę, i wierzy, że może rozpaść się na tysiące pozbawionych życia fragmentów w chwili, w której jego zęby przebijają kruchą skórę i tym samym zniszczą iluzję cielesności.

Restauracja należy do sieci McDonalda. Mały mikrofon przy okienku już tak długo znosił letnie słońce i zimowy chłód, że słowa powitania wypowiedane przez niewidocznego sprzedawcę zamieniają się w niezrozumiały bełkot. Ma więc pewność, że jego napięty i roztrzęsiony głos nie zabrzmiał tutaj dziwnie. Zamawia więc jedzenie – tyle jedzenia, że wystarczyłoby do nakarmienia personelu niewielkiego biura: sześć cheeseburgerów, Big Macki, frytki, kilka kanapek z rybą, dwa mleczno-czekoladowe koktajle i duże kubki z colą.

Stoi w długim rzędzie samochodów i tempo, w jakim zbliża się do okienka, gdzie wydają jedzenie, jest denerwująco powolne. Musi czekać. Nie może wejść do restauracji czy sklepu w ubraniu przesiąkniętym krwią i koszulą rozerwaną kulami, i kupić to, czego potrzebuje, bez zwracania na siebie powszechnej uwagi.

W gruncie rzeczy, choć jego naczynia krwionośne zdążyły się już zregenerować, dwie rany postrzałowe na piersi wciąż są otwarte. Te ziejące dziury, w które może przerażająco głęboko wsadzić najgrubszy palec, wywołałyby więcej komentarzy niż skrwawiona koszula.

Jeden z tych pocisków przeszył go na wylot, wychodząc z tyłu, na lewo od kręgosłupa. Wie, że ta rana na plecach jest większa niż dziury na piersi. Czuje, jak jej postrzępione wargi rozchylają się, gdy opiera się o siedzenie samochodu.

Ma szczęście, że żaden z pocisków nie przeszył serca. To mogłoby zatrzymać go na dobre. Kula w sercu i postrzał rozwalający mózg są jedynymi obrażeniami, jakich się obawia.

Kiedy dociera do okienka kasy, płaci pieniędzmi, które zabrał w Oklahomie Jackowi i Frannie. Młoda kasjerka widzi jego ramię, gdy podaje jej pieniądze, więc stara się zapanować nad silnymi dreszczami, które mogłyby wzbudzić jej ciekawość. Twarz ma odwróconą w przeciwną stronę; w nocy, i przy tym deszczu, kobieta nie jest w stanie dostrzec poszarpanej klatki piersiowej i bólu wykrzywiającego jego bladą twarz.

Dostaje kilka białych toreb, które kładzie na zaśmieconym siedzeniu pasażera, z powodzeniem ukrywając twarz również przed pracownikiem, który wydaje jedzenie. Musi użyć całej swej woli, by powstrzymać się od rozerwania toreb i rzucenia się najedzenie. Ma jeszcze tyle jasności umysłu, że zdaje sobie sprawę, że nie wolno mu prowokować awantury, blokując kolejkę do okienka.

Zatrzymuje się w najciemniejszym zakątku restauracyjnego parkingu, po czym wyłącza światła i wycieraczki. Wie, że stracił w ciągu ostatniej godziny kilka funtów wagi. Widzi w lusterku wstecznym swoją wymizerowaną twarz, zapadnięte oczy, podkreślone smugami sadzy. Zmniejsza natężenie oświetlenia tablicy rozdzielczej do minimum, ale nie gasi silnika, ponieważ potrzebuje teraz ciepłego powietrza płynącego z nawiewów. Otulają go cienie. Deszcz spływający po szybie połyskuje odbitym światłem neonów i deformuje krajobraz nocy wypełniając go mutagenicznymi formami i kryjąc przed światem.

Zamknięty w swej mechanicznej jaskini, powraca do stanu dzikości. Na chwilę staje się istotą niższą – w gryza się w jedzenie ze zwierzęcą niecierpliwością, wpycha je w usta prędzej, niż jest w stanie połknąć. Mięso, bułki i frytki rozpadają się na jego wargach i zębach, tworząc na jego piersiach organiczne usypisko; cola i mleczny koktajl ściekają mu po koszuli. Krztusi się co chwila, plując jedzeniem na kierownicę i tablicę rozdzielczą, ale wciąż je z wilczą wściekłością, tak samo niecierpliwie, wydając z siebie niezrozumiałe odgłosy i chrapliwe pomruki zadowolenia.

Po tym szaleństwie żarłoczności przychodzi okres oziębiającego i milczącego zapomnienia, przypominającego trans, z którego w końcu się budzi, szepcząc niby modlitwę trzy imiona: *Paige... Charlotte... Emily...*

Wie już z doświadczenia, że w ciągu następnych kilku godzin dozna kolejnych napadów głodu, choć już nie tak wyniszczających i obsesyjnych, jak ten, którego właśnie doznał. Kilka tabliczek czekolady, puszek z parówkami, hot dogów, zależnie od tego, czy będzie potrzebował węglowodanów czy też protein, złagodzi tę mękę.

Będzie mógł skupić uwagę na innych istotniejszych sprawach, nie martwiąc się już o swoją fizjologię. Najpoważniejszym problemem jest przedłużająca się niewola, w jakiej trzyma jego żonę i dzieci człowiek, który ukradł mu życie.

Paige... Charlotte... Emily...

Łzy zamazują mu pole widzenia, kiedy myśli o swojej rodzinie więzionej przez tego zniechęconego uzurpatora. One są takie cenne. Są jego jedynym skarbem, powodem, dla którego żyje, jego przyszłością.

Przypomina sobie zdziwienie i radość, z jaką odkrywał swój dom, gdy stał w pokoju córek, a później dotykał łóżka, w którym kochali się z żoną. W chwili, gdy ujrzał ich twarze na fotografii, wiedział, że są jego przeznaczeniem i że w ich kochających ramionach znajdzie ukojenie i spokój.

Pamięta także pierwszą zadziwiającą konfrontację z tamtym, szok i zdumienie wywołane ich niesamowitym podobieństwem, perfekcyjnie dobraną wysokością i barwą ich głosów. Od razu zrozumiał, dlaczego ten człowiek mógł wkroczyć w jego życie nie rozpoznany przez nikogo.

Choć oględziny domu nie wyjaśniły pochodzenia uzurpatora, przypomniało mu się kilka filmów, które mogłyby dać mu odpowiedź. Obydwie wersje „Inwazji porywaczy ciał”, pierwsza z Kevinem McCarthy, druga z Donaldem Sutherlandem. Remake „Tego” nakręcony przez Johna Carpentera, choć nie pierwsza wersja. Może nawet „Najeźdźcy z Marsa”. Bette Midler i Lily Tomlin w filmie, którego tytułu nie może sobie przypomnieć. „Książę i żebrak”. „Księżyc nad Paradorem”. I jeszcze inne.

W filmach znajdował zawsze odpowiedzi na swoje problemy. Z filmów dowiedział się o romansach i miłości, a także o radościach rodzinnego życia. Zanurzony w ciemności sal kinowych, w których spędzał czas między zabójstwami, złażony sensu swej egzystencji, nauczył się pragnąć tego, czego nie miał. I korzystając z lekcji, jakich udzielało kino, będzie mógł rozwikłać tajemnicę swego skradzionego życia.

Ale teraz musi działać.

To następna rzecz, jakiej nauczył się z filmów. Działanie musi wyprzedzać myśl. Ludzie na filmach rzadko siedzieli zastanawiając się nad sytuacją, w jakiej się znaleźli. Na Boga, oni coś robili, żeby wyjść z najgorszej nawet matni, szukali odważnie konfrontacji z tymi, którzy byli ich przeciwnikami, ścierając się z wrogami w śmiertelnej walce, i zwyciężali, gdy byli dostatecznie zdecydowani i prawi.

On jest zdecydowany.

Jest prawy.

Ukradziono mu jego życie.

Jest ofiarą. Cierpi od dawna.

Poznał rozpacz.

Doświadczył krzywdy, udreki, zdrady i straty jak Omar Sharif w „Doktorze Żywago”, jak William Hurt w „Przypadkowym turyście”, jak Robin Williams w „Świecie według Garpa”, Michael Keaton w „Batmanie”, Sidney Poitier w „W letnią, upalną noc”, Tyrone Power w „Ostrzu brzytwy”, Johny Depp

w „Edwardzie Nożycorękim”. Czuje się bratem wszystkich tych bohaterów – atakowanych, pogardzanych, deptanych, nie rozumianych, oszukiwanych, odrzuconych i manipulowanych. Tych, którzy żyją na srebrnym ekranie i którzy zachowują heroizm w obliczu straszliwych przeciwności losu. Jego cierpienie jest równie ważne jak ich cierpienie, jego przeznaczenie równie porywające, jego nadzieja triumfu równie wielka.

Uświadomienie sobie tej prawdy porusza go do głębi. Wstrząsają nim gwałtowne łkania. Płacze, ale nie ze smutku, płacze z radości, ogarnięty uczuciem przynależności, braterstwa, ludzkiej wspólnoty. Jest jednym z nich i dlatego może się podnieść i *podążyć, podążać, stawić czoło, wyzywać, walczyć i zwyciężać*.

– Paige, idę po ciebie – mówi przez łzy.

Otwiera drzwi samochodu i wychodzi na deszcz.

– Emily, Charlotte, nie zawiodę was. Polegajcie na mnie. Ufajcie mi. Umrę za was, jeśli będzie trzeba.

Otrzepuje się, obchodzi samochód i otwiera bagażnik. Znajduje łyżkę do opon, która z jednej strony zakończona jest łapką do podważania deklin kół, a z drugiej kluczem nasadowym. Jest mocna i wyważona.

Wraca do kabiny, wślizguje się za kierownicę i kładzie łyżkę do opon na cuchnące śmieci, które zawalają siedzenie pasażera.

Widząc przed oczyma fotografię swojej rodziny, mruczy:

– Umrę za was.

Jego stan wyraźnie się polepsza. Kiedy bada dziury po kulach na piersi, jest w stanie sięgnąć tylko do połowy poprzedniej głębokości.

Jego palec natrafia w drugiej ranie na twardą i gruzłowatą bryłkę, która może być kawałkiem przesuniętej chrząstki. Jednak szybko uświadamia sobie, że jest to ołowiany pocisk, który wciąż tkwi w jego plecach. Jego ciało chce odrzucić ten przedmiot. Zabójca porusza go i podważa, aż wreszcie odkształcona kula wyslizguje się z mokrym odgłosem, po czym mężczyzna rzuca ją na podłogę.

Choć wie, że jego metabolizm i zdolności regeneracyjne są niezwykle, nie uważa jednak, by bardzo się różnił od innych ludzi. Filmy nauczyły go, że wszyscy ludzie są niezwykli w taki czy inny sposób: niektórzy charakteryzują się potężnym magnetyzmem działającym na kobiety, które nie mogą się im oprzeć; inni odznaczają się odwagą ponad ludzką miarę; jeszcze inni, których grają Arnold Schwarzenegger i Sylvester Stallone, potrafią przechodzić pod gradem kul i zwyciężać w walce wręcz z kilkoma napastnikami jednocześnie czy z każdym z osobna. Szybki powrót do zdrowia nie wydaje się już taki niezwykły, jeśli porównać go z odpornością u ekranowych bohaterów.

Biorąc ze stosu jedzenia kanapkę z rybą na zimno i pochłaniając ją w sześciu dużych kęsach, oddala się od McDonalda. Zaczyna rozglądać się za centrum handlowym.

Jest w południowej Kalifornii, więc szybko znajduje to, czego szuka: rozległy kompleks sklepów wielobranżowych i specjalistycznych przykryty dachem, na który zużyto więcej blachy niż na okręt wojenny, o chropowatych betonowych ścianach, równie imponujących jak mury obronne średniowiecznej fortecy, otoczony akrami oświetlonego przez latarnie asfaltu. Bezlitosna komercyjna natura tego miejsca jest nieco zakamuflowana przez alejki i kępy drzew, indiańskie wawrzyny, wierzby i palmy.

Krąży między nie kończącymi się rzędami zaparkowanych samochodów, aż dostrzega mężczyznę w płaszczu przeciwdeszczowym, który nadbiega od strony sklepów i dźwiga dwie pełne plastikowe torby na zakupy. Mężczyzna przystaje za białym buickiem, stawia torby na ziemi i zaczyna szukać kluczyków, żeby otworzyć bagażnik.

Trzy wozy za buickiem jest wolne miejsce.

Wysiada z samochodu z łyżką do opon w prawym ręku. Trzymając ją za spłaszczony koniec, przyciska mocno do uda, by nie zwracała uwagi.

Burza cichnie. Wiatr ustępuje. Nieba nie przecinają błyskawice.

Choć deszcz jest nie mniej zimny niż wcześniej, zabójcy wydaje się raczej orzeźwiający niż oziębiający.

Kierując się w stronę sklepów i białego buicka ogarnia wzrokiem ogromny parking. O ile może się zorientować, nikt go nie obserwuje. Żaden z parkujących w tym rzędzie samochodów nie wyjeżdża: nie palą się żadne światła, nie widać kłębów spalin, świadczących o włączonym silniku. Najbliższy ruszający samochód jest oddalony o trzy rzędy.

Mężczyzna znajduje kluczyki, otwiera bagażnik buicka i chowa do niego pierwszą z dwu plastikowych toreb. Schyla się po drugą i uświadamia sobie, że nie jest już sam, odwraca głowę i patrzy za siebie, ale udaje mu się zobaczyć jedynie łyżkę do opon przy swojej twarzy, na której nie zdążył jeszcze pojawić się wyraz przerażenia.

Drugi cios jest prawdopodobnie niepotrzebny. Ten pierwszy wepchnął do mózgu kawałki kości twarzy. Uderza jednak jeszcze raz zastygłego w bezruchu mężczyznę.

Wrzuca łyżkę do otwartego bagażnika. Metal stuka o coś z głuchym brzękiem.

Podążyć, podążyć, stawić czoło, wyzywać, walczyć i wygrywać.

Nie traci czasu. Podnosi mężczyznę z mokrego asfaltu, jak ciężarowiec podciągający sztangę. Wpycha ciało do bagażnika, samochód kołysze się lekko pod martwym ciężarem.

Noc i deszcz zapewniają konieczną osłonę, jakiej potrzebuje, by zdjęć z trupa leżącego w otwartym bagażniku płaszcz przeciwdeszczowy. Jedno z martwych oczu patrzy nieruchomo, drugie obraca się bezwładnie w oczodole, a na ustach, w których widać połamane zęby, zastygł jęk przerażenia, który nigdy się nie rozległ.

Kiedy naciąga płaszcz na swoje mokre ubranie, okazuje się, że jest za duży i o cal za długi w rękawach, ale na razie musi wystarczyć. Zakrywa jego skrwawione, podarte i pobrudzone jedzeniem ubranie. Wygląda teraz w miarę normalnie, a oto mu głównie chodzi. Płaszcz wciąż jest ciepły od ciała zabitego mężczyzny.

Później pozbędzie się zwłok, a jutro kupi nowe ubranie. Ma jeszcze mnóstwo do zrobienia i mało cennego czasu.

Zabiera portfel mężczyzny, w którym znajduje przyjemnie gruby plik pieniędzy.

Rzuca drugą torbę z zakupami na ciało i zatrzaskuje bagażnik. Przy zamku dyndają kluczyki.

Wsiada do buicka, manipuluje przy ogrzewaniu i odjeżdża spod centrum handlowego.

Podążyć, podążyć, stawić czoło, wyzywać, walczyć i wygrywać.

Zaczyna się rozglądać za stacją benzynową. Musi znaleźć budkę telefoniczną.

Pamięta głosy dobiegające z kuchni, gdy leżał wstrząsany agonią pośród strzaskanej balustrady. Uzurpator kazał Paige i dziewczynkom opuścić dom, jeszcze zanim wejdą do przedpokoju i ujrzą ich prawdziwego ojca, próbującego przekręcić się z pozycji na wznak i oprzeć na dłoniach i kolanach.

...zaprowadź je na drugą stronę ulicy, do Vica i Kathy...

A w sekundę później padło nazwisko, bardzo istotne:

...do domu Deloriów...

Choć są jego sąsiadami, nie może sobie przypomnieć Vica i Kathy Delorio. Nie wie też, który dom do nich należy. Ta wiedza została mu skradziona wraz z resztą jego życia. Jeśli ich numer jest w książce

telefonicznej, to ich znajdzie.

Stacja benzynowa. Niebieski znak koncernu Pacific Bell.

W chwili, gdy podjeżdża do budki telefonicznej o ściankach z pleksiglasu, widzi niewyraźnie grubą książkę telefoniczną zabezpieczoną łańcuchem.

Nie gasząc silnika samochodu, idzie do budki, rozchlapując po drodze wodę z kałuży. Zamyka drzwi, żeby się zapaliła górna żarówka, i zaczyna w wariackim pośpiechu wertować książkę.

Szcześnie go nie opuszcza. *Victor W. Delorio*.

Jedyna osoba o tym nazwisku. Mission Viejo. Jego własna ulica. Bingo. Zapamiętuje adres.

Biegnie na stację, żeby kupić batony czekoladowe. Dwadzieścia sztuk Hersheya z migdałami, 3 Musketeers, Mounds, białą czekoladę Nestle. Nie jest jeszcze głodny, ale wie, że niedługo jego organizm będzie potrzebował cukru.

Płaci pieniędzmi zamordowanego mężczyzny.

– Musi pan przepadać za słodyczami – mówi sprzedawca.

Wraca do buicka. Wyjeżdża ze stacji i włącza się do ruchu. Boi się o swoją rodzinę, która nieświadomie pozostaje w niewoli uzurpatora. A on może je gdzieś wywieźć, skrzywdzić, nawet zabić. I on nie będzie mógł im pomóc. Wszystko może się zdarzyć. – Dopiero co widział ich fotografię i dopiero zaczął się z nimi zapoznawać, a jednak może je stracić, zanim będzie miał okazję pocałować je, czy powiedzieć im, jak bardzo je kocha. To takie niesprawiedliwe. Takie okrutne. Serce wali mu dziko, rozpalając ból, który zaczął już przygasać w gojących się ranach.

O Boże, *pragnie* swojej rodziny. Pragnie je przytulać i pragnie, by one go przytulały. Pragnie je pocieszać i być pocieszanym przez nie, i słyszeć, jak wymawiają jego imię. Kiedy posłyszysz, jak wymawiają jego imię, już zawsze *będzie* kimś.

Przyspieszając na skrzyżowaniu, gdy światło zmienia się z żółtego na czerwone, mówi do swoich dzieci głosem, który drży z przejęcia:

– Charlotte, Emily, nadchodzę. Bądźcie dzielne. Tata nadchodzi. Tata nadchodzi. Tak. Nadchodzi.

Porucznik Lowbock był ostatnim policjantem, który opuścił dom.

Gdy stał na ganku, a z ulicy dobiegał odgłos zatraskiwanych drzwi radiowozów i uruchamianych silników, odwrócił się w stronę Paige i Marty'ego, żeby obdarzyć ich jeszcze jednym przelotnym i ledwie widocznym uśmiechem. Nie chciał najwyraźniej, by zapamiętali go z powodu starannie kontrolowanego gniewu, jaki w nim w końcu wzbudzili.

– Zobaczą się z państwem, jak tylko będę miał wyniki badań laboratoryjnych.

– Oby już wkrótce powiedziała Paige. To była taka czarująca wizyta, że wprost nie możemy doczekać się następnego razu.

– Dobranoc, pani Stillwater – powiedział Lowbock. Zwrócił się do Marty'ego. – Dobranoc, Mr Mord.

Marty zdawał sobie sprawę, że to dziecinne zatraskiwać drzwi przed nosem detektywa, ale było to również satysfakcjonujące.

Zakładając łańcuch, podczas gdy Marty zamykał drzwi na zamek, Paige spytała:

– Mr Mord?

– Tak mnie nazwali w tym artykule w *People*.

– Jeszcze nie widziałam.

– Użyli tego słowa już w tytule. Och, poczekaj, aż przeczytasz. Wychodzę w nim na śmiesznego faceta, stary nawiedzony Marty Stillwater, zdziwaczały literat. Jezu, jeśli Lowbock przeczytał ten artykuł właśnie dzisiaj, to miał powody, by uznać całą tę historię za ukartowany numer.

– Jest idiotą – powiedziała Paige.

– Ale to jest cholernie nieprawdopodobna historia.

– Ja w nią wierzę.

– Wiem. I kocham cię za to.

Pocałował ją. Przyłgnęła do niego na chwilę.

– Jak twoje gardło? – spytała.

– Przeżyję.

– Ten idiota sądzi, że dusiłeś samego siebie.

– Nie dusiłem. Ale to możliwe, jak mi się zdaje.

– Przeszaj patrzeć na to jego oczyma. Doprowadzasz mnie do szału. Co teraz? Czy nie powinniśmy stąd wyjść?

– Jak najszybciej – zgodził się. – I nie wracać, póki nie dowiemy się, o co tu, u diabła, chodzi. Czy możesz szybko przygotować walizki i spakować podstawowe rzeczy na parę dni?

– Pewnie. – Ruszyła w stronę schodów.

– Zadzwońię do Vica i Kathy. Dowiem się, czy u nich wszystko w porządku, a potem ci pomogę. I pamiętaj, mossberg leży pod łóżkiem w naszej sypialni.

Przestępując przez drewniane odłamki poręczy, powiedziała:

– OK.

– Wyjmij go i połóż na łóżku, żeby tam leżał, kiedy będziesz się pakowała.

– Wyjmę – zgodziła się, pokonując mniej więcej jedną trzecią schodów.

Miał wrażenie, że Paige nie zdaje sobie sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa.

– Zabierz go ze sobą, kiedy pójdziesz do pokoju dziewczynek.

– W porządku.

Mówił ostrym tonem. Poczuł, jak ból zaciska się wokół jego szyi, gdy odwrócił głowę do tyłu, by na nią spojrzeć. Powtórzył:

– Cholera – mówię poważnie, Paige.

Spojrzała w dół, zdziwiona, ponieważ nigdy nie odzywał się w ten sposób.

– OK. Będę miała go stale pod ręką.

– Dobrze.

Skierował się w stronę kuchni, gdzie był telefon, i zdołał dotrzeć do jadalni, gdy usłyszał krzyk Paige. Popędził z powrotem do przedpokoju, z sercem walącym tak mocno, że z trudem oddychał. Spodziewał się, że ujrzy Paige w uścisku Tego Drugiego.

Stała u szczytu schodów, przerażona widokiem makabrycznych plam na dywanie, które zobaczyła po raz pierwszy.

– Nie przypuszczałam... – spojrzała z góry na Marty'ego. – Tyle krwi. Jak zdołał... tak po prostu odejść?

– Nie mógłby tego zrobić, gdyby był... jedynie człowiekiem. Dlatego jestem pewien, że on wróci. Może nie dzisiaj, może nie jutro, może nie w przyszłym miesiącu, ale wróci.

– To szaleństwo, Marty.

– Wiem.

– Słodki Jezu – powiedziała, a zabrzmiało to bardziej jak modlitwa niż bluźnierstwo, i ruszyła pospiesznie do sypialni.

Marty wrócił do kuchni i wyjął z szafki berettę. Choć sam załadował pistolet, teraz wysunął magazynek, sprawdził go, wsunął z powrotem i wprowadził nabój do komory zamkowej.

Zauważył mnóstwo zachodzących na siebie brudnych odcisków stóp na płytkach podłogi. Wiele z nich było wciąż mokrych. W ciągu ostatnich dwu godzin policjanci wchodzili i wychodzili, i najwyraźniej nie wszyscy pomyśleli o tym, żeby wytrzeć buty przed drzwiami.

Choć wiedział, że byli zajęci i mieli ważniejsze sprawy na głowie, niż martwienie się o jego podłogę, to jednak odciski stóp i bezmyślność, jaką się wykazali, wydawały się Marty'emu czymś równie brutalnym jak napaść dokonana przez Tego Drugiego. Poczuł złość i niechęć.

Współczesny system prawny opierał się na przesłance, że zło bierze się głównie z niesprawiedliwości społecznej. Przestępców uznano za niewinne ofiary społeczeństwa. Prawie tak samo niewinne jak ludzie, których obrabowali albo zabili, a którzy byli ich ofiarami. Ostatnio zwolniono z kalifornijskiego więzienia człowieka po odsiedzeniu sześciu lat za zgwałcenie i zamordowanie jedenastoletniej dziewczynki. Sześć lat. Dziewczynka, oczywiście, była równie martwa jak przedtem. Takie rzeczy były teraz tak powszechne, że cała historia nie wzbudziła szczególnego zainteresowania prasy. Jeśli sądy nie chciały chronić bezbronnych jedenastolatków, i jeśli obydwie izby Kongresu nie chciały ustanowić przepisów, zmuszających sądy do właściwego działania, to nie można było liczyć na to, że sędziowie i politycy będą chronić kogokolwiek, w każdym miejscu i o każdym czasie.

Ale, do diabła, człowiek spodziewał się, że przynajmniej policjanci będą po jego stronie, ponieważ policjanci pracowali na ulicy, byli w samym sercu walki, i wiedzieli, jaki naprawdę jest świat. Wielcy mądrale w Waszyngtonie i zadowolone z siebie eminencje w sądach odizolowali się od rzeczywistości wysokimi pensjami, nieskończonymi przywilejami i tłustymi emeryturami: mieszkali w ogrodzonych posiadłościach, pilnowanych przez prywatnych strażników, posyłali dzieci do prywatnych szkół i tracili kontakt z rzeczywistością. Ale nie policjanci. Policjanci byli pracującymi mężczyznami i kobietami. Każdego dnia widzieli zło; zdawali sobie sprawę, że jest ono równie powszechne wśród

uprzywilejowanych, co wśród przedstawicieli *middle class* i biedoty. I musieli wiedzieć, że mniej należy winić społeczeństwo, a bardziej niedoskonałą naturę ludzkiego gatunku.

Policja miała być ostatnią linią obrony przed barbarzyństwem. Ale jeśli policjanci traktowali z cynizmem system, na straży którego kazano im stać, jeśli wierzyli, że są jedynymi, którym jeszcze zależy na sprawiedliwości, to w końcu przestanie im zależeć. Przeprowadzali te swoje testy kryminalistyczne, wypełniali grube stosy papierów, zostawiali brudne ślady na podłodze poszkodowanego i odjeżdżali, nie okazując mu nawet współczucia.

Stojąc w kuchni z załadowaną berettą w dłoni, Marty wiedział, że wraz z Paige stworzyli właśnie swoją własną linię obrony. Nikt inny, tylko oni. Nie przedstawiciele władzy. Nie strażnicy publicznego porządku.

Potrzebował odwagi, ale również wyobraźni, która była jego narzędziem pracy. Zdawało się, że żyje w czarnej powieści, w tej amoralnej rzeczywistości, w której rozgrywała się akcja opowiadań Jamesa M. Caina czy Elmore'a Leonarda. Przetrawanie w tym mrocznym świecie zależało od szybkiego myślenia, błyskawicznego działania, całkowitej bezwzględności. Cała rzecz polegała na tym, by umieć wyobrazić sobie najgorsze i być na to przygotowanym. Nie dać się zaskoczyć.

Miał pustkę w głowie.

Nie wiedział, dokąd pójść, co robić. Spakować się i wyjść z domu, zgoda. Ale co dalej?

Wpatrywał się po prostu w broń, którą trzymał w ręku.

Choć kochał dzieła Caina i Leonarda, jego własne książki nie były tak mroczne. U niego zwyciężał rozum, logika, cnota i porządek społeczny. Jego wyobraźnia nie wiodła go w stronę rozwiązań na drodze pozaprawnej, w stronę etyki sytuacyjnej czy anarchii.

Pustka.

Bał się, że nie będzie umiał poradzić sobie w tej trudnej do wyobrażenia sytuacji. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do sąsiadów. Kiedy po pierwszym sygnale odezwała się Kathy, powiedział:

– Tu Marty.

– Wszystko dobrze, Marty? Widzieliśmy, jak policja odjeżdża, a potem odjechał też ten policjant, który siedział z nami, ale nikt nie powiedział nam, co się stało. To znaczy, czy wszystko jest w porządku? Co się, u licha, dzieje?

Kathy była dobrą sąsiadką i naprawdę się przejmowała, ale Marty nie miał zamiaru tracić czasu na wyjaśnienie jej czegokolwiek.

– Gdzie są Charlotte i Emily?

– Oglądają telewizję.

– Gdzie?

– W salonie.

– Czy drzwi są zamknięte?

– Tak, oczywiście, tak mi się zdaje.

– Upewnij się. Sprawdź. Czy masz broń?

– Broń? Marty, o co chodzi?

– Masz broń? – upierał się.

– Nie wierzę w skuteczność broni. Ale Vic chyba ma.

– Ma ją teraz przy sobie?

– Nie. On jest...

– Powiedz mu, żeby ją załadował i nosił przy sobie, dopóki nie przyjdziemy po dziewczynki.

– Marty, to mi się nie podoba. Ja nie...

– Dziesięć minut, Kathy. Zabiorę od was dziewczynki za dziesięć minut albo jeszcze wcześniej, tak szybko, jak tylko będę mógł.

Odłożył słuchawkę, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Popędził na górę, do pokoju gościnnego, który służył Paige za gabinet domowy. Prowadziła tu rodzinną księgowość. W dolnej, prawej szufladzie sosnowego biurka znajdowały się teczki z rachunkami, fakturami i anulowanymi czekami. Leżała tam także ich książeczka czekowa i książeczka bankowa. Marty wyciągnął je z szuflady i wepchnął do kieszeni kurtki.

Nie miał już w głowie pustki. Pomyślał o doraźnych środkach ostrożności, jakie powinien podjąć. Konkretny plan wyłoni się później.

Wszedł do garderoby w swoim gabinecie i szybko wybrał cztery tekturowe kartony ze stosu trzydziestu czy czterdziestu pudełek tego samego rozmiaru i kształtu. W każdym znajdowało się dwadzieścia książek w twardych oprawkach. Mógł znieść do garażu tylko dwie paczki naraz. Krzywiąc się z bólu wsadził je do bagażnika BMW.

Po drugim pospiesznym kursie do garażu poszedł do sypialni. Przystanął tuż za progiem, zatrzymany widokiem Paige, która chwyciła strzelbę i odwróciła się gwałtownie w jego stronę.

– Przepraszam – powiedziała, kiedy go zobaczyła.

– Zachowałeś się prawidłowo. Zabrałeś rzeczy dziewczynek?

– Jeszcze nie, właśnie kończę z naszymi.

– Zacznę je pakować.

Ruszył po krwawych śladach do pokoju Charlotte i Emily. Mijając wyłamany kawałek balustrady, zerknął w dół, na podłogę przedpokoju. Wciąż miał nadzieję, że zobaczy martwego mężczyznę rozciągniętego na popękanych płytkach.

Charlotte i Emily siedziały na sofie w salonie państwa Delorio, stykając się niemal głowami. Udawały, że oglądają głupią komedię telewizyjną o głupiej rodzinie z głupimi dziećmi i głupimi rodzicami, robiącymi głupie rzeczy, by rozwiązać głupie problemy. Dopóki wydawały się zajęte programem, pani Delorio była w kuchni i szykowała kolację. Pan Delorio albo chodził po domu, albo stał przy oknie frontowym obserwując policjantów na zewnątrz. Dziewczynki, zostawione same sobie, miały okazję poszeptać o tym, co dzieje się u nich w domu.

– Może tata został postrzelony – martwiła się Charlotte.

– Mówiłam ci już z milion razy, że nie.

– Co ty możesz wiedzieć? Masz tylko siedem lat.

Emily westchnęła.

– Powiedział nam, że jest OK, wtedy w kuchni, kiedy mama myślała, że jest ranny.

– Miał krew na ubraniu – niepokoiła się Charlotte.

– Powiedział, że to nie jego krew.

– Nie przypominam sobie tego.

– A ja przypominam – powiedziała z naciskiem Emily.

– Jeśli tata nie został postrzelony, to kto?

– Może włamywacz – stwierdziła Emily.

– Nie jesteśmy bogaci, Em. Czego szukałby w naszym domu włamywacz? Słuchaj, może tata musiał zastrzelić panią Sanchez.

– Dlaczego panią Sanchez? Ona tylko sprząta.

– Może oszalała – zastanawiała się Charlotte, a taka możliwość podsyciała jej głód dramatycznych wydarzeń.

Emily potrząsnęła głową.

– Nie pani Sanchez. Ona jest miła.

– Mili ludzie też szaleją.

– Nie.

– Tak.

Emily skrzyżowała ramiona na piersi.

– Wymień choć jeden przykład.

– Pani Sanchez – powiedziała Charlotte.

– Oprócz – pani Sanchez.

– Jack Nicholson.

– Kto to jest?

– No wiesz, taki aktor. Grał Jokera w „Batmanie” i był absolutnie, całkowicie oszalały.

– Wiec może zawsze taki jest?

– Nie, czasem jest miły, jak w tym filmie z Shirley MacLaine. Tam grał astronautę, a siostra Shirley poważnie zachorowała i okazało się, że ma raka i umarła, a Jack był taki miły i słodki.

– Poza tym to nie jest dzień pani Sanchez – dodała Emily.

– Co?

– Ona przychodzi tylko we czwartki.

– Doprawdy, Em, przecież gdyby oszalała, toby nie wiedziała jaki to dzień – odparowała Charlotte,

zadowolona ze swej odpowiedzi, która tak znakomicie wszystko wyjaśniała. – Może ucieka z domu dla obłąkanych, szuka sobie pracy w jakimś domu, i czasami, jak wariuje, zabija rodzinę, smaży ich ciała i zjada na kolację.

– Jesteś stuknięta – powiedziała Emily.

– Nie, posłuchaj – ciągnęła uparcie Charlotte niecierpliwym szeptem – zjada je jak Hannibal Lecter.

– Hannibal Kanibal – sapnęła Emily.

Rodzice nie pozwolili im oglądać tego filmu, który Emily z uporem nazywała „Miałczeniem owiec”. Ale słyszały o nim od innych dzieciaków, które widziały go na wideo z milion razy.

Charlotte mogłaby przysiąc, że Emily nie jest już taka pewna niewinności pani Sanchez. W końcu Hannibal Kanibal był doktorem, który oszalał i odgryzał ludziom nosy i w ogóle, więc pomysł z szaloną sprzątaczką kanibalką wydał się nagle zupełnie sensowny.

Do pokoju wszedł pan Delorio. Podszedł do rozsuwanych oszklonych drzwi i wyjrzał na podwórko, które było dobrze oświetlone lampami zainstalowanymi nad patio. W prawym ręku trzymał broń. Nigdy przedtem nie nosił przy sobie broni.

Zasunął zasłony, odwrócił się od szklanych drzwi i uśmiechnął do Charlotte i Emily.

– W porządku, dzieciaki?

– Tak, proszę pana – odpowiedziała Charlotte. – To fajny film.

– Potrzebujecie czegoś?

– Nie, dziękujemy, proszę pana – odezwała się Emily. – Chcemy tylko obejrzeć film.

– To fajny film – powtórzyła Charlotte.

Gdy pan Delorio wychodził z pokoju, dziewczynki odwróciły się, by odprowadzić go wzrokiem, dopóki nie zniknął.

– Dlaczego ma broń? – zastanawiała się Emily.

– Ochronia nas. I wiesz, co to znaczył Pani Sanchez wciąż musi być żywa, jest na wolności i szuka kogoś do zjedzenia.

– A jeśli pan Delorio oszaleje jako następny? Ma broń, nie mogłybyśmy uciec.

– Bądź poważna – zachnęła się Charlotte, ale po chwili uświadomiła sobie, że nauczyciel wychowania fizycznego może oszaleć tak samo jak sprzątaczką. – Słuchaj, Emily, wiesz co robić, jeśli on oszaleje?

– Dzwonić dziewięć jeden jeden.

– Nie starczy ci na to czasu, głuptasie. Będziesz musiała kopnąć go w jaja.

– Hę? – Emily zmarszczyła brwi.

– Nie pamiętasz sobotniego filmu?

Mama była tak rozszłoszczona, że poskarżyła się właścicielowi kina. Chciała wiedzieć, jakim cudem ten film uzyskał kategorię „dozwolony dla dzieci w towarzystwie rodziców”, pomimo wulgarnego języka i brutalnej akcji. Właściciel powiedział, że film jest dozwolony dla dzieci od lat trzynastu, a to zupełnie co innego.

Mamę zdenerwowała między innymi scena, w której dobry facet uwolnił się od złego faceta kopiąc go mocno między nogi. Później, kiedy ktoś pytał dobrego faceta, czego chciał zły facet, dobry facet odpowiadał:

– Nie wiem, czego chciał, ale to, czego potrzebował, to dobrego kopa w jaja.

Charlotte wyczuła od razu, że to zdanie zdenerwowało mamę. Mogłaby później poprosić o wyjaśnienie, a mama by go udzieliła. Mama i tata uważali, że należy uczciwie odpowiadać na wszystkie

pytania dziecka. Ale czasem było o wiele bardziej ekscytująco dowiedzieć się na własną rękę, bo wtedy ona o czymś wiedziała, a rodzice nie wiedzieli, że ona wie.

Zajrzała w dom do słownika, żeby sprawdzić, czy jest tam jakaś definicja słowa „jaja”, która wyjaśniałaby, co dobry facet zrobił złemu facetowi i dlaczego mama była taka niezadowolona. Kiedy dowiedziała się, że w slangu oznacza to między innymi jądra, poszukała tego tajemniczego wyrazu w tym samym słowniku, przeczytała, ile się dało, a następnie wśliznęła się do gabinetu taty i zajrzała do jego encyklopedii medycznej. Było to naprawdę dziwaczne. Ale rozumiała, o co chodzi. Tak jakby. Może więcej, niż chciała zrozumieć. Wyjaśniła to Em najlepiej jak potrafiła. Ale Em nie uwierzyła nawet w jedno jej słowo i najwidoczniej od razu o wszystkim zapomniała.

– Jak na tym filmie w sobotę – przypomniała jej Charlotte. – Jeśli naprawdę zaczną się kłopoty i oszaleje, kopnij go między nogi.

– Wiem, wiem – powiedziała niepewnie Em – kopnę go w troczek.

– W krocze.

– To był troczek.

– To było krocze – twardo obstawała przy swoim Charlotte.

Emily wzruszyła ramionami. Nieważne.

Do pokoju wkroczyła pani Delorio, wycierając dłonie w żółtą ścierkę. Jej spódnicę i bluzkę przykrywał fartuch. Pachniała cebulą, właśnie szykowała kolację, kiedy zjawiły się dziewczynki.

– Macie ochotę na jeszcze trochę pepsi?

– Nie, pszepani – odpowiedziała Charlotte – niczego nam nie trzeba, dziękujemy. Oglądamy program.

– To świetny program – dodała Emily.

– Jeden z naszych ulubionych – potwierdziła Charlotte.

– To o chłopcu z troczkiem, który wszyscy kopią – wyjaśniła Emily.

Charlotte omal nie dała temu głupolowi po łbie.

Podnosząc ze zdziwienia brwi, pani Delorio patrzyła to na ekran telewizora, to na Emily.

– Troczek?

– Smoczek – odezwała się Charlotte, próbując niezręcznie ratować sytuację.

Rozległ się dźwięk dzwonka, zanim Em zdołała narozrabiać jeszcze bardziej.

– Założę się, że to wasi rodzice – stwierdziła pani Delorio i wybiegła z pokoju.

– Ptasi móźdzek – powiedziała do siostry Charlotte.

Emily wyglądała na zadowoloną z siebie.

– Jesteś wściekła, bo ci udowodniłam, że to wszystko kłamstwo. Ona nigdy nie słyszała, żeby chłopcy mieli troczki.

– Cicho!

– A co mi zrobisz? – spytała Emily.

– Głupol.

– Trupol.

– To nawet nie jest słowo.

– Jak mi się spodoba, to będzie.

Dzwonek dzwonił i dzwonił, jakby ktoś się o niego opierał.

Vic patrzył przez wizjer na mężczyznę stojącego na ganku. Był to Martin Stillwater.

Otworzył drzwi, cofając się, by jego sąsiad mógł wejść do środka.

– Mój Boże, Marty, to wyglądało jak zjazd policjantów. Co się stało?

Marty przyglądał mu się intensywnie przez chwilę, zwłaszcza broni w jego prawym ręku. Po chwili, jak się zdawało, podjął jakąś decyzję i zamrugał. Jego skóra, mokra od deszczu, była błyszcząca i nienaturalna jak twarz porcelanowej figurki. Wydawał się skurczony i pomarszczony, jak człowiek wracający do zdrowia po ciężkiej chorobie.

– Dobrze się czujesz, czy z Paige wszystko w porządku? – spytała Kathy, wchodząc do holu za Vikiem.

Marty przekroczył z wahaniem próg i zatrzymał się przy otwartych drzwiach.

– No co? Martwisz się, że zabrudzisz podłogę? Wiesz, że Kathy uważa mnie za beznadziejnego bałaganiarza, wszystko oklepała w domu scotchem! Wchodź, wchodź.

Marty wciąż stojąc w bezruchu, spojrzał ponad ramieniem Vica w stronę salonu, a następnie w górę, ku szczytowi schodów. Miał na sobie czarny płaszcz przeciwdeszczowy zapięty pod szyję, zbyt duży jak na niego, co między innymi sprawiało, że Marty wyglądał, jakby był skurczony.

W chwili gdy Vic pomyślał, że jego sąsiad jest chorobliwie milczący, ten nagle się odezwał:

– Gdzie dzieciaki?

– Wszystko w porządku – zapewnił go Vic – są bezpieczne.

– Potrzebuję ich – powiedział Marty. – Jego głos nie był już chrapliwy, jak poprzednio, ale drewniany. – Potrzebuję ich.

– Na litość boską, stary, czy nie możesz posiedzieć z nami chwilę i opowiedzieć nam, co...

– Potrzebuję ich teraz – upierał się Marty – są moje.

W końcu Vic Delorio doszedł do wniosku, że ten głos był nie tyle drewniany, co starannie kontrolowany, jakby Marty dusił w sobie gniew, przerażenie czy jakieś inne silne uczucie i bał się, że straci panowanie nad sobą. Drżał nieznacznie. Niektóre krople deszczu na jego twarzy mogły być potem.

Zbliżając się, Kathy spytała:

– Marty, co się dzieje?

Vic chciał zapytać o to samo. Marty Stillwater był zazwyczaj takim luźnym facetem, zrelaksowanym, skłonny do uśmiechu, teraz stał w progu sztywny i spięty. Cokolwiek zdarzyło się tej nocy, musiało pozostawić głęboki uraz w jego psychice.

Zanim Marty zdołał odpowiedzieć, na końcu holu, przy wejściu do salonu, ukazały się Charlotte i Emily. Musiały wśliznąć się w swoje płaszczyki przeciwdeszczowe w chwili, gdy usłyszały głos ojca. Zbliżając się, zapinały guziki.

Głos Charlotte drżał, gdy spytała:

– Tata?

Na widok córek oczy Marty'ego zaszyły łzami. Kiedy Charlotte się odezwała, zrobił krok do przodu, tak że Vic mógł zamknąć drzwi.

Dzieci przebiegły obok Kathy. Marty przyklęknął na podłodze przedpokoju, a one wpadły w jego ramiona z takim impetem, że prawie go przewróciły. Kiedy cała trójka obejmowała się nawzajem, dziewczynki mówiły jedna przez drugą:

– Nic ci nie jest, tato? Tak się bałyśmy. Nic ci nie jest? Kocham cię, tato. Byłeś paskudnie poplamiony krwią. Powiedziałam jej, że to nie była twoja krew. Czy to był włamywacz, czy pani Sanchez, czy oszalała, czy to listonosz oszalał, kto oszalał, czy nic ci nie jest, czy mamie nic nie jest, czy już po wszystkim, dlaczego mili ludzie nagle szaleją?

Właściwie mówili wszyscy jednocześnie, bo Marty wciąż powtarzał:

– Moja Charlotte, moja Emily, moje dzieciaki. Kocham was, tak bardzo was kocham, nie pozwolę, by znów was ukradziono, nigdy więcej.

Całował ich policzki, czoła, obejmował je mocno, gładził ich włosy drżącą ręką, i w ogóle zachowywał się tak, jakby nie widział ich przez całe wieki.

Kathy uśmiechała się i płakała cicho, ocierając łzy żółtą ścierką.

Vic uważał, że spotkanie jest wzruszające, ale nie był nim tak poruszony jak jego żona, częściowo dlatego, że Marty wyglądał i mówił w szczególny sposób, jednak inaczej niż człowiek, który walczył w swoim domu ze zbrodniarzem – jeśli tak naprawdę było – ale po prostu... no cóż, właśnie dziwnie. Osobliwie. To, co mówił Marty, było jakies niesamowite:

– Moja Emily, Charlotte, moje, śliczne jak na tym waszym zdjęciu, moje, będziemy razem, to moje przeznaczenie.

Ton jego głosu też był inny niż zwykle, zbyt drżący, zbyt niecierpliwy, jeśli założyć, że było już po wszystkim – policja przecież odjechała. Afektowany. Dramatyczny. Zbyt dramatyczny. Zdawało się, że odgrywa rolę na scenie, próbując za wszelką cenę przypomnieć sobie, co ma w danym momencie powiedzieć.

Wszyscy uważali, że artyści są dziwni, zwłaszcza pisarze, i gdy Vic spotkał po raz pierwszy Martina Stillwatera, spodziewał się, że będzie on ekscentrykiem. Ale Marty rozczarowywał pod tym względem: był najnormalniejszym, najbardziej zrównoważonym sąsiadem, jakiego można było sobie wymarzyć. Do tej chwili.

Podnosząc się i tuląc swoje córki, Marty powiedział:

– Musimy iść. – Odwrócił się w stronę drzwi frontowych.

Vic zawołał:

– Poczekaj sekundę, Marty, nie możesz wypaść stąd ot tak sobie, stary, kiedy jesteśmy tacy ciekawi i w ogóle.

Marty puścił Charlotte tylko na chwilę, żeby otworzyć drzwi. Ponownie złapał ją za rękę, gdy do przedpokoju wtargnął ze świstem wiatr i poruszył wiszącą na ścianie makatką w ramce, przedstawiającą ptaki i wiosenne kwiaty.

Kiedy wyszedł bez słowa, Vic zerknął na Kathy i zobaczył, że jej wyraz twarzy się zmienił. Na jej policzkach wciąż świeciły łzy, ale oczy miała suche i wyglądała na zaskoczoną.

„Więc nie tylko ja tak to widzę” – pomyślał.

Wyszedł przed dom i zobaczył, że Marty zszedł już z ganku i kierował się w stronę ulicy, gnany wiatrem i deszczem. Trzymał dziewczynki za ręce. Powietrze było zimne. Śpiewały żaby, ale ich pieśni brzmiały nienaturalnie, zimno i metalicznie niczym zgrzyt połamanych przekładni w zamarzniętej maszynierii. Ten odgłos sprawił, że Vic zapragnął wejść z powrotem do środka, usiąść przy kominku i wypić dużo kawy z brandy.

– Cholera, poczekaj chwilę!

Marty odwrócił się i spojrzał, Charlotte i Emily tuliły się do jego boków.

– Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, chcemy pomóc – powiedział Vic. – Cokolwiek się wydarzyło, chcemy pomóc.

– Nic nie możesz zrobić, Victor.

– Victor? Człowieku, wiesz przecież, że nienawidzę imienia Victor, nikt mnie tak nie nazywa, nawet moja siwiuteńka matka, jeśli wie, co dla niej dobre.

– Przepraszam... Vic. Jestem po prostu... mam mnóstwo na głowie. – Znow skierował się w stronę ulicy, dzieci za nim.

Tuż przy furtce stał zaparkowany samochód. Nowy buick. Wyglądał w deszczu, jakby był pokryty klejnotami. Silnik pracował. Światła włączone. Był pusty.

Vic zbiegał z ganku. Dogonił ich.

– Czy to twój samochód?

– Tak – odpowiedział Marty.

– Od kiedy?

– Kupiłem go dzisiaj.

– Gdzie jest Paige?

– Właśnie idziemy się z nią spotkać. – Twarz Marty'ego była trupio blada. Widać było, że cały się trzęsie, a jego oczy wyglądały dziwnie w blasku lamp ulicznych.

– Słuchaj, Vic, dzieciaki przemokną do suchej nitki.

– Jeśli ktoś przemoknie, to tylko ja – powiedział Vic. – Mają płaszcze przeciwdeszczowe. Paige nie ma w domu?

– Już wyszła. – Marty zerknął zaniepokojony na swój dom, po drugiej stronie ulicy, gdzie okna na parterze i pierwszym piętrze wciąż jarzyły się światłem. Mamy się z nią spotkać.

– Pamiętaj, co mi powiedziałeś...

– Vic, proszę...

– Sam prawie o tym zapomniałem, ale jak szedłeś w stronę furtki, to sobie przypomniałem.

– Musimy już iść, Vic.

– Powiedziałeś mi, żebym nikomu nie powierzał dzieciaków, jeśli nie będzie mu towarzyszyć Paige. Nikomu. Pamiętaj, co powiedziałeś?

Marty zniósł dwie duże walizy na dół, do kuchni.

Beretę wetknął za pasek spodni. Uciskała go nieprzyjemnie w brzuch. Miał na sobie luźny wełniany sweter z wizerunkiem renifera, który zasłaniał broń. Czerwono-czarną kurtkę narciarską zostawił odpiętą, mógł więc bez trudu sięgnąć po broń, wystarczyło tylko wypuścić z rąk torby.

Paige weszła za nim do kuchni. Niosła jedną walizkę i strzelbę mossberga.

– Nie otwieraj drzwi zewnętrznych – polecił jej Marty, przechodząc przez małe przejście łączące kuchnię z ciemnym garażem.

Nie chciał, by drzwi były otwarte w czasie chowania walizek do samochodu, ponieważ nie byłiby bezpieczni. Przypuszczał, że Ten Drugi mógł się podczołgać, kiedy policjanci odjechali, i nie należało wykluczać, że w tej chwili jest gdzieś koło domu.

Wchodząc za nim do garażu, Paige zapaliła górne neonówki. Długie żarówki zamigotały, ale nie zapłonęły od razu. Cienie skakały i wirowały na ścianach, między samochodami i belkami sufitu.

Torturując swoją poranioną szyję, Marty zwracał odruchowo głowę w stronę każdego skaczącego fantomu. Żaden z nich nie miał twarzy, nie mówiąc o twarzy podobnej do jego.

Neonówki zapłonęły równym blaskiem. Twarde białe światło, zimne i płaskie jak słońce w zimowy poranek, powstrzymało gwałtownie cienistych tancerzy.

Jest pięć stóp od buicka, mocno ściska dłonie swoich dzieci. Tak bliski wolności. Jego Charlotte. Jego Emily. Jego przyszłość, jego przeznaczenie, na wyciągnięcie ręki.

Ale Vic nie zostawi go w spokoju. Ten facet to pijawka. Idzie za nim od samego domu, jakby niepomny deszczu, ciągle gada, zadaje pytania, wścibski drań.

Tak blisko samochodu. Silnik pracuje, światła są włączone. Z jednej strony Emily, z drugiej Charlotte, i obie go kochają, naprawdę kochają. Obejmowały go i całowały, tam, w przedpokoju, takie szczęśliwe, że go widzą, jego małe dziewczynki. Znają swojego tatę, swojego *prawdziwego* tatę. Jeśli uda mu się wejść do samochodu, zamknąć drzwi i odjechać, to będą jego na zawsze.

Może zdoła zabić Vica, tego wścibskiego drania. Wtedy byłoby tak łatwo uciec. Ale nie jest pewien, czy mu się uda.

– Powiedziałeś mi, żebym nie powierzał dzieciaków nikomu, dopóki nie będzie z nimi Paige – powtarza Vic. – Nikomu. Pamiętasz, co powiedziałeś?

Wpatruje się w Vica, nie tyle zastanawiając się nad odpowiedzią, ile nad możliwością wykończenia tego sukinsyna. Ale znów jest głodny, trzęsie się i czuje słabość w kolanach. Jego organizm domaga się batonów leżących na przednim siedzeniu – cukru, węglowodanów. Energii potrzebnej do procesów naprawczych, jakie wciąż się w nim dokonują.

– Marty? Pamiętasz, co powiedziałeś?

Nie ma również broni, co w normalnych warunkach nie byłoby przeszkodą. Został dobrze wytrenowany. Potrafi zabijać gołymi rękami. Być może ma nawet dość siły, by zrobić to teraz, choć jest tak bardzo osłabiony, a Vic wydaje się na tyle twardy, by podjąć walkę.

– Pomyślałem, że to dziwne – mówi Vic – ale powiedziałeś mi, żebym nie powierzał ich nawet tobie, jeśli nie będzie z tobą Paige.

Problem stanowi to, że drań ma broń. I jest podejrzliwy.

Z każdą upływającą sekundą nadzieja na udaną ucieczkę rozpada się w kawałki, rozmywając się w deszczu. Dziewczynki wciąż trzymają go za rękę. Ścisła mocno ich dłonie, owszem, ale czuje, że zaczynają się wysuwać, i nie wie, co robić. Gapi się na Vica, myśli wirują, chce za wszelką cenę coś powiedzieć, tak jak chciał coś napisać, kiedy wcześniej, tego samego dnia, siedział w gabinecie i próbował zacząć nową książkę.

Podążyć, podążyć, stawić czoło, rzucać wyzwanie, walczyć i wygrywać.

Nagle uświadamia sobie, że aby wygrać, musi działać jak przyjaciel, w sposób, w jaki przyjaciele traktują siebie nawzajem i rozmawiają ze sobą na filmach. To rozproszy wszelkie podejrzenia.

Przez jego myśli przepływa rzeka filmowych wspomnień, a on daje się jej porwać.

– Vic, na Boga, Vic, czyja... czyja to powiedziałem? – Wyobraża sobie, że jest Jimmym Stewartem, ponieważ wszyscy ufają Jimmy'emu Stewartowi. – Nie wiem, o co mi chodziło, chyba zwariowałem ze zmartwienia. Rany, ja zwyczajnie... zwyczajnie byłem tak cholernie spanikowany całym tym bajzlem w moim domu, tym zwariowanym bajzlem.

– Co się dzieje, Marty?

Przestraszony ale wciąż elegancki, pełen wahania, ale szczery, Jimmy Stewart w filmie Hitchcocka:

– To skomplikowane, Vic, to popieprzone, niewiarygodne, sam prawie nie wierzę w to. Musiałbym ci wyjaśniać chyba z godzinę, a ja nie mam całej godziny, nie mam godziny, nie, mój panie, nie teraz, absolutnie nie. Moje dzieciaki, te dzieciaki, grozi im niebezpieczeństwo, Vic, i niech Bóg ma mnie w swojej opiece, jeśli coś im się stanie. Nie chciałbym wtedy żyć.

Widzi, że ta nowa metoda odnosi pożądany skutek. Ponagla dziewczynki, by wsiadały do samochodu. Jest już pewien, że jego sąsiad nie zdoła ich zatrzymać.

Ale Vic podąża za nimi, rozchlapując kałuże.

– Czy nie możesz mi nic powiedzieć?

Otwiera tylne drzwi i lekko popycha dzieci. Jeszcze raz się odwraca do Vica.

– Wstyd mi to przyznać, ale to ja naraziłem je na niebezpieczeństwo, ja, ich ojciec, a powodem jest to, z czego żyję.

Vic wyglądał na zakłopotanego.

– Piszesz książki.

– Vic, czy wiesz, kto to jest fanatyczny wielbiciel?

Oczy Vica rozszerzyły się, a potem zwęziły, gdy podmuch wiatru rzucił mu w twarz krople deszczu.

– Jak ta kobieta i Michael J. Fox kilka lat temu?

– Właśnie, jak Michael J. Fox. – Charlotte i Emily są już w samochodzie. Zatrząskuje drzwi. – Z tą różnicą, że to facet nas prześladowuje, nie jakaś zwariowana kobieta, a dziś wieczór posunął się za daleko, włamał się do domu, był napastliwy, musiałem go zranić. Ja. Możesz sobie wyobrazić *mnie*, raniącego kogokolwiek, Vic? Boję się teraz, że wróci, więc muszę wywieźć stąd dziewczynki.

– Mój Boże – mówi Vic – całkowicie uwiedziony tą opowieścią.

– Nie mam czasu, żeby powiedzieć ci coś więcej, już i tak za dużo powiedziałem, więc po prostu... po prostu... wracaj do domu, zanim umrzesz na zapalenie płuc... Zadzwoń do ciebie za parę dni i opowiem resztę.

Vic waha się.

– Jeśli możemy w czymś pomóc...

– Idź już, idź, doceniam to, co już zrobiłeś, ale jedyną rzeczą, jaką możesz zrobić teraz, to schować się przed tym deszczem. Spójrz na siebie, jesteś przemoknięty, na litość boską. Wiele spod tej ulewy, żebym nie musiał się martwić, że umrzesz przeze mnie na zapalenie płuc.

Paige postawiła na ziemi trzecią walizkę i mossberga. Kiedy Marty podniósł klapę bagażnika, zobaczyła w środku trzy pudła.

– Co to jest?

– Różne rzeczy, które mogą się przydać.

– Na przykład?

– Później ci wyjaśnię. – Zaczął wpychać walizki do bagażnika.

Kiedy zmieściły się tylko dwie, powiedziała:

– Spakowałam tylko to, bez czego nie można się obejść. Trzeba wyjąć przynajmniej jedno pudło.

– Nie. Najmniejszą walizkę położę z tyłu, na podłodze, pod stopami Emily. I tak nie sięga nogami do podłogi.

W połowie drogi między ulicą a domem Vic odwraca się i patrzy na buicka.

Zabójca wciąż odgrywa Jimmy'ego Stewarta:

– Idź już, Vic, idź już. Kathy też złapie zapalenie płuc, jeśli obydwoje nie wejdziecie do domu.

Obchodzi od tyłu buicka i gdy dociera do drzwi po stronie kierowcy, jeszcze raz patrzy w stronę domu.

Vic stoi na ganku razem z Kathy. Są zbyt daleko, by mogli przeszkodzić mu w ucieczce.

Zabójca macha do państwa Delorio, a oni mu odpowiadają. Wsiada do buicka i sadowi się za kierownicą, zbyt obszerny płaszcz marszczy się na nim. Zatrząskuje za sobą drzwi.

Po drugiej stronie ulicy, w jego własnym domu, na parterze i piętrze palą się światła. Jest tam uzurpator z jego Paige. Jego piękną Paige. Nic nie może na to poradzić, jeszcze nie, nie teraz, gdy nie ma

Od niezadowolenia do gniewu, od gniewu do nienawiści, od nienawiści do przemocy. A przemoc czasem uspokaja.

Czując przemożną chęć uderzenia czegoś, czegokolwiek, odwraca się na siedzeniu, patrzy ze złością na dziewczynki, krzyczy:

– Zamknijcie się, zamknijcie się, zamknijcie się!

Są ogłuszone. Tata nigdy przedtem nie zwracał się do nich w ten sposób.

Ta mniejsza zagryza wargi, nie może znieść jego widoku, odwraca twarz w stronę bocznej szyby.

– Cicho, na litość boską, bądźcie cicho!

Kiedy znów patrzy przed siebie i próbuje uruchomić samochód, starsza dziewczynka wybucha płaczem, jakby była małym dzieckiem. Wycieraczki uderzają, rozrusznik zgrzyta, silnik trzęsie się na wszystkie strony, bezustanny łomot deszczu, a teraz jeszcze to łkanie, takie świdrujące, zgrzytliwe, po prostu nie do zniesienia. Wrzeszczy na nią niezrozumiale, dostatecznie głośno, by zagłuszyć na chwilę jej płacz i wszelkie inne dźwięki. Zastanawia się, czy nie przedostać się na tylne siedzenie, gdzie kuli się ta przeklęta, rozwrzeszczana mała istota, i nie uciszyć jej, uderzyć, potrząsnąć, przycisnąć do jej nosa i ust dłoń, aż wreszcie przestanie wydawać jakiegokolwiek dźwięki, aż wreszcie przestanie płakać, przestanie się szarpać, po prostu przestanie, przestanie... nagle silnik prychnie, zaskakuje, pomrukuje słodko.

– Zaraz wracam – powiedziała Paige, gdy Marty położył walizkę za przednim fotelem BMW.

Zdażył podnieść głowę i zobaczyć, że idzie w stronę domu,

– Czeka, co ty robisz?

– Muszę pogasić światła.

– Do diabła z tym. Nie wracaj tam.

Była to scena, wyjęta żywcem z powieści albo filmu. Kiedy już się spakowali, dotarli do samochodu i byli tak blisko ocalenia, coś kazało im wrócić do domu, by zrobić jakąś zupełnie niepotrzebną rzecz, a ten psychopata już by tam był, albo dlatego, że wrócił, gdy oni przygotowywali samochód w garażu, albo dlatego, że schował się w jakiejś przemyślnej kryjówce, gdy policjanci przeszukiwali teren. Chodziliby od pokoju do pokoju, gasząc światła. Dom pogrążyłby się w ciemności, a wtedy ten sobowtór zmaterializowałby się jak cień spośród cieni, wymachując ogromnym nożem rzeźnickim, wyjętym ze stojaka ze sztućcami w ich własnej kuchni, tnąc, dźgając i zabijając jedno z nich lub obydwójce.

Marty wiedział, że prawdziwe życie nie jest ani tak ekstrawagancko barwne jak większość literatury popularnej, ani w połowie tak szare jak przeciętna, akademicka powieść i o wiele mniej przewidywalne niż jedno i drugie. Jego strach przed powrotem do domu, by pogasić światła, był irracjonalny. Był owocem zbyt bujnej wyobraźni i pisarskiej skłonności do dostrzegania dramatu, zła i tragedii w każdym zwrocie, jakiemu podlegają ludzkie losy, w każdej zmianie pogody, planów, marzeń, nadziei czy w rzucie kostką.

Nie zamierzał jednak wracać do domu. Za żadne skarby.

– Zostaw światła włączone – powiedział. – Zamknij dom, podnieś drzwi garażu, potem weźmiemy dzieciaki i wyniesiemy się stąd.

Może Paige była już dostatecznie długo żoną pisarza, by i jej wyobraźnia uległa skażeniu, a może przypomniała sobie całą tę krew w górnym holu. Bez względu na powód nie zaprotestowała. Nie użyła nawet argumentu, że pozostawienie tyłu światła jest marnowaniem energii elektrycznej. Wcisnęła guzik uruchamiający drzwi garażu, a drugą ręką zamknęła drzwi od kuchni.

Gdy Marty zamykał klapę bagażnika, drzwi garażu podjechały do góry. Z charakterystycznym

stukiem otworzyły się do końca.

Wyjrzał na zewnątrz, w deszczową noc. Dłoń położył na kolbie pistoletu, wetkniętego za spodnie. Jego wyobraźnia wciąż pracowała, był więc przygotowany na widok sobowtóra, zbliżającego się w stronę domu.

Ale to, co ujrzał, przeszło jego fantazje. Po drugiej strone ulicy, pod domem Deloriów, stał samochód. To nie był ich samochód. Marty nigdy przedtem go nie widział. Światła były włączone, choć kierowca miał problemy z uruchomieniem wozu. Na miejscu kierowcy widać było jedynie ciemny kształt, ale przy tylnej szybie można było dostrzec blady owal dziecięcej twarzy. Nawet patrząc z tej odległości Marty był pewien, że ta mała dziewczynka w buicku to Emily.

Paige, stojąca w drzwiach, które łączyły kuchnię z garażem, grzebała w kieszeni sztruksowej kurtki w poszukiwaniu kluczy od domu.

Marty był jak sparaliżowany. Nie był w stanie zawołać Paige, nie był się w stanie ruszyć.

Silnik buicka, stojącego po drugiej stronie ulicy zaskoczył, sapnął konwulsyjnie, po czym wrócił z warkotem do życia. Z rury wydechowej dobywały się kłęby gęstych spalin.

Marty nie zdawał sobie sprawy, że zaczął biec, dopóki nie znalazł się w połowie podjazdu, biegnąc przez strugi zimnego deszczu w stronę ulicy. Czuł się tak, jakby pokonał trzydzieści stóp w ciągu ułamka sekundy, po prostu jego ciało, kierowane instynktem i najczystszy z zwierzęcych przerażeniem, wyprzedzało umysł.

W dłoni trzymał berettę. Nie pamiętał, kiedy wyszarpnął ją zza spodni.

Buick ruszył spod krawężnika i Marty skręcił w lewo, żeby podążyć w ślad za nim. Samochód jechał wolno. Kierowca nie wiedział jeszcze, że jest ścigany.

Wciąż widział Emily. Przyciskała wystraszoną twarz do szyby. Patrzyła wprost na swojego ojca.

Marty zbliżał się do samochodu, od tylnego zderzaka dzieliło go dziesięć stóp. Wówczas buick nabrał szybkości. Opony wozu rozjeżdżały kałuże z szumem i chlupotem.

Emily jechała nie po ulicy, ale przepływała przez Styks, jak pasażer łodzi Charona, ku ziemi zmarłych.

Marty poczuł czarną falę rozpacz, ale serce zaczęło mu walić jeszcze mocniej niż przedtem, i znalazł w sobie siłę, o której nawet nie śnił. Biegł nieustępliwie jak nigdy, rozpryskując kałuże, uderzając stopami w asfalt z siłą młota pneumatycznego, pracując ramionami, z nisko pochyloną głową, ze wzrokiem wlepionym w zwierzyń, którą ścigał.

Przed następną przecnicą buick zwolnił. Zatrzymał się na skrzyżowaniu.

Dysząc ciężko, Marty dogonił samochód. Tylne zderzak. Tylne błotnik. Tylne drzwi.

Za szybą twarz Emily.

Patrzyła na niego.

Jego zmysły były wyostrome przez strach. Czuł się tak, jakby zażył narkotyki. Widział z halucynacyjną ostrością każdą kroplę z dziesiątek kropli na szybie oddzielającej go od córki – wygięte i gruszkowate kształty, ponure spirale i odbijające się w ich drżącej powierzchni światło lamp ulicznych, jakby każda z tych kropli była równie ważna jak wszystko inne w świecie. Podobnie postrzegał wnętrze samochodu, nie jako ciemną plamę, ale jako gobelin o skomplikowanym wzorze, utkany z cieni w niezliczonych odmianach szarości, błękitu i czerni. Za bladą twarzą Emily, w zawilej tkaninie mroku i posępności, widniała jeszcze jedna postać. Drugie dziecko – Charlotte.

W chwili gdy zrównał się z drzwiami po stronie kierowcy i sięgnął do klamki, samochód ponownie ruszył. Skręcił w prawo, przecinając skrzyżowanie.

Marty pośliznął się i niemal upadł na mokry chodnik. Odzyskał równowagę, mocniej ścisnął broń i ruszył za buickiem, gdy ten wjechał w prostopadłą ulicę.

Kierowca patrzył w prawo, wciąż nieświadomy obecności Marty'ego po lewej stronie. Miał na sobie czarny płaszcz. Przez zalaną deszczem szybę widać było tylko tył jego głowy. Włosy miał ciemniejsze niż Vic Delorio.

Ponieważ wóz poruszał się wolno na zakręcie, Marty znów się z nim zrównał. Dyszał z wysiłku, słyszał ciężki łomot własnego serca. Nie próbował tym razem chwycić klamki, ponieważ drzwi mogły być zamknięte, a on ostrzegłby tylko porywacza. Podniósł beretę i wycelował w tył głowy mężczyzny.

Dzieciaki mógł uderzyć rykoszet czy odłamek szyby. Musiał ryzykować. W przeciwnym razie wiedział, że straci je na zawsze.

Choć było mało prawdopodobne, by kierowcą był Vic Delorio czy jakaś inna, zupełnie niewinna osoba, Marty nie mógł pociągnąć za spust, nie mając pewności, do kogo strzela. Wciąż biegnąc obok samochodu, zawołał:

– Hej, hej, hej!

Kierowca odwrócił głowę, by spojrzeć przez boczną szybę.

Patrząc wzdłuż lufy pistoletu, Marty zobaczył siebie. Ten Drugi. Szyba, którą miał przed oczyma, przypominała przekłute lustro, które nie ograniczało się jedynie do wiernego odtworzenia rysów twarzy, ale ukazywało również uczucia, okrutniejsze niż te, jakie ktokolwiek chciałby zdradzić światu: tę twarz, widoczną w zwierciadle bocznej szyby, wykrzywiały nienawiść i wściekłość.

Kierowca zdjął nogę z gazu. Na krótką chwilę buick zwolnił.

Z odległości nie większej niż cztery stopy Marty wystrzelił dwa pociski. Zanim donośny grzmot pierwszego strzału odbił się echem od niezliczonych, pokrytych wilgocią powierzchni, wydawało mu się, że widzi, jak kierowca osuwa się na bok, wciąż trzymając kierownicę jedną ręką, ale próbując uciec z linii strzału. U wylotu lufy ukazał się błysk, ale pękająca szyba przesłoniła widoczność.

W chwili, gdy rozległ się huk drugiego strzału, tuż po pierwszym, zapiszczały opony. Buick szarpnął do przodu, jak wściekły koń na rodeo.

Marty biegł za samochodem, ale wóz oddalał się, zostawiając za sobą wir wzburzonego powietrza i spalin. Ten Drugi był wciąż żywy, być może ranny, ale wciąż żywy. I wciąż uciekał.

Pędząc na wschód, buick zaczął zjeżdżać na niewłaściwą stronę dwupasmowej ulicy. Trzymając się tego kursu, przejechałby w końcu krawężnik i stratował jakiś trawnik.

Patrząc przez zdradzieckie szkło wyobraźni, Marty ujrzał, jak samochód uderza w krawężnik, wylatuje w górę, koziołkuje, uderza w drzewo albo w ścianę domu, staje w płomieniach, a jego córki są uwięzione w trumnie z płonącej stali. Gdzieś w najciemniejszym zakątku umysłu słyszał nawet ich wołanie o pomoc, gdy ogień trawił ich ciała.

Po chwili buick, wciąż ścigany przez Marty'ego, przejechał łukiem środkową linię, zjeżdżając na prawidłowy pas. Wciąż poruszał się szybko, za szybko, i Marty stracił nadzieję, że zdoła go dogonić.

Ale biegł nadal, jakby chodziło o jego życie, czując jak gardło znów zaczyna go palić, kiedy oddychał przez szeroko otwarte usta, z bólem w piersiach, torturowany ukłuciami tysiąca szpilek w nogach. Palce prawej dłoni tak mocno zacisnął na kolbie beretty, że czuł pulsowanie mięśni od nadgarstka do ramienia. Słyszał tylko imiona córek – bezgłośny krzyk straty i rozpacz.

Kiedy ojciec krzyknął na nie, Charlotte poczuła taki ból, jakby uderzył ją w twarz, ponieważ nic, co powiedziała czy zrobiła w ciągu dziesięciu lat, nigdy nie doprowadziło go do takiego stanu. Nie

rozumiała jednak, co go tak rozwścieczyło. Zadała tylko kilka pytań. Jego reprimenda była tak bardzo niesprawiedliwa, a przecież nigdy nie był niesprawiedliwy. Czuła się skrzywdzona i ponizona. Wydawało jej się, że jest na nią zły tylko dlatego, że była sobą, że nagle jakaś cecha jej natury wzbudziła w nim niechęć i obrzydzenie, a to było myślą nie do zniesienia, ponieważ nie mogła być inna i może jej własny ojciec już jej nie polubi. Na zawsze pozostanie na jego twarzy ten wyraz wściekłości i nienawiści, a ona nie będzie w stanie zapomnieć tego do końca życia. Umarło wszystko to, co dotąd między nimi istniało. Pojęła tę prawdę w ciągu sekundy, zanim jeszcze przestał krzyczeć, i wybuchnęła płaczem.

Charlotte, nie w pełni świadoma, że samochód w końcu ruszył, odbił od krawężnika i dojechał do skrzyżowania, otrząsnęła się trochę ze swej rozpaczy dopiero wówczas, gdy Em odwróciła się od okna, chwyciła ją za ramię i potrząsnęła nią. Siostra wyszeptała gorączkowo:

– Tata.

Z początku Charlotte sądziła, że Em niesłusznie się na nią gniewa za to, że rozzłościła ojca, i ostrzega ją, by siedziała cicho. Ale zanim zdążyła wszczać zwykłą kłótnię, uświadomiła sobie, że w głosie Emily pobrzmiewa radosne podniecenie.

Działo się coś ważnego.

Próbując powstrzymywać łzy, zobaczyła, że Em znów przysuwa się do szyby. Gdy samochód wjechał na skrzyżowanie i skręcił w prawo, Charlotte podążyła wzrokiem za spojrzaniem siostry.

Jak tylko dostrzegła tatę biegnącego obok samochodu, od razu wiedziała, że to jej *prawdziwy* ojciec. Ten tata siedzący za kierownicą, ten tata z nienawistnym wyrazem twarzy, który na nie krzyczał bez żadnego powodu, był oszustem. Kimś innym. Albo też *czymś* innym, jak na filmach, czymś, co wyrosło z nasienia pochodzącego z innej galaktyki – jednego dnia jest to tylko paskudna maź, a następnego przekształca się w sobowtóra taty. Nie była zdziwiona widząc dwóch identycznych ojców, nie miała żadnych problemów z rozpoznanieniem, który jest tym prawdziwym, co mogłoby się przytrafić dorosłemu, bo była dzieckiem, a dzieci wiedzą lepiej.

Biegając tuż obok samochodu, który skręcał w następną ulicę, mierząc z pistoletu w okno po stronie kierowcy, tata krzyczał:

– Hej, hej, hej!

Kiedy ten udawany tata zorientował się, kto na niego krzyczy, Charlotte sięgnęła ręką tak daleko, jak pozwalał jej na to pas, chwyciła za płaszczyk Em i odciągnęła siostrę od okna.

– Pochyl się, zakryj twarz, prędko!

Nachyliły się ku sobie i przytuliły jedna do drugiej.

BAM!

Huk strzału był najgłośniejszym dźwiękiem, jaki Charlotte kiedykolwiek słyszała. Dzwoniło jej w uszach.

Znów była bliska płaczu, tym razem ze strachu, ale musiała być twarda. Musiała myśleć o Em. Była przecież starszą siostrą.

BAM!

Gdy rozległ się drugi strzał, między dwoma uderzeniami jej serca, Charlotte wiedziała, że fałszywy tata został trafiony, bo jęknął i zaczął wulgarnie przeklinać. Wciąż jednak mógł prowadzić i wóz skoczył do przodu.

Zdawało się, że samochód sam jedzie, skręcił w lewo z dużą prędkością, a potem ostro w prawo.

Charlotte czuła, że w coś uderzą. Jeśli nie umrą we wraku samochodu, to muszą być przygotowane do szybkiego działania, gdy wóz się zatrzyma. Muszą szybko wyskoczyć i schować się, by ich tata mógł

rozprawić się z tym oszustem.

Nie miała wątpliwości, że tata poradzi sobie z tym mężczyzną. Choć nigdy nie czytała jego powieści, wiedziała, że pisze o zabójcach, broni i pościgach samochodowych, i tym podobnych rzeczach, więc będzie dokładnie wiedział, co robić. Ten oszust naprawdę pożałuje, że zadarł z tatą; wyląduje w więzieniu na bardzo, bardzo długo.

Samochód znów zarzuciło w lewo, a z przedniego siedzenia znów dobiegł cichy jęk bólu, który przypomniał jej krzyki myszokoczka Wayne'a, gdy wsadził jakimś cudem swoją małą stopkę w mechanizm koła, po którym biegał. Ale Wayne oczywiście nigdy nie przeklinał, a ten człowiek przeklinał teraz wścieklej niż kiedykolwiek – jakieś wyrazy, których nigdy przedtem nie słyszała, ale wiedziała, że są niewątpliwie najbrudniejszymi wyrażeniami najgorszego rodzaju.

Nie puszczając płaszczyka Em, Charlotte macała wolną ręką swój pas, szukając przycisku, a gdy go znalazła, położyła na nim kciuk.

Samochód podskoczył na czymś i kierowca nacisnął hamulec. Sunęli bokiem po śliskiej ulicy. Tyłem samochodu zarzuciło w lewą stronę. Charlotte poczuła, że podskakuje jej żołądek, jakby pędziła kolejką w wesołym miasteczku.

Samochód uderzył w coś stroną kierowcy. Wcisnęła kciukiem przycisk i pas zaczął się zwijać. Manipulując przy brzuchu Em – twój pas, odepnij pas! – odszukała przycisk w ciągu sekundy czy dwóch.

Drzwi po stronie Em były zablokowane. Musiały wydostać się przez drzwi po stronie Charlotte.

Przeciągnęła nad sobą Em. Otworzyła drzwi. Wypchnęła siostrę z samochodu.

Em pociągnęła ją, jakby to ona dowodziła całą akcją ratunkową, i Charlotte chciała zawołać, hej, kto tu jest starszą siostrą?

Fałszywy tata zobaczył albo usłyszał, że wydostają się z samochodu. Sięgnął ręką ponad oparciem przedniego siedzenia.

– Mała suka! – wycedził ze złością i chwycił przeciwdeszczowy kapelusik Charlotte.

Wysunęła się błyskawicznie spod kapelusza, wysliznęła z samochodu – prosto w noc i deszcz, padając na czarny asfalt, o który oparła się dłońmi i kolanami. Kiedy podniosła głowę, zobaczyła, że Em biegnie niepewnym krokiem, jak dziecko, które właśnie nauczyło się chodzić, przez ulicę w stronę przeciwnego chodnika. Charlotte podniosła się z wysiłkiem i pobiegła za siostrą.

Ktoś wołał je po imieniu.

Tata.

Ich prawdziwy tata.

Przed następnym skrzyżowaniem pędzący buick uderzył w złamaną gałąź drzewa, leżącą w ogromnej kałuży i wpadł w poślizg.

Marty poczuł przypływ sił dostrzegając szansę zrównania się z samochodem, ale był przerażony myślą, co może stać się z jego córkami. Scena z wypadkiem samochodowym nie rozgrywała się po prostu w jego wyobraźni po raz drugi; tak naprawdę nigdy *nie przestała* się rozgrywać. Wiedział, że musi się urealnić, tak jak urealniały się obrazy widziane w myślach zamieniane w słowa. Tym razem pominął rękopis i przeskoczył bezpośrednio z wyobraźni do rzeczywistości. Przyszła mu do głowy szalona myśl, że buick nie wpadłby w poślizg, gdyby nie jego fantazja, i że jego córki spłoną żywcem w samochodzie tylko dlatego, że wyobraził sobie, iż tak się właśnie stanie.

Buick zatrzymał się z hukiem, uderzając w bok forda explorera. Choć odgłos kolizji rozdarł ciszę nocy, samochód nie przewoził ani się nie zapalił.

Ku zdumieniu Marty'ego tylne drzwi po prawej stronie otworzyły się na oścież i ze środka wypadły jego dzieci niczym dwa węże wyskakujące z pudełka z niespodzianką.

O ile mógł się zorientować, nie były poważnie ranne, więc krzyknął, by uciekały jak najdalej od buicka. Ale nie trzeba im było tego mówić. Same wiedziały, co robić, i natychmiast ruszyły pędem przez ulicę, szukając schronienia.

Wciąż biegł. Teraz, gdy dziewczynek nie było już w samochodzie, czuł tylko niepohamowaną wściekłość. Chciał zranić kierowcę, zabić go. Nie była to gorąca furia, ale zimne, zwierzęce okrucieństwo, które przeraziło go w chwili, gdy mu się poddał.

Dobiegł do samochodu, kiedy rozległo się wycie silnika, a obracające się w miejscu koła zaczęły dymić. Ten Drugi próbował uciekać, ale buick i ford były ze sobą szczipione. Nagle torturowany metal zazgrzytał, huknął i buick zaczął się uwalniać.

Marty chciał być jak najbliżej samochodu. Miałby wtedy większą szansę trafienia Tego Drugiego, ale czuł, że nie zdoła już zmniejszyć dystansu. Zatrzymał się gwałtownie, sunąc przez chwilę na stopach, i uniósł berettę i ścisnął broń w obu dłoniach. Trząsał się jednak tak bardzo, że nie był w stanie utrzymać muszki na celu.

Odrzut pierwszego strzału podbił lufę, więc Mary obniżył ją, zanim po raz drugi pociągnął za spust.

Buick wyrwał o kilka stóp do przodu. Na chwilę jego koła straciły przyczepność i znów obracały się w miejscu, wyrzucając do tyłu srebrzysty strumień wody.

Marty pociągnął za spust. Tylne szyba buicka eksplodowała do wnętrza samochodu. Natychmiast wystrzelił drugi pocisk, celując w kierowcę i próbując sobie wyobrazić, że czaszka tego drania wybuchnie tak jak szyba, i mając nadzieję, że to, co widzi w wyobraźni, stanie się rzeczywistość. Kiedy koła odzyskały przyczepność, buick odskoczył. Marty strzelał raz za razem, choć samochód był już poza zasięgiem kul. Dziewczynki zeszły z linii ognia i wyglądało na to, że nie ma też nikogo na zalanej deszczem ulicy, ale dalsze strzelanie byłoby już nieodpowiedzialne. Szansa trafienia Tego Drugiego wydawała się minimalna. Było bardziej prawdopodobne, że trafi jakiegoś niewinnego człowieka, który mógł akurat przechodzić jakąś dalszą przecznicą, albo roztrzaska szybę w jednym z okolicznych domów i postrzeli kogoś siedzącego przed telewizorem. Ale nie dbał o to, nie mógł się powstrzymać. Chciał krwi, zemsty. Opróżnił magazynek i raz po raz pociągał za spust, nawet wtedy gdy już wystrzelił ostatni pocisk.

Paige przejechała znak stopu. Samochód wpadł w poślizg na zakręcie, niemal przechylił się na jedną stronę, jadąc tylko na dwóch kołach, zanim nie skorygowała toru jazdy, kierując się na wschód.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała, wyjeżdżając zza zakrętu, był Marty, który stał na środku ulicy. Odwrócony do niej tyłem strzelał do znikającego w dali buicka.

Zabrakło jej tchu, a serce podskoczyło do góry. W tamtym samochodzie musiały być dziewczynki.

Wcisnęła gaz do dechy, zamierzając ominąć Marty'ego i dogonić buicka, uderzyć go w bok, zepchnąć z ulicy, rzucić się na porywacza i wydrapać mu oczy, zrobić to, co powinna zrobić, kimkolwiek by był. Wtedy dostrzegła dziewczynki stojące na chodniku po prawej stronie. Ich jasnożółte płaszczyki przeciwdeszczowe jaśniały w mroku. Trzymały się za ręce. W mżawce i w ostrym świetle lamp ulicznych wydawały się takie małe i kruche.

Wyminęła Marty'ego i zatrzymała się przy krawężniku. Otworzyła drzwi i wyskoczyła z BMW, nie gasząc świateł ani silnika.

Biegając w stronę dziewczynek słyszała samą siebie. Dzięki Bogu, dzięki Bogu, dzięki Bogu, dzięki Bogu. Nie mogła przestać, nawet gdy przyklekła i przytuliła dziewczynki, jakby w głębi duszy wierzyła,

że te dwa słowa mają magiczną moc, i że jej dzieci znikną nagle, jeśli przestanie powtarzać swoje zaklęcie.

Dziewczynki objęły ją mocno. Charlotte przytuliła twarz do szyi matki. Oczy Emily były szeroko otwarte.

Marty uklęknął przy nich. Bezustannie dotykał dzieci, jakby nie mógł uwierzyć, że ich skóra jest wciąż ciepła, a oczy żywe, zdumiony, że z ich ust dobywa się para oddechu. Powtarzał w kółko: Czy wszystko w porządku, czy nie jesteście ranne, czy wszystko w porządku? Znalazł tylko niegroźne otarcie na lewej dłoni Charlotte.

Jedyną poważniejszą i niepokojącą zmianą, jaka zaszła w dziewczynkach, było nietypowe dla nich zachowanie. Były tak ciche i potulne, jakby je przed chwilą surowo ukarano. Krótka przygoda z porywaczem sprawiła, że wciąż były przestraszone i zamknięte w sobie. Mogły już nigdy nie odzyskać dawnej pewności siebie. Już choćby z tego powodu Paige pragnęła, by mężczyzna w buicku cierpiał.

Na gankach domów pojawiło się parę osób. Inni stali przy oknach.

W oddali zawodziły syreny.

– Wynośmy się stąd – powiedział Marty.

– Przecież nadjeżdża policja – zdziwiła się Paige.

– O to mi właśnie chodzi.

– Ale oni...

– Będą się zachowywać tak samo jak u nas w domu, może jeszcze gorzej.

Podniósł Charlotte i pobiegł z nią do BMW. Wycie syren nasilało się coraz bardziej.

Odłamki szkła tkwią w jego lewym oku. Szyba rozpadła się na lepłą masę. Nie pocięła jego twarzy. Ale maleńkie drzazgi wbiły się głęboko w miękkie tkanki pod oczami, wywołując przejmujący ból. Każdy ruch okiem sprawia, że szkło wnika w ciało coraz bardziej i dokonuje coraz większych zniszczeń.

Ponieważ oko drga, kiedy przenika je ostry jak szpilka ból, zabójca mruga bezwiednie, choć przypomina to torturę. Przysuwa palce lewej dłoni do opuszczonej powieki, naciskając najdelikatniej jak może. Stara się prowadzić prawą ręką.

Nie może bez przerwy zajmować się chorym okiem, ponieważ potrzebuje lewej ręki. Prawą zdziera opakowanie z batona i wpycha go do ust, starając się przeżuć jak najszybciej. Jego metaboliczny piec domaga się paliwa.

Czoło nad chorym okiem szpeci szrama po kuli. Jest szeroka jak jego palec wskazujący i ma długość ponad jednego cala. Dochodzi do kości. Z początku silnie krwawiła. Teraz krzepnąca krew zbiera się z wolna nad brwią i przecieka między palcami, które przyciska do powieki.

Gdyby kula zboczyła o jeden cal w lewo, trafiłaby go w skroń i wwierciła się w mózg.

Boi się ran głowy. Nie jest pewien, czy może wyleczyć się z uszkodzeń mózgu równie szybko i całkowicie jak z innych obrażeń. Może są w ogóle nieuleczalne.

Na wpół oślepiiony ostrożnie prowadzi samochód. Ma ograniczone pole widzenia. Zalane deszczem ulice są zdradzieckie.

Policja dysponuje opisem buicka, może nawet jego numerami rejestracyjnymi. Będą go szukać, a uszkodzenia po stronie kierowcy ułatwią identyfikację.

Jego stan uniemożliwia mu kradzież kolejnego wozu. Jest nie tylko na wpół oślepiiony, odczuwa również skutki ran odniesionych trzy godziny wcześniej. Jeśli przyłapią go na kradzieży samochodu albo natrafi na opór, kiedy będzie próbował zabić następnego kierowcę, jak tego, którego płaszcz

przeciwdeszczowy ma na sobie i który jest chwilowo pochowany w bagażniku buicka, to prawdopodobnie policja go złapie, może nawet go zranią.

Kierując się na północ i zachód od Mission Viejo, szybko przekracza granice El Toro. Choć jest już daleko, wciąż czuje się zagrożony. Komunikat w sprawie buicka z pewnością wysłano do wszystkich posterunków w kraju.

Najmniej bezpiecznie jest na drodze. Jeśli uda mu się znaleźć ustronne miejsce, gdzie mógłby zaparkować buicka i przeczekać przynajmniej do rana, to będzie mógł ułożyć się na tylnym siedzeniu i odpocząć.

Musi się przespać. Musi się zregenerować. Nie spał dwie noce, odkąd opuścił Kansas City. W normalnych warunkach byłby w stanie funkcjonować jeszcze trzecią noc, a może i czwartą, nie tracąc nic ze swoich umiejętności. Ale jest ciężko ranny i wycieńczony. Wymaga długiego okresu rekonwalescencji.

Jutro odzyska rodzinę, powróci do swego przeznaczenia. Tak długo wędrował sam, w ciemności. Jeden dzień więcej nie robi żadnej różnicy.

Był tak bliski zwycięstwa. Przez krótką chwilę jego córki znów należały do niego. Jego Charlotte. Jego Emily.

Wspomina, jaki był szczęśliwy w domu państwa Deloriów, kiedy tulił do siebie małe ciała dziewczynek. Były takie słodkie. Pocałunki na jego policzkach przypominały muśnięcia motyli skrzydeł. „Tato, tato”. Ich melodyjne głosy przepelniała miłość do niego.

Gdy przypomina sobie, jak był bliski tego, by mieć je już na zawsze, wybucha niemal płaczem. Nie wolno mu płakać. Skurcz mięśni wokół uszkodzonego oka spotęguje tylko ból, a łzy w prawym oku przyprawiają go niemal o ślepotę.

Nie płacze. Myśli o tym, jak jego własne dzieci wyparły się go i porzuciły. To wspomnienie powstrzymuje łzy i wywołuje gniew. Nie może zrozumieć, dlaczego jego słodkie dziewczynki wybrały szarlatana, a nie prawdziwego ojca, skoro parę minut wcześniej tak bardzo go kochały. Ich zdrada denerwuje go. Przyprawia o udrękę.

Krąży po dzielnicy domków jednorodzinnych, a potem opuszcza El Toro i wjeżdża do Laguna Hills, gdzie światła domów płoną ciepłem i drażnią go wizją rodzinnego szczęścia.

Marty prowadził samochód, a Paige siedziała z tyłu z dziewczynkami i trzymała je za ręce.

Marty krążył po Mission Viejo, jadąc początkowo z dala od głównych ulic, dzięki czemu udało mu się ominąć policyjny radiowóz. Przecznicą za przecznicą, Paige obserwowała samochody, spodziewając się, że pojawi się buick i będzie próbował zepchnąć ich na chodnik. Odwróciła się dwa razy, żeby spojrzeć przez tylną szybę, pewna, że podąża za nimi, ale na szczęście jej obawy się nie sprawdziły.

Kiedy Marty wjechał na Marguerite Parkway i skierował się na południe, Paige w końcu spytała:

– Dokąd jedziemy?

Zerknął w lusterko wsteczne.

– Nie wiem. Po prostu uciekamy.

– Może uwierzyliby ci tym razem.

– Żadnych szans.

– Ludzie na miejscu zdarzenia musieli widzieć buicka.

– Może. Ale nie widzieli mężczyzny, który go prowadził. Żaden z nich nie może potwierdzić mojej wersji.

– Vic i Kathy musieli go widzieć.

– I myśleli, że to ja.

– Ale teraz rozumieją, że to nie byłeś ty.

– Nie widzieli nas razem, Paige, mnie i jego. Musi być obiektywny świadek.

– Charlotte i Emily. One widziały was w tym samym czasie – powiedziała.

Marty potrząsnął głową.

– To się nie liczy. Chciałbym, żeby było inaczej. Ale Lowbock nie uwierzy w zeznania małych dziewczynek.

– Nie takich małych – odezwała się Emily, unosząc się ze swego miejsca obok matki. Sprawiała wrażenie jeszcze młodszej i drobniejszej, niż była w rzeczywistości.

Charlotte milczała, co było dla niej nietypowe. Obydwie wciąż drżały, ale Charlotte trzęsa się o wiele bardziej niż Emily. Tuliła się do matki szukając ciepła. Chowala głowę w kołnierzu swojego płaszczyka niczym przestraszony zółw.

Marty ustawił ogrzewanie na maksimum. Wnętrze BMW powinno być nieznośnie gorące. Nie było.

Nawet Paige czuła chłód.

– Może powinniśmy jednak wrócić i spróbować z nimi porozmawiać.

Marty był niewzruszony.

– Nie, kochanie, nie możemy. Pomyśl tylko. Na pewno zabiorą nam berettę, jak dwa razy dwa cztery. Strzelałem z niej do tego faceta. Z ich punktu widzenia, tak czy owak, popełniłem przestępstwo. I użyłem tej właśnie broni. Albo ktoś naprawdę chciał porwać dziewczynki, a ja próbowałem go zabić. Albo to jest jedna wielka mistyfikacja, chwyt reklamowy. Może poprosiłem jakiegoś przyjaciela, żeby przejechał się tym buickiem, wystrzeliłem do niego kilka ślepek, nakłoniłem dzieciaki do kłamstwa i teraz będę składał kolejne fałszywe zeznania.

– Po tym wszystkim, co się wydarzyło, Lowbock nie będzie już się upierał przy tej swojej śmiesznej teorii.

– Tak myślisz? Akurat.

– Marty, to niemożliwe.

– OK, w porządku, może nie będzie się upierał, prawdopodobnie nie będzie – westchnął.

– Zorientuje się, że dzieje się coś znacznie poważniejszego... – stwierdziła Paige.

– Ale w moją historię też nie uwierzy, która, muszę przyznać, wydaje się bardziej zwariowana niż opowieść o Marsjanach. A gdybyś jeszcze przeczytała ten artykuł w *People*... w każdym razie odbierze nam berettę. A jeśli znajdzie strzelbę w bagażniku?

– Nie ma żadnego powodu, żeby ją zabierać.

– Coś wykombinuje. Słuchaj, Paige, Lowbock nie zmieni tak łatwo zdania na mój temat tylko dlatego, że dzieciaki potwierdzą moje zeznania. Wciąż będzie traktował z większą podejrzliwością mnie niż jakiegoś faceta w buicku, którego nie widział na oczy. Jeśli odbierze nam broń, to będziemy załatwieni. Przypuśćmy, że gliny odjeżdżają, a w dwie minuty później ten drań, ten sobowtór wchodzi do naszego domu, kiedy jesteśmy bezbroni.

– Jeśli policja wciąż nie będzie nam wierzyła, jeśli nie da nam ochrony, to nie zostaniemy w domu.

– Nie rozumiesz, Paige. Pytam poważnie, co będzie, kiedy ten drań pojawi się w dwie minuty po policjantach, a my nie będziemy mieli nawet szansy uciec?

– Mało prawdopodobne, by ryzykował...

– O, tak, będzie ryzykował! Tak, będzie. Przecież wrócił niemal natychmiast. I bez wahania

skierował się do drzwi Deloriów i nacisnął cholerny dzwonek. Wydaje się, że żyje ryzykiem. Nie zdziwiłbym się, gdyby drań zaatakował nas w obecności policjantów, i wystrzelał wszystkich w zasięgu swojego wzroku. Jest szalony, cała ta sytuacja jest szalona. A ja nie żyję ryzykiem i nie chcę narażać życia ani swojego, ani twojego, ani dzieciaków.

Paige wiedziała, że ma rację.

A jednak przyznanie, że w tak trudnej sytuacji nie mogą liczyć na pomoc prawa, przychodziło jej z trudem, a nawet z bólem. Jeśli nie mogli teraz otrzymać oficjalnej ochrony, to zasady państwa prawa, w które wierzyła, okazały się po prostu fikcją. Pomimo to, że podróżowali nowoczesnym samochodem, pomimo to, że jechali po nowoczesnej autostradzie, pomimo morza światła, które zalewało wzgórza i doliny południowej Kalifornii, ta porażka oznaczała, że żyją w dżungli. Centra handlowe, skomplikowane systemy komunikacyjne, olśniewające ośrodki sztuk pięknych, stadiony, imponujące urzędy państwowe, kina o wielu salach, wysokie biurowce, restauracje o wyrafinowanej architekturze, kościoły, muzea, parki, uniwersytety i elektrownie atomowe nie były niczym innym jak tylko fasadą cywilizacji, cieniutką warstwą skrywającą jej pozorną trwałość. Paige czuła, że w gruncie rzeczy żyją w świecie rozwiniętej technicznie anarchii, podtrzymywanej przez nadzieję i złudzenia, jakimi ludzie mamili samych siebie.

Czuła narastający strach, przecucie zbliżającego się nieszczęścia. Szum opon, tak dobrze znany odgłos, niemal nieodłączny muzyczny składnik codziennego życia, stał się nagle złowróżbny jak warkot nadlatujących bombowców.

Kiedy Marty skręcił na Crown Valley Parkway na południowy zachód, w stronę Laguna Niguel, Charlotte w końcu się odezwała:

– Tato?

Paige zobaczyła, że zerknął w lusterko, i zorientowała się po jego zmartwionych oczach, że on również jest zaniepokojony tym niezwykłym dla Charlotte milczeniem.

– Tak, maleńka? – spytał.

– Co to była za rzecz?

– Jaka rzecz, kochanie?

– Ta rzecz, która wyglądała jak ty?

– To pytanie za milion dolarów. Ale kimkolwiek był, jest po prostu człowiekiem, nie rzeczą. Jest człowiekiem, który cholernie mnie przypomina.

Paige myślała o krwi na dywanie w ich domu i o tym, jak szybko ten sobowtór wykaraskał się z dwóch ran na piersi, po czym uciekł i niedługo wrócił, by ponowić atak. Nie wyglądał na istotę ludzką. A twierdzenie Marty'ego, że jest inaczej, było tylko obowiązkowym zapewnieniem ze strony ojca, który wiedział, że dzieci czasem potrzebują wiary we wszechwiedzę i niezachwianą pewność siebie dorosłych.

Po chwili milczenia Charlotte powiedziała:

– Nie, to nie był człowiek. To była rzecz. Zła. Brzydka w środku. Zimna rzecz. – Wstrząsnął nią dreszcz, który sprawił, że głos jej zadrżał. – Pocałowałam to i powiedziałam: Kocham cię, ale to była tylko rzecz.

Ekskluzywny kompleks mieszkalny obejmuje ponad dwadzieścia dużych budynków. W każdym – dziesięć czy dwanaście apartamentów. Jest położony na przypominającym park terenie ocienionym przez mały las.

Wewnętrzne uliczki wiją się jak serpentyny. Mieszkańcy mają własne parkingi, są to drewniane

konstrukcje składające się tylko z tylnej ściany i dachu, z ośmioma czy dziesięcioma stanowiskami dla samochodów. Słupki podtrzymujące daszki oplatają pnącza roślin, wdzięczny akcent, choć nocą jaskrawe kwiaty odziera z koloru sterylnie niebieskie światło lamp rtęciowych.

Są tu również nie osłonięte miejsca dla samochodów, oznaczone czarnym napisem na białym krawężniku: TYLKO DLA GOŚCI.

Znajduje w tej sieci uliczek zatoczkę, która doskonale się nadaje na dłuższy postój. Żadne z sześciu stanowisk nie jest zajęte, a ostatnie przylega do wysokiego na pięć stóp żywopłotu z oleandra. Kiedy wjeżdża tyłem na parking, tuż przy żywopłocie, oleander skrywa uszkodzoną karoserię po stronie kierowcy.

Rozrośnięta akacja dotyka najbliższej latarni. Jej liściaste gałęzie chronią przed światłem. Buick chowa się prawie cały w ciemności.

Mało prawdopodobne, by radiowóz policyjny przejeżdżał tędy częściej niż dwa razy w ciągu nocy. Ale nawet wówczas policjanci nie będą się przyglądać tablicom rejestracyjnym, zajmą się sprawdzaniem terenu w poszukiwaniu śladów włamania czy innego przestępstwa.

Gasi światła i silnik, zbiera resztki słodyczy i wysiada z samochodu, strząsając z siebie kawałeczki hartowanego szkła.

Deszcz już nie pada.

Powietrze jest chłodne i czyste.

Ciszę nocy zakłóca jedynie stukanie i plusk kropli opadających z drzew.

Sadowi się na tylnym siedzeniu i cicho zamyka drzwi. Nie jest to wygodne łóżko. Ale spał już na gorszych. Układa się w pozycji embrionalnej, zwijając się wokół batonów czekoladowych zamiast pępowiny, przykryty obszernym płaszczem przeciwdeszczowym.

Czeka na sen. I znów rozmyśla o swoich córkach i ich zdradzie.

Wciąż zastanawia się, czy naprawdę wołały tego drugiego ojca zamiast niego, fałszywego zamiast prawdziwego. To straszne rozważać taką możliwość. Jeśli to prawda, to one także uczestniczą w tajemnym spisku przeciwko niemu.

Ich fałszywy ojciec jest prawdopodobnie dla nich dobry i łagodny. Pozwala im jeść to, na co mają ochotę. Pozwala kłaść się tak późno, jak tylko zechcą.

Wszystkie dzieci są z natury anarchistami. Trzeba im wpajać zasady i kryteria zachowania, bo w przeciwnym razie wyrosną na dzikie i aspołeczne istoty.

Kiedy już zabije znenawidzonego fałszywego ojca i odzyska władzę nad rodziną, ustali twarde zasady postępowania w każdej dziedzinie i będzie pilnował ich przestrzegania. Niewłaściwe zachowanie będzie z miejsca karane. Ból uczy najlepiej, a on jest ekspertem w zadawaniu bólu. W domu Stillwaterów zostanie przywrócony porządek i jego dzieci nie zrobią niczego, zanim się poważnie nie zastanowią, czy nie przekroczyły obowiązujących je reguł.

Z początku, oczywiście, będą go nienawidzić za surowość i bezkompromisowość. Nie będą rozumiały, że działa w ich interesie.

Jednak każda łza, jaką z ich oczu wycisną kary, będzie dla niego słodyczą. Każdy krzyk bólu kojącą muzyką. Będzie dla nich bezlitosny, ponieważ wie, że z czasem uświadomią sobie, iż robił to dla ich dobra. Pokochają go za tę surową, ojcowską troskę. Będą go uwielbiać za wdrażanie dyscypliny, której potrzebują, i w skrytości ducha pragną, ale którą każe odrzucać ich anarchistyczna natura.

Paige też będzie potrzebowała rygoru. On wie wszystko o kobiecych potrzebach. Pamięta film z Kim Basinger, w którym seks i pragnienie dyscypliny splatały się nierozzerwalnie. Myśl o lekcjach, jakich

będzie udzielał Paige, sprawia mu szczególną przyjemność.

Od dnia, w którym ukradziono mu jego karierę, rodzinę i wspomnienia, co mogło mieć miejsce rok albo dziesięć lat temu, żył głównie kinem. Przygody, jakie przeżywał, i wiedza, którą zdobył w niezliczonych ciemnych salach, wydają mu się tak realne jak wnętrze samochodu, w którym teraz leży, i czekolada rozpuszczająca się na języku. Przypomina sobie, że kochał się z Sharon Stone, z Glenn Close, dzięki którym dowiedział się o bezgranicznej manii seksualnej kobiet i ich wrodzonej perfidii. Przypomina sobie bujną radość seksu uprawianego z Goldie Hawn, upojenie Michelle Pfeiffer, podniecającą i pachnącą potem gorączkowość Ellen Barkin, którą niesłusznie posądzał o to, że jest morderczynią, ale którą i tak przygniótł do ściany w swoim mieszkaniu i posiadał. John Wayne, Clint Eastwood, Gregory Peck i tylu innych mężczyzn brało go pod swoje opiekuńcze skrzydła i uczyło odwagi i nieustępliwości. Wie, że śmierć jest nieskończenie złożoną tajemnicą, powiedziano mu bowiem o niej tyle różnych rzeczy: Tim Robins pokazał mu, że życie pozagrobowe jest tylko złudzeniem, podczas gdy Patrick Swayze udowodnił, że jest ono radosnym miejscem, równie rzeczywistym jak każde inne, i że ci, których się kocha (jak Demi Moore), spotkają się ze swymi bliskimi, kiedy już zejda z tego świata, Freddy Krueger zaś nauczył go, że życie pozagrobowe jest makabrycznym koszmarem, z którego się wraca, by dokonać rozkosznej zemsty. Kiedy Debra Winger umarła na raka, pograżając Shirley MacLaine w smutku, był niepokieszony. A w kilka dni później zobaczył ją, znów żywą, młodszą i piękniejszą niż kiedykolwiek, wskrzeszoną do nowego życia, w którym radowała się swym nowym przeznaczeniem, jakim był dla niej Richard Gere. Paul Newman nieraz dzielił się z nim mądrościami na temat życia i śmierci, bilardu i pokera, miłości i honoru; dlatego uważa go za jednego ze swych najważniejszych nauczycieli. Podobnie jak Wilforda Brimleya, Gene Hackmana, Edwarda Asnera, Roberta Redforda, Jessicę Tandy. Bywa, że dają mu sprzeczne nauki, ale nieraz słyszał, jak mówili, że wszystkie przekonania mają taką samą wartość i że nie ma jednej prawdy. I tą zasadą kieruje się w swoim życiu.

Poznał najważniejszy sekret wszelkich prawd nie w sali kinowej czy przed telewizorem. Tego niezwykle olśnienia doznał w prywatnej sali projekcyjnej u jednej z ofiar.

Jego celem był senator Stanów Zjednoczonych. Miał upozorować jego samobójstwo.

Musiał wejść do rezydencji senatora akurat tego wieczoru, kiedy wiadomo było, że mężczyzna będzie sam. Miał klucz.

Zastał senatora w sali projekcyjnej wyposażonej w osiem foteli, aparaturę nagłaśniającą wysokiej klasy i system projekcyjny, mogący wyświetlać na ekranie o powierzchni pięć stóp na sześć program telewizyjny, a także obraz z taśmy wideo i dysku laserowego, o jakości zapewniającej odbiór jak w kinie. Było to przytulne, pozbawione okien pomieszczenie. Stał tam nawet automat z colą starego typu, który, jak się później przekonał, wyrzucał napoje w klasycznych, dziesięciouncjowych szklanych butelkach, a także automat ze słodyczami, pełen batonów typu Milk Duds, Jujubes, Raisinettes i innych specjalów kupowanych zwykle w kinie.

Muzyka zagłuszyła jego kroki. Podkraść się do senatora i obezwładnił go za pomocą szmaty nasączonej chloroformem, którą wyjął z plastikowej torby sekundę wcześniej. Zaniósł ofiarę na górę, do głównej, bogato zdobionej łazienki, rozebrał go i wsadził do wanny wypełnionej gorącą wodą. Potem głęboko i równo naciął jego prawy nadgarstek (ponieważ jego ofiara była mańkudem i najprawdopodobniej użyłaby lewej ręki, by wykonać pierwsze nacięcie), a następnie poczekał, aż ręka zsunie się do wody, która szybko zabarwiła się krwią wyciekającą z żyły. Nim wrzucił brzytwę do wanny, naciął kilkakrotnie lewy nadgarstek senatora, lecz nie głęboko, ponieważ samobójca nie byłby

w stanie mocno trzymać brzytwy w prawej dłoni po przecięciu ścięgien i więzadeł.

Siedział na brzegu wanny i przykładał chloroform do twarzy senatora za każdym razem, gdy ten jęczał i zdawał się powracać do przytomności. Z wdzięcznością uczestniczył w ceremoniale śmierci. A potem podziękował zmarłemu za to, iż miał cenną okazję dzielić z nim najbardziej intymne z doświadczeń.

W normalnej sytuacji opuściłby w tym momencie dom, ale to, co wcześniej zobaczył na ekranie, zwabiło go z powrotem do sali projekcyjnej. Widział już przedtem pornografię w kinach dla dorosłych, w niejednym mieście, i dzięki temu nauczył się wszystkiego o pozycjach i technikach seksualnych. Ale pornografia, jaką ujrzał na tym domowym ekranie, różniła się od tego, co oglądał wcześniej. Używano łańcuchów, kajdanek, skórzanych rzemieni, nabijanych ćwiekami pasów, jak również bogatego zestawu innych narzędzi tortur. Wydawało się to niewiarygodne, ale piękne kobiety na ekranie wydawały się podniecone brutalnością. Im okrutniej je traktowano, tym chętniej oddawały się erotycznym przyjemnościom; prawdę mówiąc, błagały, by postępowano z nimi jeszcze brutalniej i gwałcono je z jeszcze większym sadyzmem.

Usadowił się w fotelu senatora. Wpatrywał się zafascynowany w ekran, chłonąc i ucząc się.

Kiedy taśma wideo przewinęła się do końca, szybka rewizja ujawniła otwarty schowek, zazwyczaj sprytnie ukryty za ścianką działową, w którym znajdował się cały zbiór kaset. Były jeszcze bardziej szokujące: dzieci, które uczestniczyły w scenach erotycznych z dorosłymi, córki z ojcami, matki z synami, siostry z braćmi, siostry z siostrami. Siedział niemal do świtu, ze wzrokiem wbitym w ekran.

Chłonał.

Uczył się bez końca.

Żeby zostać senatorem Stanów Zjednoczonych, wybitnym politykiem, martwy człowiek w wannie musiał być bardzo mądry. A co za tym idzie, jego prywatna wideoteka musiała zawierać, oczywiście, bogaty materiał transcendentnej natury, będący odzwierciedleniem jego wyjątkowych intelektualnych i moralnych potrzeb, będący wcieleniem filozofii, zbyt złożonej dla przeciętnego widza. Jakże szczęśliwie się złożyło, że zastał ofiarę w sali projekcyjnej, a nie przygotowującego przekąskę w kuchni czy też czytającego książkę w łóżku. Wtedy ta jedyna okazja poznania mądrości zawartej w ukrytym schowku tego wielkiego człowieka nigdy by się nie nadarzyła.

Teraz, zwinięty w kłębek na tylnym siedzeniu buicka, jest być może ślepy na jedno oko, poraniony i przestrzelony na wylot kulami, zmęczony i przygnębiony, chwilowo pokonany, ale nie pogrążony w rozpacz. Dysponuje jeszcze jednym atutem oprócz magicznie odradzającego się ciała, niesłychaną wytrzymałością i wyczerpującą wiedzą o sztuce zabijania. A poza tym posiada wielką mądrość, czerpaną z ekranów kin i telewizora, a mądrość ta zapewni mu ostateczny triumf. Zna sekrety, które najinteligentniejsi ludzie skrywają w zamaskowanych wnękach: te wszystkie rzeczy, których naprawdę pragną kobiety, choć może o tym nie wiedzą, te wszystkie rzeczy, których chcą dzieci, choć boją się o tym mówić. Wie, że jego żona i córeczki zaakceptują go i będą czerpać rozkosz z jego absolutnej dominacji, twardej dyscypliny, fizycznej przemocy i seksualnego uciemnienia, nawet poniżenia. Zamierza przy pierwszej nadarzącej się okazji zaspokoić ich najgłębsze i najbardziej prymitywne tęsknoty, zrobić to, czego uległy fałszywy ojciec nigdy nie będzie w stanie zrobić, i razem stworzą rodzinę. Będą żyli w harmonii i miłości, dzieląc wspólnie przeznaczenie, związani na zawsze wyjątkową mądrością, siłą i wymagającym sercem zabójcy.

Odpywa w leczniczy sen, pewien, że obudzi się za kilka godzin – zdrowy i silny.

Parę stóp dalej, w bagażniku wozu leży martwy mężczyzna, który niegdyś był właścicielem buicka.

Zimny, sztywny, pozbawiony nadziei.

Jak dobrze być kimś wyjątkowym, być potrzebnym i mieć swe przeznaczenie.

Część druga

Godzina opowieści w domu dla obłąkanych

Gdzie się nadzieja i rozum rozstają,
tam się obłądu bramy otwierają.
Nadzieja, co chce świat w dobro i wolność zmienić,
lecz kwiaty nadziei tkwią za mocno w ziemi.

Lew wraz z jagnięciem w jednym łożu zaleć mogą
tylko w innym świecie, gdzieś za Mleczną Drogą.
Nie każ sowom oszczędzać żywota mysiego.
Sowa, co po sowiemu żyje, to przecie nic złego.

Burza nie słucha błagań żarliwych.
Moc słów nie uciszy mórz straszliwych.
Natura dobroci pełna i okrucieństwa
nad głupcem i mędrcom odnosi zwycięstwa.

Ludzkość powtarza natury błędy,
I ślepiec nawet widzi to wszędy.
Niechęć poprawy jest cechą człowieka.
Tragedią utopia, co wiecznie ucieka.

KSIĘGA WSZELKICH SMUTKÓW

Wyczuwamy, że życie jest mroczną komedią, i być może potrafimy z tym żyć. Ale ponieważ cała rzecz została napisana ku uciechu bogów, zbyt wiele dowcipów wymyka się naszemu rozumieniu.

DWIE ZAGINIONE OFIARY, MARTIN STILLWATER

Księga czwarta

Bezpośrednio po wyjeździe z przydrożnego parkingu, zostawiając za sobą martwych emerytów pograżonych w wiecznym śnie w przytulnej kuchni swego motodomu, i zmierzając z powrotem do Oklahoma City międzystanową 40, z nieprzeniknionym Karlem Clockerem za kierownicą, Drew Oslett połączył się ze swego wyrafinowanego telefonu komórkowego z centralą w Nowym Jorku. Zrelacjonował wydarzenia i poprosił o instrukcje.

Telefon, z którego korzystał, nie był jeszcze dostępny w szerokiej sprzedaży. Przeciętny obywatel nigdy nie mógłby kupić modelu, jakim dysponował Oslett.

Podłączało się go do gniazdka zapalniczki, tak jak wszystkie telefony komórkowe; jednakże, w przeciwieństwie do innych, z aparatu Osletta można się było połączyć dosłownie z całym światem. Podobnie jak elektroniczna mapa, telefon był wyposażony w łącze satelitarne. Miał bezpośredni dostęp do przynajmniej dziewięćdziesięciu procent satelitów komunikacyjnych krążących po orbicie okołoziemskiej, omijając ich naziemne stacje i systemy zabezpieczeń, i mógł się łączyć z każdym numerem telefonicznym, wedle życzenia użytkownika, bez rejestrowania gdziekolwiek przeprowadzonej rozmowy. Żadne towarzystwo telefoniczne nigdy nie przysłałoby do Nowego Jorku rachunku za połączenie dokonane przez Osletta, ponieważ nigdzie nie było o nim informacji.

Rozmawiał swobodnie ze swoim kontaktem w Nowym Jorku o tym, co znalazł na parkingu, bez obawy podsłuchu. Jego telefon był również wyposażony w urządzenie kasujące podsłuch, które uruchomił prostym przyciskiem. Identyczne urządzenie na telefonie w centrali automatycznie kasowało zakłócenia. Dla kogoś, kto mógłby wyłapać sygnał między Oklahoma a Wielkim Jabłkiem, słowa wypowiedane przez Osletta brzmiałyby niezrozumiale.

Nowy Jork niepokoił się zabójstwem emerytów. Władze Oklahoma mogłyby powiązać tę sprawę z Alfiem czy Siecią, której to nazwy używali jej pracownicy na określenie swojej organizacji.

- Nie zostawiłeś tam tych butów? – spytał Nowy Jork.
- Oczywiście, że nie – powiedział urażony Oslett.
- Cała ta elektronika w obcasie...
- Mam buty ze sobą.
- To urządzenie wysokiej klasy. Jeśli zobaczy je ktoś zorientowany, to się tym cholernie zainteresuje i może...
- Mam buty ze sobą – powtórzył z naciskiem Oslett.
- Dobra. W porządku, w takim razie niech sobie znajdą te trupy i zachodzą w głowę, co się wydarzyło. Nie nasz interes. Ktoś inny może posprzątać ten bałagan.
- Zgadza się.
- Wkrótce się z tobą połączę.
- Spodziewam się.

Oslett myślał z niepokojem o czekających go ponad stu milach pustki i mroku, spędzonych w towarzystwie Clockera. Na szczęście przygotował już sobie wcześniej hałaśliwą i wciągającą rozrywkę. Zza fotela kierowcy wyciągnął słuchawki i nałożył na uszy. Już po chwili szybka i wymagająca skupienia gra elektroniczna oderwała go od niepokojącego wiejskiego krajobrazu.

Kiedy Oslett podniósł wzrok znad miniaturowego ekranu, reagując na sygnał Clockera, który klepnął go w ramię, nocną ciemność urozmaicały światła przedmieścia. Dzwonił telefon.

Kontakt z Nowego Jorku mówił głosem tak ponurym, jakby dopiero co wrócił z pogrzebu własnej

matki.

– Jak szybko możecie dotrzeć do lotniska w Oklahoma City?

Oslett przekazał pytanie Clocker owi.

Niewzruszona twarz tego ostatniego nie zmieniła wyrazu, gdy powiedział:

– Pół godziny, czterdzieści minut zakładając, że struktura rzeczywistości nie ulegnie wypaczeniu.

Oslett przekazał Nowemu Jorkowi przypuszczalny czas podróży, pomijając wtręt rodem z literatury sf.

– Dotrzyjcie tam jak najszybciej – polecił Nowy Jork. – Lecicie do Kalifornii.

– Gdzie dokładnie?

– Lotnisko Johna Wayne’a, Orange County.

– Macie trop Alfiego?

– Nie wiemy, co, kurwa, mamy.

– Nie odpowiadaj w tak niejasny sposób – zachnął się Oslett. – Nie wiem, o co chodzi.

– Kiedy dojdziecie do lotniska w Oklahoma City, znajdź kiosk z gazetami. Kup ostatni numer *People*. Zjrzyj na strony sześćdziesiąt sześć, sześćdziesiąt siedem, sześćdziesiąt osiem. Wtedy będziesz wiedział tyle co my.

– Czy to ma być żart?

– Właśnie się o tym dowiedzieliśmy.

– O czym? – spytał Oslett. – Słuchaj, nie obchodzi mnie najnowszy skandal w brytyjskiej rodzinie królewskiej ani dieta Julii Roberts.

– Strony sześćdziesiąt sześć, sześćdziesiąt siedem, sześćdziesiąt osiem. Kiedy to przeczytasz, zadzwoń do mnie. Wygląda na to, że być może stoimy po pas w benzynie, a ktoś właśnie zapalił zapalną.

Nowy Jork się rozłączył, zanim Oslett zdążył odpowiedzieć.

– Jedziemy do Kalifornii – zwrócił się do Clockera.

– Dlaczego?

– Ci z magazynu *People* sądzą, że się nam tam spodoba – wyjaśnił, racząc wielkiego mężczyzną próbką jego własnego enigmatycznego języka.

– Pewnie tak – odpowiedział Clocker, jakby to, co stwierdził Oslett, było dla niego całkowicie zrozumiałe.

Kiedy jechali przez obrzeża Oklahoma City, Oslett z ulgą stwierdził, że wraca do cywilizacji, choć wolałby palnąć sobie w łeb niż mieszkać tutaj. Nawet w godzinach szczytu Oklahoma City nie atakowała wszystkich pięciu zmysłów tak bardzo jak Manhattan. Oslett nie tylko czerpał siłę z tego nerwowego napięcia; uważał, że jest ono tak niezbędne do życia jak jedzenie czy woda i ważniejsze niż seks.

Seattle wyglądało lepiej niż Oklahoma City, choć nie mogło się równać z Manhattanem. W gruncie rzeczy było w nim za dużo odsłoniętego nieba, za mało tłoku. Ulice były takie ciche, a ludzie wydawali się tak niewytłumaczalnie... zrelaksowani. Można by pomyśleć, że nie wiedzą, iż prędzej czy później umrą jak wszyscy.

Poprzedniego popołudnia czekali na tym lotnisku na Alfiego. Miał przylecieć z Kansas City w stanie Missouri. 747 wylądował w osiemnaście minut później, lecz Alfiego nie było na jego pokładzie.

W ciągu niemal czternastu miesięcy, podczas których Oslett kierował Alfiem, czyli w trakcie całej jego służby, nic podobnego nigdy się nie zdarzyło. Alfie pojawiał się zawsze tam, gdzie trzeba, podróżował tam, gdzie go posyłano, wykonywał wszystkie zadania, jakie mu przydzielano, i był równie punktualny jak konduktor w japońskim pociągu. Do wczoraj.

Nie wpadli od razu w panikę. Było możliwe, że coś – może wypadek samochodowy – zatrzymało go w drodze na lotnisko, i dlatego spóźnił się na samolot.

Naturalnie, w chwili gdy zszedł z obranego kursu, powinien się uaktywnić komórkowy rozkaz, zainplantowany w jego podświadomości, każąc mu się połączyć telefonicznie z pewnym numerem w Filadelfii, i zameldować o zmianie planów. Ale na tym polegał właśnie kłopot z komórkowym rozkazem: czasem był tak głęboko zakopany w umyśle delikwenta, że uaktywnienie nie działało i polecenie nie mogło się zrealizować.

Podczas gdy Oslett i Clocker czekali na lotnisku w Seattle, żeby przekonać się, czy ich chłopak nie przyleci późniejszym lotem, kontakt Sieci w Kansas City pojechał do motelu, w którym zatrzymał się Alfie. Obawiano się, że chłopak pogrzebał w mrokach niepamięci cały program i wyszkolenie, na podobieństwo zainfekowanego wirusem twardego dysku komputera. A wtedy ten nieszczęsny palant wciąż siedziałby w swoim pokoju, pogrążony w katatonicznym transie.

Ale w motelu go nie było.

Nie było go również na pokładzie następnego samolotu z Kansas City do Seattle.

Oslett i Clocker odlecieli z Seattle na pokładzie śmigłowca należącego do firmy podległej Sieci. Zanim w niedzielę w nocy dotarli do Kansas City, odnaleziono porzucony samochód Alfiego w dzielnicy domków jednorodzinnych w Topece, jakąś godzinę drogi na wschód. Trzeba było w końcu spojrzeć prawdzie w oczy. Mieli do czynienia ze złym chłopcem. Alfie był renegatem.

Było oczywiście niemożliwe, by Alfie stał się renegatem. Katatonia – owszem. Dezercja – nie. Każdy człowiek zaangażowany w program był o tym przekonany. Byli tak pewni jak załoga *Titanica* chwilę przed pocałunkiem z górą lodową.

Dzięki temu, że Sieć miała wgląd w komunikaty policyjne w Kansas City, podobnie jak gdzie indziej, wiedziano, że Alfie zlikwidował dwa wyznaczone cele – zrobił to między północą w sobotę a pierwszą w niedzielę rano. Do tej chwili działał zgodnie z planem.

Później nie byli w stanie ustalić jego miejsca pobytu. Musieli zakładać, że zwariował i ruszył przed siebie nie później niż o pierwszej rano w niedzielę, czasu środkowoamerykańskiego, co znaczyło, że za trzy godziny należałoby go uznać za renegata od całych dwóch dni.

Czy zdołałby dojechać do Kalifornii w ciągu czterdziestu ośmiu godzin? – zastanawiał się Oslett', gdy Clocker wjeżdżał na drogę dojazdową do lotniska w Oklahoma City.

Przypuszczali, że Alfie porusza się samochodem, ponieważ obok miejsca, w którym zostawił swój samochód, ukradziono jakąś hondę.

Z Kansas City do Los Angeles było tysiąc siedemset czy osiemset mil. Mógł przejechać ten dystans w czasie o wiele krótszym niż czterdzieści osiem godzin, zakładając, że nie spał. Alfie mógł funkcjonować bez snu trzy czy cztery dni. I potrafił skupić się na jednym celu jak polityk, który dostrzega szansę zarobienia nieuczciwego dolara.

W niedzielę w nocy Oslett i Clocker udali się do Topeki, żeby zbadać porzucony wóz. Mieli nadzieję, że znajdą jakiś ślad.

Ponieważ Alfie był na tyle sprytny, by nie korzystać z fałszywych kart kredytowych, w które go wyposażyli i dzięki którym mógł być wytropiony, i ponieważ był wyszkolonym zabójcą, użyli kontaktów Sieci, by uzyskać dostęp do kartoteki komputerowej Wydziału Policyjnego w Topece. Dowiedzieli się, że miał miejsce napad na sklep, dokonany przez nieznaną osobę, w niedzielę o czwartej nad ranem; sprzedawca dostał śmiertelny postrzał w głowę, a dzięki łusce znalezionej na miejscu przestępstwa ustalono, że z broni zabójcy strzelano amunicją 9-mm. Pistoletem, jakim Alfie miał wykonać robotę

w Kansas City, był heckler & koch P7 9-mm, typu parabellum.

Policja sprawdziła rachunki zarejestrowane przez skomputeryzowaną kasę tuż przed zabójstwem. Ostatnie zakupy były wyjątkowo duże jak na mały sklepik: kilka paczek kiełbasek, krakersy serowe, orzeszki, pierniki, batony czekoladowe i inne wysokokaloryczne artykuły.

W tym punkcie tracili trop.

Opuszczając Topekę, mógł udać się na zachód trasą międzystanową 70, aż do samego Colorado. Na północ drogą federalną 75. Na południe różnymi trasami do Chanute, Fredony, Cofifeyville. Na południowy zachód do Wichity. Gdziekolwiek.

Teoretycznie, w kilka minut po stwierdzeniu ucieczki, powinni uruchomić nadajnik w obcasie buta Alfiego, dzięki mikrofalowemu sygnałowi wysłanemu przez satelitę na cały obszar Stanów Zjednoczonych. Następnie powinni użyć całej serii geostacjonarnych satelitów, by dokładnie określić jego położenie, wytropić go i ściągnąć do bazy w ciągu paru godzin.

Ale były pewne problemy. Zawsze są jakieś problemy. Pocałunek góry lodowej.

Dopiero w poniedziałek po południu zlokalizowali sygnał w Oklahomie, na wschód od granicy z Teksasem. Oslett i Clocker, czekający na rozwój wypadków w Topece, polecili do Oklahoma City i ruszyli wypożyczonym wozem na zachód międzystanową 40, zaopatrzeni w mapę elektroniczną, która zawiodła ich do martwych staruszków i pary sportowych butów, z których jeden miał ścięty obcas.

Teraz znów byli na lotnisku w Oklahoma City. Gdy zajechali na parking wypożyczalni samochodów, żeby zostawić wóz, Oslett był gotów wyć. A jedynym powodem, dla którego nie wył, było to, że oprócz Clockera nie było nikogo, kto chciałby go słuchać. Równie dobrze mógłby wyć do księżyca.

Znalazł na lotnisku kiosk i poprosił o najnowszy numer magazynu *People*.

Clocker kupił sobie paczkę owocowej gumy do żucia, znaczek wpinany w klapę z napisem BYŁEM W OKLAHOMIE. TERAZ MOGĘ UMRZEĆ, i milionową wersję książkową „Star Trek” w miękkiej oprawie.

Oslett wyszedł na taras widokowy, gdzie tłum przechodniów nie był ani tak duży, ani tak interesujący jak na lotnisku Johna Kennedy’ego czy La Guardia w Nowym Jorku, i usiadł na ławce, otoczonej chorowicie wyglądającymi roślinami w wielkich donicach. Przewertował magazyn w poszukiwaniu stron sześćdziesiątej szóstej i sześćdziesiątej siódmej.

MR MORD

Mieszkający w południowej Kalifornii autor kryminałów, Martin Stillwater, widzi ciemność i zło tam, gdzie inni widzą tylko blask słońca.

Na dwustronicowej rozkładówce, stanowiącej początek trzustronicowego artykułu, widniała fotografia pisarza. Zmrok. Złowieszcze chmury. Upiorne drzewa w tle. Dziwaczny kąt ustawienia aparatu. Wyglądało to tak, jakby Stillwater rzucał się w stronę obiektywu, rysy wykrzywione grymasem szaleńca, oczy świecące odbitym blaskiem jak u jakiegoś zombie czy oszalałego mordercy.

Facet był najwyraźniej palantem, antypatycznym reklamiarzem, który z radością przebrałby się w stare ubrania Agathy Christie, gdyby dzięki temu mógł sprzedać więcej swoich książek. Albo firmowałby swoim nazwiskiem płatki śniadaniowe: Tajemnicze Kuleczki Martina Stillwatera, przyrządzone z owsa i bliżej nie określonych produktów mlecznych. W każdym pudełku darmowa figurka postaci z książki, któraś z jedenastu zamordowanych ofiar – wszystkie rany starannie zaznaczone na czerwono. „Zacznij tworzyć swoją kolekcję już dzisiaj i pozwól, by nasze mleczne składniki wyrządziły przysługę twoim jelitom”.

Oslett przeczytał tekst na pierwszej stronie, ale wciąż nie rozumiał, dlaczego ten artykuł podwyższył

ciśnienie krwi faceta z Nowego Jorku w stopniu grożącym zawałem serca. Czytając o Stillwaterze sądził, że tytuł powinien brzmieć „Mr Nuda”. Gdyby ten facet naprawdę firmował swoim nazwiskiem płatki śniadaniowe, nie trzeba by dodawać do nich błonnika, bo i bez tego człowiek po ich spożyciu dostawałby nudności i oczyszczał sobie kiszki.

Drew Oslett nie znosił książek, podobnie jak inni nie znosili dentystów. Uważał, że ludzie, którzy je piszą – urodzili się w niewłaściwym półwieczu, i że powinni dostać prawdziwą pracę przy projektowaniu komputerów, w cybernetyce, kosmonautyce, przy zastosowaniu światłowodów, jednym słowem w przemyśle, który przyczynia się do podniesienia poziomu życia na przełomie tysiącleci. Jako rozrywka, książki były takie powolne. Pisarze z uporem kazali zagłębiać w umysły bohaterów i zgadywać ich myśli. Co innego film. Filmy nigdy nie pokazywały widzom umysłów bohaterów. Nawet jeśli reżyserowi udało się pokazać, co myślą jego postaci, to co kogo obchodziły myśli Sylvestra Stallone, Eddiego Murphy’ego czy Susan Sarandon, na litość boską? A książki były zbyt intymne. Według filozofii Osletta nie miało znaczenia to, co ludzie myślą, tylko to, co robią. Działanie i szybkość. Teraz, u progu nowego, technicznie rozwiniętego wieku, istniały tylko dwa slogany: działanie i szybkość.

Doszedł do trzeciej strony artykułu i zobaczył kolejne zdjęcie Martina Stillwatera.

– Rany boskie.

Na tej drugiej fotografii pisarz siedział przy biurku, twarzą do obiektywu. Światło było dziwne, ponieważ zdawało się płynąć głównie z witrażowej lampy, stojącej nieco z tyłu, ale Marty wyglądał tu inaczej niż ten zombie o świecących oczach z poprzedniej fotografii.

Clocker siedział na drugim końcu ławki, niczym przebrany tresowany niedźwiedź, czekając cierpliwie, aż cyrkowa orkiestra zagra sygnał wyjścia na arenę. Zagłębił się w pierwszym rozdziale książkowej wersji „Star Trek”, pod tytułem „Spock w opałach”, czy jak się tam to nazywało.

Trzymając magazyn tak, by i Clocker mógł zobaczyć fotografię, Oslett powiedział:

– Spójrz na to.

Clocker skończył rozdział i zerknął na egzemplarz *People*.

– To Alfie.

– Nie, to nie on.

Żując swoją gumę, Clocker stwierdził:

– Wygląda dokładnie jak on.

– Coś jest nie tak.

– Wygląda jak on.

– Pocałunek góry lodowej – oznajmił proroczo Oslett.

– Hę? – Clocker zmarszczył brwi.

Siedzieli w przedniej części samolotu, w wygodnej kabinie prywatnego odrzutowca, ciepło i ze smakiem ozdobionej miękkim jasnobrązowym zamszem i kontrastującymi wykończeniami skórzanymi w kolorze leśnej zieleni. Clocker czytał „Proktologicznego kosmitę”, czy jak się ta cholerna książka nazywała. Oslett siedział bliżej środka.

Jeszcze gdy startowali z lotniska w Oklahoma City, połączył się ze swoim kontaktem w Nowym Jorku.

– OK, widziałem ten numer *People*.

– Jak kopniak prosto w zęby, co? – spytał Nowy Jork.

– Co tu się dzieje?

– Jeszcze nie wiemy.

- Myślisz, że to podobieństwo jest czysto przypadkowe?
- Nie. Jezu, przecież oni są jak bliźnięta jednojajowe.
- To dlatego jadę do Kalifornii. Żeby rzucić okiem na tego idiotę?
- I może znaleźć Alfiego.
- Sądzisz, że Alfie jest w Kalifornii?

– No cóż, dokądś musiał pojechać – stwierdził Nowy Jork. – Poza tym zaraz po tej historii z *People* zaczęliśmy gromadzić wszelkie dostępne informacje o Martinie Stillwaterze, i dowiedzieliśmy się szybko, że miało miejsce pewne zajście w jego domu w Mission Viejo dziś popołudniu, a właściwie wcześniej wieczorem.

– Jakie zajście?

– Policja sporządziła już raport, ale nie wprowadziła go jeszcze do komputera, więc chwilowo nie mamy żadnych danych. Musimy dostać wydruk. Właśnie nad tym pracujemy. Wiemy tylko tyle, że w domu był włamywacz. Stillwater najwyraźniej kogoś postrzelił, ale facet zwał.

– Myślisz, że to ma coś wspólnego z Alfiem?

– Nikt tu za bardzo nie wierzy w przypadki.

Szum silników odrzutowca zmienił się. Samolot przestał się wspinać w górę, wypoziomował i zaczął lecieć ze stałą prędkością.

– Ale jakim cudem Alfie dowiedział się o Stillwaterze? – spytał Oslett.

– Może czytuje *People* – odpowiedział kontakt w Nowym Jorku i roześmiał się nerwowo.

– Jeśli tym włamywaczem był Alfie, to dlaczego miałby polować na tego faceta?

– Nie mamy jeszcze żadnej teorii na ten temat.

Oslett westchnął.

– Czuję się tak, jakbym stał w kosmicznej toalecie, a Bóg właśnie spuścił wodę.

– Może powinieneś kierować nim z większą uwagą.

– To nie był błąd w kierowaniu – obruszył się Oslett.

– Hej, przecież cię o nic nie oskarżam. Powtarzam ci tylko to, co już zostało tu powiedziane.

– Mnie to wygląda na błąd w obserwacji satelitarnej.

– Trudno się było spodziewać, że go zlokalizują, przecież zdjął buty.

– Ale dlaczego potrzebowali półtora dnia, żeby znaleźć te cholerne buty? Złe warunki pogodowe nad Środkowym Wschodem. Aktywność plam słonecznych, magnetyczne zakłócenia. Setki mil kwadratowych w początkowej strefie poszukiwań. Wymówki, wymówki, wymówki.

– Przynajmniej mają jakieś wymówki – stwierdził zarozumiale Nowy Jork.

Oslett milczał wściekły. Nie znosił, gdy od Manhattanu dzieliła go taka odległość. W chwili, gdy cień samolotu przekroczył granice miasta, znów poczuł znajome ukłucia, a małe stworki w jego wnętrzu zaczęły redukować jego mniemanie o sobie do swoich rozmiarów.

– W Kalifornii skontaktuje się z tobą wysłannik – poinformował go Nowy Jork. – Przekaze ci najświeższe dane.

– Wspaniale.

Oslett zmarszczył brwi i nacisnął przycisk END, kończąc rozmowę.

Oprócz pilota i drugiego pilota w samolocie była jeszcze stewardessa. Wezwał ją z małej kuchenki w tylnej części samolotu, dotykając guzika w oparciu fotela. Zjawiła się po paru sekundach i Oslett zamówił podwójną szkocką z lodem.

Atrakcyjna blondynka w czerwonej bluzce, szarej spódniczce i szarej marynarce. Odwrócił się na

swoim fotelu, żeby na nią popatrzeć.

Zastanawiał się, czy jest łatwa. Gdyby ją oczarował, może pozwoliłaby mu zabrać się do toalety i zrobić to na stojąco.

Oddawał się tej fantazji przez całą minutę, ale później powrócił do rzeczywistości i wyrzucił kobietę ze swoich myśli. Nawet jeśli była łatwa, to należało się liczyć z nieprzyjemnymi konsekwencjami. Potem usiadłaby obok niego i siedziałyby tak, prawdopodobnie aż do samej Kalifornii, by dzielić się z nim myślami o wszystkim – począwszy od miłości, poprzez los, a na śmierci skończywszy. Nie obchodziło go, co myślała i czuła, a tylko to, co mogłaby zrobić. Poza tym nie był w odpowiednim nastroju i nie chciało mu się udawać wrażliwego faceta lat dziewięćdziesiątych.

Kiedy przyniosła scotcha, spytał, co można obejrzeć na kasetach wideo. Wręczyła mu listę czterdziestu tytułów. Wideoteka w samolocie miała w swych zbiorach najlepszy film wszechczasów: „Zabójczą broń. 3”. Już nie pamiętał, ile razy oglądał ten film, i przyjemność jaką z niego czerpał, wcale się nie zmniejszała wraz z kolejną projekcją. Był to idealny film: głupia intryga, papierowi bohaterowie, ale za to wspaniałe, brutalne sekwencje, i hałas – głośniejszy niż wyścigi samochodowe w połączeniu z koncertem grupy Megadeth.

Cztery oddzielnie umieszczone monitory umożliwiały jednoczesną projekcję czterech filmów. Stewardessa puściła „Zabójczą broń. 3” na monitorze, który znajdował się najbliżej Osletta i wręczyła mu słuchawki.

Nałożył je na uszy, uregulował głośność i usadowił się w fotelu, uśmiechając się szeroko.

Później, po wypiciu scotcha, zdrzemnął się, podczas gdy Danny Glover i Mel Gibson wrzeszczeli do siebie niezrozumiale, ogień szalał, broń maszynowa szczekała, bomby wybuchały, a muzyka grzmiała.

Poniedziałkową noc spędzili w motelu w Laguna Beach. Miejsce nie mogło uchodzić za obiekt piecioro- czy nawet czterogwiazdkowy, ale pokoje były czyste, a w łazienkach leżało sporo ręczników. Świąteczny weekend dobiegł końca, a do letniego sezonu turystycznego pozostało jeszcze kilka miesięcy i przynajmniej połowa apartamentów była pusta. Choć znajdowali się w pobliżu Pacific Coast Highway, wokół panowała cisza.

Wydarzenia minionego dnia nie minęły bez śladu. Paige czuła się tak, jakby nie spała od tygodnia. Nawet za miękkie i pagórkowate materace był równie kuszący jak łożo z chmur, na którym mogliby spać bogowie i boginie.

Na kolację zjedli pizzę. Marty wyszedł po nią, a także po sałatkę i cannoli ze smakowicie grubym kremem ricota, do pobliskiej restauracji.

Kiedy wrócił z jedzeniem, zaczął łomotać w drzwi, i gdy wpadł do środka, objuczony torbami, był blady i miał pustkę w oczach. Z początku Paige sądziła, że zobaczył sobowtóra, krążącego w okolicy, ale po chwili uświadomiła sobie, że spodziewał się zastać puste apartamenty albo martwe ciała.

Zewnętrzne drzwi obu pokoi wyposażone były w solidne zamki i łańcuchy. Wykorzystali każde zabezpieczenie i jeszcze wsunęli pod klamki krzesła o wysokich siedzeniach.

Ani Paige, ani Marty nie mogli wyobrazić sobie, w jaki sposób Ten Drugi byłby w stanie ich znaleźć. Ale mimo wszystko *zabezpieczyli drzwi* krzesłami. I to dokładnie.

Było to niewiarygodne, ale pomimo straszliwych przeżyć dzieciaki dały się przekonać Marty'emu, że noc poza domem to wyjątkowa przygoda. Nie były przyzwyczajone do mieszkania w hotelach, więc każda rzecz – sprężyste materace, darmowe przybory do pisania, miniaturowe kostki mydła – fascynowała je.

Były szczególnie zaintrygowane tym, że sedesy w obu łazienkach są przewiązane białą papierową taśmą, na której wydrukowano w trzech językach informację, że urządzenia zostały odkażone. Stąd Emily wydedukowała, że niektórzy goście to „prawdziwe świnki”, które nie wiedzą, jak po sobie posprzątać, a Charlotte zastanawiała się, czy czasem takie specjalne obwieszczenie nie wskazuje na to, że do odkażenia powierzchni użyto czegoś mocniejszego niż mydło i lizol, na przykład miotaczy ognia albo promieniowania nuklearnego.

Marty przewidział, że napoje z automatu o egzotycznych smakach, których dziewczynki nie dostawały w domu, też sprawią im frajdę i poprawią humor. Kupił czekoladowy Yoo hoo, Mountain Dew, Sparkling Grape, Cherry Crush, Tangerine Treat i Pineapple Fizz. Usiedli na dwóch królewskich łożach w jednym z pokoi. Rozłożyli paczki z jedzeniem na materacu i ustawili butelki z kolorowymi napojami na nocnych stolikach. Charlotte i Emily musiały oczywiście skosztować każdego napoju jeszcze przed końcem posiłku, co przyprawiało Paige o mdłości.

Paige wiedziała, że dzieci znacznie lepiej znoszą urazy niż dorośli, zwłaszcza wtedy, gdy znajdują oparcie w stabilnej rodzinie, są kochane, otoczone troską i szacunkiem. Poczwała się dumna, gdy stwierdziła, że jej córki są tak silne emocjonalnie, a potem przesadnie i ukradkiem postukała kłykiem w drewnianą deskę przy łożku, prosząc po cichu Boga, by nie karał ani jej, ani jej dzieci za ten przejaw pychy.

Ale najbardziej zdumiewało to, że gdy już Charlotte i Emily wykapały się, włożyły piżamy i wskoczyły do łóżek w sąsiednim pokoju, zażądały, by Marty jak zwykle przystąpił do swojej opowieści i kontynuował zwrotki o złym bracie bliźniaku świętego Mikołaja. Paige dostrzegła niepokojące i w

gruncie rzeczy tajemnicze podobieństwo między fabułą zmyślonego poematu i niedawnymi, przerażającymi wydarzeniami w ich życiu. Była pewna, że Marty i dziewczynki także to zauważyli. Jednak widziała, że wszyscy troje nie mogą się doczekać początku opowieści.

Marty ustawił krzesło między łózkami. Pamiętał nawet w całym tym pośpiechu, gdy pakowali się i opuszczali dom, żeby zabrać ze sobą notatnik zatytułowany „Opowieści dla Charlotte i Emily” i małą lampkę na baterię. Usiadł i otworzył notatnik.

Strzelba leżała obok, na podłodze.

Beretta znajdowała się na komodzie, gdzie Paige mogła jej dosięgnąć w ciągu sekundy czy dwóch.

Czekał, aż cisza wypełni się odpowiednim nastrojem wyczekiwania.

Ta scena przypominała to, czego Paige była tylekroć świadkiem w domu, w pokoju dziewczynek. Charlotte i Emily niknęły w wielkim łożu i wyglądały jak dzieci z bajki, bezdomne sierotki, które przekradły się do zamku olbrzyma, żeby ukraść trochę owsianki i nacieszyć się jego pokojami gościnnymi. Poza tym lampka przyczepiona do notesu nie była jedynym źródłem światła; jedna z lamp na nocnym stoliku również płonęła blaskiem i miała być włączona przez całą noc.

Zdziwiona odkryciem, że i ona czeka z przyjemnością na dalszą część poematu, Paige przysiadła na łóżku Emily.

Zastanawiała się, co sprawia, że ludzie potrzebują opowieści niemal tak samo jak jedzenia i picia, zwłaszcza w ciężkich czasach. Kina nigdy nie przyciągały takiej rzeszy widzów jak w latach Wielkiego Kryzysu. Sprzedaż książek wzrastała w okresach recesji. Ta potrzeba wykraczała daleko poza pragnienie rozrywki i ucieczki w świat fantazji. Było w tym coś głębszego i tajemniczego.

Gdy w pokoju zapanowała cisza i wydawało się, że nadeszła odpowiednia chwila, Marty przystąpił do czytania. Ponieważ Charlotte i Emily nalegały, żeby zaczął od początku, wyrecytował zwrotki, które już słyszały w sobotni i niedzielny wieczór, dochodząc do momentu, w którym zły bliźniak stoi przy kuchennych drzwiach domu Stillwaterów, pragnąc włamać się do środka.

*Wytrychy i klucze starannie dobiera
i oba zamki po cichu otwiera.
Wkracza do kuchni nie robiąc hałasu.
Ma szansę zrobić trochę ambarasu.
Lodówkę otwiera i ciasto pochłania,
Już cieszy go myśl o bałaganie.
Mleko po całej podłodze rozlewa,
wyrzuca pudding i piwo wylewa.
Chleb też rozrzuca i ciemny, i biały,
wreszcie opluwa prawie placek cały.*

– Obrzydlistwo – stwierdziła Charlotte.

Emily wyszczerzyła zęby.

– Chyba się natykał jakichś prochów.

– Jaki to był placek? – zastanawiała się Charlotte.

– Owocowy – powiedziała Paige.

– Fuj. W takim razie nie mam do niego pretensji, że na niego napluł.

*Na planszy korkowej, tuż przy telefonie,
obrazki szkolne tutaj zawieszono.
Twarz uśmiechnięta to młodszej malunek.
Słonie na polu Charlotte rysunek.
Łobuz wyciąga flamaster czerwony,
odkręca chichocząc zadowolony,
pisze na obu dziełach „śmieci”!
On wie, jak skrzywdzić te biedne dzieci.*

– To krytyk! – sapnęła przejęta Charlotte, zwijając małe dłonie w pięstki i uderzając z wigorem powietrze nad głową.

– Och, krytycy – stwierdziła Emily poirytowanym głosem i przewróciła oczami w sposób, jaki zaobserwowała kilkakrotnie u ojca.

– Mój Boże! – zawołała Charlotte, zakrywając twarz dłońmi – mamy krytyka w naszym domu.

– Wiedziałaś, że to będzie opowieść z dreszczykiem – przypomniał Marty.

*Wciąż nim wstrząsają szalone chichoty,
teraz szykuje im większe kłopoty.
Niżli odwagi jest zła w nim więcej,
więc do kuchenki napycha czym prędzej
popcornu pięć kilo do prażenia
(przeklęty dzień jego narodzenia),
odwraca się szybko i za progiem znika,
bo straszne BUM! z piecyka się wymyka.*

– Pięć kilo! – Charlotte dała się porwać wyobraźni. Uniosła się na łokciach, uniosła głowę i trajkotała podniecona. – O rany, trzeba by koparki i wywrotki, żeby wywieźć to wszystko, jak już napęcznieje, bo to będą zaspy z popcornu, góry popcornu. Potrzebowalibyśmy cysterny karmelu i może z trylion funtów orzeszków, żeby zrobić z tego batony kukurydziane. Brodzilibyśmy w tym popcornie zanurzeni po same dupy.

– Coś ty powiedziała? – spytała Paige.

– Powiedziałam, że potrzebowałibyśmy koparki...

– Chodzi mi o to drugie słowo.

– Jakie słowo?

– Dupy – powiedziała cierpliwie Paige.

– To nie jest brzydkie słowo – oznajmiła Charlotte.

– Ach tak?

– W TV ciągle tak mówią.

– Nie wszystko, co mówią w TV, jest mądre i eleganckie – przypomniała Paige.

– Mało co, prawdę mówiąc. – Marty odłożył notes.

Zwracając się do Charlotte, Paige tłumaczyła:

– W telewizji widzi się ludzi, którzy spadają z samochodami w przepaść, trują ojców, żeby odziedziczyć spadek, walczą na miecze, rabują banki, robią mnóstwo innych rzeczy, na których nie

chciałabym przyłapać żadnej z was.

- Zwłaszcza na truciю ojca – zauważył Marty.
- OK, nie będę mówiła dupa – ustąpiła Charlotte.
- To dobrze.
- A co mam mówić zamiast tego? Czy tyłek może być?
- A co powiesz na pupę? – spytała Paige.
- Myślę, że da się z tym żyć.

Powstrzymując śmiech Paige powiedziała:

– Na razie możesz mówić pupa, potem, kiedy podrośniesz, będziesz mogła przyzwyczajać się powoli do tyłka, a jak już całkiem dorośniesz, będziesz mogła mówić dupa.

- To dość sprawiedliwe – zgodziła się Charlotte, znów opadając na poduszki.
- Emily, która podczas całej tej rozmowy była zamyślona i milczała, zmieniła temat.
- Pięć kilo prażonego popcornu nie zmieściłoby się w kuchence mikrofalowej.
 - Oczywiście, żeby się zmieściło – zapewnił ją Marty.
 - Nie wydaje mi się.

– Sprawdziłem to, zanim zacząłem pisać – powiedział stanowczo.

Na twarzy Emily pojawił się wyraz niedowierzania.

- Przecież wiesz, że wszystko dokładnie sprawdzam – upierał się.
- Może nie tym razem – powiedziała, wciąż pełna wątpliwości.
- Pięć kilo – powtórzył Marty.
- To mnóstwo popcornu.

Zwracając się do Charlotte, powiedział:

- Mamy następnego krytyka w domu.
- OK – ustąpiła Emily – no dalej, przeczytaj jeszcze trochę.

Marty uniósł zdziwiony brwi.

– Naprawdę chcesz usłyszeć następny kawałek tej kiepsko udokumentowanej, nieprzekonującej bzdury?

- W każdym razie troszeczkę – przyznała Emily.

Marty zerknął ukradkiem na Paige, wydał z siebie przesadne, pełne cierpienia westchnienie, podniósł notes i czytał dalej:

*Węszy na dole podły, złośliwy,
by znów popełnić czyn niegodziwy.
Widzi prezenty pod drzewkiem schowane,
zaraz zrobimy małą zamianę!
Wyciągnę prezenty z każdej ich paczki,
a włożę padlinę, odchody i kłaczki.
Rankiem, gdy Stillwaterowie z łóżek powstaną
pod drzewkiem już tylko śmieci zastaną.
Zamiast sweterków, gier i zabawek
znajdą tam wstrętny, cuchnący kawałek.*

- Nie ujdzie mu to na sucho – powiedziała Charlotte.

- Czemu nie? – powątpiewała Emily.
- Nie ujdzie.
- A kto go zatrzyma?

*Charlotte i Emily wciąż pochrapiują,
marzenia gwiazdkowe po główkach się snują.
Nagle te śpiochy czymś przestraszone,
na łóżkach siadają, w ciemności wpatrzone.
Choć nawet myszki nie hałasują,
lecz one złego już w domu czują.
Czy to fluidy, przeczucie, osmoza,
a może czuć trolla, co śmierdzi jak koza.
Wychodzą z łóżeczek, golutkie ich stopki,
dwie bardzo odważne i śmiałe osóbki.
Coś nie w porządku – Emily rzecze,
lecz dadzą radę, to siostry przecie!*

Taki obrót sprawy – Charlotte i Emily jako bohaterki opowieści – zachwycił dziewczynki. Spojrzały na siebie i uśmiechnęły się szeroko.

Charlotte powtórzyła pytanie Emily:

- Kto go zatrzyma?
- My! – wykrzyknęła Emily.

Marty się wtrącił:

- No... może.
- Uhu – stwierdziła Charlotte.

Emily zdemaskowała Marty'ego.

- Nie martw się. Tata chce po prostu trzymać nas w napięciu. I tak załatwimy tego starego trolla.

*A przy choince, w ciemnym salonie
zły bliźniak pieje śmiechem szalonym.
Ma zbiór nielichy tych surogatów
ze ścieków, śmieci, spod starych dachów.
Wymienia zegarek, co na Lottie czeka
na coś dla bardzo złego człowieka,
którym Charlotte nigdy nie była.
Nie jadła witamin, tym tylko grzeszyła.
Zamiast zegarka podkłada kluchy
z zielonkawego śluzu ropuchy.
Z pudełka Emily laleczkę kradnie
i daje jej prezent, oj niezbyt ładnie.
To cieknie, gnije i miewa wzdęcia.
Cóż to? Sam bliźniak nie ma pojęcia.*

- Jak myślisz, mamó, co to jest? – spytała Charlotte.
- Prawdopodobnie te brudne podkolanówki, które gdzieś posiałaś pół roku temu.
- Emily zachichotała, a Charlotte stwierdziła:
- Znajdę te skarpety prędzej czy później.
- Jeśli właśnie to jest schowane w pudełku z prezentem, to jego nie otworzę – oznajmiła Emily.
- Nie otworzę go – poprawiła ją Paige.
- Nikt jego nie otworzy – zgodziła się Emily, nie rozumiejąc, o co matce chodzi. – Fúj!

*W piżamkach, boso, skradają się cicho,
 chcą wiedzieć dziewczynki, co to za licho.
 Prosto ku schodom czym prędzej zmiierzają,
 ciszej niż ćmy, co w grobie latają.
 Obydwie wątle, szczupłe i malutkie,
 stopki ich takie są różowiutkie.
 Jak te dziewczuszki pragną się zmierzyć
 z kimś, kto cios tak twardy potrafi wymierzyć?
 Czy znają dżu dżitsu, a może karate?
 Raczej bym głowy nie dawał za to.
 Może granaty w piżamach chowają?
 Może laserem ich oczy strzelają?
 Odpowiedź jest jedna: precz wątpliwości.
 A jednak w dół schodzą w zupełnej ciemności.
 Dla nich to zło jest niepojęte.
 Wszak bliźniak przekroczył granice obtędu.
 Jest gorszy niż grypa, ból zęba, krosty.
 Lecz one są twarde – przecie to siostry!*

Charlotte wyrzuciła w powietrze małą piąstkę wyzywającym gestem i zawołała:

- Siostry!
- Siostry – dodała Emily, naśladowując gest Charlotte.

Kiedy się zorientowały, że Marty skończył, nalegały, by jeszcze raz przeczytał nowe zwrotki, a Paige stwierdziła, że ona również chętnie posłucha.

Choć Marty udawał zmęczonego i potrzebował próśb i zachęty, by się zgodzić, byłby rozczarowany, gdyby nie zażądano od niego drugiego czytania.

Zanim ojciec doszedł do końca ostatniej linijki, Emily mruknęła sennie „siostry”. Charlotte już pochrapywała cichutko.

Marty ostrożnie odstawił krzesło. Sprawdził zamki przy drzwiach i skontrolował okna, a potem upewnił się, że między zasłonami nie ma szpary, przez którą ktoś mógłby zajrzeć do środka.

Paige, otulając kocami dziewczynki, pocałowała je na dobranoc. Miłość, jaką do nich czuła, była tak silna, tak bardzo jej ciążyła, że nie była w stanie głęboko odetchnąć.

Kiedy wrócili do sąsiedniego pokoju, zabierając ze sobą broń, zostawili zapalone lampki, a drzwi między pokojami otwarte. Mimo to miała wrażenie, że jej córki są niebezpiecznie daleko.

Na mocy milczącego porozumienia obydwójce wyciągnęli się ramię w ramię na jednym wielkim

łóżku. Myśl o dzielącej ich odległości, nawet na kilka stóp, była nie do zniesienia.

Jedna z nocnych lampek była zapalona, ale Marty ją zgasił. Przez drzwi wpadało dostatecznie dużo światła z sąsiedniego pokoju, by wydobyć z mroku prawie całe pomieszczenie. W każdym kącie zalegały cienie, głęboka ciemność nie miała tu jednak dostępu.

Trzymali się za ręce i wpatrywali w sufit, jakby ich los dało się odczytać z tajemniczego wzoru, utworzonego na tynku ze światła i cienia. Wszystko zresztą, na co w ciągu ostatnich paru godzin patrzyła Paige, zdawało się pełne złowróżbnych i groźnych znaków.

Położyli się w ubraniach. Choć trudno było uwierzyć, że ktoś mógłby ich ścigać nie zauważony, chcieli mieć możliwość szybkiej ucieczki.

Deszcz przestał padać kilka godzin wcześniej, ale wodna melodia wciąż kołysała ich do snu. Motel stał na cyplu nad Pacyfikiem i rytmiczne uderzenia fali przybrzeżnej, w swej metronomicznej niezmienności, były kojącym i uspokajającym dźwiękiem.

– Wyjaśnij mi coś – powiedziała cicho, by nie obudzić dziewczynek.

Wydawał się zmęczony.

– Nie wiem, co chcesz wiedzieć, ale najprawdopodobniej nie znam odpowiedzi.

– Co się tam stało?

– Przed chwilą? W tamtym pokoju?

– Tak.

– Działanie magii.

– Mówię poważnie.

– Ja też. Nie da się określić, jak głęboki wpływ ma na ludzi proces opowiadania, nie da się wyjaśnić, jak i dlaczego – podobnie jak król Artur nie był w stanie zrozumieć, dlaczego Merlin potrafił dokonać cudów.

– Przyjechaliśmy tutaj roztrzęsieni, wystraszeni. Dzieci były takie ciche, niemal sparaliżowane strachem. Ty i ja warczeliśmy na siebie...

– Nie warczeliśmy.

– Owszem, tak.

– OK – przyznał – rzeczywiście, trochę.

– Co w naszym przypadku oznacza bardzo dużo. Wszyscy byliśmy... źli na siebie. Spięci.

– Nie wydaje mi się, żeby było aż tak źle.

Nie ustępowała:

– Uwierz doradcy rodzinnemu z praktyką – było tak źle. Potem ty opowiadasz historyjkę, bezsensowny poemacik, uroczy, ale bezsensowny... i wszyscy się odprężają. Jakimś cudem ta opowiadka pomaga nam znów zbliżyć się do siebie. Cieszymy się, śmiejemy. Dziewczynki się uspokajają i, zanim człowiek zdążył się zorientować, są gotowe do snu.

Przez chwilę milczeli.

Miarowy szmer nocnej fali przypominał powolne i jednostajne uderzenia ogromnego serca.

Kiedy Paige zamknęła oczy, wyobraziła sobie, że znów jest małą dziewczynką. Siedzi skulona na kolanach matki, na co jej niezbyt często pozwalano, z głową przyciśniętą do jej piersi, z uchem dostrojonym niczym instrument do ukrytego rytmu jej serca i nasłuchuje z uwagą każdego dźwięku, tak bardzo pragnąc usłyszeć ten szczególny szept – cenny sygnał miłości. Nigdy nie usłyszała niczego więcej ponad stuk-puk przedśionków i komór, głuchy i mechaniczny odgłos.

A jednak czuła wówczas ukojenie. Być może wracała wtedy pamięcią do dziewięciu miesięcy

spędzonych w łonie matki, kiedy to ten sam jambiczny rytm otaczał ją ze wszystkich stron przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Łono pełne jest owego idealnego spokoju, którego później nie doświadcza się już nigdy. Dopóki nie przychodzimy na świat, nie wiemy nic o miłości i nie możemy poznać żalu, gdy jej brakuje.

Była wdzięczna losowi za to, że ma Marty'ego, Charlotte i Emily. Ale wiedziała, że dopóki żyje, będą ją nawiedzać takie chwile, kiedy coś tak zwyczajnego jak teraz uderzenia morskich fal przypomni jej głęboką studnię smutku i wyobcowania, w której spędziła całe dzieciństwo.

Zawsze robiła wszystko, by jej córki nigdy nie wąpiły w to, że są kochane. Teraz pragnęła, z taką samą determinacją, by to niespodziewane szaleństwo i przemoc, jakie pojawiły się w ich życiu, nie skradły nawet maleńkiego fragmentu dzieciństwa Charlotte i Emily, tak jak jej skradziono całe dzieciństwo. Ponieważ wzajemną oziębłość jej rodziców przewyższyła oziębłość wobec niej, Paige została w jakiś sposób zmuszona do szybkiej dorosłości, dzięki której ocaliła swoją uczuciowość. Już jako uczennica szkoły podstawowej była świadoma zimnej obojętności świata i rozumiała, że najważniejszą rzeczą jest niezależność, jeśli chce się z powodzeniem walczyć z okrucieństwem, które nieraz przytrafia się w życiu. Ale, do diabła, nie mogła dopuścić do tego, by jej córki musiały nauczyć się tej twardej lekcji w ciągu jednej nocy. Nie w wieku siedmiu i dziesięciu lat. Wykluczone. Pragnęła za wszelką cenę chronić je jeszcze przez jakiś czas przed brutalnością świata i dokładać starań, by dorastały stopniowo, szczęśliwie i bez goryczy.

Marty pierwszy przerwał to kojące milczenie.

– Kiedy Vera Conner miała wylew i spędziliśmy wtedy tak wiele czasu w poczekalni OJOM-u, było tam mnóstwo ludzi, którzy przychodzili i wychodzili, by się dowiedzieć, czy ich przyjaciele i krewni będą żyć, czy też umrą.

– Trudno uwierzyć, że minęły prawie dwa lata od jej śmierci.

Vera Conner była profesorem psychologii na Uniwersytecie Kalifornijskim, opiekunem Paige w czasie studiów, a potem, w późniejszych latach, wspaniałą przyjaciółką. Paige wciąż odczuwała brak Very. Wiedziała, że zawsze tak będzie.

Marty powiedział:

– Niektórzy ludzie w poczekalni po prostu siedzieli i patrzyli. Niektórzy chodzili tam i z powrotem, wyglądali przez okna, wiercili się. Słuchali walkmenów. Grali w gry elektroniczne. Zabijali czas na mnóstwo sposobów. Ale czy zauważyłaś, że ci, którzy, jak się zdawało, najlepiej radzili sobie ze strachem czy żalem – ludzie opanowani, ci właśnie czytali powieści.

Oprócz Marty'ego Vera była najdroższą przyjaciółką Paige, pomimo czterdziestu lat różnicy, i pierwszą osobą, która kiedykolwiek troszczyła się o nią. Ten tydzień, gdy Verę zabrano do szpitala – najpierw zdezorientowaną i cierpiącą, później nieprzytomną – był najgorszym okresem w życiu Paige; mimo iż minęły prawie dwa lata, jej wzrok wciąż się rozmazywał na wspomnienie ostatniego dnia, ostatniej godziny, kiedy to stała przy łóżku Very, trzymając w swej dłoni ciepłą, lecz obojętną rękę. Przeczuwając zbliżający się kres, Paige powiedziała coś, co, jak miała nadzieję, Bóg pozwoli usłyszeć umierającej kobiecie: *kocham cię, zawsze będę za tobą tęsknić, jesteś dla mnie matką, którą moja rodzona matka nigdy nie umiała być.*

Długie godziny tamtych dni wryły się w jej pamięć, pozostawiając w niej więcej bolesnych szczegółów, niż pragnęła zachować, tragedia bowiem jest najostrzejszym dłutem spośród wszystkich narzędzi. Nie tylko pamiętała we wszystkich przerażających szczegółach rozkład i umeblowanie poczekalni OJOM-u, ale wciąż potrafiła przypomnieć sobie twarze wielu obcych ludzi, którzy tak jak ona

i Marty czekali na wyrok.

Ciągnął:

– Ty i ja spędzaliśmy czas na czytaniu, tak jak parę innych osób, nie dlatego, żeby uciec, ale dlatego... dlatego, że fikcja literacka, w swym najlepszym wydaniu, jest lekarstwem.

– Lekarstwem?

– Życie jest tak cholernie zagmatwane, rzeczy po prostu się dzieją, a wszystko, co przeżywamy, zdaje się nie mieć wielkiego sensu. Czasem odnosi się wrażenie, że świat jest domem wariatów. Opowiadanie historii zagęszcza życie, nadaje mu jakiś porządek. Opowiadania mają początek, środek, koniec. Opowiadanie, które się skończyło, coś znaczyło, na Boga, może coś niezbyt złożonego, może jego przesłanie było proste, nawet naiwne, ale miało jakieś znaczenie. I to daje nadzieję. Jest lekarstwem.

– Lekarstwo nadziei – powiedziała w zamyśleniu.

– A może plotę bzdury.

– Nie.

– No cóż, *plotę* bzdury, ale nie wtedy, gdy chodzi o opowiadania.

Uśmiechnęła się i lekko ścisnęła jego rękę.

– Nie wiem, ale myślę, że gdyby psychologowie przeprowadzili długoterminowe badania, to odkryliby, że ludzie, którzy czytają powieści, nie cierpią tak bardzo na depresję, nie popełniają tak często samobójstw, są po prostu zadowoleni z życia. Nie dotyczy to z pewnością całej literatury, nie tych modnych powieści typu ludzie to śmieci, życie cuchnie, nie ma Boga...

– Doktor Marty Stillwater aplikuje lekarstwo nadziei.

– Ty *naprawdę* sądzisz, że plotę bzdury.

– Nie, dziecinko, skąd. Myślę, że jesteś wspaniała.

– Nie ja. *Ty jesteś* wspaniała. Ja jestem tylko neurotycznym pisarzem. Pisarze są z natury zarozumiali, egoistyczni, niepewni i jednocześnie zbyt zajęci sobą, by kiedykolwiek można ich było uznać za wspaniałych.

– Nie jesteś neurotyczny, zarozumiały, egoistyczny, niepewny czy próżny.

– To tylko dowodzi, że nie słuchałaś mnie przez te wszystkie lata.

– OK, poddaję się, jeśli chodzi o neurotyczność.

– Dziękuję, moja droga. Miło wiedzieć, że słuchałaś przynajmniej przez jakiś czas.

– Ale jesteś również wspaniała. Wspaniale neurotyczny pisarz. Żałuję, że nie jestem neurotycznym pisarzem, aplikującym lekarstwo.

– Ugryź się w język.

– Mówię poważnie.

– Może ty potrafisz żyć z pisarzem, ale nie sądzę, bym ja miał na to dość sił.

Przekreśliła się na prawy bok, by zwrócić twarz w jego stronę, a on położył się na lewym, tak że mogli się całować. Miękkie pocałunki. Delikatne. Obejmowali się po prostu przez chwilę, nasłuchując morza.

Bez uciekania się do słów, postanowili nie rozmawiać dłużej o zmartwieniach czy też o czekającym ich poranku. Czasem dotknięcie, pocałunek czy przytulenie znaczyło więcej niż wszystkie słowa, którymi mógł posłużyć się pisarz, więcej niż wszystkie rozsądne terapie, jakie mógł zastosować psycholog.

W ciele nocy biło wielkie serce oceanu – powoli i pewnie. Z ludzkiej perspektywy morska fala była siłą wieczną, z boskiej tylko chwilą.

Paige ze zdziwieniem stwierdziła, że pogrążyła się we śnie. Nagle przez jej głowę przebiegła

ostrzegawcza myśl, niczym trzepot ptasich skrzydeł, że za chwilę będzie leżeć zupełnie nieświadoma, a zatem bezbronna w tym obcym miejscu. Ale zmęczenie wzięło górę nad strachem, a kojący śpiew morza otulał ją i niośł na falach snu ku dzieciństwu, kiedy opierała swą głowę o pierś matki i nasłuchiwała wśród uderzeń serca tego szczególnego, sekretnego szeptu miłości.

Wciąż ze słuchawkami na uszach Drew Oslett zbudził się na dźwięk ognia z broni maszynowej, eksplozji, wrzasków i muzyki na tyle głośnej i ostrej, że mogłaby stanowić temat przewodni w dniu Sądu Ostatecznego. Na ekranie telewizora Glover i Gibson biegali, skakali, tłukli się, strzelali, robili uniki, wirowali i przeskakiwali przez płonące budynki w emocjonującym balecie przemocy.

Uśmiechając się i ziewając, Oslett zerknął na zegarek i stwierdził, że spał przez ostatnie dwie i pół godziny. Najwidoczniej stewardessa, widząc, że film działa na niego jak kołysanka, przewinęła taśmę i puściła od początku.

Musieli być już blisko celu podróży. Od lotniska Johna Wayne'a w Orange County dzieliła ich niecała godzina lotu. Zdjął słuchawki, wstał i ruszył do Clockera, żeby mu powiedzieć, czego dowiedział się podczas rozmowy telefonicznej z Nowym Jorkiem.

Clocker spał w swoim fotelu. Zdjął tweedową marynarkę ze skórzanymi łatami i kłapami, ale wciąż miał na głowie brązowy filcowy kapelusz z brązowoczarnym kaczym piórkiem zatkniętym za tasiemkę. Nie chrapał, ale wargi miał rozchylone, a z kącika jego ust zwieszała się nitka śliny; połowa brody lśniła obrzydliwie.

Czasem Oslett był niemal przekonany, że Sieć zrobiła fantastyczny dowcip przydzielając mu do pary Karla Clockera.

Jego własny ojciec trząśł organizacją. Oslett zastanawiał się czasem, czy to nie sprawka starego, żeby go poniżyć. Nienawidził ojca i wiedział, że z wzajemnością. Nie mógł jednakże uwierzyć, by stary był zdolny do takich gier tylko po to, by narazić Osletta na śmieszność. Honor i jedność rodziny zawsze były ważniejsze niż osobiste uczucia i wzajemne urazy między jej członkami.

W rodzinie Osletta pewne nauki pobierało się w tak młodym wieku, że Drew miał niemal wrażenie, że już się z tą wiedzą urodził, i że głębokie zrozumienie wartości nazwiska brzmiącego Oslett jest zakorzenione w jego genach. Nic z wyjątkiem rozległej fortuny nie było równie cenne jak dobre nazwisko, trwające przez pokolenia; z dobrego imienia płynęło tyle potęgi, ile z ogromnego bogactwa, politycy bowiem i sędziowie łatwiej przyjmowali walizki pełne pieniędzy, gdy oferta wychodziła od ludzi, których krew płynęła w żyłach senatorów, sekretarzy stanu, czołowych przemysłowców, znanych obrońców środowiska naturalnego i szanowanych mecenasów sztuki.

Skojarzenie go z Clockerem było po prostu błędem. W końcu uporałby się z tą sytuacją. Gdyby biurokracja Sieci nie dość szybko zmieniła przydziały i gdyby renegat powrócił do stanu, pozwalającego na to, by znów nim kierować, Oslett wziąłby Alfiego na bok i poinstruował go, by wykończył Clockera.

Egzemplarz „Star Trek” w miękkiej oprawie, z pękniętym grzbietem, leżał otwarty na piersi Karla Clockera, okładką do góry. Oslett ostrożnie podniósł książkę.

Wrócił na pierwszą stronę, nie zadając sobie trudu, by zaznaczyć miejsce, w którym przerwał Clocker, i zaczął czytać, sądząc, że być może uda mu się zrozumieć, dlaczego tylu ludzi fascynuje się dziejami statku kosmicznego *Enterprise* i jego załogi. Przez kilka pierwszych rozdziałów cholerny autor ukazał mu umysł kapitana Kirka, myślowe terytorium, które Oslett był gotów odkrywać tylko wówczas, gdy miał do czynienia z tępych umysłami prezydenckich kandydatów w ostatnich wyborach. Przewrócił kilka kartek i zagłębił się w lekturze. Po chwili stwierdził, że tkwi w denerwująco racjonalnym umyśle Spocka, przeskoczył kolejne strony i odkrył, że tym razem znajduje się w umyśle „Bonesa” McCoya.

Poirytowany zamknął „Podróż do odbytu wszechświata”, czy jak się tam ta cholerna książka nazywała, i uderzył nią lekko w pierś Clockera. Postanowił go obudzić.

Clocker wyprostował się tak gwałtownie, że filcowy kapelusz zsunął mu się z głowy i wylądował na kolanach. Spytał zaspanym głosem:

- Co? Co?
- Wkrótce lądujemy.
- No pewnie – stwierdził Clocker.
- Spotykamy się z kontaktem.
- Życie jest kontaktem.

Oslett był w kiepskim nastroju. Pościg za zbuntowanym zabójcą, rozmyślanie o ojcu, rozważanie możliwych skutków katastrofy ucieleśnionej w Martinie Stillwaterze, lektura kilkunastu stron „Star Trek”, a teraz jeszcze wysłuchiwanie kolejnych kryptogramów Clockera... to już było za wiele. Powiedział:

- Albo śliniłeś się przez sen, albo stado ślimaków pełzło ci po brodzie i wlało w usta.

Clocker uniósł tęgie ramię i wytarł dolną część twarzy rękawem koszuli.

– Ten kontakt – ciągnął Oslett – może już mieć trop Alfiego. Musimy być czujni i gotowi do działania. Oprzytomniałeś?

Oczy Clockera były kaprawe.

- Nikt z nas nie jest nigdy całkiem przytomny.

– Czy mógłbyś skończyć z tym niewydarzonym mistycznym gównem? Nie mam w tej chwili cierpliwości, by tego wysłuchiwać.

Clocker przypatrywał mu się przez długą chwilę i wreszcie powiedział:

- Masz wzburzone serce, Drew.
- Mylisz się. To mój żołądek się burzy od słuchania tych bredni.
- Wewnętrzna burza ślepej wrogości.
- Pieprz się.

Ton silników zmienił się nieznacznie. W chwilę później podeszła stewardessa, żeby poinformować, że samolot zbliża się do lotniska w Orange County. Poprosiła, żeby zapięli pasy.

Rolex Osletta wskazywał pierwszą pięćdziesiąt dwa rano, ale był to czas w Oklahoma City. Gdy odrzutowiec schodził do lądowania, Drew nastawił zegarek na jedenastą pięćdziesiąt dwie.

Zanim wylądowali, poniedziałek przeszedł cichym tykaniem we wtorek, jak zegar przy bombie, odmierzający czas, który pozostał do detonacji.

Wysłannik, którym okazał się dwudziestoparoletni człowiek, niewiele młodszy od Osletta, czekał w halu dla pasażerów samolotów prywatnych. Powiedział im, że nazywa się Jim Lomax, co najprawdopodobniej nie było jego prawdziwym nazwiskiem.

Przywołując postaci z popularnego komiksu, Oslett przedstawił się jako Charlie Brown, a wskazując Clockera wymienił nazwisko Dagwood Bumstead.

Kontakt zdawał się nie rozumieć dowcipu. Pomógł im wynieść rzeczy na parking i załadował do bagażnika zielonego oldsmobile'a.

Lomax był jednym z tych Kalifornijczyków, którzy uczynili ze swego ciała świątynię, a następnie przystąpili do tworzenia bardziej złożonej architektury. Filozofia spod znaku ćwiczeń i zdrowej żywności już dawno rozprzestrzeniła się w każdym zakątku kraju i od lat Amerykanie robili wszystko, by mieć twarde mięśnie i zdrowe serca, aż po najodleglejsze krańce śnieżnego stanu Maine. Jednakże to w Kalifornii przyrządzono pierwszy koktajl z marchwi, otwarto pierwszy bar, w którym serwowano muesli i gdzie, inaczej niż w innych stanach, wielu ludzi wierzyło, że surowa jicama jest odpowiednim

substytutem dla frytek. Zatem tylko nieliczni, fanatyczni Kalifornijczycy wykazywali dostatecznie dużo determinacji, by jeszcze bardziej rozbudowywać ową świątynię ciała. Jim Lomax miał szyję jak granitowa kolumna, bary jak wykuta z wapienia belka nad drzwiami, klatkę piersiową zdolną podtrzymać ścianę kościelnej nawy, brzuch płaski jak kamień z ołtarza. Jim Lomax uczynił ze swego ciała katedrę.

Chociaż burza przeszła przez okolicę wcześniej i powietrze wciąż było wilgotne i chłodne, Lomax miał na sobie jedynie dżinsy i podkoszulek, na którym widniała Madonna z obnażonymi piersiami (piosenkarka, nie Matka Boska), jakby żywioły mogły mu zaszkodzić w takim samym stopniu co kamiennym murom potężnej fortecy. Nie szedł, dosłownie kroczył, wykonując każdą czynność z wykalkulowanym wdziękiem, napawając się powszechną zazdrością i podziwem.

Oslett podejrzewał, że Lomax był nie tylko dumny, był również próżny, skłonny do narcyzmu. Jedynym Bogiem, jakiego wielbił, było *ego* zamieszkujące katedrę jego ciała.

Mimo to Oslettowi podobał się ten facet. Jego najbardziej sympatyczną cechą było to, że w jego towarzystwie Clocker wydawał się mniejszy. Prawdę mówiąc była to jedyna sympatyczna cecha, ale to wystarczało. Szczerze mówiąc Lomax był tylko nieznacznie, jeśli w ogóle, większy od Clockera, ale sprawiał wrażenie silniejszego i lepiej zbudowanego. W porównaniu z nim Clocker wydawał się powolny, niezgrabny, stary i słaby. Ponieważ Oslett czasem sam czuł się zastraszone rozmiarami Clockera, myśl o Clockerze zastraszone przez Lomaxa sprawiała mu przyjemność – choć, co było dość frustrujące, jeśli wielbiciel sf był w ogóle pod wrażeniem Lomaxa, to nie okazywał tego po sobie.

Prowadził Lomax. Oslett siedział z przodu, a Clocker usadowił się z tyłu.

Wyjechali z lotniska i skręcili w prawo, w MacArthur Boulevard. Znajdowali się dzielnicy luksusowych biurowców i kompleksów, z których wiele wyglądało na miejscowe czy krajowe biura dużych korporacji, które oddzielały od ulicy rozległe i starannie utrzymane trawniki, grządki, ściany krzewów i mnóstwo drzew. Wszystko było artystycznie oświetlone, by podkreślić ukształtowanie terenu.

– Pod siedzeniem – zwrócił się Lomax do Osletta – znajdzie pan kserokopię raportu policji z Mission Viejo na temat incydentu w domu Stillwatera. Nie było łatwo to zdobyć. Proszę zaraz przeczytać, bo muszę to zniszczyć.

Do raportu doczepiona była latarka w kształcie pióra. Gdy jechali wzdłuż MacArthur Boulevard, kierując się na południe i zachód, w stronę Newport Beach, Oslett studiował dokument z rosnącym zdumieniem i przerażeniem. Dojechali do Pacific Coast Highway, skręcili na południe i, zanim skończył, przejechali całą Corona del Mar.

– Ten gliniarz, ten Lowbock – powiedział Oslett, podnosząc wzrok znad raportu – myśli, że to był zwykły chwyt reklamowy, myśli nawet, że nie było żadnego włamywacza.

– To dla nas szansa – powiedział Lomax. – Uśmiechnął się szeroko, co było błędem, bo wyglądał teraz jak chłopak z plakatu, nawołujący do dobroczynnej akcji na rzecz nieuleczalnie głupich.

– Biorąc pod uwagę to, że być może cała cholerna Sieć idzie właśnie na dno, to myślę, że potrzebujemy czegoś więcej niż szansy. Potrzebujemy cudu – stwierdził Oslett.

– Pokaż mi to – powiedział Clocker.

Oslett podał mu raport i latarkę, a następnie zwrócił się do Lomaxa:

– Jak ten nasz niedobry chłopak dowiedział się o Stillwaterze, jak go znalazł?

Lomax wzruszył kamiennymi barami.

– Nikt nie wie.

Oslett wydał z siebie pomruk niezadowolenia.

Minęli ekskluzywny, ogrodzony teren golfowy, za którym rozciągał się ciemny Pacyfik, tak rozległy

i czarny, że wydawał się krawędzią wieczności.

Lomax odezwał się:

– Sądzimy, że jeśli będziemy obserwować Stillwatera, to prędzej czy później Alfie się pojawi i wtedy go odzyskamy.

– Gdzie jest teraz Stillwater?

– Nie wiemy.

– Wspaniale.

– No cóż, widzi pan, mniej więcej pół godziny po odjeździe policji wydarzył się kolejny incydent ze Stillwaterami, zanim do nich dotarliśmy. Potem, jak się zdaje... ukryli się gdzieś...

– Jaki znów incydent?

Loxman zmarszczył brwi.

– Nie wiemy nic pewnego. To się stało niedaleko ich domu. Różni sąsiedzi widzieli różne rzeczy, ale facet, pasujący do opisu Stillwatera, wystrzelił kupę naboju do innego faceta w buicku. Buick walnął w zaparkowanego explorera, rozumie pan, i szepił się z nim. Dwa dzieciaki, pasujące do opisu dziewczynek Stillwatera, wypadły z tylnego siedzenia buicka i uciekły, wtedy buick ruszył, Stillwater opróżnił za nim magazynek, i wtedy to BMW, które pasuje do opisu jednego z wozów Stillwaterów, wyjechało zza rogu pędząc jak wszyscy diabli. A prowadziła żona Stillwatera i wszyscy wsiedli do wozu i odjechali.

– Za buickiem?

– Nie. Już go dawno tam nie było. Wyglądało, jakby próbowali zwać stamtąd, zanim pojawią się gliny.

– Czy ktoś widział tego faceta w buicku?

– Nie. Było za ciemno.

– To był nasz niedobry chłopak.

– Naprawdę tak pan myśli? – spytał Lomax.

– Jeśli to nie on, to chyba sam papież.

Lomax posłał mu pełne zdziwienia spojrzenie, a potem wpatrzył się w drogę przed maską samochodu.

Zanim ten tępak zdążył spytać, skąd miałby się tam wziąć papież, Oslett odezwał się:

– Dlaczego nie mamy policyjnego raportu z tego drugiego incydentu?

– Bo go nie było. Żadnej skargi. Brak ofiary przestępstwa. Tylko raport na temat uszkodzonego explorera.

– Według tego, co powiedział glinom Stillwater, nasz Alfie myśli, że to *on* jest Stillwaterem, albo że powinien nim być. Myśli, że ukradziono mu jego życie. Biedny chłopak zupełnie zgłupiał, absolutny pomylenieć, więc dlatego wrócił i ukradł Stillwaterowi dzieciaki, bo sobie ubzdurał, że to *jego* dzieciaki. Jezu, ale się pochrzańiło.

Znak przy drodze informował, że za chwilę dotrą do granic Laguna Beach.

Oslett spytał:

– Dokąd jedziemy?

– Do hotelu Ritz Carlton w Dana Point – wyjaśnił Lomax. – Macie tam apartament. Pojechałem dłuższą trasą, żebyście mogli przeczytać raport.

– Zdrzemnęliśmy się w samolocie. Myślałem, że jak wylądujemy, to od razu przystąpimy do działania.

Lomax wyglądał na zaskoczonego.

– A co chcecie robić?

– Pojechać do domu Stillwatera na początek, rozejrzeć się i zobaczyć to, co da się zobaczyć.

– Nie ma tam nic do oglądania. W każdym razie polecono mi zawieźć was do Ritza. Musicie się przespać i przygotować do wyjazdu przed ósmą rano.

– Dokąd?

– Spodziewają się, że do rana wpadną na trop Stillwatera, waszego chłopaka, a może obu. Ktoś przyjdzie do hotelu o ósmej, żeby dać wam instrukcje, więc musicie być wypoczęci i gotowi do drogi. A w Ritzu dobrze sobie wypoczniecie. To wspaniały hotel. I doskonała kuchnia. Nawet na zamówienie. Można dostać dobre, zdrowe śniadanie, nie to typowe, tłuste hotelowe gówno. Omlety z białka jajek, chleb z siedmiu zbóż, świeże owoce, beztłuszczowy jogurt...

– Na pewno mogę dostać tam śniadanie, jakie zwykle jadam na Manhattanie – przerwał mu Oslett. – Embriony aligatora i obsmażane głowy węgorzy, podane na wodorostach w maśle czosnkowym, plus podwójna porcja cielejących mózdków. Och, człowieku, nigdy w życiu nie czuleś się taki napompowany jak ja po tym śniadaniu.

Lomax przyglądał się Oslettowi tak zdumiony, że gwałtownie zwolnił.

– No cóż, mają niezłe jedzenie w Ritzu, choć może nie tak egzotyczne jak to w Nowym Jorku. – Znow spjrzał na ulicę i samochód zaczął nabierać prędkości. – A tak na marginesie, jest pan pewien, że to zdrowe jedzenie? Mam wrażenie, że to sam cholesterol.

W głosie Lomaxa nie wyczuwało się nawet śladu ironii czy humoru. Naprawdę uwierzył, że Oslett jada na śniadanie głowy węgorzy, embriony aligatorów i cielejące mózdzki.

Oslett musiał przyznać z niechęcią, że istnieli jeszcze gorsi partnerzy niż Karl Docker, bo on tylko wyglądał na głupiego.

W Laguna Beach grudzień był martwym miesiącem i ulice prawie świeciły pustkami w ten wtorkowy poranek, o dwunastej czterdzieści pięć. Gdy dotarli do skrzyżowania w samym sercu miasta, mając po prawej stronie plażę, zatrzymali się na czerwonym świetle, choć nie widać było żadnego innego samochodu.

Oslett miał wrażenie, że miasto jest niepokojąco martwe, jak każde inne miejsce w Oklahomie. Tęsknił za gwarem Manhattanu: mroczną muzyką syren policyjnych radiowozów i karetok pogotowia, nie kończącym się trąbieniem klaksonów. Tak bardzo brakowało mu w tym sennym mieście, leżącym na obrzeżach zimowego morza, śmiechu, pijanych głosów, kłótni i obłąkanej paplaniny naćpanych i bezdomnych schizofreników, wszystkich tych dźwięków, które docierały do jego mieszkania nawet w najgłębszej godzinie nocy.

Gdy wyjeżdżali z Laguna, Clocker zwrócił na przednie siedzenie raport policji z Mission Viejo.

Oslett czekał na jego komentarz. Kiedy Clocker wciąż milczał i Oslett nie mógł już dłużej znieść ciszy, odwrócił się w stronę tylnego siedzenia i spytał:

– No?

– Co no?

– Co myślisz?

– Niedobrze – odezwał się Clocker ze swojego zacienionego legowiska.

– Niedobrze? To wszystko, co możesz powiedzieć? Mnie to wygląda na kolosalny problem.

– No cóż – stwierdził filozoficznie Clocker – do każdej kryptofaszystowskiej organizacji czasem napada trochę deszczu.

Oslett wybuchnął śmiechem. Obrócił się do przodu, zerknął na poważnego Lomaxa i roześmiał się jeszcze głośniejsze.

- Karl, czasem naprawdę myślę, że nie jesteś złym facetem.
- Głupi czy mądry – odpowiedział Clocker – i tak wszystko rezonuje tym samym ruchem subatomowych cząstek.
- Nie psuj tej pięknej chwili – ostrzegł Oslett.

W najgłębszej dolinie nocy otrząsa się ze swoich snów, snów o podrzynanych gardłach, roztrzaskanych kulami głowach, bladych nadgarstkach pociętych brzytwami i uduszonych prostytutkach, ale nie siada gwałtownie, nie oddycha spazmatycznie ani nie krzyczy jak człowiek budzący się z koszmaru, bo jego sny zawsze przynoszą ukojenie. Leży zwinięty w kłębek na tylnym siedzeniu samochodu, częściowo zanurzony w rzeczywistości, częściowo w ozdrowieńczym letargu.

Połowę jego twarzy pokrywa gęsta, kleista substancja. Podnosi do policzka dłoń i ostrożnie, sennie bada palcami lepką maź, próbując dowiedzieć się, co to jest. Znajdując w gęstniejącej masie kłujące odłamki szkła uświadamia sobie, że jego zdrowiejące oko pozbywa się odłamków samochodowej szyby wraz ze zniszczoną gałką oczną, którą zastępuje nowa tkanka.

Mruga, otwiera oczy. Widzi normalnie – lewym i prawym okiem. Nawet w tłoczonym wnętrzu buicka wyraźnie rozpoznaje kształty, różnice w fakturze przedmiotów i rzednącą ciemność za szybą samochodu.

Za kilka godzin, zanim drzewa palmowe zaczną rzucać długie, skierowane ku zachodowi cienie poranka, on będzie zdrowy. Znów będzie gotów upomnieć się o swoje przeznaczenie.

Szepcze: *Charlotte...*

Ciemność rozjaśnia ponure światło. Chmury wlokące ze sobą burzę są cienkie i poszarpane. Spomiędzy postrzępionych serpentyn wyziera zimne oblicze księżycy.

– *Emily...*

Noc za oknami samochodu połyskuje nieznacznie, jak lekko zmatowiałe srebro w blasku płomienia samotnej świecy.

...z tatą wszystko będzie dobrze... wszystko dobrze... nie martwcie się... z tatą wszystko będzie dobrze...

Pojmuje teraz, że do sobowtóra przyciągał go magnetyzm. Tajemna siła, którą wyczuwał jakimś szóstym zmysłem. Nie uświadamiał sobie, że ta druga jaźń istnieje, ale dążył do niej, jakby to dążenie było autonomiczną funkcją jego ciała, tak jak bicie serca, wytwarzanie i utrzymywanie zapasu krwi, działanie wewnętrznych organów, dokonujące się bez jakiegokolwiek udziału woli.

Wciąż zanurzony we śnie zastanawia się, czy może posłużyć się swoim szóstym zmysłem świadomie i odnaleźć uzurpatora, kiedy tylko zapragnie.

Wyobraża sobie sennie, że jest postacią wyrzeźbioną w żelazie i przyciąganą magnesem. Ta druga jaźń, kryjąca się gdzieś w mroku nocy, jest podobną postacią. Każdy magnes ma ujemny i dodatni biegun. Wyobraża sobie, że jego biegun dodatni zmierza w prostej linii ku biegunowi ujemnemu fałszywego ojca. Wszak przeciwieństwa się przyciągają.

Próbuje odszukać owo przyciąganie i prawie natychmiast je znajduje. Czuje lekkie działanie niewidzialnych fal wysyłanych przez jakąś nieznaną moc.

Na zachód. Na zachód i południe.

Podobnie jak podczas nakazanej przez trudny do określenia imperatyw jazdy, czuje teraz, że siła przyciągania rośnie coraz bardziej, aż wreszcie zaczyna przypominać ociążałą grawitację planety przywołującej ku swej ognistej atmosferze mały asteroid.

Na zachód i południe. Niedaleko. Tylko kilka mil.

Ten impuls jest na początku nagły, dziwnie przyjemny, ale potem niemal bolesny. Czuje się tak, jakby w chwili opuszczenia samochodu miał natychmiast unieść się nad ziemią i poszybować w górę z wielką szybkością, wprost na orbitę otaczającą tego znieawidzonego, fałszywego ojca, który odebrał

mu jego życie.

Nagle wyczuwa, że wróg wie, że jest ścigany i także dostrzega owe wiązki mocy, które ich łączą.

Przestaje wyobrażać sobie przyciąganie magnetyczne. Natychmiast wycofuje się do własnego wnętrza, zamyka się w sobie. Nie jest jeszcze całkiem gotowy do walki z przeciwnikiem i nie chce, by tamten został ostrzeżony przecuciem, że od kolejnego spotkania z sobowtórem dzieli go zaledwie kilka godzin.

Zamyka oczy.

Uśmiecha się, odpływa w sen.

Uzdrowiający sen.

Z początku jego sny dotyczą przeszłości, zaludnionej przez tych, których zabił i przez kobiety, z którymi uprawiał seks i które obdarzył postcoitalną śmiercią. Nagle porywają go sceny, z pewnością prorocze, sceny przedstawiające tych, których kocha – jego słodką żonę, jego piękne córki, niewyobrażalnie czułe i cudownie uległe, skąpane w uroczym złotym blasku, w płomieniach srebra, rubinu, ametystu, nefrytu i indygo.

Marty ocknął się z koszmaru sennego z uczuciem, że ktoś miażdży go na proch. Nawet gdy koszmar rozpadł się i rozpląnął, a on zorientował się, że nie śpi i że jest w pokoju hotelowym, nie był w stanie odetchnąć ani się poruszyć. Czuł się mały i słaby. Był dziwnie przekonany, że za chwilę zostanie rozbity na miliardy nie powiązanych ze sobą atomów przez jakąś irracjonalną kosmiczną siłę.

Oddech powrócił nagle, gwałtowny jak eksplozja. Paraliż ustąpił w chwili, gdy od stóp do głów wstrząsnął nim spazm.

Spojrzał na śpiącą przy nim Paige. Coś mruknęła, ale się nie obudziła.

Wstał najciszej jak tylko umiał, podszedł do frontowego okna, ostrożnie rozchylił zasłony i wyrzwał na parking motelowy i szosę. Przy zaparkowanych samochodach nie było nikogo. O ile mógł sobie przypomnieć, wszystkie cienie, jakie teraz widział, były tam: już wcześniej. Nie dostrzegł żadnej postaci czającej się w którymś z zakątków. Wiatr odszedł wraz z burzą. Laguna była tak nieruchoma, że drzewa wyglądały jak namalowane na płótnie, umieszczonym na sztalugach. Po szosie przejechała ciężarówka. Był to jedyny ruch, jaki zakłócił noc.

Na ścianie vis-a-vis okna, za zasłonami, były rozsuwane szklane drzwi wychodzące na balkon. U stóp cypla ciągnął się pas bladej plaży, o którą rozbijały się srebrzyste fale. Nikt nie zdołałby łatwo wspiąć się na balkon, a okoliczny trawnik był pusty.

– Może to był naprawdę tylko koszmar senny.

Odwrócił się od szklanych drzwi. Zasłony zakryły drzwi balkonu. Spojrzał na świecąca tarczę zegarka. Trzecia.

Spał około pięciu godzin. Nie za długo, ale powinno wystarczyć.

Szyja bolała go nieznośnie, a gardło trochę piekło.

Poszedł do łazienki, zamknął ostrożnie drzwi i zapalił światło. Z podróżnego zestawu leków wyjął butelkę excedrinu. Według informacji na etykiecie nie należało zażywać więcej niż dwie tabletki naraz i nie więcej niż osiem na dobę. Ponieważ, jak mu się zdawało, stałym elementem jego życia było teraz zagrożenie, wyjął z butelki cztery tabletki i popił szklanką wody z kranu, następnie wsadził w usta pastylkę na gardło i zaczął ssać.

Wrócił do sypialni i wziął strzelbę o krótkiej lufie, leżącą obok łóżka, a następnie przeszedł do pokoju dziewczynek. Spały, zakopane w pościeli, jak żółwie w skorupach, zasłaniając się przed

drażniącym światłem nocnych lampek.

Wyrzął przez okno. Pustka.

Wieczorem odstawił krzesło z powrotem do kąta, ale teraz znów wysunął je na środek pokoju, w obręb światła. Nie chciał przestraszyć Charlotte i Emily, gdyby obudziły się przed świtem i zobaczyły obcego mężczyznę schowanego w cieniu.

Usiadł z rozsuniętymi kolanami, trzymając strzelbę na udach.

Choć miał pięć sztuk broni, z których trzy zabrała policja, i choć nieźle strzelał z każdej, choć napisał wiele opowiadań, w których strzelano, broniono się i mordowano, Marty był zaskoczony swoim brakiem wahania, gdy sięgał po pistolet, kiedy wymagała tego sytuacja. W końcu nie miał doświadczenia w zabijaniu.

Jego życie, a potem życie jego rodziny było zagrożone, ale wydawało mu się, że będzie miał opory, gdy jego palec po raz pierwszy owinie się wokół spustu. Spodziewał się, że poczuje choć cień żalu, gdy postrzeli człowieka w klatkę piersiową, nawet jeśli drań na to zasługiwał.

Wyraźnie pamiętał tę ponurą radość, gdy strzelał za uciekającym buickiem. Pierwotny barbarzyńca, przyczajony w każdym człowieku, budził się w Martym równie szybko jak w kimkolwiek innym, bez względu na wykształcenie, odczytanie czy stopień ucywilizowania.

To, co w sobie odkrył, nie oburzyło go tak bardzo jak powinno. Do diabła, nie oburzyło go to wcale.

Wiedział, że jest zdolny zabijać, zabić w obronie życia swojego, Paige czy dzieci. I choć żył w społeczeństwie, w którym wydawało się rzeczą intelektualnie słuszną wyznawać pacyfizm jako jedyną nadzieję przetrwania zdegenerowanego świata, nie uważał, by był beznadziejnym reakcjonistą, ewolucyjnym wstecznikiem czy degeneratem. Był tylko człowiekiem działającym zgodnie z nakazem natury.

Cywilizacja zaczęła się od rodziny, od dzieci chronionych przez matki i ojców, gotowych do każdego poświęcenia, a nawet oddania za nie życia.

Jeśli rodzina nie była już bezpieczna, jeśli władze nie mogły czy też nie chciały chronić jej przed gwałcicielami, pedofilami, mordercami, jeśli zbrodniarze wychodzili z więzienia prędzej niż fałszywi kaznodzieje, którzy zdefraudowali majątek kościołów, niż chciwe milionerki, nie płacące podatków, to w takim razie cywilizacja umierała. Jeśli dzieci stały się zwierzyną łowną, co potwierdzał każdy numer jakiegokolwiek dziennika, to świat pogrążał się w barbarzyństwie. Cywilizacja istniała jeszcze tylko na maleńkich wysepkach, w tych domach, gdzie rodzina darzyła się na tyle silną miłością, by jej członkowie ryzykowali życie w obronie bliskich.

Jakiż potworny dzień mieli za sobą. Jego jedyną dobrą stroną było odkrycie, że fuga, koszmary senne i inne symptomy nie są objawem fizycznego czy psychicznego urazu. W końcu okazało się, że zło nie tkwi w chorej wyobraźni Marty'ego. Zjawą była rzeczywistość.

Ale ta diagnoza nie przyniosła mu wiele satysfakcji. Choć odzyskał pewność siebie, to jednak stracił tak wiele...

Wszystko się zmieniło.

Na zawsze.

Zdawał sobie sprawę, że jeszcze niezupełnie pojął, jak strasznie zmieniło się ich życie. W ciągu tych paru godzin, jakie pozostały do świtu, kiedy to próbował się zastanowić, co powinien jeszcze zrobić, by chronić siebie i swoją rodzinę, i pomyśleć o Tym Drugim, ich sytuacja stawała się w nieunikniony sposób coraz trudniejsza, a warianty działania o wiele bardziej ograniczone, niż sam przed sobą odważył się przyznać.

Przede wszystkim podejrzewał, że nigdy nie będą mogli wrócić do domu.

Budzi się pół godziny przed świtem. Jest wyleczony i wypoczęty.

Wraca na przednie siedzenie, włącza oświetlenie i bada w lusterku wstecznym swoje czoło i lewe oko. Bruzda wyżłobiona nad brwią przez kulę już się zasklepiła, nie pozostawiając żadnej dostrzegalnej blizny. Oko jest zdrowe.

Jednakże połowa twarzy pokryta jest skorupą zaschniętej krwi i odrażających organicznych resztek, będących produktem procesu gojenia. Część jego twarzy przypomina „Okropnego Dr Phibesa” czy „Człowieka ciemności”.

Grzebiąc w schowku, znajduje małą paczkę papierowych chusteczek. Pod nimi leży duże pudełko Handi Wipes, wilgotnych ściereczek opakowanych w foliowe torebki. Za pomocą chusteczek i ściereczek usuwa z twarzy warstwę brudu, a dłońmi przygląda zmierzwiłone od snu włosy.

Teraz już nikogo nie przestraszy, ale wciąż nie wygląda na tyle dobrze, by nie zwracać uwagi, a tego właśnie pragnie. Choć obszerny płaszcz, zapięty aż po szyję, zakrywa poszarpaną koszulę, to jednak cuchnie ona krwią i jedzeniem, którym ją zaplamił podczas szalonej uczyty na zalanym deszczem parkingu przy restauracji McDonalda, zanim spotkał pechowego właściciela buicka. Jego spodnie też nie są nieskazitelne.

Jeśli będzie miał trochę szczęścia, to znajdzie coś, czego potrzebuje. Wyciąga więc kluczyki ze stacyjki, wysiada z samochodu, obchodzi go i otwiera bagażnik. Z ciemnego wnętrza, częściowo tylko oświetlonego przez zbłąkany promień pobliskiej lampy, patrzy na niego martwy mężczyzna, a w jego szeroko otwartych oczach maluje się zdumienie, jakby był zaskoczony tym, że znów widzi zabójcę.

Dwie plastikowe torby z zakupami leżą na trupie. Wysypuje ich zawartość wprost na zwłoki. Właściciel buicka kupił przeróżne rzeczy. Najbardziej użyteczny wydaje się teraz obszerny półgolf.

Trzyma sweter w lewym ręku, prawą dłonią delikatnie opuszcza klapę bagażnika. Uważa, żeby nie hałasować. Ludzie zaczną się wkrótce budzić. Zamyka bagażnik i wsadza kluczyki do kieszeni.

Niebo jest jeszcze ciemne, ale gwiazdy już bledną. Wkrótce świt rozjaśni czerń nocy.

Wie, że ten rozległy kompleks prywatnych domków z ogrodami musi mieć przynajmniej dwie publiczne pralnie, więc wyrusza na poszukiwanie którejś z nich. Po minucie znajduje tablicę informacyjną, kierującą go do ośrodka rekreacyjnego – basenu, wypożyczalni i najbliższej pralni.

Dróżki łączące poszczególne budynki wiją się przez duże starannie zaprojektowane dziedzińce, przesłonięte rozrośniętymi drzewami laurowymi i oświetlone oryginalnymi latarniami starego typu, pokrytymi zielonkawą patyną. Ładne osiedle. Chciałby tu mieszkać. Naturalnie, jego dom w Mission Viejo robi jeszcze większe wrażenie, i jest przekonany, że Paige i dziewczynki są do niego tak przywiązane, że nigdy nie chciałyby się wyprowadzić.

Wejście do pralni jest zamknięte, ale nie stanowi to dla niego większego problemu. Administracja zamontowała tani system zabezpieczający, zwykły zatrzask zamiast szyfrowego zamka. Był zapobiegliwy. Ma teraz przy sobie kartę kredytową, wyjętą z portfela zamordowanego mężczyzny, którą wsuwa między drzwi a framugę. Przesuwa do góry, zatrzask stawia przez chwilę opór, naciska i otwiera zamek.

Wchodzi do środka – sześć pralek automatycznych uruchamianych przez wrzucenie monety, cztery suszarki gazowe, automat z małymi opakowaniami proszku i środkami do zmiękczenia tkanin, duży stół, na którym można zwijać upraną bieliznę i dwie głębokie umywalki. Wszystko wygląda czysto i przyjemnie w świetle lamp fluorescencyjnych.

Zdejmuje płaszcz i obrzydliwie brudną koszulę flanelową. Zawija ją razem z płaszczem i wpycha do

dużego kosza na brudną bieliznę, który stoi w kącie.

Na piersi nie ma śladu po ranach postrzałowych. Nie musi oglądać swoich pleców, żeby zobaczyć, że pojedyncza rana po kuli, tej, która przeszła go na wylot, też jest już zagojona.

Myje się przy jednej z umywalek i wyciera papierowym ręcznikiem.

Marzy o długim gorącym prysznicu pod koniec dnia – w swojej własnej łazience, we własnym domu. Kiedy już odnajdzie uzurpatora i go zabije, kiedy już odzyska rodzinę, nadejdzie czas na proste przyjemności. Paige będzie brała prysznic razem z nim. Spodoba jej się.

Mógłby nawet zdjąć dżinsy i uprać je w jednej z pralek. Jednak rezygnuje i zeskrobuje paznokciami zaschnięte jedzenie z materiału. Pociera plamy zmoczonymi ręcznikami papierowymi – rezultat jest zupełnie zadowolający.

Sweter to przyjemna niespodzianka. Spodziewał się, że będzie na niego za duży, tak jak płaszcz, ale ten z buicka najwidoczniej nie kupował go dla siebie. Pasuje jak ulał. Kolor czerwonej żurawiny dobrze współgra z niebieskimi dżinsami. Gdyby w pralni było lustro, to jest pewien, że ukazałoby człowieka nie tylko przeciętnego, ale również godnego szacunku, a nawet przystojnego.

Za oknem widać świt. Widmowa jasność na wschodzie.

Ptaki ćwierkają w koronach drzew.

Powietrze jest słodkie.

Wyrzuca kluczyki od buicka w jakieś krzaki, zostawia auto wraz ze zwłokami i szybko idzie stronę najbliższego krytego parkingu. Sprawdza systematycznie drzwi samochodów zaparkowanych pod dachem oplecionym pnączami tropikalnymi. I kiedy już sądzi, że wszystkie są zamknięte, natrafia na otwartą toyotę camry.

Wślizguje się za kierownicę. Szuka kluczyków pod osłoną przeciwsłoneczną. Pod siedzeniem. Nic z tego.

Nie ma to znaczenia. Jest przecież pomysłowy. Zanim niebo się rozjaśni, będzie na trasie.

Najprawdopodobniej właściciel camry odkryje zniknięcie samochodu za parę godzin, kiedy będzie chciał pojechać do pracy, i szybko zgłosi kradzież. Nie ma problemu. Do tego czasu tablice rejestracyjne toyoty będą widniały na innym wozie, a camry będzie miała zupełnie nowe numery, co uczyni ją prawie niewidzialną dla policji.

Czuje się ożywiony, kiedy w różowym świetle poranka pokonuje wzgórze Laguna Niguel. Wczesne niebo jest jeszcze wyblakłym błękitem, ale wyższe skupiska prążkowanych chmur przecinają jasnorożowe strumyki.

Jest pierwszy dzień grudnia. Dzień numer jeden. Zaczyna wszystko od początku. Od tej chwili życie będzie toczyło się po jego myśli, ponieważ nie zlekceważy już swego wroga.

Zanim zabije tego fałszywego ojca, wylupie draniowi oczy w rewanżu za swoją ranę. Każe córkom na to patrzeć, bo to będzie to dla nich ważna lekcja, dowód, iż fałszywy ojciec nie może zwyciężyć, i że ich prawdziwy ojciec jest człowiekiem, którego należy słuchać pod groźbą bardzo surowej kary.

Księga piąta

Marty obudził dziewczynki o świcie.

– Trzeba wziąć prysznic i ruszyć w drogę, drogie panie. Mamy mnóstwo do zrobienia dzisiejszego ranka.

Emily natychmiast oprzytomniała. Wyrzebała się spod kołdry i stanęła na łóżku w piżamie koloru zonkili. Wydawała się prawie tak wysoka jak on. Zażądała, by ją przytulił i pocałował na dzień dobry.

– Miałam supersen.

– Niech zgadnę. Śniłaś, że jesteś na tyle duża, by móc umówić się z Tomem Cruise, prowadzić sportowe samochody, palić papierosy, upić się, a potem zwymiotować.

– To niemiłe – stwierdziła. – Śniłam, że poszedłeś do automatu i przyniosłeś nam na śniadanie sok w puszcze i batony.

– Przykro mi, ale to nie była prorocza wizja.

– Tatusiu, nie bądź pisarzem, który używa wielkich słów.

– Chodziło mi o to, że twój sen chyba się nie spełni.

– No cóż, wiem o tym – powiedziała. – Ty i mama dostalibyście szalu, gdybyśmy zjadły na śniadanie batony.

– Szalu. Nie szalu.

– Czy to naprawdę ważne? – zmarszczyła się.

– Nie, chyba nie. Szal, szal, mów, jak chcesz.

Emily wysunęła się z jego objęć i zeskoczyła z łóżka.

– Idę zrobić siusiu – oświadczyła.

– To na początek. Potem weź prysznic, wyczyść zęby i ubierz się.

Charlotte, jak zwykle, budziła się wolniej. Gdy Emily zamykała drzwi do łazienki, Charlotte zdołała jedynie odsunąć pościel i usiąść na brzegu łóżka. Patrzyła z nachmurzoną miną na swoje nagie stopy.

Marty usiadł obok niej.

– Mówi się na nie duże palce u stóp.

– Mmmm – mruknęła.

– Potrzebujesz ich, żeby wypełnić nimi końce skarpet.

Ziewnęła.

Marty dodał:

– Będziesz potrzebowała ich o wiele bardziej, jeśli zechcesz zostać tancerką. Ale w przypadku innych profesji nie są tak bardzo potrzebne. Więc jeśli nie zamierzasz być baletnicą, to możesz je usunąć chirurgicznie, tylko te duże albo wszystkie dziesięć.

Przekrzywiła głowę i posłała mu spojrzenie, które znaczyło: Tata jest taki uroczy, więc mu ustąpię.

– Myślę, że je zachowam.

– Jak chcesz – powiedział i pocałował ją w czoło.

– Czuję włosy na zębach – poskarżyła się. – I na języku.

– Może w nocy zjadłś kota.

Zachichotała.

Z łazienki dobiegł odgłos spuszczonej wody, a w sekundę później otworzyły się drzwi.

– Charlotte, czy chcesz być sama w czasie korzystania z toalety, czy mogę wziąć teraz prysznic?

– Bierz prysznic – powiedziała Charlotte. – Śmierdzisz.

– Tak? A ty cuchniesz.

– A ty zajeżdżasz.

– Bo chcę – stwierdziła Emily, pewnie dlatego, że nie mogła wymyślić odpowiedniej riposty dla słowa „zajeżdżać”.

– Moje wdzięczne córeczki, prawdziwe małe damy – wtrącił się Marty.

Emily cofnęła się do łazienki i zaczęła manipulować przy prysznicu.

– Muszę pozbyć się tego nalotu na zębach – stwierdziła Charlotte. Wstała i podeszła do otwartych drzwi. Na progu odwróciła się do Marty’ego.

– Tato, czy musimy iść dzisiaj do szkoły?

– Dzisiaj nie.

– Tak mi się wydawało. – Zawahała się. – Jutro?

– Nie wiem, kochanie. Prawdopodobnie też nie.

Kolejna chwila wahania.

– Czy będziemy jeszcze kiedyś chodzić do szkoły?

– No pewnie, oczywiście.

Przypatrywała mu się o wiele za długo, a wreszcie skinęła głową i weszła do łazienki.

Jej pytanie poruszyło Marty’ego. Nie był pewien, czy tylko fantazjuje na temat życia bez szkoły, jak robi to od czasu do czasu większość dzieci, czy też wyraża bardziej dojrzałą troskę o to, co jeszcze może się stać.

Siedząc obok Charlotte na brzegu łóżka usłyszał włączony telewizor. Paige już się obudziła. Wstał, żeby pójść do niej i powiedzieć dzień dobry.

Kiedy zbliżał się do drzwi, zawołała go.

– Marty, szybko, chodź zobacz.

Kiedy wpadł do drugiego pokoju, zobaczył, że jego żona stoi przed telewizorem. Oglądała poranne wiadomości.

– To o nas – powiedziała.

Rozpoznał na ekranie ich dom. Reporterka stała na ulicy, plecami do domu, twarzą do kamery.

Marty przykucnął przed telewizorem i zwiększył natężenie dźwięku.

...więc zagadka pozostaje nie wyjaśniona, a policja bardzo by chciała porozmawiać dziś rano z Martinem Stillwaterem...

– Aha, dziś rano chcą rozmawiać – mruknął wściekły.

Paige uciszyła go.

...nieodpowiedzialny wybryk pisarza, przesadnie dbającego o swoją karierę, czy też coś bardziej poważnego? W sytuacji, gdy testy laboratoryjne potwierdziły, że krew w domu Stillwatera jest pochodzenia ludzkiego, konieczność – wyjaśnienia przez władze całej sprawy stała się bardzo pilna...

Na tym informacja się kończyła. Kiedy reporterka podawała swoje nazwisko i miejsce, skąd nadawała, Marty zauważył w górnym, lewym rogu ekranu napis „NA ŻYWO”. Choć tych sześć liter było tam cały czas, nie od razu uświadomił sobie ich znaczenie.

– Na żywo? – zdziwił się. – Nie wysyłają reporterów, dopóki nic się nie dzieje.

– Przecież się dzieje – powiedziała Paige. Stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach i patrzyła w skupieniu na ekran. – Ten wariat jest wciąż na wolności.

– Mam na myśli coś innego – na przykład reportaż z włamania, porwani zakładnicy i oddział antyterrorystyczny czekający w odwodzie. Według standardów TV nasza historia jest nudna, żadnej akcji,

nie ma nikogo, komu można by podsunąć mikrofon, tylko pusty dom w tle. To nie jest coś, co pokazuje „na żywo”. Za duże koszta, a za mało akcji.

Przekaz powrócił do studia. Marty ze zdumieniem stwierdził, że prezenter nie był drugorzędnym dziennikarzem z jakiejś stacji w Los Angeles, który zwykle czyta poranne wiadomości, ale znaną telewizyjną postacią.

– To wiadomości ogólnokrajowe – stwierdził zdziwiony Marty. – Od kiedy to informacja o włamaniu jest tak ważna, żeby ją podawać w wiadomościach ogólnokrajowych?

– Zostałeś również zaatakowany – powiedziała Paige.

– I co z tego? W dzisiejszych czasach co dziesięć sekund dzieją się gorsze rzeczy.

– Ale jesteś znany.

– Jak diabli.

– Może ci się to nie podobać, ale tak jest.

– Nie jestem aż tak znany, nie z dwoma bestsellerami w miękkich oprawkach. Czy wiesz, jak ciężko się dostać do ich programu? – Postukał knykциями w ekran. – To trudniejsze niż zdobycie zaproszenia na obiad w Białym Domu! Nawet gdybym zatrudnił specjalistę od reklamy, który zaprzedał duszę samemu diabłu, to i tak nie wcisnąłby mnie do tej audycji, Paige. Po prostu nie jestem dostatecznie wielki. Dla nich jestem nikim.

– To... jak to wyjaśnisz?

Podszedł do okna wychodzącego na parking i rozsunął lekko zasłony. Blade słoneczne światło. Jednostajny ruch na Pacific Coast Highway. Drzewa poruszane leniwie łagodną przybrzeżną bryzą.

Nie było w tym widoku niczego groźnego czy niezwykłego, a jednak wydał mu się złowroźny. Miał uczucie, że patrzy na świat, którego nie zna, na świat, który zmienił się na gorsze. Różnice były niewyczuwalne, subiektywne raczej niż obiektywne, postrzegane bardziej duchowo niż zmysłowo, ale jednak istniały. A szybkość, z jaką owa mroczna przemiana się dokonywała, była coraz większa. Już wkrótce widok z tego pokoju, czy jakkolwiek inny, będzie mu przypominał obraz widziany przez iluminator statku kosmicznego na odległej planecie, która tylko przypomina jego własny świat, ale która, pod tą mylącą, iluzoryczną powierzchnią, jest nieskończenie obca i nieprzyjazna dla ludzkiego życia.

– Nie sądzę – powiedział w końcu – by policja w normalnych warunkach tak szybko przeprowadziła badania tych próbek krwi, i wiem, że przekazywanie mediom wyników laboratoryjnych nie jest przyjętą praktyką. Opuścił zasłony i odwrócił się w stronę Paige. – Wiadomości ogólnokrajowe? – „Na żywo”, w miejscu przestępstwa? Nie wiem, co się, do diabła, dzieje, Paige, ale jest to jeszcze dziwniejsze, niż mi się wydawało ostatniej nocy.

Kiedy Paige brała prysznic, Marty przysunął sobie krzesło do telewizora i zmieniał kanały, szukając innych dzienników. Złapał koniec drugiej informacji na swój temat na lokalnym kanale, a potem trzecią informację, której wysłuchał w całości, w programie ogólnokrajowym.

Nie chciał ulegać paranoi, ale miał nieodparte wrażenie, że oba sprawozdania sugerowały, oczywiście bez jednoznacznych oskarżeń, iż nieprawdziwość jego zeznań przed policją z Mission Viejo nie budzi wątpliwości i że jego prawdziwym motywem była reklama, albo... coś bardziej mrocznego i dziwnego niż dbałość o własną karierę. W obu programach pokazano jego zdjęcie z najnowszego numeru *People*, na którym przypominał potwora z horroru, okrutnego i niespełna rozumu. I w obu sprawozdaniach celowo wspomniano o broni, którą zabrała policja, jakby był jakimś mieszkającym na przedmieściach fanatykiem, żyjącym na dachu bunkra wypełnionego bronią i amunicją. Miał wrażenie, że pod koniec

trzeciego sprawozdania zasugerowano, że może być nawet groźny dla otoczenia, choć oczywiście reporter nie powiedział tego wprost.

Roztrzęsiony, wyłączył telewizor.

Przez chwilę wpatrywał się w pusty ekran. Szarość martwego monitora była odbiciem jego nastroju.

Kiedy byli wreszcie gotowi, dziewczynki zajęły miejsca na tylnym siedzeniu BMW i zapięły pasy bezpieczeństwa, podczas gdy ich rodzice wkładali walizki do bagażnika.

Kiedy Marty zatrzasnął jego pokrywę i przekręcił kluczyk, Paige powiedziała cicho, tak by Charlotte i Emily nie mogły usłyszeć:

– Naprawdę uważasz, że musimy być aż tak bardzo ostrożni, czy jest naprawdę tak źle?

– Nie wiem. Zastanawiam się nad tym od chwili, gdy się obudziłem, od trzeciej, i wciąż nic nie wiem.

– To, co robimy, to poważne, nawet ryzykowne.

– Chodzi o to, że... to i tak jest już dziwne, cała ta historia z Tym Drugim... z tym, co mi powiedział... ale to, co się za tym kryje, jest jeszcze dziwniejsze. O wiele bardziej niebezpieczne niż jeden wariat z bronią. Groźniejsze. Tak wielkie, że zmiażdży nas, jeśli będziemy próbowali się temu przeciwstawić. Tak się czułem w środku nocy. Byłem przerażony, może nawet bardziej niż wówczas, gdy porwał nasze dzieci. A po tym, co zobaczyłem w TV dziś rano, jestem jeszcze bardziej skłonny ufać swoim przeczuciom.

Zdawał sobie sprawę, że zaczyna się zachowywać jak paranoik. Wiedział jednak, że instynkt go nie myli. Potwierdziły to ostatnie wydarzenia.

Żałował, że nie może zidentyfikować żadnego wroga oprócz mało prawdopodobnego sobowtóra, ponieważ wyczuwał instynktownie, że gdzieś istnieje jeszcze jeden wróg, i byłoby dobrze go znać. Mafia, Ku Klux Klan, neonaziści, konsorcjum podłych bankierów, rada nadzorcza złożona z dyrektorów jakiegoś wściekle chciwego międzynarodowego koncernu, konserwatywni generałowie ogarnięci pragnieniem ustanowienia dyktatury wojskowej, sekta szalonych zelotów z Bliskiego Wschodu, obłąkani naukowcy zamierzający wysadzić świat w powietrze dla samej przyjemności, czy szatan we własnej osobie, w całym swym rogowym splendorze jakikolwiek klasyczny złoczyńca rodem z telewizyjnych dramatów i niezliczonych powieści, nieważne jak nieprawdopodobny i banalny, byłby lepszy niż przeciwnik bez twarzy, kształtu czy imienia.

Zagryzając dolną wargę, pogrążona w myślach, Paige przeniosła spojrzenie ze zmierzwionych przez bryzę drzew na zaparkowane w pobliżu samochodu, potem na wejście do motelu, aż wreszcie przechyliła głowę do tyłu i spojrzała w górę na trzy krzyczące mewy, które krążyły po niebieskim i obojętnym niebie.

– Ty też to wyczuwasz – powiedział.

– Tak.

– Przygniatający ciężar. Nikt nas nie śledzi, ale wciąż mam wrażenie, że jest inaczej.

– To coś więcej. Inność. Obcość. Świat się zmienił albo sposób, w jaki ja na niego patrzę.

– Czuję to samo.

– Coś zostało... stracone.

„I nigdy już tego nie odnajdziemy” – pomyślał.

Ritz Carlton był wspaniałym hotelem. Marmur, piaskowiec, granit, wyrafinowane dzieła sztuki i antyki. Oslett nigdzie nie widział tak mistrzowsko ułożonych kompozycji kwiatowych, które tutaj były wszędzie, gdziekolwiek się obrócił. Służba, uprzejma i wszechobecna, zdawała się liczniejsza od gości. Całe to otoczenie przypominało Oslettowi dom rodzinny w Connecticut, gdzie się wychował, choć tamta posiadłość przekraczała rozmiarami Ritz Carltona, była umeblowana tylko kosztownymi antykami, zatrudniano tyle służby, że sześć osób przypadało na jednego członka rodziny, i miała prywatne lotnisko dostatecznie duże dla wojskowych helikopterów, którymi czasem podróżował prezydent Stanów Zjednoczonych.

Apartament o dwóch sypialniach i przestronnym salonie, który zarezerwowano dla Osletta i Clockera, oferował każde udogodnienie, od w pełni wyposażonego barku do marmurowych kabin z prysznicami, tak obszernych, że mógłby w nich pisać tancerz baletu podczas porannych ablucji. Ręczniki nie pochodziły od Pratesiego, jak te, których Oslett używał przez całe życie, ale były wykonane z dobrej egipskiej bawełny, miękkiej i dobrze wchłaniającej wodę.

Zanim wybiła siódma pięćdziesiąt, Oslett był już ubrany w białą bawełnianą koszulę z guzikami z wielorybiej kości, uszytą w słynnej londyńskiej firmie, nieskazitelną ciemnogrnatową kaszmirową marynarkę, wykonaną z niezwykłą dbałością o szczegóły przez osobistego krawca w Rzymie, szare wełniane spodnie, czarne buty (przejaw ekscentryzmu), zrobione ręcznie przez włoskiego szewca mieszkającego w Paryżu, i krawat w granatowe, ciemnoczerwone i złote paski. Kolor jedwabnej chusteczki w kieszonce marynarki pasował idealnie do złotej spinki w krawacie.

Tak ubrany, w dobrym nastroju, który przyniosła mu odzieżowa perfekcja, udał się na poszukiwanie Clockera. Oczywiście nie pragnął towarzystwa tego olbrzyma; po prostu wolał wiedzieć, dla własnego spokoju, co on teraz robi. I żywił nadzieję, że któregoś pięknego dnia znajdzie Karla Clockera martwego, powalonego przez rozległy zawał serca, wylew czy promień śmierci z kosmosu, podobny do tych, o których ten wielbiciel sf ciągle czytał.

Clocker siedział na ogrodowym krześle, na balkonie przylegającym do salonu, ignorując zapierający dech w piersiach widok na Pacyfik, z nosem wciśniętym w ostatni rozdział „Zmiennokształtnych Ginekologów z Mrocznej Galaktyki”, czy jak się tam to nazywało. Miał na sobie ten sam kapelus z kaczym piórkem, tweedową marynarkę i buty, choć założył świeże liliowe skarpetki, zmienił spodnie i koszulę. Narzucił nowy wzorzysty sweter, tym razem w kolorach niebieskim, różowym, żółtym i szarym. Nie miał krawata, a spod rozpiętej koszuli sterczało tyle najeżonych czarnych włosów, że na pierwszy rzut oka wyglądało, jakby nosił staromodny fular.

Nie odpowiedział na pierwsze „dzień dobry” Osletta, zareagował dopiero na powtórne powitanie, nieprawdopodobnie szeroko rozcapierając palce – takim gestem witali się bohaterowie „Star Trek” – wciąż jednak nie odrywał się od książki. Gdyby Oslett miał przy sobie piłę mechaniczną albo topór rzeźnicki, odciąłby Clockerowi rękę na wysokości nadgarstka i wrzucił do oceanu. Zastanawiał się, czy służba hotelowa mogłaby, gdyby zażądał, przysłać mu odpowiednio ostry instrument z kolekcji sztuców szefa kuchni.

Dzień był ciepły, temperatura dochodziła już do siedemdziesięciu stopni Fahrenheita. Błękitne niebo i kojąca bryza były miłą odmianą po chłodzie poprzedniej nocy.

Dokładnie o ósmej, w samą porę jeśli chodzi o Osletta, który już zaczynał wariować od usypiających krzyków mew, uspokajającego odgłosu morskich fal i dobiegającego z oddali śmiechu surfistów, zjawił

się przedstawiciel Sieci, żeby poinformować ich o rozwoju sytuacji. Był zupełnie inny niż Jim Lomax. Garnitur od Savile Rowa. Elegancki krawat. Dobre buty. Wystarczył jeden rzut oka, by Oslett wiedział, że ten człowiek nie ma na sobie ani jednej sztuki ubrania z wizerunkiem Madonny z obnażonymi piersiami.

Powiedział, że nazywa się Peter Waxhill, i prawdopodobnie mówił prawdę. Był wysoko postawiony w strukturze organizacji i znał prawdziwe nazwiska Osletta i Clockera. Zameldował ich jednak w hotelu jako Johna Galbraitha i Johna Maynard Keynesa. Ogólnie rzecz biorąc nie miał powodu ukrywać własnego nazwiska.

Waxhill miał około czterdziestu lat, o dziesięć więcej niż Oslett, ale jego starannie przycięte włosy były na skroniach poprzetykane siwizną. Miał sześć stóp wzrostu, był wysoki, ale nie przytłaczający, szczupły, ale dobrze zbudowany, przystojny, ale dość przeciętny, czarujący, ale nie poufały. Zachowywał się jak ktoś, kto nie tyle jest od lat dyplomata, lecz jak ktoś, kto został genetycznie zaprogramowany do takiej właśnie kariery.

Waxhill przedstawił się, wypowiedział kilka zdawkowych uwag i oznajmił:

– Pozwoliłem sobie spytać służbę hotelową, czy jedli już panowie śniadanie, a ponieważ odpowiedź była przecząca, pozwoliłem sobie również zamówić dla nas posiłek, tak byśmy mogli jeść i rozmawiać jednocześnie. Mam nadzieję, że nie mają panowie nic przeciwko temu.

– Ależ skąd – powiedział Oslett, pełen uznania dla obycia tego mężczyzny.

Ledwie zdążył skończyć, gdy rozległ się dzwonek do drzwi apartamentu. Weszło dwóch kelnerów, którzy pchali wózek przykryty białym obrusem. Kiedy znaleźli się na środku pokoju, wysunęli ukryte blaty, przekształcając wózek w okrągły stół. Porozkładali półmiski, talerze, serwetki, filiżanki, spodki, szklanki, sztućce... z wdziękiem i szybkością iluzjonistów manipulujących talią kart. I oto nagle pojawiło się śniadanie: jajecznica z czerwoną papryką, bekon, kielbaski, śledzie wędzone, tosty, croissanty, truskawki szklarniowe posypane brązowym cukrem, małe pucharki z gęstą śmietaną, sok ze świeżych pomarańczy i wreszcie srebrny termos z kawą.

Waxhill podziękował kelnerom, wręczył im napiwek i podpisał rachunek.

Kiedy zamknął drzwi i wrócił do stołu, Oslett spytał:

– Harvard czy Yale?

– Yale. A pan?

– Princeton. Później Harvard.

– Gdy chodzi o mnie – Yale, a później Oxford.

– Prezydent kończył Oxford – zauważył Oslett.

– Ach tak – Waxhill uniósł brwi, udając, że to dla niego nowina. – No cóż, Oxford przetrwał, jak pan zapewne wie.

Karl Clocker, który już najwidoczniej skończył ostatni rozdział „Planety jelitowych pasożytów”, pojawił się w drzwiach prowadzących na balkon. Waxhill uścisnął mu rękę i nie dał po sobie poznać, że dławi się z obrzydzenia czy ze śmiechu.

Przysunęli do stołu trzy krzesła i zasiedli do śniadania. Clocker nie zdjął kapelusza.

Gdy nakładali jedzenie na talerze, Waxhill powiedział:

– Zebraliśmy w nocy kilka interesujących informacji o Martinie Stillwaterze, z których najważniejsza dotyczy jego starszej córki i jej pobytu w szpitalu pięć lat temu.

– Co jej dolegało? – spytał Oslett.

– Nie mogli się z początku zorientować. Sądząc po objawach, podejrzewali białaczkę. Charlotte, tak

się właśnie nazywa, miała wtedy cztery lata. Była przez jakiś czas w bardzo złym stanie, ale w końcu okazało się, że to jakaś banalna nieprawidłowość w składzie krwi – całkowicie uleczalna.

– Miała szczęście – stwierdził Oslett, choć nic go nie obchodziło, czy dziewczynka żyje, czy umarła.

– Tak, rzeczywiście – przyznał Waxhill. – Ale w krytycznym momencie, kiedy lekarze skłaniali się ku bardziej dramatycznej diagnozie, jej ojcu i matce pobrano próbki szpiku kostnego.

– To chyba bolesne.

– Niewątpliwie. Lekarze potrzebowali tych próbek, żeby określić, które z rodziców będzie lepszym dawcą, gdyby zaszła konieczność przeszczepu.

Oslett spróbował jajek. Była w nich bazylia i smakowały wspaniale.

– Przyznam się, że nie dostrzegam związku między chorobą Charlotte a naszym obecnym problemem.

Robiąc pauzę, by uzyskać lepszy efekt, Waxhill powiedział:

– Była hospitalizowana w Cedars Sinai w Los Angeles.

Oslett zastygł z drugą łyżeczką jajeczniczy w ręku, która zatrzymała się w połowie drogi do ust.

– Pięć lat temu – dodał Waxhill z naciskiem.

– W jakim miesiącu?

– W grudniu.

– Kiedy od Stillwatera pobrano próbkę szpiku kostnego?

– Szesnastego. Szesnastego grudnia.

– Niech to diabli. Ale myśmy także mieli próbki krwi, dodatkowe...

– Od Stillwatera też pobrano próbki krwi. Były zapakowane z każdą próbką szpiku kostnego, pobranego do badań laboratoryjnych.

Oslett podniósł łyżeczkę do ust. Przeżuł, połknął i spytał:

– Jak nasi ludzie mogli tak spieprzyć sprawę?

– Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy. W każdym razie jak nie ma aż takiego znaczenia jak to, że jednak spieprzyli. I musimy się z tym pogodzić.

– A więc wystartowaliśmy z zupełnie innego miejsca, niż się nam wydawało.

– Czy też z kimś zupełnie innym, niż nam się wydawało – poprawił Waxhill.

Clocker żarł jak koń, któremu nie założono worka z obrokiem. Oslett pragnął zarzucić na jego głowę ręcznik, żeby zaoszczędzić Waxhillowi nieprzyjemnego widoku tak niepohamowanej żarłoczności. Dzięki Bogu, że wielbiciel sf jadł przynajmniej w milczeniu i nie przerywał rozmowy swoimi nieodgadnionymi komentarzami.

– Nadzwyczajne śledzie – pochwalił Waxhill.

– Będę musiał spróbować – stwierdził Oslett.

Waxhill dopił sok pomarańczowy, wytarł usta i powiedział:

– A jeśli chodzi o to, jak pański Alfie dowiedział się o istnieniu Stillwatera i znalazł go... mamy dwie teorie.

Oslett zauważył, że Waxhill powiedział „pański Alfie” zamiast „nasz Alfie”, co mogło nic nie znaczyć. Mogło jednak wskazywać, że Sieć robi wszystko, by wina spadła na niego, pomimo bezspornego faktu, że klęska była w prostej linii wynikiem błędu autorów programu i nie miała nic wspólnego z tym, jak chłopakiem kierowano podczas czternastu miesięcy służby.

– A więc – stwierdził Waxhill – niektórzy uważają, że Alfie musiał natknąć się na książkę ze zdjęciem Stillwatera na okładce.

– To za proste.

– Zgadzam się. Choć, oczywiście, w notce o autorze, którą zamieszczono na skrzydełkach dwóch jego ostatnich książek, można przeczytać, że mieszka on w Mission Viejo, co mogłoby naprowadzić Alfiego na właściwy ślad.

Oslett miał wątpliwości.

– Każdy, widząc zdjęcie swojego bliźniaka, o którym nigdy nie słyszał, byłby dostatecznie zaintrygowany, aby poznać prawdę. Ale nie Alfie. Podczas gdy przeciętny obywatel może bez najmniejszych ograniczeń zajmować się tego typu sprawą, z Alfim jest inaczej. Jego postępowanie jest ściśle ukierunkowane.

– Jak wystrzelony pocisk.

– Właśnie. Sprzeniewierzył się temu, co wpojono mu podczas treningu. Musiał doznać potężnego urazu. Trening to niewłaściwe słowo. To eufemizm. Należałoby raczej powiedzieć indoktrynacja, pranie mózgu...

– Jest zaprogramowany.

– Tak. Zaprogramowany. Jest jak maszyna, i to, że widok fotografii Stillwatera doprowadził go do wymknięcia się spod kontroli, jest równie prawdopodobne jak to, że pański komputer osobisty zaczęłyby produkować spermę i wypuszczać z tyłu włosy, gdyby umieścił pan na jego dysku zdjęcie Marilyn Monroe.

Waxhill roześmiał się cicho.

– Świetne porównanie. Chyba je wykorzystam, by przekonać kilka umysłów, ale oczywiście przypiszę je panu.

Pochwała Waxhilla sprawiła Oslettowi przyjemność.

– Wyśmienity bekon – pochwalił Waxhill.

– Tak, rzeczywiście.

Clocker milczał. Jadł.

– Inni, mniej liczni – ciągnął Waxhill – wysuwają bardziej egzotyczną, ale według mnie bardziej wiarygodną hipotezę. Zgodnie z nią Alfie zdradza jakąś tajemną umiejętność, której my nie jesteśmy świadomi, i której on sam nie pojmuje i nie może kontrolować.

– Tajemna umiejętność?

– Być może rudymenarna psychiczna percepcja. Bardzo prymitywna... ale na tyle silna, by połączyć go ze Stillwaterem... przyciągnąć ich do siebie poprzez to, co... no, co w nich wspólne.

– Czy to nie... zbyt fantastyczne?

Waxhill uśmiechnął się i skinął głową.

– Powiedziałbym, że przypomina to trochę film „Star Trek”...

Oslett drgnął i zerknął na Clockera, ale wielkolud nie oderwał oczu od jedzenia piętzącego się na jego talerzu.

– ...choć cała ta koncepcja ma w sobie coś z science fiction, prawda? – dokończył Waxhill.

– Tak mi się wydaje – przyznał Oslett.

– Pozostaje faktem, że inżynierowie od genetyki wyposażyli Alfiego w wyjątkowe umiejętności. Celowo. Czyż nie wydaje się więc możliwe, że niechcący, niezamierzenie, nadali mu jakieś inne nadludzkie cechy?

– Nawet nieludzkie cechy – wtrącił Clocker.

– No cóż, odsłania pan mniej przyjemny aspekt tej sprawy – odpowiedział Waxhill, traktując

Clockera z powagą – i, co wydaje się nad wyraz prawdopodobne, bardziej ścisły pogląd na to zagadnienie. Zwrócił się do Osletta: – Jakies psychiczne łącze, jakiś dziwny umysłowy związek naruszył uzależnienie Alfiego, wymazał jego program i sprawił, że Alfie zaczął działać poza jego granicami.

– Nasz chłopak był w Kansas City, podczas gdy Stillwater był w południowej Kalifornii, na litość boską.

Waxhill wzruszył ramionami.

– Przekaz TV nigdy nie ustaje, dąży aż do krańców wszechświata. Niech pan wyśle promień lasera do samego końca galaktyki, a ta wiązka światła kiedyś tam dotrze, za tysiące lat, gdy Chicago zamieni się już w proch, i będzie biegła dalej. Więc może odległość jest bez znaczenia, kiedy ma się do czynienia także z falami wysyłanymi przez umysł czy czymkolwiek innym, co połączyło naszego Alfie z pisarzem.

Oslett stracił apetyt.

Clocker jadł za dwóch.

Wskazując na koszyk z croissantami, Waxhill powiedział:

– Są doskonałe i gdyby pan nie wiedział, to informuję, że są tu dwa rodzaje: zwykłe i z migdałową masą w środku.

– Uwielbiam migdałowe – powiedział Oslett, ale nie sięgnął po rogalika.

Waxhill zauważył:

– Najlepsze croissanty na świecie...

– ...są w Paryżu – wtrącił Oslett – w niezwyklej kafejce, o niecałą przecznicę od...

– ...Champs Elysee – dokończył Waxhill, zadziwiając Osletta.

– Właściciel, Alfonse...

– ...i jego żona, Mireille...

– ...są kulinarnymi geniuszami i niezrównanymi gospodarzami.

– Czarujący ludzie – zgodził się Waxhill.

Wymienili uśmiechy.

Clocker nałożył sobie więcej kielbasek i Oslett miał ochotę strącić mu z głowy jego idiotyczny kapelusz. – Jeśli istnieje jakiegokolwiek prawdopodobieństwo, choć niewielkie, że nasz chłopiec jest wyposażony w nadzwyczajne moce – zastanawiał się Waxhill – to musimy również zakładać, że niektóre jego cechy, w które zamierzaliśmy go wyposażyć, wymknęły się naszym intencjom.

– Obawiam się, że nie rozumiem – przyznał Oslett.

– Chodzi mi przede wszystkim o seks.

Oslett był zdziwiony.

– On się tym nie interesuje.

– Jest pan tego pewien?

– Jest oczywiście osobnikiem męskim, ale to impotent.

Waxhill milczał.

– Został *skonstruowany* jako impotent – powiedział z naciskiem Oslett.

– Mężczyzna może być impotentem, a jednocześnie przejawiać żywe zainteresowanie seksem. Niemożność osiągnięcia erekcji doprowadza go do frustracji, a frustracja prowadzi do fobii, opętania seksem, tym, czego nie może mieć.

Oslett cały czas potrząsał głową.

– Nie. Powtarzam, to nie jest takie proste. Nie tylko jest impotentem. Poddano go trwającej setki godzin terapii w celu wyeliminowania jego seksualnych zainteresowań. Stosowano ją częściowo podczas

głębokiej hipnozy, częściowo, gdy znajdował się pod wpływem środków działających na podświadomość, i był szczególnie podatny na każdą sugestię, a częściowo podczas snu wywołanego odpowiednimi lekami. I jeśli o niego chodzi, to podstawowa różnica między mężczyznami a kobietami sprowadza się do sposobu ubierania.

Waxhill zdawał się nie przekonany:

– Pranie mózgu, nawet najbardziej wyrafinowane, może zawieść. Zgodzi się pan ze mną?

– Tak, w przypadku normalnego osobnika istnieją pewne problemy. Wszczepienie nowej osobowości czy fałszywej pamięci napotyka przeszkodę w postaci doświadczeń z przeszłości. Ale w przypadku Alfiego sprawa wyglądała inaczej. Był jak czysta karta, piękna, czysta karta, żadnych wspomnień, żadnej pamięci. W jego mózgu nie było nic, z czego należałoby go najpierw oczyścić.

– Może kontrola umysłu zawiodła w jego przypadku właśnie dlatego, że z takim przekonaniem uważaliśmy go za bezwonną istotę.

– Umysł jest sam dla siebie kontrolą – odezwał się Clocker.

Waxhill spojrział na niego zmieszany.

– Nie sądzę, by zawiodła – nie ustępował Oslett. – Poza tym jest jeszcze drobna przeszkoda w postaci zakodowanej impotencji...

Waxhill przełknął kęs grzanki i popił kawą.

– Może jego ciało zrobiło to za niego?

– Tak pan sądzi?

– Jego niewiarygodne ciało obdarzono nadludzką zdolnością regeneracji.

Oslett drgnął, jakby ten pomysł ukłuł go niczym szpilka.

– Zaraz, chwileczkę. Jego rany goją się wyjątkowo szybko, zgoda. Skaleczenia, rany otwarte, złamania kości. Jego ciało, gdy jest uszkodzone, może wrócić do pierwotnego stanu w cudownie wręcz krótkim czasie. Ale na tym polega istota sprawy. *Do swego pierwotnego stanu*. Nie może się *przekształcać* na jakimkolwiek innym twórczym poziomie, nie może ulec mutacji, na litość boską!

– Jesteśmy tego absolutnie pewni, czy tak?

– Tak!

– Dlaczego?

– No... dlatego, że... w przeciwnym razie... to nie do pomyślenia.

– Wyobraźmy sobie – powiedział Waxhill – że Alfie jest impotentem. I że interesuje się seksem. Chłopak jest biologiczną maszyną do zabijania, pozbawioną skruchy i wyrzutów sumienia, zdolną do każdego barbarzyństwa. Niech pan sobie wyobrazi, że te cechy zostają połączone z popędem seksualnym, i niech pan pomyśli, jak mogą się wspaniale uzupełniać seksualne pragnienia i brutalne odruchy, jak mogą się wzajemnie potęgować, gdy nie są temperowane przez ducha cywilizacji i zasady moralne.

Oslett odsunął talerz. Widok jedzenia zaczął przyprawiać go o mdłości.

– To zostało rozważone. I dlatego przedsięwzięto tak cholernie dużo środków ostrożności.

– Jak w przypadku sterowca *Hindenburg*.

„I jak w przypadku *Titanica*” – pomyślał ponuro Oslett.

Waxhill także odsunął swój talerz i otoczył dłońmi filiżankę z kawą.

– A więc teraz Alfie znalazł Stillwatera i pragnie odzyskać rodzinę pisarza. Jest teraz kompletnym człowiekiem, przynajmniej fizycznie, i myśl o seksie prowadzi w końcu do myśli o prokreacji. Żona. Dzieci. Bóg jeden wie, w jak dziwaczny, poplątany sposób pojmuje znaczenie i cel rodziny. Ale rodzina już istnieje. Pragnie jej. Bardzo pragnie.

Bank zaczynał urzędowanie wcześniej. Marty i Paige chcieli być przy wejściu już o ósmej rano, we czwartek, gdy drzwi będzie otwierał szef.

Marty myślał z niechęcią o powrocie do Mission Viejo, ale czuł, że najprościej będzie dokonać transakcji w oddziale banku, w którym miał konto. Znajdował się o osiem czy dziewięć przecznic od ich domu i któryś z kasjerów mógłby rozpoznać jego albo Paige.

Bank mieścił się w wolno stojącym budynku z cegły w północno-zachodnim narożniku parkingu przy centrum handlowym. Granice parkingu z dwóch stron stanowiły ulice, a z dwóch – wyasfaltowany teren. Na przeciwległym krańcu, w kierunku południowo-wschodnim, znajdował się ciąg połączonych ze sobą budynków w kształcie litery L, mieszczących od trzydziestu do czterdziestu punktów handlowych, między innymi supermarket.

Marty zaparkował przy południowej stronie. Krótki spacer z BMW do wejścia banku, z dziewczynkami, które szły między nim a Paige, był denerwującym przeżyciem, bo musieli zostawić broń w samochodzie. Czuł się bezradny.

Nie widział sposobu, by wejść do środka z ukrytą bronią, nawet z tak poręcznym modelem, jakim był mossberg. Nie chciał również zaryzykować i schować beretkę pod kurtką. Nie wiedział, czy bankowy system zabezpieczeń mógł wykryć ukrytą broń u każdego, kto przekraczał próg. Gdyby pracownik banku wziął go omyłkowo za przestępcę i powiadomił policję, gliniarze nigdy nie daliby wiary jego wyjaśnieniom. Nie z jego reputacją.

Marty udał się wprost do kasy, a Paige zaprowadziła dziewczynki do sofy i dwóch foteli, na których zwykle siadywali stali klienci banku. Bank nie był przepastnym, wyłożonym marmurami pomnikiem wzniesionym na chwałę pieniędzy, z masywnymi kolumnami doryckimi i łukowatym sklepieniem. Był względnie niewielkim pomieszczeniem. Sufit wyłożono płytkami dźwiękoszczelnymi, podłogę pokrywał zwyczajny zielony dywan. Choć od Paige i dzieci dzieliło go tylko sześć stóp i choć były bezustannie w zasięgu jego wzroku, nie mógł się pozbyć obaw.

Kasjerka była młoda. Na tabliczce przy kasie widniało jej nazwisko – Lorraine Arkadian. Grube szkła nadawały kobiecie sowi wygląd. Kiedy Marty powiedział jej, że chce wycofać z konta siedemdziesiąt tysięcy dolarów, nie zrozumiała, sądząc, że chce przenieść pieniądze na konto a vista. Położyła przed nim odpowiedni formularz. Marty musiał wytłumaczyć, że prosi o wypłacenie całej sumy w studolarowych banknotach.

– Och, rozumiem – powiedziała. – No cóż, to zbyt duża transakcja, bym mogła sama podjąć decyzję, sir. Muszę poprosić o pozwolenie głównego kasjera albo zastępcę kierownika.

– Oczywiście – powiedział obojętnie, jakby co tydzień dokonywał równie dużych wypłat. – Rozumiem.

Odeszła na drugi koniec długiego pomieszczenia dla kasjerów, żeby porozmawiać ze starszą kobietą, która przeglądała dokumenty. Marty ją rozpoznał. Elaine Higgins, zastępca kierownika. Mrs Higgins i Lorraine Arkadian zerknęły na Marty'ego, a następnie nachyliły się do siebie, żeby jeszcze raz omówić sprawę.

Czekając, Marty obserwował obydwa wejścia do sali, starając się zachowywać nonszalancko, nawet jeśli oczekiwał, że Ten Drugi może w każdej chwili wkroczyć przez któreś drzwi, tym razem uzbrojony w automat uzi.

Pisarska wyobraźnia. Może mimo wszystko nie była przekleństwem. W każdym razie niezupełnie.

Może czasem pomagała przetrwać. Jedna rzecz była pewna: wyobraźnia nawet najbardziej pomysłowego pisarza nie dotrzymywała kroku rzeczywistości.

Potrzebuje więcej czasu, niż się spodziewał, by znaleźć tablice rejestracyjne, którymi mógłby zastąpić te na skradzionej toyocie camry. Spał za długo i za dużo czasu zajęło mu doprowadzanie się do porządku. Świat zaczyna się budzić, a on traci przewagę, jaką daje noc. Nocą wszystko idzie łatwiej. Duże kompleksy mieszkalne z ogrodami i zacienionymi zatoczkami dla samochodów, a także mnóstwo samochodów stanowią doskonale źródło tego, czego szuka, ale po kilku próbach stwierdza, że w pobliżu kręci się zbyt wielu ludzi.

W końcu, na parkingu za kościołem, jego pracowite poszukiwania zostają uwieńczone sukcesem. Trwa poranna msza. Słyszy muzykę organową. Parafianie zostawili przed kościołem czternaście samochodów, z których może wybierać.

Nie gasi silnika camry, szukając samochodu, którego właściciel zostawił kluczyki. W trzecim z kolei, zielonym pontiacu, ze stacyjki zwiesza się cały pęk.

Otwiera bagażnik pontiaca. Ma nadzieję znaleźć w środku przynajmniej zestaw narzędzi ze śrubokrętem. Zapalał toyotę na krótkie zwarcie i nie ma kluczyków do jej bagażnika. Znów ma szczęście: znajduje kompletny zestaw drogowy z lampami ostrzegawczymi, apteczką i skrzynką z narzędziami.

Bóg mu sprzyja.

W ciągu paru minut wymienia tablice rejestracyjne. Wkłada zestaw narzędzi do bagażnika pontiaca, a kluczyki umieszcza w stacyjce.

Kiedy zmierza w stronę camry, organy kościelne rozbrzmiewają hymnem, którego nigdy nie słyszał. Nie jest to niczym dziwnym, ponieważ był w kościele tylko trzy razy, o ile pamięta. Dwa razy udał się tam po to, by zabić czas, jaki pozostał do otwarcia kina. Za trzecim razem wszedł do kościoła za kobietą, którą zobaczył na ulicy i z którą chciał dzielić się seksem i tą szczególną intymnością śmierci.

Muzyka działa na niego. Stoi w łagodnym porannym wietrze. Kołysze się sennie, przymyka oczy. Jest poruszony. Być może ma talent muzyczny. Powinien to sprawdzić. Może gra na jakimś instrumencie. Może komponowanie pieśni byłoby łatwiejsze niż pisanie powieści.

Kiedy hymn dobiega końca, wsiada do camry i odjeżdża.

Marty wymienił uprzejmości z Mrs Higgins, gdy zjawiała się z kasjerką. Wszystko wskazywało na to, że nikt w banku nie oglądał wiadomości. Żadna z kobiet nie wspomniała o napadzie na jego dom. Półgolf i koszula zakrywały siniaki na szyi. Głos miał nieco ochryply, ale nie na tyle, by mogło to wywołać jakies komentarze.

Mrs Higgins zauważyła tylko, że wycofuje z konta bardzo dużą sumę pieniędzy. Chciała go skłonić do wyjaśnienia, dlaczego ryzykuje noszenie przy sobie takiej gotówki. Zgodził się, że jest to faktycznie znaczna suma i wyraził nadzieję, że nie sprawia zbytniego kłopotu. Niezmienna uprzejmość gwarantowała szybkie dokonanie transakcji.

– Nie jestem pewna, czy możemy wypłacić całą sumę w studolarówkach – powiedziała Mrs Higgins. Mówiła cicho, dyskretnie, choć w banku było jeszcze tylko dwóch klientów. – Muszę sprawdzić, ile mamy banknotów o tym nominale.

– Jeśli będą jakieś dwudziestki czy pięćdziesiątki to też dobrze – zapewnił ją Marty. – Chodzi tylko o to, żeby banknotów nie było za dużo.

Choć obie kobiety uśmiechały się i były uprzejme, Marty zdawał sobie sprawę z ich zainteresowania i niepokoju. Pracowały przecież w bankowości i wiedziały, że istnieje niewiele uzasadnionych powodów,

a jeszcze mniej sensownych, by ktokolwiek nosił przy sobie siedemdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce.

Nawet gdyby wolał pozostawić Paige z dziećmi w samochodzie, nie zrobiłby tego. Podejrzliwemu pracownikowi banku od razu przyszłoby do głowy, że pieniądze są potrzebne do zapłacenia okupu, i ostrożność nakazywałaby zawiadomić policję. W sytuacji, gdy w banku zjawiała się cała rodzina, porwanie należało wykluczyć.

Młoda kasjerka zaczęła konsultować się z innymi kasjerami, którzy odkładali studolarówki przy swoich stanowiskach, podczas gdy Mrs Higgins zniknęła w otwartych drzwiach skarbcia.

Zerknął na Paige i dziewczynki. Potem na jedno wejście. Potem na drugie. Na zegarek. Uśmiechać się, uśmiechać cały czas, uśmiechać się jak idiota.

„Wyjdziemy stąd za piętnaście minut – powiedział do siebie. – Może za dziesięć. Wyjdziemy stąd i ruszymy w swoją drogę, i będziemy bezpieczni”.

Poczuł uderzenie ciemnej fali.

Wchodzi do knajpy Denny’ego, korzysta z toalety, a potem wybiera jeden ze stolików przy oknie i zamawia obfite śniadanie.

Kelnerka jest uroczą brunetką o imieniu Gayle. Żartuje sobie z jego apetytu. Zaleca się do niego. On zastanawia się, czy nie umówić się z nią na randkę. Ma cudowne ciało, smukłe nogi.

Uprawianie z nią seksu byłoby zdradą, ma przecież żonę. Paige. Zastanawia się, czy wciąż byłaby to zdrada, gdyby potem ją zabił.

Zostawia jej suty napiwek i postanawia wrócić w ciągu tygodnia czy dwóch, żeby się z nią umówić. Dziewczyna ma zadarty nos i zmysłowe wargi.

Kiedy znów jest w samochodzie, nie zapala silnika. Zamyka oczy, wyrzuca z głowy wszelkie zbędne myśli i wyobraża sobie, że jest namagnetyzowany, podobnie jak ten fałszywy ojciec – dwa przeciwne bieguny zwrócone ku sobie. Próbuje wyczuć przyciąganie.

Tym razem zostaje wciągnięty w orbitę tego drugiego mężczyzny szybciej niż w środku nocy, a siła, która na niego działa, jest niepomierne większa niż przedtem. Przyciąganie jest tak potężne, tak natychmiastowe, że zabójca wydaje pomruk zdumienia i zaciska dłoń na kierownicy, jakby się bał, że zostanie wyrzucony z toyoty przez przednią szybę i poszybuje niczym pocisk wprost w serce uzurpatora.

Fałszywy ojciec z miejsca uświadamia sobie obecność zabójcy. Jest przerażony.

Na wschód.

I na południe.

Skieruje się generalnie w stronę Mission Viejo, choć wątpi, czy tamten czuje się na tyle bezpiecznie, by powrócić do domu.

Fala ciśnienia, podobna do tej, która jest wynikiem potężnej eksplozji, uderzyła Marty’ego i niemal zbiła z nóg. Uchwycił się obiema dłońmi kontuaru przed okienkiem kasy, żeby zachować równowagę. Nachylił się i oparł o blat.

Uczucie, jakiego doznawał, było całkowicie subiektywne. Powietrze wydawało się poddane kompresji niemal do poziomu skroplenia, ale nic się nie rozpadło, nie pękło, nie przewróciło. Miał wrażenie, że jest jedyną osobą odczuwającą skutki tego, co się działo.

Po pierwszym, początkowym szoku wywołanym ciemną falą, Marty poczuł się tak, jakby przywaliła go lawina. Przygnieciony megatonami śniegu. Bez tchu. Sparaliżowany. Złodowaciały.

Wiedział, że zmienił się na twarzy. Był przekonany, że gdyby go zapytano o coś, nie byłby w stanie

odpowiedzieć. Gdyby ktoś podszedł z drugiej strony do okienka, zobaczyłby człowieka ogarniętego panicznym strachem, chorego z przerażenia. I wtedy nie dostałby pieniędzy.

Zrobiło mu się jeszcze zimniej, gdy poczuł niewidoczne dotknięcie tej samej złośliwej i widmowej obecności, którą wyczuł przed spotkaniem z doktorem. Lodowata „ręka” tego ducha stykała się z odsłoniętą powierzchnią jego mózgu, jakby odczytując miejsce jego pobytu z danych, które były wpisane alfabetem Braille’a w pofałdowane tkanki kory mózgowej. Rozumiał teraz, że ten duch był w rzeczywistości sobowtorem, którego tajemnicze moce nie ograniczały się tylko do cudownego ozdrowienia ze śmiertelnych ran na piersi.

Przerywa magnetyczne połączenie.

Wyjeżdża z parkingu.

Włącza radio. Michael Bolton śpiewa o miłości.

Piosenka jest wzruszająca. Jest nią do głębi poruszony, niemal do łez. Teraz, gdy wreszcie jest kimś, gdy czeka na niego żona, a dwoje małych dzieci potrzebuje jego opieki, już wie, jakie jest znaczenie i wartość miłości. Zastanawia się, jak mógł tak długo bez niej żyć.

Kieruje się na południe. I na wschód.

Wzywa go przeznaczenie.

Nagle widmowa dłoń opuściła Marty’ego.

Miażdżące ciśnienie ustąpiło i świat powrócił do normalności, jeśli w ogóle istniała jeszcze jakaś normalność.

Poczuł ulgę. Atak trwał jedynie pięć czy dziesięć sekund i nikt się nie zorientował, że dzieje się z nim coś złego.

Pragnął jednak jak najszybciej wziąć pieniądze i wyjść. Spojrzał na Paige i dzieci siedzące na drugim końcu sali. Przeniósł niespokojny wzrok ze wschodniego wejścia na południowe i z powrotem na wschodnie.

Ten Drugi wiedział, gdzie byli. Najpóźniej za parę minut ten tajemniczy i nieprzejednany wróg ich dopadnie.

Jajecznicza na talerzu Osletta zamieniła się w obrzydliwą maź. Słony aromat bekonu, uprzednio tak przyjemny, teraz wywoływał lekkie mdłości.

Oslett, choć oszołomiony myślą, że Alfie mógł przemienić się w istotę obdarzoną pragnieniami seksualnymi i zdolną do ich zaspokajania, postanowił jednak nie okazywać niepokoju, w każdym razie nie w obecności Petera Waxhilla.

– No cóż, wszystko wciąż pozostaje tylko w sferze przypuszczeń – powiedział.

– Tak – zgodził się Waxhill – ale musimy sprawdzić przeszłość, by się przekonać, czy nasza teoria nie ma słabych punktów.

– Jaką przeszłość?

– Raporty policji z każdego miasta, w którym w ciągu ostatnich czternastu miesięcy był Alfie i wykonywał swoje zadania. Gwałty i morderstwa, jakie miały miejsce w godzinach, gdy nie pracował.

Oslett miał suche usta. Serce waliło mu młotem.

Nie obchodziło go, co stało się z rodziną Stillwaterów. Do diabła, w końcu byli tylko Klingonami.

Nie obchodziło go również, że być może zawali się Sieć, a jej wielkie ambicje pozostaną nie spełnione. W końcu powstałaby organizacja o podobnym charakterze i znów można by realizować swoje marzenia.

Ale jeśli się okaże, że ich złego chłopca nie da się złapać czy powstrzymać, wówczas było prawdopodobne, że owa brudna plama klęski przeniknie głęboko w rodzinę Oslettów, zagrozi jej bogactwu i poważnie osłabi jej polityczną potęgę na całe dziesięciolecie. Drew Oslett cenił szacunek ponad wszystko. A gwarancją uznania była dla niego zawsze rodzina, dziedzictwo krwi. Wizja imienia Oslettów jako przedmiotu szyderstwa i pogardy, celu publicznej niechęci, pożywki dla głupich dowcipów komików z TV, i tematu niezręcznych artykułów w gazetach od *New York Timesa* po *National Enquirer* wstrząsała jego duszą.

– Czy nie zastanawiał się pan nigdy – spytał Waxhill – co pański chłopak robi w wolnym czasie, między zadaniami?

– Obserwowaliśmy go uważnie przez pierwsze sześć tygodni, oczywiście. Chodził do kin, restauracji, parków, oglądał telewizję – zwykłe rzeczy. Zachowywał się w nie kontrolowanym przez nas środowisku tak, jak tego oczekiwaliśmy. Nie robił niczego dziwnego. Absolutnie niczego nadzwyczajnego. I na pewno niczego, co miałoby związek z kobietami.

– Zachowywał się najlepiej jak umiał, naturalnie, jeśli wiedział, że jest obserwowany.

– Nie wiedział. Nie mógł wiedzieć. Nigdy nie zauważył naszych obserwatorów. Nie ma mowy. Są najlepsi. – Oslett zorientował się, że protestuje zbyt stanowczo. Musiał jednak dodać: – Nie ma mowy.

– Może uświadomił sobie ich obecność w taki sam sposób, w jaki uświadomił sobie istnienie Martina Stillwatera. Jakaś bliżej nieokreślona, psychiczna percepcja.

Oslett poczuł niechęć do Waxhilla. Ten facet był beznadziejnym pesymistą.

Podnosząc termos i nalewając wszystkim kawę, Waxhill ciągnął:

– Nawet jeśli chodził tylko do kin i oglądał telewizję, to czy nie niepokoiło to pana?

– Niech pan posłucha, jego przeznaczeniem jest być perfekcyjnym zabójcą. Zaprogramowanym. Żadnych wyrzutów sumienia, żadnych wahań. Trudno go złapać, jeszcze trudniej zabić. I jeśli coś naprawdę pójdzie nie tak, to nikt, idąc jego śladem, nie wytropi tych, którzy nim kierują. Nie wie, kim jesteście ani dlaczego chcemy, by tych ludzi eliminowano, więc nie może stanowić żadnego dowodu. Jest

niczym. Skorupą. Ale musi funkcjonować w społeczeństwie, musi wyglądać normalnie i zachowywać się jak szary obywatel, robić rzeczy, jakie prawdziwi ludzie robią w wolnym czasie. Gdybyśmy zamknęli go w pokoju hotelowym ze wzrokiem wbitym w ścianę, to pokojówki zaczęłyby się dziwić, zapamiętywać go. Poza tym co złego w chodzeniu do kina czy oglądaniu telewizji?

– Kulturowe oddziaływanie. Mógł się zmienić.

– Liczy się natura, to, jak został stworzony, a nie to, co robił w sobotnie popołudnia. – Oslett odchylił się na swoim krześle. Poczł się odrobinę lepiej, gdy przekonał samego siebie, nawet jeśli nie przekonał Waxhilla. – Możecie sprawdzać przeszłość. Ale niczego nie znajdziecie.

– Może już znaleźliśmy. prostytutkę w Kansas City. Udużoną w tanim motelu naprzeciwko baru o nazwie Blue Life Lounge. Dwóch różnych barmanów z tego lokalu podało policji z Kansas City opis mężczyzny, z którym wyszła. To był Alfie.

Na początku Oslett czuł, że łączy go z Peterem Waxhillem klasa i doświadczenie. Cieszył się nawet perspektywą przyjaźni. A teraz miał nieprzyjemne wrażenie, że Waxhill czerpie satysfakcję ze swojej roli posłańca przynoszącego te wszystkie złe wieści.

– Jednemu z naszych kontaktów udało się zdobyć dla nas próbkę spermy, którą laboratorium policji w Kansas City pobrało z pochwy prostytutki. Przewożą to teraz samolotem do naszego laboratorium w Nowym Jorku. Jeśli to sperma Alfiego, to sprawa się wyjaśni – powiedział Waxhill.

– On nie może produkować spermy. Został skonstruowany...

– No cóż, jeśli sperma pochodzi od niego, sprawa się wyjaśni. Dysponujemy mapą jego genetycznej struktury, znamy ją lepiej niż własną kieszeń. A geny nie kłamią.

Ludzie po Yale. Wszyscy jednakowi. Zarozumiali, zadowoleni z siebie dranie.

Clocker trzymał pulchną, szklarniową truskawkę między kciukiem i palcem wskazującym. Przypatrując jej się uważnie, jakby kryteria, jakie stosował wobec jedzenia, były szczególnie wysokie i nie brał do ust niczego, co nie przeszło surowego egzaminu, stwierdził:

– Jeśli Alfiego ciągnie do Martina Stillwatera, to wystarczy dowiedzieć się, gdzie w tej chwili przebywa ten pisarz. – Wepchnął całą truskawkę wielkości połówki cytryny w usta. Wyglądał jak ropucha polująca na muchę.

– Zeszłej nocy wysłaliśmy do ich domu człowieka, żeby się trochę rozejrzał – powiedział Waxhill. – Wygląda na to, że pakowali się pospiesznie. Powysuwane szuflady komody, porozrzucane ubrania, puste walizki. Sądząc po tym wszystkim, nie zamierzają wrócić do domu w ciągu najbliższych paru dni, ale na wszelki wypadek dom jest pod naszą obserwacją.

– I nie macie pojęcia, gdzie ich szukać – rzucił Oslett, czerpiąc perwersyjną przyjemność z zepchnięcia Waxhilla do obrony.

– Nie potrafimy powiedzieć, gdzie są w tej chwili... – powiedział sucho Waxhill.

– Aha.

– ...ale chyba jesteśmy w stanie określić miejsce, gdzie należałoby ich szukać. Rodzice Stillwatera mieszkają w Mammoth Lakes. Nie ma innych krewnych na Zachodnim Wybrzeżu i pomijając bliskich przyjaciół, o których nie wiemy, jest niemal pewne, że zadzwoni do swoich rodziców, a może nawet do nich pojedzie.

– A rodzice jego żony?

– Kiedy miała szesnaście lat, jej ojciec strzelił matce w twarz, a następnie sam się zabił.

– Interesujące. – Oslett chciał przez to powiedzieć, że tani dramatyzm towarzyszący życiu przeciętnego człowieka nigdy nie przestawał go dziwić.

– Rzeczywiście, interesujące – przyznał Waxhill, mając prawdopodobnie na myśli coś zupełnie innego niż Oslett. – Paige wróciła do domu ze szkoły i znalazła ich ciała. Przez kilka miesięcy była pod opieką ciotki. Ale nie lubiła jej i zwróciła się do sądu z prośbą o uznanie jej za osobę pełnoletnią.

– W wieku szesnastu lat?

– Zrobiła na sędzim tak dobre wrażenie, że zdecydował na jej korzyść.

– Musiała mieć cholernie dobrego adwokata.

– Zgadza się. Przystudiowała odpowiednie ustawy i precedensowe procesy, po czym sama reprezentowała w sądzie swoje interesy.

Sytuacja nie wyglądała różowo. Martin Stillwater dał sobie radę z Alfem, nawet jeśli zawdzięczał to tylko szczęściu, a to znaczy, że jest groźniejszy niż ten palant opisany w *People*. Teraz okazywało się, że jego żona też odznacza się niezwykłym hartem ducha, i że może być godnym przeciwnikiem.

– Żeby nakłonić Stillwatera do nawiązania kontaktu z rodzicami, powinniśmy wykorzystać naszych ludzi w mediach i sprawić, by wydarzenia ostatniej nocy trafiły na pierwsze strony gazet – zdecydował Oslett.

– Już to robimy – stwierdził Waxhill doprowadzając Osletta do szafu. Nakreślił dłońmi wyimaginowane nagłówki:

– „Autor bestsellerów rani włamywacza. Żart czy realna groźba? Pisarz znika wraz z rodziną. Ucieczka przed zabójcą czy policyjnym śledztwem?” Coś w tym rodzaju. Kiedy Stillwater zobaczy gazetę albo program w TV, to od razu zadzwoni do rodziców, bo się domyśli, że widzieli wiadomości i że się martwią.

– Czy zainstalowano podsłuch na ich telefonie?

– Tak. Mamy na linii urządzenie identyfikujące rozmówcę. W chwili połączenia będziemy mieli numer, z którego dzwoni Stillwater.

– A my będziemy czekać? – spytał Oslett. – Robić sobie manicure i jeść truskawki?

Przy tempie, w jakim Clocker pochłaniał truskawki, można było przypuszczać, że zapasy w hotelu szybko się skończą, a wkrótce potem wyczerpią się również zbiory ze szklarni w całej Kalifornii i sąsiednich stanach.

Waxhill spojrzął na złotego rollexa.

Drew Oslett starał się wyczuć cień ostentacji w sposobie, w jaki Waxhill sprawdził godzinę na swoim kosztownym chronometrze. Z wielką przyjemnością dostrzegłby w zachowaniu tego nieskazitelnego mężczyzny coś, co ujawniłoby oszusta pozbawionego manier.

Ale Waxhill zdawał się traktować swój zegarek tak, jak Oslett traktował swój – jakby niczym nie różnił się od timexa nabytego w tanim supermarkecie.

– Polecisz pan do Mammoth Lakes dziś rano.

– Ale nie możemy być pewni, że Stillwater zamierza się tam pokazać.

– Rozsądek nakazuje jednak to sprawdzić – stwierdził Waxhill. – Jeśli się tam pojawi, to jest szansa, że Alfie pojawi się w ślad za nim. Będzie mógł pan złapać naszego chłopca. A jeśli Stillwater tam nie pojedzie, a tylko zadzwoni do drogiej matki i drogiego ojca, to będzie pan mógł od razu udać się samolotem czy samochodem do miejsca, z którego dzwonił.

Oslett chciał jak najszybciej wyjść. Miał dosyć Waxhilla i jego informacji. Położył serwetkę i odsunął się z krzesłem od stołu.

– W takim razie ruszajmy. Im dłużej nasz chłopak jest na wolności, tym większe niebezpieczeństwo, że ktoś zobaczy go razem ze Stillwaterem. Jeśli tak się stanie, policja zacznie wierzyć w wersję pisarza.

Nie ruszając się z krzesła i podnosząc filiżankę z kawą, Waxhill powiedział:

– Jeszcze jedno.

Oslett podniósł się. Nie chciał ponownie siadać, gdyż wyglądałoby to tak, jakby Waxhill kontrolował sytuację. I tak było rzeczywiście, ale tylko dlatego, że miał informacje, a nie dlatego, że przewyższał Osletta rangą, czy w jakikolwiek inny sposób. W najgorszym razie obydwaj mieli w organizacji równą pozycję; a, co bardziej prawdopodobne, Oslett stał wyżej w hierarchii Sieci. Nie ruszył się z miejsca i patrzył z góry na absolwenta Yale.

Clocker, choć prawie skończył jeść, nie wstawał z krzesła. Oslett nie wiedział, czy zachowanie jego partnera świadczyło o małej zdradzie, czy też dowodziło, że wciąż towarzyszy Spockowi i reszcie załogi gdzieś w odległym zakątku wszechświata.

Waxhill łyknął kawy i powiedział:

– Jeśli będzie musiał pan zlikwidować naszego chłopca, to trudno. Jeśli zdoła pan przywołać go do porządku, przynajmniej do czasu, gdy będzie można przewieźć go w bezpieczne miejsce i wziąć pod kontrolę, tym lepiej. Niemniej jednak... Stillwater, jego żona i dzieci muszą być wyeliminowani.

– Żaden problem.

Szefowa oddziału, Mrs Takuda, podeszła do Marty'ego, gdy czekał przy okienku kasy, chwilę po tym, jak uderzyła go mroczna fala i odpłynęła. Podejrzał, że gdyby mógł teraz zobaczyć swoje odbicie w lustrze, to stwierdziłby, że wciąż zaciska wargi i jest blady, a w jego oczach czai się zwierzęcy strach. Nawet jeśli Mrs Takuda zauważyła coś dziwnego w jego wyglądzie, to była zbyt grzeczna, by cokolwiek powiedzieć. Martwiło ją głównie to, że być może wycofuje z konta większość pieniędzy, ponieważ nie jest zadowolony z banku.

Był zdziwiony swoim opanowaniem. Zmusił się do przekonującego uśmiechu i czarującego zachowania i zapewnił ją, że nie ma żadnych nieporozumień z bankiem. Czuł chłód i był w głębi duszy roztrzęsiony, ale nie zdradził się nawet drgnieniem ciała czy głosu.

Kiedy Mrs Takuda odeszła, by towarzyszyć w skarbcu Elaine Higgins, Marty spojrzął na Paige i dzieci, potem na wschodnie wejście, południowe, wreszcie na swojego timexa. Widok czerwonej wskazówki odmierzającej na tarczy sekundy sprawił, że na czoło wystąpił mu pot. Ten Drugi już nadchodził. Ile mają czasu? Dziesięć minut, dwie minuty, pięć sekund?

Poczuł uderzenie następnej fali.

Krąży po szerokim bulwarze. Poranne słońce odbija się od chromowanych części samochodów. Phill Colins śpiewa o zdradzie.

Współczuje Colinsowi. Znow wyobraża sobie magnetyczny kontakt. Czuje niepowstrzymane przyciąganie w stronę wschodu i południa, więc wie, że zmierza we właściwym kierunku.

Szybko przerywa więź. Ma nadzieję, że uda mu się namierzyć fałszywego ojca, nie ujawniając się. Ale nawet podczas tego krótkotrwałego połączenia przeciwnik wyczuwa obecność wroga.

Choć ta druga fala trwała krócej niż pierwsza, była jednak równie potężna. Marty miał wrażenie, jakby uderzono go w piersi młotem.

Do okienka podeszła kasjerka w towarzystwie Mrs Higgins. Miała gotówkę luzem i przewiązane banderolą paczki stu – i dwudziestodolarowych banknotów. Dwa stosy, każdy o wysokości trzech cali.

Kasjerka zaczęła odliczać siedemdziesiąt tysięcy.

– W porządku – przerwał jej Marty. – Proszę tylko zapakować to w szare koperty.

Mrs Higgins, zdziwiona, zaprotestowała:

– Ależ, Mr Stillwater, podpisał pan polecenie wycofania pieniędzy, musimy więc przeliczyć całą sumę w pańskiej obecności.

– Nie, nie, jestem pewien, że dobrze panie policzyły.

– Ale procedura bankowa...

– Mam do pani zaufanie, Mrs Higgins.

– No cóż, dziękuję bardzo, ale naprawdę sędzę, że...

– Proszę...

Waxhill wciąż kontrolował sytuację, po prostu nie ruszając się z miejsca, podczas gdy Drew Oslett stał niecierpliwie obok stolika, Oslett nie lubił Waxhilla i podziwiał go jednocześnie.

– Jest niemal pewne – powiedział Waxhill – że żona i dzieci Stillwatera widziały Alfiego zeszłej nocy. Mają mętne pojęcie o tym, co się dzieje, ale jeśli wiedzą, że Stillwater mówił prawdę o sobowtórze, to już wiedzą za dużo.

– Powiedziałem. To żaden problem – przypomniał mu niecierpliwie Oslett.

Waxhill skinął głową.

– Tak, zgadza się, ale centrala chce, by zostało to wykonane w określony sposób.

Oslett westchnął i usiadł zrezygnowany.

– To znaczył

– Żeby wyglądało, jakby Stillwater oszalał.

– Morderstwo – samobójstwo?

– Tak, ale nie takie zwyczajne. Centrala byłaby zadowolona, gdyby wszystko udało się zorganizować w taki sposób, by każdy postronny obserwator miał wrażenie, że Stillwater działał pod wpływem szczególnego psychopatycznego urojenia.

– Wedle życzenia.

– Żona musi dostać postrzał w każdą pierś i w usta.

– A córki?

– Najpierw trzeba je rozebrać. Skrępować ręce. Związać nogi. Elegancko i mocno. Istnieje pewien szczególny rodzaj plecionki, której powinien pan użyć. Dostarczymy to panu. Następnie trzeba będzie postrzelić każdą dziewczynkę dwukrotnie. Raz w... miejsce wstydlive, potem między oczy. Stillwater ma sobie strzelić w podniebienie. Wszystko pan zapamięta?

– Oczywiście.

– Jest bardzo ważne, by wykonał pan to właśnie w ten sposób. Żadnych odstępstw od scenariusza.

– Jaką historię opowiemy światu? – spytał Oslett.

– Czytał pan artykuł w *People*!

– Niecały – przyznał Oslett. – Stillwater wyszedł w nim na świra i to nudnego świra.

Waxhill ciągnął:

– Kilka lat temu, w Maryland, pewien mężczyzna zabił swoją żonę i córki właśnie w taki sposób. Był cenionym i szanowanym obywatelem, więc jego czyn zaszokował wszystkich. Tragiczne. Nikt nie wiedział dlaczego. Rzecz wydawała się bezsensowna, niezrozumiała. Stillwater był zaintrygowany tą zbrodnią i napisał na ten temat powieść, by odkryć jakiś możliwy do zaakceptowania motyw, kierujący tym człowiekiem. Ale po dłuższych studiach zarzucił ten projekt. W artykule dla *People* mówi, że ta historia zbyt go przygnębiała. Mówi, że literatura, ta, którą on tworzy, musi wydobywać z rzeczy sens, porządkować chaos, a on nie mógł po prostu znaleźć żadnego wytłumaczenia dla tego, co wydarzyło się w Maryland.

Oslett siedział przez chwilę w milczeniu, próbując poczuć do Waxhilla nienawiść, ale okazało się to niemożliwe.

– Muszę przyznać, że... to bardzo zgrabne.

Waxhill uśmiechnął się niemal zawstydzony i wzruszył ramionami.

– Czy to pański plan? – spytał Oslett.

– Tak, mój. Przedstawiłem go centrali, a oni od razu się zgodzili.

– To niezwykle pomysłowe – stwierdził Oslett z niekłamany podziwem.

– Dziękuję.

– Bardzo sprytne. Martin Stillwater morduje swoją rodzinę tak samo jak tamten facet z Maryland, a wszystko wygląda tak, jakby *prawdziwym* powodem, dla którego nie mógł napisać powieści o tamtym wydarzeniu, było to, że za bardzo przypominało mu własną sytuację, że było tym, czego w głębi duszy *pragnął*.

– Zgadza się.

– I od początku drażyło to jego umysł.

– Nawiedzało w snach.

– To psychopatyczne pragnienie, by symbolicznie zgwałcić...

– ...i naprawdę zabić...

– ...córkę...

– ...a także żonę, kobietę, która...

– ...zajmowała się nimi – dokończył Oslett.

Znów się do siebie uśmiechnęli, jak wówczas, gdy rozmawiali o tej uroczej kafejce na tyłach Champs Elysee.

– Nikt nigdy się nie zorientuje, co zamordowanie rodziny Stillwata miało wspólnego z tą jego zwariowaną opowieścią o sobowótce-włamywaczu, ale na pewno dojdą do wniosku, że to także był owoc psychozy – dodał Waxhill.

– I jak przypuszczam, krew Alfiego, której próbki pobrano z domu w Mission Viejo, okaże się krwią Stillwata.

– Tak. Czy sam pobierał od siebie krew od czasu do czasu, gromadząc ją na tę chwilę? I dlaczego? Z pewnością pojawi się mnóstwo teorii i w końcu ta tajemnica będzie zajmowała ludzi mniej niż mord dokonany na rodzinie. Nikt nigdy nie rozwikła tej zagadki i nie dojdzie prawdy.

Oslett odzyskał nadzieję, że może uda im się uratować Alfiego, ocalić Sieć i zachować nietkniętą reputację. Mimo wszystko.

– A co ty powiesz, Karl? Masz jakieś wątpliwości? – Waxhill zwrócił się do Clockera.

Choć Clocker siedział z nimi przy stole, to jednak jego duch krążył gdzieś daleko. Spojrzał na nich z roztargnieniem, jakby jego myśli towarzyszyły załodze *Enterprise* na wrogiej planecie w mgławicy Kraba.

– Na Ziemi jest pięć bilionów ludzi – powiedział – więc wydaje nam się, że jest zatłoczona, ale na każdego z nas przypadają we wszechświecie niezliczone tysiące gwiazd, nieskończoność gwiazd dla każdego.

Waxhill wpatrywał się w Clockera, czekając na wyjaśnienia. Kiedy się zorientował, że Clocker nie ma nic więcej do powiedzenia, odwrócił się do Osletta.

– Mam wrażenie, że Karłowi chodzi o to – spróbował wyjaśnić Oslett – że... no, że jakie to ma w ogóle znaczenie wobec nieskończoności, jeśli kilku ludzi umrze trochę wcześniej niż powinno to wynikać z naturalnej kolei rzeczy?

Słońce stoi wysoko nad odległymi górami, których najwyższe szczyty przykrywa kaptur śniegu. Ten zimowy pejzaż wydaje się dziwny dla kogoś, kto patrzy z perspektywy ciepłego grudniowego poranka.

Jedzie na południe i wschód, w stronę Mission Viejo. Jest zemstą pędzącą na kołach. Sprawiedliwością. Przed siebie, przed siebie.

Zastanawia się, czy nie poszukać sklepu z bronią i nie kupić strzelby czy sztucera myśliwskiego, broni, której nabycie nie jest poprzedzone obowiązkowym okresem oczekiwania. Jego przeciwnik jest uzbrojony, a on nie.

Nie chce jednak opóźniać pościgu za porywaczem, który ukraść mu rodzinę. Jeśli przeciwnik jest podenerwowany i musi uciekać, to łatwiej popełnia błędy. Ściganie – to środek skuteczniejszy niż jakakolwiek broń.

Poza tym zabójca jest zemstą, sprawiedliwością i cnotą. Jest bohaterem filmu, a filmowi bohaterowie nie umierają. Można ich postrzelić, zatłuc, zepchnąć z drogi w trakcie pościgu samochodowego, pociąć nożem, zrzucić z urwiska, zamknąć w lochu pełnym jadowitych węży, a oni i tak wyjdą bez szwanku z niewyobrażalnych opresji. Do Harrisona Forda, Sylvestra Stallone, Bruce'a Willisa i Wesleya Snipesa upodabnia go niezłomność cnoty i szlachetny cel.

Teraz już wie, dlaczego ten pierwszy atak na fałszywego ojca był skazany na niepowodzenie, choć wciąż czuje się bohaterem. Dążył na zachód pod wpływem potężnego przyciągania, które łączyło go z sobowtórem. Był świadomy tajemnej siły, która działała na niego, tak jak jego sobowtór był świadomy czegoś, co zbliżało się do niego przez ostatnie dni. Zanim spotkali się w gabinecie na piętrze, fałszywy ojciec otrzymał już ostrzeżenie i zdążył się przygotować do walki.

Teraz już wie, że potrafi zainicjować i podtrzymać łączność między nimi zgodnie ze swoją wolą. Może być kontrolowana dzięki przyciskowi ON OFF, jak prąd w każdym urządzeniu domowym. Zamiast pozostawiać przycisk w pozycji ON przez cały czas, wystarczy nawiązywać łączność na krótko, tylko żeby poczuć siłę przyciągania tamtego i ustalić kierunek.

Logika podpowiada, że może również modyfikować siłę płynącą psychicznym łączem. Wyobrażając sobie, że jest ona regulowana ściemniaczem – nastawnikiem oporowym, będzie mógł zmniejszać natężenie prądu w obwodzie, sprawiając, że kontakt będzie słabszy. Przecież dzięki ściemniaczowi można stopniowo redukować światło żyrandola aż do ledwie widzialnego blasku. Podobnie – co najważniejsze – wyobrażając sobie psychiczny włącznik jako właśnie taki ściemniacz, będzie mógł nawiązać łączność na tak niskim poziomie natężenia, że uda mu się wytropić fałszywego ojca, nie wzbudzając żadnych podejrzeń.

Zatrzymując się na świetłach w samym sercu Mission Viejo, wyobraża sobie ściemniacz w kształcie tarczy, o 360-stopniowym zakresie jasności. Nastawia go tylko na 90 stopni i od razu wyczuwa siłę przyciągania, dochodzącą z miejsca wysuniętego bardziej na wschód i teraz odrobinę na północ.

Już po wyjściu z banku, w połowie drogi do BMW, Marty poczuł nagle drugą falę ciśnienia i kryjącą się za nią niszczycielską siłę ze snów. Była dość słaba, ale pozbawiła go równowagi. Zachwiał się, potknął i upadł. Dwie szare koperty z pieniędzmi wypadły mu z rąk i poszybowały nad asfaltem.

Charlotte i Emily pobiegły za kopertami, a Paige pomogła mu wstać z ziemi.

– Weź kluczyki, będzie lepiej, jak ty poprowadzisz. Prześladowuje mnie. Już nadchodzi – powiedział niepewnie Marty.

Rozejrzała się przerażona.

– Nie, jeszcze go tu nie ma. To tak jak wtedy. To uczucie, że stoi się na drodze czegoś bardzo potężnego, czegoś, czego nie można powstrzymać.

Dwie przecznice. Może nawet bliżej.

Jedzie powoli. Uważnie obserwuje ulicę – przed sobą, po lewej i prawej stronie.

Z tyłu dobiega trąbienie klaksonu. Kierowca jest zniecierpliwiony.

Powoli, powoli, zerkać w lewo i prawo, przyglądać się ludziom na chodniku i tym w mijanych samochodach.

Klakson z tyłu. Wykonuje nieprzyzwoity gest, co, jak się zdaje, uspokaja kierowcę.

Powoli, powoli.

Nigdzie ich nie widać.

Próbuje uruchomić psychiczny włącznik. Tym razem obrót o 60 stopni. Wciąż silny kontakt, niecierpliwy i nieodparty ciąg.

Naprzód. W lewo. Centrum handlowe.

Gdy Marty siadał na przednim siedzeniu obok kierowcy i zamykał drzwi, trzymając w ręku koperty z pieniędzmi, znów poczuł wstrząs. Uderzenie było słabsze niż kiedykolwiek, jednak paniczny lęk był zawsze taki sam... żadnej ulgi.

– Wywieź nas stąd do wszystkich diabłów – ponaglił Paige, wyciągając spod siedzenia naładowaną beretę.

Paige uruchomiła silnik, a Marty odwrócił się do dziewczynek. Zapinały pasy.

Gdy Paige wrzucała wsteczny bieg i wyjeżdżała ze stanowiska na parkingu, Marty spojrział na córki. Były przestraszone.

Nie chciał kłamać. Zamiast udawać, że wszystko jest w porządku, powiedział:

– Trzymajcie się. Wasza mama spróbuje pojechać tak jak ja.

Redukując wsteczny bieg, Paige spytała:

– Skąd on nadchodzi?

– Nie wiem. Nie jedź tylko tą samą drogą, którą tu przyjechaliśmy. Bałbym się to robić. Wybierz jakąś inną ulicę.

Parkuje samochód przy wschodnim wejściu do banku.

Gasi silnik. Słyszy krótki pisk opon. Kątem oka dostrzega samochód oddalający się szybko od południowego skrzydła budynku. Odwracając się, widzi białe BMW w odległości osiemdziesięciu czy stu stóp. Samochód pędzi w stronę centrum handlowego.

Dostrzega w przelocie jedynie fragment twarzy kierowcy – jeden policzek, linię szczęki, wygięcie brody. I błysk złotych włosów.

Czasem wystarczą trzy takty, by rozpoznać ulubioną piosenkę, bo jej melodia wycisnęła niezatarte piętno w umyśle słuchacza. Teraz jest tak samo. Natychmiast rozpoznaje swoją ukochaną żonę. Nieznani ludzie pozbawili go wspomnień o niej, ale fotografia, którą wczoraj odkrył, pozostała w jego sercu na zawsze.

Wymawia szeptem jej imię:

– Paige.

Uruchamia toyotę, wyjeżdża tyłem z zatoczki i skręca w stronę centrum handlowego.

Połączenie asfaltu otaczającego kompleks są puste. O tej porze otwarte są tylko supermarket, ciastkarnia i sklep ze sprzętem biurowym. BMW pędzi przez parking, omija szerokim łukiem kilka zaparkowanych samochodów i zmierza w stronę ulicy dojazdowej, która biegnie przed frontem sklepów. Skręca w lewo i kieruje się ku północnemu krańcowi centrum.

Jedzie za nimi, ale bez pośpiechu. Jeśli ich zgubi, ponowna lokalizacja nie będzie trudna dzięki tajemniczemu, lecz niezawodnemu ogniwu, jakie łączy go z tym zniechęconym człowiekiem.

BMW dociera do pomocnego wyjazdu i skręca w prawo, w ulicę. Nim zabójca dojeżdża do tego skrzyżowania, BMW jest już o dwie przecznice dalej. Stoi na światłach, jest teraz ledwie widoczne.

Podąża za nimi dyskretnie przez ponad godzinę, wzdłuż Santa Ana i Costa Mesa, na północ, a potem wzdłuż Riverside, na wschód. Przez cały czas zachowuje spory dystans. Jego nieduża toyota, wciśnięta w gęsty ruch uliczny, jest prawie niewidoczna.

Na Riverside, na zachód od Corony, wyobraża sobie, że włącza psychiczny prąd przebiegający między nim a fałszywym ojcem. Widzi w myślach tarczę włącznika i przekręca ją o pięć stopni z 360 możliwych. Wystarczy, by mógł wyczuć obecność fałszywego ojca gdzieś z przodu, choć trudno mu określić jego dokładną pozycję. Sześć stopni, siedem, osiem. Osiem to za dużo. Siedem. Siedem to magiczna liczba. Przy tarczy włącznika przesuniętej tylko o siedem stopni przyciąganie jest na tyle silne, by służyć mu jako drogowskaz, nie alarmując jednocześnie przeciwnika. Uzurpator jedzie w swoim BMW po Riverside. Zmierza na wschód – napięty i uważny, ale nieświadomy tego, że jest cały czas obserwowany.

Za to w głowie myśliwego rozbrzmiewa sygnał wysyłany przez ofiarę niczym migające czerwone światełko na elektronicznej mapie.

Dzięki temu, że opanował do perfekcji kontrolę nad tą tajemną siłą, będzie mógł zaskoczyć uzurpatora.

Choć mężczyzna w BMW spodziewa się ataku i chce przed nim uciec, to wie również, że wcześniej zawsze otrzymuje ostrzeżenie. Gdy upłynie dostatecznie dużo czasu bez zakłóceń w eterze, kiedy nie poczuje niepokojących sygnałów, odzyska pewność siebie. A wraz z nią zmniejszy się jego czujność i stanie się łatwym celem.

Myśliwy musi jedynie pozostać na właściwym szlaku, iść za tropem, dążyć cierpliwie przed siebie i czekać na idealny moment, by zaatakować.

W miarę jak posuwają się po Riverside, poranny ruch rzędzie coraz bardziej. Myśliwy pozostaje jeszcze bardziej w tyle, aż w końcu BMW staje się dalekim, bezbarwnym punktem, który chwilami znika niczym miraż, w przelotnym błysku słońca czy w wirze kurzu.

Naprzód i na północ. Przez miasto San Bernardino. Na trasę międzystanową 15. Ku północnemu krańcowi gór San Bernardino. Przez przełęcz El Cajon na wysokości czterech tysięcy trzystu stóp.

Wkrótce potem, na południe od miasta o nazwie Hesperia, BMW opuszcza międzystanową i kieruje się wprost na US Highway 395, ku najbardziej na zachód wysuniętym połączeniom pustyni Mojave. Jedzie za BMW, cały czas utrzymując taki dystans, że ścigani nie są w stanie się zorientować, że ciemna plamka widoczna w lusterku wstecznym to wciąż ten sam samochód, który podąża ich śladem przez trzy okręgi.

Po kilku milach mijają tablicę informującą o odległości dzielącej od Ridgecrest, Lone Pine, Bishop i Mammoth Lakes. Do Mammoth jest najdalej dwieście osiemdziesiąt dwie mile.

Nazwa miasta z czymś mu się kojarzy. Ma żywą pamięć. Widzi słowa dedykacji na pierwszej stronie jednej z kryminalnych powieści, które napisał, i które trzyma na półkach biblioteczki w swoim domu w Mission Viejo:

Dzieło to poświęcam mojej matce i ojcu, Jimowi i Alice Stillwaterom, którzy nauczyli mnie, jak być uczciwym człowiekiem – i którzy nie ponoszą odpowiedzialności za to, że potrafię myśleć jak kryminalista.

Przypomina sobie również notatnik z nazwiskami i adresami. Oni mieszkają w Mammoth Lakes.

I znów odczuwa bolesną świadomość tego, co stracił. Nawet jeśli uda mu się odzyskać ukradzione życie, to prawdopodobnie już nigdy nie odzyska wspomnień. Dzieciństwo. Wczesna młodość. Pierwsza randka. Doświadczenia ze szkoły średniej. Nie pamięta matczynej czy ojcowskiej miłości, i to, że został obrabowany z tych najważniejszych wspomnień, wydaje się oburzające, *monstrualne*.

Przez sześćdziesiąt mil żeglujecie między rozpaczą z powodu samotności, która jest głównym składnikiem jego egzystencji, a radością z powodu perspektywy odzyskania swego przeznaczenia.

Za wszelką cenę pragnie być ze swoim ojcem i matką, pragnie zobaczyć ich drogie twarze (których obraz został wytarty z kart jego pamięci), objąć ich i znów nawiązać głęboką więź z tymi ludźmi, którym zawdzięcza swoje istnienie. Wie z filmów, że rodzice mogą być przekleństwem – psychopatyczna matka, już martwa w pierwszej scenie „Psychozy”, egoistyczni matka i ojciec, którzy wypaczyli Nicka Nolte w „Księżu przyływów”, wierzy jednak, że jego rodzice będą inni – lepsi, współczujący i prawdziwi, jak Jimmy Stewart i Donna Reed w „Tym wspaniałym życiu”.

Po obu stronach autostrady ciągną się białe jak sól jeziora, pojawiają się nagle zwały czerwonych skał, rzeźbione wiatrem oceany piachu, zarośla, płaszczyny, odległe skarpy ciemnego kamienia. Wszędzie zalegają pozostałości geologicznych niepokojów i strumieni lawy, która płynęła tędy przed wiekami.

W mieście Red Mountain BMW zjeżdża z szosy. Zatrzymuje się na stacji benzynowej, żeby zatankować paliwo.

Jedzie za nimi tak długo, że poznał już ich zamiary. Mija stage nie zatrzymując się. Mają broń. On nie ma. Nadarzy się lepszy moment.

Ponownie wjeżdża na trasę 395 i rusza na północ, pokonując niewielki dystans dzielący go od Johannesburga, położonego na zachód od Lava Mountains. Znów wjeżdża na główną drogę i tankuje na następnej stacji. Kupuje w automacie krakersy, batony i orzeszki, które dostarczą mu energii w czasie długiej jazdy.

Być może dzięki temu, że Charlotte i Emily musiały skorzystać z toalety podczas postoju w Red Mountain, wyprzedza teraz BMW, ale nie ma to żadnego znaczenia, ponieważ już nie musi ich pilnować. Wie, dokąd jadą.

Do Mammoth Lakes, w Kaliforniu.

Jim i Alice Stillwater. Którzy nauczyli go, jak być uczciwym człowiekiem. Którzy nie ponoszą odpowiedzialności za to, że jest w stanie myśleć jak przestępca. Którym zadedykował powieść. Ukochani. Uwielbiani. Których mu ukradziono, ale których wkrótce odzyska.

Pragnie za wszelką cenę włączyć ich do swej krucjaty, której celem jest odzyskanie rodziny i przeznaczenia. Być może uzurpatorowi udaje się oszukać jego dzieci, i być może nawet Paige jest opętana do tego stopnia, by akceptować tego złodzieja. Ale co innego rodzina. Oni rozpoznają prawdziwego syna, krew z ich krwi, i nie dadzą się zwieść sprytnemu naśladownictwu tamtego oszusta.

Od chwili wjechania na trasę 395, gdzie ruch jest mniejszy, BMW utrzymywało stałą prędkość sześćdziesięciu, sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę, choć droga w wielu miejscach pozwalała na szybszą jazdę. Teraz, kiedy nie musi już za nimi jechać, prowadzi toyotę z prędkością wahającą się od siedemdziesięciu pięciu do osiemdziesięciu mil na godzinę. Powinien dojechać do Mammoth Lakes

między drugą a drugą piętnaście, pół godziny, może czterdzieści minut wcześniej niż oni, będzie mógł więc uprzedzić matkę i ojca o złych zamiarach tej istoty, która występuje w przebraniu ich syna.

Droga skręca pod kątem na północny zachód, przecinając Wells Valley. Na płaskim południu wznoszą się góry El Paso. Mila za milą jego serce coraz bardziej rozpira podniecenie wywołane perspektywą ponownego zjednoczenia się z mamą i tatą, od których tak okrutnie go odseparowano. Pragnie, aż do bólu, objąć ich i zanurzyć się w strumieniu ich miłości, ślepej miłości, dozgonnej i doskonałej.

Helikopter Bell JetRanger, którym lecieli do Mammoth Lakes Oslett i Clocker, był własnością studia filmowego, należącego do Sieci. Wnętrze helikoptera przytłaczało luksusem: siedzenia z cielecej skóry, mosiężne wykończenia i ściany wyłożone szmaragdowozielonym obiciem. W kabinie znaleźli zestaw aktualnej prasy, znacznie bogatszy niż mieli w samolocie: *The Hollywood Reporter* i *Daily Variety*, *Premier*, *Rolling Stone*, *Mother Jones*, *Forbes*, *Fortune*, *GO*, *Spy*, *The Ecological Watch Society Journal* i *Bon Appetit*.

Żeby zająć się czymś podczas lotu, Clocker wyjął kolejną powieść z cyklu „Star Trek”, którą kupił w sklepie z pamiątkami w Ritzu. Oslett był przekonany, że przenikanie takich książek do eleganckich sklepów w pięciogwiazdkowych hotelach – niegdyś miejscach, które służyły kulturalnym i potężnym, a nie tylko bogatym, było jednym z najbardziej alarmujących oznak społecznego kryzysu, podobnie jak pojawienie się doskonale uzbrojonych handlarzy kokainą na dziedzińcach szkolnych.

Gdy JetRanger podążał na północ nad Sequoia National Park, King’s Canyon National Park, wzdłuż zachodniego zbocza gór Sierra Nevada, i w końcu wleciał wprost między te wspaniałe góry, Oslett krążył między jedną końcówką helikoptera a drugą, zdecydowany nie stracić niczego z tej oszałamiającej scenerii. Bezkresne obszary, które się pod nim rozciągały, były tak bardzo wyludnione, że mogły spowodować typową dla niego agorafobiczną awersję do otwartych przestrzeni i wiejskich krajobrazów. Ale teren był bardzo zróżnicowany, pojawiały się coraz to nowe cuda i jeszcze bardziej zachwycające widoki w takim tempie, że Oslett poczuł się zadowolony.

Ponadto JetRanger leciał na znacznie mniejszej wysokości niż odrzutowiec, tak że Oslett miał wrażenie ruchu na wprost. Kabina helikoptera było hałaśliwsza i wstrząsana silniejszymi wibracjami niż wnętrze odrzutowca, co mu się również podobało.

Dwukrotnie starał się zwrócić uwagę Clockera na cuda natury widoczne za oknami. Olbrzym zerkał przez sekundę czy dwie na krajobraz, a następnie, bez słowa komentarza, znów się zagłębiał w dziele zatytułowanym „Amazonki o sześciu piersiach ze śluzowatej planety”.

– Co cię tak cholernie ciekawi w tej książce? – nie wytrzymał Oslett, opadając na siedzenie naprzeciwko Clockera.

Clocker, który najpierw skończył rozdział, a dopiero potem podniósł wzrok, powiedział:

– I tak nie mógłbym ci powiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo nawet gdybym ci powiedział, co mnie w tej książce interesuje, to ciebie i tak by to nie zainteresowało.

– Co masz na myśli?

Clocker wzruszył ramionami.

– Nie sędzę, byś lubił takie rzeczy.

– Nienawidzę powieści, zawsze nienawidziłem, zwłaszcza sf i podobnych bzdur.

– Właśnie o to chodzi.

– A co teraz masz na myśli?

– To, że właśnie potwierdziłeś moje słowa.

– Oczywiście, że nie lubię.

– Właśnie o to chodzi. – Clocker wzruszył ramionami.

Oslett wpatrywał się w niego ze złością. Wskazując na książkę, spytał:

- Jak możesz lubić te śmieci?
- Istniejemy w równoległych wszechświatach – powiedział Clocker.
- Co?
- W tym twoim Johann Gutenberg wymyślił bilard mechaniczny.
- Kto?
- W tym twoim facet o nazwisku Faulkner był najprawdopodobniej wirtuozem gry na banjo.
- Nie potrafisz zrozumieć tych bzdur – skrzywił się Oslett.
- Właśnie o to chodzi.

Clocker powrócił do książki „Zakochani Kirk i Spock”, czy jak się tam nazywała.

Oslett miał ochotę go zabić. Tym razem w tej niezrozumiałej gadaninie Clockera odkrył subtelnie wyrażony, ale doskonale wyczuwalny brak szacunku. Pragnął chwycić Clockera za ten jego głupi kapelusz i spalić go, razem z piórką i całą resztą, wyrwać mu z rąk tę książkę i podrzeć na kawałki, a w niego samego wpakować może z tysiąc pocisków 9-mm z maksymalnej bliskości.

Zamiast tego odwrócił się do okna, by poszukać ukojenia w majestacie górskich szczytów i lasów.

Ponad ich głowami widać było chmury, które napływały od północnego zachodu. Obłe i szare, niczym flotylla sterowców, zmierzały w stronę górskich wierzchołków.

We wtorek po południu, dziesięć po pierwszej, spotkali się na lotnisku przy Mammoth Lakes z przedstawicielem Sieci o nazwisku Alec Spicer. Czekał na asfaltowym placu obok hangaru z betonowych bloków, krytego blachą falistą.

Choć znał ich prawdziwe nazwiska, a tym samym co najmniej dorównywał rangą Peterowi Waxhillowi, nie był tak nieskazitelnie ubrany, uprzejmy czy wymowny jak džentelmen, który udzielał im informacji podczas śniadania. W przeciwieństwie do muskularnego Jima Lomaxa z lotniska Johna Wayne’a pozwolił, by sami zanieśli swoje walizki do zielonego forda explorera, który czekał na parkingu.

Spicer miał około pięćdziesiątki, pięć stóp dziesięć cali wzrostu, sto sześćdziesiąt funtów wagi i ostrzyżone na jeża stalowoszare włosy. Jego twarz stanowiły twarde płaszczyzny, a oczy zakrywały ciemne okulary, choć niebo było zachmurzone. Ubrany był w wojskowe buty, spodnie koloru khaki, taką samą koszulę i podniszczoną skórzaną kurtkę lotniczą z niezliczonymi kieszeniami zapinanymi na zamki błyskawiczne. Jego wyprężona postawa, zdyscyplinowany sposób bycia i mówienia wskazywały, że jest emerytowanym, może zdegradowanym oficerem.

– Nie jesteście odpowiednio ubrani jak na Mammoth – zauważył ostro Spicer, tocząc z ust kłęby pary, gdy zmierzali w stronę explorera.

– Nie wiedziałem, że będzie tu tak zimno – powiedział Oslett, nie mogąc zapanować nad drżeniem.

– Góry Sierra Nevada – stwierdził Spicer. – Prawie osiem tysięcy stóp nad poziomem morza, tu gdzie stoimy. Grudzień. Trudno się spodziewać palm, krótkich spódniczek i koktajlu pina colada.

– Wiedziałem, że będzie zimno, ale nie wiedziałem, że aż tak – tłumaczył się Oslett.

– Odmrożcie sobie dupy – oznajmił lakonicznie Spicer.

– Mam ciepłą marynarkę – bronił się Oslett. – To kaszmir.

– Ma pan szczęście – powiedział Spicer.

Podniósł klapę forda i stanął z boku, by mogli wsadzić do samochodu bagaże.

Spicer usadowił się za kierownicą. Oslett zajął miejsce z przodu. Clocker, siedzący z tyłu, powrócił do lektury „Okrutnego wzdęcia z planety Ganimeda”.

Przez jakiś czas, gdy oddalali się od lotniska jadąc w stronę miasta, Spicer milczał. Wreszcie się

odezwał:

– Spodziewamy się dziś pierwszego śniegu w tym sezonie.

– Zima to moja ulubiona pora roku – podtrzymał rozmowę Oslett.

– Może się panu nie spodobać, jak śnieg sięgnie panu tyłka, a te eleganckie buciki zamoczą się i stwardnieją jak holenderskie chodaki.

– Wie pan, kim jestem? – zirytował się Oslett.

– Tak, sir – powiedział Spicer, wyrzucając słowa jeszcze szybciej niż zwykle, pochylając jednak nieznacznie głowę, czym dawał delikatnie do zrozumienia, że zdaje sobie sprawę ze swojej niższej pozycji.

Miejscami, po obu stronach drogi, rosły kępy wysokich, wiecznie zielonych krzewów. Motele, restauracje i przydrożne bary utrzymane były w stylu alpejskim. Nazwy niektórych z nich zawierały słowa przywodzące na myśl tak różne filmy jak „Dźwięki muzyki” czy dzieła Clinta Eastwooda: bawarskie to, szwajcarskie tamto, Eiger, Matterhorn, Genewa, Hofbrau.

– Gdzie jest dom Stillwaterów? – spytał Oslett.

– Teraz jedziemy do waszego motelu.

– Wydawało mi się, że dom Stillwaterów znajduje się pod obserwacją – upierał się Oslett.

– Tak, sir. Grupa obserwacyjna siedzi po drugiej stronie ulicy w furgonetce z przyciemnionymi szybami.

– Chcę się do nich przyłączyć.

– Niezbyt dobry pomysł. To małe miasto. Nie ma nawet pięciu tysięcy mieszkańców, jeśli nie liczyć turystów. Zbyt wielu ludzi wychodzących i wchodzących do furgonetki w spokojnej dzielnicy domków jednorodzinnych musi zwrócić niepożądaną uwagę.

– Więc co pan proponuje?

– Zadzwoń do tych od obserwacji i zawiadom ich, gdzie mogą pana znaleźć. Następnie poczekać w motelu. Jak tylko Stillwater zadzwoni do rodziców albo pojawi się pod ich drzwiami, zostanie pan powiadomiony.

– Jeszcze do nich nie zadzwonił?

– Ich telefon odezwał się kilka razy w ciągu ostatnich paru godzin, ale że nie ma ich w domu, nie wiemy, czy to był on.

Oslett był sceptyczny.

– Nie mają sekretarki przy telefonie?

– Tempo życia w tej miejscinie nie wymaga posiadania tego typu urządzeń.

– Zdumiewające. No cóż, jeśli nie ma ich w domu, to gdzie są?

– Pojechali rano po zakupy, a potem zatrzymali się na późny lunch w restauracji przy drodze 203. Powinni wrócić do domu za godzinę czy coś koło tego.

– Są śledzeni?

– Oczywiście.

W mieście roilo się od narciarzy. Oslett dostrzegł na którymś samochodzie nalepkę z napisem **MOJE ŻYCIE TO SZUS W DÓŁ ZBOCZA. UWIELBIAM TO!**

Gdy zatrzymali się na światłach za kombi, które wydawało się zapchane taką liczbą młodych blondynek w narciarskich swetrach, że starczyłoby ich na pół tuzina reklam piwa i balsamu do warg, Spicer spytał:

– Słyszeliście o dziwce w Kansas City?

– Uduszona – powiedział Oslett. – Ale nie ma dowodów, że zrobił to nasz chłopiec, nawet jeśli ktoś podobny do niego wyszedł *zmas* baru.

– W takim razie nie znacie najnowszych wiadomości. Do Nowego Jorku dostarczono próbki spermy. Zostały zbadane. To nasz chłopak.

– Są pewni?

– Jak najbardziej.

Szczyty gór rozplywały się w szarości nieba. Chmury ściemniały.

Nastrój Osletta uległ podobnej zmianie.

Zapaliło się zielone światło.

Przejechali skrzyżowanie za samochodem pełnym blondynek.

– A więc jest w pełni zdolny do współżycia płciowego – zauważył Alec Spicer.

– Ale zaprojektowano go tak, że... – Oslett nie był nawet w stanie dokończyć tego zdania. Nie wierzył już w dzieło specjalistów od inżynierii genetycznej.

– Do tej pory – mówił Spicer – dzięki policyjnym kontaktom centrala sporządziła listę piętnastu zabójstw na tle seksualnym, które można by przypisać naszemu chłopcu. Nie wyjaśnione przypadki. Młode i atrakcyjne kobiety. W miastach, które odwiedzał, wtedy kiedy tam przebywał. Podobny *modus operandi* w każdym przypadku, w tym skrajne okrucieństwo po ogłuszeniu ofiary, czasem przez zadanie ciosu w głowę, ale generalnie przez uderzenie w twarz... najwidoczniej po to, by zapewnić sobie spokój podczas właściwego aktu zabijania.

– Piętnaście – stwierdził ponuro Oslett.

– Może więcej. Może znacznie więcej. Spicer odwrócił wzrok od drogi i spojrzał na Osletta. – I lepiej pokładajmy w Bogu nadzieję, że zabił każdą, którą wypieprzył.

– Co pan ma na myśli?

Znów patrząc na drogę, Spicer powiedział:

– Jego sperma charakteryzuje się dużą liczbą plemników. I są one aktywne. On jest płodny.

Choć Oslett nie chciał się do tego przyznać, od jakiegoś czasu przeczuwał, że zła wiadomość ma dopiero nadejść.

– Czy wie pan, co to oznacza? – spytał Spicer.

Clocker odezwał się z tylnego siedzenia:

– Pierwszy sklonowany ludzki osobnik z generacji Alfa jest renegatem, podlegającym mutacjom, których być może nie pojmujemy, zdolnym do zainfekowania ludzkich genów materiałem, który da początek nowej rasie. Niemal niezniszczalnych nadistot.

Przez chwilę Oslett sądził, że Clocker zacytował fragment jakiejś powieści z cyklu „Star Trek”, ale potem się zorientował, że mężczyzna zwięźle wyraził istotę całej sprawy.

– Jeśli nasz chłopak zrobił kilkoro dzieciaków, a te z jakichś powodów nie zostały wyskrobane, nawet jeśli zostało *jedno* dziecko, to siedzimy po uszy w gównie. Nie tylko my trzej, nie tylko Sieć, ale cały rodzaj ludzki – dodał Spicer.

Podążali na północ przez Owens Valley. Po wschodniej stronie wznosiły się góry Inyo, a po zachodniej strzeliste Sierra Nevada. Marty przekonał się, że telefon komórkowy nie zawsze funkcjonuje jak należy, ponieważ skomplikowana rzeźba terenu przeszkadzała w mikrofalowej transmisji. A gdy udawało mu się połączyć z domem rodziców w Mammoth, nikt nie podnosił słuchawki.

Po szesnastym sygnale nacisnął guzik z napisem END, który przerywał połączenie, i powiedział:

– Wciąż nie ma ich w domu.

Jego ojciec miał sześćdziesiąt sześć lat, matka sześćdziesiąt pięć. Byli nauczycielami i obydwójce przeszli rok wcześniej na emeryturę. Byli wciąż młodzi jak na dzisiejsze czasy, zdrowi i rześcy, pełni radości życia. Nie było więc nic dziwnego w tym, że przebywali poza domem.

– Jak długo zostaniemy u babci i dziadka? – spytała Charlotte z tylnego siedzenia. – Czy babcia zdąży nauczyć mnie grać na gitarze, tak jak ona? Gram już całkiem dobrze na pianinie, ale myślę, że gitara też by mi się spodobała, i jeśli mam być sławnym muzykiem, a myślę, że nie miałabym nic przeciwko temu, choć jeszcze się całkiem nie zdecydowałam – to byłoby mi o wiele łatwiej prezentować moją muzykę wszędzie, gdziekolwiek bym była, ponieważ nie da się właściwie chodzić z pianinem na plecach.

– Nie zamieszkamy u babci i dziadka – wyjaśnił Marty. – Prawdę mówiąc, nawet się tam nie zatrzymamy.

Charlotte i Emily wydały pomruk rozczarowania.

Paige stwierdziła:

– Możemy ich odwiedzić później, za kilka dni. Zobaczymy. Teraz jedziemy do chaty.

– Dobra! – zgodziła się Emily.

– W porządku – dorzuciła Charlotte.

Marty usłyszał, jak przybiły sobie piątkę.

Chata, własność babci i dziadka, znajdowała się w górach, kilka kilometrów za Mammoth Lakes, pomiędzy miastem i jeziorami, blisko niewielkiej miejscowości Lake Mary. Było to urocze miejsce, osłonięte przez wysokie na sto stóp sosny i jodły. Dla dziewczynek, wychowanych w labiryncie przedmieść Orange County, chata była miejscem tak szczególnym jak zaczarowany domek z bajki.

Marty potrzebował kilku dni, by podjąć dalsze decyzje. Chciał się zorientować, w jaki sposób środki przekazu będą przedstawiać jego historię, i – jak sądził – na tej podstawie będzie mógł ocenić potęgę, jeśli nie tożsamość swoich prawdziwych wrogów, którzy z pewnością nie ograniczali się do osoby pomyłonego sobowtóra, który nawiedził ich dom.

Nie mogli się zatrzymać u rodziców Marty'ego. Reporterzy bez trudu dotarliby do nich. Dotarliby także nieznani prześladowcy, którzy już zdążyli dopilnować, by mało ważna wiadomość o napadzie na dom została rozdmuchana w mediach, a Marty przedstawiony jako człowiek o wątpliwej równowadze umysłowej.

Poza tym nie chciał narażać swoich rodziców na ryzyko. Prawdę mówiąc, gdyby zdołał się z nimi połączyć, miał zamiar namawiać ich, by natychmiast wsiadali do swojego motodomu i wyjechali z Mammoth Lakes na parę tygodni, miesiąc, może na dłużej. Nikt nie zdołałby go wytropić, podążając ich śladem, gdyby podróżowali zmieniając miejsce postoju każdej nocy.

Od czasu próby nawiązania kontaktu w banku w Mission Viejo Marty nie doświadczył już macek Tego Drugiego. Miał nadzieję, że pośpiech i zdecydowanie, z jakim ruszyli na północ, zapewniły im

bezpieczeństwo. Nawet jasnowidzenie czy telepatia, czy cokolwiek to, u diabła, było, muszą mieć swoje granice. W przeciwnym razie mieliby do czynienia nie z jakąś niezwykłą siłą umysłu, ale z niewątpliwą magią. Marty mógł zaakceptować istnienie niejasnych psychicznych mocy, jednak nie mógł w żaden sposób uwierzyć w magię. Dystans kilkuset mil dzielący ich od Tego Drugiego uniemożliwił oddziaływanie jego myśliwskiego szóstego zmysłu. Góry mogły stanowić dodatkową warstwę chroniącą przed telepatyczną detekcją.

Być może bezpieczniej było trzymać się od Mammoth Lakes z daleka i szukać schronienia w mieście, z którym nic go nie łączyło. Wybrał jednak chatę, ponieważ nikt nie miał pojęcia o istnieniu kryjówki w górach i było mało prawdopodobne, by ktokolwiek dowiedział się o niej przypadkowo. Poza tym dwaj jego kumple ze szkoły średniej byli w okręgu Mammoth pomocnikami szeryfa od dziesięciu lat, a chata znajdowała się w pobliżu miasta, gdzie się wychowywał i gdzie wciąż był dobrze znany. Miał tu dobrą opinię i mógł się spodziewać, że miejscowe władze potraktują go poważnie i dadzą mu ochronę, gdyby Ten Drugi jednak się pojawił. W obcym miejscu uchodziłby za outsidera i z pewnością policja byłaby jeszcze bardziej podejrzliwa niż Cyrus Lowbock. Poza tym tutaj czuł się bezpieczniej.

– Może się posuć pogoda – stwierdziła Paige.

Niebo na wschodzie było rozjaśnione, ale na zachodzie, nad szczytami i przełęczami Sierra Nevada, przepływały masy ciemnych chmur.

– Lepiej się zatrzymaj na stacji w Bishop – powiedział Marty – i dowiedz, czy drogówka nie każe zakładać łańcuchów na koła samochodów jadących do Mammoth.

Może powinien się cieszyć z nadchodzącej burzy. Śnieg utrudniłby dostęp do chaty. Ale z drugiej strony perspektywa burzy tylko go niepokoiła. Może się zdarzyć, że będą musieli opuszczać Mammoth Lakes w pośpiechu. Drogi zasypane przez zamieć mogłyby spowodować opóźnienie, równoznaczne z ich śmiercią.

Charlotte i Emily chciały grać w grę pod nazwą „Patrz, kto jest teraz małpą”, którą kilka lat wcześniej wymyślił Marty, by zabawiać czymś dziewczynki w czasie długich podróży samochodem. Zagrali już dwa razy od chwili wyjazdu z Mission Viejo. Paige nie chciała się do nich przyłączyć, tłumacząc się koniecznością skupienia uwagi na prowadzeniu wozu, i Marty częściej niż zwykle stawał się małpą, ponieważ był roztargniony i zdenerwowany.

Wyższe partie gór ginęły we mgle. Chmury ciemniały nieubłaganie, jakby ognie niewidocznego słońca wypalały się do szczytu i pozostawiały w niebie ostatnie szerniałe ruiny.

Właściciele motelu nazywali go klubem. Gałęzie wysokich jodeł, mniejszych sosen i modrzewi zasłaniały budynki. Styl był wyszukanie rustykalny.

Pokoje oczywiście nie mogły równać się z tymi w Ritzu Carltonie, a starania dekoratora wnętrz, by ich mieszkańcom przychodziła na myśl Bawaria, dzięki sosnowej boazerii z sękami i solidnym drewnianym meblom, były jałowe. Drew Oslett uznał jednak, że miejsce jest miłe. Duży kamienny kominek, w którym już ułożono drewniane kłocę i szczapy na podpałkę, podobał mu się szczególnie. W ciągu paru minut zapłonął w nim ogień.

Alec Spicer połączył się telefonicznie z zespołem obserwacyjnym w furgonetce zaparkowanej naprzeciwko domu Stillwaterów. Językiem równie tajemniczym jak niektóre stwierdzenia Clockera poinformował, że ludzie kierujący Alfiem są już w mieście i zatrzymali się w motelu.

– Nic nowego – stwierdził Spicer, odkładając słuchawkę. Jima i Alice Stillwaterów nie ma jeszcze w domu. Ich syn i jego rodzina również się nie pojawili, no i oczywiście nie ma śladu naszego chłopca.

Spicer zapalił wszystkie światła w pokoju i rozchylił zasłony, ponieważ wciąż nosił okulary przeciwsłoneczne, choć zdjął skórzaną kurtkę lotniczą. Oslett podejrzewał, że Alec Spicer nie zdejmował ich nawet wtedy, gdy uprawiał seks ani nawet wtedy, gdy kładł się spać.

Usiedli w fotelach wokół odchylanego stolika z blatem w jodełkę. Przez najbliższe okno widać było zalesione zbocze.

Spicer wyjął z czarnej skórzanej walizeczki kilka przyborów potrzebnych Oslettowi i Clockerowi, by mogli zainscenizować zabójstwo rodziny Stillwaterów według instrukcji centrali.

– Dwa zwoje plecionego sznura – powiedział, kładąc na stole parę szpul w plastikowym opakowaniu.
– Zwiążcie tym nadgarstki i kostki u nóg jego córek. Nie luźno. Dostatecznie mocno, żeby bolało. Tak było w Maryland.

– W porządku – stwierdził Oslett.

– Nie przecinajcie sznura – instruował dalej Spicer. – Po związaniu nadgarstków przeciągnijcie ten sam kawałek do kostek. Jedna szpula dla każdej dziewczynki. Tak też było w Maryland.

Kolejnym przedmiotem wyjętym z walizeczki był pistolet.

– To dziewięćmilimetrowy SIG – wyjaśnił Spicer. – Zaprojektowany przez szwajcarskiego konstruktora, wyprodukowany w Niemczech przez Sauera. Bardzo dobra broń.

Biorąc do ręki SIG-a, Oslett spytał:

– To właśnie mamy zrobić z dziećmi i żoną?

Spicer skinął głową.

– A potem z samym Stillwaterem.

Oslett oswajał się z bronią, podczas gdy Spicer wyciągał z walizeczki pudełko z amunicją 9-mm.

– Czy taką samą bronią posłużył się tamten ojciec w Maryland?

– Zgadza, się – potwierdził Spicer. – Dokumenty wykażą, że pistolet został kupiony przez Martina Stillwatera trzy tygodnie temu w tym samym sklepie, w którym nabył też inne sztuki broni. Jest tam sprzedawca, któremu zapłacono, by przypominał sobie co kupował Stillwater.

– Bardzo sprytnie.

– Pudełko po broni i rachunek ze sklepu już zostały włożone do jednej z szuflad biurka w gabinecie Stillwatera, w Mission Viejo.

Oslett znów uwierzył, że uda im się ocalić Sieć i honor.

– Niezwykła dbałość o szczegóły – uśmiechnął się.

– Jak zawsze – odpowiedział Spicer.

Makiaweliczna zawilść planu sprawiała Oslettowi taką samą przyjemność jak skomplikowane fabuły komiksów Wile E. Coyote'a, które czytał z dreszczem emocji jako dziecko, tyle że w tym wypadku niewątpliwymi zwycięzcami miały być kojoty. Zerknął na Karla Clockera, spodziewając się, że i on będzie pod wrażeniem intrygi.

Wielbiciel sf czyścił sobie paznokcie ostrzem scyzoryka. Miał ponurą minę. Wszystko wskazywało na to, że błądzi myślami daleko. Jakies dwa wszechświaty za Mammoth Lakes, Kalifornia.

Spicer wyciągnął z walizeczki zapinaną na zamek błyskawiczny plastikową torbę, w której znajdowała się złożona kartka papieru – to notatka zostawiona przez samobójcę. Sfałszowana. Ale tak doskonale, że każdy grafolog powie, że pisał to Stillwater.

– Co tam jest? – spytał Oslett.

– „Robak. Draży wewnątrz. Wszyscy jesteśmy skażeni. Zniewoleni. Siedzą w nas pasożyty. Nie sposób tak żyć. Nie sposób” zacytował z pamięci Spicer.

– To też z Maryland? – spytał Oslett.

– Słowo w słowo.

– Facet był niesamowity.

– Nie zaprzeczę.

– Mamy zostawić tę kartkę przy zwłokach?

– Tak. Pamiętajcie tylko o rękawiczkach. I jak już zabijecie Stillwatera, włóżcie mu kartkę do ręki. Papier ma twardą, gładką powierzchnię. Pozostaną wyraźne odciski palców.

Spicer sięgnął jeszcze raz do walizeczki i wy dobył z niej kolejną plastikową torebkę zapinaną na zamek błyskawiczny, w której znajdowało się czarne pióro.

– Cienkopis – wyjaśnił Spicer. – Wyciągnięty z pudełka schowanego w szufladzie biurka Stillwatera.

– Tym napisano tę notatkę?

– Tak. Zostawcie to gdzieś obok ciała, bez skuwki.

Uśmiechając się, Oslett przyglądał się przedmiotom na stole. To dopiero będzie zabawa.

Gdy czekali na wiadomość od zespołu obserwacyjnego, zainstalowanego przed domem starych Stillwaterów, Oslett zaryzykował spacer do sklepu ze sprzętem narciarskim po drugiej stronie ulicy. Zdawało się, że w czasie krótkiego pobytu w motelu powietrze stało się jeszcze ostrzejsze, a niebo przybrało siną barwę.

Towar w sklepie był pierwszorzędny. W krótkim czasie zaopatrzył się w dobrą, chroniącą przed zimnem bieliznę importowaną ze Szwecji i czarny kombinezon przeciwburzowy. Kombinezon miał odblaskowe paski, chowany kaptur, anatomicznie dopasowane kolana, nylonową powłokę chroniącą przed zarysowaniem, mankiety ze specjalną izolacją i gumowymi ściągaczami, i kieszenie, których liczba zadowoliłaby magika. Na kombinezon nałożył czerwoną kamizelkę ze specjalną izolacją, odblaskowymi paskami, elastycznymi wstawkami i wzmocnionymi ramionami. Kupił również rękawice – włoska skóra i nylon – niemal tak giętkie jak ludzkie ciało. Zastanawiał się nad kupnem wysokiej jakości gogli, ale zdecydował się na dobre, przeciwsłoneczne okulary. Nowe buty narciarskie wyglądały jak coś, co włożyłby na nogi Terminator, żeby rozwalić kopniakiem betonową ścianę.

Czuł się silny.

Sprzedawca zapakował jego stare ubranie do plastikowej torby, którą Oslett wziął ze sobą, gdy

przebrany wyruszył w powrotną drogę do motelu.

Z każdą chwilą patrzył z coraz większym optymizmem w przyszłość. Nic tak nie poprawiało nastroju jak udane zakupy.

Kiedy wrócił do pokoju, okazało się, że nie ma żadnych nowych wiadomości, choć nie było go pół godziny.

Spicer siedział w fotelu i oglądał talk show. Przyciężka Murzynka z gęstą czupryną włosów przeprowadzała wywiad z czterema męskimi transwestytami, którzy jako kobiety próbowali wstąpić do korpusu marines. Zdawali się wierzyć, że prezydent będzie interweniował na ich korzyść.

Clocker, oczywiście, siedział przy stole obok okna, w promieniach srebrzystego światła, zwiastującego burzę śnieżną i czytał „Huckleberry Kirka i oślizgłe dziwki z Alfa Centauri”, czy jak się ta cholerna książka nazywała. Jego jedynym ustępstwem na rzecz pogody była zamiana bezrękawnika w romby na kaszmirowy pomarańczowy sweter z długimi rękawami.

Oslett zaniósł czarną walizeczkę do jednej z dwóch sypialni przylegających do salonu. Opróżnił jej zawartość na jedno z wielkich łóżek, usiadł ze skrzyżowanymi nogami na materacu, zdjął swoje nowe okulary i zaczął przeglądać rekwizyty do swojego przedstawienia.

Miał do rozwiązania kilka problemów, zastanawiał się między innymi, jak zabić tych wszystkich ludzi, robiąc jednocześnie jak najmniej hałasu. Nie martwił się o huk strzałów, który można przytłumić w taki czy inny sposób. Myślał o krzykach ofiar. W zależności od tego, gdzie miała się cała rzecz rozegrać, mógł się pojawić problem sąsiadów. Zaalarmowani, wezwaliby policję.

Włożył po kilku minutach okulary i wrócił do salonu.

– Jak już ich wykończymy, to jakie służby policyjne zajmą się tą sprawą? – zwrócił się do Spicera.

– Jeśli stanie się to tutaj – to prawdopodobnie biuro szeryfa okręgowego.

– Mamy tam przyjaciół?

– Jeszcze nie, ale jestem pewien, że dałoby się to załatwić.

– Koroner?

– W tej dziurze raczej lokalny przedsiębiorca pogrzebowy.

– Żadnej specjalistycznej wiedzy z zakresu medycyny sądowej?

– Odróżni wylot po kuli od dupy, ale to wszystko.

– Więc jeśli wykończymy najpierw żonę i Stillwatera, to nie trafi się nikt na tyle mądry, by ustalić kolejność zabijania?

– Nawet laboratorium kryminalistyczne w dużym mieście miałyby z tym duży problem, gdyby różnica w czasie wynosiła, powiedzmy, mniej niż godzinę – stwierdził Spicer.

– Poza tym... jeśli spróbujemy najpierw załatwić się z dziećmi, to możemy mieć problemy ze Stillwaterem i jego żoną – dodał Oslett.

– Jak to?

– Jeden z nas może pilnować rodziców, a drugi zabierze dzieci do innego pokoju. Ale rozebranie dziewczynek, związanie ich – to wszystko zabierze dziesięć, piętnaście minut, jeśli ma być zrobione dokładnie tak jak w Maryland. Nie będą siedzieć spokojnie przez cały ten czas, nawet jeśli będzie ich trzymał na muszce jeden z nas. Obydwoje rzucają się na Clockera albo na mnie, a razem mogą sobie poradzić.

– Wątpię – powiedział Spicer.

– Skąd ta pewność?

– Ludzie w dzisiejszych czasach nie mają jaj.

– Stillwater pokonał Alfiego.
– To prawda – przyznał Spicer.
– Kiedy jego żona miała szesnaście lat, znalazła zwłoki swoich rodziców. Stary zabił jej matkę, potem siebie...

– Ładnie się to łączy z naszym scenariuszem. – Spicer uśmiechnął się.

Oslett nie pomyślał o tym. Racja. Może to również tłumaczyć, dlaczego Stillwater nie umiał napisać książki opartej na wydarzeniach w Maryland.

– W każdym razie trzy miesiące później zwróciła się do sądu z prośbą o zwolnienie jej spod opieki prawnie wyznaczonej osoby i uznanie za pełnoletnią.

– Twarda dziwka.

– Sąd się zgodził. Uwzględnił jej prośbę.

– Więc rozwalcie najpierw rodziców – doradził Spicer, przesuwając się na fotelu, jakby zdrętwiały mu pośladki.

– Tak zrobimy – zgodził się Oslett.

– Ale to popieprzone – stwierdził Spicer.

Przez chwilę Oslett sądził, że Spicer komentuje plany związane ze Stillwaterami. Ale on myślał o programie telewizyjnym.

Gospodyni talk show pożegnała transwestytów i przedstawiła nową grupę gości. Były to cztery wściekle wyglądające kobiety, które usadowały się na scenie. Wszystkie miały na głowach dziwne kapelusze.

Kiedy Oslett wychodził z pokoju, dostrzegł kątem oka Clockera. Wielbiciel sf wciąż tkwił przy stole pod oknem, zatopiony w książce, ale postanowił, że nawet Clocker nie zepsuje mu dobrego nastroju.

Gdy znalazł się w sypialni, znów usiadł na łóżku, pośród swoich zabawek, po czym zdjął okulary i pełen radości wyobrażał sobie scenę przyszłej zbrodni, przygotowując się na każdą ewentualność.

Wiatr za oknem przybrał na sile. Przypominał wycie stada wilków.

Zatrzymuje się na stacji benzynowej. Pyta o adres, który pamięta z notatnika. Młody pracownik jest w stanie mu pomóc.

Przed drugą dziesiątą wjeżdża w okolice, w której dorastał. Rozległe posesje. Dużo zieleni.

Dom jego rodziców znajduje się w połowie ulicy. Jest to skromny, jednopiętrowy budynek z białą drewnianą elewacją i zielonymi okiennicami. Ganek od frontu ma białe słupki, zieloną balustradę i ozdobne listwy przy okapach.

Miejsce wygląda ciepło i zachęcająco. Przypomina dom ze starego filmu. Mógłby w nim mieszkać Jimmy Stewart. Wystarczy jeden rzut oka, by wiedzieć, że żyje tu kochająca się rodzina – przyzwoici ludzie, którzy mają mnóstwo do zaoferowania.

Nie pamięta tej ulicy, nie pamięta domu, w którym najwidoczniej spędził dzieciństwo i wczesną młodość. Mogliby tu równie dobrze mieszkać zupełnie obcy ludzie, w tym mieście, którego nie widział aż do dzisiaj.

Czuje wściekłość, gdy uświadamia sobie, że ktoś pozbawił go najcenniejszych wspomnień. Tak dużo stracił... Całkowite oderwanie od tych, których kocha, jest tak okrutne i niszczące, że chce mu się płakać.

Dusi jednak gniew i żal. Nie może pozwolić sobie na wzruszenia, gdy jego sytuacja jest wciąż niepewna. Musi działać.

Jedyną rzeczą, jaką rozpoznaje, jest furgonetka zaparkowana naprzeciwko domu rodziców, po drugiej stronie ulicy. Nigdy nie widział tego samochodu, ale zna ten model. Jego widok uruchamia w nim dzwonek alarmowy.

Auto którym jeździ się na wycieczki. Koloru kandyzowanego jabłka – Przedłużone podwozie, owalny bagażnik na dachu, duże chlapacze z chromowanymi literami FUN TRUCK. Tylny zderzak jest „okryty prostokątnymi, okrągłymi i trójkątnymi nalepkami upamiętniającymi wyprawy do narodowych parków Yosemite Yellowstone, na doroczne rodeo w Calgary, do Las Vegas, zapory Boulder Dam i innych atrakcyjnych miejsc. Boki samochodu ozdabiają dwa faliste i równoległe paski, zielony i czarny, które kończą się przy dwóch lustrzanych oknach.

Być może to zwykła furgonetka, ale jest przekonany, że to punkt obserwacyjny. Po pierwsze samochód za bardzo rzuca się w oczy Dzięki znajomości technik śledczych wie, że czasem do obserwacji używa się właśnie takich zwracających uwagę pojazdów Inwigilowany osobnik spodziewa się, że samochód wykorzystywany do obserwacji powinien wyglądać najzwyczajniej w świecie Nikt nie będzie się spodziewał, że będzie obserwowany, na przykład, z wozu cyrkowego. No i te lustrzane szyby z boku które umożliwiają ludziom siedzącym w środku obserwowanie tego, co dzieje się na zewnątrz, bez obawy, że zostaną zauważeni.

Zbliżając się do domu rodziców nie zwalnia i stara się nie okazywać zainteresowania ani domem, ani czerwoną furgonetką. Drapie się prawą ręką po czole, by zasłonić twarz, gdy przejeżdża obok tych lustrzanych okien.

Ci którzy siedzą w furgonetce, jeśli w ogóle ktokolwiek tam siedzi, musieli zostać zaangażowani przez jego nieznaną zwierzchników, którzy tak bezlitośnie manipulowali nim aż do Kansas City Interesują go w takim samym stopniu jak ukochana matka i ojciec, z którymi pragnie się spotkać.

Dwa skrzyżowania dalej skręca w prawo i kieruje się z powrotem w stronę kompleksu handlowego, niedaleko centrum miasta gdzie wcześniej mijał sklep sportowy. Ponieważ jest bezbronny i nie może kupić pistoletu z tłumikiem, musi zdobyć kilka sztuk prostej broni.

O drugiej dwadzieścia w motelu zadzwonił telefon.

Oslett zdjął okulary, zeskoczył z łóżka i podszedł do drzwi, prowadzących do salonu.

Spicer odebrał, posłuchał, wymamrotał słowo, które mogło znaczyć „dobra” i odłożył słuchawkę. Zwracając się do Osletta, powiedział:

– Jim i Alice Stillwaterowie właśnie wrócili z lunchu do domu.

– Miejmy nadzieję, że teraz zadzwoni do nich Marty.

– Zadzwoni – stwierdził Spicer z przekonaniem.

– Jeśli chodzi o lunch, to już jesteśmy spóźnieni – zauważył pochłonięty lekturą Clocker.

– W lodówce jest pełno jedzenia – powiedział Spicer. – Mięso na zimno, sałatka z pomidorów, makaron, sernik. Nie umrzemy z głodu.

– Ja dziękuję – wymówił się Oslett. Był zbyt podniecony, żeby jeść.

Gdy wraca w okolice, gdzie mieszkają jego rodzice, jest druga czterdzieści pięć, a więc minęło pół godziny od chwili, w której stąd odjechał. Jest boleśnie świadomy upływu czasu. Fałszywy ojciec, Paige i dzieci mogą zjawić się w każdej chwili. Nawet jeśli zrobili kolejny postój za Red Mountain albo nie udało im się jechać tak szybko jak wówczas, gdy podążał za nimi, to bez wątplenia przybędą tu za piętnaście czy najwyżej dwadzieścia minut.

Za wszelką cenę pragnie zobaczyć się z rodzicami, zanim dotrze do nich ten perfidny uzurpator. Musi ich ostrzec, powiedzieć o tym, co się wydarzyło i zapewnić sobie ich pomoc w walce o odzyskanie żony i córek. Boi się, że oszust dotrze do nich pierwszy. Jeśli ta kreatura zdołała wkraść się w łaski Paige, Charlotte i Emily, to być może istnieje również ryzyko, jakkolwiek niewielkie, że uda jej się przeciągnąć na swoją stronę także mamę i tatę.

Kiedy skręca w ulicę, na której spędził dzieciństwo, którego nie pamięta, nie siedzi już za kierownicą toyoty, którą ukradł o świcie w Laguna Hills. Prowadzi wóz dostawczy z kwiaciarni, szczęśliwy nabytek, zdobyty po wyjściu ze sklepu sportowego.

Dokonał wiele w ciągu pół godziny. Niemniej jednak czas ucieka.

Choć dzień jest coraz bardziej ponury, jedzie ze spuszczoną osłoną przeciwsłoneczną. Na głowie ma czapkę baseballową nisko nasuniętą na czoło, i jest ubrany w młodzieżową kurtkę z wełnianą podszewką, należąca do młodego człowieka, który dostarcza kwiaty. Dzięki osłonie i czapce nikt go nie rozpozna.

Podjeżdża do krawężnika i parkuje dokładnie za furgonetką. Wysiada z samochodu i szybko zmierza ku tyłowi wozu, tak by nikt nie zdążył go zauważyć.

Otwiera pojedyncze drzwi. Zawiasy skrzypią.

Martwy dostawca leży na plecach w części bagażowej. Ręce ma złożone na piersi i jest otoczony kwiatami, jakby był już zabalsamowany i przygotowany do wystawienia w kaplicy.

Z plastikowej torby leżącej obok zwłok wyjmuje czekan do lodu, który wybrał z bogatej wystawy sprzętu sportowego w sklepie. Odlane z jednego kawałka stali narzędzie ma gumową osłonę na trzonku. Jeden koniec ostrza ma kształt i wielkość zwykłego młotka, podczas gdy drugi jest ostro zakończony. Zatyka trzonek za pasek dżinsów.

Z tej samej torby wyciąga pojemnik z rozpuszczalnikiem lodu w aerozolu. Stosowany na szyby, zamki i wycieraczki zapobiega osadzaniu się szronu. Tak przynajmniej jest napisane na etykiecie. W gruncie rzeczy nie obchodzi go, czy środek działa zgodnie z przeznaczeniem, czy też nie.

Zdejmuje przykrywkę z pojemnika. Odślania dozownik. Możliwe są dwie regulacje: SPRAY i STRUMIEN. Nastawia na STRUMIEN, po czym wsuwa pojemnik do kieszeni kurtki.

Miedzy nogami trupa stoi ogromna kompozycja kwiatowa w seledynowej donicy – róże, goździki i paprocie. Wysuwa ją z furgonetki i trzymając w obu rękach zamyka drzwi pchnięciem ramienia.

Niesie donicę całkiem naturalnie, choć chowa twarz za kwiatami. Idzie w stronę drzwi domu, przed którym parkują oba samochody. Kwiaty nie są przeznaczone dla ludzi mieszkających pod tym adresem. Ma nadzieję, że nie ma nikogo w domu. Jeśli ktoś otworzy drzwi, będzie udawał, że się pomylił, po czym wróci na ulicę, wciąż niosąc przed sobą kwiaty.

Ma szczęście. Nikt nie odpowiada na dzwonek do drzwi. Naciska go kilkakrotnie i ruchami ciała okazuje zniecierpliwienie.

Odwraca się od drzwi. Idzie ścieżką w stronę ulicy.

Patrzy przez gęstwinę kwiatów i zielonego przybrania, które trzyma przed sobą i widzi, że po tej stronie furgonetka ma również dwa lustrzane okna. Jest pusto i cicho. Wie, że jest obserwowany.

W porządku. Jest tylko dostawcą kwiatów. Nie będą mieli powodu go straszyć. Uznają, że lepiej go poobserwować, a potem znów skierować uwagę na biały drewniany dom.

Mija bok wozu obserwacyjnego. Jednak zamiast wrócić do furgonetki z kwiatami, przechodzi przed jej maską na ulicę i staje za drugim samochodem.

W tylnych drzwiach wozu obserwacyjnego znajduje się małe lustrzane okienko, więc na wypadek, gdyby wciąż go obserwowali, odgrywa małą krakę. Potyka się, pozwala, by kwiaty wysunęły mu się z rąk i prychna ze złością, gdy doniczka rozbija się o asfalt. O cholera! Niech to szlag trafi. Diabli, diabli, diabli.

Klnąc, pochyla się nisko, żeby nie można go było zobaczyć przez tylną szybę i wyciąga z kurtki pojemnik z rozmrażaczem. Lewą ręką chwyta za klamkę drzwi.

Jeśli drzwi będą zamknięte, zdradzi swoje zamiary, próbując je otworzyć. Jeśli mu się to nie uda, znajdzie się w poważnym kłopotcie, gdyż prawdopodobnie są uzbrowieni.

Nie mają jednak powodu spodziewać się ataku, więc zakłada, że drzwi będą otwarte. Nie myli się. Klamka nie stawia oporu.

Nie sprawdza, czy ktoś wyszedł na ulicę i go obserwuje. Gdyby się obejrzał, wzbudziłby tylko podejrzenia.

Szarpnięciem otwiera drzwi. Wspina się do stosunkowo ciemnego wnętrza furgonetki, nie mając pewności, że ktokolwiek jest w środku, i kładzie wskazujący palec na dozowniku pojemnika i naciska.

Wnętrze furgonetki jest pełne sprzętu elektronicznego. Przyćmione światło tablic kontrolnych. Dwa obrotowe krzesła przyśrubowane do podłogi. Dwaj ludzie z zespołu obserwacyjnego.

Okazuje się, że ułamek sekundy wcześniej mężczyzna siedzący bliżej wstał, obrócił się w stronę tylnych drzwi, by spojrzeć przez szybę. Jest przestraszony, gdy drzwi się raptownie otwierają.

Gęsty strumień środka chemicznego rozpryskuje się na jego twarzy, oślepiając go. Wdycha opary. Traci oddech, nim udaje mu się krzyknąć.

Gwałtowny ruch. Jak maszyna. Zaprogramowana. Na wysokich obrotach.

Czekan do lodu. Wyszarpnięty z za spodni. Gładki, zamaszysty łuk. Wbija z ogromną siłą. W prawą skroń. Chrzest. Facet pada. Wyrwać broń.

Drugi mężczyzna. Drugie krzesło. Ma słuchawki na uszach. Siedzi przy konsolce za kabiną kierowcy, plecami do tylnych drzwi. Słuchawki tłumią charczenie dobywające się z ust partnera. Wyczuwa jakieś zamieszanie. Kołysanie wozu, gdy tamten pada na podłogę. Obraca się wraz z krzesłem. Zaskoczony, zbyt późno sięga po broń. Strumień z rozpylacza zalewa mu twarz.

Podążyć, podążyć, stawić czoło, rzucać wyzwanie, walczyć i zwyciężyć.

Pierwszy mężczyzna na podłodze rzuca się bezradnie. Krok naprzód, przestąpić go, podążyć, podążyć... Wciąż przed siebie.

Czekan. I jeszcze raz. Czekan. Czekan.

Cisza. Bezruch.

Ciało na podłodze zamarło.

Wszystko poszło gładko. Żadnych krzyków, wrzasków, strzałów.

Wie, że jest bohaterem, a bohater zawsze wygrywa. Lepiej jednak, gdy triumf jest rzeczywisty, a nie tylko przewidywany.

Jest spokojny i rozluźniony.

Wraca do drzwi, żeby się wychylić i rozejrzeć po ulicy. Nikogo nie widać. Wszędzie spokój.

Zatraskuje drzwi, rzuca czekan na podłogę i z wdzięcznością przygląda się zabitym. Dzięki wspólnemu przeżyciu śmierci czuje się tak bardzo z nimi związany.

– Dziękuję – mówi łagodnie.

Przeszukuje obydwa ciała. Choć mężczyźni mają w portfelach dowody tożsamości, przypuszcza, że są sfalszowane. Nie znajduje niczego interesującego oprócz siedemdziesięciu sześciu dolarów w gotówce, które zabiera.

Szybka rewizja furgonetki nie ujawnia żadnych kartotek, notesów, luźnych kartek czy jakichkolwiek dokumentów pozwalających na zidentyfikowanie organizacji, do której należy samochód. Czysta, wzorowa operacja.

Z poręczy krzesła, na którym siedział pierwszy mężczyzna, zwiesza się kabura z rewolwerem. To smith & wesson, *chief special*.

Zdejmuje kurtkę, nakłada szelki z kaburą, dopasowuje i ponownie wkłada kurtkę. Wyciąga rewolwer i wysuwa bębenek. Błysk stalowych łusek. Załadowany. Zatraskuje cylinder i chowa broń do kabury.

Martwy mężczyzna ma przy pasku skórzaną saszetkę. W środku znajduje się zapasowa amunicja w dwu specjalnych pojemnikach do szybkiego ładowania rewolweru.

Zdejmuje saszetkę i przytwierdza ją do swojego paska, dzięki czemu ma teraz więcej amunicji niż potrzeba, by rozprawić się z fałszywym ojcem. Wie jednak, że jego pozbawieni twarzy zwierzchnicy dotarli do niego i dlatego nie może przewidzieć, co go jeszcze czeka, zanim odzyska imię, rodzinę i życie, które mu ukradziono.

Drugi mężczyzna, który leży bezwładnie na krześle, nigdy nie zdołał wyciągnąć broni, po którą sięgał. Rewolwer wciąż tkwi w kaburze.

Wyciąga go. Jeszcze jeden *chief special*. Dzięki swojej krótkiej lufie mieści się w dość obszernej kieszeni kurtki zabójcy.

Świadomy tego, że ma coraz mniej czasu, wychodzi z furgonetki i zamyka za sobą drzwi.

Pierwsze burzowe płatki śniegu niesione chłodnym wiatrem nadlatują spiralą z północno-zachodniego nieba. Jest ich niewiele, są duże i przezroczyste.

Przechodzi przez ulicę i kieruje się w stronę białego domu z zielonymi okiennicami. Wysuwa język, żeby złapać parę płatków. Jako chłopiec mieszkający na tej ulicy robił prawdopodobnie to samo, ciesząc się pierwszym zimowym śniegiem.

Nie przypomina sobie lepienia bałwana, bitew na śnieżki czy jazdy na sankach. Choć musiał robić te wszystkie rzeczy, zostały wymazane z jego umysłu wraz z tyloma innymi... odebrano mu słodką radość nostalgicznych wspomnień.

Przez zimowo-brązowy trawnik biegnie chodnik z kamiennych płyt.

Zabójca pokonuje trzy stopnie i przechodzi przez ganek.

Kiedy staje u drzwi, paraliżuje go strach. Jego przeszłość za tym progiem. Przyszłość również. Od chwili, w której gwałtownie przebudziła się jego samoświadomość i rozpoczął wyprawę po wolność, dotarł tak daleko. Być może nadeszła najważniejsza chwila jego walki o sprawiedliwość. Punkt zwrotny. Rodzice mogą być oddanymi sprzymierzeńcami w trudnych czasach. Ich wiara. Ich zaufanie. Ich dozgonna miłość. Boi się, że zrobi coś złego, gdy jest już tak blisko zwycięstwa, coś, co zrazi ich do niego i zniszczy jego szansę na odzyskanie życia. Tak wiele będzie miał do stracenia, jeśli odważy się nacisnąć dzwonek.

Zniechęcony, odwraca się, żeby spojrzeć na ulicę i jest oczarowany jej widokiem. Płatki wciąż są duże i puszyste, całe miliony. Wirują w łagodnym północno-zachodnim wietrze. Są tak intensywnie białe, że zdają się świecić, każdy tworzy koronkową, krystaliczną formę wypełnioną miękkim, wewnętrznym światłem. Dzień nie jest już ponury. Świat jest cichy i spokojny, a on tak rzadko zaznawał ciszy i spokoju, że teraz wydaje mu się, że został przeniesiony za sprawą czarów do jednej z tych szklanych kuł ze swojską, zimową scenerią, kuł, w których tak długo będzie szaleć śnieżna burza, jak długo będzie się nimi potrząsać.

Ta fantazja jest pociągająca. Jakaś część jego istoty tęskni za bezruchem świata schowanego pod szkłem, za łagodnym więzieniem, wiecznym i niezmiennym, spokojnym i czystym, bez strachu, walki i ryzyka. Bez straty, gdzie nic nie niepokoi serca.

Jak pięknie, jak pięknie. Pada śnieg i maluje bielą niebo, a potem ziemię. To takie cudowne, tak głęboko go wzrusza, że do oczu napływają łzy.

Jest bardzo wrażliwy. Czasem najbardziej przyziemne doświadczenia są takie przejmujące. Wrażliwość może być przekleństwem w tym bezlitosnym świecie.

Zbierając się na odwagę, znów odwraca się w stronę domu. Dzwoni, czeka kilka sekund i znowu dzwoni.

Drzwi otwiera jego matka.

Nie pamięta jej, ale instynktownie czuje, że jest kobietą, która dała mu życie. Jej twarz jest nieco pulchna, względnie gładka jak na ten wiek. Dobroć, esencja dobroci. Jego rysy to echo jej rysów. Jej oczy mają ten sam odcień błękitu, który widzi, gdy patrzy w lustro, choć wydaje mu się, że są one oknami duszy o wiele czystszej niż jego dusza.

– Marty! – mówi ze zdziwieniem i ciepłym uśmiechem, otwierając przed nim ramiona.

Wzruszony jej zachowaniem, przekracza próg i wpada w jej objęcia, przytulając się do niej tak mocno, jakby bał się, że utonie, jeśli ją puści.

– Kochanie, o co chodzi? Co się dzieje? – pyta.

Dopiero teraz uświadamia sobie, że łka. Jest tak poruszony jej miłością, tak wdzięczny za to, że znalazł miejsce, w którym nie jest obcy i w którym serdecznie go przyjmują, że nie potrafi zapanować nad uczuciami.

Przyciska twarz do jej pachnących siwych włosów. Jest taka ciepła, cieplejsza niż inni ludzie, i zastanawia się, czy takie są wszystkie matki.

Woła ojca:

– Jim! Jim, chodź tu szybko!

On próbuje coś mówić, stara się jej powiedzieć, że ją kocha, ale głos odmawia mu posłuszeństwa.

Wtedy w korytarzu ukazuje się jego ojciec, zmierzając szybko w ich stronę.

Nawet łzy nie mogą mu przeszkodzić, by go rozpoznać. Jest bardziej podobny do ojca niż do matki.

– Marty, synku, co się stało?

Wysuwa się z jednych objęć, by wpaść w drugie, milcząco wdzięczny swemu ojcu za te otwarte ramiona, uwolniony od samotności, bezpieczny, akceptowany i kochany, kochany.

– Gdzie jest Paige? – pyta matka, patrząc przez otwarte drzwi na dzień pełen śniegu. – Gdzie dziewczynki?

– Jedliśmy lunch w restauracji – dodaje ojciec – i Janey Torreson powiedziała, że mówili o was w wiadomościach... że kogoś postrzeliłeś, ale że może to jakiś żart. Zupełnie bez sensu.

Wciąż dławi go wzruszenie, więc nie jest w stanie odpowiedzieć.

– Próbowaliśmy się do was dodzwonić, jak tylko wróciliśmy do domu, ale połączyliśmy się tylko z sekretarką, więc zostawiliśmy wiadomość – mówi ojciec.

Matka znów pyta o Paige, Charlotte, Emily.

Musi zapanować nad sobą. W każdej chwili może pojawić się uzurpator.

– Mamo, tato, mamy poważne kłopoty. Musicie nam pomóc, Boże, musicie pomóc.

Matka zamyka drzwi przed zimnym grudniowym powietrzem i prowadzą go do salonu. Otaczają go swoją miłością, dotykają, a na ich twarzach maluje się troska i współczucie. Jest w domu. Wreszcie jest w domu.

Nie pamięta salonu, tak jak nie pamięta matki, ojca czy śniegu z lat młodości. Ponad połowę dębowej, sękatą podłogi przykrywa dywan w perskim stylu, w odcieniach brzoskwiniowym i zielonym. Obicie mebli jest wzorzyste, a ich drewniane części są w kolorze czerwono-brązowej wiśni. Na kominkowym gzymsie między dwoma chińskimi wazami uroczyście cyka zegar.

– Czyją masz na sobie kurtkę, kochanie? – pyta matka.

– Swoją – odpowiada.

– Ale to szkolna kurtka w *nowym* stylu.

– Czy Paige i dzieciaki czują się dobrze? – odzywa się tata.

– Tak, w porządku, nie zostały ranne – mówi.

Wskazując palcem na kurtkę, matka stwierdza:

– Ten styl przyjął się w tutejszej szkole dopiero dwa lata temu.

– Jest moja – powtarza. Zdejmuje czapkę do baseballa, zanim zdąży zauważyć, że jest na niego trochę za duża.

Na jednej ze ścian wiszą fotografie przedstawiające jego, Paige, Charlotte i Emily w różnych okresach życia. Odwraca wzrok od tej galerii, ponieważ jej widok porusza go zbyt głęboko.

Musi wziąć się w garść i odzyskać władzę nad emocjami, by wyjaśnić rodzicom tę całą złożoną i tajemniczą sytuację. Mają tak mało czasu...

Matka siada obok niego na sofie. Trzyma jego prawą rękę w swoich dłoniach, ścisną ją lekko i zachęcająco.

Po lewej stronie ma ojca, który sadowi się na brzegu fotela. Wychyla się do przodu, uważny, skupiony.

Ma im tyle do powiedzenia, a nie wie, od czego zacząć. Waha się. Przez chwilę boi się, że nigdy nie znajdzie właściwego słowa na początek, i pogrąża się w milczeniu, czując psychiczną blokadę, silniejszą od tej, jakiej doznał, gdy siedział w swoim gabinecie przy komputerze i próbował napisać pierwsze zdanie nowej powieści.

Kiedy nagle zaczyna mówić, słowa wypływają z niego jak woda tryskająca przez pękającą zapórę.

– Pewien człowiek, jest pewien człowiek, wygląda jak ja, dokładnie jak ja, nawet ja nie widzę żadnej

różnicy, i on ukraść mi życie. Paige i dziewczynki myślą, że to ja, ale on nie jest mną, nie wiem, kim on jest i jak przekonał Paige. Ukraść moje wspomnienia, pozostawił mnie z niczym, i nie wiem, po prostu nie wiem jak, nie wiem jak, jak udało mu się zabrać tak dużo i pozostawić mnie z taką pustką.

Ojciec wygląda na przestraszonego, ponieważ te okropne rewelacje rzeczywiście mogą napawać przerażeniem. Ale jest coś dziwnego w tym strachu taty, coś ledwie dostrzegalnego, coś, co wymyka się zdefiniowaniu.

Ręce mamy zaciskają się odruchowo na jego prawej dłoni. Nie ma odwagi na nią spojrzeć.

Ciągnie pospiesznie dalej, świadomy ich zmieszania, pragnąc za wszelką cenę, by zrozumieli.

– Mówi jak ja, porusza się i stoi jak ja, wydaje się mną, więc dużo o tym myślałem. Starłem się zrozumieć, kto to może być, skąd się wziął, i wciąż przychodziło mi do głowy tylko jedno wyjaśnienie, nawet jeśli wydaje się nieprawdopodobne, ale to musi być tak jak na filmach, no wiecie, z Kevinem McCarthym czy Donaldem Sutherlandem w tym *remake'u*, „Inwazja porywaczy ciał”, coś nieludzkiego, nie z tego świata, coś, co potrafi nas doskonale *imitować* i wysysać nasze wspomnienia, *stawać się* nami, tyle że nie zdołał mnie zabić i pozbyć się mojego ciała, po tym jak zabrał to wszystko, co było w mojej głowie.

Przerywa, bez tchu.

Zapada milczenie.

Rodzice wymieniają spojrzenia. To mu się nie podoba. W ogóle mu się to nie podoba.

– Marty – zwraca się do niego tata – opowiedz wszystko od początku, powoli, dokładnie, krok po kroku.

– Staram się wam powiedzieć – mówi poirytowany. – Wiem, że to brzmi niewiarygodnie – trudno w to uwierzyć, ale mówię prawdę, tato.

– Chcę ci pomóc, Marty. Chcę uwierzyć. Więc się uspokój, powiedz wszystko jeszcze raz, daj mi szansę zrozumieć.

– Nie mamy dużo czasu. Czy nie rozumiecie? Paige i dziewczynki jadą tu z tą... z tą istotą, tym nieludzkim stworem. Muszę mu je odebrać. Muszę go zabić. Musicie mi pomóc. Muszę odzyskać rodzinę, zanim nie będzie za późno.

Matka jest blada, zagryza wargę. Jej oczy zachodzą mgłą napływających łez. Tak mocno zaciska ręce na jego dłoni, że niemal sprawia mu ból. A on wreszcie ośmiela się żywić nadzieję, że ona pojmuje, co im grozi.

– Wszystko będzie dobrze, mamó – mówi. – Jakoś sobie z tym poradzimy. Razem mamy szansę.

Zerka w stronę frontowych okien. Spodziewa się, że na zaśnieżonej ulicy pojawi się BMW i wjedzie na podjazd przed domem, jeszcze nie. Wciąż mają trochę czasu, może już tylko minuty, sekundy, ale jednak trochę czasu.

– Marty, nie wiem, co się dzieje... – mówi ojciec.

– Powiedziałem ci, co się dzieje! – krzyczy. – Cholera, tato, nie wiesz, przez co przeszedłem. – Do oczu znów napływają mu łzy, które stara się powstrzymać. – Tak bardzo cierpiełem, tak się bałem, jak tylko sięgam pamięcią, tak się bałem i byłem taki samotny i próbowałem zrozumieć...

Jego ojciec wyciąga dłoń i kładzie mu na kolanie. Tata jest zmartwiony, ale nie tak, jak można by się tego spodziewać. Nie widać po nim gniewu, że jakaś obca istota ukradła życie jego syna, nie jest zbyt przestraszony na wieść, że jakiś nieludzki stwór chodzi po ziemi, udając człowieka. Wygląda po prostu na zmartwionego i... smutnego. W wyrazie jego twarzy i w głosie można dostrzec niewątpliwie, ale jakże niestosowny w tej sytuacji – smutek.

- Nie jesteś sam, synu. Zawsze jesteśmy z tobą. Przecież wiesz o tym.
- Staniemy u twego boku – mówi matka. – Możesz liczyć na naszą pomoc.
- Jeśli jedzie tu Paige, jak mówisz – dodaje ojciec – to kiedy już tu dotrze, usiądziemy wszyscy razem, a potem omówimy wszystko i postaramy się zrozumieć, co się dzieje.

Ich głosy brzmią nieco protekcyjnie. Mówią, jakby przemawiali do inteligentnego i pojętego dziecka, ale jednak dziecka.

– Zamknijcie się! Po prostu się zamknijcie! – wyrywa dłoń z uścisku matki i gwałtownie podnosi się z sofy, trzęsąc się ze zdenerwowania.

Okno. Pada śnieg. Ulica. Nie widać BMW. Ale wkrótce nadjedzie.

Odwraca się, patrzy na rodziców.

Matka siedzi na brzegu sofy, twarz w dłoniach, ramiona uniesione. Wyraża swoją postawą żal, a może rozpacz.

Musi coś zrobić, by zrozumieli. Jest pożerany przez to pragnienie i sfrustrowany, gdyż nie umie przedstawić im swojej sytuacji nawet w najbardziej ogólnych zarysach.

Ojciec podnosi się z fotela. Staje niezdecydowany. Ręce przy bokach.

– Marty, zwróciłeś się do nas o pomoc, i my chcemy ci pomóc, Bóg mi świadkiem, ale nie pomożemy ci, jeśli nam na to nie pozwolisz.

Matka odslania twarz. Na jej policzkach widzi ślady łez.

– Proszę, Marty. Proszę – mówi.

– Każdy popełnia czasem błędy – dodaje ojciec.

– Jeśli to narkotyki – ciągnie matka przez łzy, zwracając się zarówno do niego, jak i do ojca – to sobie z tym poradzimy, kochanie, zajmiemy się tym, znajdziemy lekarstwo.

Jego szklany świat – piękny, spokojny, niezmienny, świat, w którym żył przez te cenne minuty od chwili, gdy matka, stojąc w drzwiach, otworzyła przed nim swe ramiona, nagle pęka. Brzydka, nierówna szczelina szpeci powierzchnię kryształu. Słodka, czysta atmosfera tego krótkotrwałego rajku uchodzi na zewnątrz z głośnym fiuuuu, a na jej miejscu pojawia się trujące powietrze znienawidzonego świata, tego świata, który zna i w którym można istnieć tylko wtedy, gdy walczy się bez końca z beznadziejnością, samotnością, odtrąceniem.

– Nie róbcie mi tego – błaga. – Nie zdradzajcie mnie. Jak możecie mi to robić? Jak możecie zwracać się przeciwko mnie? Jestem waszym dzieckiem. – Frustracja przeradza się w gniew. – Waszym jedynym dzieckiem. – Gniew przeradza się w nienawiść. – Pragnę. *Pragnę!* Czyż nie widzicie? Trzęsie się z wściekłości. – Czy nic was nie obchodzi? Czy jesteście bez serca? Jak możecie być wobec mnie tacy okrutni? Jak mogliście na to pozwolić?

Podczas długiego postoju na stacji w Bishop kupili łańcuchy śnieżne i za dodatkową opłatą zamontowali je na kołach BMW. Drogówka w Kalifornii zalecała, ale jeszcze nie wymagała, by wszystkie wozy zmierzające w stronę Sierra Nevada były wyposażone w łańcuchy.

Trasa 395 zmieniała się w dwupasmówkę na zachód od Bishop, dzięki czemu udało im się, pomimo znacznego wzniesienia terenu, szybko minąć Rovanne i Crowley Lake, McGee Creek i Convict Lake, po czym zjechać z 395 na 203, nieco na południe od Casa Diablo Hot Springs.

Casa Diablo. Dom Diabła.

Ta nazwa nigdy przedtem nie robiła na nim wrażenia.

Teraz wszystko było złą wróżbą.

Nim dotarli do Mammoth Lakes, zaczął padać śnieg.

Grube płatki przypominały tanią, rzadką koronkę. Sypało ich takie mnóstwo, że powietrze między niebem a ziemią zdawało się w połowie wypełnione śniegiem. Był lepki, przykrywał krajobraz gronostajowym futrem.

Paige przejechała przez Mammoth Lakes bez zatrzymywania się i skręciła na południe, w stronę Lake Mary. Charlotte i Emily, usadowione na tylnym siedzeniu, były tak oczarowane śniegiem, że przynajmniej na razie nie potrzebowały żadnej rozrywki.

Niebo, po wschodniej stronie gór, było szaroczarne i skłębione. Tutaj, w zimowym sercu Sierra Nevada, przypominało oko Cyklopa, zasnutę mleczną kataraktą.

Przy zjeździe z trasy 203 rósł sosnowy zagajnik, którego najwyższe drzewo nosiło bliznę po uderzeniu pioruna sprzed dziesięciu lat. Błyskawica tylko okaleczyła sosnę i drzewo zaczęło przybierać dziwne, zmutowane formy, aż stało się powykrzywianą wieżą ze złego snu.

Płatki śniegu były mniejsze niż przedtem. Sypały mocniej, gnane północno-zachodnim wiatrem. Po tym niewinnym prologu burza zaczynała się na serio.

Biegnąca w górę droga wśród łąk i lasów dotarła w końcu do ogrodzenia, które po prawej stronie otaczało ponadstuakrowy teren. Posiadłość została nabyta dwanaście lat wcześniej przez Profetyczny Kościół Wyniesienia, sektę, która wyznawała nauki Wielebnego Jonathana Caine'a i wierzyła, że wierni będą wkrótce lewitować nad ziemią, a pozostaną na niej jedynie nie ochrzczeni i naprawdę niegodziwi, by znosić tysiącletnią mękę aż do dnia Sądu Ostatecznego.

Jak się okazało, Caine był pedofilem, który nagrywał na wideo to, co robił z dziećmi swoich wyznawców. Poszedł do więzienia, członkowie sekty rozproszyli się po świecie, a posiadłość z wszystkimi budynkami stała się na pięć lat przedmiotem sporu sądowego.

Niektóre fantazje były niszczące.

Ogrodzenie, zwieńczone drutem kolczastym, było miejscami zniszczone. W oddali, wysoko nad drzewami, wznosiła się iglica kościoła. Niżej widniały spadziste dachy budynków, w których wierni spali, jedli posiłki i czekali, aż uniesie ich ku niebu prawa dłoń Boga Wszechmogącego. Iglica była nienaruszona. Ale domy, pozbawione wielu drzwi i okien, stanowiły teraz siedlisko dla szczurów, oposów i szopów. Były zdewastowane i groziły zawaleniem. Czasem wandyte przejawiali ludzkie uczucia. Ale wiatr, lód i śnieg dokonały największych zniszczeń, jakby Bóg, za sprawą pogody posłusznej jego kaprysom, dokonał sądu nad Kościołem Wyniesienia, którego reszcie ludzkości litościwie oszczędził.

Chata także znajdowała się na prawo od wąskiej, lokalnej drogi, i sąsiadowała z szerokim traktem,

użytkowanym niegdyś przez wyznawców Caine'a. Cofnięta o sto jardów od szosy, na końcu polnej drogi, była jednym z wielu podobnych do siebie domków, rozrzuconych na pobliskich wzgórzach, głównie na działkach o powierzchni mniej więcej akra.

Była to jednopoziomowa konstrukcja, o ścianach pokrytych cedrowymi deskami, posrebrzonymi przez zmienną pogodę, spadzistym dachu, ganku osłoniętym ochronną siatką i fundamentach z kamieni rzecznych. Ojciec i matka Marty'ego powiększali ją przez całe lata, aż wreszcie chata składała się z dwóch sypialni, kuchni, salonu i dwóch łazienek.

Zaparkowali BMW przed domkiem i wysiedli. Jodły i sosny otaczające chatę były wiekowe i ogromne. Rześkie powietrze przepelniała słodycz ich woni. Działkę zaśmiecały sterty martwych igieł i dziesiątki szyszek. Śnieg zalegał jedynie między drzewami i tam, gdzie zdołał się przedrzeć przez strzechę gałęzi.

Marty poszedł do szopy za chatą. Drzwi były zamykane na skobel. Wewnątrz, po prawej stronie od wejścia, zakopany w klepisku na głębokość pół cala, leżał zapasowy klucz, owinięty w celofan.

Kiedy Marty wrócił z kluczem, Emily okrążyła w kucki jedno z większych drzew i uważnie badała szyszki, leżące na ziemi. Charlotte wykonywała z pasją jakiś numer baletowy, wirując w śniegu, który padał na ziemię niczym snop światła z reflektora.

– Jestem Królową Śniegu! – wołała, wirując i podskakując. – Sprawuję władzę nad zimą! Mogę rozkazać śniegowi, by zaczął padać! Mogę sprawić, że świat stanie się pełen blasku – biały i piękny!

Gdy Emily nazbierała pełne garście szyszek, Paige stwierdziła:

– Kochanie, nie możesz wnieść tego do domu.

– Chcę zrobić dzieła sztuki.

– Szyszki są brudne.

– Są piękne.

– Są piękne i brudne – powiedziała Paige.

– To zrobię dzieła sztuki tutaj.

– Śniegu, padaj! Śniegu, wal! Śniegu, wiruj i kręć się, i brykaj! – rozkazała tańcząca Królowa Śniegu, gdy Marty wspiął się na ganek i otworzył drzwi wejściowe.

Tego ranka dziewczynki włożyły dzinsy i wełniane swetry, odpowiednie na pogodę gór Sierra, a teraz miały na sobie jeszcze ocieplane nylonowe kurtki i rękawice. Chciały zostać na dworze. Nawet gdyby miały wysokie, ocieplane buty, zabawa przed chatą była wykluczona. Tym razem nie przyjechali na wakacje. Chata miała stać się ich klasztornym schronieniem, a niewykluczone, że nawet fortecą. W pobliskich lasach mogło kryć się coś o wiele groźniejszego niż wilki.

Wnętrze domu miało lekko zastarzałą woń. W gruncie rzeczy wydawało się tu chłodniej niż na zewnątrz.

Przy kominku leżały poukładane kłocce, a obok dużego, głębokiego paleniska piętrzyły się stosy zapasowego drewna. Zamierzali później rozpalić ogień. Żeby szybko ogrzać chatę, Paige włączyła elektryczne piece zamontowane w ścianach.

Stojąc przy jednym z frontowych okien i patrząc na drogę, Marty uruchomił telefon komórkowy, który przyniósł z samochodu. Chciał ponownie spróbować połączyć się z rodzicami w Mammoth Lakes.

– Tato – powiedziała Charlotte, gdy wystukiwał numer – właśnie się zastanawiałam, kto będzie karmił Sheldona, Boba, Freda i inne stworzenia, kiedy nie ma nas w domu?

– Już to załatwiłem z Mrs Sanchez, zajmie się tym – skłamał, ponieważ nie miał jeszcze odwagi powiedzieć jej, że wszystkie zwierzaki zostały zabite.

- Och, w porządku. W takim razie to dobrze, że to nie Mrs Sanchez całkiem oszalała.
- Do kogo dzwonisz, tato? – spytała Emily, gdy po drugiej stronie linii odezwał się pierwszy sygnał.
- Do babci i dziadka.
- Powiedz im, że chcę dla nich zrobić szyszkową rzeźbę.
- Rany – odezwała się Charlotte – wystraszą się na śmierć.

Telefon zadzwonił po raz trzeci.

- Podoba im się moja sztuka – upierała się Emily.
- Musi im się podobać, bo to twoi dziadkowie – stwierdziła Charlotte.

Czwarty sygnał.

- A ty też nie jesteś Królową Śniegu.
- Właśnie, że jestem.

Piąty.

- Nie, jesteś tylko Śnieżnym Trollem.
- A ty jesteś Śnieżną Ropuchą – odpaliła Charlotte.

Szósty.

- Śnieżny Robak.
- Śnieżna Larwa.
- Śnieżny Smark.
- Śnieżny Rzygacz.

Marty posłał im ostrzegawcze spojrzenie, które położyło kres temu współzawodnictwu w epitetach, choć obydwie nie omieszkaly pokazać sobie na koniec języków.

Po siódmym sygnale położył palec na przycisku z napisem END. Zanim jednak zdążył wyłączyć telefon, otrzymał połączenie.

Ktoś podniósł słuchawkę, ale nie odezwał się.

- Halo? – spytał Marty. – Mamo? Tato?

Gniewnym i jednocześnie smutnym głosem mężczyzna po drugiej stronie linii spytał:

- Jak zdołałeś przeciągnąć ich na swoją stronę?

Marty poczuł się tak, jakby krew w jego żyłach zawrzała. Usłyszał głos, który był perfekcyjną imitacją jego własnego głosu.

- Dlaczego oni kochają ciebie bardziej niż mnie? – gorączkowo domagał się odpowiedzi Ten Drugi.

Marty'ego przygniótł ciężar przerażenia, poczucie nierzeczywistości, równie dezorientujące jak koszmar senny. Zdawało mu się, że śni na jawie.

- Nie dotykaj ich, ty sukinsynu – syknął. – Nie waż się tknąć ich nawet palcem.
- Zdradzili mnie.
- Chcę mówić z moją matką i ojcem – domagał się Marty.
- Moją matką i ojcem – poprawił Ten Drugi.
- Daj ich do telefonu.
- Żebyś mógł im naopowiadać jeszcze więcej kłamstw?
- Dawaj ich do telefonu, i to już – powiedział Marty przez zaciśnięte zęby.
- Nie mogą już wysłuchiwać twoich kłamstw.
- Co zrobiłeś?
- Przestali już cię słuchać.
- Co zrobiłeś?

– Nie dali mi tego, czego pragnąłem.

Gdy zrozumiał, przerażenie zamieniło się w rozpacz. Przez chwilę Marty nie był w stanie wydobyć głosu.

Ten Drugi powiedział:

– Wszystko, czego pragnąłem, to być kochanym.

– Co zrobiłeś? – krzyczał Marty. – Kim jesteś, czym jesteś, do diabła, czym jesteś, co zrobiłeś?

Ignorując pytania, Ten Drugi zadał własne:

– Czy nastawiłeś Paige przeciwko mnie? Moją Paige, moją Charlotte, moją małą słodką Emily? Czy jest jakaś nadzieja, bym je odzyskał, czy też będę musiał je zabić? – mówił głosem łamiącym się z przejęcia. – O Boże, czy w ich żyłach płynie jeszcze jakaś krew, czy są jeszcze istotami ludzkimi, czy też zmieniłeś je w coś innego?

Marty uświadomił sobie, że ta rozmowa to szaleństwo. Bez względu na to, jak byli do siebie podobni wyglądem i głosem, nie mieli ze sobą nic wspólnego. Byli niczym przedstawiciele odmiennych gatunków, mieszkańcy różnych światów.

Marty nacisnął END.

Dłonie drżały mu tak bardzo, że upuścił telefon.

Kiedy odwrócił się od okna, zobaczył, że dziewczynki stoją obok siebie, trzymając się za ręce. Patrzyły szeroko otwartymi oczami, blade i przestraszone.

Paige, zwabiona jego krzykiem w słuchawkę, wyszła z sypialni, gdzie regulowała temperaturę piecyka elektrycznego.

Zobaczył nagle twarze rodziców, myślał o ich pełnym miłości życiu. Szybko się opanował. Gdyby teraz poddał się żalowi i zaczął tracić cenny czas na łzy, to skazywałby Paige i dziewczynki na pewną śmierć.

– Jest tutaj – powiedział Marty – nadchodzi, a my mamy niewiele czasu.

Część trzecia

Nowe mapy piekła

Ci, co porzucić chcą grzech chciwości,
pograżą się szybko w grzechu zazdrości.
Ci, co i zazdrość z serca wyzują,
wciąż nowe mapy piekła rysują.

Ci, których pasją świat nasz odmieniać,
chcą się przed ludźmi świętymi mienić,
i dzięki owym szlachetnym zapędom,
nie muszą patrzeć w duszy odmęty.
KSIĘGA WSZELKICH SMUTKÓW

Śmiej się z tyranów i tragedii, jakich są przyczyną.
Tacy ludzie uważają nasze łzy za dowód
poddaństwa,
ale nasz śmiech jest dla nich hańbą.
RZEKA BEZ KOŃCA, LAURA SHANE

Księga szósta

Stoi w kuchni rodziców, patrząc przez okno nad zlewem na padający śnieg. Drży z głodu. Pożera resztki mięsa.

Jest to jedna z tych decydujących chwil, które pozwalają odróżnić prawdziwego bohatera od oszusta. Gdy wszystko jest pogrążone w mroku, gdy mnożą się tragedie, gdy nadzieja wydaje się jedynie grą dla idiotów i głupców, to czy wówczas Harrison Ford albo Kevin Kostner, albo Tom Cruise, albo Wesley Snipes, albo Kurt Russel poddają się? Nie. Nigdy. To nie do pomyślenia. Są bohaterami. Trwają na posterunku. Stają na wysokości zadania. Nie tylko radzą sobie z przeciwnościami losu, ale wręcz żyją nimi. Dzięki temu, że towarzyszył tym wielkim ludziom w najtrudniejszych chwilach ich życia, wie jak radzić sobie z emocjonalnym spustoszeniem, umysłowym zaćmieniem, rozlicznymi obrażeniami fizycznymi, a nawet groźbą kosmicznej inwazji na Ziemię.

Podążać, podążać, stawić czoło, rzucać wyzwanie, walczyć i zwyciężać.

Nie wolno mu się zastanawiać nad tragedią, jaką jest śmierć jego rodziców. Istoty, które zniszczył, z pewnością nie były jego matką i ojcem, lecz ich naśladowcami, tak jak ten, który ukradł mu życie. Być może nigdy się nie dowie, gdzie zamordowano jego prawdziwych rodziców, a *rozpacz* po nich musi odłożyć na później.

Poświęcanie zbyt wiele uwagi rodzicom czy czemukolwiek jest nie tylko stratą cennego czasu, jest również niegodne bohatera. Bohaterowie nie myślą. Bohaterowie *działają*.

Podążać, podążać, stawić czoło, rzucać wyzwanie, walczyć i zwyciężać.

Kończy jeść i udaje się do garażu, przechodząc przez pralnię, która jest obok kuchni. Gdy po przekroczeniu progu zapala świetłówki, stwierdza, że ma do wyboru dwa samochody – starego niebieskiego dodge'a i najwyraźniej nowego jeepa. Wybiera jeepa ze względu na jego napęd na cztery koła.

Kluczyki do samochodu wiszą na kołku w pralni. Znajduje również, schowane w szafce, duże pudełko proszku do prania. Czyta listę składników chemicznych na opakowaniu, zadowolony z odkrycia.

Wraca do kuchni.

Za rzędem niższych szafek stoją butelki z winem. Znalezione w szufladzie korkociągiem otwiera cztery butelki i wylewa ich zawartość do zlewu.

W innej szufladzie, wśród kuchennych przyborów, znajduje plastikowy lejek. Trzecią szufladę wypełniają czyste białe ścierki, a w czwartej leżą nożyczki i pudełko zapalek.

Zanosi butelki do pralni, po czym ustawia je na wyłożonym płytkami blacie obok głębokiego zlewu.

Idzie do garażu i zdejmuje z półki obok warsztatu czerwony kanister na benzynę, o pojemności pięciu galonów. Kiedy podnosi wieko, z pojemnika uchodzą wysokooktanowe opary. Od wiosny do jesieni tata trzyma w nim prawdopodobnie benzynę, której używa do kosiarki, ale teraz kanister jest pusty.

Grzebiąc w szufladach i szafkach obok warsztatu, znajduje zwój giętkiego plastikowego węża, który schowano w pudełku z częściami do systemu filtracyjnego, zamontowanego w kuchni. Za jego pomocą przelewa benzynę z dodge'a do pięciogalonowego kanistra.

Nad zlewem w pralni wsypuje przez lejek do każdej z pustych butelek po winie trochę proszku do prania. Dolewa benzynę. Tnie ścierki na paski o odpowiedniej długości.

Choć ma dwa rewolwery i dwadzieścia sztuk amunicji, chce swój arsenał wzbogacić bombami benzynowymi. Doświadczenia z ostatnich dwudziestu czterech godzin, od chwili konfrontacji z fałszywym ojcem, nauczyły go, by nie lekceważyć przeciwnika.

Wciąż ma nadzieję uratować Paige, Charlotte i małą Emily. Wciąż pragnie się z nimi połączyć i odbudować wspólne życie.

Musi jednak patrzeć na świat trzeźwo i przygotować się na to, że jego żona i dzieci nie są już istotami, którymi były niegdyś. Być może są już umysłowo zniewolone. Mogły również zostać zainfekowane jakimiś pasożytami z innej planety i teraz ich mózgi pełne są wijącego się obrzydlistwa. Albo może w ogóle nie są sobą, a stały się po prostu replikami prawdziwej Paige, Charlotte i Emily, tak jak jego repliką jest ten fałszywy ojciec. Może oni wszyscy są replikami wyrosłymi z nasienia, które pochodzi z jakiejś innej galaktyki.

Obce istoty mogą się rozprzestrzeniać na niezliczone i niezwykle sposoby, ale istnieje broń, która ratowała już świat skuteczniej niż jakakolwiek inna: ogień. Kurt Russel, gdy był członkiem stacji badawczej na Antarktydzie, musiał stawić czoło pozaziemskiej bardzo sprytniej istocie przybierającej niezliczone kształty. Przerazającej i potężnej. I wtedy ogień okazał się najskuteczniejszą bronią w walce z tym strasznym wrogiem.

Zastanawia się, czy cztery bomby zapalające wystarczą. I tak prawdopodobnie nie będzie miał czasu ich użyć. Jeśli coś wyskoczy z ciała fałszywego ojca, Paige czy też dziewczynek, i jeśli będzie to równie mordercze jak to, co wyskakiwało z ludzi na stacji badawczej Kurta Rusella, to bez wątpienia zostanie pokonany, zanim zdola użyć czegokolwiek, nie mówiąc już o bombach, biorąc pod uwagę to, że potrzebuje czasu na zapalenie każdej z nich. Żałuje, że nie ma miotacza płomieni.

Marty stał przy jednym z frontowych okien i obserwował ciężki śnieg przeciskający się między drzewami. Wyjmował amunicję 9-mm z pudełek, które przywieźli ze sobą z Mission Viejo. Wkładał naboje do kieszeni czerwono-czarnej kurtki narciarskiej, a także do kieszeni džinsów.

Paige ładowała magazynek mossberga. Nie miała takiej praktyki w strzelaniu z pistoletu jak Marty i czuła się pewniej, mając w rękach strzelbę.

Mieli osiemdziesiąt pocisków do strzelby i około dwustu naboji 9-mm do beretty.

Marty czuł się jednak bezbronny.

Kiedy skończył rozmawiać z Tym Drugim, zaczął się zastanawiać, czy nie powinni opuścić chaty i po prostu uciekać. Ale jeśli wytropił ich bez trudu, choć przebyli tak długą drogę, to wytropi ich wszędzie. Zdecydował więc, że będzie lepiej stawić czoło przeciwnikowi w miejscu nadającym się do obrony, niż być zaatakowanym na pustym odcinku szosy, czy zaskoczonym gdzieś, gdzie będzie trudniej walczyć niż w chacie.

Był prawie gotów wezwać lokalną policję i wysłać funkcjonariuszy do domu rodziców. Ale zanimby tam dotarli, Ten Drugi z pewnością dawno już by odjechał, a dowody świadczyłyby tylko o jednym: że zabił własną matkę i ojca. Media zrobiły już swoje, przedstawiając go jako szalonego, chorego osobnika. To, co się wydarzyło w domu w Mammoth Lakes, pasowałoby do tej fantastycznej historyjki. Gdyby go aresztowano tego dnia czy następnego, czy po tygodniu, czy też tylko zatrzymano na parę godzin, Paige i dziewczynki musiałyby liczyć tylko na siebie, a on nie mógł na to pozwolić.

Nie mieli innego wyboru, jak tylko okopać się i walczyć. Co było nie tyle wyborem, ile wyrokiem śmierci.

Charlotte i Emily, siedzące obok siebie na sofie, wciąż miały na sobie kurtki i rękawice. Trzymały się za ręce, czerpiąc jedna od drugiej siłę. Choć były wystraszone, nie płakały ani nie domagały się pociechy, jak zachowałyby się w takiej sytuacji większość dzieci. Zawsze były prawdziwymi skautkami, każda na swój sposób.

Marty nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć córkom. Zwykle on i Paige umieli zapewnić im opiekę w trudnych chwilach. Paige żartowała, że są fantastyczną maszyną rodzicielską Stillwaterów, w którym to określeniu było tyle samo ironii co niekłamanej dumy. Ale tym razem brakowało mu słów. Starał się nigdy nie okłamywać córek i teraz też nie zamierzał kłamać, nie miał jednak odwagi powiedzieć im prawdy.

– Chodźcie tu, dzieciaki, zrobicie coś dla mnie – powiedział.

Spragnione odmiany, zsunęły się z kanapy i przyłączyły do niego.

– Stańcie tutaj – polecił – i obserwujcie tamtą drogę. Jeśli skreśli w naszą stronę jakiś samochód albo nawet przejedzie zbyt wolno, albo jeśli w ogóle będzie wyglądał podejrzanie, to krzyczcie. Jasne?

Przytaknęły z powagą.

– Musimy sprawdzić pozostałe okna – upewnić się, czy są zamknięte. I trzeba wszystkie pozasłaniać – zwrócił się do Paige.

Gdyby Ten Drugi zdołał podkraść się do chaty nie zauważony, Marty nie chciał, żeby mógł ich dojrzeć, czy strzelić do nich przez któreś z okien.

W kuchni, zasłaniając okno wychodzące na głęboki las za chatą, przypomniał sobie, że jego matka uszyła zasłony na swojej maszynie do szycia na okno gościnnej sypialni domu w Mammoth Lakes. Widział ją. Siedzi przy singerze, z nogą na pedale, wpatruje się uważnie w igłę, która podnosi się i opada

z warkotem.

Czuł ból w klatce piersiowej. Wziął głęboki oddech, wypuścił powietrze i znów odetchnął, starając się wygnać z siebie nie tylko ból, ale również – tamto wspomnienie.

Później będzie czas na smutek, jeśli przeżyją.

W tej chwili musiał myśleć tylko o Paige i dzieciakach. Jego matka nie żyła. One żyły. Mrożąca krew w żyłach prawda: żałoba była luksusem.

Przyłączył się do Paige, która w mniejszej sypialni zaciągała firanki. Wcześniej zapaliła nocną lampkę, a teraz chciała ją zgasić.

– Niech się pali – powiedział Marty. – Przy tej burzy zmrok zacznie zapadać wcześniej i długo będzie ciemno. Ten drań, patrząc z zewnątrz, będzie mógł prawdopodobnie stwierdzić, które pokoje są oświetlone, a które nie. Nie ma sensu ułatwiać mu tego.

Milczała zapatrzona w bursztynowy klosz lampy. Jakby mogła odczytać ich przyszłość z niewyraźnego wzoru na tym podświetlonym kawałku materiału. W końcu spojrzała na Marty'ego.

– Ile mamy czasu?

– Może dziesięć minut, może dwie godziny. To zależy od niego.

– Co się stanie, Marty?

Teraz on milczał przez chwilę. Jej też nie chciał okłamywać.

Gdy wreszcie przemówił, był zdziwiony tym, co usłyszał, ponieważ słowa wyskoczyły gdzieś z głębin jego podświadomości, były szczere i zdradzały większy optymizm niż ten, który odczuwał świadomie.

– Zabijemy skurwysyna.

– Optymizm albo tylko oszukiwanie samego siebie.

Podeszła do niego i objęli się. Było jej tak dobrze w jego ramionach. Przez chwilę świat nie wydawał się już obłąkany.

– Wciąż nie wiemy, kim jest, czym jest, skąd się wziął – powiedziała.

– I może nigdy się nie dowiemy. Może, nawet gdy już go zabijemy, nigdy nie będziemy wiedzieć, o co w tym wszystkim chodziło.

– Jeśli się nigdy nie dowiemy, to nigdy niczego nie wyjaśnimy.

– Nie.

Położyła głowę na jego ramieniu i delikatnie pocałowała ciemne sińce na jego szyi.

– Nigdy nie będziemy czuć się bezpiecznie.

– Nie w naszym dawnym życiu. Ale dopóki jesteśmy razem, my i dziewczynki – powiedział – to resztę mogę zostawić za sobą.

– Dom, wszystko, co się w nim znajduje, moją karierę, twoją...

– Żadna z tych rzeczy nie jest tym, co się naprawdę liczy.

– Nowe życie, nowe imiona... jaka przyszłość czeka dziewczynki?

– Najlepsza, jaką możemy im dać. Nigdy nie było żadnych gwarancji, bo być ich nie może.

Podniosła głowę znad jego ramienia i spojrzała mu w oczy.

– Czy dam mu radę, gdy się tu pojawi?

– Oczywiście, że tak.

– Jestem tylko doradcą rodzinnym, specjalizującym się w problemach behawioralnych dzieci, w relacjach rodzic – dziecko. Nie jestem bohaterką powieści przygodowej.

– A ja jestem tylko autorem kryminałów. Ale poradzimy sobie.

– Boję się.

– Ja też.

– Ale jeśli boję się już teraz, to jak mam znaleźć odwagę, by podnieść strzelbę i bronić dzieci przed czymś... przed czymś takim?

– Wyobraź sobie, że jesteś bohaterką powieści przygodowej.

– Gdyby to było takie proste.

– Pod pewnymi względami... może jest – zamyślił się. Wiesz, że nie jestem wielbicielem Freuda. Myślę, że w znacznej mierze sami decydujemy o tym, kim jesteśmy. Ty możesz uchodzić za żywy tego przykład, biorąc pod uwagę to, przez co przeszłaś jako dziecko.

Zamknęła oczy.

– Jakoś mi łatwiej wyobrazić sobie, że jestem doradcą rodzinnym niż Kathleen Turner w filmie „Miłość, szmaragd i krokodyl”.

– Gdy się po raz pierwszy spotkaliśmy – nie mogłaś sobie również wyobrazić, że będziesz żoną i matką. Rodzina była dla ciebie tylko więzieniem, więzieniem i salą tortur. Nigdy więcej nie chciałaś być częścią jakiegokolwiek rodziny.

– Ty mnie wszystkiego nauczyłaś. – Otworzyła oczy.

– Niczego cię nie nauczyłem. Pokazałem ci tylko, jak wyobrazić sobie dobrą rodzinę, normalną rodzinę. Gdy już byłaś w stanie ją sobie wyobrazić, to mogłaś również uwierzyć w szansę jej stworzenia. Od tej chwili uczyłaś się już sama.

– Więc życie jest pewną formą fikcji, he?

– Każde życie to jakaś opowieść. Układamy ją każdego dnia.

– W porządku. Spróbuję być Kathleen Turner.

– A nawet kimś więcej.

– Kim?

– Sigourae Weaver.

Uśmiechnęła się.

– Szkoda, że nie mam jednej z tych wielkich futurystycznych armat, których używała, grając Ripley.

– Chodźmy, sprawdzimy, czy nasi wartownicy wciąż są na swoich stanowiskach.

Kiedy weszli do salonu, zwolnił dziewczynki z ich posterunków i zaproponował, by zagrzały trochę wody na gorącą czekoladę. W chacie były zawsze podstawowe zapasy, wśród nich znajdowało się również mleko w proszku o smaku kakao. Wciąż było zimno, więc wszyscy potrzebowali trochę wewnętrznego ciepła. Poza tym przyrządzanie gorącej czekolady było tak normalną czynnością, że mogło trochę złagodzić napięcie i uspokoić ich nerwy.

Jego spojrzenie powędrowało przez okno, poza ganek, i minęło tylną część BMW. Między chatą a drogą rosło tyle drzew, że liczący sto jardów podjazd tonął w głębokich cieniach, ale Marty wciąż mógł dojrzeć intruza.

Rozsądek podpowiadał, że Ten Drugi zbliży się do chaty raczej od frontu. Po pierwsze, ich działka graniczyła od tyłu z terenami kościoła i większą posiadłością, które leżały na zboczu, co sprawiało, że podejście od tej strony byłoby żmudne i zabrałoby sporo czasu.

Poza tym, sądząc po dotychczasowym zachowaniu Tego Drugiego, był on zawsze zwolennikiem gwałtownego działania i niewyszukanych metod. Zdawało się, że nie przejawia ani talentu, ani cierpliwości do jakiegokolwiek strategii. Był człowiekiem czynu, nie teoretykiem, więc należało się raczej spodziewać otwartego i wściekłego ataku. Przemyślany podstęp nie leżał – jak można było przypuszczać

– w jego naturze.

Ta cecha mogła okazać się jego fatalną słabością. W każdym razie warto było żywić taką nadzieję.

Padał śnieg. Cienie pogłębiały się.

Spicer zadzwonił z pokoju hotelowego do furgonetki, by uzyskać najświeższe wiadomości. Odczekał dwanaście sygnałów, odłożył słuchawkę i ponownie spróbował, ale wciąż nikt się nie zgłaszał.

– Coś się stało – powiedział. – Przecież nie mogli po prostu gdzieś sobie pójść.

– Może awaria telefonu – zasugerował Oslett.

– Przecież dzwoni.

– Może nie u nich.

Spicer spróbował jeszcze raz, z takim samym skutkiem.

– Idziemy – powiedział, chwytając skórzaną kurtkę i kierując się w stronę drzwi.

– Chyba nie chce pan tego zrobić? – zdziwił się Oslett. – W ten sposób całą konspirację diabli wezmą.

– Już zostali zdekonspirowani. Coś jest nie tak.

Clocker narzucił tweedowy płaszcz na wściekle pomarańczowy sweter z kaszmiru. Nie musiał wkładać kapelusza, bo nigdy go nie zdejmował. Wpychając do kieszeni książkę z serii „Star Trek”, także skierował się ku drzwiom.

Podążając za nimi, wciąż z czarną walizką w dłoni, Oslett spytał:

– Ale co mogło się stać? Wszystko szło tak gładko.

Warstwa śniegu sięgała już pół cala. Płatki były drobne i dość suche. Ulice pokrywał biały całun. Na wiecznie zielonych krzewach pojawiło się bożonarodzeniowe przybranie.

Samochód prowadził Spicer i po paru minutach dotarli do ulicy, przy której mieszkali rodzice Stillwatera. Wskazał ręką dom, gdy dzieliła ich od niego jeszcze spora odległość.

Naprzeciwko domu, po drugiej stronie ulicy, stały przy krawężniku dwa samochody. Oslett od razu się zorientował, że czerwona furgonetka jest punktem obserwacyjnym.

– Co tu robi wóz dostawczy z kwaciarni? – zastanawiał się Spicer.

– Rozwozi kwiaty – wyraził przypuszczenie Oslett.

– Mało prawdopodobne.

Spicer minął furgonetkę i zaparkował przed nią.

– Czy to naprawdę rozsądne? – zastanawiał się Oslett.

Korzystając z telefonu komórkowego, Spicer jeszcze raz zadzwonił do zespołu obserwacyjnego. Nie odpowiedzieli.

– Nie mamy wyboru – zdecydował Oslett. Otworzył drzwi i wyszedł na śnieg.

Podeszli do tylnych drzwi czerwonej furgonetki.

Na asfalcie, między obydwojema samochodami, leżały rozrzucone kwiaty. Ceramiczna doniczka była rozbita. Niektóre kwiaty zakrył śnieg, co znaczyło, że nikt ich nie ruszał w ciągu ostatnich trzydziestu, czterdziestu pięciu minut.

Zniszczone i pobladłe od szronu odznaczały się swoistym pięknem. Zrobić zdjęcie – powiesić w galerii i zatytułować „Romans” czy „Strata”. Ludzie prawdopodobnie zatrzymywaliby się przed nim na długie minuty.

Spicer zapukał do drzwi wozu obserwacyjnego. Clocker powiedział:

– Sprawdź wóz z kwaciarni.

Nikt nie odpowiedział na pukanie, więc Spicer śmiało otworzył drzwi i wspiął się do środka.

Wchodzący za nim Oslett usłyszał:

– O cholera.

W furgonetce było ciemno. Niewiele światła docierało przez dwustronne lustrzane szyby. Tylko blask elektronicznych ekranów dawał trochę światła.

Oslett zdjął okulary przeciwsłoneczne, zobaczył martwych mężczyzn i zatrzasnął drzwi.

Spicer również zdjął okulary. Jego oczy miały dziwną żółtą barwę. Albo może odbijał się w nich kolor elektronicznych wskaźników.

– Alfie musiał się właśnie zbliżać do domu Stillwaterów, gdy zauważył furgonetkę i domyślił się, że jest obserwowany – powiedział Spicer. – Nie poszedł od razu do domu, zatrzymał się przy furgonetce i szybko załatwił sprawę.

Elektroniczne urządzenia czerpały energię z baterii słonecznych połączonych przewodami z płaskimi komorami słonecznymi na dachu wozu. Gdy prowadzono obserwację w nocy, baterie można było zasilać przez uruchomienie silnika. Nawet w pochmurne dni komory gromadziły dostatecznie dużo światła słonecznego, by system mógł funkcjonować.

Przy zgaszonym silniku temperatura wewnątrz samochodu była odpowiednia, choć może trochę za niska. Furgonetka była nadzwyczaj dobrze izolowana, a komory słoneczne dodatkowo zaopatrywały w energię mały grzejnik.

Oslett przestał patrzeć na ciała i wyjrzał przez boczne okienko.

– Jeśli Alfiego ciągnęło do tego domu, to niewątpliwie dlatego, że był już w nim Martin Stillwater – stwierdził.

– Chyba tak.

– A jednak ludzie z zespołu obserwacyjnego nie widzieli, by tamten wchodził czy wychodził.

– Z pewnością – zgodził się Spicer.

– Przecież daliby nam znać, gdyby zauważyli Stillwatera, jego żonę lub dzieci?

– Absolutnie.

– Więc... może on tam teraz jest? Może tam siedzą – cała rodzina i Alfie.

– Może ich tam nie być. Ktoś niedawno stamtąd odjechał. Widzi pan te ślady na podjeździe? – spytał Spicer.

Z garażu przylegającego do tego białego domu musiał wyjechać tyłem jakiś pojazd z szerokimi oponami. Wykręcił potem w lewo, wyjeżdżając na ulicę, a potem ruszył do przodu, w prawo od domu. Śnieg dopiero co zaczął zasypywać krzyżujące się łuki odcisnięte przez koła.

Clocker otworzył drzwi furgonetki. Przestraszył się. Wgramolił się do środka i zatrzasnął za sobą drzwi, nie zwracając uwagi na skrwawiony czekan i dwa martwe ciała.

– Wygląda na to, że Alfie ukradł wóz z kwaciarni, żeby się zamaskować. Dostawca leży z tyłu, wśród kwiatów. Sztwywny jak kłoda.

Pomimo przedłużonego podwozia pusta część furgonetki była zbyt mała, by mogło się w niej wygodnie pomieścić trzech mężczyzn. Oslettowi zrobiło się duszno.

Spicer zepchnął martwego technika z obrotowego krzesła, na którym bezwładnie spoczywał. Ciało zwałiło się na podłogę. Spicer, zanim usiadł, sprawdził, czy na siedzeniu nie ma krwi. Obrócił się w stronę monitorów i przełączników, z którymi wydawał się dobrze obeznany.

Nieprzyjemnie świadomy stojącego nad nim Clockera, Oslett spytał:

– Czy jest możliwe, by ci faceci nie poinformowali nas o jakimś telefonie, zanim nie wykończył ich Alfie?

– Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć – odpowiedział Spicer.

Gdy jego palce zaczęły tańczyć na klawiaturze, na monitorach pojawiły się zniecała jasnokolorowe wykresy.

Oslett jeszcze raz obrócił się w stronę pierwszego okna, wpychając przy okazji łokieć w brzuch grubasa. Obserwował dom po drugiej stronie ulicy.

Clocker pochylał się, by wyjrzeć przez drugie okno. Drew pomyślał, że wielbiciel sf wyobraża sobie, że stoi na dziobie statku powietrznego i przez szybę o grubości stopy wypatruje obcej planety.

Przejechały dwa samochody. Półciężarówka. Po chodniku biegł czarny pies: miał ośnieżone łapy i wyglądał, jakby nosił skarpetki. Wokół domu Stillwaterów było cicho i spokojnie.

– Mam – powiedział Spicer, zdejmując z uszu słuchawki.

To, co miał, okazało się rozmową telefoniczną, wychwyconą i nagraną automatycznie przez urządzenia elektroniczne trzydzieści minut po zamordowaniu przez Alfiego techników z zespołu obserwacyjnego. Alfie był w domu, gdy zadzwonił telefon. Odebrał go po siódmym sygnale. Spicer odtworzył rozmowę przez głośnik, by mogli usłyszeć ją także Oslett i Clocker.

– Pierwszy głos, który słyszycie, należy do dzwoniącego – wyjaśnił Spicer. – Mężczyzna, który podnosi słuchawkę w domu Stillwaterów, z początku się nie odzywa.

Halo? Mamo? Tato?

Jak zdołałeś przeciwną ich na swoją stronę?

– Ten drugi głos należy do tego, który odebrał telefon, i to jest Alfie – zatrzymując taśmę powiedział Spicer.

– Oba głosy są takie same.

– Ten drugi to Stillwater. Teraz mówi Alfie.

Dlaczego kochają bardziej ciebie niż mnie?

Nie dotykaj ich, ty sukinsynu. Nie waż się tknąć ich nawet palcem.

Zdradzili mnie.

Chcę mówić z moją matką i ojcem.

MOJĄ matką i ojcem.

Daj ich do telefonu.

Żebyś mógł im naopowiadać jeszcze więcej kłamstw?

Wysłuchali całej rozmowy. Brzmiała jak monolog schizofrenika. Było jasne, że ich niedobry chłopiec jest nie tylko renegatem, jest także nieobliczalnym psychopata.

Kiedy taśma dobiegła końca, Oslett stwierdził:

– A więc Stillwater nigdy nie zatrzymał się w domu swoich rodziców.

– Najwyraźniej.

– To jakim cudem Alfie go znalazł? Dlaczego tu przyjechał? Dlaczego interesował się rodzicami Stillwata, a nie nim samym?

Spicer wzruszył ramionami.

– Może będzie miał pan jeszcze okazję go o to spytać.

Oslett nie lubił, gdy tyle spraw pozostawało nie rozwiązanych. Miał wtedy wrażenie, że nie panuje nad sytuacją.

Zerknął przez okno na dom i ślady kół na zaśnieżonym podjeździe.

– Alfiego już tam prawdopodobnie nie ma.

– Pojechał za Stillwaterem – zgodził się Spicer.

– Skąd uzyskano połączenie?

- Z telefonu komórkowego.
- Czy możemy go jeszcze namierzyć?

Wskazując na trzy rzędy liczb na ekranie, Spicer powiedział:

- Mamy tu satelitarną triangulację.
- To mi nic nie mówi, to tylko liczby.
- Ten komputer może określić to miejsce na mapie. Z dokładnością do stu stóp od źródła sygnału.
- Ile czasu to zabierze?
- Najwyżej pięć minut.
- Dobra. Niech pan nad tym pracuje. My sprawdzimy dom.

Oslett wyszedł z furgonetki, mając tuż za plecami Clockera.

Gdy przechodzili przez zaśnieżoną ulicę, Osletta nie obchodziło, że być może przy oknach stoi z tuzin wścibskich sąsiadów. Cały ich plan i tak już diabli wzięli. On, Clocker i Spicer mieli zmyć się za dziesięć minut, zabierając trupy, a potem nikt nie zdołałby udowodnić, że tu byli.

Wkroczyli śmiało na ganek domu Stillwaterów. Oslett nacisnął dzwonek. Nikt nie odpowiedział. Zadzwoił jeszcze raz i spróbował otworzyć drzwi. Były otwarte. Z przeciwnej strony ulicy wyglądało, że drzwi otworzyli od wewnątrz Jim i Alice Stillwaterowie i zaprosili gości do środka.

Gdy znaleźli się w przedpokoju, Clocker zamknął drzwi i wyciągnął z kabury colta 0.357 magnum. Stali przez kilka sekund, wsłuchując się w ciszę domu.

– Bądź spokojny, Alfie – powiedział Oslett – choć wątpił, czy ich niedobry chłopak wciąż kręci się gdzieś w pobliżu. Gdy nie usłyszał rytualnej odpowiedzi, powtórzył rozkaz głośniejszym głosem.

Trwała niczym nie zmącona cisza.

Ruszyli ostrożnie w głąb domu i znaleźli dwoje martwych ludzi w pierwszym pokoju, do którego weszli. Rodzice Stillwatera. Każde z nich było jakoś podobne do Martina i oczywiście także do Alfiego.

Przeszukując pospiesznie dom, wypowiadając magiczny rozkaz na progu każdego pokoju, znaleźli coś ciekawego tylko w pralni. Małe pomieszczenie cuchnęło benzyną. To, co Alfie planował, miało być osiągnięte za pomocą strzępów materiału, lejka i proszku do prania.

– Tym razem idzie na całego – zauważył Oslett. – Ściga Stillwatera, jakby to była wojna.

Musieli zatrzymać chłopca, i to szybko. Gdyby zabił rodzinę Stillwatera albo nawet tylko samego pisarza, to tym samym uniemożliwiłby misterną intrygę morderstwa-samobójstwa, która tak zgrabnie miała połączyć wszystkie luźne wątki w całość. A wprowadzając w czyn swój szalony, ognisty spektakl, Alfie niewątpliwie zwróciłby na siebie tak powszechną uwagę, że utrzymanie jego istnienia w tajemnicy, czy też przywrócenie go z powrotem do służby stałoby się niemożliwe.

– Cholera – powiedział Oslett, potrząsając głową.

– Socjopatyczni sklonowani osobnicy – stwierdził Clocker, jakby starał się być irytujący – zawsze sprawiają dużo kłopotów.

Popijając gorącą czekoladę, Paige stanęła na warcie przy frontowym oknie.

Marty siedział w kucki na podłodze salonu z Charlotte i Emily. Grali w karty. Była to najmniej ożywiona gra, jaką Paige kiedykolwiek widziała, prowadzona bez słowa komentarza czy sporów. Ich twarze były ponure, jakby w ogóle nie grali, ale starali się odczytać przyszłość z kart taroka, które źle im wróżyły.

Zapatrzona w zaśniewany krajobraz, Paige nagle pojęła, że nie powinni we dwójkę czekać w chacie. Odwracając się od okna, powiedziała:

– To zła strategia.

– Co? – spytał Marty, podnosząc wzrok znad kart.

– Wychodzę.

– Po co?

– Ten skalny wzgórek, pod drzewami, w połowie drogi między chatą a granicą działki. Mogę się tam położyć i obserwować podjazd.

– Jaki to ma sens? – Marty rzucił swoje karty.

– Bardzo głęboki. Jeśli ten facet zjawi się od frontu, jak obydwójce sądzimy, jak *musi* zrobić, to minie moją kryjówkę i pójdzie wprost do chaty. Będę za jego plecami. Wpakuję kilka pocisków w tył głowy tego drania, zanim zdąży się w ogóle zorientować.

Wstając z podłogi i potrząsając głową, Marty stwierdził:

– Nie, to zbyt ryzykowne.

– Jeśli obydwójce pozostaniemy tutaj, to będzie to przypominało obronę fortu.

– To mi się podoba.

– Nie pamiętasz już tych wszystkich filmów o kawalerii na Dzikim Zachodzie, broniącej fortu? Prędzej czy później, bez względu na to, jak był obwarowany, Indianie i tak wdzierali się do środka.

– Tak się dzieje tylko na filmach.

– Owszem, ale on też może je oglądał. Podejź tutaj – nalegała. Gdy zbliżył się do niej, wskazała na skały, ledwie widoczne pod gałęziami sosen. – To doskonałe miejsce.

– Nie podoba mi się to.

– Uda się.

– Nie podoba mi się to.

– Wiesz, że mam rację.

– W porządku, może masz rację, ale nie musi mi się to podobać – powiedział ostro.

– Wychodzę.

Wpatrywał się uważnie w jej oczy, szukając być może oznak strachu. Tylko strach mógł ją powstrzymać.

– Wydaje ci się, że jesteś bohaterką powieści przygodowej, co?

– To ty pobudziłeś moją wyobraźnię.

– Żałuję, że nie trzymałem gęby na kłódkę. – Przyglądał się przez chwilę przestłoniętemu cieniem wzgórkowi skalnych kamieni, po czym westchnął i powiedział:

– Zgoda, ale to ja wyjdę. Ty zostaniesz tutaj z dziewczynkami.

– Ten numer nie przejdzie, kochanie – potrząsnęła głową.

– Nie zachowuj się jak feministka.

– Wcale się tak nie zachowuję. Tylko że... to ty masz ten psychiczny włącznik.

– Więc?

– Ten osobnik potrafi wyczuwać, gdzie jesteś, a wobec tego jest prawdopodobne, że odkryje twoją obecność przy skałach. Musisz zostać w chacie, żeby wyczuł cię tutaj i ruszył wprost na ciebie. Przechodząc obok mnie.

– Może ciebie też potrafi wyczuwać.

– Jak dotąd wszystko wskazuje na to, że tylko ciebie.

Umierał ze strachu o nią, a jego uczucia uzewnętrzniły się w każdej bruzdzie na jego twarzy.

– Nie podoba mi się to.

– Już to mówiłeś. Wychodzę.

Gdy Oslett i Clocker i przechodzili przez ulicę po wyjściu od Stillwaterów, Spicer siadał za kierownicą czerwonej furgonetki ze sprzętem obserwacyjnym.

Wiatr wzrósł się. Śnieg spadał z nieba pod ostrym kątem i gnał po ulicy.

Oslett podszedł do drzwi po stronie kierowcy.

Spicer znów włożył okulary przeciwsłoneczne, choć zapadał mrok. Jego oczy, żółte czy inne, były niewidoczne.

Spojrzał z góry na Osletta i powiedział:

– Odjadę stąd z tym bajzłem, przekroczę granicę okręgu i lokalnej jurysdykcji, a potem zadzwonię do centrali i poproszę o pomoc w usunięciu zwłok.

– A co z dostawcą z kwiaciarni?

– Niech sami usuną swoje śmieci – warknął Spicer.

Podał Oslettowi kartkę papieru maszynowego, na której komputer wydrukował mapę, określając miejsce, z którego Martin Stillwater zadzwonił do domu rodziców. Widniało na niej tylko kilka dróg. Oslett wetknął mapę pod kurtkę.

– To tylko kilka mil stąd – powiedział Spicer. – Wyjedziecie explorerem. – Uruchomił silnik, zatrzasnął drzwi i ruszył wprost w burzę śnieżną.

Clocker już siedział za kierownicą jeepa. Z rury wydechowej dobywały się kłęby spalin.

Oslett podszedł szybko do wozu, wsiadł do środka, zatrzasnął drzwi i wyciągnął spod kurtki mapę.

– Ruszajmy. Mamy mało czasu.

– Tylko w ludzkiej skali – uzupełnił Clocker. Ruszając spod krawężnika i włączając wycieraczki, by usunąć śnieg z szyby, dodał: – Z kosmicznego punktu widzenia jest to być może jedyna rzecz, której zasoby są niewyczerpane.

Paige ucałowała dziewczynki i kazała im obiecać, że zachowają się dzielnie i będą robiły dokładnie to, co każe im ojciec. To, że pozostawiała je na pastwę nieznanego losu, było najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiła. Ukrywanie strachu, co miało ośmielić dziewczynki, było jeszcze trudniejsze.

Marty wyszedł na ganek razem z nią. Porywisty wiatr przedzierał się ze świstem przez ochronną siatkę i łomotał drzwiami u szczytu schodów.

– Jest jeszcze jedno wyjście – powiedział, nachylając się do niej, by nie przekrzykiwać burzy. – Jeśli ja go przyciągam, to może ja powinienem się stąd wynieść sam i odciągnąć go od was jak tylko to możliwe.

– Zapomnij o tym.

– Może sobie z nim poradzę, gdy nie będę musiał się martwić o ciebie i dziewczynki.

– A jeśli on ciebie zabije?

– Przynajmniej nie zginiemy wszyscy.

– Myślisz, że przestanie nas szukać? On chce twojego życia, pamiętaj. Twojego życia, twojej żony, twoich dzieci.

– Więc jeśli mnie wykończy, a potem przyjdzie po ciebie, to wciąż będziesz miała szansę, żeby rozwalić mu łeb.

– Ach, tak? I gdy się tu zjawi, to skąd przez tę krótką chwilę będę wiedziała, że to on, a nie ty?

– Nie będziesz wiedziała – przyznał.

– Więc rozegramy to tak, jak ja proponuję.

– Jesteś cholernie mocna – powiedział.

Nie mógł wiedzieć, że jej żołądek przypomina galaretę, serce wali dziko, a usta wypełnia lekki metaliczny smak przerażenia.

Obejmowali się przez krótką chwilę.

Trzymając w ręku mossberga, zeszła z ganku, zbiegła po schodkach, przecięła nieduże podwórko, minęła BMW i nie oglądając się za siebie weszła w las, by odejść jak najszybciej i ukryć swój strach. Pod ochronną kopułą gałęzi odgłos wiatru wydawał się głuchy i odległy. Między drzewami przelatywały z krzykiem silne powiewy wiatru, zimne jak ektoplazma i przeraźliwe jak wycie duchów.

Choć działka leżała na zboczu, teren pod drzewami był łatwy do pokonania. Poszycie było rzadkie, gałęzie drzew wznosiły się nad jej głową, więc nic nie zakłócało widoku między pniami aż do samej drogi.

Gleba była kamienista. Gdzieś tam pod powierzchnią przebijały granitowe płyty i skalne formacje, wiekowe i gładkie.

Kamienne wzniesienie, które Paige wskazała Marty'emu, leżało między chatą a drogą, na zboczu, w odległości dwudziestu stóp od podjazdu. Przypominało zębate półkole, zbudowane z tępych trzonowców, wysokich na dwie, trzy stopy, jak skamielina paszczy łagodnego, roślinożernego dinozaura, znacznie większego od tych, których istnienie ludzie podejrzewali czy tylko mogli sobie wyobrazić.

Zbliżyła się do granitowego występu, gdzie za trzonowcami zalegały gęste niczym smoła cienie. Odniosła nagle wrażenie, że sobowtór już tam jest i obserwuje z tej kryjówki chatę. Gdy od miejsca, do którego zmierzała, dzieliło ją dziesięć stóp, przystanęła, ślizgając się lekko na dywanie sosnowych igieł.

Gdyby naprawdę tam był, pewnie by już ją zabił. To, że jeszcze żyła, przeczyło jego obecności. Niemniej jednak, gdy znów próbowała iść do przodu, czuła się tak, jakby opadła na dno głębokiego rowu

oceanicznego i starała się przemóc opór masy wodnej całego morza.

Z bijącym sercem okrążyła półkolistą formację i wśliznęła się w cienistą wypukłość. Nie było nikogo.

Wyciągnęła się na brzuchu. Ubrana w ciemnoniebieską kurtkę narciarską z kapturem zakrywającym jej jasne włosy, wiedziała, że jest niewidoczna wśród cieni, na tle ciemnej skały.

Patrząc między szczelinami w kamieniach, widziała podjazd na całej jego długości. Nie musiała podnosić głowy na tyle, by mogło ją to zdradzić.

Burza przeszła w zamieć. Śnieg padał tak intensywnie, że Paige miała wrażenie, iż spogląda na spienione czoło wodospadu.

Narciarska kurtka dobrze ogrzewała górną część jej ciała, ale dzinsy nie mogły ochronić przed chłodem kamieni, na których leżała. Było jej zimno, poczuła ból bioder i stawów w kolanach. Żałowała, że nie ma na nogach ocieplanych spodni narciarskich, i uświadomiła sobie, że powinna przynajmniej zabrać ze sobą koc, który mogłaby położyć na kamieniu.

Pod naporem nasilającej się burzy najwyższe konary jodeł i sosen trzeszczały jak dziesiątki drzwi na zardzewiałych zawiasach. Nawet tłumiące wszelki hałas gałęzie wiecznie zielonych drzew nie mogły złagodzić coraz silniejszego głosu wiatru.

Gasnące światło dnia przypominało barwę stalowy odcień lodu na zimowym stawie.

Wszystko, co widziała, i słyszała było zimne i zdawało się potęgować chłód. Zaczęła się zastanawiać, jak długo wytrzyma, zanim nie będzie musiała wrócić do chaty, żeby się ogrzać.

Wtedy na drodze ukazał się ciemnoniebieski jeep, który gwałtownie i ostro skręcił w stronę chaty. Wyglądał jak samochód należący do rodziców Marty'ego.

Pokrętko ustawione na siedem stopni. Przez kłębiące się zasłony śniegu, przez wirujące trąby śnieżne, przez prądy, smagnięcia, podmuchy, katarakty i unoszone wiatrem ściany śniegu, po autostradzie ledwie widocznej spod grubego całunu, wyprzedzając z wielką szybkością wlokące się samochody, mrugając reflektorami, by zmusić zawalidrogi do zjechania na bok, a nawet wyprzedzając pług śnieżny wciąż pędzi przed siebie. Na południe. Skręt w lewo. Węższa droga. Pod górę. Między zalesione zbocza. Długie stalowe ogrodzenie po prawej stronie. Jeszcze nie tu. Trochę dalej. Blisko. Wkrótce.

Cztery bomby benzynowe stoją w pudle, umieszczonym na podłodze obok siedzenia pasażera, pod półką. Pustą przestrzeń między butelkami wypełniają zwinięte gazety, dzięki czemu szklane pojemniki nie stukają o siebie.

Nad przesiąkniętymi benzyną knotami unoszą się gryzące opary. Perfumy zniszczenia.

Kierowany magnetycznym przyciąganiem, którym promieniuje fałszywy ojciec, wykonuje gwałtowny skręt w jednopasmowy pokryty śniegiem podjazd. Hamuje tylko tyle, ile jest to konieczne, biorąc zakręt poślizgiem, i kładzie stopę na pedale gazu w chwili, gdy jeep wciąż stara się odzyskać przyczepność, a tylne koła kręcą się z piskiem.

Dokładnie na wprost, w odległości przynajmniej stu jardów, w głębi lasu, stoi chata. Słabe światło w oknach. Dach przykryty czapą śniegu.

Nawet gdyby po lewej stronie nie stało zaparkowane BMW, i tak by wiedział, że znalazł to, czego szukał. Nienawistna magnetyczna obecność uzurpatora ciągnie go do przodu.

Wystarczy jeden rzut oka na chatę, by zdecydować się na frontalny atak, bez względu na rozsądek i konsekwencje. Jego matka i ojciec nie żyją, żona i dzieci też są prawdopodobnie od dawna martwe. Ich sylwetki i twarze naśladują szyderczo złośliwe, kosmiczne stwory, które ukradły jego własne imię

i wspomnienia. Kipi wściekłością, nienawiścią tak intensywną, że aż bolesną, płonie żalem, który jest jak ogień w sercu, i tylko szybki akt sprawiedliwości przyniesie rozpaczliwie upragnioną ulgę.

Obracające się dziko koła przebijają warstwę śniegu i wgrzyzają się w błoto.

Pedał gazu do dechy.

Jeep szarpie do przodu.

Z ust wyrywa mu się krzyk furii i zemsty, a psychiczny regulator przesuwają się gwałtownie z siedmiu stopni na trzydzieści sześćdziesiąt.

Marty stał przy oknie, gdy zasłonę padającego śniegu przeszły na drodze snopy światła z reflektorów, ale z początku nie mógł dostrzec ich źródła. Podjeżdżając pod górę, samochód krył się za drzewami i rosnącymi na poboczu krzewami. Nagle wynurzył się z ciemności. Skręcił gwałtownie w podjazd, zarzucając tyłem, strzelając spod obracających się w miejscu tylnych kół strumieniami śniegu i błota.

W chwilę później, gdy Marty wciąż wpatrywał się w nadjeżdżający samochód, uderzyła go brutalna, psychiczna fala, równie silna jak te, których doświadczył poprzednio, ale jednak inna. Strumień mrocznego i przejmującego uczucia, nagiego i niczym nie pohamowanego, które przeniosło go do wnętrza umysłu jego wroga, choć nigdy żadna istota ludzka nie była w stanie znaleźć się w umyśle innej istoty. Było to królestwo psychopatycznej wściekłości, desperacji, infantylnego egoizmu, przerażenia, zagubienia, zazdrości, pożądania i niecierpliwych pragnień, tak niegodziwych i obrzydliwych, że nie dorównałby im potop nieczystości czy widok rozkładających się ciał.

Podczas tego telepatycznego kontaktu Marty czuł się tak, jakby wrzucono go do najgłębszych czeluści piekieł. Choć owa łączność trwała nie więcej niż trzy czy cztery sekundy, wydawała się nie mieć końca. Kiedy się urwała, stwierdził, że stoi z dłońmi przyciśniętymi do skroni, a usta ma otwarte w bezgłośnym krzyku.

Odetchnął głęboko i zadrzał gwałtownie.

Ryk silnika przywrócił go rzeczywistości. Jeep przyspieszył na podjeździe, zmierzając w stronę chaty.

Być może mylił się w ocenie bezwzględności i obłądzenia Tego Drugiego, ale przecież był w jego umyśle, i miał wrażenie, że wie, co się zbliża. Odskoczył gwałtownie od okna i rzucił się do dziewczynek.

– Biegnijcie, uciekajcie tylnym wyjściem, jazda!

Charlotte i Emily, które już dawno zdążyły wstać z podłogi, ruszyły pędem w stronę drzwi kuchennych, zanim Marty zdołał wykrzyknąć do końca ostrzeżenie.

Pobiegł za nimi.

Na sekundę w jego umyśle, niczym błyskawica, pojawiła się inna strategia: zostać w salonie z nadzieją, że jeep utknie w śniegu i nigdy nie dotrze do frontowej ściany chaty, wtedy wybiec przed dom i zastrzelić drania, zanim zdoła się wygramolić zza kierownicy.

A w drugiej sekundzie obawy: może jeep zdoła się przebić i uderzy w ścianę – cedrowa elewacja, połamane deski, elektryczne przewody, kawałki tynku, stłuczone szkło eksplodujące do wnętrza chaty wraz z pędzącym wozem, wygięte krokwie, walący się sufit, mordercze dachówki spadające z hukiem wprost na niego...

Dzieciaki byłyby zdane na łaskę losu. Nie mógł ryzykować.

Ryk silnika narastał.

Dogonił dziewczynki w chwili, gdy Charlotte chwyciła za górny zamek. Sięgnął ponad jej głowę, jednym ruchem odsunął zasuwkę, podczas gdy dziewczynka mocowała się z dolnym zamkiem.

Świat wypełnił się wyciem silnika, które dziwnie przypominało dziki krzyk przedpotopowego stwora, a nie odgłos maszyny.

Beretta. Roztrzęsiony z powodu telepatycznego kontaktu i pędzącego jeepa, zapomniał o broni. Leżała na stoliku w salonie.

Nie było czasu, by wrócić.

Charlotte przekręciła gałkę. Wyjący wiatr wyrwał drzwi z jej dłoni i pchnął je na nią. Upadła.

Wtedy, od frontowej ściany, dobiegło głośnie łup, jak wybuch bomby.

Duży samochód minął kryjówkę Paige w takim pędzie, że od razu pojęła, iż nie ma żadnej szansy podkraść się do tego sukinsyna, gdy ten wyjdzie już z wozu, przemykając się od drzewa do drzewa, od cienia do cienia, jak robiłaby to bohaterka powieści przygodowych, którą była w swej wyobraźni. Działał według swoich zasad, co oznaczało brak jakichkolwiek zasad, i każdy jego następny krok był nieprzewidywalny.

Zanim podniosła się z ziemi, jeepa dzieliło od chaty tylko siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt stóp. Wciąż przyspieszał.

Modląc się, by nie złapał jej skurcz, przecisnęła się przez niskie skały. Ruszyła pędem w stronę chaty, równoległe do podjazdu, trzymając się blisko mrocznej ściany lasu i omijając slalomem pnie drzew.

Ponieważ BMW nie stało przed wejściem do chaty, ale trochę na lewo, jeep nie miał na swej drodze żadnych przeszkód. Warstwa śniegu, nie sięgająca nawet cala, nie mogła zmniejszyć jego prędkości. Grunt pod tym białym dywanem nie był zmarznięty, więc opony wgrzyzały się w nagą ziemię, uzyskując właściwą trakcję.

Wydawało się, że kierowca dosłownie stoi na pedale gazu. Chciał popełnić samobójstwo. Albo był przekonany o swej niezniszczalności. Silnik wył na najwyższych obrotach.

Paige dzieliło od chaty sto stóp, gdy lewe przednie koło jeepa uderzyło w niskie betonowe stopnie ganku i wspięło się na nie jak na rampę. Prawa opona kręciła się przez chwilę w powietrzu, po czym zetknęła się z podłogą ganku, gdy zderzak przebił się przez ścianę.

Spodziewała się, że ganek nie wytrzyma pod naporem tego ciężaru. Ale jeep zdawał się niemal fruwać w powietrzu, gdy lewe tylne koło uniosło go znad szczytu trzech stopni.

Lot. Rozbija ścianki z ochronnej siatki jak pajęczynę.

Wprost na drzwi. Jak wystrzał z moździerza. Dwutonowy pocisk.

Zamyka oczy. Może się zdarzyć, że przednia szyba eksploduje do wnętrza samochodu.

Uderzenie pozbawia go tchu. Czuje, jak rzuca nim do przodu. Pasy bezpieczeństwa szarpia go do tyłu, wyrzuca z siebie gwałtownie powietrze, czuje ból w piersiach.

Odgrywana na perkusji symfonia łamiących się desek, pękających na pół wsporników, rozpadających się framug, rozłupujących się nadproży. Jeep utyka w miejscu.

Otwiera oczy.

Przednia szyba wciąż nie tknięta.

Jeep wjechał do salonu, maską do sofy i przewróconego fotela. Jest pochylony do przodu, ponieważ przednie koła wybiły dziurę w podłodze.

Drzwi jeepa znajdują się nad podłogą i są nie naruszone. Odpina pas i wysiada z wozu, trzymając w dłoni jeden z pistoletów.

Podążyć, podjechać, stawić czoło, rzucać wyzwanie, walczyć i zwyciężyć.

Słyszy jakieś skrzypienie nad głową i podnosi wzrok. Sufit jest pęknięty i zapada się, ale prawdopodobnie wytrzyma. Przez szczeliny wpada do środka sypki śnieg i martwe brązowe igły sosen.

Podłoga jest zasypana stłuczonym szkłem. Okna okalające drzwi chaty – powybijane.

Ten obraz zniszczenia przyprawia go o dreszcz podniecenia. Rozpala jego wściekłość.

Salon jest pusty. Za łukowatym przejściem widać większą część kuchni, ale tam też nikogo nie ma.

W szerokim korytarzu między salonem a kuchnią widzi dwoje drzwi, jedno na prawo, drugie na lewo. Kieruje się w prawo.

Jeśli po drugiej stronie czeka fałszywy ojciec, to już tylko otwarcie drzwi będzie początkiem walki.

Nie chce, by uzurpator go zranił, musiałby wtedy gdzieś się odczołgać, by znów dojść do siebie. Chce skończyć to teraz, tutaj, dzisiaj.

Jeśli jego żona i dzieci nie zostały jeszcze zreplikowane i zastąpione obcymi istotami, to z pewnością nie pozostaną już długo ludźmi. Nadchodzi noc. Pozostała do niej niecała godzina. Pamięta z filmów, że takie rzeczy dzieją się zawsze w nocy: atak obcych, wszczepianie pasożytów, napady dokonywane przez istoty zmieniające ludzkie kształty, kradnące dusze, wypijające krew. Zawsze w nocy.

Zajmuje bezpieczną pozycję z boku, przy ścianie, staje przed drzwiami, podnosi 0.38 i otwiera ogień. Pociski o wydrążonym czubku, wystrzelone z bliska, wybijają ogromne dziury.

Odrzut broni, który szarpie jego ramieniem, jest niezwykle satysfakcjonującym doznaniem, niemal seksualnym przeżyciem, przynoszącym nieznaczną ulgę w jego frustracji i gniewie. Naciska spust raz za razem, aż rozlega się trzask iglicy uderzającej w pustą komorę.

Z pokoju za zamkniętymi drzwiami nie docierają żadne krzyki. Żadne dźwięki, gdy cichnie huk ostatniego wystrzału.

Rzuca broń na podłogę i wyciąga drugie 0.38 z kabury schowanej pod szkolną kurtkę.

Otwiera drzwi kopnięciem i szybko wchodzi do środka, trzymając broń przed sobą w wyciągniętych dłoniach.

To sypialnia. Pusta.

Narastająca frustracja rozdmuchuje płomień wściekłości.

Wraca do przejścia między salonem i kuchnią i staje przed drugimi, zamkniętymi drzwiami.

Widok jeepa lecącego przez ganek i przebijającego frontową ścianę chaty sprawił, że Paige zatrzymała się na chwilę.

Choć działo się to na jej oczach i choć nie miała wątpliwości, że jest to prawda, ta kraksa była jak ze snu. Samochód zdawał się wisieć w powietrzu nieprawdopodobnie długo, dosłownie płynął przez ganek, z obracającymi się kołami. Wyglądało, jakby niemal wtopił się w ścianę chaty, rozpluwając się niczym duch. Zniszczeniu towarzyszył hałas, jednak jakimś cudem nie był on dość kakofoniczny i nawet w połowie tak głośny jak na filmie. Nagle wszystko ucichło. Powrócił spokój śnieżnej burzy, zakłócony jedynie zawodzeniem wiatru. Z nieba płynął bezgłośny potop śniegu.

Dzieci.

Widziała oczyma duszy, jak wali się na nie ściana.

Ruszyła biegiem, zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi. W stronę chaty.

Trzymała strzelbę w obu rękach, lewą dłoń na ruchomym przełączniku, prawą zaciśniętą na kolbie,

palec na osłonie spustu. Wszystko co musiałaby zrobić, to naprowadzić lufę na cel, przesunąć palec na spust i wystrzelić. Wcześniej, ładując mossberga, wprowadziła jeden pocisk do komory zamkowej, dzięki czemu mogła wsunąć do magazynka dodatkowy nabój.

Gdy wybiegła spomiędzy drzew, a od schodów ganku dzieliło ją nie więcej niż trzydzieści stóp, w domu wybuchła strzelanina. Pięć strzałów w krótkich odstępach. Ten odgłos, zamiast ją zatrzymać, dodał jej sił. Pokonała podjazd i małe frontowe podwórze tak szybko, jak tylko mogła.

Tuż przy schodach pośliznęła się na śniegu i upadła na jedno kolano. Zakłęła z bólu.

Gdyby się jednak nie potknęła, to byłaby już na ganku albo w środku chaty, akurat wtedy, gdy ukazała się Charlotte. Tuż za nią – Marty i Emily. Biegli jedno obok drugiego.

Strzela trzy razy w drzwi po lewej stronie przejścia, otwiera je kopniakiem, pochylony szybko przekracza próg. Następna pusta sypialnia.

Przed domem trzaskają drzwi samochodu.

Marty nie zamknął drzwi po swojej stronie, gdy siadał za kierownicą, grzebiąc jedną ręką pod siedzeniem w poszukiwaniu kluczyków, i nawet nie przyszło mu do głowy powiedzieć dziewczynkom, by nie trzaskały drzwiami, dopóki tego nie zrobiły. Dźwięk odbił się drgającym echem od pobliskich drzew.

Paige nie wsiadła jeszcze do BMW. Stała przy otwartych drzwiach po swojej stronie, obserwując dom, przygotowana do strzału.

Gdzie te cholerne kluczyki?

Wychylił się do przodu, garbiąc się i próbując sięgnąć głębiej pod siedzenie.

Gdy jego palce zacisnęły się wreszcie na kluczykach, zagrzmiął mossberg. Podniósł raptownie głowę, gdy pocisk wystrzelony z drugiej strony minął Paige, wpadł przez otwarte drzwi i uderzył w deskę rozdzielczą kilka cali od jego twarzy. Tablica zasypała go kawałkami plastiku.

– Na ziemię! – krzyknął do dziewczynek siedzących z tyłu.

Paige znów strzeliła, a tamten odpowiedział ogniem.

Ten Drugi stał w ogromnej dziurze o postrzępionych krawędziach, która niegdyś była drzwiami chaty. Strzelał, a po oddaniu strzału cofał się do salonu, być może po to, by załadować broń.

Choć ogień ze strzelby nie pozwalał mu podejść bliżej, sobowtór stał zbyt daleko, by Paige mogła skutecznie go zranić. Za to ręczna broń, którą się posługiwał, miała, jak na ten dystans, dużą siłę rażenia.

Marty wepchnął kluczyki do stacyjki. Silnik zapalił od razu. Zwolnił hamulec ręczny i wrzucił bieg.

Paige wsiadła do samochodu i zamknęła za sobą drzwi.

Spojrzał ponad swoim ramieniem przez tylną szybę, przejechał tyłem obok ściany frontowej, a następnie wjechał w koleiny pozostawione przez jeepa podczas samobójczej szarży na chatę.

– Biegnie tu! – krzyknęła Paige.

Wciąż jadąc tyłem, Marty zerknął przez przednią szybę i zobaczył, że Ten Drugi zeskakuje z ganku, zbiega po schodkach, rusza pędem przez podwórze, trzymając w każdej dłoni butelkę po winie, z wystającymi szmacianymi knotami, nad którymi unosiły się płomienie. Jezu. Lonty paliły się wściekle, butelki mogły eksplodować w każdej chwili. On jednak zdawał się nie dbać o własne bezpieczeństwo, jego twarz miała szalony i niemal radosny wyraz, jakby *stworzono* go do tego, co zamierzał uczynić. Tylko do tego. Zatrzymał się, hamując podszewkami butów i zamachnął się jak futbolista rzucający piłkę do swego partnera.

– Jedź! – krzyknęła Paige.

Marty ruszył. Nie potrzebował żadnej zachęty, by przyspieszyć.

Zobaczył, jak pierwsza butelka zatacza w powietrzu łuk i roztrzaskuje się na przednim zderzaku BMW. Prawie cała zawartość, nie czyniąc żadnej szkody, rozlała się na drodze, i zdawało się, że połać śniegu wybuchnęła płomieniem.

Druga butelka uderzyła o maskę, sześć cali od szyby, dokładnie naprzeciwko Paige. Roztrzaskała się, jej zawartość eksplodowała, płonąca ciecz zalała szybę, i przez chwilę widzieli przed sobą tylko szalejący ogień.

Z tyłu, przypięte pasami, przytulone do siebie, dziewczynki krzyczały z przerażenia.

Marty nie mógł nic zrobić, by je uspokoić, mógł tylko jechać do tyłu, tak szybko jak mógł, mając nadzieję, że ogień na masce wypali się, a żar nie będzie na tyle silny, by szyba rozpadła się na drobne kawałki.

Połowa drogi już za nimi. Dwie trzecie. Prędeej. Jeszcze tylko sto jardów.

Płomień na przedniej szybie zgasł niemal od razu, gdy wypaliła się cienka warstwa benzyny, ale na masce i zderzaku, po stronie pasażera, wciąż skakały języki ognia. Zajął się lakier.

Marty zobaczył przez zasłonę ognia i czarnego, kłębiącego się dymu Tego Drugiego, który znów biegł w ich stronę, nie tak szybko, jak jechał samochód, ale też niewiele wolniej.

Paige załadowała strzelbę.

Sześćdziesiąt jardów do szosy.

Pięćdziesiąt.

Czterdzieści.

Drzewa i krzewy zasłaniały dolny odcinek szosy. Marty bał się, że wjeżdżając na drogę tyłem zderzy się z jakimś samochodem. Nie miał jednak odwagi zwolnić.

Ryk silnika BMW zagłuszył strzał. Na szybie, pod lusterkiem, między Martym a Paige, ukazała się z ostrym trzaskiem dziura po kuli. W chwilę później drugi pocisk przewiercił szybę, trzy cale na prawo od pierwszego, tak blisko Paige, że graniczyło z cudem, iż nie została trafiona. Przy drugim strzale hartowaną szybę pokryła pajęczyna maleńkich pęknięć.

Zjazd z polnej drogi na szosę nie przebiegł zbyt gładko. Mocno uderzyli o asfalt i odłamki szyby wpadły do wnętrza samochodu.

Marty skręcił kierownicę w prawo, jadąc tyłem w górę zbocza, i zahamował, gdy mieli drogę dokładnie przed sobą. Czuł żar płomieni, które trawiły lakier na masce.

Od karoserii odbił się rykoszetem pocisk.

Zredukował wsteczny bieg.

Widział przez boczną szybę Tego Drugiego. Stał na szeroko rozstawionych nogach, w odległości piętnastu jardów od końca podjazdu. Trzymał broń w obu rękach.

Gdy Marty wcisnął pedał gazu, kolejny pocisk uderzył głucho w drzwi, poniżej szyby, ale nie dotarł do wnętrza samochodu.

Ten Drugi znów ruszył biegiem, gdy BMW wystrzeliło do przodu i zaczęło się od niego oddalać.

Choć wiatr spychał większość dymu na prawo, nagle pojawiło się go znacznie więcej, był czarny i przenikał do wnętrza samochodu. Paige zaczęła kaszleć, dziewczynki miały świszczący oddech, a Marty nie widział przed sobą drogi.

– Opona się pali! – zawołała Paige, przekrzykując wycie wiatru.

Dwieście jardów dalej płonąca opona eksplodowała i Marty stracił kontrolę nad samochodem. Skręcił

kierownicę zgodnie z kierunkiem poślizgu, ale tym razem zastosowanie praw fizyki nie dało rezultatu. Samochód obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, zarzucając jednocześnie bokami. Zatrzymali się dopiero wtedy, gdy kołyszac się zjechał z szosy i wylądował na ogrodzeniu, które oznaczało granicę posiadłości należącej niegdyś do Profetycznego Kościoła Wyniesienia.

Marty wy dostał się z samochodu. Szarpnięciem otworzył tylne drzwi, wsunął głowę do środka i pomógł dziewczynkom odpiąć pasy bezpieczeństwa.

Nie spojrział nawet na drogę, by sprawdzić, czy Ten Drugi nadchodzi, ponieważ wiedział, że nadchodzi. Ten facet nigdy się nie zatrzyma, nigdy, dopóki go nie zabiją, a nawet i to może nie wystarczyć.

Gdy Marty wyciągał Emily z tylnego siedzenia, Paige wygramoliła się przez drzwi po stronie kierowcy, ponieważ samochód uderzył o ogrodzenie jej stronę. Wyciągnęła spod siedzenia szare koperty z pieniędzmi i wepchnęła je do kieszeni kurtki narciarskiej. Zasuważąc zamek błyskawiczny spojrzała pod górę.

– Cholera – powiedziała. Po chwili zagrzmiała jej strzelba.

Marty pomógł wydostać się z samochodu Charlotte, gdy mossberg wypalił ponownie. Wydawało mu się, słyszy również twardy trzask małokalibrowej broni, ale kule omijały ich z daleka.

Oslaniając dziewczynki, popychając je przed sobą i odciągając od płonącego samochodu, spojrział pod górę.

Ten Drugi stał bezczelnie na środku drogi, sto jardów dalej, przekonany, że jest bezpieczny. Niezniszczalny. Był dokładnie wzrostu Marty'ego, jednak nawet z tej odległości wydawał się nad nimi górować – mroczna, groźna postać. Niemal nonszalancko wysunął z rewolweru bębenek i wysypał na śnieg łuski po nabojach.

– Ładuje broń – powiedziała Paige, korzystając z okazji, by wsunąć dodatkowe naboje do magazynka strzelby. – Wynośmy się stąd.

– Dokąd? – zastanawiał się Marty, rozglądając się jak szalony po zaśnieżonej okolicy.

Żałował, że z jednej czy drugiej strony nie nadjeżdża samochód.

Po chwili jednak wyrzucił to życzenie z myśli, ponieważ wiedział, że Ten Drugi zabiłby każdego, kto próbowałby się wtrącić.

Ruszyli w dół zbocza. Zacinał ostry wiatr. Nie wiedzieli, co robić dalej.

Marty zrezygnował od razu z próby dotarcia do którejś z chat rozrzuconych wśród wysokich lasów. Większość z nich była domkami letniskowymi. Z pewnością w ten grudniowy wtorek stały puste, chyba że do rana napadałoby dostatecznie dużo śniegu, by móc jeździć na nartach. Poza tym Marty nie chciał mieć na sumieniu niewinnych ludzi.

Trasa 203 leżała u dołu zbocza, przy końcu drogi. Nawet w tej burzy śnieżnej powinien odbywać się tam regularny ruch między jeziorami a Mammoth Lakes. Wśród ludzi byłiby bezpieczni. Ten Drugi nie mógłby zabić ich wszystkich. Musiałby się wycofać.

Ale podnóże wzniesienia było zbyt odległe. Nigdy by tam nie dotarli przed wyczerpaniem się amunicji, która pozwalała trzymać przeciwnika na dystans, albo zanim nie powystrzelałby ich dzięki lepszej celności i zasięgu rewolweru.

Dotarli do dziury w rozwalonym ogrodzeniu.

– Tędy, przechodźcie – nakazał Marty.

– Przecież to opuszczone miejsce – zaprotestowała Paige.

– Nie ma innego wyjścia – powiedział, biorąc Charlotte i Emily za ręce i ciągnąc je w stronę

kościelnej posiadłości.

Liczył na to, że ktoś się szybko pojawi, zobaczy na wpół spalone BMW i zawiadomi biuro szeryfa. Wiatr, zamiast rozdmuchać ogień żywiący się lakierem, stłumił go, ale opona wciąż płonęła, przez co rozbity samochód był dobrze widoczny. Gdyby zjawili się kilku dobrze uzbrojonych policjantów i włączyło do walki, na pewno nie od razu pojęliby, jak potężnym przeciwnikiem jest Ten Drugi, ale też nie byłiby równie naiwni i bezradni jak zwykli obywatele.

Po krótkim wahaniu, zerkając zaniepokojona pod górę, Paige przeszła w ślad za Martym i dziewczynkami przez dziurę w ogrodzeniu.

Pojemnik do szybkiego ładowania rewolweru wyslizguje mu się z dłoni i wpada w śnieg, gdy wyjmuje go z saszetki przy pasku. To ostatni z dwóch, jakie zabrał zabitemu mężczyźnie w wozie obserwacyjnym.

Schyła się, wygrzebuje go ze śniegu i wyciera o ciemnoczerwony sweter pod kurtką. Przystawia do wysuniętego bębena, wsuwa, wyciąga, wyrzuca i zatrząskuje bębenek.

Teraz będzie musiał oszczędzać amunicję. Nie będzie łatwo zabić replikantów.

Wie, że ta kobieta jest replikantką, tak jak fałszywy ojciec. Obce ciało. Nieludzkie. Ona nie może być jego Paige. Jest zbyt agresywna. Jego Paige byłaby uległa, spragniona dominacji, jak te kobiety z filmowej kolekcji senatora. Jego Paige z pewnością nie żyje. Musi się z tym pogodzić, choć jest to trudne. Ta istota tylko nieudolnie udaje Paige. Co gorsza, jeśli Paige odeszła na zawsze, to odeszły również jego kochające córki. Dziewczynki, wdzięczne i przekonująco ludzkie, są także replikantkami – demonicznymi, pozaziemskimi i niebezpiecznymi istotami.

Jego życie jest nie do odzyskania.

Jego rodzina odeszła na zawsze.

Otwiera się pod nim czarna otchłań rozpaczy, ale nie wolno mu w nią wpaść. Musi znaleźć w sobie siłę, by trwać i walczyć, aż odniesie zwycięstwo w imieniu całej ludzkości albo zostanie pokonany. Musi być tak odważny jak Kurt Russel i Donald Sutherland, gdy znaleźli się w podobnie niebezpiecznej sytuacji, ponieważ jest bohaterem, a bohater nie może się poddawać.

Tam, w dole, te cztery istoty znikają za ogrodzeniem. Wszystko, czego teraz pragnie, to ujrzeć je martwymi, zmiażdżyć im mózgi, odrąbać członki i obciąć głowy, wypatroszyć je i podpalić. Zrobić wszystko, by nie zmartwychwstały, ponieważ nie są tylko zabójcami jego prawdziwej rodziny, ale zagrażają całemu światu.

Przychodzi mu do głowy myśl, że jeśli przeżyje, to te przerażające doświadczenia dostarczą mu materiału do powieści. Z pewnością uda mu się to pierwsze zdanie, do czego wczoraj nie był zdolny. Choć jego żona i dzieci są dla niego stracone na zawsze, może jeszcze ocalić swoją karierę.

Sunąc po śniegu i ślizgając się, pędzi w stronę szczeliny w ogrodzeniu.

Wycieraczki były oblepione zamarzniętym śniegiem. Przesuwały się po szybie mozolnie, wydając głuchy dźwięk.

Oslett spojrział na sterowaną komputerem mapę, a następnie wskazał na widniejący przed nimi zakręt. Tam, w prawo.

Clocker wrzucił prawy kierunkowskaz.

Niczym widmowa *Mary Celeste* materializująca się bezszelestnie z dziwnej mgły, pod poszarpanymi

żaglami, bez żywej duszy na pokładzie, z zamieci wynurzył się opuszczony kościół.

Z początku, w łagodnej burzy śnieżnej, w szarym, gasnącym świetle późnego popołudnia, Marty'emu wydawało się, że budynek jest w niezłym stanie, ale było to chwilowe wrażenie. Gdy podeszli bliżej, zobaczył, że dach jest dziurawy. Niektóre fragmenty miedzianych rynien zniknęły, podczas gdy inne zwisały obłuzowane, kołysząc się i trzeszcząc na wietrze. Większość okien była powybijana, a na ścianach z cegły wandale namalowali sprayem obsceniczne wizerunki.

Zrujnowane budynki, w których mieściły się kiedyś biura, warsztaty, żłobek, sale sypialne, jadalnia stały tuż za kościołem, a także po jego bokach. Profetyczny Kościół Wyniesienia wymagał od swych wyznawców przekazania na rzecz sekty wszelkiego doczesnego mienia i nakazywał życie w ascetycznej komunie.

Ruszyli pospiesznie po głębokim śniegu w stronę głównego wejścia do kościoła. Pragnęli jak najszybciej opuścić otwartą przestrzeń. Chociaż Ten Drugi potrafił ich wytropić dzięki telepatycznej łączności z Martym, bez względu na to, gdziekolwiek by poszli, to jednak nie mógł do nich strzelać, jeśli ich nie widział.

Dwanaście szerokich stopni prowadziło do podwójnych, dwuskrzydłowych, wysokich dębowych drzwi, zwieńczonych nad każdym skrzydłem półkolistymi oknami. Rubinowe i żółte szkło zostało niemal w całości wybite i pomiędzy ołowianych listew wyzierały ciemne dziury. Drzwi znajdowały się w portalu utworzonym przez wysokie na dwadzieścia stóp sklepienie łukowe, nad którym widniało ogromne okrągłe okno o skomplikowanym wzorze.

Cztery rzeźbione dębowe skrzydła były zniszczone przez warunki atmosferyczne, pocięte, popękane i pokryte obscenicznymi rysunkami, wykonanymi sprayem, świecącymi lekko w popielatym blasku wczesnego zmierzchu. Na jednym ze skrzydeł jakiś wandal narysował kobiecą postać w kształcie klepsydry, uzupełnioną zarysem piersi i krocza, oznaczonego literą Y, a obok umieścił wizerunek fallusa. Skantowane litery, wykonane przez jakiegoś mistrza dłuta, układały się w napis umieszczony na granitowym występie, nad każdą parą drzwi: ON UNOSI NAS DO NIEBA. Pod spodem ktoś dopisał czerwonym sprayem: GÓWNO PRAWDA.

Sekta budziła grozę, jej założyciel i duchowy przywódca Jonathan Caine był oszustem i pedofilem, ale Marty'ego bardziej przerażali wandale niż zbłąkani ludzie, którzy podążyli za Caine'em. Wyznawcy kultu przynajmniej w coś wierzyli, bez względu na to, jak błędzili, pragnęli zasłużyć na bożą łaskę i w imię swojej wiary zdolni byli ponieść ofiarę, nawet jeśli ta ofiara okazywała się w końcu głupia; ośmielali się marzyć, nawet jeśli marzenia kończyły się tragedią. Lecz nienawiść, którą tchnęła ta bazgranina na ścianach kościoła, była skutkiem braku wiary, głupoty i bezmyślności ludzi niezdolnych do marzeń, żerujących na cierpieniu innych.

Jedno ze skrzydeł było nieco uchylone. Marty chwycił za jego krawędź i pociągnął. Zawiasy były skorodowane, dębowe drewno spaczone, ale drzwi rozwarły się ze zgrzytem o dwanaście czy czternaście cali.

Paige weszła do środka pierwsza. Charlotte i Emily podążyły tuż za nią.

Marty nigdy nie usłyszał strzału, który go trafił.

W chwili gdy miał podążyć za dziewczynkami, przeszła go lodowa włócznia, wbijając się w plecy, w górnej lewej części, a wychodząc przez mięśnie i ścięgna pod obojczykiem, po tej samej stronie. Przenikający jego ciało chłód był tak straszny, że w porównaniu z nim zamieć śnieżna wydawała się tropikalnym wiatrem. Zadrzał gwałtownie.

Po chwili ocknął się i stwierdził, że leży na pokrytym śniegiem, ceglany podście przed drzwiami,

zastanawiając się, w jaki sposób się tam znalazł. Był prawie przekonany, że wyciągnął się, by uciąć sobie drzemkę, ale ból w kościach wskazywał, że runął jak kłoda.

Wpatrywał się przez zasłonę padającego śniegu i zimowego światła w granitowe litery.

ON UNOSI NAS DO NIEBA.

GÓWNO PRAWDA.

Dopiero wtedy się zorientował, że został postrzelony, gdy z kościoła wybiegła Paige i klękła przy jego boku. Słyszał jej krzyk.

– Marty, o Boże, mój Boże, zostałeś postrzelony, ten skurwysyn cię postrzelił!

„O tak, oczywiście, właśnie, zostałem postrzelony, a nie ugodzony lodową włócznią” – pomyślał.

Paige wstała i podniosła mossberga. Marty usłyszał dwa strzały. Były głośne, w przeciwieństwie do podstępnej kuli, która bezgłośnie rzuciła go na ceglany podest.

Zaciekawiony, przekręcił głowę, żeby sprawdzić, jak blisko tamten podszedł. Spodziewał się, że sobowtór będzie tuż obok niego. Wciąż niezniszczalny.

Jednakże Ten Drugi trzymał się z dala od kościoła. Pociski Paige nie mogły go osiągnąć. Był czarną figurą na polu bieli, a rysów jego zbyt znajomej twarzy nie pozwalało dojrzeć gasnące szare światło dnia. Krążąc tam i z powrotem po śniegu, tam i z powrotem, chudy i nerwowy, wydawał się wilkiem, który podchodzi do stada owiec i cierpliwie czeka na stosowną chwilę, by zaatakować.

Lodowy sztylet, który przebił Marty’ego, stawał się z sekundy na sekundę sztyletem ognia. Wraz z żarem pojawił się przeszywający, odbierający oddech ból. Teraz dopiero naprawdę poczuł, że został postrzelony.

Paige znów podniosła mossberga.

Odzyskując wraz z bólem jasność myślenia, Marty powiedział:

– Nie marnuj amunicji. Zostaw tego drania na chwilę. Pomóż mi wstać.

Podtrzymywany przez nią, podniósł się z trudem.

– Bardzo źle? – spytała z niepokojem.

– Jeszcze nie umieram. Wejźmy do środka, zanim strzeli znowu.

Wszedł za nią do przedsionka, gdzie mrok rozjaśniały jedynie słabe promienie światła wpadające przez uchylone drzwi i pozbawione szyb okna nad głównym wejściem.

Dziewczynki płakały, Charlotte głośniejsz niż Emily, i Marty starał się je uspokoić.

– W porządku, nic mi nie jest, to tylko draśnięcie. Potrzebny mi tylko opatrunek, taki z obrazkiem kaczora Donalda, i od razu poczuje się lepiej.

W rzeczywistości jego prawe ramię było w połowie pozbawione czucia. Nie mógł się nim swobodnie posługiwać. Kiedy zginał rękę, nie był w stanie zacisnąć palców w pięść.

Paige powiększyła szparę między wielkimi drzwiami a framugą. Wyjrzała, by rzucić okiem na Tego Drugiego.

Próbując dokładniej zbadać ranę, Marty wsunął prawą dłoń pod kurtkę narciarską i ostrożnie zbadał lewe ramię. Nawet lekkie dotknięcie wywoływało płomień bólu. Wełniany sweter był przesiąknięty krwią.

– Zaprowadź dziewczynki w głąb kościoła – wyszeptała ponaglająco Paige, choć tamten nie mógł jej przecież usłyszeć, stojąc na zewnątrz, w burzy śnieżnej. – Do samego końca.

– O czym ty mówisz?

– Zaczekam tu na niego.

Dziewczynki protestowały.

– Mamusiu, nie rób tego. Mamo, chodź z nami, musisz z nami iść. Mamusiu, proszę.

– Nic mi się nie stanie – powiedziała Paige. – Będę bezpieczna. Naprawdę. Wszystko będzie dobrze. Naprawdę. Marty, kiedy ten drań wyczuje, że odchodzisz, pojawi się tutaj. Będzie się spodziewał, że jesteśmy razem. – Mówiąc to wkładała dwa następne naboje do magazynka mossberga. – Nie spodziewa się, że będę tu na niego czekała.

Marty przypomniał sobie, że tak samo dyskutowali wcześniej, w chacie, gdy chciała wyjść na zewnątrz i ukryć się za skałami. Jej plan nie zadziałał wówczas, choć nie dlatego, że miał jakieś wady. Ten Drugi przejechał obok niej, najwidoczniej nieświadomy tego, że ona tam jest i czeka na niego. Gdyby nie wykonał tak niespodziewanego manewru i nie wpackował się wozem prosto w chatę, mogłaby podejść go niezauważenie i strzelić.

Nie chciał jednak zostawiać jej samej przy drzwiach. Ale nie było czasu na dyskusje, bał się, że za chwilę utraci resztki sił. Poza tym nie miał nic lepszego do zaproponowania.

Z trudem rozpoznawał twarz Paige.

Miał nadzieję, że nie jest to ostatni raz, kiedy ją widzi.

Wprowadził Charlotte i Emily z przedsionka do nawy. Poczł zapach kurzu, wilgoci i szczurów, które się tu zagnieździły w ciągu lat, jakie minęły od czasu, gdy członkowie sekty opuścili to miejsce. Po stronie północnej bezlitosny wichur nawiewał śnieg przez wybite okna. Gdyby zima miała serce, martwe i wycięte z bryły lodu, nie byłoby ono zimniejsze niż wewnątrz kościoła, a technienie samej śmierci nie mogło być bardziej lodowate.

– Zimno mi w stopy – powiedziała Emily.

– Cśśśś. Wiem – uciszył ją.

– Mnie też – odezwała się szeptem Charlotte.

– Wiem.

To, że miały tak przyziemny powód do narzekania, uczyniło ich sytuację bardziej normalną, mniej przerażającą.

– Naprawdę zimno – nie przestawała Charlotte.

– Nie zatrzymujcie się. Aż do samego końca.

Na nogach mieli tenisówki. Śnieg przesiąkał przez materiał i zmieniał się w lód.

Przez całą długość nawy zwieszały się cienie jak dekoracja z chorągiewek, ale ta duża komnata była jaśniejsza niż przedsionek. Ostrołukowe, dawno powybijane okna zdobiły obie boczne ściany i wznosiły się na dwie trzecie wysokości między podłogą a sklepieniem. Wpadało przez nie trochę światła, które wydobywało z mroku rzędy ławek, długie środkowe przejście wiodące do balustrady prezbiterium, miejsca dla chóru, a nawet resztek wysokiego ołtarza.

Najjaśniejszymi punktami w kościele były profanacyjne rysunki i napisy wykonane ręką wandalu. Podejrzał, że malowano je fosforyzującą farbą; rzeczywiście, w ciemniejszych zakątkach litery świeciły pomarańczowo, niebiesko, zielono i żółto, krzyżując się, zwijając i splatając. W końcu zdawało się, że to prawdziwe węże, pełzające po ścianach.

Marty czekał w napięciu na odgłos strzałów.

Przy balustradzie, oddzielającej prezbiterium od reszty kościoła, nie było furtki.

– Idźcie dalej – ponaglił dziewczynki.

Weszli na podest ołtarza. Na tylnej ścianie wisiał wysoki na trzydzieści stóp drewniany krzyż, pokryty pajęczynami.

Lewa ręka mu zdrętwiała, czuł jednak, że jest okropnie spuchnięta. Bolała tak, jakby w jego ramieniu

tkwił chory ząb. Czuł mdłości, choć nie wiedział, czy to z powodu upływu krwi, czy ze strachu o Paige.

Paige wycofała się od wejścia do miejsca w przedsionku, które pozostałoby zacienione nawet po otwarciu drzwi.

Wpatrując się w szczelinę między drzwiami a framugą, dostrzegła w niewyraźnym, szarym świetle i gęstniejącym śniegu jakiś widmowy ruch. Podniosła i opuściła broń. Za każdym razem, gdy zdawało się, że nadeszła chwila konfrontacji, traciła oddech.

Nie musiała czekać zbyt długo. Po trzech czy czterech minutach usłyszała głośnie kroki. Wyczuwając Marty'ego Ten Drugi wkroczył do kościoła pewnie i śmiało.

Gdy przestępował próg, mając w bladym świetle, Paige wycelowała w środek jego klatki piersiowej. Broń drżała w jej rękach jeszcze przed naciśnięciem spustu, podskakując w chwili odrzutu. Natychmiast wprowadziła do komory zamkowej następny nabój i wypaliła.

Pierwszy pocisk dosięgnął celu, drugi prawdopodobnie utkwiał we framudze drzwi, ponieważ mężczyzna cofnął się gwałtownie do tyłu i zniknął z pola widzenia.

Wiedziała, że go raniła, ale nie usłyszała krzyku. Wyszła ze swojej kryjówki na zewnątrz, pełna nadziei i jednocześnie obaw, przygotowana na to, że ujrzy martwego mężczyznę na stopniach schodów. Jednak nigdzie go nie dostrzegła i w jakiś sposób nie było to dla niej niespodzianką, choć jego błyskawiczne zniknięcie było tak zagadkowe, że się odwróciła. Patrzyła zmrużonymi oczami we fronton kościoła, jakby się spodziewała, że ten człowiek będzie się po nim wspinał z chyżością pająka.

Mogła poszukać jego śladów na śniegu i wytropić go. Podejrzewała, że o to mu właśnie chodzi.

Przeżona, biegiem wpadła z powrotem do kościoła.

Zabić ich, zabić ich wszystkich, zabić ich teraz.

Pocisk ze strzelby myśliwskiej. W gardło. Żłobi głęboką bruzdę w jego ciele. Wzdłuż szyi po jednej stronie. Twarde kawałki tkwią w prawej skroni. Lewe ucho ma postrzępione, ocieka krwią. Lewy policzek i broda pokryte ołowianym trądzikiem. Dolna warga rozerwana. Zęby wykrzywione i połamane. Pluje kawałkami śrutu. Płomień bólu. Oko na szczęście nie uszkodzone, widzi dobrze.

Biegnie zgarbiony wzdłuż południowej ściany kościoła. Pozbawiony cienia. Pozbawiony żony, dzieci, matki, ojca. Odeszli. Jego życie zostało ukradzione, wykorzystane i odrzucone. Nie ma lustro, w które mógłby spojrzeć, nie ma odbicia, które potwierdziłoby jego cielesność. Zostały tylko ślady stóp na świeżym śniegu, potwierdzające jego istnienie. Ślady stóp i nienawiść... Claude Rains z „Niewidzialnego człowieka”.

Szuka gorączkowo wejścia, badając każde z mijanych okien.

Porozbijane wysokie witraże. Zostały tylko stalowe słupki. Gdzieś tam, pomiędzy nimi, widać powyginany i poszarpany ołowiany drut, tworzący zarys nierozpoznawalnych już religijnych symboli i figur. Pozostały tylko monstrualne formy, równie bezkształtne jak roztopiony wosk.

Przedostatnie okno nawy jest puste, nie ma w nim stalowej ramy, słupków, ołowianego drutu. Granitowy występ stanowiący podstawę okna jest na wysokości pięciu stóp nad ziemią. Podciąga się w górę ze zwinnością gimnastyka i przysiada na głębokim parapecie. Wpatruje się w niezliczone cienie, poprzecinane dziwnymi, wijącymi się strumieniami fosforyzujących barw – pomarańczowej, żółtej, zielonej i niebieskiej.

Krzyk dziecka.

Biegając środkiem kościoła, Paige miała dziwaczne wrażenie, że znajduje się pod wodą, w tropikach, w głębinach Zatoki Karaibskiej, w grotach pełnych jaskrawobarwnych koralowców i równikowych wodorostów, których falujące liście, pierzaste i fosforyzujące, otaczają ją z wszystkich stron.

Krzyk Charlotte.

Kiedy Paige dotarła do balustrady, odwróciła się, by stanąć twarzą do nawy. Przesuwając lufę mossberga to w lewo, to w prawo, ujrzała Tego Drugiego w chwili, gdy Emily krzyknęła:

– W oknie, widzę go!

Rzeczywiście, kucał w jednym z okien południowej ściany. Ciemny kształt, który wydawał się tylko w połowie ludzki na tle gasnącego światła i białej, śnieżnej powodzi. Z głową wciśniętą w ramiona i zwisającymi ramionami przypominał małpę człekokształtną.

Jej reakcja była błyskawiczna. Wypaliła bez wahania.

Nawet gdyby odległość nie była tak duża, to i tak wyszedłby z tego bez szwanku, ponieważ w chwili, gdy nacisnęła spust, poruszył się. Zdawało się, że *splynął* z parapetu na podłogę, ze zwinnością wilka. Pocisk przeszył powietrze w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą siedział, i odbił się z trzaskiem od okiennej framugi.

Poruszając się pochylony, zniknął między rzędami ławek, gdzie zalegały najgłębsze cienie. Gdyby chciała tam na niego polować, powaliłby ją na ziemię i zabił.

Ruszyła przez balustradę i prezbiterium w stronę Marty'ego i dziewczynek, poruszając się tyłem i trzymając broń w pogotowiu.

Wycofali się do pobliskiego pomieszczenia, które mogło być niegdyś zakrystią. W nikłym świetle wpadającym przez dwa okna widać było jeszcze troje drzwi, oprócz tych, przez które tu weszli.

Paige zatrasnęła je i próbowała zamknąć na zamek. Ale nie było zamka. Nie było również żadnego mebla, którym można by je podeprzeć czy zablokować.

Marty spróbował otworzyć jedno z pozostałych drzwi. Garderoba.

Przez te, które otworzyła Charlotte, wtargnął przeraźliwie wyjący wiatr i śnieg, więc natychmiast je zatrasnęła.

Sprawdzając trzecią możliwość, Emily powiedziała:

– Schody.

Czołga się ostrożnie.

Słyszysz odgłos zatraskiwanych drzwi.

Czeka.

Nasłuchuje.

Głód. Temperatura gorącego bólu szybko obniża się do poziomu niezbyt wysokiego ciepła. Silny krwotok zamienia się w powolne sączenie. Teraz, gdy ciało żąda potężnych ilości paliwa, potrzebnych do rekonstrukcji zniszczonych tkanek, opanowuje go głód.

Już zaczął przetwarzać swój tłuszcz i proteiny, by dokonać szybkiej naprawy rozerwanych i uszkodzonych naczyń krwionośnych. Jego metabolizm przyspiesza bezlitośnie – całkowicie autonomiczna funkcja, nad którą nie ma żadnej władzy.

Ten dar, dzięki któremu wciąż żyje, zażąda wkrótce haraczu. Jego waga obniży się. Głód będzie narastał, aż stanie się tak rozdzierający jak agonia. Głód zamieni się w niepohamowaną żądzę. Żądza zamieni się w rozpaczliwe pragnienie.

Zastanawia się, czy się nie wycofać, ale jest już tak blisko. Tak blisko. Tamci uciekają. Nie mają już dokąd. Dopadnie ich. Jeśli wytrwa, to w ciągu paru minut będą martwi.

Poza tym jego nienawiść jest tak wielka jak jego głód. Pragnie, pragnie zadać im śmierć.

Na kinowym ekranie jego umysłu migoczą kusząco zbrodnicze obrazy: roztrzaskane czaszki, brutalnie zmiażdżone twarze, wylupione oczy, poderżnięte gardła, pocięte torsy, połyskujące noże, topory, siekiery, odcięte kończyny, płonące kobiety, krzyczące dzieci, gardła prostytutek z sinymi śladami duszenia, ciało rozpuszczające się w strumieniu kwasu...

Wypełza spomiędzy ławek ku środkowemu przejściu, podnosząc się do pozycji kucznej.

Ściany pokryte są świetlistymi hieroglifami w pozaziemskim języku.

Jest w samym gnieździe przeciwnika.

Obcego i dziwnego. Nieludzkiego wroga.

Boi się. Ale strach tylko podsycza jego wściekłość.

Rusza pędem w stronę frontowej części kościoła, przechodzi przez szczelinę w balustradzie i kieruje się ku drzwiom, za którymi zniknęli.

Z niewidocznych okien, otaczających gdzieś wyżej spiralną klatkę schodową, sączy się nikłe, rozproszone światło.

Budynki, do których przylegał kościół, miały dwie kondygnacje. Być może istniało przejście pomiędzy tą klatką a inną częścią kompleksu, ale Marty nie miał pojęcia, dokąd zierzają. Dlatego niemal żałował, że nie wyszli przez drzwi prowadzące na zewnątrz.

Jednak odrętwienie ręki bardzo przeszkadzało, a ból w ramieniu narastał z minuty na minutę. W budynku było zimno niemal tak jak na zewnątrz, ale przynajmniej mieli schronienie przed wiatrem. Nie sądził, by mógł długo wytrzymać poza murami kościoła.

Dziewczynki ruszyły przodem i weszły na schody.

Paige za nimi. Martwiła się głośno, bo drzwi u podnóża schodów nie miały zamka, podobnie jak te prowadzące do zakrystii. Szła ostrożnie tyłem, stopień za stopniem, kontrolując przestrzeń za ich plecami.

Dotarli szybko do okna, głęboko osadzonego w zewnętrznej ścianie. To przez nie docierało do wnętrza nikłe światło. Szyba była w większości nie uszkodzona. Światło w wyższych partiach wijących się schodów miało ten sam posępny charakter i najprawdopodobniej wpadało przez inne okno tej samej wielkości i kształtu.

Marty poruszał się wolniej i oddychał z coraz większym trudem w miarę pokonywania kolejnych odcinków schodów, jakby osiągali wysokości, na których zawartość tlenu w powietrzu malała drastycznie. Ból w lewym ramieniu nasilił się, a uczucie mdłości narastało.

Poplamiony tynk ścian, szare drewniane schody i bure światło przywodziły mu na myśl szwedzkie filmy z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych – o beznadziejności, rozpacz i smutnym losie.

Z początku nie musiał korzystać z poręczy, by posuwać się do przodu. Jednak szybko okazało się to konieczne. W przerażająco krótkim czasie zorientował się, że musi podciągać się w górę, chwytając zdrową ręką za poręcz.

Zanim doszli do drugiego okna, mając przed sobą jeszcze więcej schodów i szarego światła, wiedział, dokąd dotarli. Do dzwonnicy.

Nie było żadnego przejścia, przez które mogliby przedostać się na drugą kondygnację sąsiedniego budynku, ponieważ już i tak przekroczyli wysokość drugiego piętra. Każdy kolejny stopień przybliżał ich do jedyne go możliwego kresu wędrówki.

Trzymając się poręczy zdrową ręką, odczuwając coraz silniej zawroty głowy i bojąc się stracić równowagę, Marty przystanął, by powiedzieć Paige, że powinni zawrócić. Być może to, że szła odwrócona tyłem, nie pozwalało jej dostrzec, że są w pułapce.

Zanim zdążył się odezwać, zatrzeszczały drzwi na dole, niewidoczne z tej wysokości.

Jego ostatnią jasną myślą jest uświadomienie sobie, że nie ma już rewolweru, musiał go zgubić w chwili, gdy został postrzelony w drzwiach kościoła, upuścił go w śnieg i nie zauważył straty aż do teraz. Nie ma czasu, by wracać. Teraz jego główną bronią jest jego ciało, ręce, nadzwyczajna siła i opanowana do perfekcji sztuka zabijania. Dzika nienawiść, którą czuje, jest także bronią, ponieważ dzięki niej jest gotów podjąć każde ryzyko, zmierzyć się z ekstremalnym niebezpieczeństwem i znieść najokrutniejsze cierpienie. Ale on nie jest zwykły. Jest bohaterem, sądem i zemstą, jest tnącym mieczem sprawiedliwości, mścicielem, wrogiem wszystkich istot, które nie pochodzą z tej Ziemi, ale roszczą sobie do niej prawo. Jest zbawcą ludzkości. Oto powód do istnienia. Jego życie ma wreszcie cel i sens: uratować świat.

Chwilę przed tym, jak na dole otworzyły się drzwi, wąska kręta klatka schodowa przywiodła Paige na myśl latarnie morskie, które widywała na filmach. Pojęła, że znajdują się w kościelnej dzwonnicy. Wówczas otworzyły się drzwi na dole, niewidoczne za kolistymi ścianami spiralnej klatki schodowej. Nie mieli wyboru – musieli wspinać się na szczyt wieży.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie ruszyć pędem w dół i zacząć strzelać w chwili, gdy byłaby już blisko niego. Ale on, słysząc hałas mógłby się wycofać do ciemnej zakrystii. A tam, w gęstym mroku, miałby przewagę.

Mogła także zaczekać na niego, pozwolić mu zbliżyć się i zniemacka rozwalić mu łeb. Gdyby jednak wyczuł jej obecność i otworzył ogień wynurzając się zza zakrętu, nie mógłby chybić w tej wąskiej przestrzeni. Byłaby martwa, zanim zdążyłaby pociągnąć za spust, albo, w najlepszym razie, wypaliłaby w chwili upadku w sufit klatki schodowej.

Pamiętała czarną sylwetkę na parapecie okna nawy i tajemniczą zwinność, z jaką się poruszała. Dlatego podejrzewała, że zmysły Tego Drugiego są ostrzejsze niż jej własne. Czekanie w ukryciu z nadzieją, że uda się go zaskoczyć, było w tej sytuacji po prostu głupie.

Wciąż szła w górę, przekonując samą siebie, że znajdują się w możliwie najlepszej pozycji: broni wysoko położonego terenu przed wrogiem, który mógł atakować tylko jedną wąską rubieżą. Wydawało się, że podest na szczycie wieży jest redutą nie do zdobycia.

Drepczą go męki głodu, poci się z wściekłości i nie zaspokojonych pragnień. Rany goją się, ale płaci za to wysoką cenę. Pokłady jego tłuszczu zmniejszają się i nawet niektóre tkanki mięśni, a także tkanki kostne zostają poświęcone na rzecz szaleńczo przyspieszonego procesu regeneracji. Męki głodu stają się niewyobrażalne.

Na samym szczycie wieży znaleźli się w czymś w rodzaju klatki schodowej. Prowadziła do drugiej części pomieszczenia, która była z trzech stron odsłonięta. Charlotte i Emily bez trudu otworzyły drzwi i pospiesznie opuściły klatkę schodową.

Marty ruszył za nimi. Był słaby i kręciło mu się w głowie. Chwycił się framugi drzwi, a potem betonowego zwieńczenia balustrady, które otaczało z trzech stron podest dzwonnicy.

Przy tym wietrze temperatura musiała się znacznie obniżyć. Skrzywił się, gdy poczuł na twarzy smagnięcia zawieruchy i nie miał odwagi pomyśleć, jak będzie tu zimno za dziesięć minut czy za pół godziny.

Nawet zakładając, że Paige wciąż ma amunicję i nie dopuści do nich Tego Drugiego, to i tak mogli nie przeżyć całej nocy.

Jeśli prognoza pogody miała się sprawdzić i burza trwałaby aż do świtu, to strzelanie z mossberga, by zwrócić czyjąś uwagę, nic by nie dało. Zawodzący wiatr zagłuszyłby każdy, nawet najmniejszy, huk strzału.

Odsłonięta platforma miała średnicę dwunastu stóp, wyłożoną płytkami podłogę i odpływy dla deszczówki. Dwa narożne słupki podtrzymywały, wraz ze ścianą po wschodniej stronie, spiczasty daszek dzwonnicy.

Nie było tu żadnego dzwonu. Gdy Marty wpatrzył się w ciemne zagłębienie pod stożkowatym zwieńczeniem, zobaczył jakieś niewyraźne kształty. Być może były to głośniki, przez które niegdyś puszczano nagrane na taśmę bicie dzwonów.

Śnieg, który biał w miarę zapadającego zmroku, zacinął pod ostrym kątem, gnany północno-zachodnim wiatrem. Pod południową ścianą utworzyła się mała zaspą.

Dziewczynki pobiegły ku zachodniej stronie platformy, jak najdalej od drzwi. Marty za bardzo chwiał się na nogach, by pokonać bez podpórki nawet tak krótki dystans. Gdy okrążał platformę, by się do nich przyłączyć, opierając się lewą dłonią o sięgającą pasa balustradę, płytki posadzki wydały mu się śliskie, choć tak naprawdę ich powierzchnia była chropowata, by można było po nich chodzić bez obawy, nawet wtedy, gdy były mokre.

Popęłnił błąd i zerknął poza krawędź murku na fosforyzującą pokrywę śniegu, sześć czy siedem pięter niżej. Poczłł zawrót głowy i niemal zemdlł, zanim zdążył odwrócić wzrok od tej głębokiej studni.

Kiedy dotarł do córek, czuł większe mdłości niż kiedykolwiek i trzął się tak bardzo, że nie mógł wydobyć słowa. Choć był przemarznięty, wzdłuż kręgosłupa ściekał mu pot. Wiatr wył, śnieg wirował, noc zapadała, a wieża z dzwonnica zdawała się kręcić jak karuzela.

Ostrze bólu rozrywające ranę w ramieniu dotarło także do górnej części ciała, nasilając się przy każdym uderzeniu łomoczącego serca. Człł się bezradny, niedołężny i przeklinał się za to, że jest tak bezużyteczny właśnie wtedy, gdy rodzina najbardziej go potrzebuje.

Paige zatrzymała się przy otwartych drzwiach przedsionka, spoglądając w dół spiralnej klatki schodowej.

Z lufy strzelby trysnął płomień, wprawiając cienie w taniec. Grzmot wystrzału i jego echo przetoczyły się przez platformę dzwonnicy, a z klatki schodowej dobiegł przeraźliwy krzyk bólu i wściekłości. Krzyk nie przypominający ludzkiego głosu, drugi strzał i kolejny, jeszcze bardziej przeraźliwy i niesamowity pisk.

W Martym odżyła nadzieja i załamała się chwilę później, gdy rozdzierający wrzask Tego Drugiego zagłuszył krzyk Paige.

Wzdłuż wygiętej ściany, stopień za stopniem, płonął z głodu, wypełniony ogniem, torturowany pragnieniem, czułł na każdy dźwięk, wciąż wyżej, wyżej, wyżej w ciemność, targany burzą, zdesperowany i gnany, gnany pragnieniem, a chwilę potem majacząca w ciemności tamta istota, istota Paige na podeście schodów, sylwetka spowita w cieniu, ale niewątpliwie istota Paige, odrażająca i niebezpieczna, obce nasienie. Zasłania twarz skrzyżowanymi ramionami i przyjmuje pierwszy strzał, tysiące ukłuc bólu. Dosięgają głęboko, spychają do tyłu, kołyszę się, ręce odmawiają posłuszeństwa – krwawiące i porozrywane, płonął pragnieniem, wciąż tym samym pragnieniem, wewnętrznym bólem, gorszym niż ten zadany z zewnątrz – *podążyć, podążyć, stawić czoło, rzucać wyzwanie, walczyć, zwyciężać*. Rzucając się naprzód, w górę, krzyczy bezwiednie. Drugi strzał niczym młot wali w pierś,

serce zamiera, zamiera, spływa ciemność, serce zamiera, lewe płuco pęka jak balon, nie może oddychać, czuje krew w ustach. Ciało się rozrywa, krew tryska, ciało się zszywa, krew się sączy. Wciąga powietrze, wciąga i wciąż idzie pod górę, wciąż pod górę wprost na tę kobietę. Ból, męka, cierpienie bez granic, kocioł ognia, lawa w żyłach, katusze głodu, test cudownych możliwości ciała, istnienie na krawędzi śmierci. Wpada na kobietę, ciągnie ją do tyłu, wyrывa z jej rąk strzelbę, odrzuca na bok, sięga do jej gardła, jej twarzy... ona go odpycha, ale on potrzebuje jej twarzy, tej gładkiej, bladej twarzy, obcego mięsa, pożywienia, by zaspokoić pragnienie, pragnienie, okropne, palące, nie kończące się *pragnienie*.

Ten Drugi wyrwał strzelbę z rąk Paige, odrzucił na bok, runął na kobietę i wepchnął ją przez drzwi.

Zdawało się, że przestrzeń pod dzwonnica bardziej rozjaśnia naturalne światło spływającego z nieba śniegu niż gasnący blask zamierającego dnia. Marty spostrzegł, że Ten Drugi odniósł potworne rany i że przeszedł dziwne zmiany, wciąż je przechodził, choć popielaty zmierzch okrył całunem szczegóły jego metamorfozy.

Paige upadła na platformę dzwonnicy. Ten Drugi runął na nią jak drapieżca na swoją ofiarę, szarpiąc jej kurtkę narciarską, wydając z siebie syk podniecenia, zgrzytając zębami z zawziętością dzikiego zwierzęcia.

Teraz to *była* rzecz. Nie człowiek. Działo się z nią coś strasznego, choć nie całkiem zrozumiałego.

Kierowany rozpaczą, Marty znalazł w sobie ostatnie źródło siły. Przewycięzył zawrót głowy i kopnął z rozbiegu tę zniechęconą rzecz, która pragnęła jego życia. Trafił dokładnie w głowę. Choć miał na nogach cienkie tenisówki, kopniak był niezwykle silny, i z buta spadł cały lód, jaki zdążył się na nim zebrać.

Ten Drugi zawył, zsunął się z Paige, potoczył pod południową ścianę, ale natychmiast uniósł się na kolana, potem wstał szybki jak kot i nieobliczalny.

Gdy rzecz wciąż toczyła się po ziemi, Paige pobiegła w stronę dzieci, by je osłonić.

Marty rzucił się w stronę broni, która leżała na podeście, kilka cali za progiem, po drugiej stronie drzwi. Kucnął i złapał prawą ręką lufę mossberga.

Paige i któraś z dziewczynek krzyknęły ostrzegawczo.

Nie miał czasu przekręcić broni i załadować. Podniósł się i odwrócił jednocześnie, wydając z siebie dziki okrzyk, niewiele różniący się od krzyków przeciwnika i uderzył go trzymaną za lufę bronią.

Kolba mossberga zatrzymała się na lewym boku napastnika, jednak nie na tyle mocno, by złamać żebra. Marty był zmuszony używać tylko prawej ręki, niezdolny do posiłkowania się lewą, impet uderzenia przeszył jego klatkę piersiową przejmującym bólem.

Wyrывая Marty'emu mossberga, sobowtór nie zamierzał go użyć. Sprawiał wrażenie, jakby cofnął się do stanu istoty cząłkoksztaltnej, stanu, w którym broń palna jest czymś obcym i nieznanym. Odrzucił mossberga, który przeleciał nad murkiem i zniknął w śnieżnej nocy.

Słowo „sobowtór” już nie pasowało do niego. Marty wciąż dostrzegał pewne podobieństwa do siebie, ale teraz nikt, nawet w tym ponurym zmierzchu, nie uznałby ich za braci. To nie rany po postrzałach były przyczyną zmiany w jego wyglądzie. Błada twarz była dziwnie chuda i spiczasta, kości policzkowe zbyt wystające, oczy głęboko osadzone w ciemnych oczodołach. Twarz trupa.

Mossberg wciąż szybował wśród śniegu, gdy potwór runął na Marty'ego i pchnął go na murek od północnej strony. Marty uderzył nerkami o betonowe zwieńczenie i prawie stracił przytomność.

Ten Drugi chwycił go za gardło. Tak samo jak wtedy, poprzedniego dnia, w Mission Viejo. Pchnął go na murek, tak jak na balustradę w domu. Tym razem groził upadek z większej wysokości, w ciemność

gęstsza niż noc, w chłód bardziej przejmujący niż zimowa burza.

Dłonie zaciśnięte na jego szyi nie przypominały ludzkich rąk. Twarde jak metalowe szczęki wnyków na niedźwiedzia. Gorące pomimo zimnej nocy, tak gorące, że niemal parzące.

Przeciwnik nie tylko starał się go udusić, ale również ugryźć, tak jak próbował zrobić to z Paige, uderzając i sycząc niczym wąż. Wilcze warczenie, dobywające się gdzieś z głębi gardła. Kłapiące zęby chwytają powietrze cał od twarzy Marty'ego. Oddech kwaśny i ciężki. Odór rozkładu. Miał wrażenie, że ta istota chce go pożreć, rozszarpać gardło, wypić krew.

Rzeczywistość prześcignęła wyobraźnię.

Rozsądek gdzieś uleciał.

Koszmary były prawdą. Potwory istniały.

Chwycił zdrową ręką garść włosów napastnika i pociągnął mocno, szarpiąc do tyłu jego głowę, próbując rozpaczliwie odsunąć od siebie połyskujące zęby.

Oczy bestii lśniły, z jej pyska dobywała się spieniona ślina.

Ciało promieniowało żarem i było w dotyku równie gorące jak rozgrzane słońcem winylowe siedzenie samochodu w upalny dzień.

Puszczając gardło Marty'ego, ale wciąż przyciskając go do murka, Ten Drugi sięgnął za siebie i chwycił jego rękę. Kościste palce. Nieludzkie. Twarde szpony. Dłoń zdawała się pozbawiona ciała, krucha, a jednak nieludzko silna, zabójcza. Bestia przechyliła głowę na bok, wgryzła się w ramię Marty'ego i rozerwała rękaw kurtki, ale jeszcze nie ciało. Szarpnęła ponownie, zatopiła zęby w jego rękę, i Marty krzyknął. Chwyciła kurtkę narciarską, odciągając go od murka, gdy próbował skoczyć w tę przepaść, by uciec. Kłapnęła zębami tuż przy jego twarzy i wyrzuciła z siebie jedno jedyne słowo: *pragnę...* i kłapała tuż przy jego oczach, kłapała, kłapała, raz za razem.

– Bądź spokojny, Alfie.

Marty zarejestrował te słowa, ale nie mógł zrozumieć, co znaczą, ani też uświadomić sobie, że nigdy nie słyszał tego głosu.

Ten Drugi cofnął głowę do tyłu, jakby przygotowując się do ostatecznego ataku. Znieruchomiał. Dziki wzrok, śmiertelnie chuda twarz połyskująca lekko jak śnieg, obnażone zęby, cichy niezrozumiały dźwięk, jakby nie mógł zrozumieć, dlaczego się jeszcze waha.

Marty wiedział, że powinien wykorzystać tę chwilę i wpakować kolano w krocze napastnika i starać się pchnąć ku przeciwnemu murkowi, unieść i przerzucić przez tę barierę. Potrafił sobie wyobrazić, co należy zrobić, widział to pisarskim okiem, ale nie miał już sił. Ból w ranie postrzałowej, gardle i pogryzionej ręce wzmógł się na nowo – poczuł zawroty głowy i mdłości i wiedział, że jest na granicy omdlenia.

– Bądź spokojny, Alfie – powtórzył głos dobitniej.

Wciąż trzymając Marty'ego, który czuł się zupełnie bezradny w tym okrutnym uścisku, Ten Drugi odwrócił głowę w stronę mówiącego.

Błysnęła latarka, skierowana wprost na twarz sobowtóra.

Mrugając w kierunku źródła światła, Marty dostrzegł niedźwiedziowatego mężczyznę – wysokiego, o wypukłej klatce piersiowej, i drugiego – niższego, w czarnym skafandrze narciarskim. Nie znał ich.

Byli trochę zdziwieni, ale nie zaskoczeni i przerażeni, jak spodziewał się Marty.

– Jezu – odezwał się ten niższy – co się z nim dzieje?

– Metaboliczne roztopianie – powiedział większy.

– Jezu.

Marty zerknął w stronę zachodniej ściany dzwonnicy, gdzie Paige przykucnęła z dziewczynkami. Osłaniała je, tuliła ich głowy do swej piersi, za wszelką cenę starała się oszczędzić im widoku tej strasznej istoty.

– Bądź spokojny, Alfie – powtórzył niższy.

Głosem umęczonym przez nienawiść, ból i samotność, Ten Drugi rzucił chrapliwym głosem:

– Ojczce. Ojczce. Ojczce?

Marty wciąż nie mógł się ruszyć. Patrzył na tego, który niegdyś wyglądał jak on.

Oświetlona blaskiem latarki twarz była bardziej odrażająca, niż wydawało się to w mroku. Unosiły się nad nią obłoczki pary, co potwierdzało wrażenie, jakie wcześniej odniósł Marty, wrażenie, że jest rozpalona. Dziesiątki małych ran postrzałowych znaczyły jedną stronę tej twarzy, ale nie krwawiły i wydawały się w połowie zagojone. Marty zobaczył czarny ołowiany kawałek pocisku wysuwający się ze skroni bestii i spływający po policzku w cienkim strumyczku żółtawej cieczy.

Rany to nie było wszystko. Ten Drugi, ten sobowtór, wyglądał jak trup, który wypęłzył z trumny po roku spędzonym pod ziemią. Skóra opinała kości twarzy. Uszy były zwinięte w twarde zbitki chrząstek i przylegały ściśle do głowy. Wysuszone wargi skurczyły się na dziąsłach, uwypuklając zęby i tworząc iluzję pyska drapieżnego zwierzęcia.

Wcielenie Śmierci, Ponury Żniwiarz pozbawiony obszernej czarnej opończy i kosy, w drodze na bal przebierańców, odziany w kostium tak cienki i skąpy, że nie zwiódłby nikogo.

– Ojczce? – spytał ponownie nieznanego w czarnym skafandrze narciarskim. – Ojczce?

I znowu:

– Bądź spokojny, Alfie.

Imię Alfie było tak nieodpowiednie dla tej groteskowej zjawy, że Marty podejrzewał, iż zjawienie się tych dwóch mężczyzn to tylko gorączkowa halucynacja.

Ten Drugi odwrócił się od strumienia światła z latarki i znów wpatrzył się w Marty'ego złym wzrokiem. Zdawało się, że nie bardzo wie, co robić.

Następnie przybliżył swą trupią twarz do twarzy Marty'ego, przekrzywiając głowę z ciekawości.

– Moje życie? Moje życie?

Marty nie miał pojęcia, czego ta istota od niego chce, i był tak słaby z upływu krwi czy też szoku, czy może z obu tych przyczyn naraz, że mógł tylko odepchnąć lekko przeciwnika prawą dłonią.

– Puść mnie.

– Pragnę – powiedziała istota. – Pragnę, pragnę, *pragnę, pragnę, PRAGNE, PRAAAAAAAGNE.*

Głos wznosił się spiralą do poziomu przeraźliwego pisku. Usta rozchyliły się szeroko w przerażającym grymasie i Ten Drugi runął na Marty'ego.

Rozległ się grzmot strzelby. Głowa napastnika odskoczyła do tyłu. Marty osunął się na murek. Wrzask demonicznej furii zagłuszył krzyki Emily i Charlotte.

Ten Drugi ścisnął kościstymi dłońmi strzaskaną czaszkę, jakby próbował powstrzymać swój rozpad.

Strumień światła z latarki zadrgał i odszukał w ciemności ugodzoną pociskiem bestię.

Szczeliny w kości zniknęły, a dziura po kuli zaczęła się zasklepić, wypychając z czaszki ołowiany pocisk. Ale stało się jasne, jakim kosztem dokonuje się owo cudowne zdrowienie. Głowa Tego Drugiego zaczęła zmieniać się jeszcze dramatyczniej – zmniejszać, zwężać, przeobrażać się w głowę wilka, jakby kości topiły się i odkształcały pod napiętą powłoką skóry, zabierając budulec z jednego miejsca, by naprawić szkody w innym.

– Pożera jak kanibal samego siebie, by zasklepić rany – stwierdził wysoki mężczyzna.

Nad konającym zaczęło unosić się jeszcze więcej obłoczków pary i w końcu zaczął drzeć na sobie ubranie, jakby nie mógł już dłużej znieść gorąca.

Niższy mężczyzna znów strzelił. W twarz.

Wciąż trzymając się za głowę, Ten Drugi pokonał chwiejnym krokiem platformę dzwonnicy i zderzył się z murkiem po południowej stronie. Omal nie runął w czarną otchłań.

Upadł na kolana. Zrzucił z siebie resztki podartego ubrania jak strzępy kokonu. Miotał się w spazmatycznych drgawkach.

Nie krzyczał przeraźliwie. Łkał. I to łkanie sprawiło, że Marty poczuł litość. Zbyt słaby, by utrzymać się na nogach, osunął się na ziemię, opierając się plecami o murek, i odwrócił wzrok od sobowtóra, nie mogąc dłużej patrzeć.

Uzbrojony mężczyzna podszedł bliżej i bezlitośnie strzelił po raz trzeci.

Uplłynęła cała wieczność, zanim Ten Drugi całkowicie znieruchomiał i ucichł.

Marty usłyszał płacz córek.

Z niechęcią spojrzął na ciało, które leżało dokładnie naprzeciwko niego skąpane w bezlitośnie obnażającym świetle latarki. Zwłoki były płataniną czarnych kości i lśniącego ciała, z których większą część pochłonęły gorączkowe próby ozdrowienia i utrzymania się przy życiu. Poskręcane resztki pasowały bardziej do przybysza z kosmosu niż do człowieka.

Wiał wiatr.

Padał śnieg.

Robiło się coraz zimniej.

Po chwili mężczyzna w czarnym narciarskim skafandrze odwrócił się i powiedział do niedźwiedziowatego osobnika:

– To był doprawdy zły chłopak.

Wielki mężczyzna nie odpowiedział.

Marty chciał spytać, kim są. Nie mógł jednak dobyć słów.

Zwracając się do swojego partnera, niższy powiedział:

– Co myślisz o tym kościele? Równie niesamowity jak miejsca, w których lądowali Kirk i jego załoga, co? A te rysunki na ścianach, niezłe? Dzięki temu nasz mały scenariusz jeszcze bardziej zyska na wiarygodności, nie sądzisz?

Choć Marty czuł zawroty głowy, jakby był pijany, i choć miał trudności ze skupieniem myśli, zyskał teraz potwierdzenie tego, co podejrzewał, gdy ci dwaj mężczyźni pojawili się po raz pierwszy: nie byli wybawicielami, byli wykonawcami wyroku, tylko trochę mniej tajemniczymi od Tego Drugiego.

– Chcesz to zrobić tutaj? – spytał ten większy.

– Zaciągnięcie ich z powrotem do chaty sprawi za dużo kłopotu. Nie sądzisz, że ten niesamowity kościół będzie nawet lepszą scenerią?

– Drew – powiedział wielki mężczyzna – jest w tobie mnóstwo rzeczy, które lubię.

Niższy wydawał się zakłopotany. Otarł śnieg z powiek.

– Co powiedziałaś?

– Jesteś cholernie mądry, nawet jeśli naprawdę uczęszczałaś do Princeton i Harvardu. Masz poczucie humoru, naprawdę je masz, rozśmieszasz mnie, nawet jeśli dzieje się to moim kosztem. Zwłaszcza wtedy, gdy dzieje się to moim kosztem, do diabła.

– O czym ty mówisz?

– Ale jesteś też stukniętym sukinsynem – ciągnął duży mężczyzna. – Podniósł broń i strzelił do

swojego partnera.

Drew, jeśli tak się tamten nazywał, uderzył o płytki posadzki z taką siłą, jakby był z kamienia. Wylądował na boku, twarzą do Marty'ego. Usta i oczy miał otwarte, choć w oczach malowało się spojrzenie ślepego, a usta nic nie miały do powiedzenia.

Na samym środku czoła widać było brzydką dziurę po kuli. Marty wpatrywał się w ranę tak długo, jak pozwalały na to resztki świadomości, ale nie wyglądało na to, by miała się goić.

Wiał wiatr.

Padł śnieg.

Robiło się coraz zimniej i coraz ciemniej.

Marty ocknął się z czołem przyciśniętym do zimnego szkła. Po drugiej stronie szyby padał gęsty śnieg.

Stali obok dystrybutora, na stacji benzynowej. Pomiędzy dystrybutorami, za białą śnieżną zasłoną, zobaczył dobrze oświetlony sklep.

Odsunął głowę od szyby i wyprostował się. Znajdował się na tylnym siedzeniu dużego jeepa, explorera czy też cherokee.

Za kierownicą zobaczył wysokiego mężczyznę, którego widział na wieży kościoła. Siedział teraz odwrócony od kierownicy i patrzył na niego.

– Jak się pan czuje?

Marty próbował odpowiedzieć. Usta miał suche, język przyłgnał mu do podniebienia, a gardło piekło. Wydobył z siebie ochryply skrzek.

– Sądzę, że pan wyzdrowieje – powiedział nieznajomy.

Narciarska kurtka Marty'ego była rozpięta, więc sięgnął drżącą dłonią do lewego ramienia. Pod przesiąkniętym krwią wełnianym swetrem wyczuł dziwne wybrzuszenie.

– Prowizoryczny opatrunek – wyjaśnił nieznajomy. – Najlepszy, jaki udało mi się zrobić w tym pośpiechu. Jak wydostaniemy się z tych gór i przekroczymy granice okręgu, oczyszczę ranę i znowu zabandażuję.

– Boli.

– Nie wątpię.

Marty czuł się jak człowiek nie tylko słaby, ale po prostu chory. Żył z tego, że umiał dobierać słowa, więc sytuacja, w której nie miał dość energii, by mówić, była dla niego frustrująca.

– Paige? – spytał.

– Jest z dziewczynkami – uspokoił go nieznajomy, wskazując na budynek, będący połączeniem stacji benzynowej i sklepu. – Dziewczynki poszły do łazienki. Pani Stillwater jest przy kasie i płaci za gorącą kawę. Jeśli o mnie chodzi, to przed chwilą napełniłem bak.

– Pan jest...

– Clocker. Karl Clocker.

– Zastrzelił go pan.

– Nie ulega wątpliwości.

– Kto... kto... to był?

– Drew Oslett. Należy raczej zapytać, *czym* był?

– Hę?

Clocker uśmiechnął się.

– Wprawdzie urodzony z mężczyzny i kobiety, ale nie bardziej ludzki od biednego Alfiego. Jeśli gdzieś w kosmosie istnieje jakiś gatunek istot, krążących po galaktyce, to nigdy nie zechcą się z nami zadawać, jeśli wiedzą, że jesteśmy w stanie stworzyć takich osobników jak Drew.

Clocker prowadził, a obok niego siedziała Charlotte. Mówił do niej „Pierwszy Oficerze Stillwater” – i powierzył jej zadanie „podawania kapitanowi jego kawy, gdy chce się napić, a tym samym zapobieganie katastroficznemu wyciekowi, który mógłby nieodwracalnie zanieczyścić statek”.

Charlotte była w nietypowy dla siebie sposób powściągliwa i niechętna tej zabawie.

Marty myślał z troską o urazie, jakiego doznała, o tym jak trudno będzie zaleczyć jej rany.

Emily siedziała za Karlem Clockerem, Marty za Charlotte, a Paige między nimi. Emily była nie tylko cicha, ale wręcz milcząca. O nią również Marty się niepokoił.

Posuwali się powoli trasą 203, a potem na południe 395. Ziemię przykrywała dwu – lub trzycalowa warstwa śniegu. Szalała zamieć.

Clocker i Paige pili kawę, a dziewczynki gorącą czekoladę. Aromat powinien sprawić Marty'emu przyjemność, ale tylko potęgował uczucie mdłości.

Mógł pić tylko sok pomarańczowy. Paige przyniosła ze sklepu opakowanie składające się z sześciu puszek.

– Jest to jedyna rzecz, jaką zdoła pan utrzymać w żołądku – stwierdził Clocker. – A nawet jeśli sok będzie u pana wywoływał odruch wymiotny, to niech pan się stara wypić jak najwięcej, ponieważ z taką raną jest pan z pewnością odwodniony.

Marty był tak roztrzęsiony, że nie potrafił utrzymać puszek nawet zdrową ręką. Paige wsunęła do puszek słomkę i przytrzymała ją, kiedy pił. Potem wytarła mu brodę.

Czuł się bezradny. Zastanawiał się, czy jest poważniej ranny, niż mu powiedzieli, czy też poważniej ranny, niż zdawali sobie z tego sprawę.

Wyczuwał instynktownie, że umiera, ale nie wiedział, czy jest tak naprawdę, czy to tylko przekleństwo pisarskiej wyobraźni.

Noc rozjaśniały białe płatki śniegu, jakby dzień nie zgasł po prostu, lecz rozpadł się na nieskończoną liczbę kawałeczków, które dryfowały bez końca przez bezkresną ciemność.

Gdy opuszczali z grzechotem łańcuchów i pomrukiem silnika wyższe partie gór Sierra, jadąc w sznurze samochodów podążających za pługiem śnieżnym i piaskarką, Clocker opowiadał im o Sieci.

Była to organizacja skupiająca ludzi z rządu, biznesu, wymiaru sprawiedliwości i mediów, których połączyło wspólne przekonanie, że zachodnia demokracja w swej tradycyjnej postaci jest systemem nieskutecznym i zmierzającym do nieuchronnej katastrofy. Uważali, że większość obywateli to osobnicy myślący tylko o zaspokojeniu własnych potrzeb, węszący za sensacją, pozbawieni duchowych wartości, chciwi, leniwi, zawistni, pełni uprzedzeń rasowych i po prostu głupi.

– Wierzą – ciągnął Clocker – że historia dostarcza dowodów na to, iż masy zawsze były ciemne, a cywilizacja rozwinęła się tylko dzięki szczęśliwym zbiegom okoliczności i mozolnym wysiłkom kilku wizjonerów.

– Czy uważają, że to coś nowego? – spytała pogardliwie Paige. – Nie słyszeli o Hitlerze, Stalinie, Mao Tse-Tungu?

– To, co uważają w swej teorii za nowy element – wyjaśnił Clocker – to przekonanie, że weszliśmy w wiek, w którym cywilizacja techniczna osiągnęła taki stopień rozwoju, że wykorzystana nieumiejętnie – na mocy decyzji opartych na kaprysach i egoistycznych motywacjach mas, które decydują o wszystkim w lokalach wyborczych – doprowadzi do zniszczenia planety.

– Bzdura – powiedziała Paige.

Marty potwierdziłby jej opinię, gdyby czuł się na tyle silny, by włączyć się do dyskusji. Ale miał akurat tyle energii, by móc ssać przez słomkę sok pomarańczowy i z trudem go przełykać.

– To, o co im naprawdę chodzi – ciągnął Clocker – jest po prostu wyścigiem do władzy. Jedyna nowa rzecz w tym wszystkim, bez względu na to, co myślą, to fakt, że działają razem, pomimo to, że reprezentują różne opcje polityczne. Ludzie, którzy chcą z bibliotek wycofać „Huckleberry Finna” i ci,

którzy chcą wycofać książki Anne Rice, mogą kierować się odmiennymi motywami, ale są duchowo spokrewnieni.

– Pewnie – powiedziała Paige. – Łączy ich jedno – pragnienie kontrolowania nie tylko tego, co ludzie robią, ale i tego, co *myślą*.

– Najbardziej skrajni obrońcy środowiska, ci, którzy chcą ograniczyć populację na świecie w ciągu dekady czy dwóch, ponieważ ekologia naszej planety jest zagrożona, są w pewnym sensie pokrewni ludziom, którzy chcą drastycznie zredukować populację tylko dlatego, że jest w niej zbyt wielu czarnych i brązowych.

– Organizacja o tak skrajnych poglądach nie może przetrwać zbyt długo – zauważyła Paige.

– *Zgadzam się* – powiedział Clocker. – Ale jeśli będą dostatecznie silnie pragnąć władzy, totalnej władzy, to mogą pracować razem wystarczająco długo nad jej zdobyciem. A wtedy, gdy już uzyskają całkowitą kontrolę, obrócą się przeciwko sobie nawzajem, a my dostaniemy się w ten krzyżowy ogień.

– O jak dużej organizacji mówimy? – spytała.

– Bardzo dużej – odpowiedział Clocker.

Marty ssał napój przez słomkę, wdzięczny niebiosom za poziom cywilizacji, który umożliwił integrację wytwarzania, przetwórstwa, pakowania, marketingu i dystrybucji produktów równie luksusowych jak zimny i słodki sok pomarańczowy.

– Dyrektorzy Sieci są zdania, że współczesna technika stanowi zagrożenie dla ludzkości – ciągnął Clocker, przełączając wycieraczki na niższy bieg – ale nie mają nic przeciwko temu, by ją wykorzystywać.

Stworzenie całkowicie kontrolowanych klonów do służby w wyjątkowo karnych siłach policyjnych i wojskowych w następnym tysiącleciu było tylko jednym z wielu programów, które miały przyspieszyć nadejście nowego świata. I, jak dotąd jedynym udanym. Powstał pierwszy osobnik pierwszej – zwanej Alfą – generacji sterowanych klonów.

Ponieważ społeczeństwa są pełne ludzi o nieprawomyślnych poglądach, zajmujących wysokie stanowiska, pierwsi klonowani osobnicy mieli być wykorzystani do likwidacji biznesmenów, polityków, naukowców, dziennikarzy, którzy byli zbyt zacofani, by można ich było przekonać o potrzebie zmian. Klon był maszyną zrobioną z ciała; a zatem był idealnym zabójcą. Nie wiedział, kto go stworzył i wyposażył w wiedzę, a więc nie mógł zdradzić swych operatorów czy też ujawnić spisku, jakiemu służył.

Clocker zredukował bieg, gdy sznur samochodów zwolnił na szczególnie zaśnieżonym zboczach.

– Ponieważ sklonowany zabójca – mówił dalej – nie jest obciążony przekonaniami religijnymi, filozoficznymi, etycznymi, rodziną czy przeszłością, nie ma praktycznie niebezpieczeństwa, że zacznie się zastanawiać nad moralnym aspektem okrucieństw, które popełnia, że rozbudzi się w nim sumienie, albo też, że zacznie zdradzać choćby najmniejszy przejaw wolnej woli, która mogłaby zakłócić wykonywanie zadań.

– Lecz z Alfą pewnością stało się coś złego – powiedziała Paige.

– Tak. I nigdy nie dowiemy się co.

Dlaczego wyglądał tak jak ja? – chciał spytać Marty, ale jego głowa opadła na ramię Paige. Stracił przytomność.

Sala luster w wesołym miasteczku. Gorączkowe poszukiwanie wyjścia. Wielokrotne odbicia patrzą na niego ze złością, zazdrością, nienawiścią, niezdolne do naśladowania jego własnej mimiki i ruchów,

zstępują ze zwierciadeł jedno po drugim, ścigają go. Armia Martinów Stillwaterów. Tak do niego podobni fizycznie, a tak inni psychicznie. Mroczni, zimni, okrutni. Wychylają się z luster, obok których przebiega i na które wpada w ciemności, chwytają go, przemawiając jednym głosem: *Pragnę mojego życia.*

Wszystkie lustra roztrzaskały się jednocześnie i Marty się obudził.

Światło lampki.

Zacieniony sufit.

Leży na łóżku.

Jest mu zimno i gorąco, drży i poci się.

Spróbował usiąść. Nie mógł.

– Kochanie?

Ledwie starcza sił, by obrócić głowę.

Paige. Na krześle. Obok łóżka.

Za nią inne łóżko. Jakies kształty pod kocami. Dziewczynki. Śpią.

Zasłony w oknach. Noc przy krawędziach zasłon. Paige uśmiecha się.

– Ocknąłeś się, kochanie?

Próbował oblizać wargi. Były spękane. Język miał suchy, nabrzmiały.

Wyjęła puszkę soku pomarańczowego z plastikowego kubelka z lodem, uniosła mu głowę znad poduszki i wsunęła słomkę między wargi.

– Gdzie? – spytał.

– Motel w Bishop.

– Dostatecznie daleko?

– Na razie musi wystarczyć – odpowiedziała.

– A on?

– Clocker? Wróci.

Umierał z pragnienia. Dała mu więcej soku.

– Martwię się – wyszeptał.

– Nie trzeba. Nie martw się. Już wszystko dobrze.

– O niego.

– O Clockera? – spytała.

Skinał głowę.

– Możemy mu ufać – zapewniła go.

Miał nadzieję, że ma rację.

Nawet picie go wyczerpywało. Głowa opadła mu na poduszkę.

Jej twarz przypominała oblicze anioła. Odpłynęła w dal.

Ucieczka z sali luster do długiego czarnego tunelu. Widzi światło, pędzi w jego kierunku, za nim odgłos stóp, ściga go cały legion, już go doganiają, ludzie z luster. Światło to wybawienie, wyjście z wesołego miasteczka. Wypada z tunelu w jasność, która okazuje się zaśnieżonym polem przed opuszczonym kościołem. Biegnie z Paige i dziewczynkami. Za nimi Ten Drugi, rozlega się strzał, lodowa włócznia przeszywa jego ramię, lód zamienia się w ogień, ogień w...

Ból nie do zniesienia.

Ostrość wzroku rozmazywały łzy. Zamrugął, pragnąc rozpaczliwie sprawdzić, gdzie naprawdę jest.

Ten sam pokój, to samo łóżko.

Kołdra odrzucona na bok.

Był nagi do pasa. Bandaż zniknął.

Kolejny atak bólu w ramieniu wydarł mu z ust okrzyk bólu. Ale Marty nie był na tyle silny, by móc krzyczeć. Jęknął cicho.

Zamrugnął, by pozbyć się łez.

Zasłony wciąż były zaciągnięte. Przy krawędziach, zamiast ciemności, pojawiło się dzienne światło.

Majaczył nad nim Clocker. Robił coś z jego ramieniem.

Marty początkowo sądził, z powodu rozrywającego bólu, że Clocker chce go zabić. Potem zobaczył towarzyszącą mu Paige i wiedział, że jest bezpieczny.

Starła się coś mu wyjaśnić, ale wychwytywał tylko pojedyncze słowa: „siarczan... antybiotyk... penicylina...”

Znów zabandażowali mu ramię.

Clocker zrobił zastrzyk w jego zdrową rękę. Marty nawet nie poczuł ukłucia igły.

Przez chwilę znów był w sali luster.

Kiedy znalazł się w pokoju, obrócił głowę i zobaczył Charlotte i Emily, które siedziały na brzegu sąsiedniego łóżka i pilnowały go. Emily trzymała Peepersa, kawałek skały, na którym wymalowała parę oczu.

Obydwie dziewczynki wyglądały smutno i poważnie.

Zdołał się do nich uśmiechnąć.

Charlotte wstała z łóżka, podeszła do niego i pocałowała go w spoconą twarz.

Emily także go pocałowała, a następnie włożyła mu do zdrowej ręki Peepersa. Udało mu się zacisnąć na nim palce.

Później, dryfując w śnie pozbawionym jakiegokolwiek treści, słyszał, jak Clocker i Paige rozmawiają:

– ...nie sądzę, by było bezpiecznie go ruszać – powiedziała Paige.

– Musi pani – stwierdził Clocker. Nie oddaliliśmy się dostatecznie od Mammoth Lakes i nie możemy jechać każdą drogą.

– Nie wie pan, czy ktoś nas szuka.

– Ma pani rację, nie wiem. Ale jedno jest pewne. Prędzej czy później ktoś zacznie nas szukać i prawdopodobnie będzie to robił do końca naszego życia.

Marty zapadał w sen i budził się na chwilę, zapadał i znów się budził, i gdy ujrzał przy swoim łóżku Clockera, spytał:

– Dlaczego?

– Odwieczne pytanie – powiedział Clocker i uśmiechnął się.

Powracając do odwiecznego pytania, Marty spytał:

– Dlaczego pan?

Clocker skinął głową.

– Z pewnością to pana zastanawia. No cóż... nigdy nie byłem jednym z nich. Popełnili poważny błąd, uważając mnie za swojego człowieka. Przez całe życie tęskniłem za przygodą, ale zdawało się, że karty wróżą mi inaczej. I wtedy przytrafiło się właśnie to. Pomyślałem więc, że jeśli będę się dobrze maskował, to nadejdzie dzień, w którym będę miał okazję wyrządzić Sieci dużą szkodę, a nawet sprawić, by wyparowała, puf, jak trafiona z broni laserowej.

– Dziękuję – szepnął Marty, czując jak jego świadomość gdzieś umyka i pragnąc wyrazić swą wdzięczność, póki jest jeszcze w stanie to zrobić.

– Nie tak prędko, jeszcze nie wydostaliśmy się z tego lasu – stwierdził Clocker.

Gdy Marty odzyskał świadomość, nie pocił się już ani nie drżał, ale wciąż czuł się osłabiony.

Byli w samochodzie, na pustej szosie, w blasku zachodzącego słońca. Paige prowadziła, a Marty siedział z przodu, przypięty pasami.

Spytała:

– W porządku?

– Lepiej – odpowiedział już mniej drżącym głosem. – Chce mi się pić.

– Jest trochę soku pomarańczowego na podłodze, między twoimi stopami. Znajdę jakieś miejsce, żeby się zatrzymać.

– Nie. Dam sobie radę – zapewnił ją, niezupełnie o tym przekonany.

Gdy się pochylił, sięgając do podłogi zdrową ręką, uświadomił sobie, że lewą ma na temblaku. Zdołał chwycić puszkę i wyszarpnąć z opakowania, do którego była przyczepiona. Umieścił ją między kolanami, pociągnął za wieczko i otworzył.

Sok był ledwie schłodzony, ale nic nigdy bardziej mu nie smakowało. Był zadowolony, że zdołał się obsłużyć bez niczyjej pomocy. Wypił zawartość puszkę trzema długimi łykami.

Kiedy odwrócił głowę, zobaczył Charlotte i Emily przypięte pasami i drzemiące z tyłu.

– Mało spały w ciągu ostatnich paru nocy – odezwała się Paige. – Złe sny. No i martwiły się o ciebie. Ale myślę, że w samochodzie czują się bezpieczne, poza tym ruch też pomaga.

– Noce? W liczbie mnogiej? – Wiedział, że uciekli z Mammoth Lakes we wtorek wieczorem. Zakładał, że jest środa. – Jaki to dzień?

– Piątek.

Był nieprzytomny przez prawie trzy dni.

Rozejrzał się wkoło, po rozległych nizinach, ginących szybko w zapadającej nocy.

– Gdzie jesteśmy?

– W Nevadzie. Trasa 31 na południe od Walker Lane. Wjedziemy na drogę i podążymy na północ do Fallen. Tam zatrzymamy się w motelu na noc.

– A jutro?

– Wyoming, jeśli dasz radę.

– Dam radę. Myślę, że jest jakiś powód, dla którego jedziemy do Wyoming?

– Karl zna tam jedno miejsce, w którym możemy się zatrzymać.

Kiedy spytał ją o samochód, którego nigdy przedtem nie widział, wyjaśniła:

– Znów Karl. Jak z tym siarczanem i penicyliną, które ci zaaplikowałam. Sprawia wrażenie kogoś, kto wie, gdzie zdobyć wszystko, czego tylko potrzebuje. To naprawdę gość.

– Właściwie go nie znam – powiedział Marty, sięgając po kolejną porcję soku, ale kocham go jak brata.

Otworzył puszkę i wypił co najmniej jedną trzecią zawartości.

– Jego kapelusz też mi się podoba – dodał.

Paige roześmiała się, choć ta uwaga była mało dowcipna, i Marty jej zawtórował.

– Boże, kocham cię, Marty. Gdybyś umarł, nigdy bym ci tego nie wybaczyła.

Wynajęli tej nocy dwa pokoje w motelu w Fallon, używając fałszywego nazwiska i płacąc gotówką. Zjedli kolację w motelu – pizzę i colę. Marty był wygłodzony, ale dwa kawałki pizzy nasyciły go

w zupełności.

Podczas jedzenia grali w grę „Spójrz, kto teraz jest małpą”, która polegała na tym, by pomyśleć o wszystkich potrawach zaczynających się na literę P. Dziewczynki nie były w formie. Prawdę mówiąc, były tak przygaszone, że Marty niepokoił się o nie.

Być może były tylko zmęczone. Po kolacji, mimo drzemki w samochodzie, Charlotte i Emily zasnęły w parę sekund po tym, jak przyłożyły głowy do poduszek.

Nie zamknęli drzwi między sąsiadującymi ze sobą pokojami. Karl Clocker dał Paige pistolet maszynowy uzi, który przerobiono nielegalnie na broń w pełni automatyczną. Położyli go na nocnym stoliku, gdzie łatwo było po niego sięgnąć.

Paige i Marty położyli się do jednego łóżka. Wyciągnęła się po jego prawej stronie, by móc trzymać go za zdrową rękę.

Gdy rozmawiali, odkrył, że ona zna odpowiedź na pytanie, którego nigdy nie miał okazji zadać Karłowi Clockerowi: *dla czego ta istota była podobna do mnie?*

– Jeden z najpotężniejszych ludzi w Sieci, główny właściciel imperium informacyjnego, stracił czteroletniego synka, który chorował na raka. Gdy chłopiec umierał w szpitalu, pięć lat wcześniej, pobrano od niego próbki krwi i szpiku kostnego, ponieważ ojciec zdecydował, pod wpływem emocji, że klony z serii Alfa powinny być stworzone z genetycznego materiału jego syna. Gdyby owe klony zaistniały w rzeczywistości, to stałyby się wiecznym pomnikiem upamiętniającym jego dziecko.

– Jezu, to chore – powiedział Marty. – Jaki ojciec uważałby, że rasa genetycznie stworzonych zabójców może stanowić odpowiedni pomnik dla jego dziecka? Boże wszechmocny.

– Bóg nie ma z tym nic wspólnego – zauważyła Paige.

Przedstawiciele Sieci, wyznaczeni do zdobycia tych próbek krwi i szpiku z laboratorium, pomylili się i zamiast nich wzięli próbki Marty’ego, które zostały pobrane w celu ustalenia, czy byłby odpowiednim dawcą dla Charlotte, gdyby przeszczep okazał się konieczny.

– I oni chcą rządzić światem – stwierdził zdumiony Marty. – Nie był w pełni zdrowy i potrzebował snu, ale musiał dowiedzieć się jeszcze jednej rzeczy, zanim nie stracił świadomości. – Jeśli zaczęli tworzyć Alfiego dopiero pięć lat temu... to jakim cudem stał się dorosłym człowiekiem?

– Według Clockera ulepszyli pod wieloma względami podstawowy ludzki model – wyjaśniła Paige.

Wyposażyli Alfiego w niezwykły metabolizm. Praktycznie był niezniszczalny. Zaprogramowali również jego fenomenalnie przyspieszone dojrzewanie dzięki podawaniu ludzkiego hormonu wzrostu. Hodowali go od etapu embrionalnego do postaci trzydziestolatka przez zastosowanie nieprzerwanego dożywlnego karmienia i elektrycznie stymulowany przyrost tkanki mięśniowej przez okres mniej więcej dwóch lat.

– Jak jakaś cholerna, sztucznie pędzona roślina czy coś w tym rodzaju – powiedziała.

– Dobry Jezu – jęknął Marty i zerknął na nocny stolik, by się upewnić, że uzi wciąż tam leży. – Czy nie ogarnęły ich wątpliwości, kiedy ten klon nie zaczął przypominać tamtego chłopca?

– Po pierwsze, chłopca wykończył rak między drugim a czwartym rokiem życia. Nie wiedzieli, jakby wyglądał, gdyby dorósł. Poza tym tak intensywnie wykorzystywali materiał genetyczny, że nie mogli być pewni, że osobnicy generacji Alfa w ogóle będą przypominać chłopca. Nauczono go języka, matematyki i innych rzeczy, stosując wyrafinowane metody działania na podświadomość.

Miała mu jeszcze więcej do powiedzenia, ale Marty już jej nie słyszał. Pogrążył się we śnie. Widział słoje wypełnione lepkiem płynem, w których unosiły się ludzkie embriony...

...są podłączone do zwojów plastikowych rur i respiratorów, przechodząc szybko od postaci

embrionalnej do pełnej dorosłości, wszystkie podobne do niego, i nagle całe ich tysiące otwierają oczy, jednocześnie, w długich rzędach pojemników, w całym laboratorium, i mówią jakby jednym głosem: *pragnę mojego życia.*

Chata z drewnianych bali znajdowała się w lesie o powierzchni kilku akrów, parę mil od Jackson Hole w Wyoming. Tutaj jeszcze nie nadeszła zima. Wskazówki udzielone przez Karla były precyzyjne, więc znaleźli to miejsce bez większych problemów, przybywając tam późnego sobotniego popołudnia.

Chatę trzeba było wysprzątać i wywietrzyć, ale spiżarnia była dobrze zaopatrzona. Kiedy z rur zesła rdza, woda, która nimi popłynęła, miała czysty, słodki smak.

W poniedziałek pojawił się range rover. Skręcił z szosy i podjechał pod drzwi frontowe. Obserwowali samochód z okien. Paige trzymała w dłoniach odbezpieczony automat i nie rozluźniła się, dopóki nie zobaczyła, że z samochodu wysiada Karl.

Zjawił się akurat w porze lunchu, który Marty przygotował przy pomocy dziewczynek. Składał się z jajek w proszku, kiełbasek z puszki i herbatników.

Kiedy cała piątka jadła przy dużym sosnowym stole w kuchni, Karl wyjął ich nowe dowody tożsamości. Marty był zdziwiony liczbą dokumentów. Świadectwa urodzenia dla każdego. Dyplom ukończenia szkoły średniej w Newark, New Jersey, dla Paige, dyplom szkoły średniej w Harrisburgu, Pensylwania, dla Marty'ego. Zwolnienie z armii Stanów Zjednoczonych dla Marty'ego, wydane po trzech latach służby. Mieli również prawa jazdy ze stanu Wyoming i karty Social Security.

Ich nowe nazwisko brzmiało Gault. Ann i John Gault. Na świadectwie urodzenia Charlotte widniała Rebeka Vanessa Gault, a Emily była teraz Suzie Lori Gault.

– Same musiałyśmy wybrać sobie imiona – powiedziała Charlotte z ożywieniem, jakiego od dawna nie okazywała. – Jestem Rebeką, jak w fikcie, kobietą piękną i tajemniczą, wечно prześladowaną Manderleya.

– Nie całkiem mogłyśmy wybrać imiona – oznajmiła Emily. – Ja wybrałam coś zupełnie innego, to pewne.

Marty niczego nie pamiętał. Był pogrążony w głębokim, niezdrowym śnie, gdy wybierali imiona, jeszcze w Bishop, w Kalifornii.

– Co sobie najpierw wybrałaś? – spytał Emily.

– Bob – powiedziała.

Marty roześmiał się, a Charlotte zachichotała zniechęta.

– Bob mi się podoba – upierała się Emily.

– No cóż, musisz jednak przyznać, że nie jest to całkiem odpowiednie imię dla dziewczynki – stwierdził Marty.

– Suzie Lori brzmi tak słodko, że można się porzygać – dodała Charlotte.

– Cóż, jeśli nie mogę być Bobem – powiedziała Emily – to chcę być Suzie Lori, i wszyscy muszą zawsze używać dwóch imion, nigdy tylko Suzie.

Gdy dziewczynki zmywały naczynia, Karl przyniósł z range rovera walizkę. Położył ją na stole i otworzył. Były tam dziesiątki dysków komputerowych zawierających kartoteki Sieci, które Karl przez lata kopiował, plus przynajmniej ze sto małowymiarowych kaset magnetofonowych z nagraniem rozmowami, łącznie z ostatnią – Osletta i człowieka o nazwisku Peter Waxhill.

– Ta kasetka – powiedział Karl – wyjaśnia w paru słowach cały ten klonowy kryzys. – Schował wszystko do walizki. To są kopie, dyski i kasety. Macie dwa pełne komplety. Nie mówiąc już o tym, że ja też mam duplikaty.

– Dlaczego chcesz nam to zostawić? – Marty nie rozumiał.

– Jesteś dobrym pisarzem – wyjaśnił Karl. – Przeczytałem kilka twoich książek. Weź to, opisz wszystko, napisz o tym, co się stało z tobą i twoją rodziną. Podam ci nazwisko właściciela dużej gazety, a także człowieka wysoko postawionego w FBI. Jestem pewien, że żaden z nich nie należy do Sieci, ponieważ obydwaj widnieli na liście Alfiego. Wyślij to i dołącz po jednym komplecie dysków i kaset. Wyślij to anonimowo, oczywiście, żadnych adresów zwrotnych, i zrób to w innym stanie, nie w Wyoming.

– Czy nie powinieneś ty tego zrobić? – spytała Paige.

– Zrobię, jeśli wasza przesyłka nie wywoła reakcji, jakiej się spodziewam. Wasze zniknięcie, wydarzenia w Mission Viejo, morderstwo twoich rodziców, ciała, które znajdą na dzwonnicy obok chaty twoich starych, o co już zadbałem, wszystko to podnosi temperaturę twojej historii. Sieć dołożyła starań, by podniosło temperaturę, ponieważ pragną za wszelką cenę, by ktoś was odnalazł. Skorzystajmy z twojej popularności, żeby uderzyć rykoszetem prosto w nich.

Dzień był chłodny, choć nie zimny. Niebo krystalicznie niebieskie.

Marty i Karl poszli na spacer po lesie ani na chwilę nie tracąc z oczu chaty.

– Ten Alfie – zaczął Marty.

– Co z nim?

– Czy był jedyny?

– Pierwszy i jedyny operacyjny klon. Innych się dopiero tworzy.

– Musimy to zatrzymać.

– Zatrzymamy.

– OK. Przypuścimy, że rozwalimy Sieć – rozważał Marty. – Ich domek z kart runie. A potem... czy kiedykolwiek będziemy mogli wrócić do domu, do naszego życia?

– Nie radzę. – Karl potrząsnął głową. – Nie zachęcam. Kilku z nich na pewno umknie spod szubienicy. A oni łatwo nie zapominają. Potrafią nienawidzić. Zrujnujesz im życie albo tylko ich rodzinom. Będą się mścić i prędzej czy później zabiją was wszystkich.

– Więc nazwisko Gault nie jest tylko chwilową przykrywką?

– To najlepsza tożsamość, jaką możecie dostać. Równie dobra jak autentyczny dokument. Mam ją ze źródeł, o których Sieć nie wie. Nikt nigdy nie odkryje jej prawdziwej natury... ani też nie odnajdzie was podążając jej tropem.

– Moja kariera, dochód z książek...

– Zapomnij o tym – poradził Karl. – Wyruszasz na nową wyprawę badawczą ku nieznanym światom.

– Ty też masz nowe nazwisko?

– Tak.

– Nie powinienem pytać jakie, hę?

– Zgadza się.

Karl wyjechał tego samego popołudnia, godzinę przed zmierzchem.

Gdy odprowadzali go do range rovera, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni tweedowej marynarki kopertę i wręczył ją Paige, wyjaśniając, że to akt własności dotyczący chaty i ziemi, na której stała.

– Kupiłem i przygotowałem dwie posiadłości, na dwóch przeciwległych krańcach Ameryki. Czekałem na dzień taki jak ten. Obydwie były zapisane na fałszywe nazwiska, nie do rozszyfrowania.

Jedną z nich przekazałem Annę i Johnowi Gault, ponieważ sam mogę korzystać tylko z jednej.

Wydawał się zakłopotany, gdy Paige objęła go.

– Karl – powiedział Marty – co by się z nami stało, gdyby nie ty? Zawdzięczamy ci wszystko.

Clocker naprawdę się zaczerwienił.

– Jakoś byście sobie dali radę. Potraficie przetrwać w ciężkich sytuacjach. Każdy zrobiłby dla was to, co ja.

– Nie w dzisiejszych czasach – stwierdził Marty.

– Nawet w dzisiejszych czasach – powiedział Karl – jest więcej dobrych ludzi niż złych. Naprawdę w to wierzę. Muszę w to wierzyć.

Gdy byli przy range roverze, Charlotte i Emily pocałowały Karla, ponieważ wszyscy wiedzieli, choć nikt tego nie powiedział, że nigdy się nie zobaczą.

Emily dała mu Peepersa.

– Potrzebujesz kogoś. Jesteś zupełnie sam. Poza tym on nigdy nie przyzwyczai się do tego, by nazywać mnie Suzie Lori. Teraz należy do ciebie.

– Dziękuję, Emily. Będę się nim opiekował.

Kiedy Karl usiadł za kierownicą i zamknął drzwi, Marty nachylił się nad otwartym oknem samochodu.

– Jeśli rozwalimy Sieć, to czy sądzisz, że kiedykolwiek uda się im ją wskrzesić?

– Ją albo coś podobnego – odpowiedział Karl bez wahania.

– Chyba będziemy wiedzieć, że to zrobili... gdy odwołają wybory – zawahał się Marty.

– Och, wybory nigdy nie zostałyby odwołane, a przynajmniej nie w widoczny sposób. – Postępowaliby jak zwykle, współzawodniczące partie polityczne – konwencje, debaty, nie przebierające w środkach kampanie, cała ta reklama i wrzawa. Ale każdy z kandydatów na prezydenta wywodziłby się ze zwolenników Sieci. Jeśli kiedykolwiek przejmą władzę, John, to tylko *oni* będą o tym wiedzieć.

Marty'emu nagle zrobiło się zimno, jak we wtorek, w czasie zamieci śnieżnej.

Karl uniósł w pożegnalnym geście dłoń o rozsuniętych palcach, co Marty skojarzył sobie ze „Star Trek”.

– Żyćcie długo i szczęśliwie – powiedział i odjechał.

Marty stał na zwirowatym podjeździe, obserwując samochód, dopóki ten nie dotarł do szosy, skręcił w lewo i zniknął z pola widzenia.

Tego grudnia i przez cały następny rok, gdy nagłówki krzyczały o skandalu związanym z Siecią, o zdradzie, politycznym spisku, zabójstwach i o kolejnych kryzysach światowych, John i Ann Gault nie interesowali się rewelacjami podawanymi w prasie i telewizji. Czekali ich zbudowanie nowego życia, co nie było łatwym przedsięwzięciem.

Ann obcięła swoje blond włosy na krótko i ufarbowała je na kasztanowo. John zapuścił brodę, nim zapoznał się z sąsiadami mieszkającymi w rozrzuconych po tej wiejskiej okolicy chatach i ranczach. Nie był zdziwiony, gdy zauważył, że posiwił.

Zwykła farbka zmieniła włosy Rebeki z jasnych na kasztanowe, a Suzie Lori przeobraziła się w inną osobkę za sprawą nowej, krótszej fryzury. Dziewczynki szybko dorastały. Czas w mgnieniu oka miał zamazać podobieństwo między nimi i okryć mrokiem ich dawne życie.

Konieczność używania nowych imion była łatwa w porównaniu ze stworzeniem i zapamiętaniem prostej, ale wiarygodnej fałszywej przeszłości. Zrobili z tego grę, coś w rodzaju „Spójrz, kto jest teraz małpą”.

Koszmary wciąż jednak żyły. Choć wróg, którego niegdyś znali, był tak samo niebezpieczny za dnia jak i w nocy, każdy zmierzch napawał ich niepokojem. Nagły hałas sprawiał, że wszyscy podskakiwali.

Dopiero w Wigilię Bożego Narodzenia John odważył się mieć nadzieję, że naprawdę mogą wyobrazić sobie nowe życie i ponownie znaleźć szczęście. Właśnie wtedy Suzie Lori spytała o popcorn.

– Jaki popcorn? – zdziwił się John.

– Zły brat bliźniak Mikołaja wsadził pięć kilo do kuchenki mikrofalowej – odpowiedziała – choć tyle by się nie zmieściło. Ale nawet gdyby się zmieściło, to co by się stało, gdyby ten popcorn zaczął strzelać?

Tej nocy, po raz pierwszy od ponad trzech tygodni, miała miejsce godzina opowieści. Potem stała się już rutyną.

Pod koniec stycznia poczuli się na tyle pewnie, że zdecydowali się zapisać Reбекę i Suzie Lori do szkoły państwowej.

Nim zaczęła się wiosna, w rodzinie pojawili się nowi przyjaciele i coraz więcej wspomnień, które nie były sfabrykowane.

Ponieważ mieli siedemdziesiąt tysięcy w gotówce i skromny dom, na którym nie ciążył dług, nie spieszyli się ze znalezieniem pracy. Mieli również cztery pudła pełne pierwszych wydań wczesnych powieści Martina Stillwata. Na okładce *Time'a* wciąż widniało pytanie, na które nie było odpowiedzi, *Gdzie jest Martin Stillwater?* Pierwsze wydania, które niegdyś były warte kilkaset dolarów za sztukę na kolekcjonerskim rynku, na wiosnę podskoczyły w cenie pięciokrotnie; w najbliższych latach miały się okazać prawdopodobnie lepszą inwestycją niż kupno drogich i pewnych akcji. Sprzedaż egzemplarza czy dwóch zapewniłaby rodzinie dobrobyt w chudych latach.

John przedstawiał się nowym sąsiadom i znajomym jako były agent ubezpieczeniowy z Nowego Jorku. Twierdził, że otrzymał spory, choć nie ogromny spadek. Postanowił spełnić marzenie swojego życia, zamieszkać na wsi, i spróbować sił w poezji. Jeśli nie uda mi się w ciągu paru lat sprzedać żadnych wierszy, to może napiszę powieść – mówił czasem, a jeśli i to nie wyjdzie, to wtedy zacznę się martwić.

Ann była zadowolona ze swej roli gospodyni domowej; jednak, uwolniona od męczącej pracy psychologa zamartwiającego się problemami swoich klientów, odkryła w sobie talent do rysowania, którego nie wykorzystywała od czasów szkoły średniej. Zaczęła wykonywać ilustracje do oryginalnych wierszy i opowiadań męża, które od lat zapisywał w notatniku: „Opowieści dla Rebeki i Suzie Lori”.

Mieszkali w Wyoming już pięć lat, gdy „Zły brat bliźniak świętego Mikołaja” Johna Gaulta z ilustracjami Ann Gault stał się wielkim gwiazdkowym bestsellerem. Autor i artystka nie zgodzili się, by ich zdjęcia umieszczono na okładce. Grzecznie odrzucili oferty podróży promocyjnych i wywiadów, wybierając spokojne życie i pisanie nowych książek dla dzieci.

Dziewczynki były zdrowe, rosły jak na drożdżach, i w końcu Rebeka zaczęła się umawiać z chłopcami, z których żaden nie wydał się Suzie Lori odpowiedni z takiego czy innego powodu.

Czasem John i Ann odnosili wrażenie, że są zbyt odizolowani od świata, i starali się być na bieżąco, jeśli chodzi o aktualne wydarzenia, obserwując wszelkie znaki i niepokojące zapowiedzi, o których nie chcieli nawet mówić. Ale świat był niezmiennie nudny i niespokojny. Zdawało się, że tylko nieliczni ludzie potrafią wyobrazić sobie życie bez miażdżącej dłoni takiego czy innego rządu, takiej czy innej wojny, takiej czy innej formy nienawiści, więc państwo Gault szybko tracili zainteresowanie dla wiadomości i powracali do swojego życia.

Pewnego dnia wraz z pocztą nadeszła powieść w miękkiej okładce. Na zwykłej brązowej kopercie nie było adresu zwrotnego, książka także nie zawierała żadnej informacji. Była to powieść sf, której akcja została umieszczona w dalekiej przyszłości, gdy ludzkość dotarła do gwiazd, ale wciąż nie mogła rozwiązać swoich problemów. Książka nosiła tytuł „Klonowa rebelia”. John i Ann przeczytali ją. Stwierdzili, że jest wspaniale napisana i żałowali, że nigdy nie będą mieli okazji, by wyrazić swój podziw autorowi.